BB

JOSÉ

# DONOSO

## Plugawy ptak nocy

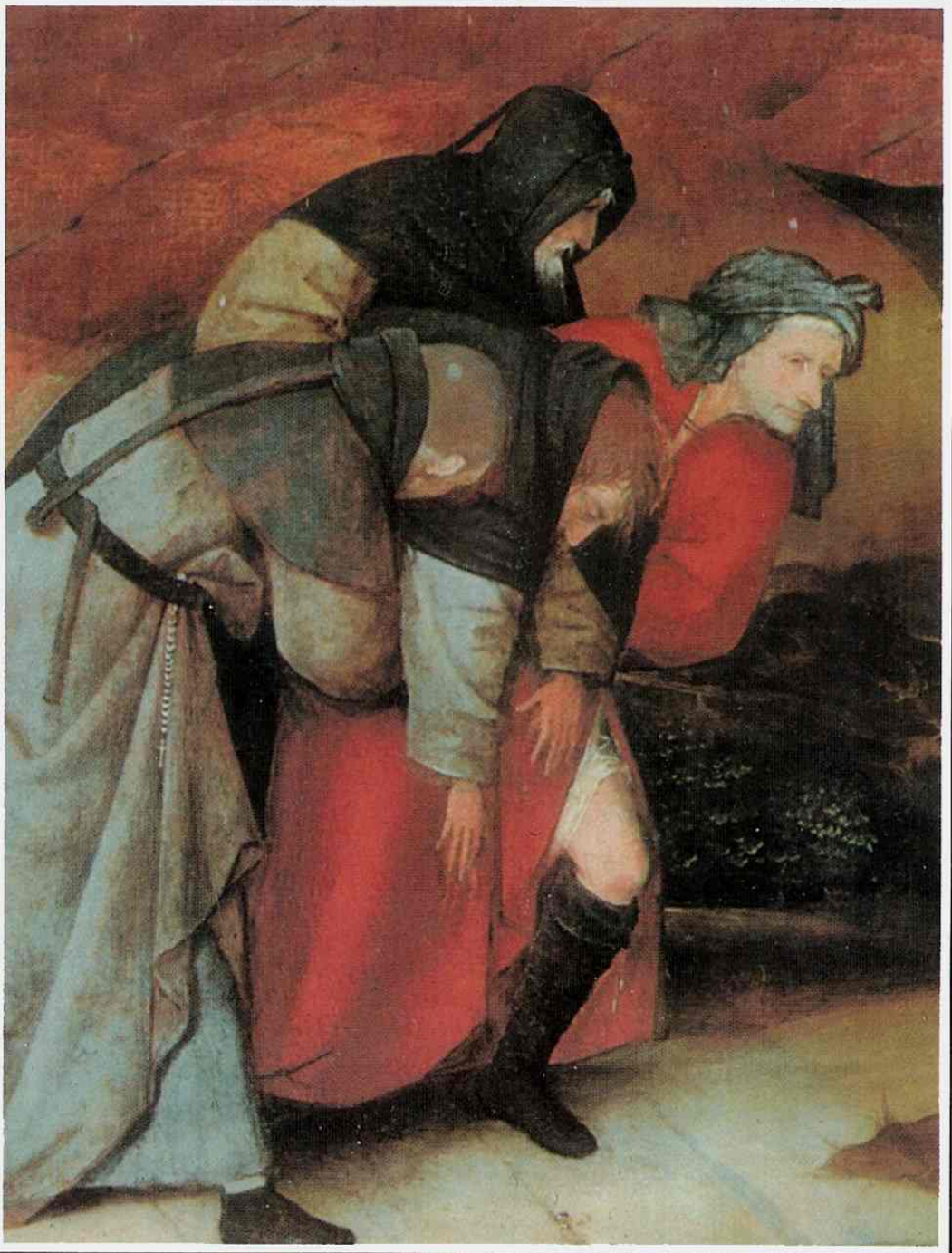

BB

JOSÉ

# DONOSO

## Plugawy ptak nocy

Przełożyła

**ZOFIA CHĄDZYŃSKA**

*Moim rodzicom*

*Każdy człowiek, który osiągnął choćby wczesną młodość swego rozwoju intelektualnego, zaczyna podejrzewać, że życie nie jest farsą, że nie jest nawet elegancką komedią; że – przeciwnie – kwitnie ono i owocuje czerpiąc soki z najbardziej otchłannych, tragicznych głębi tego gruntownie wyschniętego, jałowego podłoża, w którym tkwią korzenie jego treści. Naturalnym dziedzictwem każdego, kto zdolny jest do życia duchowego, jak dziewicza puszcza, gdzie wyje wilk i skrzeczy plugawy ptak nocy.*

Henry James, senior,
w liście do swych synów:
Henry'ego i Williama

# 1

Misia[1] Raquel Ruiz długo płakała, kiedy matka Benita powiedziała jej przez telefon, że rano znaleziono Brygidę nieżywą. Potem trochę się uspokoiła i poprosiła o więcej szczegółów.

– Amalia, ta z jednym okiem, no ta, co trochę jej usługiwała, nie wiem, czy pani ją sobie przypomina...

– Amalię? Naturalnie...

– No to właśnie, jak mówię, Amalia naszykowała jej na wieczór herbatki, mocnej, takiej, jak lubiła, i mówi, że Brygida od razu zasnęła, spokojniuteńko, jak to ona zawsze. Podobno zanim się położyła, to naprawiała jakąś piękną koszulkę nocną z kremowego atłasu...

– Dzięki Bogu, że matka mi przypomniała, bo z tego zmartwienia byłoby mi wyleciało z głowy. Proszę mi ją porządnie zapakować i zostawić u Ryty na portierni. To jest ślubna koszulka mojej wnuczki Malú, tej, co teraz niedawno za mąż wyszła, przypomina sobie matka, jak o tym opowiadałam? W czasie poślubnej podróży rozdarła ją sobie błyskawicznym zamkiem u walizki. Lubiłam przynosić Brygidzie takie różne małe naprawy, zawsze ją to trochę rozerwało i dalej czuła się jakby częścią rodziny.

[1] Misia – ludowy zwrot w odniesieniu do starszej kobiety, zamężnej lub wdowy (przyp. tłum.).

Ej, nie było takiej drugiej jak Brygida do delikatnych robótek. Miała złote ręce...

Misia Raquel oznajmiła, że sama zajmie się całym pogrzebem: urządzi *velorio* w Domu Ćwiczeń Duchowych „Zwiastowanie" w Chimbie, gdzie Brygida spędziła ostatnie swe lata, zamówi uroczystą mszę dla czterdziestu pensjonariuszek przytułku, trzech zakonnic i pięciu sierot, na której również będą obecni jej synowie, synowe i wnuki. Ponieważ miała to być ostatnia msza w tej kaplicy przed odświęceniem jej przez arcybiskupa i zburzeniem Domu, zadecydowano, że odprawi ją ksiądz Azócar. Potem Brygida zostanie pochowana w mauzoleum rodziny Ruiz, tak jak zawsze to jej obiecywano. Niestety mauzoleum było dość zatłoczone. Ale za pomocą paru telefonów misia Raquel zarządziła, by za wszelką cenę zrobić miejsce dla Brygidy. Już dawno obiecała jej, że będzie spoczywała w tym marmurowym grobowcu, i wiara w słowa pani pozwoliła Brygidzie przeżyć pogodnie ostatnie lata: zgasła spokojnie niby płomyczek, że zacytujemy trochę staromodne, ale wzruszające powiedzenie matki Benity. Za jakiś czas niewątpliwie będzie trzeba porobić w mauzoleum porządki, pousuwać szczątki różnych niemowląt (z czasów, kiedy nawet nie znano lekarstw przeciwko dyfterytowi), pewnej mademoiselle zmarłej z dala od swojej rodziny, nieżonatych wujów, których tożsamość już dziś była niemalże nie do ustalenia, i całą tę mieszaninę kości włożyć do jednej urny, nie zabierającej zbyt wiele miejsca.

Wszystko wypadło tak, jak misia Raquel zadecydowała. Pensjonariuszki przez całe popołudnie miały rozrywkę dekorując kaplicę czarnymi zasłonami. Inne starowinki, bardziej zżyte z nieboszczką, umyły ją, uczesały, włożyły jej w usta sztuczne szczęki, ubrały w najlepszą bieliznę i wśród popłakiwania i lamentów, deliberując nad najod-

powiedniejszym strojem, zgodziły się na ciemnoszarą dżersejową sukienkę i różowy szal, ten, co to go Brygida zawsze trzymała w bibułce i zakładała tylko na niedzielę. Naokoło trumny poukładaliśmy wieńce przysłane przez rodzinę Ruiz. Zapaliliśmy gromnice. Jak się ma taką panią jak misia Raquel, to faktycznie opłaca się być w obowiązku. Cóż to za nadzwyczajna osoba! Ale która z nas miała takie szczęście jak Brygida? Żadna. Wystarczy przykład z zeszłego tygodnia, biedna Mercedes Barroso; wóz z opieki społecznej, żeby chociaż czarny, ale i to nie, i tak zabrali biedną Menche. A już faktycznie niełatwo uwierzyć, że musieliśmy po prostu uciąć na patio parę pelargonii, żeby jakoś przyozdobić trumienkę, bo jej państwo, co przez telefon obiecywali biednej Menche złote góry, poczekaj, kochana, poczekaj, miej trochę cierpliwości, tego lata na pewno lepiej się ułoży, nie teraz, ale może potem, jak wrócimy z wakacji, ty przecież nie lubisz jeździć nad morze, pamiętasz, że zawsze obawiałaś się morskiego powietrza, ale jak wrócimy, to zobaczysz, będziesz zachwycona nowym domkiem w ogrodzie, jest tam pokoik nad garażem wprost wymarzony dla ciebie... Więc to całe jej państwo nawet się nie pofatygowało do Domu, kiedy umarła. Biedna Menche! Ta to nie miała szczęścia. A taka była zabawna, nikt tak nie opowiadał świńskich kawałów jak ona. A ile ich znała... Skąd też ona je brała? E, pogrzeb Brygidy to zupełnie co innego. Były prawdziwe wieńce i białe kwiaty, i różne inne, takie jak się należą na pogrzeb, nawet z biletami wizytowymi. Jak tylko przynieśli trumnę, Ryta przesunęła pod spodem ręką, żeby sprawdzić, czy jest gładka, tak jak dawniejsze porządne trumny. Sam widziałem, jak zacisnęła usta i pokiwała głową, że tak, nie można powiedzieć, porządnie wykończona trumienka Brygidy. Nawet i tego dotrzymała

misia Raquel. Nic nas nie rozczarowało, ani karawan zaprzęgnięty w cztery czarne konie w czaprakach i z pióropuszami, ani błyszczące auta rodziny Ruiz stojące rzędem wzdłuż chodnika w oczekiwaniu na wyruszenie konduktu.

Ale kondukt nie może jeszcze wyruszyć. W ostatniej chwili misia Raquel przypomina sobie, że w swojej celce ma rower, wprawdzie trochę zniszczony, ale jak się go naprawi, to będzie doskonały prezent dla ogrodnika na świętego Piotra i Pawła. Słuchaj no, Głuszku, poleć po rower i przywieź go twoim wózeczkiem, to szofer wsunie go z tyłu do kombi; jak już tu jestem, to niech skorzystam z okazji.

– To pani nie ma zamiaru już nas odwiedzać, misiu Raquel?

– Przecież i tak będę musiała przyjechać, jak Inez wróci z Rzymu.

– Miała pani jakieś wiadomości od misi Inez?

– Ani słowa. Ona nie lubi pisać. A teraz, jak jej nie wyszło z tą beatyfikacją, a Hieronim podpisał akt ofiarowania arcybiskupstwu kapelanii Azcoitia, pewno ma nos na kwintę i nawet pocztówek nie wysyła. Jak dłużej posiedzi w Rzymie, to będzie cud, jeżeli zastanie Dom na miejscu.

– Ksiądz Azócar pokazywał im plany Miasteczka Dziecka. Coś przepięknego! Okna, o, takie wielkie... te plany trochę mnie pocieszyły, chociaż mi smutno, że to ostatnia msza w naszej kaplicy.

– Opowiastki księdza Azócara, matko Benito. Niech matka nie będzie naiwna. To rozpolitykowany księżyna, z tych najgorszych. Ten majątek, który Hieronim Azcoitia przepisał na arcybiskupstwo, ma wielką, ale to wielką wartość. Miasteczko Dziecka! O zakład, że po zburzeniu rozparcelują cały teren, żeby go sprzedać, a pieniądze się

rozpłyną. Boże, jakże się grzebie ten Głuszek, a tam Brygida w trumnie czeka na pochówek! Co też on wyrabia? Chociaż Dom jest wielki i długo się idzie przez te różne przejścia i korytarze do celi, gdzie trzymam moją graciarnię, a Głuszek wątlak i chudzina. Ale ja też jestem zmęczona, chciałabym już pogrzebać Brygidę i wracać do siebie, za dużo tego wszystkiego na moje nerwy, tak jakbym chowała całe moje życie, biedna Brygida miała tylko o parę lat więcej ode mnie. Boże kochany, chcąc dotrzymać słowa, odstąpiłam jej moją niszę w mauzoleum, żeby sobie tam zgniła na moim miejscu, żeby mi tam ciepło trzymała, żeby moje zwłoki nie marzły ani się nie bały, jak już po niej zajmę to miejsce, bo ustąpiłam jej moją niszę, ale tylko czasowo – bo to był jedyny sposób, żeby dotrzymać obietnicy. Ma się przecież krewnych, wprawdzie człowiek od lat się z nimi nie wita, ale oni mimo to uważają, że mają prawo leżeć w mauzoleum, ale teraz już się nie boję, że mi ktoś zajmie miejsce, bo ona mi go pilnuje, grzeje je własnym ciałem, tak jak dawniej nieraz grzała mi łóżko butelką z gorącą wodą, kiedy zmordowana rozmaitymi zakupami i bieganiem na prawo i lewo wracałam, żeby wcześniej się położyć. Ale jak umrę, nie da rady – musi ustąpić. Nie bój się, Brygido, wezmę najlepszych adwokatów, żeby wydziedziczyć tych rozmaitych krewniaków, ale wątpię, czy mi się uda, i pewno będziesz musiała się wynieść. Tyle że to już nie będzie moja wina, nie będę za to odpowiedzialna, Brygido; co człowiek wie, co z nim zrobią po śmierci? Nie powiesz mi, że źle się z tobą obeszłam. Wszystko wykonałam według twoich życzeń, ale boję się, że Bóg wie, co zrobią z twoimi kośćmi, wtedy gdy już nikogo nie będą obchodziły... Czy ja wiem, kiedy sama umrę? Chociaż mam dobre zdrowie, tej zimy ani dnia nie leżałam w łóżku,

nawet nie byłam przeziębiona, matko Benito, najmniejszego kataru, nic, a połowa moich wnuków z grypą i córki tylko do mnie dzwoniły, żeby im pomagać, bo nawet służba chora...

– Ma pani szczęście! Nasze wszystkie pensjonariuszki były przeziębione. Cóż, Dom jest bardzo zimny, a węgiel taki drogi...

– No nie, to już szczyt... Tyle gadania o Mieście Dziecka, a wy tu w nędzy. Jak pojadę do majątku, to przyślę wam jakiś datek. Sama nie wiem, co zostało z tegorocznych zbiorów, ale na pewno coś wam przyślę, żebyście pamiętały o biednej Brygidzie. Zmieścił się rower, Genaro?

Szofer siada obok misi Raquel. Już mogą ruszać. Stangret wspina się na karawan, synowa wkłada dziurkowane rękawiczki do prowadzenia, czarne konie denerwują się, łzawią oczy staruszek, które wychodzą na chodnik drżące, kaszlące, poopatulane, chcąc ostatni raz pożegnać kondukt. Zanim misia Raquel da sygnał, by ruszyć, zbliżam się do drzwiczek i podaję paczuszkę.

– A to co?

Czekam.

– Nocna koszulka Malú! Na Boga, gdyby ten mały człowieczek o tym nie pomyślał, znowu bym zapomniała i musiałabym jeszcze raz zawracać. Dziękuję, Głuszku, nie, nie, proszę zaczekać, niech matka każe Głuszkowi zaczekać... Proszę, weź sobie na papieroski, na co ci tam potrzeba. Proszę zatrąbić, Genaro, niech kondukt rusza. A więc do zobaczenia, matko Benito...

– Do widzenia, misiu Raquel.

– Żegnaj, Brygido...

– Do widzenia...

Gdy ostatnie auto znika za zakrętem, wracamy, matka Benita, ja i stare, które rozchodzą się każda w swoją

stronę. Zamykam bramę na klucz i zakładam sztabę. Ryta zamyka oszklone drzwi, które dźwięczą. Jakaś stara guzdrała podnosi białą różę z płyt przy portierni i ziewając, wyczerpana wielką ilością wrażeń, przypina ją sobie do koczka, po czym niknie w korytarzach w poszukiwaniu kumoszek, w pogoni za talerzem cienkiej zupki, za swym szalem, swym łóżkiem.

Na zakręcie korytarza zatrzymały się przed drzwiami, które sam zabiłem na krzyż deskami. Zawczasu obluzowałem gwoździe, ażeby im łatwiej było wyjąć deski i wejść na wyższe piętro. Sieroty wyciągnęły gwoździe, wyjęły deski i pomogły wdrapać się Iris Matelunie. Ojej, trochę się boję, schody nie mają poręczy, brak im stopni, drzewo aż trzeszczy pod ciężarem tego grubasa. Wchodzą powoli, uważając, gdzie należy stąpnąć, by wszystko nie runęło, szukając solidniejszych miejsc, ażeby wtaszczyć Iris na piętro. To już dziesięć lat, jak matka Benita kazała mi pozabijać drzwi, ażeby raz na zawsze zapomnieć o tej części Domu, nie myśleć o szorowaniu jej, porządkowaniu, nie mamy już na to siły, Głuszku, niech lepiej niszczeje, niż się tym zajmować. Aż do chwili, gdy pięć smarkatych, znudzonych ciągłym kręceniem się w kółko, w braku lepszego zajęcia odkryło, że te drzwi wiodą do zamkniętych galerii, na wysokości piętra okrążających patio, wejdźmy, dziewczynki, nie bójcie się, czego się tu bać, przecież jasno, zobaczymy, co tam jest, a niby co ma być, brudy tak jak w całym Domu, ale zabawniej, bo zakazane, a, bo mówią, że to się może zawalić... Eliana przykazuje, żeby cicho, bo jeszcze ktoś zobaczy z dołu, chociaż dziś nie ma niebezpieczeństwa, wszystkie tłoczą się na portierni, żeby pożegnać Brygidę. Ale lepiej się nie narażać, matka

Benita chodzi zła, że aż, chociaż raz zróbcie coś pożytecznego, co za nieznośne smarkate, pozbierajcie to, pomóżcie pomyć tę górę łyżek i talerzy, przecież wszystko trzeba poczyścić, teraz, jak ma być licytacja, poskładajcie serwety, policzcie, pozamiatajcie, bierzcie się do prania, upierzcie chociaż własną bieliznę, chodzicie jak świnki, proszę mi nie spędzać czasu na głupich zabawach, ćć, dziewczynki, ćć... cicho, uwaga, bo nas ukarzą...

Okrążają jedno patio, potem drugie, aż dochodzą do drzwi, które Eliana popycha: pokój, a w nim dwadzieścia żelaznych, pordzewiałych łóżeczek, niektóre poskładane, inne kulawe, bez kółeczek u nóg, inne z połatanymi drutem siatkami, stoją w dwóch rzędach pod ścianami jak w internacie. Dwa identyczne okna: wąskie, wysokie, w głębokich wnękach, z szybkami pomalowanymi na czekoladowo do wysokości człowieka, ażeby nikt nie widział, co jest na zewnątrz prócz tych wielkich chmur, pilnowanych przez siatkę i metalowe pręty. Gwoździe, którymi zabiłem te okna, też obluzowałem. Sieroty już umieją je otwierać i otwarły je w sam czas, by pożegnać karawan Brygidy ciągniony przez cztery konie w pióropuszach, za którymi jedzie dziewięć samochodów, mówi Eliana, nie, osiem, mówi Mirella, nie, dziewięć, osiem, dziewięć, a kiedy kondukt niknie, chłopaki z sąsiedztwa z powrotem zalewają ulicę, by ganiać za piłką. Dobra. Ricardo! Podaj, Mito! Leć, lećże, Lucho, podaj, teraz, wybij, no już, już, goool, przenikliwy pisk, którym Mirella czci gola swych przyjaciół, klaszcze i macha do nich rękami.

Iris, senna, leży w głębi sypialni rozwalona na materacu. Ziewa, przegląda jakiś magazyn ilustrowany. Sieroty robią miny do przechodniów, krzyczą do swoich przyjaciół, siadają na parapetach, pękają ze śmiechu z jakiejś prze-

chodzącej pani, ziewają. Kiedy zaczyna się ściemniać, Iris woła Elianę.

– Czego chcesz?

– Obiecałaś, że mi poczytasz o psie Pluto i marynarzu Popaju.

– Ale. Jeszcze mi jesteś winna za tamte czytania.

– Dziś w nocy spotkam się z Olbrzymem na kiziołki, to jutro ci zapłacę.

– To jutro ci poczytam.

Eliana znowu zawisa na kratach w oknie. Na ulicy zapalają się latarnie. W domu naprzeciwko jakaś kobieta otwiera balkon. Czesze włosy, długie i bardzo czarne, patrząc na ulicę otwiera radio, rat-tat-tata-tat-tat-tatat, przeraźliwe synkopy gitar elektrycznych i nosowe głosy napełniają sypialnię, podnoszą z materaca Iris, która staje między dwoma rzędami łóżek, słyszy babalu babalu ay, zatańcz nam trochę, Gina, podniecają ją sieroty, no hajda, zatańcz, Iris ruchem klaczy potrząsa falą swej długiej grzywy i kołysząc się z boku na bok posuwa się między łóżkami, z wyrazem ekstazy w półprzymkniętych oczach na wzór artystek z *novelas*[1], już się nie lenię, już nie ziewam, chcę tańczyć jak ta aktorka, która nazywa się Gina i która mieszka w klasztorze złych sióstr, czytała mi o tym Eliana w „Corín Tellado". Iris zatrzymuje się. Grzebie po kieszeniach. Wyciąga cyklamenową pomadkę do ust i maluje sobie wargi: jej dziecinna buzia zmienia się w surowe mięso po pomalowaniu tą ohydną ciemną kredką, no dalej, Gina, miałaś przecież tańczyć, tańczże, Gina, więc zaczyna tańczyć pomiędzy dwoma rzędami łóżeczek, kręć biodrami, ruszaj się, ruszaj jeszcze, jeszcze, jeszcze,

[1] Novelas – tak nazywa się najgorszy rodzaj literatury: powieści rysunkowe, romanse brukowe itp. (przyp. tłum.).

jeszcze, jeszcze... Na parapecie Eliana ustawia właśnie i zapala dwie gromnice, które buchnęła z katafalku Brygidy: ona może tylko pomagać w zabawie, to smarkata jeszcze, chłopaki z dołu nie ją wołają, ale Iris, ona nie ma jeszcze co pokazywać, ani piersi, ani ud. Kieruje pozostałe sieroty do drugiego okna i pomaga Iris wdrapać się na parapet.

– Popatrz, Gina, przyszedł Olbrzym.

– Krzyknij mu, że zejdę, jak stare pójdą spać.

– Chłopaki chcą, żebyś dla nich tańczyła.

Zostaje sama w oświetlonym oknie. Przegina się w biodrach. Wypina pierś, obciąga na sobie sweter, pieszczotliwym ruchem głaszcząc całe ciało, wreszcie podciąga spódniczkę, by pokazać ruchomą masę ud, drugą ręką podnosi włosy na karku, równocześnie wysuwając usta, jakby całowała kogoś w zapamiętaniu. Grupa zebrana pod latarnią bije jej brawo z ulicy. Kobieta, która czesze się w oknie naprzeciwko, nastawia głośniej radio i oparłszy się o parapet patrzy. Iris zaczyna powoli, najpierw tylko pociera jedno udo o drugie, potem cała już drga w rytm oszalałego babalu, z włosami rozrzuconymi kręci się w kółko, ręce wyciągnięte, dłonie otwarte, jakby czegoś czy kogoś szukały, i znowu w kółko, i znowu, i znowu, przegibując się, przeciągając się, najpierw przechyla głowę do tyłu, potem przerzuca ją wraz z całą masą włosów do przodu, wiruje, całkowicie porwana rytmem rocka czy rolla, czy bo ja wiem tam czego, byle tylko tańczyć i pokazywać uda i brudne majtki, i kołyszące się piersi, i gorący język, który także czegoś szuka, byle tańcować na parapecie i żeby jej klaskali, a ludzie na ulicy pokazywali, że im się podoba, żeby wołali dalej, Gina, nie każ się prosić, ruszaj no ładnie tymi cycusiami i niech ci się trzęsie tyłek, i niech się spali cały ten Dom i my razem z nim. I Olbrzym ze swoim olbrzymim kartonowym łbem

wyłazi na środek ulicy, jakby tańczył z Iris, Iris wygina się, porusza biodrami i kręci się, i wierci, i popiskuje tam na górze w swej oświetlonej gromnicami klatce, uwieszonej na ścianie Domu, niby oszalała Matka Boska w swojej wnęce. Olbrzym staje na przeciwległym chodniku i woła do niej: Gina, Gina, zejdź na kiziołki, e, lepiej ty krzyknij do niej, nie słyszy mnie przez tę śmierdzącą tekturę.

– Masz zejść, Gina!

– Ty, Eliana, zapytaj Olbrzyma, jaki mi dzisiaj przyniósł prezent, jak nie, to nie schodzę.

– Forsy, mówi, nie, ale ma pięć numerów „Corín Tellado" i pomadkę, nie nową, ale całkiem fajną, w złotej oprawce.

– W złoconej, złote drogie jak nie wiem co.

– Świństw nie przyjmuj, Iris. Nie bądź głupia. Niech ci da forsy, musisz mi zapłacić za czytanie.

– Mam to w nosie. Jak ty mi nie będziesz czytała, to mi poczyta Mirella.

– Ale ty lubisz, jak ja czytam, bo opowiadam ci całą historię i tłumaczę ci, a ty inaczej nic nie rozumiesz. Mam cię w ręku, Iris Mateluno, bo jak ci nie będę czytała i tłumaczyła historii z „Corín Tellado" i Kaczorka Donalda, pękniesz z nudów w tym zasranym Domu.

Chwyta się za pręty, żeby na niego popatrzeć. To on, z tymi okrągłymi, wielkimi jak talerze oczami, z tym wiecznym uśmiechem, bo nigdy się nie złości, on jest poczciwy i ładnie nam idą te kiziołki, i mówi do mnie Gina, i ma takie śmieszne brwi, które razem ze zmarszczkami na czole podtrzymują ten jego komiczny kapelusik... to on, ożeni się ze mną, bo mu się podoba, jak mu robię kiziołki, i będzie mnie zawsze zabierał na filmy, gdzie artystki ruszają się i mówią, i obejdzie się bez tej nudziary Eliany. Olbrzym zabierze mnie do któregoś z tych nowych

bloków tam w centrum, żebym tańczyła na konkursie i żebym dostała pierwszą nagrodę, oni tam dają różne szminki i kosmetyki tej, co najlepiej tańczyła, a potem jej zdjęcie wychodzi we wszystkich *novelas* i ta idiotka Eliana, i siostra Ryta, i Głuszek, i matka Benita, i dziewczyny, i wszystkie staruchy, wszyscy zobaczą moje zdjęcie w *novelas*, jak wyjdzie.

– No to czym mi zapłacisz, jak Olbrzym nie da ci dziś forsy?

Iris wzrusza ramionami.

– Bo musisz mi zapłacić przed ślubem, jak nie, to ci naślę żandarmów, tych, co zamknęli twojego tatę, i oni od ciebie odbiorą, a jak nie zapłacisz, to i ciebie zamkną. Daj dwa numery „Corín Tellado" i tę pomadkę, co on ci dziś przyniósł, to będziemy kwita.

– Za kogo mnie masz? Jeden numer, parę razy pozwolę ci się odmachnąć pomadką i szlus.

– Niech ci będzie. Ale jak ci się skończy pomadka, to mi dasz oprawkę.

– Niech ci będzie.

Matka Benita przez chwilę stoi na portierni bez ruchu, ręce złożone i oczy zamknięte. Ryta i ja czekamy, żeby się poruszyła, żeby otworzyła oczy, a ona otwiera je i porusza się, kiwa na mnie, żebym szedł za nią, jakbym był jakimś niedorozwiniętym dzieckiem, ciągnącym za sobą zabawkę. Wiem zresztą, po co mam iść za nią. Proszę jej rzeczy rozdzielić między przyjaciółki, powiedziała misia Raquel, nie, między koleżanki, tak się wyraziła, jakby to była szkoła i pensjonarki, ja nie mam ochoty wchodzić do pokoju Brygidy, na Boga, matko, nie chcę tam wchodzić ani nic sprawdzać, ani niczego oglądać, przecież tam nie może być żadnych wartościowych przedmiotów, niech

matka zrobi z tymi rzeczami, co uważa, matko Benito, niech je matka rozdaruje, te biedne staruszki będą zadowolone, jak będą miały jakąś pamiątkę po Brygidzie, którą tak wszyscy w Domu kochali.

Więc idę za nią po korytarzach i ciągnę za sobą platformę na czterech kółkach, na którą wkładam miotły, kubełki, piórka, ścierki. Na kuchennym patio stare otoczyły matkę Anzelmę, która w głębi obiera kartofle... ładny był pogrzeb Brygidy... Misia Raquel miała płaszczyk skrojony na princeskę, podobno znowu są modne... ale ci stangret miał wąsy, właściwie to stangret, co powozi karawanem, nie powinien być wąsaty, to jakby brak szacunku... temat na długie tygodnie; inna grupa kobiet już zapomniała i o pogrzebie, i o Brygidzie, grając w bezika na skrzynce po cukrze. Uwaga, schodek, matko, to schodek, a nie cień, i już jesteśmy na następnym patio, ale to nie to, na którym mieszkała Brygida, trzeba jeszcze iść przez różne korytarze, przez jeden pusty pokój, drugi pusty pokój, potem jeszcze kilka drzwi otwartych, zamkniętych, to zresztą wszystko jedno, czy są otwarte, czy zamknięte, jeszcze jakieś pokoje, przez które musimy przejść, szyby zakurzone lub pobite, cień przylepiony do wyschniętych murów, gdzie kury dziobią starą glinkę szukając ziarna. Następne patio. Patio pralniowe, w którym już się nie pierze, patio zakonnic, na którym już nie mieszkają zakonnice, bo teraz ogółem jest ich trzy, patio palmowe, patio lipowe, patio bez nazwy, patio Ernestyny Gómez, patio refektarzowe, którego się nie używa, bo stare wolą jadać w kuchni, niezliczone patia i podwóreczka połączone nie kończącymi się korytarzami, pokoje, których już nigdy nie będzie się sprzątało, chociaż do niedawna jeszcze mówiłaś, że tak, tak, Głuszku, weźmiemy miotły i piórka, i ścierki, i kubły mydlin i któregoś dnia, jak będziemy

mieli czas, wszystko to się wysprząta, bo tak tu brudno, że strach. Uwaga, matko, ja ci pomogę, musimy obejść dookoła te gruzy, może lepiej tam, tym korytarzem, który kończy się nowym patiem, tyle że na innym poziomie, przeznaczonym na jakieś inne, dawno zapomniane funkcje, skąd otwierają się drzwi do zapomnianych pokoi, gdzie pajęczyny tłumią dźwięki, i na galerie, gdzie przetrwały echa istnień, które nie pozostawiły śladu, i tylko myszy, szczury i gołębie gonią się nawzajem po ruinach tych murów, których nie zburzono do końca.

Wyprzedzam matkę Benitę. Zatrzymuję się obok budek skleconych z blachy, z desek, z kartonu, czarnych, jakby zbudowanych z tych zbyt długo używanych kart, którymi stare grają w swoje odwieczne gry. Tyle razy matka chciała przekonać stare, żeby zamieszkały w pokojach! Są przecież setki pokoi, dużych, pustych, w doskonałym stanie, wybierzcie sobie, na które macie ochotę i przy którym patio chcecie, a już my z Głuszkiem zajmiemy się tym, żeby było wygodnie, nie, matko, my się boimy, są za duże, za wysokie i mają za grube mury, i pewno wiele osób umarło i wiele modliło się w tych pokojach, więc nas bierze strach, i są wilgotne, to szkodzi na reumatyzm, są ciemne i takie wielkie, tyle miejsca, a my nie jesteśmy przyzwyczajone, żeby było dużo miejsca, my jesteśmy służące i znamy pokoiki służbowe, zawsze malutkie, zagracone, na tyłach domów, nie, nie, matko Benito, bardzo dziękujemy, ale wolimy nasze nietrwałe klitki przylepione do galerii, chcemy być jak najbliżej siebie i słyszeć z sąsiedniej klitki oddech, i czuć zapach parzonej herbaty, i słyszeć, jak podobne do mojego ciało przewraca się bezsennie na łóżku za ścianką, i kaszel, i pierdzenie, i chrząkanie, i koszmary, co nam tam zimno przedostające się przez szpary między deskami, za to jesteśmy razem,

wbrew zazdrości i zawiści, wbrew strachowi ściągającemu nasze bezzębne usta, mrużące nasze kaprawe oczy, i wieczorem możemy całą bandą iść do kaplicy, bo samej to strach, a tak jedna trzyma się gałganów drugiej i hajda przez patia, przez korytarze, przez przejścia niby tunele, które nigdy się nie kończą, przez ciemne galerie, gdzie nagle jakaś ćma otrze mi się o twarz i zacznę piszczeć, bo się zlękłam, bo nie lubię, jak coś nieznanego dotyka mnie w ciemnościach, lepiej razem przeganiać cienie, które odrywają się od belek i wydłużają w naszych oczach, gdy tylko zaczyna się ściemniać. O, idzie ta stara kłótnica, co sobie węglem robi brwi. A tu idzie Amalia, dobry wieczór, Amalio, nie smuć no się, zaczekaj tu na mnie chwilę, bo chciałam z tobą porozmawiać, jak tylko skończymy porządki w klitce Brygidy, nie, nie, dziękuję, Głuszek mi pomoże tak jak zawsze, o, popatrz, właśnie otwiera kłódkę. I Rosa Pérez, która byłaby w stanie poróżnić całe patio swoimi plotami. Dobry wieczór, Carmelo, tak, na pewno do ciebie przyjdą, poczekajże jeszcze, kobieto, dziesięć lat czekasz i nikt nie przyjeżdża, mówią, że Rafaelito wynajął dom, w którym ma o jeden pokój za dużo, te włoski, co tu je trzymam, to właśnie jego, jak był mały, a ja go chowałam, takie jasne jak włoski kukurydzy, i bez żadnego rumianku, jak to czasem się zdarza, sam z siebie miał takie włoski, zanim mu pociemniały, szkoda, że teraz jest łysy, bo mówią, że wyłysiał, dzwoniłam do niego parę dni temu, ale ta jego nowa żona, bo teraz ma nową żonę, powiedziała, niech Carmela zadzwoni innego dnia, niech Carmela poczeka, ale Carmela czeka na to, na co wszystkie czekają z rękami założonymi na podołkach, nieruchomo wpatrzone przez gruzełki, które tworzą im się w oczach, wpatrzone w to, co nadchodzi i rośnie, z początku przesłania tylko trochę światła, a potem coraz więcej, a potem już całe,

całe, całe nagłe ciemności, w których nie można nawet krzyczeć, bo w ciemnościach nie można wydobyć głosu, by wołać na pomoc, i człowiek tonie i ginie w niespodziewanych ciemnościach jakieś nocy, jak przedwczoraj utonęła Brygida. A podczas gdy czekają, stare trochę zamiatają, tak jakby zamiatały całe życie, albo cerują, albo piorą, albo obierają kartofle, albo co tam innego jest do obrania czy uprania, byle tylko nie wymagało dużo siły, bo sił to im brak, każdy dzień taki jak inne, powtarzające się ranki, identyczne południa, odpoczywają na słoneczku siedząc na kamieniu, spędzają muchy, które poją się ich śliną, żywią ich krostami, z łokciami wbitymi w kolana, z twarzą w rękach, zmęczone czekaniem na tę chwilę, na którą nieświadomie czekają, tak jak całe życie czekały na innych patiach, pod innymi kolumnami, za szybami innych okien, albo dla rozrywki ścinają czerwone pelargonie, by przybrać skrzynię z surowego drzewa, w której zabrali Mercedes Barroso, żeby biedna Menche nie pojechała tak bez żadnego kwiatka, niechby już chociaż te zakurzone pelargonie, Boże, jaka była zabawna, kiedy tańcowała te różne tańce, których ją nauczyła Iris Mateluna, rock i inne, sieroty, a nawet nieraz i my wybijałyśmy rytm klaskaniem, żeby razem tańczyły, Iris i Menche... biedna Menche... pewno z tej tuszy zmarło jej się, naszej Mercedes Barroso, w taki samiuteńki wieczór jak ten, co się właśnie zaczyna.

Trochę się usunę, to matka wejdzie. Toaletka z lustrem i żelazne łóżeczko ledwie się tu mieszczą. Prześcieradła są tak mało wygniecione, że trudno się domyślić, że jakaś kobieta skonała na nich czterdzieści osiem godzin wcześniej. Tu Brygida trwa dalej. Ta mała przestrzeń zachowuje ją nadal przy życiu, podczas gdy ciało jej zaczynają toczyć robaki: ten specyficzny porządek, te przedmioty, których

używała zależnie od swoich upodobań lub manii, to dążenie do elegancji, popatrz tylko, matko Benito, jak sobie ułożyła palemki wielkanocne, zatknęła je za obrazek przedstawiający Zwiastowanie, jak sobie okleiła papierem od wielkanocnego prezenciku butelkę po coca-coli, która zastępowała jej wazon. Fotografie rodziny Ruiz. Święci. Jej staranne ręce umiały naprawić hafty na ornatach, które ksiądz Azócar pozabierał twierdząc, że pochodzą z osiemnastego wieku i że mają zbyt dużą wartość, żeby tu się marnowały, jedyne, co tu miało jakąś wartość, matko Benito, cała reszta to śmiecie, nie do wiary, że oligarchii tego kraju nie udało się zgromadzić tu niczego więcej prócz brudów. A na toaletce, dotknij tylko czubkami palców nie poruszając przedmiotów, równiutki rządek uformowany przez naparstek, szpilki na poduszeczce, pilnik, nożyczki, szczypce, polissoir do paznokci, wszystko ułożone porządnie na serwetce białej, czyściutkiej, wykrochmalonej: matko, ty i ja przyszliśmy tu poćwiartować żywą Brygidę, pokawałkować ją, spalić, rozrzucić na cztery wiatry, zniszczyć tę Brygidę, która chciała przetrwać w porządku swoich drobiazgów. Zetrzeć po niej wszelki ślad po to, by jutro lub pojutrze przysłali nam inną starowinę, która zacznie znaczyć to miejsce na swój sposób, zaledwie odrobinę inny, ale jej własny, nie do pomylenia, który znów zmiecie agonia. Zastąpi Brygidę, tak jak Brygida zastąpiła... już nie pamiętam, jak się nazywała ta cicha staruszka o zdeformowanych rękach, która tu mieszkała przed Brygidą...

Wiadomość, że matka Benita już się zabrała do porządkowania norki po Brygidzie, obiega cały dom. Przybiegają popatrzeć stare z innych patiów. Matka Benita nie popiera żebrówek, dlatego też z początku nawet nie podchodzą: krążą w milczeniu albo, szepcząc coś

cicho, tam i z powrotem przechadzają się przed drzwiami, przysuwają się powoli, coraz bliżej i bliżej. Czasami któraś ośmieli się zatrzymać na chwilę: uśmiecha się do ciebie anielsko, do mnie porozumiewawczo, a ja jej odsyłam znaczące mrugnięcie Głuszka. Coraz wolniej przechadzają się przed drzwiami, tak powoli, że wreszcie już stoją, przyklejone niby muchy do kropli syropu, zaczerniają wejście szepczące, niezdarne, pełne okrzyków, aż każesz mi je wygonić, matko, niech sobie idą, Głuszku, idźcież, na litość boską, nie przeszkadzajcie nam pracować, potem was zawołamy. Więc oddalają się trochę, siadają na brzegu korytarza u stóp kolumn, niespokojne ręce złożone na spódnicach, popatrz na atłasowy niebieski piernacik Brygidy, podobno prawdziwe pierze, komu też go dadzą, ja myślę, że co lepsze rzeczy zabierze misia Raquel do siebie, popatrz, jakie radio, Zunilda, zakład, że dadzą je na licytację, bo radia są drogie, oj, chciałabym mieć takie radio, jak miała Brygida, w niedzielę leżała sobie na łóżku i słuchała śpiewanej mszy z katedry, ja też bym posłuchała sobie w łóżku mszy, kiedy nieraz tak w niedzielę zimno. A ten czarny szal, spójrz tylko, Klemencjo, to jest ten czarny szal, o którym ci mówiłam parę dni temu, nie widzisz, ten, co jej podarowała panienka Malú na urodziny, ale ona nigdy go nie założyła, nie wiedziałaś, że Brygida nie lubiła nosić czarnego? Z pewnością nie jest nowy.

Matko, w prześcieradła nieboszczki zawijasz plamy i zapachy agonii, której nikt nie był świadkiem: do prania. Ja podnoszę oba materace i wyrzucam na korytarz, żeby się wywietrzyły. Ty zrywasz drelich, który osłania materace przed rdzą siatki: klatka z drutu, wewnątrz której czają się zwierzęta grube, płaskie, długie, miękkie, kwadratowe, nieforemne, tuziny, setki paczuszek powiązanych sznur-

kiem, kartonowe pudełka, kłębki sznurków i wełny, pęknięta mydelniczka, bucik od pary, butelka, połamany abażur, malinowy czepek kąpielowy, ciche, zmechacone od miękkiego pyłu kryjącego wszystko cienką warstewką, którą najlżejszy ruch – oddech, poruszanie rzęsami – mógłby rozwiać po pokoju, dusząc nas i oślepiając, a wtedy zwierzęta, które chowają się pod kupką gałganków, plikami starych pism, szkieletów parasolek, pokrywek od pudełek, potłuczonych pokrywek, zmobilizują się przeciw nam. Coraz więcej paczek pod łóżkiem, spójrz tylko, matko Benito, są i pod toaletką, i za przepierzeniem, i w kącie za firanką, wszystkie zaczajone, ukryte tuż za linią, do której dochodzi wzrok.

Nie stój tak, matko, z opuszczonymi rękami. Czyż nie znasz tej Brygidy, dla której nie było rzeczy niepotrzebnych? Czy może dziwi cię ta Brygida? Och, matko, ty o tym nie wiesz, ale w tej staruszce było więcej zakamarków niż w całym Domu: poduszeczka do szpilek, nożyczki, polissoir, szare nici, wszystko dla oczu ludzkich pięknie poukładane na białej wykrochmalonej serwetce. Bardzo wzruszające. I teraz nagle stanęłaś twarzą w twarz z tą inną Brygidą, z nieoficjalną, nie z tą, która wystawiała się na wykrochmalowym lauferku, nie z tą po królewsku pogrzebaną, królową pensjonariuszek przytułku, która z pozycji swych haftowanych prześcieradeł, zręcznych rąk i dobrotliwych oczu rządziła za pomocą półsłówek, rozkazywała jednym westchnieniem, jednym jękiem, zmieniała losy jednym ruchem małego paluszka, nie, tej ty nie znałaś, tej nie mogłaś nawet podejrzewać, spojrzenie matki Benity nie wchodzi pod łóżka ani nie grzebie po kątach, lepiej współczuć, pomagać, stać na uboczu, nawet jeśli to miałoby oznaczać zabijanie się pracą, tak jak ty zabijasz się, matko, od tylu lat, pośród tych starych zgrzybiałych

staruszek, w tym przeklętym Domu, otoczona debilkami, chorymi, nędzarkami, porzuconymi, katami i ofiarami, które mylą się i skarżą, i marzną, i głodują i którym rozpaczliwie chcesz pomóc, a które doprowadzają cię do rozpaczy anarchią swej starości wszystkim rządzącej, nieszczęsne starowiny, przecież trzeba im pomóc, tak, zabijasz się, matko, żeby nie poznać podszewki Brygidy.

Wzdychasz pochylając się, by wyciągnąć spod materaca jakiś kwadratowy pakunek w cienkim papierze owiązany sznurkiem. Wycieram go szmatą i oboje łapiemy się za nosy, bo pokoiczek wypełnia się fruwającymi „kotami" z kurzu. Ty zaczynasz rozwijać pakunek. Karton z takich, na jakich dawniej naklejało się portretowe fotografie z wypukłymi girlandami i podpisem fotografa wykaligrafowanym złotymi literami w rogu – tyle że bez zdjęcia. Wynoszę papier i pudło na środek podwórza i składam na kupkę, którą potem się spali. Stare już nadbiegają z zamiarem, żeby w niej pogrzebać i zabrać, co się uda, chociaż co tam można znaleźć – niewiele, nic, nic. Pewno, że to dopiero początek. A będzie tego więcej. Bo Brygida była bogata. Milionerka, mówią. Trzeba po prostu chwilę poczekać. Stare pilnują nas chodząc lub też stojąc w galerii.

Wszystko, co znajdziesz, jest poobwiązywane, popakowane, pozawijane w coś, w coś wetknięte, gałgany omotane innymi gałganami, poszczerbione przedmioty, które pękają od dotknięcia, uszko filiżaneczki do czarnej kawy, złoty galonik ze wstążki od pierwszej komunii, rzeczy przechowywane wyłącznie z miłości do przechowywania, niewyrzucania, obwijania, zawiązywania, statyczne zaludnianie miejsca czymś, co nie zdradzi ci swoich sekretów, matko Benito, bo byłoby zbyt okrutne, gdybyś musiała znosić świadomość, że i ty, i ja, i żywe staruszki, i umarłe staruszki, i my wszyscy pozawijani jesteśmy w te paczki

i pakunki, w których ty chcesz znaleźć jakiś sens, bo szanujesz istotę ludzką, i jeżeli biedna Brygida porobiła tyle paczek, myśli matka Benita, chroniąc się w sentymentalizm, było to jakby wzniesieniem sztandaru z okrzykiem – chcę przetrwać, chcę ocalić, chcę uratować, chcę przeżyć. Zapewniam cię, matko, że złożone były sposoby, którymi pragnęła sobie zapewnić przeżycie: paczuszki... tak, wszystkie stare robią paczuszki i pchają je potem pod łóżka.

Otwórzmy paczuszki, Głuszku, a nuż znajdzie się w którejś coś wartościowego, ważnego, coś, co... nie jest w stanie skończyć zdania, bo obawia się, że zabraknie w nim sensu, i zamiast tego zaczyna rozwiązywać supły, odwijać szmaty, otwierać pudła i torebki z myślą, że znajdzie w nich przedmiot, który warto ocalić. Nie, same śmiecie. Gałgany i jeszcze raz gałgany. Papierzyska. Kawałek beżowej waty, pamiątka po jakiejś starej ranie. Tłumoczek za tłumoczkiem. Nie widzisz, matko Benito, że jedyną rzeczą ważną jest samo opakowanie? Że to, co się owija, nie ma najmniejszego znaczenia? Coraz więcej śmieci zbiera się na kupce na patio. Rój starych, które w nim grzebią, brzęczy, kłócą się o jakiś koreczek, o gruszeczkę z brązu, o guziczki przechowywane w pudełku od herbaty, o starą podeszwę, o nakrętkę od ołówka. Czasem, jak się sprząta po jakiejś zmarłej staruszce, pośród jej gratów widzi się coś już znanego: na przykład to czarne drewniane kółeczko od firanek to przecież to samo, które wyrzuciliśmy do śmieci po śmierci Mercedes Barroso, która miała je z takiego samego źródła – łup po jakiejś innej nieboszczce, która z kolei wzięła je po jeszcze innej, i tak bez końca.

Stara bez zębów, która przedtem do mnie mrugała, teraz przymierza malinowy czepek kąpielowy kręcąc biodrami, a inne ją oklaskują. Dora pruje to, co pozostało

z jakiejś zjedzonej przez mole kamizelki. Zwija w kłębek zmechaconą wełnę, dowiązując po kawałeczku, by potem uprać ją i zrobić kaftaniczek dla dziecka, które ma się urodzić. Ta paczka? Robisz się napięta, niecierpliwa, widocznie w tej paczce mamy znaleźć klucz do tego, co Brygida chciała powiedzieć. Ta? Chcesz, bym ją otworzył? Proszę, matko. Tak, Głuszku, ale odwiń ją delikatnie, z szacunkiem, bo Brygida zawijała ją po to, żebym zrozumiała, nie, matko Benito, nie, nie oszukuj się, tę paczkę, tak jak wszystkie inne, Brygida zrobiła ze strachu. Była królową, katem, dyktatorem, sędzią, ale opakowywała przedmioty i owiązywała sznurkami tak jak inne stare. Wiem, że ty modlisz się, by w tej paczce znaleźć nie te same odpadki, co w innych. Powoli odwijasz brązowy papier i wyrzucasz go. Pod nim ukazuje się inny, delikatniejszy, marszczony, drzesz go, upuszczasz na ziemię. Po co dalej odwijasz, niszczysz opakowania, teraz to z bibułki, pod spodem jeszcze z gazety – to Roosevelt, a tu Stalin uśmiechający się z pokładu jakiegoś statku – skoro i tak wiesz, że nie znajdziesz nic? To ta ciemnoszara poduszeczka do wypychania ramion wypełniała sobą paczkę nadając jej ciężar i miękkość. Szarpiesz ją nerwowo, wyrzucasz watę, ale w środku zostaje maleńkie twarde zawiniątko, które teraz trzymasz dwoma palcami, odrywasz zleżałe płótno, ściskasz, ależ tak, Boże mój, tam jest coś w środku, coś twardego, określonego, jakaś rzecz, której ostrożnie dotykam. Twoje palce niezdarnie odwijają szmatkę: kulka cynfolii. Rozdzierasz ją, rozdrapujesz, srebrny papier łuszczy się na drżącej, wyciągniętej dłoni. Już mam zdmuchnąć te łuski, żeby przestały istnieć, lecz twoja ręka w ostatniej chwili zwija się w pięść, skrywając je przed moim oddechem; twoje palce w ciągu sekundy odtwarzają kulkę. Zaokrąglasz ją, ściskasz, wyrabiasz, nieudacznymi,

pełnymi niepokoju ruchami. Spoglądasz na nią, na mnie, niejako zachęcając, bym uznał wraz z tobą to, co znowu stworzyłaś. Ruszasz ku drzwiom. Stare zatrzymują się, milkną: ich oczy śledzą ruch twego ramienia, a potem łuk spadającej kulki. Biegną, by rzucić się na kupę śmieci w poszukiwaniu czegoś srebrzystego, co przecięło powietrze. Bez wątpienia odnajdziemy tę kulkę w rupieciach po innej zmarłej.

Czemu, matko, zakrywasz twarz rękami? Uciekasz przez przejścia, przez korytarze, przez galerie, przez patia, przez klauzury, stare lecą za tobą, o coś cię proszą ich gruzełkowate twarze, ich błagające kaprawe oczy, ich głosy, zduszone przez szaliki zasłaniające usta w obronie przed wyimaginowanym zimnem, wyimaginowanymi zarazkami, głosy schrypłe od przepalenia, od picia zbyt wielkich ilości wrzącej herbaty, aby rozgrzać skostniałe ciało, ręce wyciągnięte, by dotknąć twego habitu, aby cię zatrzymać, pociągnąć za drelichowy fartuch, za rękaw, niech matka nie odchodzi, ja chciałabym to łóżko, a ja jej okulary, czasami pożyczała mi je, bo ja nie mam swoich, a nieraz lubię zajrzeć do starej gazetki, a mnie kocyk, tak marznę w nocy, nawet w lecie, ja byłam jej przyjaciółką, mnie kochała bardziej, ja byłam jej sąsiadką z prawej, a ja z lewej, ja jej obcinałam paznokcie, czasami nawet i paznokcie u nóg, i odciski, bo za młodu byłam manikiurzystką, ale mnie wolała od Amalii, bo Amalia darła z niej za pranie bielizny, szczypce zdrewniałych paluchów ściskają mnie za ramię, pomarszczone twarze czegoś żądają, doprawdy nie wiem czego, ja jestem wdową, te małe nożyczki to moje, niech matka spojrzy na włoski Rafaelita, matko Benito, jakie to smutne, że mój dzieciaczek jest teraz łysy, a nawet podobno i gruby, parę dni temu pożyczyłam jej igłę, a ja szydełko, a ja parę guzików. Te suche ręce mają

więcej sił niż moje, palce, które rosną niby gałęzie, by mnie zatrzymać, ich prośby i litanie obezwładniają mnie, dla mnie, dla mnie, matko Benito, ja chcę, ja potrzebuję, dlaczego nie miałaby mi matka dać herbatki, która została po Brygidzie, ja jestem taka biedna, nie, nie jej, mnie, niech matka to da mnie, o niej mówią, że jest złodziejką, niech matka uważa na rzeczy, bo jak nic może je ukraść, niech to matka da mnie, nie, mnie. Stare o głosach miękkich jak „koty" z kurzu, stare podniecone przez potrzebę albo chciwość, połamane paznokcie, potworne szmaty, które wiszą na ich ciałach, ciała śmierdzące starością popychają mnie do tych drzwi o potłuczonych szybkach, klucz, otwieram, wychodzę, zamykam. Przekręcam klucz od zewnątrz. Wyciągam go i wkładam do kieszeni fartucha. Wreszcie, mój Boże! Zostały tam, uwięzione za drzwiami, gdzie jest tyle kurzu. Przez dziury po wybitych szybach wystawiają swe ręce, swe powykrzywiane twarze... gaśnie hałas ich błagalnych głosów.

# 2

Po dwie, po kilka staruszki opuszczają kuchnię nie jakby szły spać, a jakby wtapiały się w ciemność. W kuchni pełnej marmurowych ław, upapranych resztkami jedzenia stołów, gór garnków – pomników tłuszczu i sadzy tkwiących w pozatykanych zlewach – głosy niby żar w piecu powoli gasną, w miarę mijania godzin i minut, które nie mijają.

Zazwyczaj ostatnia wychodziła grupka sześciu, wraz z Brygidą siadających najbliżej ciepła kuchennego pieca, przyjaciółki, które – jak zauważyłem – zawsze kręciły się w pobliżu Iris Mateluny dając jej słodycze i pisma, zabawiając ją w piętrzenie na jej głowie ekstrawaganckich koafiur niby na głowie lalki. Ja również siadałem przy tym stole, tyle że trochę z boku. Nie kończące się mruczenie ich głosów usypiało mnie i po ostatnim łyku herbaty głowa opadała mi na złożone na stole ręce. Słyszałem ich rozmaite uwagi: któraś skaleczyła się w nogę kamykiem, Brygida donosiła, że misia Raquel dostała z Rzymu pocztówkę od misi Inez, jakieś po sto razy powtarzane zagadki, jakaś opowiastka, aby zabawić Iris siedzącą na kolanach Ryty, która okrywała ją swym szalem.

Tej nocy któraś z nich, nawet nie pamiętam która, znowu zaczyna tę sławną historię:

Dawno, dawno temu był sobie pewien wielki pan, pobożny i bogaty, dziedzic wielkich terenów w całym

kraju, gór na północy, lasów na południu, *rulos*[1] na wybrzeżu, ale głównie bogatych, nawodnionych terenów ograniczonych od północy rzeką Maule, niedaleko San Javier, Cauquenes i Villa Alegre, gdzie uważano go za kacyka. Toteż gdy nastały ciężkie czasy, lata złych zbiorów, upałów i suszy, zwierzęta padały potrute, a dzieci rodziły się martwe lub z sześcioma palcami u ręki, oczy chłopów zwracały się ku niebu szukając wyjaśnienia tylu nieszczęść.

Dziedzic ów miał dziewięciu synów, wraz z nim zajmujących się uprawą roli, oraz najmłodszą córkę jedynaczkę, światło jego oczu i radość serca; dziewczynka była roześmiana, o włosach niby dojrzałe zboże, a tak robotna, że w całej okolicy znana była ze swych domowych talentów. Miała zdolności do szycia i haftu, z łoju ojcowskich owiec wyrabiała świece, z wełny zaś pledy, a kiedy w lecie łakome bąki brzęczały nad przejrzałym owocem, powietrze w sadzie robiło się błękitne i ostre od ognia podpalanego przez jej służebne pod miedzianymi kadziami, w których dusiła maliny, *alcayotas*[2], pigwy i śliwki, warząc konfitury ku rozkoszy podniebienia domowników. Tych odwiecznych kobiecych zajęć nauczyła się od pewnej staruszki o pokrytych brodawkami rękach, która była jej piastunką od dziecka, bowiem matka odumarła ją, wydając na świat. Gdy kończył się obiad, podczas którego mała siedziała na honorowym miejscu pomiędzy ojcem a pomęczonymi, w zakurzonych butach braćmi, całowała wszystkich po kolei na dobranoc i przez długi korytarz wycofywała się w ślad za trzymającą świecę piastunką do ich wspólnej sypialni.

---

[1] *Rulos* – pola nie nawadniane albo takie, których nie ma potrzeby nawadniać (przyp. tłum.).

[2] *Alcayota* – rodzaj melona południowoamerykańskiego (przyp. tłum.).

Może z racji przywilejów, z których niańka korzystała dzięki więzom łączącym ją z dziewczynką, może ponieważ nie można było znaleźć wytłumaczenia dla tylu nieszczęść i trzeba była na kogoś zrzucić winę, a złe czasy rodzą paskudne myśli – zaczęły się plotki. Czy stajenny powiedział to serowarowi, czy serowar stajennemu, ogrodnikowi, żonie lub siostrzenicy kowala, dość że nocami ludzie siedzący w kucki wokół ognia zapalonego pod stajnią szeptali między sobą, milknąc, gdy ktokolwiek się zbliżał. Choć powoli, plotki rozchodziły się jednak, w końcu znali je i parobcy, i owczarze na odleglejszych wzgórzach posiadłości: jakby ktoś powiedział, iż w księżycowe noce płynie powietrzem potworna głowa zdobna w długą rozwianą grzywę koloru zboża, z twarzą córki dziedzica, wydając przeraźliwe „tue-tue-tue" czonczonów[1], ot, czary, uroki – stąd niezliczone nieszczęścia i nędza okolicznych chłopów. Ponad wyschniętymi równinami, na których konało popuchnięte z pragnienia bydło, głowa córki dziedzica potrząsała olbrzymimi unerwionymi uszami, podobnymi do uszu nietoperza, frunąc w ślad za żółtą suką, chudą i pełną brodawek jak niańka dziewczynki, która wiodła czonczona ku miejscu, hen, za wzgórzami, wskazanemu przez promienie życzliwej planety. To one były wszystkiemu winne, bo dziewczynka była czarownicą i czarownicą była niańka, która prócz niewinnych kobiecych zajęć – jak smażenie konfitur i prowadzenie domu – wtajemniczyła małą w inne sprawy. Podobno pogłoski narodziły się tu, wśród parobków samego dziedzica, skąd przeniknęły do sąsiednich majątków, z kolei jeszcze dalej, w czasie winobrania czy młocki, i tym sposobem rozeszły

[1] Czonczon (*chonchón*) – potwór przynoszący nieszczęście, złowróżbny (przyp. tłum.).

się po całej okolicy. W końcu nikt już nie wątpił, że córka kacyka i jej niańka rzuciły czary na całą prowincję.

Pewnej nocy w ranczu jeden z synów dziedzica wcześniej niż zwykle podniósł się z łóżka kochanki, by wracać do domu rodzicielskiego o przyzwoitej porze. Spośród kołder ciepłych od jego ciała krzyknęła:

– O zakład, że twoja siostra jeszcze nie wróciła do domu. Czarownice wracają dopiero, gdy zapieje kur, gdy wstanie dzień...

Wysmagał ją szpicrutą, aż krew rzuciła jej się z ust, i wyznała wszystko. A kiedy wysłuchał, znowu ją wysmagał i pobiegł do domu, żeby opowiedzieć to najpierw jednemu bratu, potem drugiemu i jeszcze trzeciemu, ale ani razem, ani osobno nie byli w stanie uwierzyć, że te pogłoski mogą być czymś innym niż ohydnym oszczerstwem, które na nich wszystkich rzuca cień. To nędzarze, na których zwalały się wszelkie nieszczęścia, postanowili zniszczyć spokój domu, prowadzonego przez dzieweczkę przeczystą i szczęśliwą. Im, braciom, nie wolno było w to uwierzyć. Nie powinni byli przyjąć tego do wiadomości. Wobec czego przestali o tym mówić. Ale wracali teraz do domu po pracy odmienieni, nie sprzedawali bydła na targowisku, zapominali zebrać zbiory przed burzą. Nie mieli też humoru do wypitki w obawie, że wino rozwiąże im języki i że wygadają się przed ojcem, czego w żadnym razie nie wolno im było uczynić. Niemniej, zrazu wspólnie, potem, gdy już zadecydowali, że to kłamstwo, każdy na własną rękę (kryjąc się jednak przed pozostałymi, by jeden nie posądził drugiego, że daje wiarę pogłoskom), zaczęli nocami szpiegować sypialnię siostry. Ale dochodziło z niej zawsze to samo: mała albo chichotała wraz ze swą opiekunką, albo opowiadała jej zagadki, albo chwilę śpiewały, a potem odmawiały Zdrowaś i różaniec, aż do

chwili gdy świeca gasła, a one zasypiały. Nigdy nie usłyszeli nic innego, ta sama scena powtarzała się w nieskończoność, nic w tym nie było, nic – mała kobieca wysepka w domu pełnym mężczyzn, dla nich nieosiągalna, ale nie niebezpieczna. Kiedyż niby wychodziły na te wędrówki, o które je oskarżano? Po jakimś czasie, już pewni, że pogłoski są fałszywe, opowiedzieli o nich ojcu, chcąc, by ukarał tych, co rozsiewali plotki. Oszalały z gniewu i bólu kacyk zaczął pytać córkę: ale oczy dziewczynki pozostały tak jasne, gdy zaprzeczała oskarżeniom, których jej niewinność w ogóle nie była w stanie ogarnąć, że ojciec uspokoił się i usadowiwszy swoje najukochańsze dziecko na kolanach poprosił, by mu coś zaśpiewała. Najmłodszy z chłopców, też już uśmiechnięty, wziął gitarę, by z kąta salonu akompaniować siostrze.

Do morza rzuciłabym się dla róży,
Lecz woda niebezpieczna i boję się burzy.
Dzwońcie, dzwoneczki, głośno lub na uszko,
Inaczej mocno będzie mi biło serduszko.

W przyległym pokoju bracia doszli do wniosku, że przeczekawszy dla zmylenia oczu parę dni należy pozbyć się jakoś piastunki, jeżeli bowiem ktoś jest winien, to ona: ona rzuca na dziewczynkę swój niepewny cień. Zresztą jakież miało znaczenie poświęcenie nieznanej staruchy, jeżeli w ten sposób cała sprawa wypływała na czyste wody? Położyli się spać wreszcie uspokojeni po tym długim okresie bezsenności. O pierwszej w nocy jakiś parobek zastukał do drzwi sypialni kacyka:

– Dziedzicu, dziedziczku, po dworze błądzą żółta suka i czonczon...

I umknął, zanim kacyk, potrząsając szpicrutą, w ponczu narzuconym na nocną koszulę, zdążył pojawić się

w drzwiach pokoju, krzykiem budząc synów, budząc cały świat: niech się ubierają, niech biegną, niech stajenni siodłają konie do drogi... Dziesięciu ludzi popędziło poprzez pola w noc, zostawiając za sobą chmurę kurzu, pędzili, pytali, szukali, aby tylko nie zgubić śladu suki i czonczona, aby tylko nie stracić okazji i raz wreszcie poznać prawdę. Dalekie wycie skierowało ich ku lasowi. Trochę żwiru, toczący się z góry kamyk sprawiły, że galopowali pod górę, że zjeżdżali w doliny i schodzili szukając pieczar, które mogły być wejściem do grot czarownic, gdy w jakiejś stronie zaszczekał pies, który przecież mógłby być żółtą suką, zjeżdżali aż do rzeki, ale nie natrafili na żółtą sukę – i zapiał kur, i wstał dzień, minęła godzina czarownic, i dziesięciu ludzi zgnębionych porażką zawracało w kierunku zabudowań majątku. Gdy tylko wjechali, usłyszeli jakiś hałas wśród winnych krzewów.

– Łapcie ją, łapcie, to żółta suka, która chce wejść do domu. Czonczon musi być gdzieś w pobliżu!

Rzucili się na sukę, by przeciąć jej drogę, by ją schwytać, zachłostać, zatłuc na miejscu. Konie stawały dęba, szpicruty unosiły się w górę, aż sukę zasłoniły tumany kurzu wzniesione przez kopyta, spod których wymknęła się znikając w świetle brzasku. Wszyscy parobcy dostali rozkaz, by szukać, by odnaleźć ją za każdą cenę, bo suka była niańką, a niańka czarownicą. Niech się nie ważą wracać bez żółtej suki. Niech ją zabiją i przyniosą obdartą z niej skórę.

Kacyk, za którym szli wszyscy synowie, sforsował drzwi do pokoju dziewczynki. Gdy wszedł, wydał dziki okrzyk i rozłożył ręce, aby ponczem zasłonić przed innymi to, co zobaczyły jego oczy. Zamknął córkę w przylegającej do pokoju alkowie i dopiero wtedy pozwolił wejść innym:

stara leżała bez ruchu na łóżku, namaszczona magicznymi maściami, z oczami przewróconymi, oddychając jak we śnie, jakby była bez duszy. Na zewnątrz suka wyła drapiąc do okna.

– Idioci, jest tutaj, łapcie ją i ubijcie, bo jak nie, to was pomorduję...

Suka przestała wyć. Dziewczynka natomiast płakała w pokoju, gdzie zamknął ją ojciec.

– Nianiu! Nianiusiu! Tato, nie zabijaj jej, nie trzeba jej zabijać, trzeba tylko pozwolić jej wrócić do swego ciała. Jeżeli jej nie zabijecie, przysięgam, że wyznam wszystko...

– Milcz. Ty nie masz nic do wyznawania.

Wyszli na patio, aby rozpoznać skrwawione szczątki. Podobno nietrudno było ją złapać, była widocznie zmęczona, drżąc kuliła się przed oknem dziewczynki, tak przynajmniej zeznawali parobcy, podczas gdy dziewięciu braci oglądało ścierwo żółtej suki. Teraz należało już tylko pozbyć się ciała wiedźmy. Była ni żywa, ni martwa, ale jeszcze mogła być niebezpieczna: pogrzebać ciało czarownicy znaczy zatruć nie kończące się mile urodzajnej ziemi, tak że trzeba znaleźć jakiś inny sposób, by się od niego wyzwolić – orzekł kacyk. Rozkazał przywiązać ciało przeklętnicy do drzewa i tak długo je chłostać, aż się obudzi i wyzna swe grzechy. Katowane ciało krwawiło, ale ani oczy, ani usta nie otwarły się, mimo że nie przestała oddychać, zawieszona między życiem a śmiercią. Wobec tego, że nic innego nie pozostawało już do zrobienia, ścięto drzewo siekierą, a dziewięciu braci, ich chłopi i chłopi ze wszystkich sąsiednich majątków zataszczyli jej ciało do Maule i wrzucili do wody, wraz z pniem, żeby nie poszło na dno.

Kacyk pozostał w domu. W godzinę po tym, jak uspokoiła się wrzawa, wziął córkę i pojechał z nią do

stolicy. Tam zamknął ją w klasztorze, aby zajęły się nią zakonniczki. Od tej pory nikt, nawet bracia, którzy bardzo ją kochali, nie zobaczyli jej już nigdy więcej.

Tymczasem wzdłuż brzegów Maule jechała kawalkada towarzysząca ciału, które spływało wzdłuż rzeki. Gdy ludzie widzieli, że zbliża się do brzegu, odpychali je pikami. Kiedy prąd porywał je ku środkowi, przyciągali je hakami. Nocami za pomocą tychże haków przytwierdzali ciało czarownicy do brzegu, przegryzali coś i wyciągnąwszy się na ponczach i *pellones*[1] przed zaśnięciem snuli historie o czarownicach, zjawach z tamtego świata i innych potworach, które to oblicza przyjmuje na siebie strach w złych czasach. Opowiadali wszystko, co wiedzieli o czarownicach, o tym, że trzeba ucałować członek kozła, by móc brać udział w ich orgiach, potem cieszyli się, że tym razem udało się wyrwać z ich łap piękną córkę kacyka, bo chciały ukraść mu ją, zaszyć wszystkie dziewięć otworów w jej ciele i zmienić w potworka *imbunche*, tak bowiem robią czarownice, porywają niewinne stworzenia, a potem zmieniwszy w *imbunche* trzymają w podziemnych pieczarach, gdzie nieszczęsne żyją z zaszytymi oczami, z zaszytym seksem, ustami, dziurkami od nosa, uszami, wszystkim, wszystkim, aż w końcu, ogłupiałe, stają się jak zwierzęta, brudne i wszawe, zdolne tylko do maleńkich podskoków, gdy kozioł i czarownice rozkazują im tańczyć... ktoś znowu mówił, że sam kiedyś widział *imbunche* i ze strachu sparaliżowało mu połowę ciała... Zawył pies. Cisza zamykała się nad przerażonymi głosami... Oczy na pół uśpionych parobków błyszczały, gdy płomienie ogniska zwyciężały cienie, które rzucały skrzydła ich *chupallas*[2].

---

[1] *Pellones* – dawne ubiory ze skóry (przyp. tłum.).

[2] *Chupallas* – kapelusze z liści chilijskiej rośliny *chupalla* (przyp. tłum.).

Nazajutrz rano wcześnie osiodłali konie, zwolnili przymocowany pień drzewa i przez cały dzień, pod palącym słońcem, jechali za ciałem czarownicy ku ujściu rzeki, po nagich nad jej brzegami pagórkach.

Z wioski do wioski biegła wieść, że w końcu ujęto czarownicę, że okolica będzie uwolniona od przekleństwa, że kobiety będą rodziły normalne potomstwo, że się skończą powodzie, a w miarę jak kawalkada się posuwała, całe legiony mieszkańców, chłopów, farmerów dołączały się do niej. Nim słońce zaszło, zrozumieli, że morze jest już blisko. Rzeka rozszerzyła się, stała się łagodniejsza. Ukazała się mała wysepka. Ławice piasku zmieniły ostry zarys jej brzegów. Woda, miast zielonej, miała barwę popiołu, w dali ukazały się czarne skały i biała kreska fal mierzei.

Dziewięciu braci wsiadło na barkę i za pomocą haków i lin dotaszczyło czarownicę aż do mierzei: prąd zdzierał z niej ubranie, szarpał włosy, ryby, które ugryzły jej ciało, wypływały martwe wokół łodzi. Tłumy chłopaków pieszo i na koniach, farmerzy, dzieci prowadzące psy, gapie weszli na przeciwległe wzgórze. O późnej godzinie wiatr, który dął w ich poncza, przyniósł okrzyk triumfu; wydało go dziewięciu braci: wreszcie udało im się sprawić, by ciało czarownicy minęło spiętrzoną górę fal i zostało połknięte przez morze. Pozostał punkcik, który wessało światło zachodu.

Jeźdźcy powoli zaczęli się rozpraszać. Każdy zawracał ku swojemu miasteczku czy też wiosce, wreszcie bez lęku, wreszcie przekonany, że kończą się złe czasy dla całej okolicy.

Tej nocy jedna ze starych opowiadała jedną z wielu wersji tej historii. Jedną z wersji, samą opowieść bowiem słyszałem nieskończone ilości razy, ale zawsze trochę odmienioną.

W niektórych wariantach braci nie było dziewięciu, ale siedmiu albo nawet tylko trzech. W wersji Mercedes Barroso przerażeni furią dziedzica parobkowie zarżnęli pierwszą lepszą sukę, byle mu pokazać skórę, i w ten sposób prawdziwa żółta suka uszła z życiem. Tylko trzon historii pozostawał nie zmieniony: szerokie ojcowskie ponczo zasłaniało drzwi, a wraz z tym ruchem znikała szlachetna postać wyjęta z samego serca opowiadania, aby uwaga została od niej odwrócona, kierując zemstę ludu na nieszczęsną staruchę. Ta nic nie znacząca istota, podobna do wszystkich staruch, trochę czarownica, trochę wiedźma, trochę rajfurka, trochę akuszerka, trochę płaczka, trochę znachorka, sługa pozbawiona indywidualnej psychiki i osobistych rysów zajmuje miejsce panienki i jako główna postać fabuły sama odpokutowuje straszliwą winę utrzymywania stosunków z nieczystymi siłami. Opowieść, znana w całym kraju, pochodzi z okolic rzeki Maule, gdzie rodzina Azcoita miała swe latyfundia od czasów kolonialnych. Oczywiście Inez, w której po matce płynęła krew Azcoitiów, również znała jedną z jej wersji. Zapewne Peta Ponce opowiedziała ją jej, gdy była dzieckiem. Trwożliwy umysł dziewczynki wydzielił i prawdopodobnie zapomniał historię czarownicy-dziecka, aby zatrzymać w pamięci tylko piękną stronę opowieści: dumną rodzinną legendę Azcoitiów na temat świątobliwej dzieweczki, zmarłej *in odore sanctitatis* w klasztorze Domu, w początkach zeszłego wieku: zamiar jej beatyfikacji okazał się jednak takim fiaskiem, że przez długie miesiące był przedmiotem kpin w radiu i prasie. Ale opowieść nadal żyje w ustach wiejskich babek, które powtarzają ją każdej zimy, za każdym razem trochę odmienioną, aby ich wnuki przykucnięte wokół żaru poznały, czym jest strach.

Tu także, w kuchni Domu, opowiadano ją tyle razy, że Iris wtulona w spódnicę Ryty zasypiała ssąc ze znudzenia

palce. Już jest na to trochę za duża i Ryta powinna ją odzwyczaić od tego brzydkiego nałogu, podobno można kogoś takiego odzwyczaić smarując mu palce ostrą papryką albo psim łajnem... nie, nie, dajcie spokój biduli, samo jej minie, przecież wiecie, że pierwsze miesiące ciąży są najgorsze, zmęczenie, senność, brzuch wzdęty, opuchnięte nogi, czasem nawet żylaki, popatrzcie na nogi Iris, zawsze były grube, ale teraz wydaje się, że gumka od skarpetek pokroi je na plasterki.

Ja nie spałem. Ale nie uniosłem złożonej na rękach głowy na wiadomość, że Iris będzie miała dziecko, tak jak nie byłbym jej uniósł, gdyby mówiły, że na ból głowy lepiej jest przykładać niedopałki niż surowe kartofle, albo gdyby Klemencja, nagle przestawszy być egoistką, pożyczyła mi tę swoją umywalkę w kwiaty, obojętne mi, co nić ich głosów nawija na kłębek, który nie rośnie, stając się tylko inną wersją ciszy... Iris wymiotuje, stare trzymają ją za głowę, żeby jej ulżyć. Iris popłakuje, czekaj no, Głuszek zaraz sprzątnie te wymioty, pospiesz no się, Głuszku, zanim przyjdzie matka Benita i zacznie zadawać pytania.

Odmówiłem.

Popatrzyłem sześciu staruchom prosto w twarze. A potem zrobiłem gest znaczący, że zrozumiałem, wiem o ciąży Iris, dobrze, dobrze, nie opowiadajcie mi tu byle czego, to dlatego tak zgodnie otaczałyście tę idiotkę, dlatego psułyście ją, słuchałyście jej, to dlatego ona ma takie wielkie piersi, tak, sam zauważyłem, że jest w tym coś dziwnego, ale ja zawołam matkę Benitę, niech powie, co trzeba zrobić w takim wypadku, niepotrzebne mi są żadne historie, jeszcze potem gotowa zwalić na mnie winę...

– Na ciebie, Głuszku?

– Na taki okruszek człowieka?

– Kto by tam na ciebie chciał zwalić winę...

Pokładały się ze śmiechu, mimo że Głuszek nie przestawał się odgrażać, ale śmiech zalewający im oczy unieszkodliwiał jego słowa, tak jak unieszkodliwiała je obelga ich wskazujących na niego palców, aż w końcu kpiny podeptały i zwyciężyły jego groźby, oj, Głuszku, laluniu, już tylko nas nie oskarżaj, nie bądź paskudny, nie widzisz, że jesteśmy w tobie zakochane, jesteś taki piękny chłopak, zostańże z nami, dobrze ci będzie, pokażemy ci różne kiziołki, spodobają ci się, taki samiec z ciebie, taki mężczyzna, mimo że nie ośmielasz się wyjść na ulicę, jeśli nie będziesz milczał, ty niemy zasrańcu, to wywalimy cię na bruk, ukradniemy ci klucze, nigdy więcej nie wpuścimy cię do Domu i zgubisz się na tych ulicach niby w czarnych tunelach, po których będą cię ścigać don Hieronim de Azcoitia i doktorzy, i karabinierzy z psami. Tak, już po nie poszli. A co, może ty nie wiesz, że przedtem wiele dni nie dają im nic do żarcia, żeby były wygłodniałe i krwiożercze? Ććć... Wystarczy, żeby karabinier pstryknął palcami, a one ze szczekaniem rzucają się w noc. Skowyczą goniąc mnie po ulicach w deszczu, cały park pełen jest dzikich bestii, pędzących za mną z ujadaniem poprzez jakieś niesamowite aleje, przez most, zwieszam się z poręczy mostu i skaczę do rzeki, one wyją lecąc za mną po śliskich kamieniach, po górach rozkładających się śmieci, potykam się o gałąź, padam, kaleczę się o odłamek butelki, zakażenie, tężec, spójrzcie na moje ręce, które krew barwi czerwienią, podnoszę się na zakrwawionych dłoniach i kolanach, uciekam pod mostami, wśród usypisk kamieni, gdzie wiatr połyka mój głos, gdzie staję się niemy, nie mogę już, pomóżcie mi, błagam, pomóżcie, przysięgam, że was nie zdradzę, nie wierzymy ci, donosicielu, pedale, Głuchu zasrany, jesteś świnia, jesteś gówno, gówno, gówno, lecę i pędzę, ażeby nie mogły mnie złapać, słyszę

za sobą odgłos ścigających nóg, czuję śmierdzące oddechy ich wrzących pysków, ich pazury powalają mnie, chcę wstać, ale nie mogę, bo ich kły przewracają mnie na brzeg rzeki niosącej wszystkie odchody miasta... te zwierzęta o fosforyzujących pyskach obdzierają mnie ze skóry, szarpią mnie na strzępy, kły, dymiące jęzory, oczy wwiercające się w noc, bestie, które rozrywają mnie na części i chrząkają jak wieprze wyrywając ochłapy moich ciepłych trzewi doktorowi Azula, który chce zabrać je dla siebie, brodzą w kałużach mej krwi, żrąc się o moje flaki, o moje chrząstki, uszy i gruczoły, włosy i paznokcie, kości, wszystkie członki nie należące już do mnie, bo nie jestem już sobą, tylko tymi krwawymi strzępami mięsa.

– Więc?

Odejmuję ręce od twarzy. Patrzę na nie, poznaję je: Dora, Brygida, Maria Benítez, Amalia, Rosa Pérez, wszystkie oprócz Ryty, która poszła położyć spać Iris.

– Oskarżysz nas?

Przysięgam im, że nie. Kucam na ziemi na czworakach, by sprzątnąć rzygowiny córki bandyty, bandyta ten pewnego ranka w łóżku poderżnął gardło swojej żonie w obecności Iris, która zbudziła się cała we krwi swojej matki: spójrzcie na mnie, jak wycieram rzygowiny Iris. Ale czemu odchodzą? Moja potulność nie zaspokoiła ich? Nie odchodźcie tak, nie zostawiajcie mnie, wysłuchajcie mnie, mogę pomóc, tak, tak, mogę, mam przecież klucze od wszystkich drzwi w Domu, na wypadek gdybyście ich potrzebowały, a możecie ich potrzebować, nie mówcie mi, że nie, nie gardźcie tą niewielką władzą, którą daję wam do dyspozycji... czyż nie widzicie, czym jesteście? Sześć staruch, a powinno być siedem, siedem to cyfra magiczna, siedem, a nie sześć, pozwólcie mi być siódmą czarownicą, nie odchodźcie, mogę wam pomóc, a mogę też...

Nie odeszły, przyjęły mą pomoc, za co im podziękowałem. Brygida powiedziała:

– On rzeczywiście zna cały Dom. Niech nam poszuka jakiegoś kąta na strychu, miejsca, o którego istnieniu nie wie nikt, by tam wychowywać cudowne dziecko mające się narodzić z żywota Iris. Rozumiesz, Głuszku, masz poszukać nam miejsca... o którym nikt by nie wiedział... nikt nie słyszał... którego by nikt nie znał...

Dopiero kiedy powiedziałem im, że znalazłem odpowiednie miejsce, suterenę, przyjęły mnie i pozwoliły być siódmą czarownicą.

# 3

Kapelania ufundowana przez ojca zakonniczki, o której beatyfikację Inez zabiegała teraz w Rzymie, od półtora wieku łączyła Dom z rodziną Azcoitia. Z początku była to skromna klauzura dla zakonnic, którą posiadacz majątków ziemskich zbudował na terenie swych bogatych włości w Chimbie, na północ od stolicy, chcąc w ten sposób dać córce schronienie za życia; po jej śmierci o losach Domu decydować miał arcybiskup. Niemniej, o ile nie w praktyce, to w każdym razie w teorii najstarszy z synów fundatora, nosiciel i spadkobierca nazwiska, zachowywał prawo do sprzedaży, scedowania, podziału, zburzenia lub podarowania go. A chociaż nigdy żaden Azcoitia z tych praw nie skorzystał, podtrzymując z pokolenia na pokolenie lojalność rodziny wobec Kościoła (do której dołączała się pewna obojętność w stosunku do obiektu równie nieproduktywnego jak kapelania z końca osiemnastego wieku), mimo to w testamencie czy też na łożu śmierci każdy z nich uważał za stosowne podkreślić, że pośród innych dóbr przekazuje również i Dom, przypominając w ten sposób rzecz, której w rzeczywistości nigdy nie zapomnieli, a mianowicie, że ta zagrzebana w archiwach kapelania, przedmiot trosk ciotek-dewotek i ubogich kuzynek, łączy i zbliża Azcoitiów do Boga, że oni ustępują mu Dom za to, by on zachował im swe łaski. W każdym razie póki co,

proszę nas nie męczyć sprawami zakonnic, przytułków, księży intrygantów, starych panien jałmużniczek i kapelanii, nie mających nic wspólnego ze współczesnym światem. Niech Eminencja robi, co uważa za stosowne, z całym tym Domem. Na szczęście nie zależy nam na pieniądzach, które moglibyśmy dostać za sprzedaż majątku. Komplikacje i kompromitacje, poświęcenie i bohaterstwo, jakich wymaga od nas służba dla Ojczyzny, którą właśnie budujemy, pochłaniają nas całkowicie i nie możemy marnować naszej uwagi na sprawy prowadzące donikąd. Jego Eminencja jest zdania, że córka fundatora robiła cuda i zasługuje na beatyfikację? Niechże się więc tym zajmie, skoro go to interesuje. Sprawy mistyczne, duchowe to jego rejon. Naszym jest szorstka polityka, sprawy materialne. Niech arcybiskup nie męczy się pytaniami o nasze opinie na temat Domu. Jego Eminencja doskonale wie, że ma pełną swobodę i może dodawać nowe patia, o ile uważa to za potrzebne, budować tyle pawilonów, ile uzna za stosowne, dobudowywać piętra, o ile uważa to za słuszne, powiększać klauzurę, przedłużać galerie i zwalać mury, jeśli tak mu się podoba – byleby tylko nie żądał od nas na to pieniędzy.

Pozostawiony na los niespokojnych wymagań poszczególnych epok, budynek rozrósł się tak dalece i tak chaotycznie, że nikt już nie pamiętał (a tylko jedna Inez jeszcze się tym w ogóle interesowała), które budynki i patia zbudowane były najdawniej i przeznaczone na schronienie dla córki fundatora. Przekraczając rzekę w kierunku północnym, miasto zaludniło jej brzeg, zaczęły się formować mizerne uliczki Chimby (coraz dalej wypychające farmy pomidorów i melonów), które wreszcie przekształciły się w aleje nazywane imionami walczących robotników i otoczyły Dom Ćwiczeń Duchowych „Zwias-

towanie" w Chimbie, pozostawiając go niby cystę niemą i ślepą w dość centralnym punkcie miasta.

Kiedy fundowano kapelanię, nikomu nie przyszło do głowy, że pewnego dnia może zabraknąć mężczyzny, nosiciela i spadkobiercy tych praw, bowiem dzieci płci męskiej było – jak stwierdzają akta epoki, które dołączyła do dossier i zabrała ze sobą do Rzymu Inez – dziewięcioro i wszyscy pożenili się, i wszyscy mieli wielu synów, wnuków i prawnuków. Ale Azcoitiowie zawsze byli bardzo honorowi i bardzo waleczni i w czasie walk o niepodległość organizowali *montoneras*[1] tak krwawe, że wprawdzie zagrodzili Hiszpanom drogę do okolic Maule i okryli chwałą nazwisko, które znalazło się na wszystkich ustach, ale zostali dosłownie zdziesiątkowani.

W dodatku, niby jakieś przekleństwo, w ciągu wieku, który nastąpił po uzyskaniu niepodległości, rodziły się u nich przeważnie kobiety, piękne, bogate i pełne cnót, które wychodziły za mąż szybko i dobrze, łącząc ich z całą ówczesną socjetą, ale one to rządziły zgromadzoną wokół ognia rodziną, one manewrowały cienkimi nitkami, oplatając mężczyzn siecią szeptów i półsłówek, pocałunkiem wieczornym składanym na policzkach synów, pożegnalnym uśmiechem decydując o reputacjach i tradycjach – dyskretne kobiety w milczeniu przesuwające się w swym świecie szycia, służby, chorób, odwiedzin, kościoła, z oczami spuszczonymi na kolorowe nitki jedwabiu na tamborkach, podczas gdy ostre głosy męskie podnosiły się w dyskusjach o czymś, czego ani nie rozumiałyśmy, ani nie chciałyśmy rozumieć, bo rozumiemy tylko rzeczy błahe jak ażur przy dekolcie, jak to, czy warto sprowadzać z Francji giemzowe rękawiczki albo czy proboszcz z San

[1] *Montoneras* – wypady ochotniczych oddziałów konnych (przyp. tłum.).

Domingo jest dobrym czy też złym kaznodzieją. I podczas gdy się powiększała siła rodziny umieszczona w pokoleniach kobiet skoligaconych, lecz niezdolnych, by przekazać nazwisko i zachować jedność rodzin, męska linia Azcoitiów ciągle słabła: każde pokolenie wydawało wiele kobiet, lecz tylko jednego mężczyznę (wyjątkiem był ksiądz Klemens de Azcoitia, brat ojca Hieronima). Zniknięcie groziło nazwisku, a wraz z nim prebendom, prawom własności, władzy, synekurom i honorom, które, dzielone pomiędzy krewnych noszących inne nazwiska, dodatkowo zmniejszały siłę tego jedynego, nieodzownego w każdym pokoleniu Azcoitii.

Inez i Hieronim nie mieli dzieci. Na nich kończyło się nazwisko. Wiedzieli o tym. Potem fortunie groziło rozdzielenie między krewnych, którzy ich nie szanowali, instytucje, które ich nie interesowały, legaty, jałmużny. Arcybiskup czyhał na Dom z gotowym już projektem Miasteczka Dziecka. Hieronim mógł mu przekazać Dom, kiedy tylko chciał, ale z niezdrową nadzieją, wciąż się łudząc, że bezpłodna macica jego żony nagle się obudzi, nie był w stanie pozbyć się niczego, nawet najmniej potrzebnych rzeczy. Toteż kiedy nagle – podczas gdy Inez tkwiła w Rzymie – podpisał całą serię dokumentów, jeszcze za jego życia oddających Dom arcybiskupowi, ludzie nie mogli w to uwierzyć, nie wierzyła w to nawet matka Benita, mimo że tak entuzjazmowała się projektem, ani ja, chociaż tak się go bałem. Ale ksiądz Azócar uprzedził nas, że należałoby pomyśleć o przygotowaniu Domu do ewentualnej licytacji tego, co nazywał „śmieciami", poprzedzającej zburzenie, które nastąpi, gdy tylko budynek zostanie opróżniony. Te mury, poranione szczerbami po odpadających ozdobach, mają kolor suszonej w słońcu gliny. Rzadko przenika z zewnątrz odblask

światła przez setki okien, ślepych, bo oblepionych kurzem, ślepych, ponieważ zabiłem je deskami, lub jeszcze bardziej ślepych, które jako zagrażające bezpieczeństwu zamurowałem. Wieczorami w hałaśliwej dzielnicy skromnych domów, które nas otaczają (również z *adobe*[1], pokrytych dachówką, tyle że malowanych na różowo, niebiesko, lila lub kremowo), zapalają się światła, z fryzjerni i piekarń huczą radia, z przepełnionych barów telewizory, a w warsztacie naprawiającym motocykle, w kiosku, handlującym *novelas* i gazetami, i w narożnym sklepie z papierosami snuje się życie tej okolicy, która nas wykluczyła.

Pozabijałem nie tylko wszystkie okna wychodzące na zewnątrz. Również i wewnątrz domu poodcinałem całe niebezpieczne partie, jak na przykład górne piętro, po tym jak Asunción Morales oparłszy się o balustradę zwaliła wszystko: balustradę, wiciokrzew i siebie. Teraz już nie potrzeba tyle miejsca, dlatego też należy je ograniczyć. Nie to co dawniej, gdy arcybiskup hojnie subwencjonował Dom, wyznaczając go co rok na swój odpoczynek w towarzystwie wysoko postawionych księży, kanoników, sekretarzy, diakonów, przyjaciół, krewnych, a nieraz nawet i jakichś specjalnie pobożnych dygnitarzy państwowych. Grupy skoligaconych panów, kongregacje religijne, pensje dla panienek o przeczystych serduszkach, najważniejsze w kraju korporacje na wiele miesięcy z góry zabiegały i zamawiały terminy, aby na jakiś czas zamknąwszy się w Domu nawiązać kontakt z Bogiem. Z kazalnicy i z konfesjonału złotouści braciszkowie zachęcali do pokuty i ofiary, do wielkoduszności i skruchy, zapalając powołania, których promieniowanie potem nierzadko oświetlało historię. Nieraz do późnych godzin nocnych spoza drzwi cel,

[1] *Adobe* – cegły z gliny, suszone na słońcu (przyp. tłum.).

literą „U" obejmujących pomarańczowe patio, dochodziły szlochania i jęki; były to cierpienia zrzucających z siebie winy w nocnym biczowaniu; wychodzili z niego z ciałem umęczonym, lecz niewinną duszą, którą nazajutrz rano po żarliwej komunii ofiarowali spokojnym mniszym marzeniom w najbardziej kwitnącym zakątku sadu, marzeniom, które często koronowali nader hojnym datkiem.

Dziś, rzecz jasna, nikomu nie w głowie przyjeżdżać na ćwiczenia duchowe do Domu „Zwiastowanie" w Chimbie. Szkoły pełne światła, z centralnym ogrzewaniem lub klimatyzacją zależnie od pory roku, szkoły o wielkich oknach wychodzących na nieporównywalny pejzaż zaśnieżonej Kordyliery czekają na pątników. Po cóż więc ryzykować, że zamiast przez głos sumienia będzie się obudzonym przez gulgotanie zardzewiałych rur i wyścigi wielkich szczurów? Jeszcze do niedawna – teraz jednak już nie – przyjeżdżali uczniowie z mało znaczących szkół albo członkowie jakichś podrzędniejszych korporacji, aby odbywszy w Domu rekolekcje pozałatwiać rachunki z Bogiem i wysłuchać nijakich kazań, inspirowanych przez nierówności społeczne, nie zaś przez Wielkość, Gniew i Miłość Pana jak za dawnych dobrych czasów.

Ale cóż na to można poradzić. Mówią, że nic już nie jest takie jak za dawnych dobrych czasów. A jednak z uporem trwania rzeczy niepotrzebnych Dom istnieje ciągle. Teraz tylko trzy zakonnice mieszkają tam, gdzie uprzednio całe kongregacje czuwały nad wygodami pokutników, dbając, by ich dusze bez ziemskich przeszkód frunęły ku najwyższym rejonom ekstazy. Tylko trzy zakonnice, no i staruchy, które umierają i zostają zastąpione przez inne identyczne staruchy, które też umrą, gdy nadejdzie godzina, by ustąpić miejsca nowym potrzebującym. I sieroty, które mniej więcej rok temu

przysłano któregoś dnia „na jakiś czas", matko Benito, matka ma tyle miejsca, może mogłaby matka potrzymać je tu przez parę tygodni, póki nie skończą nowego sierocińca, sama matka wie, jak to zawsze wszystko się wlecze, a dzisiaj robotnicy tak piją, nie wywiązują się z niczego, co do nich należy – i oto mamy pięć zagubionych w tych labiryntach sierot, które wałęsają się głodne, znudzone i którymi nikt się nie zajmuje, a ksiądz Azócar ciągle powtarza, jeszcze tylko tydzień, matko Benito... więc nikt już o nich nie pamięta. Ja mam klucze i zamykam drzwi. Rozmaite damy z rekomendacji arcybiskupa i Inez wynajmują u nas cele w charakterze rupieciarni, chowają w nich rzeczy bez wartości, z którymi jakoś trudno się im rozstać, a które nie mieszczą się w niewielkich domach, w jakich się teraz mieszka. Damy od czasu do czasu zjawiają się po jakieś rzeczy albo zapłacić zaległe komorne, a my do tegośmy doszli, że potrzeba nam tych pieniędzy, że musimy podnajmować te cele, aby popłacić najbardziej naglące rachunki, bo arcybiskup daje nam bardzo niewiele pieniędzy. Natomiast przysyła nam co innego: całe ciężarówki jakichś gratów, połamanych świętych, których nie można wyrzucić, bo są przedmiotem kultu, stosy starych pism i gazet, które zajmują nie kończące się pokoje swymi ważnymi wiadomościami już nie na czasie, wybrakowane encyklopedie, oprawne roczniki pism w rodzaju „Zig-zag", „Life", „La Esfera", literaturę, której nikt już nie czyta, jak Gyp, Concha Espina, Hoyos y Vinent, Carrere, Villaespesa, całe stosy różnorodnych przedmiotów, popsutych zegarów, worków służących nie wiadomo do czego, kawałków zniszczonych dywanów, tapet, połamanych foteli, tego wszystkiego, czym zapycha się bez końca jedne pokoje po drugich.

Hieronim przez całe życie nie postawił nogi na terenie Domu. Natomiast Inez przed wyjazdem do Rzymu zjawiała się bardzo często dwa, trzy razy tygodniowo, by grzebać po kufrach, w gratach złożonych w czterech największych celach, które jako właścicielka tego Domu wzięła dla siebie. Władczy dzwonek, z którego nie zdejmowała palca, dopóki Ryta na swych chorych stopach nie przyczłapała jej otworzyć, ogłaszał jej przybycie. Czasem towarzyszyła jej misia Raquel, która słuchała jej cierpliwie i nie usiłowała niczego perswadować, widząc, jak tamta szpera po wyładowanych szufladach, jak na wszelki wypadek wyjmuje jakieś papiery, portrety, plany, relikwie, jak mi każe ściągać z szafy okrągły koszyczek, przesunąć zwinięty w korytarzu dywan, by sięgnąć do skórzanego pudła od kapeluszy, w którym może jest paczka, w której może znajduje się koperta, do której ileś tam lat temu włożyła jakieś świadectwo lub jakieś zdjęcie – a ja zdejmowałem jej koszyk, podawałem pudło od kapeluszy, świetnie wiedząc, że nie ma w nim żadnego świadectwa, żadnego zdjęcia, bo lepiej od niej znam zawartość każdej szuflady, każdego kosza, każdej walizki, każdego kufra i każdej szafy w tych celach... Inez jednak pozbierała, co mogła, i ubrana ze skromną elegancją pojechała do Rzymu, dzierżąc papiery, które sam jej włożyłem do zupełnie już plebejskiej plastikowej torby, a które miała zaprezentować kardynałom w purpurze; lecz ci, uroczyści i wspaniali, pokiwali głowami i delikatnie dali jej do zrozumienia, że wszystko, co przywiozła, do niczego nie służy, i że lepiej by zrobiła siedząc spokojnie w swoim kraju i dając jałmużnę godną jej społecznej rangi.

Brak zainteresowania Azcoitiów dla Domu jest odwieczny. Jakby się go bali, do czego nie chcą się przyznać nawet przed sobą; wolą nie mieć z nim nic wspólnego, tyle

że chcą pozostawać jego właścicielami. Użytek ze swoich praw zrobili jeden jedyny raz, przysyłając nam księdza Klemensa, aby tu umierał. Powiedzieli wtedy, że i tak jest zbyt dużo miejsca w Domu, ale dodali: to Azcoitia, więc należy mu się, by go tu przyjęto.

Gdy został do nas przywieziony, ksiądz Klemens był staruszkiem bardzo smutnym i bardzo spokojnym. Matka Benita karmiła go łyżeczką jak dziecko i we dwoje rozbieraliśmy go na noc do łóżka. Ja uważałem, żeby wychodził za potrzebą, inaczej się zanieczyszczał, i to wiele razy dziennie, a don Klemens smutno się uśmiechał i milczał siedząc w fotelu pod oknem, oparty na lasce; z czasem, tak powoli, jakby ktoś zaciągał firankę, uśmiech jego znikał, pozostawiając tylko ból na tej twarzy o rysach Azcoitiów. Potem zobaczyliśmy, jak smutek jego niebieskich oczu zatapiają łzy, kiedy pewnego dnia zaczęły mu płynąć po policzkach, jak gdyby oczy nie miały już siły, by je zatrzymywać. Całe tygodnie siedział w swojej aksamitnej berżerze, patrząc na rosnące na patiu drzewka pomarańczowe, spokojny, nie prosząc, by go nakarmiono, nie prosząc, by go umyto, milczący, i tylko łzy spływające po twarzy moczyły jego sutannę niby ślina dziecka śliniaczek. A potem zaczął pojękiwać, z początku cicho, jak zwierzątko, któremu coś dolega, jak pies, którego się głaszcze, kiedy postękuje, pytając, co ci jest, stary, chociaż dobrze się wie, że biedak nie może odpowiedzieć, a skarży się z powodu czegoś, czego nie możemy zrozumieć; ale człowiek rozpacza, że nie rozumie, i chciałby coś zrobić, żeby ulżyć temu bólowi, uspokoić te rozpaczliwe skargi. Po jakimś czasie jęki don Klemensa zmieniły się w długi, nieustający skowyt, nie był już spokojny jak dawniej, gdy patrzył na drzewka pomarańczowe na patio. Zaczął tłuc się po celi, walić w drzwi i okna, a kiedy jego skowyt

zmienił się w wycie, musieliśmy zamykać go na klucz, inaczej uciekał i gubił się po korytarzach i bardzo trudno było zawlec go z powrotem do celi, bo kopał i tą odrobiną głosu, która nagle do niego wracała, krzyczał jakieś zgłoski nabrzmiałe strachem i nocą, i więzieniem, i ciemnością, i rozczarowaniem, gdy zostawialiśmy go, by zasnął, wykrzykiwał słowa czy strzępy słów i chwytał nas, żeby nie dać nam odejść, czepiał się, wstawał, zatrzymywał nas, nie pozwalał sobie włożyć nocnej koszuli, bił się z nami, aby nie dać się rozebrać i położyć, ale również nie chciał się ubierać, darł swoją sutannę, stare naprawiały mu ją, ale on ją znowu szarpał i nie pozwalał sobie jej nałożyć. Biegał więc po swojej celi najpierw na pół rozebrany, potem, kiedy już zamknęliśmy go na klucz, całkiem nagi i nagi wychylał się przez okno wołając pomocy, wołając, żeby ktoś do niego przyszedł, żeby go zabrano z tego straszliwego szpitala, gdzie się nad nim pastwią. Ani matka Benita, ani stare nie wchodziły do niego, gdy był goły, ja tylko, ale wrzeszczał na mnie, nie dotykaj mnie, ty zasrany potworze, jeżeli mnie dotkniesz, laskę na tobie połamię, i znowu nagi wychylał się przez okno o wybitych szybach. Stare ani siostry nie ośmielały się przechodzić przez pomarańczowe patio. Doszliśmy do wniosku, że trzeba założyć okiennice w jego celi, ale i okiennice połamał, aż w końcu pewnej nocy, gdy zasnął, zamurowałem jego okno cegłami i cementem – to było pierwsze okno w Domu, które zamurowałem. Potem już z własnej inicjatywy pomalowałem je od zewnątrz na kolor ściany. Teraz wcale nie widać, gdzie było.

W końcu pewnego wieczoru don Klemens wyłamał drzwi od swojej celi, nagi wybiegł o lasce na korytarz i w czasie różańca, kiedy wszystkie pensjonariuszki były

zgromadzone w kaplicy, pojawił się tam, jak go Pan Bóg stworzył, łamiąc laską wszystko, co było na drodze, podczas gdy stare jęcząc i piszcząc uciekały przerażone tą nagością, która sprofanowała kaplicę, która zgorszyła ich oczy oczyszczone przez starość, nędzę i cierpienie. Przy którymś z uderzeń laski padł na ziemię i uderzył się w głowę. Podbiegłem i nakryłem go albą, a potem zabrałem do celi, gdzie w parę dni później zmarł płacząc z bólu, znowu niemy.

Mieszkają jeszcze u nas stare, dumne z tego, że są w Domu od tak dawna, iż pamiętają czasy, gdy don Klemens Azcoitia wszedł nago do kaplicy. Nie wierzę im. Może tak mówią, wiedząc, jak łatwo jest pomylić między sobą staruszki. W każdym razie jedną z rzeczy, których najbardziej się boją i z powodu których nigdy nie chcą same chodzić po korytarzach, gdy zapada noc, jest wiara, że don Klemens zjawia się tam nago, by je gonić, a one są zbyt stare, żeby uciekać. Mówią, że czasami ma na sobie kapelusz i podwiązki. Albo kalesony i buciki. Albo podkoszulek nie sięgający nawet pępka. Ale nigdy nic więcej. Kiedy jest mowa o tym, że właśnie pojawił się don Klemens, dreszcz przebiega Dom, stare zamykają się w swoich klitkach klepiąc różańce, zdrowaśki i ojczenasze; nieraz słyszałem te szepty oszalałych staruszek, przekonanych, że dzięki modlitwom uda im się przyodziać duszę biednego don Klemensa, którego Bóg skazał na uganianie się nago po Domu, jako pokutę za zgorszenie, które posiał wystawieniem swoich wstydliwości, a wybaczy mu, gdy tyle staruszek wyklepie tyle a tyle różańców w jego intencji; wtedy Bóg w swym nieprzebranym miłosierdziu wróci mu po trochu jego rzeczy, ażeby nie poszedł nagi do królestwa niebieskiego. Tymczasem musi krążyć po Domu i przypominać starym, żeby się modliły, by Bóg

mu oddał buciki, sutannę, kalesony, zwłaszcza kalesony, bo już od dawna nie pokazywał się bez skarpetek ani podkoszulka, więc logicznie biorąc teraz powinien dostać gatki. Oby były długie, modlą się stare. I ciepłe, flanelowe, na zimę. Szept ich modłów otula wieczorem Dom niby brzęczenie zaaferowanych owadów, które tkają materiał na kalesony, a don Klemens nagi wpada nagle w ciemnościach na jakąś staruszkę, która na chwilę przestała o nim myśleć.

# 4

Ryta nigdy nie widziała krwi na majtkach Iris, a przecież – choć od zimnej wody puchły jej odmrożone ręce – sama je prała temu biednemu, pozbawionemu matki dzieciakowi. Ale krwi ani śladu.

Któregoś dnia zamknęła się z nią w pokoju, żeby ją wypytać. Nigdy nie krwawiłaś? Co wam się wydaje, że ja jestem smarkata? Ja już jestem kobietą i co miesiąc mam na bieliźnie i to niemało krwi. Tylko ja jedna ze wszystkich sierot już mam miesiączkę, tamte to dzieciaki, dlatego nudzi mi się z nimi... Ale jak zaplamię majtki, to je piorę sama, nie chcę pani fatygować, paniusia i taka dobra dla mnie, pani Ryto...

Ryta nie uwierzyła ani jednemu słowu. Zbyt dobrze ją znała. Iris nie była ani czysta, ani uprzejma w stosunku do innych. Należałoby uświadomić ją na temat spraw damsko-męskich, ale jak tu się do tego zabrać będąc dziewicą? Sama nie była niczego pewna. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Mężczyźni nigdy nie wchodzili do Domu, Iris, od kiedy ją przywieziono, nie postawiła stopy na ulicy... W dodatku tak niewiele obchodziły ją sprawy dotyczące kobiet i mężczyzn, że ziewała znudzona rozmową, niezdolna skupić uwagi na pytaniach Ryty, bardzo zresztą ostrożnych, aby nie uświadomić jej w wypadku, gdyby była niewinna, a chyba była, nawet jej nie słuchała

ssąc duży palec albo dłubiąc w nosie, przestań, Iris, nie dłub i nie zjadaj tego, ty świnko. I podczas gdy Ryta za pomocą skomplikowanych zabiegów mimo wszystko usiłowała coś od małej wyciągnąć, tamta wolną ręką skręcała sobie włosy w pierścionki. Tak, była chyba niewinna... Chociaż Ryta nie mogła uwierzyć, że sama pierze sobie majtki, kiedy jest niezdrowa. Zaczęła ją obserwować: jasne, w tym miesiącu nic, nic w następnym, wszystko łgarstwo, mała nie prała nawet chusteczki do nosa. A najgorsze, że tyła bez przerwy, stając się równocześnie coraz ospalsza, coraz bardziej ociężała.

Zaniepokojona Ryta poszła ze swym sekretem do Brygidy. Ona, która wiedziała wszystko, powinna była wiedzieć, jak się dzieją takie rzeczy: sama miała dwoje dzieci, wprawdzie nie wiedzieć czemu urodziły się martwe, ale tak widać chciał Bóg. A zaraz potem odumarł ją mąż. Leżąc w łóżku, Brygida z najwyższym zainteresowaniem słuchała tego, co jej opowiadała Ryta, i po półminutowym namyśle powiedziała, że najwyraźniej stał się cud. Kiedy rodzą się dzieci bez tego, żeby mężczyzna zrobił kobiecie paskudztwo – jest to cud... Anioł spływa z nieba i gotowe. Cud.

Pewno, że trzeba zbadać Iris, żeby się upewnić, czy jest w ciąży. Maria Benítez jest znachorką. Ale jakże jej opowiadać o cudzie, Brygido, żeby cały Dom się o tym dowiedział jeszcze przed pacierzem, ukradną nam Iris i dziecko, i jeszcze będą chcieli ją ukarać, bo ludzie to heretycy i nie wierzą w cuda, podobno teraz nie wierzą nawet w Najświętszą Panienkę! Ale Brygida upierała się, żeby wezwać znachorkę: niech ją zbada bardzo delikatnie, nic jej do środka nie wkładając, bo Iris jest dziewicą, i w taki sposób, żeby mała w niczym się nie połapała. Maria Benítez potwierdziła: tak, czeka na dziecko, dzisiejsze dziewczyny to zachodzą od samego widoku spodni.

Żeby zatkać jej gębę i żeby nie mówiła więcej bluźnierczych świństw, podzieliły się z nią tajemnicą na temat cudu. Zupełnie ją zatkało. I prosiły, żeby nikt więcej się nie dowiedział. Wszystkie staruchy są zawistne i będą chciały ukraść dzieciątko, a tak będą je miały tylko dla siebie we trzy, w tajemnicy. Właśnie we trzy piły sobie herbatkę w pokoiczku Brygidy, ale ponieważ Amalia ją podawała, dopuściły i ją do tajemnicy. Jest nas cztery, nie, pięć, zeznała Ryta, która o swoich pierwszych podejrzeniach wspomniała Dorze, bo Dora umiała pisać, więc od czasu do czasu zastępowała ją na portierni i notowała polecenia telefoniczne księdza Azocara i krewnych albo dawnych pań korzystających z przytułku staruszek. A więc pięć. A kiedy zdały sobie sprawę, że Rosa Pérez zaczyna krążyć wokół nich, ciekawa, co też je łączy z Iris, Brygida, która miała dobrze w głowie, uznała, że aby się od niej uchronić, lepiej będzie opowiedzieć o cudzie tej plotkarze, bo jak nie, to z samego pchania we wszystko nosa wywącha, co się święci, a wtedy, rany boskie, Dom zwali się im na głowy, przecież gotowa zadzwonić do samego arcybiskupa, byle mieć satysfakcję, że je wydała. Tak, lepiej jej wszystko powiedzieć, a w ten sposób i ona będzie zazdrośnie strzegła sekretu. Bo było nieodzowne, żeby nikt, ale to nikt poza nimi sześcioma nie został dopuszczony do sekretu, że Iris oczekuje dzidziusia. Brygida wystąpiła do nich z przemową:

– Amalia, podaj no te sucharki, co są w słoiku. Matka Benita jest w siódmym niebie na myśl, że rozbiorą Dom i zbudują Miasteczko Dziecka, w którym ma zostać zarządzającą, tak podobno obiecał jej ksiądz Azócar, więc wszystko jest jej obojętne, nawet te małe, choć z początku zamiarowała je uczyć, ale teraz same widzicie, jakie łażą obdarte. Jak u Iris już będzie coś widać, podaruję jej mój

kawowy płaszcz, i tak go nie używam. Będzie dla niej trochę za duży, a jak matka Benita będzie się coś pytała, to powiem, ależ matko, przecież bieduleczka wprost trzęsła się z zimna, dlatego jej dałam ten płaszczyk, jest na nią trochę przyduży, ale jak tylko będę miała chwilę czasu, to jej go przerobię, żeby był w sam raz. A potem – i nikt o tym nie będzie wiedział, tylko nas sześć – urodzi się dzieciątko. Trzeba znaleźć gdzieś w głębi domu jakąś izbę, gdzie będzie można je ukryć, żeby nikt się nie dowiedział, że się urodziło, i tam będzie sobie rosło zdrowiusieńkie i śliczne, ale nigdy, przenigdy nie wyjdzie z pokoju, w którym je ukryjemy przed całym złem świata. I będziemy się nim pięknie zajmowały. Przyjemnie jest zajmować się dzieciaczkiem, otulać w chustki, żeby mu nie było zimno... karmić... kąpać... zawijać w pieluchy, ubierać... A najważniejsze, żeby nigdy nie mógł się bez nas obejść, żeby nic nie umiał robić sam, ani mówić, ani chodzić, w ten sposób będzie nas zawsze potrzebował do każdej najmniejszej rzeczy. Byłoby najlepiej, żeby w ogóle nie widział, ani nie słyszał, a my jak matki odgadywałybyśmy każdy znak, który tylko my byśmy rozumiały, i zależałoby od nas, bo wszystko byśmy za niego robiły. Tylko tak można wychować dziecko, żeby było święte, żeby nigdy, nawet jak będzie dorosłe, nie opuściło swego pokoiku, żeby nikt o jego istnieniu nie wiedział, a my zastępowałybyśmy mu ręce i nogi. Pewno, że będziemy po trochu wymierać, ale zawsze znajdą się jakieś stare. I mimo tego, co gadają, Dom będzie zawsze, misia Raquel mówiła, że ta cała rozbiórka to wymysły księdza Azocara, żeby wyłudzić pieniądze od rodziny Azcoitia i od męża tej poczciwej misi Inez. Jak któraś z nas umrze, wybierzemy kogoś na zastępstwo i dziecko będzie przechodziło od jednej staruszki do drugiej, z rąk do rąk, aż pokaże swoją wolę,

któregoś dnia postanowi, że już dosyć tego umierania, i powoła nas wszystkie do Swej Chwały.

*Imbunche.* Wszystko pozaszywane, usta, oczy, pupa, seks, dziurki od nosa, uszy, ręce, nogi. Z głębi odległych chłopskich zabobonów – kiedy to jakieś półindiańskie babki groziły przestraszonym wnuczkom, że jak będą niegrzeczne, przemienią je w *imbunche* – pozostała w Brygidzie ochota, żeby nim się stać lub je stworzyć, ochota, która teraz wypływała na wierzch zamieniona w tłumaczenie przyszłości syna Iris. Całe pozaszywane. Wszystkie otwory ciała pozatykane, rączki i nóżki uwięzione w tym kaftanie bezpieczeństwa, jakim jest nieumiejętność robienia z nich użytku; one, one same chciały zaszczepić się w miejsce tych członków, organów, zdolności mającego narodzić się dziecka: zabrałyby mu oczy i głos i ukradły ręce, i w ten sposób odnowiłyby swoje własne zmęczone organy, by za pomocą tej operacji przeżyć jeszcze jedno życie, prócz tego, które już przeżyły; ukraść mu wszystko i poprzez tę kradzież odnowić siebie. I zrobią to. Jestem tego pewny. Olbrzymia jest siła staruch. Nieprawdą jest to, co mówią, że przysyłają je do Domu, żeby przeżyły w spokoju ostatnie lata. To jest więzienie pełne cel ze sztabami w oknach, z nieubłaganym dozorcą, który dzierży klucze. Państwo zamykają tutaj stare służące, kiedy widzą, że już zbyt wiele im zawdzięczają, i kiedy zaczynają się obawiać, że te baby któregoś dnia okażą swoją władzę i ich zniszczą. Służące gromadzą przywileje nędzy; litość, wysłuchiwane kpiny, jałmużna, przyjmowana pomoc, znoszenie upokorzeń dają im siłę. Zachowują narzędzia zemsty, zabierając w swych szorstkich i pełnych brodawek rękach drugą połowę swych państwa, tę niepotrzebną, odrzuconą, brudną i brzydką, którą oni, łatwowierni i sentymentalni, wydawali im na pastwę wraz

z obelgą ofiarowywania im każdej zniszczonej halki, każdej koszuli zmechaconej przez żelazko. Jak mają nie mieć władzy nad państwem, skoro prały ich bieliznę, skoro przez ich ręce przechodziły wszystkie nieczystości, wszystkie brudy, które tamci chcieli wyeliminować ze swego życia? To one wymiatały z ich jadalń porozsypywane okruszyny i myły talerze i półmiski, i sztućce, wyjadając resztki. To one wycierały kurze z ich salonów, wyciągały fastrygi z ich sukien, wyrzucały zmięte papiery z ich gabinetów i biur. To one słały łóżka, zacierając ślady po miłości legalnej i nielegalnej, udanej lub nieszczęśliwej, nie czując obrzydzenia do tych cudzych zapachów i plam. To one zszywały ich podarte suknie, wycierały im nosy, gdy byli dziećmi, układały do snu, gdy wracali pijani, wycierały rzygowiny i siuśki, cerowały skarpetki, czyściły buty, piłowały paznokcie i wycinały odciski, szorowały w kąpieli plecy, dawały lewatywy, proszki na przeczyszczenie i ziółka przeciw zmęczeniu, bólom, smutkom. Wykonując te czynności stare zabierały coś zasadniczego z osobowości swych państwa, w ich miejsce robiąc to, czego tamci robić nie chcieli... A chciwość ich wzrastała tym bardziej, im więcej dostawały rzeczy, wciąż więcej pożądając upokorzeń i więcej starych skarpetek w charakterze prezentów; chciały wszystkiego. Dlatego Brygida zmontowała tę konspirację chcąc zabrać oczy, ręce i nóżki dziecku, które Iris nosiła w brzuchu, by wszystko stezauryzować jako wspólną własność władzy, której pewnego dnia, któż wie kiedy, któż wie jak – użyją. Nieraz czuję, że chociaż stare powinny spać, nie śpią, że wyciągają z kuferków, spod łóżek, z paczuszek paznokcie i smarki, fastrygi i wymioty, pieluchy i podpaski zaczerwienione od menstruacji ich panienek i w ciemnościach zabawiają się odtwarzaniem tych wszystkich świństw, konstruowaniem czegoś w ro-

dzaju negatywu nie tylko własnych państwa, którym to wszystko zabierały, ale całego świata. Czuję słabość tych staruszek, ich nędzę i opuszczenie, gromadzące się na korytarzach i po pustych izbach, bo tu właśnie, w tym Domu, przechowują swoje talizmany, akumulują swoje słabości, ażeby stworzyć coś, co jest jakby rewersem władzy; tutaj nie przyjdzie nikt, by im go zabrać. I dlatego Hieronim Azcoitia zawsze czuł strach (jakkolwiek jego duma głosiła, że nigdy nie bał się niczego, i nie pozwalała mu się do tego przyznać) przed rzeczami brzydkimi i niegodnymi i przez całe życie nigdy nie ośmielił się przekroczyć progu tego Domu, który przecież należał do niego, póki się go nie pozbył. Nie powinien był tego robić. To było błędem. Należy zachowywać rzeczy. Zawsze pozostaje nadzieja. I teraz trzeba będzie w jakiś sposób załatwić tę sprawę, bo choć pan o tym nie wie, pańska linia przedłuża się, a syn pański musi być właścicielem Domu. My wszystkie staruchy (a od kiedy pozbawiono mnie mojej płci i zaliczono do wspólnego grona, jest nas siedem) pilnujemy pańskiego syna w łonie Iris, a ja zwrócę go panu, aby odziedziczył Dom wbrew wszelkim aktom i podpisom, ażeby nigdy go nie zburzono i ażebym mógł mieć schronienie tu, gdzie don Hieronim nigdy nie przyjdzie mnie szukać, bo lęka się tych wszystkich odcisków przechowywanych przez stare, tych włosów, które zatykały umywalki, a które teraz one trzymają pozawijane w gałganki i papierki. Niech pan nimi nie gardzi, don Hieronimie. Nie są tak głupie, jak się wydają, a ich głupota jest pewnego rodzaju mądrością. Zachowują te amulety właśnie dlatego, żeby trzymać pana w szachu. Tu wchodzić nie wolno! Ja byłem pana wiernym sługą, don Hieronimie, i choćbym chciał przestać nim być – nie mogę. Pan zrobił znak na moim uchu, tak właśnie

kolczykuje się owce. Więc służę panu dalej. A służąc tym pozostałościom, będę sługą sług, wystawiając się na ich kpiny i słuchając ich dyspozycji, staję się potężniejszy niż one, bowiem gromadzę odpadki odpadków, upokorzenia upokorzonych, kpiny wykpionych. Jestem siódmą staruchą i ja będę czuwał nad Azcoitią, który ma przyjść na świat. Zostałem namaszczony wymiotami Iris, które wysprzątałem z kuchennej podłogi i które teraz, w ściereczce, wraz z mymi księgami, manuskryptami i amuletami, przechowuję pod łóżkiem – w miejscu, gdzie wszystkie staruchy przechowują swoje rzeczy.

Pierwsze, co muszę zrobić, to jakoś je sobie zdobyć. Dopóki ich nie olśnię, będę przyjęty tylko nominalnie, mimo że kompletnie im się poddałem.

Parę dni minęło, a ja tymczasem przygotowywałem wszystko nie oponując, gdy ledwo się do mnie odzywały i spoglądały na mnie spode łba. Wreszcie któregoś dnia powiadomiłem je, że znalazłem miejsce, moim zdaniem idealne, aby tam właśnie Iris urodziła dziecko w sekrecie przed wszystkimi, dziecko, które potem my – siedem wtajemniczonych staruch – będziemy mogły wychowywać już bez końca i bez żadnych przeszkód.

I ruszyliśmy w drogę do tego patia w głębi Domu, gdzie mieszkam i gdzie jest również cmentarz świętych. Stare przeżegnały się, mijając kapliczkę, potem przeszliśmy przez patio pomarańczowe i zagubiliśmy się w gmatwaninie podwóreczek i korytarzyków w tylnej części Domu, które ja jeden znam. I tak doszliśmy do mojego patia.

Gdy tylko otworzyłem drzwi i usłyszałem ich okrzyki, zrozumiałem, że wystarczy pokazać im cmentarz połamanych świętych, aby je zdobyć. Ruszyły pokrzykując

pomiędzy bezgłowych świętych Franciszków, archaniołów Gabrielów z odbitymi małymi paluszkami, świętych Antonich Padewskich kulawych i bezrękich, Matki Boskie z góry Carmel, Nieustającej Pomocy i Lourdes w pofarbowanych sukienkach i pozbawione wszelkich insygniów świętości, Dzieciątka Jezus bez korony ani ręki wznoszącej kulę; ruszyły w złudną elegancję gronostajów i blichtr gipsowych drogocenności, całkiem zblakłych na słońcu i deszczu. Brygida znalazła jakieś odbite stopy, które postanowiła sobie zabrać twierdząc, że należą do Niepokalanego Poczęcia, odłóż no mi to gdzieś na bok, Głuszku, może potem znajdziemy jeszcze jakieś kawałki i zmontujemy całą figurę. Naokoło anioły bez skrzydeł, nie zidentyfikowani święci najróżniejszych rozmiarów, bez członków, kawałki, które lata i klimat zniszczyły, gołębie opaskudzały, szczury ponadgryzały, ptaki powydziobywały oczy i pępki, ale cóż, nikt nie decydował się wyrzucić tego, co było przedmiotem kultu, trzeba to szanować, nie można pozwolić, by w śmietniku zmieszało się z resztkami jedzenia i nieczystościami, nie, trzeba zawieźć to do Domu Ćwiczeń Duchowych „Zwiastowanie" w Chimbie, gdzie wszystko się zmieści. Matka Benita każe mi wziąć wózeczek, ładuję te połamańce i taszczę aż do mojego patia, aby wykończyły je lata i deszcze, podczas gdy na ołtarzach obecność ich zostaje zastąpiona przez świeżo zamówione, niemal identyczne figurki, może ten wizerunek Bernadety mniej zezuje, może loki Jezusa mają trochę inny żółty odcień, może pozycja świętego Sebastiana jest mniej dwuznaczna. Matka Benita nie zna mojego patia. Surowo zabroniła, żeby ktokolwiek tu przychodził. To patio Głuszka. On je sobie wybrał, widać mu odpowiada. Niech chociaż to będzie naprawdę jego, żeby mógł tam robić, co mu się żywnie podoba, mieć choć kawałeczek

osobistego życia, trzeba szanować tego człowieczka, który od tylu lat poświęca się tu w Domu dla nas wszystkich.

Stare rozlazły się po patiu pokrzykując, kucając i wstając, zbierając kawałki gipsu, ręce, torsy, wieńce, korony i draperie, skrobiąc, ekshumując podejrzane świętości, które tylko one były w stanie rozróżnić. Święta Agata i święty Krzysztof, i święty Roman Nie Urodzony, ależ nie, Dora, przecież to habit świętego Franciszka, nie, świętego Dominika z Salez, nie widzisz, że ma kaptur brązowy, a w dodatku powiem ci, że święci Sebastianowie zdarzają się dość rzadko, słuchaj, Amalio, poszukaj no mi tego brakującego kawałka Niepokalanego Poczęcia, trudno będzie, chociaż tu jest głowa z gwiazdami, może się nada, bo ja wiem, o, a ten święty Gabriel, muszę mu poszukać tego podniesionego paluszka, to będzie jak nowy, a ja sobie znajdę jakąkolwiek Matkę Boską, to wszystko jedno przecież, i zrobię sobie Zwiastowanie na komodzie.

– Zwiastowanie jest 25 marca...

– Jaka szkoda, że tu, w Domu, nie obchodzimy tego święta...

– Za to Boże Narodzenie, jak raz w dziewięć miesięcy po zjawieniu się Archanioła Gabriela, przecież święcimy...

– Poczekajcie, idę popatrzeć za paluszkiem archanioła.

Musiałem zaklaskać w ręce jak w czasie szkolnej pauzy, aby zwrócić im uwagę, że trzeba wracać do rzeczywistości i do tego, po co tu przyszliśmy, tędy, uważajcie, bo się potkniecie, ja tu mieszkam, to jest moja izba, a to moje łóżko, i nic więcej tu nie ma prócz tych ukrytych drzwiczek; prowadzą właśnie do tej sutereny, którą wyporządziłem, a w dodatku ja zawsze będę na miejscu, żeby pilnować wejścia. Nie tylko wywiórkowałem i zapastowałem podłogę z suchych desek i wykleiłem ściany starymi gazetami, ale również, jako że świetnie wiem, co

która z pań trzyma w jakim kufrze i które cele należą do takich, co nigdy nie przekraczają naszego Domu, obrabowałem kilka pozamykanych od lat, powyciągałem dywany, obrazy, łóżka z kołdrami i kapami, nocne lampki, kołyseczkę z brązu ozdobioną kulami i baldachimem, wszystko w nie najlepszym stanie, ale, ostatecznie, w półmroku sutereny i tak będzie lśniło w oczach staruszek.

Chciałem również przynieść rzeczy Boya, które Inez trzyma w specjalnym kufrze w drugiej celi, tej, do której najczęściej zagląda, ale nie ośmieliłem się, bo Inez doskonale wie, co gdzie ma schowane, o, ta to jest dokładna, pedantka, że aż. Od lat nie otwieraliśmy kufra zawierającego pełną wyprawkę Boya, tego czarnego świata z brązowymi okuciami pełnego cudów przeznaczonych dla Azcoitii, którego stale odmawia jej uparta macica. Kiedy teraz szukałem rzeczy dla Boya, którego ma urodzić inna, nie mogłem się powstrzymać i otwarłem świat, aby spojrzeć na to raz jeszcze; wiele mnie kosztowało, żeby oprzeć się chęci buchnięcia czegoś, niechby śliniaczka wyhaftowanego przez Petę Ponce, niechby niebieskich włóczkowych bucików. Ale nie. Niewykluczone, że gdy Inez wróci z Rzymu jak niepyszna po całym fiasku z tą beatyfikacją, bez zajęcia ani perspektyw pomagających zabijać czas, jeszcze częściej będzie przyjeżdżała do Domu, aby żyć w otoczeniu swych staroci, porządkować je, czyścić i układać. Jeżeli zapyta, kto grzebał w celi pod jej nieobecność, powiem, że ja, że zabrałem się do wielkich porządków i na wszelki wypadek przesypałem naftaliną jej rzeczy. Tak powiem. A ona mi da napiwek, który przyjmę niby jeszcze jedną obelgę, by dołożyć ją do wszystkich, jakie skrzętnie ciułam.

To już dwa miesiące, od kiedy nasze życie siedmiu staruch kręci się wokół przygotowań na przyjęcie dziecka.

Szyjemy mu bieliznę, cienkie pieluszki z lnianego prześcieradła po Brygidzie, ten szal należy spruć, porządnie uprać wełenkę, bo to dobra wełna, nie taka jak te elektryczne, co dziś sprzedają, a potem Dora go zrobi, ona świetnie szydełkuje. Przyozdobimy też kołyskę tym tiulem, jest trochę połatany, ale cóż, jesteśmy biedne, mimo to dziecko będzie miało kołyskę, która w półcieniu będzie wyglądać naprawdę po królewsku. Szkoda, że się zmarło biednej Brygidzie i że nie pozna dzieciaczka, wykazywała tyle zapału! Pozostaje pociecha, że dziecko wyciągnie ją potem z grobu, ażeby wraz z nami wszystkimi zabrać do nieba. Cóż – takie życie. Te miesiące nie będą łatwe, bo Iris niedobrze się czuje, ma migreny, puchnie, ty, Mario, jako znachorka powinnaś wiedzieć, co się z nią dzieje.

Trzeba ją położyć do łóżka. Znowu źle się czujesz? To jest twoje łóżko, a to kołyska, będziemy się razem z tobą bawiły w dzidzi i w mamę, no, bawmy się, bawmy, połóż się i udawaj mamusię. Ale jak się mamy bawić w mamę, pani Ryto, na to trzeba mieć lalkę albo chociaż kukłę z gałganów, tak się bawiłam, jak byłam mała, bez lalki to nie ma żadnej zabawy, obiecywałyście, że mi podarujecie taką dużą lalę, co będzie zamykała oczy i mówiła mama, taką dużą jak prawdziwe dziecko, i nie dotrzymałyście. Poczekaj, Iris, odpocznij sobie, damy ci, damy lalę, bądź spokojna, prześpij się trochę, nie powinnaś wiedzieć, że jesteś przy nadziei, bo się będziesz bała tego cudownego dziecka, którego czekasz, i jeszcze nas oskarżysz, i zabiorą je nam...

W suterenie jest cieplutko, drzewne węgielki płoną w glinianej misce dzień i noc, aby osuszyć klajster, którym Głuszek naklejał gazetowe tapety. Amalia prasuje pieluszki. Maria Benítez chce mieć wszystko gotowe na poród:

miesza jakieś pachnące mikstury, czeka, aż się zagotują, dorzuca innych ziół, które zmieniają zapach w pokoju, cedzi, studzi, wlewa kolorowe płyny do rozmaitych flaszeczek. To do zagęszczenia krwi, co tam wiadomo z pierworódką. A to do dezynfekcji. A z tego trzeba robić kompresy, jeżeli jej nie przejdą migreny. Mówcie ciszej, dajcie jej spać. Popatrzcie, jak sobie śpi! Spójrzcie tylko, jaka ładna! Może nie wygląda na świętą? Identyczna z tą kolorową Matką Boską, która wisi w biurze matki Benity. Jaka młodziutka... A jaka cera... Podobno w ciąży zawsze się ma ładną cerę. A właśnie że nie zawsze, niektórym się psuje, że niech Bóg broni. Damiana, nowa, leciutko dotyka wierzchem dłoni jej policzka... jedwab! Jak to będzie ładnie, jak już będzie miała dzieciątko i będzie je karmiła piersią, tu, w tej suterence ciepłej, pachnącej. Wszystkie chodzimy na palcach, ażeby nie obudzić przyszłej mateczki, pełne szacunku dla sekretu, który nosi w łonie chronionym warstwami wnętrzności, mięsa, skóry, do tego właśnie służących.

Iris w łóżku przez sen ssie palec, a my oddajemy się odwiecznym kobiecym zabiegom przygotowywania pokoju na przyjęcie mającego narodzić się dziecka i rozkoszujemy się tymi rytuałami, które zapalają nasze uśpione instynkty, tak już bliskie pustki, w jaką niedawno osunęła się Brygida – to jest zresztą inna uroczysta okazja, przy której nasze instynkty znowu się budzą: oddajemy się rytuałowi śmierci, płaczemy, lamentujemy, stare kobiety zawsze spełniały rolę płaczek. Bo dobrze jest płakać i lamentować w czasie pogrzebów, tak jak dobrze jest radować się w czasie narodzin. Nasze stare głosy łamią się w tym nie kończącym się kłębku komentarzy, ćć... ciszej, bo ją obudzicie, teraz inaczej jakoś brzmiące, ogrzane, ubrane w nowe ciepło pełne rumieńców, jakby i one zmartwychwstawały wraz

z obyczajami poprzedzającymi narodziny, z tą liturgią, w której nie może uczestniczyć żaden mężczyzna.

Tak. Błogosławiony stan Iris jest cudem. Tej prawdy, raz stwierdzonej, nikt nie kwestionuje, bez trudu przyjmujemy, że to wyjątkowe zapłodnienie odbyło się bez udziału mężczyzny, z radością zapominamy o normalnym akcie poprzedzającym poczęcie, zastępując go tajemniczym cudem dzieworództwa. Czujemy potrzebę wykluczenia myśli, że jakiś mężczyzna brał w tym udział. Chcemy oddalić lęk, że mógłby chcieć wyreklamować swego syna. Dlaczego miałybyśmy dzielić dziecko z jakimś mężczyzną, skoro to kobieta cierpi, kobieta rodzi, kobieta karmi; ona poświęca się, a on bierze udział tylko w przyjemności zapładniania, w przyjemności nieczystej, przelotnej, a jeżeli przypadkowo i myśmy kiedyś ją odczuły, odcinamy się od niej w dalekim zapomnieniu, bo dla tych, które tego dostąpiły, ważniejsza jest inna rozkosz: bycia matką. Iris jest czysta. Żaden mężczyzna nie może sobie rościć praw do tego, co nosi w swoich wnętrznościach. Niechaj nikt nic nie wie, niechaj nikt nic nie widzi, tu w suterenie, którą wyszykował nam Głuszek – nasz dzielny Głuszek, co my byśmy bez niego poczęły – dostępujemy prawdziwych rozkoszy prasując i składając pieluszki, szydełkując kołderki, wiele kołderek, aby nie owijać dzieciątka w byle co, gdy mu będzie zimno, dla niemowląt przeziębienie jest niebezpieczne, chociaż teraz podobno są jakieś czopki, które w ciągu jednego dnia leczą katar, trzeba by kupić tych czopków, jedwabnymi wstążeczkami przywiązujemy riuszki do firaneczek u baldachimu, to jest ceratka na materacyk, trzeba go zabezpieczyć od siuśków, bo jak przegnije, będzie śmierdział, a tu w suterenie jest słaba wentylacja, śliniaczki można by zrobić z tego jedwabiu, taki ładniuchny, niebieściuchny, a to przecież będzie

chłopaczek, ale jedwabne śliniaki są do niczego, nie można ich prać w wodzie – przecież nie będziemy za każdym razem posyłać ich do chemicznej pralni, dzieci bez przerwy plamią śliniaki, trzeba im co chwila zmieniać, co za gadanie, jedwab pierze się jak złoto, Amalio, jak możesz być taka głupia, żeby nawet tego nie wiedzieć, prawdziwy jedwab, delikatny, świetnie się pierze, zmoczyć, potem tylko trochę przesuszyć i jeżeli żelazko nie jest za gorące…

# 5

Nie dlatego wstaję i chodzę nocami po tym niezbadanym Domu, że czuję się szpiegowany; ale z czasem wsączyła się we mnie myśl, że nie jestem sam, że ktoś inny również snuje się po patiach, po pustych pokojach, przejściach, korytarzach. Nie są to stare, które stosunkowo wcześnie wycofują się do swych dziur, ani siostry, które padają na nos ze zmęczenia i nawet nie mają sił, by się pomodlić, kiedy staruszki wreszcie zamkną się u siebie.

To ty. Przeczułem to od samego początku. Nie widziałem cię ani nie słyszałem, ale ogarnęła mnie pewność, że przestrzeń, która mnie otulała, otula również i twoje ciało, dziecinne, brudne, plugawe. A przecież o takich porach powinnaś była spać jak inne sieroty, nie zaś włóczyć się samotnie, zatrzymywać się, znowu ruszać nieopodal miejsc, gdzie spacerowałem. Czemu błądziłaś po korytarzach nocą? A więc tylko udawałaś, że tak jak stare boisz się ciemności, pajęczyn, kukułek, *imbunches*, rumowisk, złoczyńców don Klemensa, złych psów, lochów, w które się wpada, Cyganów, co kradną dzieci, czarności, kuku-ku-ku-kuku... Czemu chodziłaś za mną? Czemu mnie prześladowałaś? Chociaż nie, nie prześladowałaś mnie. To była tylko obecność, ale ta obecność mąciła równowagę moich pustych nocy, dotąd nie skażonych niczym, ani wspomnieniem, ani pragnieniem, nocy, w czasie których nikt

nie narzucał się mej wrażliwości. A ty wstawałaś tak, aby inne sieroty o tym nie wiedziały, po to, by przekonać się, że nie sypiam, że błądzę po Domu do późna, nieraz do rana, i stawałaś na mojej drodze, z początku nie ukazując się, zmuszając mnie jednak, bym wyczuł cię wśród nocnej przestrzeni – mojego królestwa – żądając, bym szedł za tobą, nie widząc cię, niby pies po śladzie.

Kiedy w ciągu dnia szybko przechodziłem przez patio, aby zatkać pękniętą rurę zagrażającą zalaniem krużganku, widziałem cię, jak pod lipą grasz z koleżankami w klasy... Stawałem, patrzyłem na ciebie, ukryty w cieniu któregoś z korytarzy, czekałem na wskazówkę, na znak... Ale ty mnie nie widziałaś. Chociaż może i tak, bo umiesz patrzeć nie patrząc i widzieć nie widząc.

Nie jestem w tobie zakochany. Nie budzisz też we mnie żadnej z tych obezwładniających nostalgii, które ludzie w moim wieku odczuwają wobec zetknięcia z młodością – jesteś stworem niższym, Iris Mateluno, strzępem jakiejś prymitywnej egzystencji otaczającej płodną macicę, rzecz tak zasadniczą dla twej osoby, że cała reszta jest tylko zbędną skorupką. Ale twoja obecność w Domu przyciągała moją uwagę w sposób tak zdecydowany, że zrezygnowałem z nadziei na przypadkowe spotkanie w ciągu dnia i zacząłem przemyśliwać nad sposobem natknięcia się na ciebie w oczekiwaniu na jakiś znak. Ale nie nadchodził; nie patrzyłaś na mnie; nie widziałaś mnie. Przyzwyczajony jestem, że oczy patrzących prześlizgują się po mnie, że nie zatrzymuję na sobie niczyjej uwagi. Ale wobec tego czemu chodziłaś za mną, skoro nawet jednym spojrzeniem nie chciałaś uznać mojego istnienia?

Aż pewnej nocy spotkałem cię w korytarzu samą. Z wielkich arkuszy gazet robiłaś sobie trójgraniaste kapelusze. Uśmiechając się do mnie swoim bezmyślnym

uśmiechem, ukazującym złamany siekacz, nałożyłaś sobie taki kapelusz na głowę, jakby to było coś niesłychanie zabawnego. Nie zapamiętałem twej twarzy owego wieczoru, ale zraniła mnie groźba wzniesionej pięści i okrutny wyraz brodatego lidera, wrzeszczącego wniebogłosy w minionym czasie utrwalonym na gazetowej czapce.

To był znak, że zaczyna się strach: brodaty lider ścigał mnie nocami po korytarzach w otoczeniu swoich uzbrojonych zbirów, śmierdzących, żądnych krwi, grożących jej rozlewem. Co mu zrobiłem, że mi groził? Czym byłem? Nikim, niczym. Jestem niczym i nikim. Znałem go tylko ze zdjęć w starych gazetach, które arcybiskup ciężarówkami przysyłał do Domu, trzeba to przechować, matko Benito – gazety, pisma, książki, nawet najstarsze, mogą się do czegoś przydać. Czego chciała ode mnie ta apokaliptyczna twarz, której pełno było w Domu? Nocami z wrzaskiem gonił mnie po galeriach, wymyślał mi od tchórzy, lizusów, bab, sprzedawczyków ciągnących za sobą świtę, która recytowała listę wszystkich tragedii świata, która niszczyła moją samotność wzywając rozjuszone tłumy, by wtargnęły w mój świat i starły go na proch.

Nie zaprzeczysz mi, że dobrze wiedziałaś, co robisz, kiedy składałaś gazetę i ubierałaś się w tę czapkę, nie zaprzeczysz, że dobrze wiedziałaś, po co sięgasz po tę twarz, tę groźbę zwróconą przeciw mnie.

Ale ten Dom jest bardzo wielki. Siły, które tkwią w spokojnym bytowaniu staruch i które wypełniają tę pustkę, mają zdolności rozpuszczające i tłumy powoli uciszyły się i roztopiły w tym ogromie, przez kilka nocy pozostał jeszcze brodaty lider z grożącą pięścią, po czym i on stał się z powrotem już tylko papierowym kapeluszem, starą gazetą, która wreszcie ustąpiła miejsca twojej jasnej

obecności, gdy tak stałaś ze wzniesioną ręką, oddzielając sobą ulicę od palmowego patia.

Światła przejeżdżającego samochodu zielono zabłysły w szkle po butelkach, którymi nabity jest mur, aby nikt nie mógł ani wchodzić tu, ani stąd wychodzić. Opuściłaś rękę: niewzruszona. I dalej snułaś się po ciemnościach spokojnie, bez lęku, zmuszając mnie, żebym szedł za tobą; tego chciałaś: żebym szedł za tobą, żebym robił to co ty, żebyśmy się zatrzymali i nasłuchiwali, jak ktoś nocą wraca do siebie, pogwizdując. Wiedziałaś, że śledzę cię spoza framugi. Mogłaś mnie złapać na tym, ale wolałaś tego nie robić. Lepiej było mnie nie widzieć. Gdybyś mnie zobaczyła, musiałabyś mnie poznać, zobaczyć, że to ja, Głuszek, który zamiata patia i ciągnie wózek naładowany starymi gratami, a wtedy musiałbym cię wydać, o proszę, matko Benito, proszę, niech matka patrzy, co ta mała wyprawia, zamiast leżeć w łóżku, wstałem, bo usłyszałem jakiś hałas i zląkłem się, czy to nie złodzieje, patrzę – a to ona, co też tu robi o tej porze, trzeba by ją oduczyć, ukarać... Wygodniej ci było nie widzieć mnie.

Co noc ciągałaś mnie za sobą z jednego końca Domu na drugi, aby oglądać odbłysk ulicznych latarń na belkach, słuchać klaksonów i dzieci grających w czasie dusznych letnich nocy na chodnikach, w czego pragnie wasza wysokość trali lala lu, chciałbym któregoś z twych synów trali lala lu, a jakże my go nazwiemy trali lala lu, a ja szedłem za tobą, żebyś nie pobłądziła, nie została na zawsze w jakimś dalekim pustym pokoju, żebym ja z kolei nie został bez rozwiązania tajemnicy naszych nocnych spacerów, wspólnych, mimo że nie widzimy się nawzajem... Otwierać pozamykane drzwi wiodące na piętra, wyciągać gwoździe z desek pozabijanych na krzyż, szarpać je, aż ustąpią, ale nie ustępują od twego szarpania. Otwórz

te drzwi, otwórz mi je, nie bądź paskudny, co cię kosztuje otworzyć mi drzwi, żebym mogła zobaczyć, co jest na górze, co widać z pierwszego piętra, ja tego nie widziałam nigdy. I w końcu ta noc po wielu innych, kiedy podeszłaś do tych drzwi, stanęłaś przed nimi, odeszłaś, znowu wróciłaś, znów próbowałaś otworzyć i nagle zobaczyłaś, że gwoździe są obluzowane, deski ustąpiły, że zrozumiałem twoje rozkazy, posłuchałem cię i otworzyłem zabite drzwi, żebyś mogła wejść na górę i przejść się po galeriach otaczających pierwsze piętro, że otworzyłem sypialnie z dwudziestoma łóżkami, a w nich wszystkie okna, byś mogła popatrzeć na ulicę. Moja uległość uspokoiła cię. Znalazłem trójgraniasty kapelusz w błocie na patio i spaliłem go. Zapach smalącej się brody niemal od razu rozwiał lekki wiatr.

Co noc wchodziłaś na górę, by spojrzeć przez okno. Zapoznałaś się z chłopakami z sąsiedztwa. Krzyczeliście do siebie, ty tańczyłaś na parapecie okna dla grupki, wciąż się zmieniającej, która oklaskiwała cię z dołu. Już nie błądziłaś po Domu bez celu. Kiedy upewniłem się, że jesteś tam, na górze, zwrócona twarzą ku ulicy, tyłem do mnie, znowu poczułem spokój moich galerii, moich korytarzy.

Gdy ktoś ustępuje wobec czyichś żądań, poniża się, a zaspokojenie żądającego jest krótkotrwałe, gdyż po chwili pożądliwy potwór znowu wystawia pazury, żądając więcej i więcej, i więcej. Dobrze wiedziałem, Iris Mateluno, że nie na długo ci starczy podchodzenie do okna, że, nie zaspokojona tym, wkrótce zaczniesz domagać się czegoś innego, że znowu zaczniesz nocami chodzić za mną po galeriach, chcąc, bym ci dawał to, na co będziesz miała ochotę, ale ja nie chcę cię słuchać, Iris Mateluno, jesteś tylko ciałem pełnym sprzecznych odruchów. Już zdążyłaś

zapomnieć, że twój ojciec zarżnął twą matkę w łóżku, w którym sypialiście we troje, tak jak zapominasz o wszystkim po kolei, jedno elementarne pragnienie zastępując następnym, blaskiem światła ponad murem, oknem na ulicę, a teraz... Ale tego nie mogłem ci dać, więc aby jakoś ci się oprzeć, uciekłem przed tobą, kryjąc się w czeluściach Domu, nigdy jednak nie zdołałem naprawdę ci umknąć, zawsze udawało ci się odnaleźć mnie i zmusić, bym chodził za tobą po tych korytarzach, po tym labiryncie, którego – jak mi się wydawało – ja jeden się nie obawiałem, a w którym teraz, przez ciebie, sam straciłem orientację, tu, w tym Domu będącym mym domem, w tym Domu, który znałem jak własną kieszeń. A kiedy wreszcie wydawało mi się, że doprowadziłem cię do zakamarka, gdzie miałem nadzieję na zawsze cię zgubić – niespodziewanie znalazłem się na wejściowym patio. Jak to się stało?

Ukryty w gęstym geranium obrastającym skały, które imitują grotę w Lourdes, patrzyłem, jak zdejmujesz sztabę z bramy. Słyszałem, jak manipulujesz zamkiem, chociaż wiesz, że zamknięty jest jak co noc, klik-klak, po prostu w ten sposób objawiając mi twoje nowe wymagania. Nie, Iris. Tego już za dużo. Namacałem klucze w kieszeni fartucha. Nie miałem zamiaru cię słuchać. W końcu nie wiedziałaś, że chodzę za tobą. Domyślałaś się tego tylko i właściwie wystarczyło udać, że o niczym nie wiem. Niby rzucając kamyk tak jak przy grze w klasy, teraz czekałaś, aż ci otworzę bramę.

Nie zrobiłem tego. Nie posłuchałem cię. Znikłaś w krużganku, skacząc na jednej nodze i kopiąc nią kamyk. Zostawiłaś bramę bez sztaby. Jak tylko zobaczyłem, że znikłaś, podbiegłem i założyłem ją; to mój obowiązek, co noc robiłem to przez lata. Nie lubię, kiedy w nocy sztaba jest zdjęta.

Wiele nocy z rzędu robiłaś to samo: zdejmowałaś sztabę i bawiłaś się zamkiem, chociaż wiedziałaś, że jest zamknięty, ale ty nic, klik-klak, klik-klak, znaczenie miało tylko to, że w ten sposób wydajesz mi polecenie; po czym oddalałaś się w kierunku twego patia, zostawiając bramę bez sztaby. Zakładałem ją, gdy tylko znikałaś. Aż pewnej nocy nie poszłaś do siebie. Widocznie schowałaś się na chwilę, by mnie zmylić, a w trzy minuty potem, zaledwie zdążyłem zaryglować bramę i ukryć się, wróciłaś i znalazłaś sztabę założoną. Nawet nie zaczęłaś bawić się zamkiem. To już nie było potrzebne, skoro mnie nakryłaś.

– Głuszku?

– Iris – odpowiedziałem, ale nie usłyszałaś mnie, bo mojego głosu nie słychać. Nie wyszedłem z groty. Twoim wybiegiem zmusiłaś mnie jednak do wspólnictwa, gdyż następnej nocy, gdy Dom pogrążony był w śnie, a ty podeszłaś do bramy, okazało się, że sztaba jest zdjęta, zamek otwarty. Obserwowałem cię – nie zrobiłaś żadnego ruchu, który by mógł zdradzić mi twoje zaskoczenie. Pchnęłaś bramę i wyszłaś na ulicę.

Czekałem na ciebie pośród skał ze zwietrzałego cementu. Zamknąć. Przekręcić klucz i założyć sztabę. Na poczekaniu wymyślić jakąś legendę usprawiedliwiającą twoje zniknięcie, skradli cię Cyganie, pożarła kukułka, porwał twój ojciec-morderca, pochłonęły ciemności Domu, wpadłaś do studni, zabłądziłaś gdzieś na strychu, zatrzasnęłaś się w kufrze, w którym grzebałaś. Uwierzyliby we wszystko i tylko ja wiedziałbym, że zostawiłem cię na ulicy, wydałem w ręce karabinierów, którzy oddaliby cię doktorom, aby cię poćwiartowali, odcinając kawałek po kawałku, masz młode ciało, wielu ludziom przydałyby się twoje członki, doktor Azula wiecznie potrzebuje gruczołów i macic, a przede wszystkim oczu, ciągle szuka oczu,

których nie może znaleźć, a których żąda don Hieronim (sam mu ich dostarczałem), i tak, poćwiartowana, przeszczepiona po kawałeczku w ciała innych, podzielona, wreszcie przestałabyś istnieć.

Ale zanim jeszcze zdołałem oddać cię katom, brama uchyliła się i po niecałych dziesięciu minutach wróciłaś nucąc coś zbyt głośno, tobie nie zależało już na zachowaniu sekretu, teraz ja, twój wspólnik, musiałem cię chronić. Przechodząc przed Matką Boską z Lourdes przeżegnałaś się nie przerywając śpiewu „czarnuszko miła, porusz biodrami, twoja to siła rządzi mną"... ani też rytmu twych kroków. Nawet nie uśmiechałaś się niepewnie jak ludzie mający nieczyste sumienie. Nic. Śpiewałaś. Ziewnęłaś. Znikłaś.

Podszedłem założyć sztabę, zamknąć zamek, bo ty nie pofatygowałaś się, by to zrobić; zastałem ją szeroko rozwaloną na tę potworną noc, tak łagodnie płynącą tam, za murami.

Od czasu do czasu zostawiałem jej bramę otwartą, by mogła wyjść. A sam czekałem na jej powrót całymi godzinami, nieraz do świtu, ukryty wśród sztucznych skał groty. Ale nie było mnie w Domu: myślami byłem tam, z Iris, na ulicy, wyobrażając sobie, jak też toruje sobie drogę poprzez gąszcz miasta, pośród psów, starych budynków, drapaczy, gdzie wszystko na nią czyha: mosty, aleje, samochody, zamęt, w który mnie ciągnie za sobą, by wydać don Hieronimowi.

Bo mnie ciągnęła za sobą jak psa, przyczepionego łańcuchem, bym szedł za nią wszędzie, słuchał jej ślepo, bezwolnie, w kolczatce nie pozwalającej mu wybiec na jezdnię, by go nie przejechał samochód, w kolczatce, jaką zmusza się do posłuszeństwa niekarne psy, bo gdy nie słuchają, przy najlżejszym pociągnięciu ze strony pana

kolce włażą im w szyję, aż wreszcie, z szyją w ranach, przestają się opierać, bo boli, bo zbyt bolesna jest własna wola, własne pragnienia, wreszcie, chcąc, by mnie nie bolało, by nie krwawiła mi szyja, gdy tylko jej się zechce pociągnąć za łańcuch, zapominałem, że kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, miałem własną wolę, że usiłowałem sprzeciwiać się Iris Matelunie, że w ogóle znałem pojęcie nieposłuszeństwa. Teraz jestem posłuszny. Iris jest okrutna i nieraz rani mi kolcami szyję tylko po to, by widzieć moje cierpienia. Idę za nią w sporej odległości, tyle żeby nie stracić jej z oczu, starając się, by mnie nie widziała, pozwalając, by gadała z przyjaciółkami... Ktoś stawia jej coca-colę, wchodzi do sklepiku, gdzie chłopcy z sąsiedztwa grają w stołowy futbol i handlują starymi magazynami, gdzie uczą się nowomodnych tańców i piosenek, grają w *emboque*[1] i czytają jej *novelas*. Idzie za Olbrzymem, pomagając mu rozdawać kolorowe ulotki: „Martín Pescador sprzedaje na raty materace, łóżka, kołdry, artykuły domowego użytku. Ceny tak niskie, że by je dostrzec, należy się schylić". Gina, przyjaciółka Olbrzyma – tak mówią o niej w dzielnicy. Wszystko to takie niewinne, takie dziecinne...

A jeżeli don Hieronim dowie się, że Iris taszczy mnie za sobą po ulicach? Najprawdopodobniej nie pozna mnie pod postacią psa, wyzutego z wszystkiego, czym był Humberto, prócz ostrości spojrzenia – tego doktorowi Azuli nie udało się mnie pozbawić. A jeżeli jego zbiry dopatrzą się moich oczu w pysku psa Iris? Wtedy zawładną mną, tym razem już bez ratunku, nie mogę dłużej czekać, Humbercie, jestem już stary, doktor Azula, jego lancety i jego biało ubrani asystenci są gotowi, ciągle jeszcze na

[1] *Emboque* – dziecinna gra, rodzaj sersa (przyp. tłum.).

moich usługach, czekają tylko, by cię odnaleźć, teraz już dość, musisz zwrócić mi moją własność, którą tak długo przechowywałeś. Ci ludzie, którzy czają się za drzwiami domów, to jego ludzie, o, ten człowiek, który wychyla się zza węgła i patrząc mi prosto w twarz niby to gładzi sobie wąsy, ale nie, on ich nie gładzi, przykleja je gumą, to fałszywe wąsy, po to abym go nie poznał, tak jakbym mógł go poznać, ja, który nie poznaję nikogo, nawet Emperatriz pilnującej mnie zza szyby przejeżdżających samochodów, jej oślinione kły, zmarszczki na jej czole karlicy, ona też mnie szuka, każdy ma w tym jakieś osobiste cele, ale najgroźniejsza jest Peta Ponce, najbardziej nieubłagana, najokrutniejsza, najtrudniejsza do rozpoznania, bo można pomylić ją z każdą inną staruchą, nie słychać jej kroków, umie znikać, ech, nie dajesz mi spokoju, stara lubieżnico, ale ja kpię z ciebie, bo służę takim samym staruchom jak ty, tyle że one nie znały mnie w sytuacji, w jakiej ty mnie znałaś, więc dają mi spokój tam, w Domu... Jestem jedną z nich, don Hieronimie, jestem psem Iris, pozwól mi odpocząć, nie ścigaj mnie, służyłem ci wiernie, patrzeć to także służyć; sam wiesz, że służbie przypada coś z tych, u których służyli, nie możesz tego nie wiedzieć, rozumiesz więc, że ja, tak długo będąc świadkiem twego szczęścia, wziąłem z ciebie coś bardzo zasadniczego. Doskonałość waszego pożycia wciąż miałem przed oczami niby daleką panoramę przepięknych, lecz nieosiągalnych gór; panorama ta przykuwała moje oczy, a Hieronim i Inez odnajdywali w nich uczucie podziwu i zazdrości, którego potrzebowali. Nie byli w stanie żyć bez mego spojrzenia, widniejąca w nim zawiść była zasadniczym warunkiem ich szczęścia – tworzyła je; karmili się bólem, który malował się w mych oczach, gdy na nich patrzyłem. Nie mnie – beze mnie można było się obejść

– lecz moją zawiść don Hieronim opłacał latami. Ale zabrałem mu moje spojrzenie i zachowałem jego władzę, jest moja, nie oddam mu jej, nie oddam, nie pozwolę, by mi ją zabrano, i ukrywam ją tu, w głębi Domu, żebyś mnie jej nie pozbawił, don Hieronimie, ażebyś nigdy już więcej nie doznał szczęścia. Dlatego nie wyjdę z Iris na ulicę, nawet w roli jej psa, nawet gdyby mnie kopała i biła żądając posłuchu, nie, nie wyjdę, będę tkwił tutaj, jeszcze jeden gipsowy święty wśród tych sztucznych ruin.

Olbrzym i Iris byli szczęśliwą parą. Moje spojrzenie poiło się nimi, wymyślając różne szczegóły tego stosunku, który teraz odbywał się na zasadzie wyłączności, bo Iris uwielbiała swego Olbrzyma, ożeni się ze mną, opowiadała sierotom, popatrzcie, tu w tym magazynie jest jego fotka, o tu, przy Mickey Mouse, to on, a za nim idzie pies Pluto, to on, mój Olbrzym, ten sam, którego tak często tu widujecie, gdy czekam na niego na balkonie pierwszego piętra i wołamy do siebie, zaczekaj, Olbrzymie, później, jak stare pójdą spać, zaczekaj na mnie, przyjdę do ciebie, bo jesteś taki wielki jak nikt na całej ulicy.

Siedząc na brzegu chodnika gadali z sobą bez końca. Nie wiem o czym, nie mam pojęcia, o czym można mówić z takim stworzeniem jak Iris Mateluna, która zna tylko swoje ciało, bo reszta – jej wieś, jej zamordowana matka, jej ojciec bandyta – pozostali gdzieś w innym wcieleniu, które z obecnym, z tym, w którym ona jest przyjaciółką Olbrzyma, nie ma tak dalece nic wspólnego, że ona nawet nie nazywa się Iris, ale Gina, to jakoś nowocześniej, Gina, Gina, zatańcz nam, Gina, pomachaj cycuszkami, Gina, ale już, tu, teraz, na tym rogu, ruszaj no się, Gina, ruszaj no się, jak Pan Bóg przykazał...

Muszę przyznać, że Romuald to niezły chłopak i z początku był dobry dla Iris, czuły niby starszy brat, jakby

mu jej było żal. Opowiadał jej rozmaite historie, mówił, że Turcy, do których należała firma Martín Pescador, są poczciwi i jak kto dużo u nich nakupi i powie, że to dzięki ulotkom, które dostał od Olbrzyma, to dają mi parę groszy, wiesz, i pozwalają mi przespać się w sklepie, kładą mi przy wejściu materac i dają mi klucze, mają do mnie zaufanie, poza tym, że jestem Olbrzymem, to nieraz jeszcze jestem nocnym stróżem, czasami w tej dzielnicy, a czasami w innej, ale lubię tu przychodzić, chciałbym nawet tu gdzieś mieszkać, jak zarobię więcej, to sobie tu w jakimś hoteliku poszukam pokoju, chociaż... kiedy to będzie, a wiesz, że czasem... tu na tej ulicy stoi takie stare auto... zupełny grat, bez kół i motoru... to ja włażę do niego i walę się na sjestę...

Kiedyś poszedłem za nim aż na puste działki, z daleka dojrzałem jego łeb z *papier mâché* królujący na przednim siedzeniu; on sam zwinięty w kłębek niby embrion spał na tylnym. Wsunąłem rękę przez okienko bez szyby i delikatnie dotknąłem umalowanych oczu Olbrzyma. Romuald zbudził się i krzyknął:

– Daj mi spokój.

Odsunąłem się.

– Co chcesz?

– Nic.

– To zjeżdżaj.

Uciekłem przerażony, zasłaniając jedną ręką usta, drugą ściskając się za szyję, gnałem poprzez ulice-przepaści, pełne ludzi, a wszyscy oni byli don Hieronimami, doktorami Azula, Petami Ponce, okrutnymi ludźmi gotowymi oskarżyć mnie przed matką Benitą, która potem powtórzy to księdzu Azocarowi, która mu powie, że moje życie było udawaniem, że to wszystko kłamstwo, Głuszek umie mówić, wie, co to jest pożądanie, ma spojrzenie pełne siły,

widzi, rozumie, słyszy, jest rozpustnikiem, istotą groźną, i zabiorą mi klucze, dzięki którym zamykam się tu, by nikt nie mógł mnie odkryć ani dosięgnąć, zadzwonią do arcybiskupa, a ten połączy się z don Hieronimem, powie mu, żeby po mnie przyszedł, bo już nie jestem przykuty łańcuchem do Iris, bo jestem sam, jakbym zapomniał, że doktor Azula czyha, by wyrwać mi oczy i w specjalnym naczyniu przechować je żywe i widzące, i oddać don Hieronimowi, który dopiero wtedy zgodzi się zapomnieć o mnie i pozwoli stać się tym, czym jestem naprawdę, odpadkiem, śmieciem; bo przecież tylko moje spojrzenie interesuje go, reszta nigdy go nie obchodziła, tylko to jedno: moje spojrzenie, bolesne, nostalgiczne, zawistne, reszta nic nic nic, to słowo zdradzieckie, które mi się wymknęło, stoi mi w gardle.

Wreszcie na moim patio, wreszcie w łóżku, już teraz nie znajdą mnie, stare poobwijały mnie gałganami jak dziecko. Nawet gdybym chciał, spuchnięte gardło nie pozwoliłoby mi wydać żadnego dźwięku, z bólu nie mogę nic przełknąć. Brodawki na języku zaczerwienione, podniebienie przekrwione, krtań zesztywniała, nic, nic, tylko mnie przykryjcie, poowijajcie mnie dobrze, żebym nie mógł poruszyć ręką ani nogą, żeby tak mną nie trzęsła ta gorączka, spieszcie się, staruchy, zaszyjcie mnie, nie tylko te obolałe usta, ale przede wszystkim oczy, ażeby ich potęga ukryła się w grobie mych powiek, żeby nikt nigdy więcej ich nie oglądał, żeby moje oczy pożarły swą własną potęgę, w ciemnościach, w nicości, tak, stare, zaszyjcie mi je, w ten sposób don Hieronim na zawsze już pozostanie impotentem.

Stare poiły mnie naparami z ziół, które miały mi pomóc, Maria Benítez przykładała mi gazę przesyconą gencjaną, na skutek czego nie mogłem nikomu się pokazać: nawet

staruchy śmiały się z mych fiołkowych warg i szarego języka, rezultatu któregoś z kolei zabiegu. Jeszcze mnie smaruj, Mario, jeszcze, nawet jeśli to niepotrzebne, przynajmniej tak nie będę miał odwagi wychodzić, bo pomyślą, że zwariowałem, i zawiozą mnie do Zakładu. Nie można cię tak ciągle smarować, Głuszku, już nie masz gorączki, już ci lepiej, nawet mógłbyś wstać, gdybyś miał ochotę, popatrz tylko, jakie słoneczko, jakie piękne jesienne słoneczko...

Znałem zwyczaje Olbrzyma. Był słaby. Mimo opowieści o hojności i napiwkach, niezadowolony ani ze swej pracy, ani z dochodów; łażenie po ulicach z tym wielkim kartonowym łbem i rozdawanie ulotek było nie tylko upokarzające, ale i wyczerpujące, a same ulotki interesowały wyłącznie dzieci, które robiły z nich łódeczki i puszczały potem na płynącą rynsztokami wodę. W rezultacie Olbrzym migał się od roboty, w lecie dusił się pod swym kartonem, w zimie marzł w cienkim perkalowym ubranku. Stary porzucony ford stał się jego niby-domem; miał tam wszystko: poczerniałe garnczki do podgrzewania herbaty, po stokroć wymiętoszone magazyny, karty pasjansowe, na przedniej szybie przylepione zdjęcie jakiegoś grzywiastego osobnika z zespołu jazzowego. Pozbawiony ciała łeb Olbrzyma spoczywał na przednim siedzeniu. Łaziłem dokoła samochodu i podglądałem Romualda w czasie snu, ale korciło mnie to i chcąc go obudzić, znów dotknąłem jego powiek.

– Znowu ty? Czego chcesz, u Boga Ojca?

Głowy Olbrzyma. Tego chciałem. Pożyczyć ją od ciebie, Romku, włożyć ją i poczuć się częścią szczęśliwej pary. Chciałeś zapytać, po co mi ona, ale zatrzymałeś się w samym środku zdania, żeby – co było rozsądniej – zapytać, ile ci za to dam. Przeciągły uśmiech odkrył twe

białe wilgotne zęby pod czarnym wąsikiem no i... to niemożliwe, to przecież moje zajęcie, głowa należy do tych Turków, a to nie byle jaka głowa, piękna, w najlepszym gatunku, z najlżejszego *papier mâché*, jaki można dostać, cała pomalowana olejną farbą, błyszcząca, sam widzisz, jaka fajna, a Turki pilnują mnie jak cholera, patrzą, żebym obchodził te rejony, co mi naznaczyli, i rozdawał ulotki, ty nie wiesz, co to reklama... To jest ich głowa, żeby była moja, zaraz bym ci ją pożyczył, ale tak...

– Tysiąc pięćset.

– Na jak długo?

– Bo ja wiem, na godzinę, dwie...

– Zgoda.

Pytanie „po co?" miałeś na końcu języka, ale w końcu co tam będę wtykał nos w cudzy trzos, to jakieś dziwadło, i głos, i te fioletowe wargi niby u niedźwiedzia w zoo... Zresztą półtora tysiączka z nieba zazwyczaj nie spada, kto tam zauważy, że nie ja jestem Olbrzymem, ludzie już nie patrzą na Olbrzyma, nie mają czasu zwracać na wszystko uwagi, zresztą powiedział, że będzie zamiast mnie rozdawał ulotki.

– Zgoda.

Zdejmujesz z przedniego siedzenia wielki łeb, tę olbrzymią czerwoną piegowatą maskę klauna, marionetki, diabła czy lalki, wypukłe oczy i skamieniały uśmiech ukazujący królicze ząbki.

– Czekaj, włożę ci ją.

– Dobra.

– To dawaj tę forsę.

Daję mu; Romuald przysuwa mi swoje perkalowe spodnie w kwiatki, nakładam je.

– Teraz bluzę?

– Nie, najpierw głowa, potem bluza, żeby ukryć tasiemki, którymi ci przywiążę ten łeb jak się patrzy.

Wkładasz mi go niby biskup w mitrze koronujący króla, anulując tą nową inwestyturą wszystkie poprzednie egzystencje: Głuszka, sekretarza don Hieronima, psa Iris, siódmej czarownicy, Humberta Peñalozy – wzruszającego pisarza, dającego nam na tych subtelnych stronicach artystyczną i głęboko odczutą wizję świata, który rozpłynął się dawno, świata, gdzie wiosna niewinności kwitła w pełnych glicynii ogrodach.

Wszystko rozpływa się w ciemnościach panujących w głębi maski. Nic nie widzę. Dotąd nie miałem głosu – teraz nie mam już i wzroku, chociaż nie, jest szparka w szyi Olbrzyma, widocznie tamtędy należy patrzeć. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać moich oczu w gardle kartonowej kukły.

– Nie mam cię co bujać, specjalnie wygodnie to w tym nie jest, w dodatku z ciebie, zdaje się, nie taki siłacz. Ale potem zobaczysz, że to nie takie ciężkie, jak się z początku wydaje. To cienki karton, pierwsza klasa, dobry gatunek. Najważniejsze to przyzwyczaić się i kikować przez szpary. Uważaj, żebyś się gdzie nie rozwalił, sam się nie potłukł, a mnie łba nie pokancerował, szef jest twardziocha, a głowa kosztowała kupę forsy. Dobra, teraz bluza.

Oficjant, pochylony, pełen szacunku, odchodzi. Bluza także jest w kwiatki, ale inne, jakby mój ceremonialny strój został zrobiony z dwóch zblakłych kawałków materiału. Robię jeden hieratyczny krok, potem drugi, przytrzymując mą koronę obiema rękami, ale szybko widzę, że bez trudu można utrzymać ją prosto, to przecież moja własna głowa, czuję wietrzyk, który ją pieści, moja ręka dotyka policzka, do widzenia, Romuald, głos mam jasny i czysty, miasto, które mnie otacza, jest równie dobrotliwe jak Dom, nikt bowiem nie odkryje mnie pod tym przebraniem. Na wszystko patrzę z góry, jestem wyższy od

don Hieronima, z tymi wspaniałymi kartonowymi oczami, które hen wysoko obserwują kryształowe wieże mojego królestwa. Wchodzę w pierwszą lepszą uliczkę, nawet nie fatyguję się, by sprawdzić jej nazwę i móc potem jakoś ją odnaleźć, nie ma strachu, nie zgubię się. Olbrzym nie może zbłądzić w swoim królestwie.

Dzień blednie. Jeżeli nie stanie się nic nadzwyczajnego, wszystko pochyli się przed mą wielkością. Bardzo długi blok jest jednym murem, w którym w regularnych odstępach widać drzwi, fiołkowe, lilaróżowe, żółte, drzwi znaczą poszczególne mieszkania, a obok każdych drzwi rośliny, ławka, kapiący kran, drewniany ceber, miotła z gałązek, kuchnia na butan, begonia w wyszczerbionym dzbanuszku, każde drzwi otwierają się na inny świat i na szereg pozbawionych liści drzew wzdłuż trotuaru, po którym śmiejąc się idzie Gina ze swoim Olbrzymem, ona prosi, by jej postawił coca-colę, on się zgadza, Gina rozrzuca barwne ulotki, których odcienie mącą się o tej porze, a Gina kręci się w kółko pod deszczem różnokolorowych karteczek. Jakaś kobieta wystawia fajerkę z drzewnym węglem na chodnik. Woda płynąca wzdłuż chodnika odbija światło błękitnawego płomienia, który zmieni węgliki w żar. Gina daje jej jedną ulotkę.

– To do cyrku, panienko?

– Nie, na film.

– A kto panienka jest?

– Jestem Gina, Pantera Broadwayu.

Niewidoczne postacie szepczą po rogach ulic, głosy, hałasy czekają jakichś czarów, aby nabrać głębi, zaistnieć naprawdę. To nie Iris mnie prowadzi, to ja ją prowadzę, bo pomimo półmroku ulicy wiem wszystko. Tam dalej jakaś stara kucnęła i dmucha w węgle, ogon iskier wzbija się w górę, trzeszczący oddech wychodzący z ust tej

czarownicy, która zapala latarnie, oświetla naszą drogę i ostra magia elektryczności nagle odmienia znak rzeczy, błękitne niebo staje się liliowe, róż staje się czerwienią, sylwety stojące na rogach wyglądają niby konspiratorzy, poznaję ich, elektryczność demaskuje ich, ale nie mnie, ja wciąż jestem Olbrzymem, który zna całą dzielnicę, ot, te cztery Asy palące papierosy na rogu to nie są konspiratorzy, to po prostu Aniceto, Anselmo, Andres i Antonio... Słuchaj, Gina, zostaw tego żigolaka, nie bądź bezwstydna, nie widzisz, że już zapalono światła – a my nic, idziemy po chodniku, na którym coraz więcej kobiet zapala piecyki z węglem drzewnym, dmuchają w nie i gadają, popatrz, to ta mała z Domu, ta, co tańczy, ta, co to ją wołają Gina, ale to nieprawda, bo ma na imię Iris, to kochanka Olbrzyma, przechodzimy na drugą stronę ulicy, bierzemy się za ręce, przez sekundę, w światłach hamującego samochodu, stajemy się nierzeczywiści, więksi i piękniejsi niż codzienność, którą godziny spychają w tył, podczas gdy nas te latarnie, wraz z sekundę trwającym zahamowaniem, izolują i chronią, tak że nie słyszymy oburzonych krzyków szofera, który odjeżdża i ginie wśród dalszych ulic. Prowadzę Iris na pusty plac. Chowamy się za forda.

– Chodź, chodź na kiziołki...

Nic się we mnie nie waha, ani me płonące ręce, ani mój pragnący seks, podczas gdy ona gładzi mnie po kartonowym policzku, ani mój ciężar na niej, ani jej ruchy, jej przymknięte oczy, jesteś moją miłością, chcę za ciebie wyjść, taki jesteś piękny, tak cudownie robisz mi dziś te kiziołki, nie odchodź, jeszcze, jeszcze trochę, jeszcze, więc daję jej więcej i więcej miłości, bo jestem w stanie dać jej całą miłość, całkowicie ją zaspokoić, zanim przyjdzie nam się rozstać, muszę już iść, Gina, obiecuję ci, że kiedyś

będę z tobą całą noc, tak, będziemy razem i pójdziemy tańczyć, tak, Gina, i kupię ci coś ładnego, kiedy, Olbrzymie, powiedz, kiedy, nie wiem, nic ci nie mogę obiecać, sam nie wiem, kiedy wrócę w te strony, bo jak mnie złapią Turki, to mnie wywalą, przecież wiesz, że muszę chodzić po całym mieście, obchodzić inne dzielnice, nic nie zarobię, jak będę ciągle latał po tych samych miejscach, przecież to idzie o reklamę i za to mi płacą, no to kiedy, Olbrzymie, nie wiem, nie wiem, pamiętaj, że ja czekam na ciebie codziennie w oknie na pierwszym piętrze i wyglądam, a jak przyjdziesz, zejdę do ciebie tak jak dziś, daj mi tylko znak, a ja zejdę, do widzenia, Olbrzymie, cudne były dzisiaj nasze kiziołki, do widzenia, Gina... będę czekał na ciebie zaczajony pośród skał groty.

# 6

Ja jestem ojcem dziecka Iris.

Cudów nie ma. Mam w sobie coś, czego don Hieronimowi z całą jego potęgą nigdy nie udało się osiągnąć: potencję, tę zwykłą, zwierzęcą moc spłodzenia syna.

Czatowałem na nadejście Romualda. Urządzałem się tak, by Iris mogła wyjść, a w chwilę potem wychodziłem i ja, zamieniałem mą głowę na łeb Olbrzyma i dalejże do kiziołków. Z pieniędzy, które dawałem mu za wypożyczenie łba Olbrzyma, Romuald kupił sobie na raty zegarek na rękę. Po tym, jak Maria Benítez zbadawszy Iris powiedziała, że tak, że oczekuje dziecka, słowo daję, te dzisiejsze smarkate zachodzą od samego widoku spodni, tegoż popołudnia powiedziałem Romualdowi, że już więcej nie potrzebuję jego głowy.

– A mój zegarek?

Wzruszyłem ramionami.

– To jak ja go spłacę?

Nie odpowiedziałem. Chciałem, żeby sam znalazł rozwiązanie, aby nie przyszło mu do głowy obwinianie mnie o cokolwiek.

– Będę musiał wynajmować głowę innym chłopakom.

W porządku. Znakomicie, brawo, Romualdzie, jesteś doskonałym pośrednikiem. Iris już nosi w brzuchu mego syna. Teraz należy tylko zniszczyć zbędną resztę osoby

otaczającej macicę wypełnioną moim synem. Popatrzyłem na Romualda. Czy nie użyłem zbyt bezpośrednich chwytów, chcąc dojść do określonego celu? Zaproponowałem mu, aby sam pochodził w głowie Olbrzyma, i on mógł kochać się z Giną.

– Mnie tam nie potrzeba żadnych masek, żeby się dobrać do tej kopniętej dziewuchy.

Zapytałem go, czy już się do niej dobierał.

– Nie.

Nie uwierzyłem mu, a potrzebna mi była całkowita pewność, że dziecko Iris jest moim dzieckiem. Zaproponowałem mu zakład. Powiedziałem, że jeśli uda mu się zdobyć Ginę, nie używając głowy Olbrzyma, dam mu tyle forsy, ile mu brakuje do zegarka.

– Stoi.

Widziałem wszystko przez małe okienka forda. Kiedy Romuald zdjął głowę, Iris zaczęła krzyczeć czonczon, czonczon, oj, bo zacznie fruwać, czarownik, paskudnik... i głowa spadła na ziemię. Romuald usiłował dopchnąć ją do bagażnika, ale podrapała mu gębę krzycząc, płacząc, zaciskając nogi i gryząc go po rękach, gdy chciał dotknąć jej piersi, wściekły i rozsierdzony bijatyką i widokiem krwi. Podczas gdy walczyli, nałożyłem głowę, ubrałem się w mój perkalowy strój, aby wydobyć ją z łap napastnika, aby objąć ją i prowadząc przez ulicę pocieszać, tak, to niedobry człowiek, to grzech zbliżać się do kogoś innego niż Olbrzym, tylko ja jestem dobry, Gina, no, weź te ulotki, będziesz je rozdawała, przyniosłem ci w prezencie różne pisma ilustrowane, popatrz tylko, a jak chcesz, to ci przeczytam jedną historyjkę, coś pięknego, wychodzi tutaj w „Pieszczotce", masz, i to także dla ciebie, ta niebieska aksamitka do włosów i pończochy, i coca-cola, i lody w trzech kolorach...

Romuald przyznał, że wygrałem zakład, przyznał także, że już teraz nie denerwuje się, co będzie z zegarkiem, bo ma dwóch amatorów na pożyczanie głowy, dwóch klientów, co mu chcą dawać po tysiączku, nie po półtora, ale po tysiączku też dobrze, ciekawe, po co im ta głowa, e, co mu tam zresztą, nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba...

Jako że ułatwiałem jej dość częste wychodzenie, w krótkim czasie Iris zdobyła sobie w całej dzielnicy niezłą klientelę. Ze środka starego forda patrzyłem, jak kochała się ze mną krzycząc z rozkoszy, przewracając oczami, śmiejąc się, gładząc mnie po policzku, oddając się pod moim spojrzeniem. Jej reputacja szybko rozniosła się po całym mieście. Z najdalszych dzielnic mężczyźni przychodzili, żeby kochać się z Giną. Z początku rzemieślnicy i uczniaki, potem faceci w samochodach, potem widywałem już panów w autach prowadzonych przez umundurowanych szoferów, dyplomatów w żakietach, generałów z błyszczącymi szlifami, członków akademii z piersią pełną galonów, od góry do dołu pokrytą medalami, kanoników brzuchatych i łysych niby łojowe kule, właścicieli ziemskich, adwokatów, senatorów, którzy w czasie miłości desperowali nad opłakaną sytuacją kraju, artystów filmowych wypacykowanych jak kurewki, komentatorów radiowych znających prawdy absolutne. Zmieniali swoje luksusy na moje parchy, swoje twarze na moją, która dodawała im życia, gdy obłapiali się z Iris, gdy dotykali jej miękkiego, we mnie zakochanego ciała, a ja patrzyłem przez okienko forda, jak ustępuje, jak mięknie pod naciskiem moich pieszczot. Pewnego dnia zobaczyłem, jak ze swojego mercedesa wysiadł don Hieronim de Azcoitia, jak zamienił parę słów z Romualdem, zapłacił mu i nałożył sobie moją głowę. Nie zląkłem się: macica Iris należała już do mego

syna, przeciwnie, żal mi się go zrobiło, bo odkąd go opuściłem, tyle lat temu, próbował już wszystkiego – najgorszych, najmniej przyjemnych sztuczek, aby z powrotem zdobyć tę potencję, którą mu odebrałem i zatrzymałem w mym spojrzeniu; już nie był taki młody; jego totumfaccy wynajdowali mu wiele okazji, podsuwali różne doświadczenia, którym poddawał się z rozpaczy. Nadaremnie. I ty wiesz, don Hieronimie, że nadaremnie, dopóki ja ci nie pozwolę; tymczasem, nieszczęsny, zamknięty jest w samym sobie, bez możliwości połączenia się, a zwiędły seks zwisa mu niby pusty rękaw.

W chwili gdy zobaczyłem go i nie poczułem strachu, zrozumiałem, że muszę zaryzykować coś, co było warte tego ryzyka: zgodzić się, żeby przebrany za mnie skonsumował miłość z Iris Mateluną. Wystarczy do tego, że będę na niego patrzył, podczas gdy będzie z nią spał, że na krótką chwilę wrócę do mojej dawnej roli świadka jego szczęścia i jego triumfów.

Wsunął się w mą głowę, a kiedy nadeszła Iris, przypchnął ją do muru, padli na murawę... Co ci jest, mój śliczny, już mnie nie kochasz, jeśli nie możesz kochać, kochasz inną, nie, nie, poczekaj chwileczkę, zmęczony jestem, poprzez cienki perkal tego zbyt obcisłego kostiumu odczułem jego przerażenie, gwałtowność jego pragnienia błagającą mej pomocy, wzywającą mnie po imieniu, pożądającą mego spojrzenia. Kiedy poczułem, że jego lęk nie zniesie więcej, wychyliłem się przez okienko forda, aby mógł mnie dojrzeć, mnie, Humberta Peñalozę, który towarzyszył mu do domów schadzek, kiedy Inez była w ciąży, a on bał się jej dotknąć, ażeby niczym nie zaszkodzić mającemu przyjść na świat dziecku, chodź ze mną, Humberto, i już byłem przy nim, i oglądałem jego orgazmy z byle dziwką, a on mówił, popatrz, Humberto, co za samiec ze mnie, popatrz,

jaką jej daję rozkosz, o zakład, że od ciebie nie doznałaby takiej, ja jestem zupełnie wyjątkowy, moja męskość, moja potencja, moje ramiona, moje objęcia, moje ręce, nogi, język, wargi, popatrzże, Humberto, słuchaj, jak jęczy, i pomyśl o sobie, nieszczęśniku... ty nie mógłbyś wzbudzić takich namiętności, boli cię to i rani, nie broń się, pozwól się załamać tej tęsknocie, temu smutkowi, że nie jesteś zdolny do tego, do czego ja jestem zdolny... Do czego b y ł e ś zdolny, don Hieronimie, bo już nie jesteś, dziś tylko – bo pozwoliłem ci spojrzeć na mą twarz w obramowaniu okna samochodu, zobaczyć ból moich oczu, ten ból, który wciąż jeszcze tkwi w moich źrenicach: on to sprawił, że teraz krzyczy z rozkoszy Iris Mateluna.

Jestem w stanie wyobrazić sobie straszliwe rozdarcie, którego doznał na mój widok don Hieronim: porzucić Iris i przerwać jedyny od lat akt męskości, aby mnie gonić, aby w końcu mnie zdobyć – czy też pozostać z Iris i dając jej rozkosz stracić mnie, zgubić siebie samego na zawsze. To była sekunda, w czasie której mnie dojrzał i zrozumiał, że to ja, że to nie żadna halucynacja. Uciekłem i skryłem się w Domu. Nigdy już więcej z niego nie wyjdę. Wszystko jest gotowe, plan mój wytyczony. Nie będzie trudno przekonać don Hieronima, że mój syn, który urodzi się z brzucha Iris Mateluny, jest jego synem, ostatnim Azcoitią, pożądanym, oczekiwanym, spodziewanym z łona Inez, które nie chciało go wydać. Don Hieronim uzna go. Da mu swoje nazwisko i ziemie, zrobi go właścicielem tego Domu. Ocalony od rozbiórki Dom będzie stał dalej: labirynt murów stoczonych i samotnych, gdzie pozostanę już na zawsze.

Co by powiedział mój ojciec, mój biedny ojciec, nauczyciel szkoły powszechnej, gdyby się dowiedział, że jego

wnuk, a prawnuk maszynisty pociągu, który swą sadzą obdarzał parę wiosek na południu kraju, będzie z dumą nosił nazwisko Azcoitiów? Nie, Humbercie, porządek należy szanować, nie należy ani oszukiwać, ani kraść; by stać się szlachcicem, należy zacząć od tego, by być uczciwym. Nie możemy nawet do tego zmierzać. Jesteśmy Peñalozami, Peñaloza nazwisko brzydkie, pospolite, nazwisko, które w komediach jest symbolem prostactwa, nazwisko, które noszą postacie komiczne, na zawsze już zamknięte w tym plebejskim więzieniu, nazwisko będące jedynym spadkiem, jaki odziedziczyłem po ojcu... Miałem bowiem ojca, don Hieronimie, chociaż tobie trudno w to uwierzyć, chociaż nigdy nie zadałeś sobie fatygi, aby się tym zainteresować, niemniej jest to fakt niezbity: miałem ojca i miałem matkę, miałem nawet siostrę, którą połknęło małżeństwo wstydliwe, ale konieczne, z właścicielem narożnego sklepu materiałów piśmiennych, gdzie kupowałem moje pierwsze zeszyty, w których bazgrałem wiersze, ona zaś pocztówki z Cléo de Mérode, z Pastorą Imperio i z Bertini, miałem więc siostrę, zagubioną (dziś może nawet i nieżyjącą) gdzieś w deszczowej dali południowych miasteczek. Mój ojciec pamiętał tylko swego ojca, maszynistę kolejowego – dalej malowała się już wyłącznie czerń ludzi do nas podobnych, rodzin pozbawionych historii, należących do masy, w której tak indywidualności, jak i fakty zacierają się, stając się pożywką dla legend i tradycji. Nie pamiętał naszej historii, był jednym z Peñalozów, nauczycielem dzieciaków, które szarpały mu nerwy. Jeszcze słyszę jego głos pod naszą cuchnącą parafinową lampą; wieczorem po zjedzeniu jakiejś potrawy, zawdzięczającej więcej pomysłowości mej matki niż ingrediencjom do niej włożonym, ojciec snuł plany mojej przyszłości, marząc, abym odbił jakoś od pustki

naszego smutnego życia, życia rodziny pozbawionej historii, pozbawionej tradycji, obyczajów, wspomnień; wieczór pełen tęsknot przeciągał się wraz z nadziejami ukrytymi w jego głosie, którym woda powoli kapiąca do cebra zdawała się uporczywie zadawać kłam. Ojciec tłumaczył mi wszystko, stawiał żądania – nie żądając, za pomocą nerwowych ruchów swej pełnej czułości, lecz wstydliwej ręki, która chciała i nie śmiała dotknąć mojej, leżącej na serwecie wyhaftowanej przez siostrę, serwecie zasłaniającej nie tyle prostotę naszego stołu, ile jego kulawość. Tak, tato, tak, to możliwe, tak, obiecuję ci, przysięgam ci, że zostanę kimś, że zamiast tej nijakiej twarzy wszystkich Peñalozów posiądę wspaniałą maskę, określoną, jaśniejącą uśmiechem, którą będą podziwiali wszyscy. Wtedy, jakby współczując mi w moim do niczego nie służącym żądaniu, matka podnosiła wzrok i przez sekundę patrzyła na mnie, a potem spuszczała oczy na haleczkę jakiejś damy z sąsiedztwa, w której miała zrobić mereżki. Ktoś. Być kimś. Ona wiedziała od pierwszej sekundy, że nigdy nie będę kimś. Może dlatego, mimo ofiar, które robiła, aby jakoś pomóc naszym snom, w które nie wierzyła, tak dokładnie ją zapamiętałem. Nigdy nie czułem z nią żadnego związku, była poza obrębem, dbała o nas, ale nigdy nie miała nic wspólnego z tym, co nas oboje, siostrę i mnie, pchało ku ojcu. Być kimś... Słuchaj, Humbercie, mawiał ojciec, być panem... Sam miał rozdzierającą pewność, że nim nie jest, że jest nikim; że nie ma twarzy; że nawet nie umie zrobić sobie maski, która by była w stanie ukryć żal, że nie ma twarzy, że nie urodził się kimś, że nie ma prawa nazywać się szlachcicem, co samo w sobie było formą posiadania twarzy. Miał tylko staranną wymowę nauczyciela szkoły podstawowej i zasadę, ażeby na czas spłacić długi, co – jak się później

zorientowałem – nie jest zasadniczą cechą szlachty. Tam, pod lampą, w zimie, wśród zapachów żarcia i wilgoci powtarzał bez końca, że się nie łudzi, że nie jest naiwniakiem, że właściwie rozumie, że nie mam szans zostać prawdziwym panem, jak na przykład ten, który na zdjęciu w porannej gazecie podpisywał międzynarodowe umowy, lub jak ci, którzy ustanawiali zasady cenzury czy też plany rozwoju przemysłu i rolnictwa, czy też ci, którzy obracali majątkami ziemskimi i kopalniami, którzy kierowali tym maleńkim kraikiem, gdzie mimo że wszyscy się znali, nikt, ale to dokładnie nikt (prócz kolegów nauczycieli, rzeźnika z przeciwka i właściciela sklepu z jarzynami za rogiem), nie znał nas, Peñalozów. Nie, nie był idiotą, nie robił sobie złudzeń, nie marzył, abym stał się takim panem jak oni, rozumiejąc, że w założeniu jest to niemożliwe; człowiek rodzi się panem, jest nim z rozdania, z bożej łaski, tymczasem ja, cokolwiek by się stało, zawsze będę Peñalozą, on nie będzie niczym więcej niż ludowym nauczycielem w ubraniu powalanym kredą, a dziad mój maszynistą na lokomotywie, która pluła sadzą, mimo że nie pożerała kilometrów. Co to, to nie. Tak wysoko nie mierzył. Ale któż może przewidzieć, czy na skutek ofiar i wytrwałości nie uda mi się z czasem stać się kimś choć trochę do nich podobnym, imitacją, która – założywszy, że będę uczciwy – zdoła przerzucić coś w rodzaju kładki pozwalającej do nich się przybliżyć. Czemu by nie? Czyż nie mówi się w naszym kraju o powstawaniu klasy „średniej"? Któż wie, czy skoro już bym do tej „klasy średniej" należał – słowa te wymawiał z szacunkiem odrobinę tylko mniejszym od tego, z jakim mówił o „panach" – nie udałoby mi się dojść do czegoś w tym rodzaju? Może mógłbym zostać adwokatem, a może notariuszem, może sędzią? A potem zająć się polityką.

Nie było tajemnicą, że wielu młodych nie mających ani stosunków, ani pieniędzy, ani rodziny, ani prezencji, młodych o pochodzeniu równie nijakim jak moje i o podobnych, niemal równie groteskowych nazwiskach dzięki działalności politycznej przeskakiwało barierę klasową i stawało się kimś innym, wymykając się z kręgów ludzi bez twarzy. Mój ojciec nie mógł się z nich wymknąć. Chyba nawet nigdy nie próbował. Świat tych innych, tych, którzy byli kimś, ludzi z natury rzeczy znanych, zachował dla niego magiczne proporcje, niebywały wydźwięk. Jak to możliwe, że jego imaginacja, tak wątła, tak ograniczona w innych sprawach, tutaj tak była wybujała? Wyobrażał sobie, jak zachowują się przy stole, jak mieszkają, co mówią, jak spędzają zwykłe, a jak niedzielne popołudnia. Pieniądze, które matka zarabiała na szyciu, wydawał na niezliczone pisma i dzienniki, od czasu do czasu porywając się nawet na tak drogie jak „La Esfera". Podczas gdy – pod abażurem o zniszczonych frędzlach – czekaliśmy na obiad, a moja siostra, gruba i leniwa, oglądała rysunki elegantek Bartolozziego lub wzdychając czytała poematy Villaespesa i opisy Garcii Sanchiz dam godnych zazdrości, pół niewinnych a pół zdeprawowanych, omawiających z przyjaciółkami męsko-damskie tematy w tajemniczych „Buduarach", ojciec przeglądał gazety, czytając, chłonąc życia tych istot o nieodgadnionych obliczach, których podobizny znajdował w pismach, spekulując na ich temat głośno, co dawało mu uczucie, że się do nich zbliża. Musieliśmy słuchać tych opowieści, łykać tę truciznę monotonnego smutku, którą wszczepiały nam jego sny. Przypominam sobie jego krótkowzroczne oczy za okularami, gdy czytywał nam owe wiadomości, te oczy, których kolor wypijały jego uporczywe tęsknoty.

Znacznie później, gdy go już nie było (jeżeli rzeczywiście kiedykolwiek był, jeżeli wszystko to nie jest moją

fantazją), stwierdziłem, że obsesje jego były zmyślone, że ludzie będący kimś, ludzie z twarzami byli niemal tacy sami jak my. Oni także jadali cebulę, krzesła, na których siadali, były tylko trochę mniej brzydkie od naszych, ich wyrafinowanie, które tak go olśniewało, istniało tylko wśród tych niewielu rodzin, które dużo podróżowały. Większość tych znanych ludzi to byli chłopi, skąpi i ciemni, używający ordynarnych słów, ich zabawy po burdelach były hałaśliwe i ordynarne, tłukli własne żony, zdradzali je, och tak, w rzeczywistości byli bardzo podobni do nas, do kolegów nauczycieli, do rzeźnika i zieleniarza. Gdyby ktokolwiek napomknął o czymś podobnym ojcu, nie byłby w to uwierzył; on wiedział swoje: czytywał wszystkie gazety. To prawda, miał świadomość przeróżnych okropieństw będących tytułem do kariery – ale jego one nie obejmowały; ani jego, ani nas. Jak miał nie cierpieć nad tym wykluczeniem? Jak ja miałem nie cierpieć, skoro wiedziałem, jak cierpi nad nim mój ojciec? Bo ojciec mój nie był arywistą, don Hieronimie, nie pozwolę, by pan tak myślał choćby przez sekundę. Nawet nie można powiedzieć, by zżerały go ambicje, by był zazdrosny o jakiekolwiek dobra materialne. Nigdy nie przyszło mu przez myśl namawiać mnie, abym się zajął na przykład handlem i przez robienie fortuny stał się kimś. Nie, mój ojciec był inny, był fantastą, obsesjonistą, stworem rozpaczliwie wyłączonym ze sfery, do której biegły jego marzenia i sny... Całe życie był pogrążony w obserwacji tej nieprzekraczalnej bariery, która odgradzała nas od możliwości bycia kimś. Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie nic innego, don Hieronimie, ojciec był istotą rozdartą, odsuniętą, obolałą, smutną. Z rogu, gdzie zaczajaliśmy się, by obserwować powozy zmierzające po południu w kierunku parku, pokazywał mi tych szczęśliwców posiadających

własne twarze, tych szczęśliwców, którzy nie musieli się o to zabijać, podczas gdy ja prawdopodobnie musiałbym zapracować się na śmierć, aby stać się do nich podobny; uczył mnie poznawać tych wąsatych młodzieńców nachylonych ku uroczym damom, które w mych dziecinnych oczach upodobniały się do migotliwych plam w cieniu różowych lub żółtych parasoleczek.

Pewnego ranka prowadził mnie za rękę przez centrum miasta, gdzie za oszczędności matki (która jakkolwiek sceptyczna, nie przestawała szyć) zamierzał kupić mi pierwsze ciemne ubranko – abym od małego zaczął nosić się jak dobrze urodzeni – białą koszulę, czarny, na stałe związany krawat oraz lakiery: przyzwoity ubiór, od pierwszej chwili skazany na wyświecenie na tyłku i łokciach.

Podniecony tymi wszystkimi tęsknotami, które choć na chwilę miały zostać zaspokojone teraz, gdy dostawałem to szlacheckie przebranie, szedłem obok niego pełen szczęścia, jakby nowy strój miał otworzyć mi okno na nieznane pejzaże, wśród których wszystko mogło się przydarzyć; ależ tak, dlaczego nie, tato, zobaczysz, będę kimś, wielkim adwokatem, znanym politykiem, popatrz tylko, jakie mam świetne stopnie, posłuchaj, co nauczyciele mówią o moich postępach z historii, z angielskiego, z francuskiego, z łaciny, ależ tak, będę się uczył, zrobię wszystko, co proponujesz, obiecuję ci to; spełnię twe sny, byleś nie cierpiał więcej, nie zniosę dłużej twego smutku. Ubranie, które zamierzaliśmy nabyć, miało być trwałe, solidne, na wyrost, nie rzucające się w oczy, by znajomi nie zdawali sobie sprawy, że to jest moje jedyne ubranie – no i możliwie najtańsze. Zatrzymywaliśmy się w centrum przed witrynami eleganckich sklepów, chociaż dobrze wiedzieliśmy, że nie tam, lecz w jakimś niewielkim, sprzedającym na raty, na bazarze w naszej dzielnicy (gdzie podpis ojca nie

będzie rażący) przyjdzie nam nabyć moje pierwsze przebranie, mój pierwszy kostium. Lecz była wiosna. Panie były w letnich sukienkach. Cóż szkodziło popatrzeć na te pełne luksusów wystawy.

Nagle ojciec pociągnął mnie za rękę. Poszedłem wzrokiem za jego spojrzeniem. Po chodniku, pośród wesoło spacerujących tłumów, szedł człowiek wysoki, nie szczupły, ale pełen gracji, o jasnych włosach i wytwornym spojrzeniu, zamglonym przez coś, co wydawało mi się lekką pogardą, ubrany tak, jak nie przyszłoby mi do głowy nawet w snach: wszystko, co miał na sobie, było jasnoszare, perłowe, gołębie, dymne, wydłużone buciki, zamszowe getry i rękawiczki ni to szare, ni to kremowe, ni to białe, z naturalnej skóry, bardzo miękkiej, prawie że żywej, z których jedna była wciągnięta, a drugą trzymał w ręce. Na szyi miał zawieszone lorgnon. Gdy mijałeś mnie pośród porannych przechodniów, ta rękawiczka, którą trzymałeś w ręce, musnęła mnie tu, w ramię, dokładnie w to miejsce: czuję, jak mnie ono pali jeszcze dziś – po tylu latach, pod gałganami, które kryją również i bliznę po tamtej kuli.

Wtedy, patrząc na ciebie, don Hieronimie, poczułem, jak otwarła się we mnie otchłań wściekłej zawiści, dziura, przez którą miałem ochotę uciec z własnego słabego ciała, aby połączyć się z ciałem tego przechodzącego mężczyzny, stać się jego częścią, choćby jego cieniem, stać się nim albo go rozszarpać, rozedrzeć na drobne kawałki, by posiąść wszystko to, co go tworzyło, wygląd, koloryt, pewność siebie, która pozwalała mu na to wejrzenie pozbawione lęku; niczego bowiem nie potrzebował, nie tylko miał wszystko – był wszystkim. Ja zaś nie byłem nikim ani niczym, oto jaką świadomość dały mi w rezultacie uparte tęsknoty ojca. Ojciec wymówił jego imię:

Hieronim de Azcoitia, i dosłyszałem je, chociaż się zająknął; patrzyłem wciąż na tamtego, obaj na ciebie patrzyliśmy z nie kończącym się głodem w oczach, podczas gdy ty stanąłeś na stopniach banku, rozmawiając z grupą przyjaciół, witając innych, zdejmując swój szary cylinder przed takimi czy innymi osobistościami, które cię mijały.

Ruszyliśmy dalej, tylko dlatego, że przecież nie można było zostać na wieczność z oczami w niego wbitymi, choć tego w gruncie rzeczy obaj pragnęliśmy. Ojciec westchnął. Tak blisko nas przeszedł. A my ani nie znaliśmy go, ani nie mogliśmy mu się ukłonić, ani nie znaliśmy nikogo, kto by go znał, aby mógł chociaż szepnąć w jego obecności nasze nazwisko. Westchnął. Nie tylko dlatego, że cała moja kariera byłaby przesądzona, gdyby don Hieronim raczył użyć mnie jako śrubki w którymkolwiek z trybów, jakimi dysponował, teraz, gdy wreszcie wrócił z Europy i sądząc po tym, co mówiono, właśnie zamierzał się ożenić. Nie tylko dlatego mój ojciec westchnął tego ranka, don Hieronimie. Westchnął również nad swą nieuleczalną tęsknotą, nad swym nieuleczalnym obolałym spojrzeniem, które wtedy zaczynało nieuleczalnie boleć również i mnie; westchnął ze smutku nad tym, co nieosiągalne, nad swymi fantastycznymi abstrakcyjnymi marzeniami, nad upokorzeniem, które daje świadomość, że pewnych rzeczy nie ma sposobu osiągnąć. Z powodu takich to smutków westchnął owego ranka ojciec mój, don Hieronimie; z powodu takich nostalgii, takich tęsknot.

# 7

– No i jak, Tito, jak ci poleciało?

– Marnie.

– Bo co?

– Nie dała mi. Cały czas się śmiała, bo jakaś suka wlazła do tego fordziaka i najpierw kikowała na nas, a potem zaczęła ją lizać po nogach, a mnie ciągnąć za spodnie, popatrz tylko, jak mi je poszarpała... więc ta idiotka Gina dosłownie pękała ze śmiechu. Potem, jak suka wreszcie poszła, to ją niezgorzej przyparłem, ale wtedy znowuż się przypętała i dawaj gapić się na nas, jeszcze się oblizywała, jakby jej to bardzo smakowało, i ruszała łbem, w końcu i mnie to rozśmieszyło, więc już nie mogłem... a Gina nic, tylko się zaśmiewała, wreszcie założyła majtki i zostałem jak głupi...

– Zasrane szczęście, chłopie, może na drugi raz lepiej ci wyjdzie, nie martw się, skombinuję ci jakąś fajną dziwkę, bo z Giną wiecznie to samo, ta żółta suka wciąż się za nią włóczy, podobno innym chłopakom też nieraz właziła w paradę. Do maku taki interes. Pogadam z Romualdem, żeby ci oddał forsę.

– No pewno. Chciałem ją chociaż pocałować w cycki i też mi nie wyszło.

Gabriel jest starszym bratem Tita – właścicielem sklepiku z gazetami i *novelas* z drugiej ręki; poza tym kupił dwa

stołowe futbole, w które zagrywają się chłopaki z dzielnicy. Przygotowując jakieś chytre zagranie Romuald gładzi się po wąsach, gada, wrzeszczy, wierci się, sam robi więcej hałasu niż inni razem wzięci. Jest trochę od nich starszy i ma zamiar kupić sobie motorower. Niektóre chłopaki nie lubią z nim grać, bo jest okropnie pewny siebie, ten się ma, mówią, cholera wie za kogo, odkąd kupił sobie ten zegarek... Całkiem się zmienił... Już lepiej wziąć z półki jakieś pismo, przeglądać jedno, potem inne, pokazać je komuś, kto się opiera o ladę, albo Ginie, siedzącej na schodkach. Po wyjściu ze szkoły, kiedy zaczyna się wcześniej ściemniać, przeważnie siadujemy w sklepie Gabriela, udajemy, że chcemy kupić jakieś *novelas*, no a najpierw trzeba je przejrzeć, żeby zobaczyć, czy warto... Przy tej okazji ten, który czyta, zawsze pogładzi Ginę po nogach... Tito schował moją głowę i mój perkalowy kostium za ladę, jego wąska, ptasia twarz cała jest pokryta trądzikiem.

– Te, Romuald, musisz oddać bratu forsę. Nie wyszło mu z Giną.

– A co mnie do tego, co Tito chciał z nią robić? Ledwo ją znam. Jak kto chce wynająć głowę, to mu ją wynajmuję, ale po cholerę ją bierze, to nie mój interes. Odwal się ode mnie z twoimi pretensjami.

– Nie zgrywaj niewiniątka.

– Jakby twój brat był prawdziwym mężczyzną, to jak nic udałoby mu się ją spieprzyć.

– To jeszcze dzieciak. Co się go czepiasz.

Zbliżają się Cztery Asy.

– Ja nie mogę odpowiadać za żółtą sukę, to nie moja wina. Tito wypożyczył ode mnie głowę, jeszcze mu obniżyłem cenę, że to twój brat, ale po co ją pożyczał, to nie mój interes.

Odłożyliśmy pisma i porzuciliśmy nasz stołowy futbol, bo poczuliśmy, że idzie krewa. Cztery Asy bardzo lubią Tita. Nie pozwolą, żeby taki kogut jak Romuald miał go nabierać. Tito to jeszcze szczeniak, chciał zobaczyć, jak to się robi... przecież kiedyś trzeba zacząć. Aniceto najbardziej się złości:

– Zasrany alfonsiak.

Romuald daje mu w oko. Cztery Asy rzucają się na niego, ale Romuald uwalnia się, odwalcie się ode mnie, Gina to kurwa, nawet nie nazywa się Gina, co mi do niej, mam za to, żem się wdał z gówniarzami, zjeżdżam, gdzie moja głowa, zabieram głowę i tyle mnie będziecie widzieli. Andrés wlazł za ladę i teraz wychodzi z głową, trzyma ją wysoko i tańczy.

– Dawaj moją głowę, zasrańcu.

– Jego głowa, patrzcie go, jego głowa, cała z pereł, patrzcie no, głowa szanownego pana Romualda...

Gabriel staje naprzeciw niego. Wszyscy włączamy się do sprawy, bo widać, że nie skończy się na gadaniu, sytuacja jest napięta. Nie odstawiaj idioty, Romuald, już my dobrze wiemy, co wyprawiasz z głową i z tą całą Giną, korzystając z tego, że jest stuknięta. Zjeżdżaj, Romuald, nikt cię tu nie będzie żałować, od kiedy sobie kupił zegarek ze złotym łańcuszkiem, to sobie wyobraża Bóg wie co i jeszcze buja o tym motorowerze, akurat mu uwierzymy, niech spieprza, alfonsiak zasrany. Ale najpierw niech odda Titowi forsę.

– Gówno oddam.

Andrés zdejmuje moją głowę.

– Oddaj no mi moją głowę. Spierdalam stąd. Ale mi dzielnica...

– Nie podoba ci się? Patrzcie, don Romuald życzy sobie swojej głowy... Trzeba mu ją oddać, skoro jest już taki ważny, że musi mieć motorower...

– Ale, motorower... On sobie kupuje wielką czarną limuzynę z szoferem w liberii.

– A ja słyszałem, że biały wózek sportowy...

– A może czerwony...

Nikt nie zwraca uwagi na Iris, która drze się, bo widzi, że Andrés cisnął moją głowę na ziemię. Hałas stołowego futbolu ucichł. Cicho, Gina, nie drzyj gęby, no przestań, głupia, zupełnie oszalała, nie daje nam się porozumieć z don Romualdem.

– Ty, Anselmo, faktycznie zauważ, że z Romualda to teraz cały don, kiedy prócz głowy Olbrzyma kupuje samochód. Trzeba mu „donować", z szacunkiem, chłopaki, don Romuald mówi, żebyście byli łaskawi odłożyć jego głowę, bo się pobrudzi.

– Też coś. Wcale nie wiedziałem, że to jego głowa. Myślałem, że Romuald to nędzarz, zasrany alfonsiak, głodomór, co nie ma co w gębę włożyć.

– Nie pozwalaj sobie za dużo!

– Ty, Antonio, żebyś uważał na główeńkę don Romualda, bo to nie byle co!

– Od.....lcie się ode mnie...

Gabriel wysunął się do przodu.

– Nie drzyj się, Romuald. A ty, Gina, małpo jedna, też siedź cicho, bo w końcu doczekamy się, że przyjdą karabinierzy i zamkną mi budę, przecież nie mam licencji. Siedźże cicho, Gina, do cholery, chłopaki, weźcie ją za mordę, nie ma sposobu zamienić słowa.

Iris rzuca się na ziemię, żeby mnie objąć. Piach włazi mi w oczy. Andrés zaczyna walić we mnie, jakbym był bębnem bum bum bum, podczas gdy trzy pozostałe Asy i Tito udają, że tańczą bum bum bum, jakby ich uderzenia nie były bolesne, i podnoszą Iris bum bum bum, żeby mimo łez zaczęła tańczyć wraz z nimi w rytm

wymierzanych mi policzków bum bum bum bum bum bum, ech, Gina, hajda, jeszcze raz, no, jeszcze, Romuald wpycha się między nas, aby zmierzyć się z Antoniem, który upuszcza mnie na ziemię, Iris wyje broniąc mnie przed innymi, każdy chce mieć głowę dla siebie, wszyscy razem przewalamy na ziemię Romualda. Cztery Asy trzymają go, on kopie, pluje, ale po chwili przestaje, kładzie rękę na mym haczykowatym nosie. Nad nim, w krąg, nasze chłopięce twarze, kpiące, grożące, i Iris z oczami pełnymi łez. Gabriel zwraca się do Romualda:

– Bydlę.

Romuald otwiera oczy, których czerń nie jest już tak czarna. Unosi się na łokciu. Cztery Asy powalają go, znów leży, nie dotyka mnie już, oczy zamknięte, mięśnie rozluźnione, włosy sterczące, ubranie w strzępach. Jego wargi poruszają się.

– To nie moja wina, to ktoś inny...

Chciałby zasypać Głuszka, wytłumaczyć, że to tamten zapoczątkował tę zabawę, która się właśnie kończy. Ale nie wie, kim jestem. Nikt mnie tu nie zna, przecież nigdy nie wychodzę. Nie wiedzą, że chroniony przez *papier mâché* głowy widzę wszystko.

– Jaki znowu inny?

Nie może wytłumaczyć, mówi więc:

– Gina to kurwa.

– Ty, Gina, słyszysz, don Romuald mówi o tobie jakieś brzydkie słowa...

– Kto? Ten czonczon? Wścieka się, bo nie chciałam robić z nim kiziołków... za ciężki jest... Na szczęście Olbrzym mnie obronił...

– To nędzarz, co?

– Mnie tam nigdy nic nie podarował.

– To go postrasz...

Iris wydaje dzikie okrzyki, wykrzywia się straszliwie wysuwając wargi i wystawiając zęby; wichrzy sobie włosy.

– Grrrrr, jestem Panterą Broadwayu, grrrrr, mogę cię zjeść, pożrę cię żywcem...

– Pożryj go, Gina.

– Skop go fest.

– Grrr, jestem Panterą Broadwayu...

Nasza grupa tak się zacieśnia wokół Romualda i Iris, że nogi zasłaniają mnie. Od pięciu minut nie widzisz mnie, Iris, i już o mnie zapomniałaś – jesteś Panterą Broadwayu, tą, która tańczy w oknach Domu, już porwana przez tę nową zabawę, która unieważnia i zastępuje poprzednią, już szalejesz w dzikim tańcu wokół niewinnego ciała twej ofiary. Z ziemi widzę, że ściągasz pantofle, podkasujesz spódniczkę, aby ukazać uda, wiercisz tyłkiem; klaszczemy zachwyceni, tak jak zawsze, ty depcesz po Romualdzie, a i my stawiamy nogi na jego piersiach, na wypadek gdyby chciał się podnieść. Andrés pochyla się i podnosi mnie.

– Spójrz no, Romualdzie, jaką ładną zabaweczkę sobie znalazłem. Chcesz? No to złap ją... Uwaga, Aniceto...

Moja głowa przelatuje przez pokój, Aniceto chwyta ją, a potem ciska, z kolei chwyta mnie Antonio, ale i on mnie odrzuca, frunę, frunę, moje unerwione uszy chwieją się w powietrzu nad chłopakami, którzy bawią się mną, jakbym był jakąś niezwykłą piłką. Tito, Gabriel i Iris, która wrzeszczy czonczon, czonczon, Romuald to czarownik, zmienił mi Olbrzyma w czonczona, a ja nic tylko fruwam, lekki, zmieniony w czonczona, przechodzę z ręki do ręki, wreszcie ktoś puszcza mnie na ziemię, miażdżę sobie ucho, nie mam rąk, by dotknąć tego kawałka szarej tektury, która boli tam, gdzie odskoczyła farba.

– Ostrożnie z moją głową, zasrańcy, jak mam wam mówić...

– Główeńka naszego skarbulka...

– Pobrudzicie mi ją...

– Te, Romuald, nadpękło ci ucho. Lepiej będzie, jak je całkiem oderwiemy.

Jednym szarpnięciem Anselmo odrywa mi kawałek ucha i podnosi w górę wśród krzyków i wrzasków. Iris podnosi go i klęka, żeby mi je jakoś dokleić, ale nie jest w stanie, ktoś kopie ten strzępek, chłopaki depczą po nim, Iris, wciąż w kucki, przy mnie we łzach, bo już wie, co będzie, już wie, co my wszyscy, rozgrzani awanturą, zrobimy ze mną, a ja nie mam przecież rąk, żeby się bronić, ani nóg, by uciekać, mam tylko oczy, by patrzeć, i tę cienką skórę z farby, aby odczuwać ból.

– Patrzcie, patrzcie, coście zrobili, ucho, szef mnie zamorduje, naumyślnie żeście mi je oddarli, będziecie musieli zapłacić za naprawę głowy.

– Już się nie da naprawić. Leżysz, bracie.

Podają mnie sobie z rąk do rąk, upuszczają mnie na ziemię, podrzucają w górę, Iris usiłuje mnie złapać, ocalić, pozwalają jej, a potem wyrywają mnie z jej rąk, nie, nie, nie, nie zabijajcie Olbrzyma, on jest kochany, znowu fruwam pokiereszowany, obolały, podrapany, szary *papier mâché* wszędzie, wyłażący spod mej pomalowanej skóry, upuszczają mnie na ziemię, pęka mi kapelusz, tyle że to chociaż nie boli. Romuald doczołguje się do nóg Anselma, bo tam upadłem, ale gdy już, już ma mnie dosięgnąć i okryć swym ciałem, uratować mnie, Anselmo odpycha mnie nogą, tak że toczę się do stóp Aniceta, który pyta:

– No i co? Oddasz forsę Titowi?

– Nie oddam.

W odpowiedzi Aniceto wymierza mi kopniaka w sam środek twarzy, jego noga wbija się w moje rozdarte ciało, więźnie w nim, równocześnie rozszarpując mnie na części,

już znowu nie mam twarzy, moje rysy zaczynają niknąć, ledwie widzę przez spękane oczy, zostanę ślepcem, chociaż nie, nic ze mnie nie zostanie, Aniceto rusza naprzód z nogą tkwiącą wewnątrz w mojej twarzy, depcze mnie od środka, kuleje, wszyscy pękamy ze śmiechu, rany, co ten wyprawia, ale komik z tego Aniceta, patrzcie, a Romuald, idiota, lezie za nim na czworakach, żeby złapać głowę, jakby było jeszcze coś do uratowania, w tych strzępach tektury, podartych, spłaszczonych, bez farby, a ta głupia Iris goni Romualda, który goni głowę, po co mu ona teraz, już do niczego nie służy, na śmietnik i tyle; chcąc odebrać ją Anicetowi jeszcze więcej ją niszczy, wrzeszcząc z przerażenia, patrzcie, kapelusz został mu w łapie, załóż go, Gina, za duży na ciebie, tańcz, Gina, w kapeluszu Olbrzyma na głowie, tańcz, fajno jest, tak mi się, córciu, podobasz, daj kapelusz, ja go włożę, podzielmy go sobie, ja chcę ucho, nie, nie, błagam, Turcy mnie zamordują, z czego zapłacę za głowę Olbrzyma, groszem nie śmierdzę, wywalą mnie przez was, zobaczycie, będziecie musieli zapłacić mi za głowę, popatrz, kawałek oka, łobuzy, łajdaki, bo zadzwonię po karabinierów, żeby was posadzili, wszystkich, od ciebie zaczynając, Gabriel, te, ja nie mam licencji, uważaj, bracie, odważ się tylko, ty łobuzie, jak przyjdą karabinierzy, powiem im, jak wykorzystywałeś tę kretynkę Ginę, a ona jest niepełnoletnia, wiesz? wszyscy jesteśmy niepełnoletni, tylko ty masz dwadzieścia jeden lat i nawiewasz z wojska, patrzcie, a ta ryczy, co za idiotka, z nosem Olbrzyma w garści, pewno myśli, że to kutas, tańcz, Gina, przestańże się mazać, nie masz się mazać, tylko tańczyć, słyszysz? Rzuć mi inny kawałek głowy, Gabriel, mnie, Antonio, mnie, Tito, ja chcę to drugie ucho, a ja te królicze ząbki, wyrwij mu je, jedne dla mnie, drugie dla ciebie, a jak przyjdą karabinierzy i powiemy im, jak

wykorzystywałeś Ginę, która uwierzyła, że jest baletnicą, bo kretynka nawet nie wie, że jest kurwą, to wcale nie będą zadowoleni, tak że w sumie sam na tym źle wyjdziesz, no, niech tam który idzie po tych karabinierów, nam i tak nic się nie stanie, tylko tobie, za stręczycielstwo, ty alfonsie. Nie, Gina, nie zabieraj się, będziesz musiała zeznawać jak przyjdą karabinierzy, popatrzcie tylko na Andrésa, jak tańczy z nosem, który sobie wsadził wiecie gdzie, tylko to już zostało, do tego zostałem zredukowany, mój wielki nos przemieniony w fallusa, jestem już tylko tym fallusem z *papier mâché*, miękkim, pustym, niczym więcej, jestem łachmanem bez krwi i bez nerwów, ktoś mnie chwyta, oj, zostaw mojego kutasa, gdzie poszła ta głupia Iris, teraz wyrywają, co mam najlepszego, uciekła ze strachu przed karabinierami, ty, Anselmo, puśćże mnie, niech i to idzie w strzępy tak jak cała reszta, popatrzcie na te kawały leżące na ziemi, na kawały łba Olbrzyma, a taki był fajny, nie, tego mi nie niszczcie, tylko to ze mnie zostało, zostawcie mi go, wyrywają sobie fallusa, niszczą mego wspaniałego fallusa, drą go na dwie, na trzy części, już nic nie zostało, a ta idiotka uciekła, mówią, że jak się pie...., a udaje artystkę, to zamyka oczy i otwiera usta, i powtarza cudowne kiziołki, jeszcze chcę kiziołków, jeszcze kiziołków, gdzie też ona polazła w ten deszcz. Teraz, gdy już nie ma Olbrzyma, Gina nie wychyli się więcej z okna na pierwszym piętrze, żeby tańczyć, jaka szkoda, dobrze tańczyła ta cała głupia Gina, głupia, bo głupia, ale do tańca miała cholerny dryg. Romuald czołga się ku drzwiom. Już nikt o nim nie pamięta. Dysząc podnosi się. Wtedy zauważa go Gabriel.

– Dokąd?

– Oddaj forsę, Romuald.

– Złodziej.

– Zboczeniec.

– Gorszyciel nieletnich…

Zanim zdążyliśmy otrzeć oczy z łez śmiechu, Romuald zwiewa ciemną ulicą. Stajemy wszyscy w progu wrzeszcząc, zboczeniec, łobuz, głodomór, alfonsiak, złodziej, stręczyciel i machając resztkami głowy Olbrzyma niby chusteczkami na pożegnanie. Nikomu z nas nie chce się go gonić, bo leje, w ciągu paru sekund Romuald znika w nie oświetlonej ulicy.

– Fajno jest.

– Był ubaw po pachy.

– Opłaciła się ta forsa, co ci ją zabrał.

– Wam tak, ubawiliście się za moje pieniądze.

Gabriel pociesza brata, że mu zwróci ten tysiąc pesów. Cztery Asy klepią go po plecach, spokój, człowieku, co to jest tysiąc peziaków, my ci sprokurujemy dziewczynkę, że palce lizać, taką, że tylko się z nią w łóżku w kłębek zwijać, bez ładowania sobie na głowę żadnych tekturowych łbów, po to żeby na stojaka zabawiać się z idiotką, to dobre na macanki, ale nie na pieprzenie, na pieprzenie, bracie, nic, tylko łóżeczko z cieplutką babeczką w środku, i to całą noc, gdzie ja mogę całą noc być poza domem, mama i tato by mi dali, jeszcze jestem mały, już ja cię osłonię, Tito, nabiorę mamę i będziesz mógł wyjść i spędzić całą noc w łóżeczku z ciepłą babką, tak jak się należy, reszta gówno warta, a na pocieszenie dam ci tysiąc pesów, zaoszczędzisz sobie i w końcu będziesz miał na taką dziewczynkę, jak się patrzy.

Powoli rozchodzimy się wśród deszczu. Andrés powiada, że już późno, i pierwszy wychodzi ze sklepiku. Tych, co pozostali, Gabriel prosi, żeby mu pomogli posprzątać, mama dała mu najlepszy pokój z oknem na ulicę, żeby w nim handlował, stara już jestem, synu, mam dużo

roboty i nie mam siły, żeby w twoim sklepiku zamiatać ani żeby ci pomagać, tak że, chłopaki, narobiliście tu bałaganu, ale teraz musicie mi pomóc...

Gabriel zbiera walające się po kątach magazyny, układa je na etażerkach, któryś z nich manipuluje koło futbolu, a potem, niechętnie od niego odchodząc, nogą skopuje na kupkę kawałki głowy Olbrzyma. Aniceto i Anselmo też podchodzą do futbolu, ale nie dotykają rączek, robią parę żałosnych gestów i tyle, ziewają, wychodzą ze sklepu nawet nie mówiąc do widzenia, biegną po deszczu każdy w swoją stronę. Tylko Antonio zostaje, by pomóc braciom i powyrzucać szczątki, które usiłują upchać do kubła. Jeżeli są zbyt duże, drą je na mniejsze. Oto kawałek oka, biały w kropki podobne do gwiazdek, a tu to chyba kawałek ucha. Kiedy już wszystko jest posprzątane, Gabriel znajduje za ladą zblakły ubiór Olbrzyma.

– Zapomnieliśmy o tym.

– Co z tym zrobimy?

– Do niczego.

– Padarujmy Ginie.

Śmieją się.

– Była zupełnie nieprzytomna. Biedna kretynka...

– Czy myślicie, że ona wierzyła, że...

– To kurwa. Z Olbrzymem udawała niewiniątko.

Aniceto stoi w drzwiach patrząc na deszcz i czekając, aż się rozjaśni, żeby można było wyjść. Rzuca:

– Nie myślę. Ona jest dziwna... Mówią, że jak pieprzy, to jakby się bawiła, że nie robi tego tak jak inne dziewczyny, co wiedzą, o co chodzi; ona nie, i tylko powtarza jak dzieciak, kiziołki, kiziołki... Wiecie, że czasem wprost mam chęć iść i powiedzieć o tym zakonnicom, bo się boję, żeby się coś nie stało tej smarkatej; to sierota.

– Nie pchaj nosa w cudze sprawy, Aniceto.

– Tak, lepiej się nie wtrącaj.
– Pewno, lepiej się nie wtrącać...
– No to zjeżdżaj, Aniceto, zamykam.
– Nudzi jej się w tym Domu.
– Trzeba by zobaczyć, co z Romualdem.
– Ten to czubka nosa nie pokaże już w naszej dzielnicy. Ciekawość, co mu zrobią te Turki?
– Przestań, Aniceto.
– Nie bądź taki litosierny.
Rozjaśnia się.
– Zjeżdżam. Ile dziś zarobiłeś?
– Bo ja wiem? Ale chyba niedużo, jutro zrobię kasę. Kiedy pada, nigdy nie mam dużego obrotu. Ale co mnie najwięcej wkurza to to, że niektórzy skorzystali z tego mętliku, coście zrobili, i rąbnęli mi nowiutkie *novelas*, na które już miałem amatora.
– Zabieram się.
Bracia nie odpowiadają. Domy po przeciwnej stronie ulicy robią się liliowe, gałęzie orzechów nie wyglądają już jak rysunki, lecz jak litografie w świetle latarń.
– O której jutro otwierasz?
– Zależy.
– Może wstąpię...
– Ciao, Gabriel.
– Ciao, Tito.
– Ciao, chłopaki, ciao.

# 8

Suterena jest ciepła i pachnąca, oświetlona blaskiem tkwiącej w lichtarzu świecy. My, siedem staruch, kładziemy Iris do łóżka. Chora jest biedna mała. Ryta z Dorą szybko ją rozbierają, suszą jej włosy, co wcale nie jest łatwe, takie ma kręcone i tyle ich, na Boga, nigdy jej się nie wysuszą, gotowa złapać zapalenie płuc od mokrej głowy, kładą jej ciepłe rzeczy: flanelową koszulę, skarpetki, sweter, szal, co by tu jeszcze, może położyć jej w nogi butelkę z gorącą wodą, uwaga, jeżeli woda jest gotująca, trzeba przedtem wpuścić do butelki słomkę z miotły, żeby nie pękła. Maria Benítez przysuwa do łóżka piecyk, opatulają ją szalami, co też się przytrafiło tej małej, znalazłyśmy ją całkiem przemoczoną, leżącą w kałuży wody na patio, boso. Bóg wie, gdzie podziała buty. Dotykają czoła, Maria Benítez zapewnia, że nie ma gorączki, ech, nic poważnego, okryć ją i tyle, gorącego kwiatu lipowego z cytryną i pilnować, żeby jej nie przyszło do głowy znowu wyjść, uparta smarkula, na takie zimno, wiatr i deszczysko. Zaparzcie ten kwiat lipowy, żeby był gotów, jak się przebudzi, niech jej Amalia przygotuje. A ona niech odpoczywa. Niech śpi.

– Nie ma o co robić tyle szumu.

Damiana zamiata. Dora robi na drutach. Rosa Pérez, co nic nie umie, skubie szarpie, żeby na wypadek było czym zatamować krew, z pierworódkami nigdy nie wiadomo,

zawsze trzeba uważać, potem z drugim, z trzecim dzieciakiem to już nie takie ważne, moja ciotka to miała osiemnaścioro. Głuche, jakby w wacie tonące odgłosy naszej krzątaniny docierają jednak do snu małej. Iris zaczyna się wiercić.

– Pani Ryto...

Ryta zbliża się. Wszystkie się zbliżamy. Ryta siada na brzegu łóżka, gładzi ją po czole, Iris szuka jej ręki, ściska ją, nasze oczy, zawsze o włos od płaczu, wilgną patrząc na ten pełen rozpaczy gest.

– No, jak się czujesz, córeńko?

Iris patrzy na nas zaskoczona, bo nagle znajduje się wobec jakiegoś potwornego nowego świata, jej wargi zaczynają drżeć, na napiętej twarzy maluje się strach. Cofa rękę i zaczyna popłakiwać coraz bardziej, jakby jej miało, biedaczce, pęknąć serce, co też ją boli, chociaż nie wygląda, jakby ją coś bolało, raczej jakby to było co innego, czy ja wiem, a może jej ktoś powiedział, że jej ojca skazali na śmierć za morderstwo z premedytacją, słyszałem, jak matka Benita i ksiądz Azócar mówili, że mają go rozstrzelać.

– Przecież to było w gazecie.

Wszystkie patrzymy na Damianę.

– A ty skąd wiesz?

– Czytałam. W jakiejś starej gazecie sprzed dwóch miesięcy. Było także zdjęcie jej ojca, całkiem przystojny... Już pewno nie żyje...

– O zakład, żeś jej powiedziała i dlatego płacze.

– Ja? Skąd? Dlaczego miałabym jej powiedzieć?

Dokooptowałyśmy Damianę na siódme miejsce, po Brygidzie, ażeby znowu dojść do cyfry siedem, siedmiu staruch, które będą odprawiały rytuały związane z narodzinami i śmierciami. Damiana jest drobna, niemal karlica,

ma krótkie nogi i ręce (jej wielkie, pozbawione zębów usta przypominają usta noworodków) i moc zmarszczek okrążających oczy malutkie, lecz błyszczące. Nadal zamiata; nie zbliża się do Iris tak jak my – jeszcze jest nowa, przyszła później od nas. Ale pasuje do nas, łagodna, cicha, szczęśliwa, że została wybrana nie Zunilda Toro, ale ona właśnie, chociaż jako służącą wyrzucano ją ze wszystkich domów, bo nie umiała usiedzieć na miejscu. Teraz usiłuje okazać nam swą wdzięczność, zachowując się tak, jakby u nas służyła.

– Damiana, nawlecz no mi igłę, bo nie widzę.

– Damiana, czajnik już się zagotował.

– Damiana, chyba wiesz, jak się robi dziurki w smoczkach... Igłę dezynfekuje się w ogniu, a potem...

Masz, Iris, popij sobie tego kwiatu lipowego z cytrynką, dobrze ci to zrobi, i nie becz już ani nie odwracaj się do ściany, do tych brodaczy z karabinami, do tych paskudników... Ale ci miał Głuszek pomysł, żeby jej tuż, tuż obok łóżka poustawiać te kukły; mała się przerazi, no nie patrz się w tę stronę, nie płacz, tak, ci... cichutko, już dobrze, dobrze, staraj się znowu zasnąć...

Ale Iris nie śpi. Oczy ma wbite w sufit, a podczas gdy usiłujemy zabawić ją opowiadaniami o staniczku z koronek, o wzdęciach od zsiadłego mleka i tak dalej, oczy jej napełniają się łzami, zmieniając cały wyraz twarzy, która z chwili na chwilę również przestaje mieć cokolwiek z dziecka. Nie możemy jej poznać. Nie wiemy, co robić. Iris zaczyna jęczeć; Damiana, drobna jak mysz, włącza się w nasz krąg, chwilę ją obserwuje, a potem podchodzi do nocnego stolika, na którym leżą przygotowane śliniaczki, bierze jeden, zakłada go sobie pod brodę, kładzie się do kołyski z brązu ozdobionej błękitną gipiurą i gaworząc agu... agu... podnosi małe rączki, jakby prosiła o pieszczotę.

– Agu...
– Przestańże, Damiana.
– Zabrudzisz kołyskę swoimi brudnymi łapami.

Iris patrzy na to dziecko monstrualnie stare, które wyciąga ku niej rączki, „mama, mama", które uśmiecha się niewinnymi oczami, jakby prosząc, by wzięła je na ręce i popieściła (dzieci lubią, jak mamy biorą je na ręce i pieszczą, a mamy lubią brać dzieci na ręce i pieścić), które macha w powietrzu nogami pełnymi żylaków, zgrubień i odcisków, patrzy na tę posiekaną zmarszczkami twarz, która żąda pieszczot śliniąc nowiusieńki śliniaczek swoją starczą śliną i uśmiecha się.

Siada na łóżku (Ryta wyciera jej oczy), bierze z nocnego stolika czepeczek z pomponem, pochyla się nad Damianą i kładzie go jej. Damiana krzyczy i płacze, gdy Iris zawiązuje jej troczki pod owłosioną brodą. Kiedy kokarda jest gotowa, dzidziuś znów się krzywi. Wybuchamy śmiechem, a Iris wraz z nami.

– Zdejmij jej czepeczek, Iris.
– Damiana ma wszy.
– Ten czepeczek jest dla twojej lalki...
– Damiana to moja lalka.
– Ale ci lalka z taką brzydką buzią...
– Nieprawda, a właśnie że z ładną, i mówi mama...
– Ziuziu, mama...
– Dajcie mi chustkę, to ją okryję.

Iris podnosi się z łóżka i okrywa starą szalem. Hop, hoop – pomagamy jej wziąć na ręce Damianę w czepeczku, śliniaku i szalu. Dzidziuś zaczyna popłakiwać.

– Trzeba pokołysać dziecko, to się uspokoi.

Iris kołysze ją, szszsz... córeńko, szszsz... i płacz Damiany ustaje.

– Zasnęła.

– Jak się obudzi, to będzie chciała jeść.

– Papu, mama, papu...

Iris siada na ziemi niedaleko piecyka poważna, skoncentrowana. Rozpina sukienkę, wyjmując swoją ciężką pierś.

– Papu, mama...

– Possij, possij, dzidziulku...

– No, Damiana, teraz musisz ssać, nie każ się prosić, nie co dzień ci się to trafia...

Bezzębne usta Damiany otaczają brodawkę Iris, podczas gdy my ściskamy sobie brzuchy ze śmiechu, nie, ta Damiana jeszcze zabawniejsza od Menche, zupełnie jak dziecko z cyrku, ale brzydula, Iris, popatrz tylko, jakie brzydactwo ci się urodziło, nie wstyd ci? Ukryj je, tak, najlepiej będzie je ukryć, bo jak je kto zobaczy, to się przestraszy albo cię wyśmieje, włochate niemowlę, widział to kto coś podobnego, ale Iris, że nie, śliczna jest moja laleczka i umie mówić, i tak rozkosznie mnie ssie, jeszcze, Damiana, jeszcze, a potem cię pokołyszę i zrobię ci kiziołki, i poproszę stare, żeby mi pozwoliły spać z tobą w jednym łóżku, to mnie ogrzejesz, a tak mi tego brak, marznę, chociaż jestem taka gruba, no dosyć, Damiana, dosyć się nassałaś, nie bądź taki łakomczuch, starczy. Iris chowa pierś, znowu przechadza się po suterenie z dzieckiem na ręku klepiąc je lekko po plecach, żeby mu się odbiło. Mocniej, Iris, mocniej ją rąbnij, tę świnię, jak jej się nie odbije, to ją wezdmie i będzie płakała, i nikomu nie da spać w całym Domu, a jak ona beczy, to beczy, pamiętacie, jak umarła Brygida, darła się, że chyba było słychać na placu Broni, rąbnijże ją, Iris, niech jej się tak odbije, aż wszystko zadrży, a my się fest uśmiejemy.

– Teraz rzeczywiście usłyszeli chyba na placu Broni...

– Mama, mama, posiusiałam się...

– Chyba to żarty, przecież nie byłaby taką świnią...
– Nie, wykluczone.
– Nie zamocz szala, nowiuteńki.
– Trzeba ją zaraz przewinąć, bo się odparzy...
– Tak, musisz przewinąć twojego niemowlaka, Iris.

Iris układa Damianę na ręczniku, żeby nie pobrudziła prześcieradła, Ryta podaje jej czystą pieluszkę, Amalia przynosi talk, Rosa Pérez gąbeczkę, Maria Benítez maść, Dora potrząsa grzechotką, żeby jakoś zabawić dzidziusia, żeby się nie złościł w czasie przewijania, niektóre dzieci bardzo się o to gniewają. Mama zadziera jej podartą spódnicę i śmierdzącą halkę, spuszcza wełniane pończochy i mokre majtki, dajcie mi ciepłej wody, nie, gorętszej, ale uważaj, żebyś nie poparzyła dzidziusia, ciekawe, skąd ta mała wie, jak zajmować się dzieciakami, jakby nigdy nic innego nie robiła, popatrzcie, już się pocieszyła, minęło jej to zmartwienie, co ją gryzło. Iris śmieje się, szczęśliwa, spójrzcie tylko, jak się śmieje patrząc na ten seks nieużyteczny, nieruchomy, czarny, bardziej pomarszczony niż uschnięta figa. Iris nic nie widzi, tak się śmieje z min Damiany, podczas gdy delikatnie myje jej pupkę, nie będzie bolało córeczki, co ma tam takiego małego kotka, takiego delikatnego, takiego miłego, ale ta stara śmierdzi, umyjże ją porządnie, w środku, nie wiesz, że dziewczynkom wszystko trzeba otworzyć, żeby porządnie umyć, bo inaczej zatrzymują się tam talk i maść i wszystko się infekuje, o tak, dobrze, delikatnie, ale trzeba porządnie jej wymyć, żeby było czyściuteńkie, o tak, tak, a teraz pogłaskać jeszcze po tym wzruszającym kotku mojej córeczki, mojej lalki, która umie mówić, jak byłam mała, nigdy nie miałam nic, żadnej zabawki, tylko kij poowijany w gałgany, ona jest zabawniejsza od tej lalki, coście mi obiecały, bo jest żywa, dotknę cię tam gąbeczką, żeby ci było przyjemnie, żebyś nie krzyczała, żebyś mówiła mama, mama,

mamusia, twoje chropowate ręce, ręce mojej córeczki gładzą mnie po policzku, a ja głaszczę cię po pupce, masz miękką pupkę, Damiana, chociaż inne stare pękają ze śmiechu, bo kręcisz biodrami, podczas gdy cię myję. Już przestałaś kręcić, zamknęłaś oczy, a ja cię całuję w sam środek pomarszczonego brzucha:

– Jaki śliczny brzuszek ma moja córeczka.

Damiana usnęła czy co? Iris nucąc posypuje talkiem czarne uwłosienie jej podbrzusza. Chcemy pokazać jej, jak się zmienia pieluchy, nie tak, Iris, o, teraz lepiej, ależ nie tak, Dora, za ciasno, będzie płakała i odparzy się, zobaczysz... a nie ma nic gorszego niż odparzenie... czekaj, Damiana, ty świntucho, ładnie będziesz wyglądała, jak z tego szczania odparzysz sobie tyłek, mówię wam, że tak lepiej, jak zawijałam dzieciaki misi Gertrudy, nigdy mi się nie odparzyły...

Rozchodzimy się do swoich zajęć. Iris zawija Damianę w szal i siada w kąciku, żeby ją ukołysać, kołysze ją w ramionach, policzek przytulony do łuskowatego policzka starej i nuci cichutko:

Matka Boska prała
z Józefa pomocą,
Dzieciątko płakało,
choć nie było o co...

Kiedy niemowlę znowu zaczyna kwilić papu, mama, papu, papu, Iris wyjmuje pierś, którą dziecko zaczyna ssać, jest zupełnie przebudzone, nie chce spać, trzeba jej jeszcze pośpiewać, trochę ją postraszyć, to może zaśnie, bo jak nie, to i my nie zmrużymy oka.

Jak nie będziesz grzeczna,
zje ci pupkę krowa.
Śliczna krówka mleczna
już czeka gotowa...

Iris i Damiana stały się zupełnie nierozdzielne. Zapomniałyśmy, że nazywa się Damiana, nazywałyśmy ją niemowlęciem Iris. Jak jesteśmy między sobą, jak nie ma żadnych intruzów, na przykład Carmeli, która wiecznie narzeka, ani Zunildy wyglądającej jak sęp, co zatacza nad nami kręgi w oczekiwaniu, że któraś z nas umrze, a wtedy ona zajmie to miejsce, Iris otwiera ramiona, brzydkie dziecko jednym susem już jest na jej kolanach albo na ręku, a mama jej robi kiziołki, kiziołki z kochaną córeczką, co nie wali kupek w majtki, z kochaną córeczką, której leci z nosa, więc mama musi wytrzeć jej włochaty nos, i która robi siusiu, więc Iris ją przewija, a kiedy prosi papu, wyjmuje swą pierś białą i ciężką, a dzieciak się do niej przysysa, a potem mu się odbija i zasypia. Jak się budzi, to przeważnie jest mokra, tego zwyczaju nie wyzbyła się mimo protestów innych starych, znowu się zlała, rany boskie, kiedyż nauczy się wołać, że potrzebuje, wiecznie tylko pranie tych pieluch, a tu tyle roboty... i trzeba natychmiast ją przewijać, żeby się nie odparzyła, wszystkie wiemy, że nie ma nic gorszego.

Iris rozkłada nogi Damiany. Nie obraża mnie ohyda jej przyrodzenia, przeciwnie, fakt, że my, takie skromnisie i pruderyjne, nie wstydzimy się pokazywać Głuszkowi tej części ciała tak starannie zawsze ukrywanej, dowodzi, że należenie do zaczarowanego kręgu siedmiu starych dokumentnie zanulowało mój seks. Powoli staje się coraz mniejszy, mogę go ukryć, tak jak ukryłem mój głos i moje imię powtarzające się 9300 razy w stu egzemplarzach mej książki, którą przechowuje don Hieronim w swojej bibliotece, pośród przez nikogo nie oglądanych ciekawostek bibliofilskich, na półkach na prawo od wejścia, w pokoju o boazeriach, których kolor spatynował czas, i o meblach pokrytych pastelowym aksamitem. Nie wiedząc o tym

przechowuje tam i mnie, współpracuje ze mną, pomaga mi, przy jego pomocy chronię moje nazwisko, ukrywam te sylaby, których już nikt prócz niego nie pamięta, nawet ja czasem je zapominam, przestaję egzystować, nie mam ani głosu, ani seksu, jestem siódmą staruchą. Moją inteligencję zaprzepaściłem już dawno, pomagając matce Benicie w sprzątaniu, zamiataniu, w zwalczaniu tego, czego nie można zwalczyć (co poradzić na halluksy Carmen Mora, zaczyna mi kuleć, została mi tylko fasola, Głuszku, a stare wolą groch, jak tu ogrzać Dom, Głuszku, kiedy już nie mamy ani kawałka węgla, może najlepiej pozrywać podłogi z tych pokoi w głębi Domu albo framugi okienne, a może i belki, co to ma za znaczenie, skoro i tak mają wszystko rozbierać), w czyszczeniu, myciu, w zapalaniu świec na ołtarzu, waleniu się w piersi, dzwonieniu w czasie mszy, nie słyszę, nie umiem mówić, co chcecie więcej? Płeć – to było chyba najtrudniejsze, ale już jestem siódmą staruchą, mój członek jest kawałeczkiem martwego ciała, czymś niepotrzebnym, kurczącym się, niewiele się różniącym od przyrodzenia Damiany. Kiedy jest słońce albo wiatr, wieszamy pieluchy dzieciaka Iris na patio połamanych świętych, żeby wyschły, żeby miało zawsze czyste pieluszki, i wołamy Amalię, żeby je potem zebrała.

Damiana skurczyła się, jest okrąglejsza, lżejsza, jak i ja straciła mowę, umie tylko wymówić papu, spatki, ziuziu, agu-agu, mama kupkę i czule igra z sutkami Iris, chwyta je szorstkimi paluchami, bawi się nimi, ssie je swymi gumowymi dziąsłami, ślini je zaśmiewając się, bo cały wszechświat zamknęła w tych dwóch punktach, które wiążą Iris, we śnie, który jej narzuciłyśmy, aby otrzymać to, czego pragniemy: jej syna, naszego cudownego syna (który nas wszystkie zabierze do nieba ominąwszy śmierć, przecież

lepiej ją ominąć), mojego syna, syna don Hieronima Azcoitii, który przedłuży nasz ród. Zatapiamy się w konwersacjach o comiesięcznych stratach krwi, mając odwieczną wiedzę na temat skuteczności pewnych wywarów i maści, mówimy o atłasowych wstążkach i ceratowych podkładach do łóżka. Iris zmieniła się przybierając nowe wcielenie, kompletnie zapomniała o poprzednim, jakby jej pamięć była zrobiona z czegoś wybitnie śliskiego, uniemożliwiającego jakiekolwiek przyleganie. Przestała być Giną, Panterą Broadwayu, narzeczoną Olbrzyma, stała się wyłącznie mateczką Damiany. Żadna cząstka Iris nie wydostawała się teraz poza tę nową zabawę, która zajęła miejsce poprzedniej.

Co zrobię ze skorupą Iris, z tym niepotrzebnym pojemnikiem otaczającym macicę, kiedy już spełni swą misję wydania dziecka na świat? Nie mogę pozwolić, by następne wcielenia zacierały poprzednie, aż się kompletnie rozpłynie, aby rozdrobniła się na poszczególne cząstki, które kiedyś po ich śmierci odnajdą się w gratach staruch albo w tych, które gromadzimy pod łóżkami: ja także lubię przechowywać pod łóżkiem zupełnie niepotrzebne rzeczy, manuskrypty, których nigdy nie opublikuję, notatki, zeszyty pełne tego, co w moich oczach nazywało się „przemyśleniami", wycinki krytyki mówiącej o mnie, wśród tych staroci trzymam również moje imię, jestem zawistny, nie chcę, żeby inne stare zabrały mi kawałki skorupy Iris, którą chcę mieć dla siebie w całości. Dlatego przysposabiam ten domeczek. Znalazłem go wśród resztek po Brygidzie i schowałem, nim matka Benita zdała sobie z tego sprawę. Jest to pozytywka przedstawiająca drewniany szalecik szwajcarski. Kiedy podnieść przymocowany zawiasami dach, rozlega się *Karnawał Wenecki*. To jedyna melodia, którą gra. Udało mi się to naprawić; już prawie

skończyłem, podczas gdy w ciepłej suterenie Iris swymi zdeformowanymi piersiami karmiła Damianę, której nigdy tego dosyć, zabawiałem się w malowanie fasady szaletu: niby-śniegu na kominie i na gzymsach, drewnianych ptaszków, czerwonych w zielone grochy firaneczek zebranych z każdej strony okien, w miejsce których wkleiłem odpryski lusterka dającego złudzenie, że można zajrzeć do środka. Teraz muszę zainstalować Iris w tym wnętrzu, bo postanowiłem zatrzymać dla siebie to, co zostanie z niej po porodzie, chcę, aby tu, wewnątrz pozytywki, żyła życiem zabaweczki. Dodam jej Damianę. Kiedy urodzi się prawdziwe dziecko, los Damiany będzie musiał zostać połączony z niepotrzebną skorupą Iris... Objęte uściskiem będą spały w szalecie szwajcarskim, więźniarki własnych pieszczot, które będą doskonaliły i które zamkną im wszystkie wyjścia; nie będą zresztą ich potrzebowały, nie będą chciały wychodzić, będą się bały, ze na zewnątrz znajdą się poza tą ograniczoną przestrzenią wspólnej zabawy... Będzie ci dobrze w tym domeczku, Iris, wraz z Damianą, będzie ci lepiej niż gdziekolwiek indziej. Od czasu do czasu uniosę pokrywkę, żeby na was spojrzeć, posłuchać *Karnawału Weneckiego*. On także ci się spodoba, mógłbym ci przysiąc, jego delikatne dźwięki spodobają ci się bardziej niż te *jerks* i *grugs*, które wytańcowywałaś w oknie pierwszego piętra, bowiem powtarzająca się melodia i szwajcarski szalet sprawią, że zapomnisz o wszystkim, poza tym odbiorą ci resztę twego wnętrza, zostanie sama skórka, zamknięta w tym ostatnim wcieleniu, określona ciasnotą, ckliwością, *Karnawałem Weneckim*. Przysięgam, że zazdroszczę ci tego istnienia wewnątrz pozytywki. Nie pozwoliwszy, abyś mi uciekła, ani też, byś się przemieniła w cokolwiek innego, będę przechowywał twoje ostatnie wcielenie pod moim wyrkiem wraz z niepotrzeb-

nymi, lecz posegregowanymi papierami, wraz z innymi rzeczami, które pragnę zachować, bo są moje; wszak jestem siódmą staruchą; twój bezwstyd udowadnia mi to co dzień.

Wydawało mi się, że jesteś sama w suterenie, chciałem więc zejść, by pokazać ci szwajcarski szalecik; miałem nadzieję, że spodoba ci się, że uda się namówić cię, byś przez odpryski lusterka zajrzała do środka, ja zaś opowiedziałbym ci niewiarygodne bajki o wspaniałości tego wnętrza, które przekazałabyś Damianie, i błagałybyście mnie, bym (w sekrecie przed innymi) pozwolił wam bawić się domkiem, do którego z czasem weszłybyście przez maleńkie lustrzane drzwiczki. Nie zszedłem jednak; ukryty w cieniu, pozostałem tam i obserwowałem ciebie wraz z twym paskudnym dzieckiem, które nie jest dzieckiem, bo nie mówi mama, tata, ziuziu, papu, siusiu, a tylko że Amerykanie zbombardowali okolice Hanoi, że Onassis oznajmił, że Panagra to linia lotnicza nowoczesnego człowieka, że Allende do władzy, że spódniczki mini zostały wyrzucone z katedry, że intelektualiści powinni brać udział w zafrze, jak oznajmił w tym roku Fidel Castro, Fi-del Ca-stro, Castro, słuchaj, Iris, uczże się liter, C-A-S-T-R-O, pokaż no mi „A" ze słowa Castro, dobrze, to jest „a", widzisz, że to nie takie trudne, a ty wcale nie jesteś taka głupia, ledwo przecież czytasz, poczekaj trochę, zanim zaczniesz się pytać dlaczego i po co, także coś, Damiana, przecież ja umiem czytać, może nie płynnie, ale nigdy się nie mylę, posłuchaj: do sprzedania tysiąc krzewów kalii, Jezus Maria, do czego komu może być potrzebne tysiąc krzewów kalii, przecież kalie od razu więdną, słuchaj dalej, wyjechały do Termas de Panimavida rodziny Cristi Ramos, Palma Cristi, Cristi Cristi, Pieyro

de Baudoin-Cristi, ale ci musi być zawracanie głowy z taką kupą krewniaków, pozostałości z Belle Epoque... tego to nie rozumiem, Damiana, ale to jest jakiś język, którego nie znam; gdyby Głuszek nie zakleił tego po wierzchu inną gazetą... Popatrz no tu, Iris, popatrz na zdjęcie tej suczki, to ta Łajka, którą wysłali na Księżyc. No a tu gdzie litera „a"... dobrze, poznałaś, chociaż nie jest dużą literą, nie uważasz, że to zabawniejsze od takich bredni jak *Kaczor Donald* i to, co oglądasz w „Corín Tellado"? W dodatku łgarstwo na łgarstwie, żebyś mi nie brała poważnie ani słowa z tego, to jest zabawniejsze, bo to się zdarza ludziom, którzy rzeczywiście istnieją, nie tam jakimś wymalowanym małpom; trzeba czytać gazety, wszystkiego można się z nich dowiedzieć, tak, z gazet dowiedziałem się tego o twoim ojcu, no popłacz, widzisz, teraz to cię martwi, że go rozwalili, trochę późno, nic już na to nie poradzisz, mała, przeznaczenie... Jak się nauczysz czytać i będziesz mogła czytać gazety, przestaniesz być ciemną masą, której te wszystkie staruchy wmawiają byle co, na przykład, że ja naprawdę jestem twoim dzieckiem, przecież to bzdury, ja jestem Damiana. Teraz gotowe ci wmówić, że dziecko, które naprawdę będziesz miała, to cud, bo jesteś dziewicą; jaka tam z ciebie dziewica, przecież sypiałaś z Romualdem, no z tym, co miał głowę Olbrzyma. On jest ojcem twojego dzieciaka i teraz trzeba go odnaleźć i zmusić, żeby się z tobą ożenił – trzeba mieć swojego chłopa, co będzie na ciebie pracował, żebyś mogła sama wychowywać dziecko, a nie te tam staruchy, trzeba umieć się bronić, do tego trzeba umieć czytać, nie masz czego beczeć, przeczytaj, co tu jest napisane, o tu, w tym kącie: Rewolucja hipisów. Co to może być ci hipisi? Ja nie mam pojęcia, ale ja już jestem stara, a ty powinnaś się dowiedzieć, co to są hipisi, o popatrz, tu jest ich zdjęcie, ale ci

pedały z tymi kudłami do ramion, chociaż nie, obejmują się z dziewczynami, więc może nie pedały, a tu stoi napisane... Jakaś inna Damiana, olbrzymia, oświetlona blaskiem płynącym z okien gazet, którymi wytapetowałem ściany, jej oczy o ostrych źrenicach pochylające się do okna, gotowa rzucić się przez nie wraz z Iris, na ich twarzach, zdumionych rzeczywistością, tyle światła, tyle dokładności w tych literach, sylabach, w paluchu starej wskazującym słowa, zdania, tytuły przy świecy, w świetle której Damiana stojąc obok leżącej w łóżku Iris przebiega teraz wzrokiem te szpalty pełne martwych aktualności, przesuwa świecę po kartce od lewej do prawej, z dołu na górę, aż do sufitu, szukając nowych wiadomości, nowych zdań wychylających się przez okno...

Już nigdy nie będę mógł zostawić ich samych, muszę ich pilnować bez przerwy, bo Damiana oszukała nas: chce zabrać nam dziecko i ukryć w jakiejś śmierdzącej lepiance, gdzie pod jej łachami żebraczki nikt nie rozpozna syna don Hieronima Azcoitii. Każda chwila, którą te dwie spędzają razem, jest groźna. Muszę coś skombinować, żeby się pozbyć Damiany, bo nie upilnuję ich – śpią razem, a ja nie mogę spać z nimi. Kiedy stare zbierają się w suterenie, a Iris bierze Damianę na ręce i przytula policzek do jej policzka udając, że jej nuci, nic jej nie nuci, robią plany, jak udać się na poszukiwanie Romualda, ojca, który nim nie jest, a który powinien nim być; dziś jeszcze trzeba uprzedzić don Hieronima, aby zjawił się ratować swego syna od nędzy, w której Damiana pragnie go pogrążyć. One nie nucą pod nosem, nie pieszczą się – spiskują, konspirują; podczas gdy Dora szydełkuje, Maria Benítez warzy na ogniu mikstury, Ryta zawiązuje atłasowe kokardy, Rosa Pérez prasuje, Amalia przemywa swoje chore oko w niebieskim kieliszku,

Damiana, znowu malutka, śpiąca na kolanach Iris, czeka na Bóg wie jaką chwilę, Bóg wie jaką okazję, podczas gdy nadęta Iris dłubie w nosie i ziewa. Ja zaś, siódma starucha, zasiadłszy w kącie i niby to malując na pozytywce szarotkę – czuwam.

– Kiedy się urodzi?

– Przy cudownych narodzinach nic nie można przewidzieć.

– Szkoda, że nie można jej zapytać, kiedy to było.

– Znaczy, od kiedy trzeba zacząć liczyć te dziewięć miesięcy...

– Powtarzam ci, że dziewięć miesięcy nie ma znaczenia, kiedy idzie o cud, nie bądź uparta, Amalio. Dzieciak urodzi się, kiedy ma się urodzić, i tyle. Trzeba czekać.

– A jak było z Matką Boską?

– Jak to?

– Zwiastowanie, kiedy Archanioł Gabriel ukazał się Matce Boskiej z podniesionym paluszkiem, a ona powiedziała, niech się stanie według słowa Twego, jest 25 marca. A Narodzenie Chrystusa wypada 25 grudnia. Jak raz dziewięć miesięcy.

– Ale Iris to nie Matka Boska, to zwyczajne cudowne narodzenie, takich cudownych narodzeń jest na pęczki, tak że nie ma się o co tyle pytać, Amalio, to niedobrze tyle pytać...

– A bo ja wiem. A po urodzeniu tego dziecka Iris dalej będzie dziewicą? Przecież dzieci właśnie tędy wychodzą, którędy...

– Nie mam pojęcia, to się dopiero okaże.

– No to będzie dziewicą czy nie?

– Pewno będzie, Amalio. Brygida tak powiedziała, a kiedy Maria Benítez badała ją... Może nie, Mario?

Ale Maria nie odpowiada.

– Może nie, Mario?

Maria Benítez zestawia z ognia swoje wonne mikstury.

– Nie wiem... Chciałam wam coś powiedzieć, ale jakoś nie było okazji...

– Co?

– Że tego... Jak tamtego dnia znalazłyśmy ją na patio chorą, pamiętacie... Czy tego dnia nie wkradł się ktoś do domu?

– Jak to wkradł?

– Sama nie wiem, ale mężczyźni to świnie, a nasza Iris taka ładna... Boję się, bo mówią, że jak kobieta zada się z mężczyzną wtedy, kiedy czeka, może się urodzić coś dziwacznego. Nieboszczka Brygida mi mówiła, że przez to nigdy nie pozwalała mężowi zbliżyć się do siebie, kiedy była przy nadziei. Cóż, i tak jej dzieci urodziły się martwe, ale to już wola boska. Mówią, że jak mężczyzna się zada z kobietą w błogosławionym stanie, to się rodzi potwór, monstrum z olbrzymim łbem, z rączkami jak skrzydła pingwina, z żabią gębą, z ciałem owłosionym albo w łuskach, podobno nawet może się urodzić bez powiek; dlatego te potworki nie mogą spać i beczą całe noce, i z tej rozpaczy, że są potworkami, i dlatego że nie mają powiek i nie mogą ich zamknąć, żeby zasnąć, to przecież okropne nie sypiać po nocach...

Mówią, że mówią, że mówią, że: wszechwładne słowo w zniszczonych gębach starych bab, sylaby zawierające całą wszechwiedzę nędzarzy. Mówią, mówią, że Brygida była milionerką, mówią, że cieniutki jedwab trzeba prasować letnim żelazkiem, i to skropiwszy go uprzednio... mówią, że nigdy nie rozbiorą Domu... mówią, że jak się włoży do butelki z gotującą wodę słomkę, to nie pęknie... mówią, że, mówią, że... zgodnie z meandrami lat, a może i wieków, powtarzanie słów mówią, że, podobno, kto wie,

mówią, mówiono, kiedy mówiono i jak mówiono, a one z całkowitą pewnością powtarzają, że jak mężczyzna zada się z kobietą w tym stanie, rodzi się potwór. W półcieniu sutereny, w której stare poruszają się niby kupy gałganów, Maria Benítez miesza w garnku stojącym na żarze tę hiszpańską herbatę, co to mówią, że taka dobra jest na trawienie, a zbierająca się para przyjmuje nieodwracalnie rzeczywistą formę potwornego syna don Hieronima i Iris, którego ktoś począł w kimś, gdy Inez wreszcie zaszła w ciążę... boję się jej dotknąć, ażeby nie zaszkodzić mojemu mającemu przyjść na świat dziecku, musi być udane, mówią, że jeżeli zbliżyć się do kobiety, która... Kto wie kiedy, przy jakiej okazji usłyszał don Hieronim owo mówią, że, określające jego syna, psutego przez wszystkich łobuzów z dzielnicy, przez wszystkich fircyków z centrum, którzy przejechali się po Iris, przez wszystkich generałów i akademików ukrywających się w głowie Olbrzyma, ależ tak, don Hieronimie, twój syn będzie wzbudzającym sensację potworkiem godnym Azcoitiów, ja, Peñaloza, nie byłbym w stanie spłodzić równie monstrualnej wspaniałości, najwyżej bachora brzydkiego, słabego, niedożywionego, z tych, co to płaczą z głodu, nie zaś dlatego, że śnią im się straszliwe koszmary, z których nie mogą się wydobyć, koszmary, jakie będą się śniły potworowi zrodzonemu z płodnej macicy Iris Mateluny... Dalej, Mario, jesteś czarownicą i wiesz, co gadają, mieszajże dalej w tym garze, a para niech dalej przybiera formę potwornej twarzy, szpetnego korpusu, które wyrwą don Hieronima z jego wygodnego fotela w Klubie, gdzie czyta gazetę i drzemie zapominając o wszelkich godnych przedsięwzięciach, o obowiązkach, które narzuca władza, o wszelkich dawniejszych wysiłkach, woli bowiem hodować podwójny podbródek, który tak by bolał mojego godnego szacunku ojca. Nie masz prawa okradać go

z tego, don Hieronimie, za nic na świecie, jak by powiedziała Maria Benítez, która w dalszym ciągu miesza w garnku, skąd wyłania się ów oczekiwany potwór, a ty, Amalio, potwierdź, że słyszałaś to samo, nie przerywaj jej, Dora, ani ty, Ryto, zapewniając, że to nie ma nic wspólnego z Iris, bo biedula przecież nigdy, ani przedtem, ani potem, z nikim nie żyła, nie ma żadnych mężczyzn, to ona jest matką potwora, Brygida wiedziała wszystko. Maria w dalszym ciągu miesza w garnku na żarze, krzywy i kaleki Azcoitia uśmiecha się do mnie z oparów, chciałbym wziąć go na ręce, póki stare mielą ozorami, komentują, gadają, mruczą, słuchają. Maria Benítez, ta czarownica, podobno zna się na wielu rzeczach, może nie na tylu co Brygida, ale co wie, to wie na mur ta cała Maria Benítez.

– Może tylko mi się przywidziało... Nie złość się, Ryto... Ale tej nocy, cośmy ją znalazły... miałam wrażenie, że ktoś nadużył niewinności biedactwa... są tacy zboczeńcy, co szukają małych dziewczynek, takich jak Iris, a potem robią z nimi najgorsze świństwa, no i z tego przerażenia humory w ciele się burzą. Jeżeli tak jest i jeżeli tak się stało, to dziecko, o ile żyje, z pewnością będzie potworem.

– Martwe nie jest.

– Jak jej wczoraj położyłam rękę na brzuchu, to się ruszało.

– Może niestrawność... zjadła banana późno wieczorem...

– Nie, podobno banan wieczorem szkodzi tylko, jak go popić piwem, wtedy siada na żołądku. A Iris piwa nie piła, skąd by wzięła piwo...

– Znaczy, że urodzi się potworek...

Spojrzałyśmy po sobie nie wiedząc, co mówić, aż do chwili gdy z fałd spódnicy śpiącej Iris rozległ się głos Damiany:

– A co szkodzi, jeżeli to będzie potworek?

I teraz także nie wiedziałyśmy, co odpowiedzieć. Gadaj, Damiana, no gadaj...

– Nawet i lepiej... Jak się urodzi potworek, nikt go nie będzie chciał i nie będą nas tutaj nałazić i awanturować się o dziecko. Ludzie się tego boją... Tyle że podobno czasem doktorzy zabierają sobie takie potwory, żeby je badać po szpitalach i robić na nich różne straszne doświadczenia, biedaki strasznie się wtedy męczą, ale znowu mało jest potworów. Znałam jedną akuszerkę, co urodziła takiego dzieciaka, podobno doktorzy jej go zabrali i wsadzili do słoja z czerwoną wodą i karmili go sondami, i ona już nigdy tego swego syna nie zobaczyła i nie dostała za niego ani gronia.

Już wiem, dlaczego mówisz, że syn Iris urodzi się potworem: chcesz, żeby się uspokoiły, podczas gdy wy, ty z Iris, wprowadzicie w czyn waszą ucieczkę ku temu, co uważacie za rzeczywistość. Ty wierzysz, nieszczęsna starucho, że Olbrzym jest jego ojcem, że tylko Romuald używał głowy Olbrzyma. W twoim tradycjonalnym myśleniu musi być ojciec, którego należy obciążyć utrzymaniem syna; nie znasz podszewki sprawy, tuzinów ojców ukrytych za maską Olbrzyma, tego wszystkiego, co ja uknułem, zanim tobie przyszła do głowy ta biedna realistyczna koncepcja: rodzina, matka, ojciec, syn, dom, utrzymanie, płacenie alimentów, cierpienie... Wierz sobie dalej w te bajeczki, Damiano, snuj swoje bajdy o pospolitym szczęściu, o codziennych smutkach, podczas gdy ja... z oparów, coraz gęściejszych, utkam coś narodzonego w anarchistycznej wolności, z jaką funkcjonują umysły staruch; wszak jestem jedną z nich.

– Tyle że my nie damy się nabrać. Nie oddamy go ani doktorom, ani nikomu innemu, nawet matce Benicie ani

księdzu Azocarowi. Teraz, jak już wiemy, że to będzie potwór, musimy go chronić jeszcze bardziej, żeby nikt a nikt nie dowiedział się o jego istnieniu, trzymać go tu w zamknięciu aż do chwili, gdy zechce wraz z nami wszystkimi przenieść się do Chwały. W takiej karecie jak ta, którą pojechała Brygida, tyle że nie w czarnej, ale białej i zaprzężonej w białe, a nie w czarne konie, skrzydlatej, żeby mogła pofrunąć do nieba wśród deszczu kwiatów i niebiańskiej muzyki...

– Och, gdyby biedna Brygida żyła...

– Żebyśmy chociaż my tego dożyły...

– Wspaniały był pogrzeb Brygidy...

– No...

– Najładniejszy, jaki widziałyśmy w Domu.

Pilnować przez cały dzień Damiany i Iris aż do kolacji, aż do nocy, bo one czatują na chwilę, kiedy my zasypiamy w naszych norach, by wstać. Trzeba ich pilnować, trzeba je śledzić. Skąd ten lęk, skoro klucze i tak zawsze są w moim ręku? To Damiana jest tą włochatą i wrzaskliwą groźbą, która wtargnęła do Domu, a potem do naszego kółka, aby nas zniszczyć. Nocami, w tajemnicy, wchodzi z Iris na pierwsze piętro; stamtąd podziwiają piękno nocy, czerwone błyski mrugające nad lotniskiem, światła na wieżach kontrolnych, neonowe zygzaki na szklanych budowlach centrum, latarnie morskie sygnalizujące nocą... chwyć ten promień, Iris, chwyć go, teraz znowu się przybliża, poczekaj, aż się obróci dookoła, wtedy go chwyć i wdrap się po nim... a Iris wyciąga rękę, łapie promień, który umyka, aby oświetlić inne zaułki miasta rozciągającego się aż po Andy. Przy oknie, które sam im otworzyłem, Damiana tłumaczy Iris cały plan miasta, mówi, gdzie jest rzeka, place, centrum, aleje, żebyś nie zabłądziła. Kreśli ich marszrutę ulicami (znanymi jej

jeszcze z czasów, gdy była służącą i nie umiała usiedzieć na miejscu), wymawia je dokładnie, sylaba po sylabie, ażeby wbiły się w tępą głowę małej, aby ich nie zapomniała, żeby nie zabłądziła, tak jak z pewnością zabłądziłbym ja, gdybym wyszedł z Domu i ruszył tymi ulicami znanymi Damianie, a mnie nie.

Myślałem, że będą robiły coś więcej w tym oknie, że przepiłują kraty i zjadą na powiązanych prześcieradłach, by uciec, ale wkrótce zamknęły je, zeszły na dół, powiedziały sobie dobranoc, pocałowały się w policzek jak przyjaciółki i poszły spać, każda do swego pokoiku. Ja w dalszym ciągu obchodziłem patia z kluczami w kieszeni fartucha, nie pójdę spać ani tej nocy, ani nigdy więcej, nocą mogłaby dostać się do mojego pokoju i zrabować mi klucze, tak że nawet bym o tym nie wiedział, chociaż trzymam je pod łóżkiem wraz z manuskryptami i szwajcarskim szaletem, zabiorą mi to wszystko, jak będą uciekały z Domu, bo uciekną, jutro albo pojutrze, więc muszę zawiadomić niezwłocznie don Hieronima, powiedzieć mu, że grozi mu utrata syna, jeszcze dzisiaj w nocy pójdę, bo wiem, co knują, aby przekreślić ostatnią okazję, jaka przed nim się zjawia, by raz jeszcze stać się wielkim i szlachetnym, przyjmując ojcostwo potwora, tak, nie wolno mi tracić czasu, muszę zawiązać w węzełek szalet, klucze i manuskrypty, pewno że mogłyby wziąć ze sobą całe zawiniątko i z nim uciec, siejąc po drodze sznurki, gałgany, szczątki szaletu, kawałki pozytywki, rękopisy wypełnione moim pismem, podpisane moim imieniem (które dadzą nieznajomym – może nawet Pecie Ponce, i ta dowie się, gdzie mnie szukać – ludziom bez twarzy jak mój ojciec lub ofiarom, którym doktor Azula kradnie rysy), moje papiery (które nikomu do niczego nie służą), i rzucą je na ziemię, żeby opony samochodowe uwalały je

błotem, ażeby dzieci porobiły z nich stateczki lub różki, jakby to były pstrokate ulotki, aż jedna z tych ulotek wpadnie w ręce Pety Ponce i ta zjawi się tu i znowu każe mi z sobą iść do łóżka, nienasycona stara wiedźma, nie chcę wychodzić, nie wyjdę...

Głuszku, Głuszku, głos jej wywołuje mnie z cienia, w którym się kryję, choć ona dobrze wie, że umiem chodzić, nawet biegać po tych korytarzach, gdy ona przyspiesza kroku... tamtej nocy także... Głuchu, Głuszku... uwaga, Iris, stopień, nie upadnij, mogłabyś zabić twego synka, może i chcesz tego, może byłoby twą zemstą unicestwienie tej istoty z oparów, które wyłaniają się z garnka Marii Benítez, czarownicy, co nie jest czarownicą, ale znachorką, przecież żadna z nas nie jest czarownicą, jesteśmy stare baby i tyle, stare baby z cechami starych bab. Głuchu, Głuszku, ależ tak, Damiana uciekła, uciekła i nie umiałeś jej zatrzymać. Damiana umie się ukrywać, nie potrzebuje twoich kluczy, w tym Domu są zakamarki, których nawet ty nie znasz, dziury, przez które wchodzą i wychodzą ludzie, a ty o nich nie wiesz, Damiana znikła, teraz jest nas sześć staruch, dajże mi klucze, Głuszku, chcę iść do Damiany, chociaż nie... zaczekam, aż mnie zawoła, to znaczy, aż znajdzie Romualda, który przebierał się za Olbrzyma i jest ojcem mego dziecka, lataj, lataj, bezszelestnie po korytarzach, Głuszku, Iris, błagam cię, nie powtarzaj ciągle Głuszku, Głuszku i Głuszku, nie wymawiaj tego tak głośno, mogą cię usłyszeć, wrzeszczysz niemal, tak jakbyś ani sekundy nie mogła się beze mnie obejść, cicho, cicho bądź, w końcu nas nakryją, oni albo Damiana. Ona także czeka na mnie w jakimś zaułku olbrzymia, potężna, z brodą i karabinem, ażeby wykończyć mnie za pomocą kuli... Głuszku... Głuszku... Szczury i myszy

uciekają przed nami, niszczymy konstrukcje, które pająki tkają na korytarzach, znajduję cię pośród drzew pomarańczowych obciążonych złotym owocem, czekasz ukryta, aż nadejdę, muszę iść do portierni, sprawdzić, czy aby zamek jest zamknięty. Ten korytarz nie jest głęboki, ktoś, może zresztą i ja, wymalował nie kończącą się perspektywę na zabitym deskami oknie, może Damiana zgubiła się w tych udawanych głębokościach, poszukaj jej tam, choć nie, mylisz się, czyż nie widzisz, że to tylko kreski na kłamliwym murze, zatrzymujesz się i ukosem idziesz przez inny korytarz szukając mnie. Ukrywam się w kącie, by odpocząć, brak mi tchu po tej ucieczce przed tobą, jesteś młoda, a ja jestem kaleką, już teraz nie słyszę twoich kroków – odpocząć trochę na portierni, zanim pójdę do don Hieronima powiedzieć mu, żeby cię zabrał wraz z twym synem potworem, którego kryjesz w głębiach macicy, żeby cię zabrał, nim tamta uprowadzi cię przez galerie – twój gorący oddech nad moim karkiem jak oddech dzikich zwierząt, zanim mnie rozerwą, odpocząć, odetchnąć spokojnie w tym kącie, do którego nie dociera najmniejsze światło.

Dotykasz mnie.

– Głuszku.

Pod pachą mam szwajcarski szalet, poprzez kieszeń fartucha dotykam kluczy. Głosem bardzo cichym i bardzo spokojnym, którego nie znam, mówisz do mnie:

– Chciałabym wyjść.

Wiem o tym, Iris.

Czuję buchający od ciebie zapach brudu, starych łachów, tych maści, którymi cię nacieraliśmy, to dobre na bronchit, Amalio, ty jesteś silniejsza ode mnie, natrzyj no jej porządnie plecy, a to, co wygląda jak woda, to jest znakomite lekarstwo przeciw puchnięciu kostek... Odma-

wiam jej ruchem głowy. Bierzesz mnie za rękę, puszczam klucze, które mam w kieszeni fartucha, unosisz moją dłoń i kładziesz ją sobie na piersiach, które będą karmiły potwora, nie będącego ani synem Romualda, chociaż ty i Damiana w to wierzycie, ani też moim, bo jestem siódmą staruchą i nie mam seksu, Peta, przysięgam ci, że nie, więc nie masz czego tu szukać. Jest synem don Hieronima Azcoitii, który ożywiony zazdrosnym spojrzeniem zapłodnił łono córki mordercy.

– Dotknij mnie tutaj.

Dotykam.

– Przyjemnie?

Nie odpowiadam.

– Mocniej, głupi. Wyobrażasz sobie, że nie wiem, że chciałbyś ze mną robić kiziołki? Masz, macaj, ile chcesz, ale potem pozwól mi wyjść.

Odrywam rękę od twojej piersi. Zapalam łagodne światło, żeby ci pokazać pozytywkę; uchylam przykrywkę i słyszysz *Karnawał Wenecki*, twoje oczy błyszczą, skieruję je teraz na małe szkiełka w drzwiach i oknach; pokażę ci drzwiczki, byś weszła, już, już, teraz, już chcę cię umieścić wewnątrz tego pudełeczka.

– Za kogo mnie masz? Chcesz mnie nabrać na to gówniuszczko?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Powtarzam ci, otwórz bramę.

Nie słyszę. Przecież jestem głuchoniemy, dobrze o tym wiesz, Iris, po co tyle do mnie gadasz, skoro wiesz, że nie słyszę. Nic nie rozumiem z tego, co do mnie mówisz, tak że nawet gdybym chciał cię posłuchać, nie wiedziałbym o co ci chodzi.

– Łgarstwo, wcale nie jesteś głuchy. Od początku skapowałam, że nie jesteś głuchy, tylko udajesz. Dlatego

wołałam cię po korytarzach, żebyś mnie usłyszał i pozwolił mi wyjść. Nie jesteś ani głuchy, ani niemy. Jak brzęczysz kluczami w kieszeni fartucha, to zawsze do taktu piosenki:

Boga chwalimy,
Ducha wielbimy,
w Syna wierzymy,
Marię prosimy...

a naprawdę głusi w ogóle nie wiedzą, co to jest brzdąkać do taktu, bo nie słyszą, więc mnie nie nabieraj. Zanim Damiana dała nogę z Domu, powiedziała, że cię oskarży przed arcybiskupem; uwaga, stary, bo się doigrasz. Jeżeli nie chcesz, żebym ja także cię oskarżyła przed matką Benitą, pozwól mi wyjść.

Znakomite rozumowanie, Iris, winszuję ci, przypiera mnie ono do muru i obnaża; będę musiał wszystko wygrzebać spod łóżka, mój głos, moją zdolność słyszenia, moje zapomniane nazwisko, mój zdrętwiały seks, moje nie dokończone rękopisy, będę musiał wszystko wyciągnąć i wyłożyć i zrobię to z pokorą, ale naturalnie, proszę pani, mój wózeczek jest na pani usługi, nie jestem żadną babą, jestem Humbertem Peñalozą, ojcem twego dziecka, cudowne poczęcie to bajki staruszek, z których koła wyłączasz mnie, pozbawiając tego zacisznego kąta tylko po to, bym ci pozwolił wyjść za bramę i zagubić się w przeznaczeniu, które wymyśliła dla ciebie Damiana; lecz nie wierz w to, Iris, ludzie mają wiele przeznaczeń, można oddać się któremukolwiek z nich, a to, które ci ofiarowuje Damiana, jest mizerne, biedne, płaskie.

– Chcę wyjść.
– Sama?
– Jasne.
– Żeby połączyć się z Damianą?

– Z tą świnią...
– A to dlaczego?

Chwilę się zastanawiasz. Damiana uciekła bajerując mnie, że idzie szukać Romualda, ale to nieprawda, nie będzie go szukała, bo sama chce być ze mną. A ja nie mam najmniejszej ochoty zostać na zawsze z tą starą lesbijką jakoby u jakiejś pani, którą ona znała i która mogłaby mi dać schronienie, dopóki nie znajdziemy Romualda, ma tam podobno dużo różnych dziewuch. Ani mi się śni. Ja naprawdę chcę znaleźć tego, co mnie nafaszerował, i zamieszkać z nim.

– To nie był Romuald.
– To kto w takim razie?
– Ja wiem kto.
– Olbrzym...
– Nie, ktoś, kto siedział w środku Olbrzyma.
– No to Romuald...
– Nie, całkiem ktoś inny. Wielki pan, szlachcic...
– Nie bujaj. Pozwól mi wyjść.

Niełatwo jest zburzyć twój realistyczny sen, wcielenie, którego nie chcesz porzucić, zresztą to ci się należy, to niemalże prawda, rzeczywiście stanowiliście parę z Romualdem, wiesz o tym i nie chcesz, żebym ci burzył ten sen wprowadzając cię w inny. Sen związany z Romualdem ogarniasz, tamtego nie, jest dla ciebie zbyt wielki, ale mogę go trochę zmniejszyć, tak aby stał się na twoją miarę, mogę pozwolić cię do niego dopasować. Ale tobie pilno, nie chcesz już tracić czasu: wyjść, wyjść, teraz już tylko na jednym ci zależy, nie jesteś w stanie odkładać tego ani chwili.

– Zabłądzisz.
– Nie szkodzi.
– Nie będziesz miała gdzie spać ani co jeść.

Wzruszasz ramionami na znak pogardy dla moich obaw przed złymi warunkami, ale nie chcę, byś tym wszystkim gardziła, chcę, byś w to uwierzyła, przynajmniej teraz, tej nocy: mówię do ciebie, słuchasz mnie, tłumaczę ci, że cała historia z Olbrzymem była farsą, bo prawdziwy ojciec dziecka ukrywał się wewnątrz Romualda, który był jakby jeszcze jedną maską, taką samą jak ta maska, którą przy tobie podarli, teraz trzeba podrzeć tekturową maskę samego Romualda, aby w środku znaleźć tego drugiego, tego drugiego – prawdziwego ojca twego dziecka, który żyje w pałacu z żelaza i szkła, możesz zobaczyć go z okna, to jeden z tych pałaców, które tak świecą, które wysyłają te właśnie promienie, jakie usiłujesz schwytać, aby potem po nich się wydostać, ale nie będziesz potrzebowała wdrapywać się po świetlnym promieniu, zniszczę maskę Romualda i przyprowadzę ci prawdziwego ojca, zaczekaj tu na mnie, ulice są straszliwe, pełno na nich brodaczy, którzy napadają, i doktorów, co zadają ból wycinając potrzebne im organy wyostrzonymi lancetami, psy tych doktorów napadają ludzi, którzy nocą znajdują się na ulicach bez papierów i określonego miejsca zamieszkania, ciemność na zewnątrz to nie to samo co ciemność wewnątrz Domu, Iris, tamta to ciemność bezdomnych, włóczęgów, ciemność pożerająca, w którą człowiek spada z krzykiem i nie przestaje krzyczeć, i nie przestaje spadać, bo ona nie ma dna, bo nawet głos ginie, a człowiek spada i spada w tę nieskończoność wijących się ulic o nieznajomych nazwach, pełną ludzi, którzy się będą z ciebie śmieli, ludzi mieszkających w domach, do których cię nie wpuszczą, robiących rzeczy, których nie pojmujesz, nie zbliżaj się do mnie, Iris, nie dotykaj mnie, tak, Humbercie, nie dozwól, by Iris dotykała cię w ten sposób, bo roztrzaska twoją maskę i wszystko się zawali, będziesz

musiał z powrotem stać się tym sobą, tym, którego już nawet nie pamiętasz, o którym nie wiesz, ani gdzie przebywa, ani kim jest, przybliżasz do mych ust twoje grube wargi, a twoje uda wpychają się pomiędzy moje biedne sflaczałe, trzęsące się nogi, nie pozwól, żeby cię zmieniła w Humberta Peñalozę, z jego obciążeniem straszliwej nostalgii, uciekaj, aby twój seks nie przebudził się pod dotknięciem jej zmysłowych rąk, nie odpowiadaj temu językowi usiłującemu poznać twoje usta, pozostań jak martwy, mimo że czujesz tuż, tuż jej piersi i jej biodra. Nie ma Humberta, nie ma Głuszka, jest tylko siódma starucha. Twoja ręka nic nie znajduje.

– Iris...

– Co?

– Pójdę po ojca.

– Gdzie?

– Wiem, gdzie mieszka.

– Gdzie?

– W żółtym domu na wprost parku, w wysokim, eleganckim domu.

– To idziemy.

– Nie, zaczekaj...

– Dlaczego?

– Nie wiem, czy go zastaniemy.

– Jakie to ma znaczenie?

– Ma cztery dzikie czarne psy; gdy go nie ma w domu, rzucają się na wchodzących, a ponieważ cię nie znają...

– A ciebie?

– Mnie znają.

– Ciebie nie pogryzą?

– Nic mi nie zrobią. Nie ruszą mnie.

Zastanawiasz się.

– A ten dom jest ładny?

– Ładny.

– A facet jest do rzeczy?

Odpowiadam ci, że tak, że don Hieronim Azcoitia jest samcem wyjątkowo do rzeczy.

– Bo ja wiem... Te psy...

Dlatego po niego pójdę, niech przyjedzie po ciebie autem z szoferem, nie chcę szofera, chcę, żeby to był sportowy czerwony wózek, dobrze, Iris, jak chcesz, powiem mu, żeby po ciebie przyjechał czerwonym sportowym wózkiem i żeby cię zabrał z tego Domu, od matki Benity, od Damiany, i ode mnie, bo nie chcę więcej cię oglądać, chcę zmniejszyć cię do rozmiarów mojego szwajcarskiego szaleciku, otworzyć ci drzwiczki, ażebyś weszła do zaśnieżonego domku, posłuchaj mnie, wejdź tam, podczas gdy ja pójdę po ojca twojego dziecka, rozerwij się, zanim on zabierze naszego syna, Iris, który będzie właścicielem nie tej drewnianej zabawki, lecz całego labiryntu, gdzie przechowuje się czas, który nie upływa, tylko stoi wśród tych glinianych murów, co nigdy nie przestaną się walić.

– Zaczekaj tu na mnie, Iris.

– Dobra, ale pospiesz się, jeżeli nie chcesz, żebym cię oskarżyła i żeby cię zaaresztowali; jeżeli się nie pospieszysz, obudzę matkę Benitę i wszystko jej powiem.

– Co wszystko?

Nie odpowiedziała.

– Że ja jestem ojcem?

– Tak.

– Wierzysz w to?

Roześmiała się i powiedziała, że nie wierzy.

– Zgaś światło, Iris.

– Dobra. Tu na ciebie czekam, w portierni.

– Zaraz wracam.

Zdejmuję sztabę, otwieram bramę i wychodzę. Zamykam, ale słyszę, że od środka równocześnie także ktoś zakłada sztabę... Walić w drzwi, żeby mi otwarto, chory jestem, na dworze pada, jestem przemoczony do suchej nitki, mam gorączkę, proszę mi otworzyć, matko Benito, proszę mi otworzyć z łaski swojej, przebaczyć, że wyszedłem z Domu, otwórz, otwórz, nie wiem, kto zaryglował bramę, nic nie widzę, nie mam już siły krzyczeć, karabinierzy mnie pobili, psy mnie pogryzły, mam gorączkę, nikt mnie nie poznał, upokorzyli mnie i wyrzucili do parku, gdzie lało i lało, a ja biegałem i biegałem, a teraz krzyczę i stukam, już nie mam sił, aby krzyczeć i stukać. Matko Benito, wybaw mnie, spraw, żeby mnie nie spotkała Peta Ponce, pozwól mi wejść, nie mam już pięści, nie mam już głosu, nie jestem niczym więcej tylko tą wykrwawioną masą leżącą u progu klasztoru w deszczową noc, a nikt mi nie otwiera...

# 9

Woda, wciąż woda... zimny okład na czole, nie cofaj ręki, matko Benito, proszę cię, trzymaj moją dłoń w twojej, dopóki sobie nie pójdą, bo odejdą, gdy zobaczą, że nadal opiekujesz się mną tak, jak opiekowałaś się zawsze, że osłaniasz mnie twym milczeniem... powiedz im, żeby sobie poszli, wygoń ich, karabinierzy podobno bywają okrutni, pastwią się nad ludźmi, każąc im przyznawać się do kradzieży szalika lub bochenka chleba... ale do czego mam się przyznawać, skoro nic nie ukradłem? Widzisz, karabinier zaciska pięści, popatrz tylko na kostki jego palców, zbielały z wściekłości, będzie mnie bił, przeszkodź mu, matko Benito, nie pozwól, ściśnij mi rękę, żeby cios mniej bolał... Dlatego gdy nas gonią, uciekamy co sił, a zanim nas dopadną, sami ranimy się w brzuchy, o tak... spójrz na moje blizny, matko Benito, prujemy sobie brzuchy cienkimi, dobrze naostrzonymi brzytwami, raz i jeszcze raz, ale tylko po wierzchu, po to, żeby karabinierzy znaleźli nas w kałuży krwi, śmiejących się do rozpuku... więc mnie wezmą do szpitala, do dobrego szpitala, gdzie nie ma doktora Azuli, który by zawistnie i cynicznie obrabowywał mnie z najmniejszego wycinka skóry, z resztek gruczołów... To będzie szpital, o którego istnieniu on nie wie, a zostanę tam zawieziony, aby nikt, nawet oni nie ośmielili się wtargnąć, bo w tym szpitalu my, ranni,

jesteśmy nietykalni. Tak, tylko gdy jestem ranny, jestem poza niebezpieczeństwem, gdy jestem ranny, oni się mnie boją, a nie ja ich, wtedy nie muszę im się do niczego przyznawać i tylko tobie, matko Benito, wyznam prawdę: tak, ukradłem coś w domu don Hieronima, to, popatrz, ten mały zielony oprawny tomik, ten jeden tomik, chociaż byłbym chciał zabrać wszystkie sto egzemplarzy: ale nie mogłem, sparaliżowało mnie w tej bibliotece, wśród szarych, aksamitem krytych foteli, wśród niskich świateł, wśród trzaskających na kominku polan, i gdy tak stałem na dywanie o ciemnych kolorach, nagle zdławił mnie lęk, że w nich zatonę, że mnie pochłoną... A więc ratować, co się da, wyciągnąłem rękę ku moim książkom, ku temu miejscu, gdzie zawsze stało całe sto egzemplarzy, nigdy nie dotykanych – jakiś zły żart pośród innych ciekawostek – tych sto egzemplarzy hojnie subskrybowanych, aby pomóc biednemu studentowi w wydaniu książki, w której bez końca, na każdej stronicy powtarzało się imię jego, Hieronima, i imię Inez... spoza błękitnych kwiatów, które układała w kryształowym kielichu lalique, Inez spojrzała na niego czule, spod palmy, gdzie całe godziny szydełkowały wyprawkę dla Boya, Hieronim de Azcoitia zszedł ze schodów już ubrany na podróż do Rinconady, Inez i Peta Ponce szeptały ze sobą bez przerwy... I moje nazwisko u góry nad tekstem każdej parzystej stronicy, Humberto Peñaloza, Humberto Peñaloza, Humberto Peñaloza, to powtarzające się nazwisko, które miało pokryć mój wstyd, pocieszyć mego ojca, zadrwić z mej matki, mnie samego utwierdzić w przekonaniu, że skoro tylokrotnie zostało wydrukowane, nikt już nie będzie miał prawa wątpić w moją egzystencję. Ile też razy zostało powtórzone? Chwileczkę, matko Benito, pomóż mi obliczyć, gorączka rozluźnia mi wprawdzie język, ale nie

mogę skoncentrować się na wykonaniu działania arytmetycznego, zaraz, każdy egzemplarz ma 180 stron, to znaczy dziewięćdziesięciu Humbertów Peñalozów plus po jednym na każdej okładce, po jednym na każdej stronie tytułowej i na każdym grzbiecie... wychodzi więc, że moje nazwisko powtórzone jest 9300 razy w bibliotece don Hieronima de Azcoitia... Jakże mogłem się nie bać, że połknie mnie ów dywan pełen znaków? Nie, nie 9300, ale tylko 9207 razy, bo przecież zanim uciekłem, ukradłem jeden egzemplarz. Może gdy wyzdrowieję, gdy wzrok przestanie mi się mącić, a ręce drżeć od gorączki, przeczytam ci, matko, dlatego że to ty i dlatego że trzymasz mnie za rękę i słuchasz tego, co mówię, parę ustępów tej prozy niezręcznej i w złym guście, tych naiwności znakomicie zapowiadającego się pisarza, artysty o wyjątkowej wrażliwości, poety wiosennych winietek, młodzieńca pełnego talentów, który zaledwie wylągłszy się z poczwarki już wdychał powietrze pełne obiecującej przyszłości, pisarza, który przyniesie zaszczyt kulturze naszego kraju... może przeczytam ci jeden z tych portretów kobiecych, jakie wówczas popełniałem, ja, który nie znałem żadnych kobiet, więc wyobrażałem je sobie owiane falami orientalnych aromatów (aromaty wówczas bywały tylko orientalne, tuniki zaś tylko wzorzyste), o twarzach bladych, kokieteryjnych, naznaczonych uśmiechem, od którego pękało serce – wszystko w obecności nieodzownej pełni... świat zagubiony za innymi światami, zagubionymi za innymi światami, zagubionymi za innymi światami, gdzie jedna ekscelencja zastępuje drugą, która przestała już być ekscelencją, kartonowa głowa w innej kartonowej głowie, zapomnienie dławiące wszystko – bo dobrowolnie wlazłem mu do paszczy, podpełzłem aż do gardła, aby rzucić się do przełyku i tam zniknąć... I zniknąłem, matko Benito,

nawet teraz, gdy trzymasz mnie za rękę i pocieszasz słowami pełnymi współczucia, nie ma mnie już. Gdy będę zdrowszy, najlepiej zrobię, jak dobrowolnie wlezę do tego zawiniątka, które trzymam pod łóżkiem i w którym przechowuję szwajcarski szalecik i moje rękopisy, tam przynajmniej nie znajdą mnie i nie będą bili twardymi pięściami chcąc zmusić do wyznań. Nie mogę, nie chcę się przyznać, dlaczego wybiegłem pędem z domu don Hieronima de Azcoitia, kopniak żandarma nie zdążył mnie dosięgnąć, rzuciłem się pomiędzy pędzące w deszczu samochody, których pełno było na ulicy, złodziej, łapać złodzieja, policja gwizdkiem przyzywa posiłki, ludzie w autach właśnie wracają z ostatniego filmu z Jeanne Moreau, wstępując po drodze do restauracji na befsztyk z kartofelkami... widzą mnie w wachlarzu szyb, które oczyściły wycieraczki, hamuj, uwaga, o mały włos, a byłbym go stuknął, głodny jestem jak wilk, nic nie widać w tym przeklętym deszczu, niech to szlag, ale pluchy w tym roku, na odległość metra widzą mnie w świetle latarń, roztopionego w wodzie, chociaż wycieraczki zwracają mi zwracają mi zwracają mi konsystencję, której mi brak, aby mogli mnie dostrzec, widzą małego człowieczka o wyglądzie ślepca z włosami ociekającymi wodą, hamując ochlapaliśmy go od stóp do głów, po omacku uciekającego przed samochodami, które otaczają go ze wszystkich stron, rozzłoszczeni karabinierzy gwiżdżą co sił, chcąc odzyskać narażony na szwank autorytet, ścigana zjawa tańczy w malignie czerwonych świateł kąsających ją w łydki, przemyka się pomiędzy citroënami w poślizgu, fordami na sygnale, och, bydlę, śmierdziel przeklęty, i ta ulewa, która nie ustaje ani na chwilę, hamuj, uwaga, Hernán, bo go przejedziesz, gówno mnie obchodzi, o mało co przez niego nie stuknąłem mojej nowiutkiej renówki,

już gdzieś przepadł za tamtym morrisem, w deszczu padającym na park, schował się nad rzeką, ale ja nie jestem złodziejem, matko Benito, przysięgam, przecież nie kradnie się swojego nazwiska, przecież ma się prawo dysponować nim według własnej woli, na przykład korzystając z tego, że zimą wcześnie się ściemnia, spalić papiery, moje nazwisko tylokrotnie powtórzone, tak aby nie zostało najmniejszego śladu, ma się prawo zrzucić je z tego żelaznego mostu w kamienne łożysko rzeki... więc spalę jeden, może dwa zeszyty, tylko tyle, by cokolwiek ogrzać sobie ręce, bo zimno, ale ów język płomienia nie wystarczy, trzeba więcej ciepła, aby zwalczyć ten przejmujący chłód, więc inne papiery, myśli, winiety, dziennik, który pisałem zaledwie przez tydzień, tomy skradzione w bibliotece publicznej, których nikt nigdy nie czytywał, zeszyty wypełnione moim pismem drżącym, lecz gwałtownym. Popatrz, matko Benito, jak rośnie to czerwone koło u moich stóp, posłuchaj, to oni, ci bez twarzy, teraz pojedynczo zbliżają się do mego płomienia, coś się porusza, jakiś pies podbiega i siada koło ogniska, jakaś forma zarysowuje się na linii wody, skądś wyskakują olbrzymie grube szczury, forma nabiera kształtu, wyodrębnia się i posuwa naprzód, kawał granitowego muru obrywa się i spada, nie bój się, matko, to dziecko wyskoczyło z miejskiego ścieku, jeszcze więcej książek i papierów idzie do ognia, to moje książki i moje papiery, z nimi płonie moje nazwisko, powiększają szczodrobliwą przestrzeń, gdzie garną się ci, których już poddano zabiegom chirurgicznym – przychodzą, aby się ogrzać, chociaż nie tylko dlatego, także i dlatego, by mnie poznać i przyjąć jak swego, gdy już definitywnie zniszczę moje nazwisko; to są uprzywilejowani, którzy nie wstydzą się i nie boją, ani władza, ani kpina nic im już odebrać nie mogą, bo nic

nie mają te postacie, które przyzywa pochłaniający me papiery ogień. Morze ciemności powoli się cofa, pozostawia ich prawie na widoku niby skały ustrojone łachmanami alg, ale poznaję ich pod tym przebraniem; wschodni książę (turban, czarna broda, płaszcz, długie paznokcie) wyciąga się rozkosznie obok ogniska na złożonym worku, w którym... nie ma nic, śmiecie, gałgany, puste pudełka, nic. Splątany węzeł dzieci i zapchlonych psów tworzy na ziemi jedno potworne zwierzę, sztywne, obłocone, bose stopy, płonące oczy, bura sierść, krosty, ogony, wywinięte wargi, przezroczyste uszy, nozdrza ociekające śluzem, ciągle więcej tych przebierańców, jeżeli nie przebierzemy się za coś, jesteśmy niczym, mnichami o coraz bardziej niewyraźnych rysach, niemal ukrytymi w cieniu drgających w ogniu kapturów, popatrz na tę starą, która zbliża się do światła z ręką pełną kurzajek, tak jak Peta Ponce, z ręką tak przezroczystą, że i ty, i ja możemy zobaczyć delikatną sieć kostek poprzez ciało złuszczające się wśród gałganów tlejących w żarze mego ognia. Czujesz ten zapach przemoczonych szmat, skórek zeschłego chleba, które przysuwają się do niego, aby trochę zmiękły, niedopałków, które zapalają od mego płomienia? Gdy Boy definitywnie uwolni się od don Hieronima, odda mi wszystkie moje książki, wszystkie dziewięćdziesiąt dziewięć egzemplarzy, które mu zostały, i wspomoże nimi ten olbrzymi stos, do którego zbiegają się wszyscy, popatrz tylko na nich, matko Benito, skąd idą? Spójrz na czerń ich nędzy, sepię ich brudu, szarość ich niby eleganckich gałganów, coraz więcej twarzy i postaci, i rąk, i oczu pojawiających się w błyskawicach światła, coraz więcej królewskich zmarszczek, pęknięć ukazujących błysk puszczonych oczek w prujących się kamizelkach, frędzli, które są strzępami, kaftanów, które są starymi piżamami, godeł, które są

łatami, pióropuszów, które są sterczącymi włosami, aż do chwili, gdy padam spalony wraz z ostatnim egzemplarzem, a ogień zaczyna gasnąć, bo nie ma już czym go podsycać. Poczekaj, matko Benito, nie odchodź, twoje zajęcia nie są aż tak pilne, żebyś nie mogła wysłuchać mnie do końca i popatrzeć na powolne wycofywanie się książąt wraz z ich orszakiem karłów, Murzynów, niewolników, błaznów, faworyt, stręczycielek, spowiedników, dzieci, parszywych suk, halabardzistów i paziów. Ty myślisz, że w rzeczywistości to nie książęta, że to przebierańcy, zdejmij im więc te przebrania, a wtedy zobaczysz, że to ludzie tacy jak ja, bez twarzy, bez rysów, zmuszeni do grzebania po śmietnikach, szperania po starych kufrach, szukania po strychach i ogałacania trupów, aby wynaleźć sobie przebranie na dziś, na jutro, które by im pozwoliło chociaż na chwilę zdobyć jakąś tożsamość. Nawet nie mają masek; w ogóle tak niewiele jest masek, że martwi mnie, iż zniszczono wielki łeb Olbrzyma. Nie pojmuję, matko Benito, jak możesz nadal wierzyć w mizernego Boga, który stworzył tak mało masek, tylu z nas musi szukać byle odpadków, by się w nie stroić, by czuć się kimś, kimś znanym, zdjęciem w gazecie podpisanym imieniem i nazwiskiem; tu znamy się wszyscy, w rzeczywistości wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną, być kimś, Humbercie, to jedno ma znaczenie, mruga światło lampy, kiwa się kulawy stół, gdy siostra opiera na nim łokcie, na których składa twarz tak jak Bertini na ostatniej pocztówce (Bertini, której twarz też musiała być maską; podobnie jak mojej siostrze, i jej nie wystarczyła własna twarz...), człowiek powoli uczy się komponować i zmieniać stroje, zastępować jedne drugimi, wystarczy kawałek szmaty w kratę, plasterek kartofla przylepiony na skroni, wystarczy zgolić wąsy, nie myć się miesiąc, aby zmienić kolor, człowiek uczy się, jak zmieniać

przebrania, jak gubić się w ich płynności, uczy się, jak zmieniać osobowość za pomocą byle ozdoby, byle świecidełka, wszystko jest zaimprowizowane, zmienia się, przepływa, dzisiaj to ja, lecz jutro nikt mnie już nie pozna, bo tak długo trwam, jak długo trwa moja maska. Czasem żal mi takich ludzi jak ty, matko Benito, więźniów jednego imienia, jednej pracy, jednej grupy, jednej twarzy, której nigdy nie będziesz mogła się pozbyć, identyczności, która zamyka was w ciemnicy bycia zawsze tą samą osobą. Ci, którzy przyszli się ogrzać przy mym ogniu, inni są, migotliwi i zmienni niby płomienie, niby cienie, dobrotliwie przyjmują mnie między siebie, teraz, gdy już definitywnie spaliłem moje nazwisko; głos straciłem już bardzo dawno; płci nie posiadam, skoro jestem jedną ze staruch naszego Domu; moje zaś niespójne, chaotyczne papiery, których treść miała wybłagać mi u losu określoną, stałą maskę, palę teraz, acz nie wszystkie, nie wszystkie, pozostają jeszcze tamte tomy w bibliotece o szarych fotelach. Lecz oni o tym nie wiedzą, myślą, że jestem taki jak oni, że nauczyłem się już, że byle szmata starczy mi za przebranie... Prawdą jest, że pewnego dnia stanę się jednym z nich, nauczę się znikać nie pozostawiając śladów, nie pozostawiając nawet odcisku stopy na ziemi, nawet cienia o wyraźnie zarysowanym konturze, i dopiero wtedy uda mi się wyzwolić od don Hieronima, który mnie szuka, bo potrzebuje mnie i rzeczy, które chowam, z którymi jeszcze nie mogę się rozstać; dopiero wtedy uda mi się wyzwolić od Pety Ponce, która nie umrze nigdy, która dotarła aż tu niby nagie echo inicjalnego koszmaru; jej nie jestem w stanie oszukać przy pomocy zmienianych kostiumów, więc chociaż to: zmieszać się z nimi, z cieniami, co mają worki na plecach, brody, bezzębne dziąsła, niedopałki w kątach ust, chociaż to: włączyć się w ten

orszak, teraz z wolna się oddalający... tak chciałbym dołączyć do nich, ja, drżąca ofiara, opatrzona wątłą identycznością, podobnie jako oni przemienialna w niedotykalnego kata, bo cóż można stracić, skoro nie ma się nic godnego czyjejkolwiek zazdrości... Odchodzę. Odejdźmy i my, matko Benito, chodź za nimi, zimno tu w tym łożysku, tam na górze karabinierzy czatują w dalszym ciągu, polują na mnie, bo skradłem moją własną książkę, chociaż nie, nawet oni odchodzą... Późno już. Chodźmy, matko Benito, wmieszajmy się w ten rozchodzący się tłum, nauczę się być którymś z nich, nie jest to wcale takie trudne... I ty byś mogła nauczyć się tego, gdybyś chciała, pokazałbym ci, jak się to robi, już teraz po pewnych oznakach poznaję, że jesteś jedną z nas, twój wygnieciony, brudny kornet, twoje spierzchłe ręce, twoja gorycz, chodź, nie ociągaj się, nie znikaj, matko Benito, i nie pozostawiaj mnie tu drżącego z zimna i gorączki, samego, bez twojej dłoni na mojej, bez twojej pomocy przeciw tym brutalom, którzy chcą się nade mną znęcać, złodziej, łapać złodzieja, już, jazda do komisariatu, kopię ich, oni mnie ciągną, wrzeszczę, ale ty się nie zjawiasz, matko Benito, zostawiasz mnie samego, puszczasz moją rękę, nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj mnie... a wy nie bijcie mnie, przecież nie zrobiłem nic złego...

Jesteś tu, siedzisz naprzeciw mnie. Słyszę padający na dworze deszcz, znany odgłos wody kapiącej z rynny do ustawionej pod zbitym lufcikiem miski. Jak źle zrobiono ci twarz! Daremne okazały się wysiłki doktora Azuli, ażeby obdarzyć cię normalnymi powiekami, wyraźnie nakreślonym czołem, ażeby zaszczepić ci uszy na właściwym miejscu, wyrzeźbić szczękę, której odmówiła ci natura. Jesteś o wiele straszniejszy od obrazu, którym straszyła nas Maria Benítez, na wypadek gdyby Iris zadała

się z jakimś mężczyzną; nie wiedziała, biedna, że twoja matka zadawała się ze wszystkimi chłopakami z naszej dzielnicy, z miejscowymi nierobami, z połową miasta, i dlatego urodziłeś się taki, jakim jesteś. Fotel pokryty poplamioną skórą, biurko z wielką liczbą szuflad, lustro o popękanej tafli, w której widzę coś, co mogłoby być moim nieszczęsnym obliczem, oto wszystko, co jest w tym pokoju, do którego przywiedli mnie karabinierzy, bym na ciebie czekał. Niska lampa na łabędziej szyi oświetla szczegóły sztucznych rysów, które sfabrykował ci doktor Azula, gdy – mimo że Azcoitia – urodziłeś się bez twarzy, całą nędzę twego pokręconego korpusu, któremu nie pomogły nacierania i ćwiczenia wymyślone przez Basilia. Nie jestem zaskoczony twoim widokiem, tak często widywałem cię od śmierci don Hieronima, tak wytrwale cię śledziłem. Chociaż ty mnie z pewnością nie poznajesz, to ja opiekowałem się tobą w Rinconadzie do chwili, gdy skończyłeś cztery lata, godziny całe wyczekiwałem na ciebie przed wejściem do krawca, którego stroje miały przesłaniać twoją nieforemność... Pewnego dnia naumyślnie zderzyłem się z tobą w tłoku na ulicy i poczułem cię, tak jak wtedy, gdy miss Dolly podawała mi zawiniątko, którym byłeś, abym mógł cię na chwilę pokołysać. Nie spojrzałeś na mnie. Poszedłeś dalej. A choćbyś nawet i spojrzał, choćbyś mnie nawet dostrzegł, nie wiedziałbyś, kim jestem. Czy bardzo byłeś zaskoczony, gdy porucznik karabinierów z jak największą uprzejmością – wiedział, kim jesteś, więc mówiąc do potwora był pełen szacunku – doniósł ci, że jakiś żebrak wdarł się do twego domu po nocy, by skraść ci sto osiemdziesięciostronicową książeczkę? Przeglądasz ją teraz. Znasz ją dobrze. W końcu masz jej sto egzemplarzy, a niemal wszystkie wolne chwile spędzasz w bibliotece, jakby chcąc skompensować ten

czas, który przez Melchiora, Emperatriz, mnie, nas wszystkich razem, straciłeś. Ukryty na ławce pośród akantów, widywałem cię w lecie czytającego przy oknie, zimą podchodziłem do zapoconych szyb patrzeć, jak wspinasz się po drabinie, aby grzebać pośród książek twojego ojca, jakbyś czegoś szukał, jak je przeglądasz odkładając potem na to samo miejsce, jakby chcąc w ten sposób zachować harmonię właściwą don Hieronimowi – harmonię, której przeczy sama twoja egzystencja. Chodzisz źle, wszystko przewracasz, twój oddech jest chrapliwy, jesteś pokrzywiony, niezdarny, koślawy, jesteś częścią Rinconady, ciemnej jak labirynt, pełnej zaułków i zakamarków; próchnicą czasu rysujesz się na jej odpadającym tynku. Na chybił trafił, bez zainteresowania, przerzucasz kartki mojej książki, chcesz już odejść, wracać do twego żółtego, w parku położonego domu. Nie interesuję cię. Jesteś raczej rozdrażniony, że o późnej porze wezwano cię na policję w tak nieważnej sprawie. Niedługo sobie pójdziesz; nie przywiązujesz do mojej osoby żadnej wagi; odłożysz moją książkę i pójdziesz sobie na zawsze nie dowiedziawszy się, kim jestem ja i komu ty zawdzięczasz wszystko to, czym jesteś i czym nie jesteś. Nie odchodź, Boyu, nie odchodź! Rozpoznaj mnie chociażby na moment, zapłać mi za to, że istniejesz, niechby zwracając mi dziewięćdziesiąt dziewięć pozostałych egzemplarzy mojej książki (które są u ciebie i które cię nie interesują), abym mógł spalić je i definitywnie przyłączyć się do świata tych, którzy zapomnieli o swoich twarzach i nazwiskach; nie porzucaj mnie, ot, tak, to moja ostatnia szansa; ze strachu, że mógłbyś zniknąć na zawsze, przygważdżam twą ciekawość kreśląc na papierze te oto słowa: Jestem autorem książki, którą w tej chwili przeglądasz.

Posłuchałeś mnie, bo znowu siadasz. Teraz przerzucasz kartki z większą uwagą. Pan? Po cóż wobec tego wdarł się

pan do mojego domu, aby ją ukraść? Dlaczego użył pan mego nazwiska, nazwisk mego ojca i matki, jakby to były nie istniejące, fikcyjne nazwiska? Skąd może nas znać ktoś podobny do pana? Nie wierzę, by człowiek taki jak pan mógł napisać tę książkę... Nie słyszę cię. Wiesz o tym. W komisariacie powiedzieli ci, że kiedy chcieli mnie katować, bym wyznał własne nazwisko – tak jakby to było wyznanie jakiegoś przestępstwa – pokazałem na moje usta i uszy, że nie, nie słyszę, nie rozumiem, że jestem głuchoniemy, i zwyciężyłem ich moją słabością, grożąca ręka żandarma zawisła w powietrzu. Nie pobili mnie, trudno, co z takim zrobić, weźcie go do poczekalni, niech tam siedzi, aż właściciel domu złoży odpowiednie oświadczenie, bo może zresztą to biedaczysko wlazło do domu tylko ze strachu przed deszczem, przecież lało dziś po południu, że niech Bóg broni, tak, to głuchoniemy... Jestem głuchoniemy. Porucznik uprzedził cię o tym.

Z pychą, która przypomina mi pychę twojego ojca, pytasz: Zaraz, ale jaki związek?... Jakiego typu kontakty mogą łączyć pana z naszą rodziną? Nie słyszę cię. Powtarzasz więc twe pytania. Wymawiasz je starannie, abym mógł odczytać to, co usiłują sformułować twoje rybie wargi. Czyż nie zdajesz sobie sprawy, że nie można nic odczytać po ruchu twych bezkształtnych ust? Jak może mi pan dowieść, że rzeczywiście jest pan autorem tej książki, mówiącej o mnie, o mym ojcu, o mej matce? Przeglądasz ją w dalszym ciągu. Nagle podnosisz twą głowę maszkary i pod powiekami będącymi nieudolnym naśladownictwem ludzkich powiek widzę błękit tęczówek twego ojca (ten błękit, który należałoby sprawdzić, bowiem szlachcic z baskijską krwią w żyłach nie wierzy w to, co nie zostało sprawdzone). Zimno mi. Ręce mi drżą. Ubranie lepi mi się do ciała, jeszcze pełnego wilgoci. Na kartce

papieru kreślę odpowiedź. Ażeby dowieść ci, że prawdą jest to, co mówię, mogę z pamięci napisać którykolwiek z rozdziałów tej książki.

Zgadzasz się. Sam kładziesz mi na biurku arkusz papieru, przesuwasz światło, podajesz twego złotego parkera – zwyciężyłem cię, twoje ciekawość silniejsza jest od chęci powrotu do siebie, to, co ma się odbyć w poczekalni komisariatu, nie jest bez znaczenia, warto było wyjść z domu tego deszczowego wieczoru. Napiszę prolog. Otwórz książkę, matko Benito, jest trochę wilgotna, zmoczył ją deszcz, nie mogłem jej osłonić, gdy uciekałem przed karabinierami, ale czytaj, matko, ażebyś i ty mi uwierzyła. Siadasz na wprost mnie, pod lustrem. Nie widzę cię, ale ty ani na chwilę nie odwracasz ode mnie oczu.

Kiedy Hieronim de Azcoitia wreszcie rozchylił firanki zasłaniające kołyskę, ażeby obejrzeć swego tak oczekiwanego potomka, zapragnął natychmiast go zabić: to odpychające ciało, całe wykręcone garbem, ta twarz tak brutalnie przecięta, że wargi, podniebienie i nos ukazywały nieskromnie kości i tkanki w jakiejś krwawej miazdze – były obrazem zamieszania, bezładu, innej, gorszej formy śmierci. Do tej pory krzaczaste drzewo genealogiczne Azcoitiów, z których on był ostatnim nosicielem nazwiska, wydawało tylko bezbłędne, wysegregowane owoce: prawych polityków, biskupów i arcybiskupów, jakąś damę błogosławioną dzięki swojemu miłosierdziu, ministrów pełnomocnych, kobiety olśniewającej urody, nie żałujących swojej krwi wojaków, wreszcie historyka sławnego na cały kontynent. Można było sądzić, że Hieronim nie będzie ostatnim Azcoitią, że blask nazwiska spadnie na synów i wnuków, ażeby rasa po wsze czasy produkowała egzemplarze coraz doskonalsze.

Ale Hieronim nie zabił syna. Przerażenie, że jest ojcem podobnej potworności, istnego wcielenia chaosu, wywołało zwłokę pomiędzy odruchem a jego wykonaniem i Hieronim Azcoitia nie zabił. Zabić – znaczyłoby ulec, włączyć się samemu w ten chaos, stać się jego ofiarą. Na długie tygodnie zamknął się w pokoju noworodka, żył obok niego i karmił go własnymi rękami, aż w końcu po długich naradach ze swym sekretarzem i konfidentem, jedynym człowiekiem mającym wstęp do tej samotni, uznał, że ów brutalny żart świadczył, że opuściły go tradycyjne moce, od których on sam – tak jak i jego przodkowie – otrzymywał wiele łask w zamian za zachowanie własnego stylu życia, własnych obyczajów w sprawach doczesnych; uznał, że i inne moce opuściły go, te ciemniejsze, do których uznania zmusiła go Inez w swym rozpaczliwym pragnieniu dania mu następcy. Teraz zarówno ciemne, jak i jasne moce stały się mu wrogie. Pozostał sam. Lecz on nie potrzebuje żadnego oparcia – jest silny i dowiedzie tego; dowiedzie, że istnieją inne proporcje, inne reguły, inne sposoby oceniania dobra i zła, radości i smutku, piękna i brzydoty. Potworek w kołysce, teraz płaczący z głodu, jest wprawdzie niewydarzonym płodem, ale dostarczy mu okazji nie tylko do tego, by zatriumfować nad wszelkimi przeciwnościami, ale i do tego, by dowieść, że on, Hieronim de Azcoitia, jest największym i najdumniejszym z Azcoitiów po wszystkie czasy (czego nie przestawał powtarzać mu wierny sekretarz).

Hieronim nie zabił. Powrócił do życia prawie takiego samego, jakie wiódł do tej pory. W dalszym ciągu należał do tych, którym wszystkiego zazdroszczono. Zazdroszczono, bowiem po śmierci żony niewielu tylko pamiętało o istnieniu Boya, syna mieszkającego w odległej Rinconadzie, gdzie Hieronim nie jeździł nigdy, otaczając

jednakże dziecko wszelkimi wygodami. Nic dziwnego, że wspomnienie Boya wymazało się z pamięci ludzkiej. Czas odegrał w tym znaczną, choć nie decydującą rolę. Ludzie zapomnieli o Boyu, bo tak było po prostu wygodniej. Pamiętać o nim znaczyło uznać, że człowiek obdarzony taką harmonią jak Hieronim, człowiek, w którym jak w soczewce odbijało się wszystko to, co w nich samych było najlepszego, może mieć w sobie zarodek potworności; wtedy przyjacielskie współżycie z senatorem okazałoby się nie tylko niepokojące, ale niemożliwe. W końcu poza sekretarzem nikt nigdy nie widział Boya. Któż miał dowody, że istniał naprawdę? Łatwiej myśleć, że jest niestosownością, niemożliwością niemal, by para tak znakomicie urodzona poczęła monstrum, i wyszedłszy z tego założenia uznać, że Boy jest z pewnością tworem jednej z tych czarnych legend, które w naturalny sposób zazdrość rozsnuwa wokół znanych postaci.

Może zresztą ludzie mieli rację, skoro sam Hieronim przez swoje milczenie przyczynił się do zatarcia wszelkich śladów tego, co dla niego powinno było być tragedią? Tylko uchylając się od współczucia mógł w pełni zagrać swą rolę wielkiego właściciela ziemskiego, senatora broniącego praw swojej kasty przeciw pretensjom parweniuszy, osobistości, która na wyścigach, w salonach, w parlamencie, w klubie i na ulicy przyciągała wszystkie spojrzenia. Niektóre kobiety, pod pozorem zainteresowania polityką, przychodziły do Parlamentu, żeby słyszeć przemówienia wdowca i z galerii rozkoszować się widokiem jego klasycznego karku i bohaterskiej postawy: nie były tajemnicą nazwiska dam wzdychających do zapełnienia pustki, którą pragnęły widzieć za wspaniałą fasadą jego postaci i jego słów. Ale nigdy nikomu nie udało się

przebic tej łasady. Nieprzyjaciele uważali to za arogancję, za pychę niemal. Z pewnością don Hieronim był rzeczywiście świadom swojej prezencji, ale tylko w tym stopniu, w jakim oceniał wszelkie wyrafinowanie, tak w sobie, jak i w innych. Może tym, co przeszkadzało ludziom, była pewna maniera w sposobie bycia i ubierania się, trochę przestarzałe wyszukanie, prawdopodobnie pamiątka długich pobytów w Europie, gdzie, jak mówiono, spędził swobodną i kosztowną młodość w towarzystwie ówczesnych elegantów. Faktem jest, że sama obecność Hieronima była lekcją harmonii, której na tych barbarzyńskich szerokościach geograficznych trudno było dorównać. Nawet podczas swej ostatniej senackiej mowy, po której miał wycofać się z życia publicznego i zamknąć w swoich majątkach i życiu prywatnym, przemawiał przyjmując jak zwykle posągowe pozy, z których może przebijało już trochę zmęczenie, pozy zawsze jednak przekonywające i pełne męskości.

Pożegnalne przemówienie senatora wywołało huragan oklasków. Jego słowa były tak błyskotliwe, że nazajutrz gazety na pierwszej stronie wymieniały nazwisko Hieronima de Azcoitia jako kandydata na prezydenta republiki. Ale gdy jego zwolennicy przyszli mu gratulować, uprzedził ich, żeby na niego nie liczyli, że ma zamiar zrobić sobie teraz długie wakacje, wyjechać albo i nie wyjechać, w każdym razie cieszyć się perspektywą nieograniczonego wypoczynku.

Tak to Hieronim zniknął ze stolicy, nic nikomu nie wyjaśniając, ucinając raptownie przyjaźnie i umowy, powierzając zobowiązania i interesy zaufanym administratorom. Ostatecznie – uznała po miesiącach opinia – wiedział, co robi; niewątpliwie nie był już pierwszej młodości, a w łonie tradycyjnej partii pojawiły się nowe

głosy, wskazujące nowe cele. W dodatku – rzucano teraz mimochodem – był ostatnio jakiś dziwaczny, zawsze właściwie był trochę dziwaczny, jeżeli zastanowić się nad tym teraz, z odpowiedniego dystansu. Dziwaczny, odmienny od innych. Czyż nie było prawdą, że arogancja, której negować nie ośmielali się nawet najbliżsi, w końcu otoczyła go jakby murem, za którym królował samotnie niby posiadacz jakiejś absolutnej prawdy, której sekretu nigdy nie zdradził przed nikim?

Mimo wszystko po kilku latach wiadomość o jego śmierci wywołała prawdziwą konsternację. Wtedy cały kraj wspominał zasługi dostojnego męża stanu i pogrzebano go z największymi honorami: zwłoki jego przewieziono na cmentarz na lawecie armatniej, spowite w trójkolorowy sztandar. Odezwały się jednak głosy sprzeciwu, Hieronim de Azcoitia odgrywał bowiem rolę raczej polityczną niż historyczną i jego nazwisko miało szanse przetrwania tylko w specjalistycznych tekstach. Niezależnie od dyskusji na temat honorów, jakie stały się jego udziałem – czy może właśnie z tego powodu – wszyscy pospieszyli na jego pogrzeb. Obok rodzinnego mauzoleum – gdzie jego ciało złożono w niszy oznaczonej imieniem oraz datami urodzenia i śmierci wygrawerowanymi na marmurze na wzór wszystkich poprzednich zmarłych Azcoitiów – mówcy wspomnieli zasługi zmarłego, naukę płynącą z tego przykładnego życia, znaczącego koniec pewnego rodu, którego kraj, niezależnie od zmian idących za czasem, powinien był czuć się dłużnikiem. Ciężki żelazny łańcuch zamknął kraty mauzoleum, gdzie za kilka godzin kwiaty miały zwiędnąć. Odwracając się do niego tyłem, czarno ubrani mężczyźni oddalali się powoli wśród cyprysów, opłakując śmierć ostatniego potomka szlachetnej rodziny.

Widzisz? Słowo w słowo. Nie spojrzałem na ciebie ani razu, gdy pisałem prolog. Ale ty nie spuściłeś ze mnie oczu: przez cały czas czułem twoje źrenice wpatrzone we mnie badawczo. Niezwykły spokój spowijał nas przez przeszło dwie godziny. Stawiam ostatnią kropkę, ale nie podnoszę wzroku sponad kartek, dodaję tu i ówdzie przecinek, stawiam brakujący akcent, dwiema kreseczkami zaznaczam akapit, robię cokolwiek, bo nie mogę oderwać się od tego, co właśnie skończyłem pisać, chociaż wiem, że wstajesz z fotela pod lustrem. Kiedy wreszcie podnoszę oczy, widzę ciebie i twoją twarz zdeformowaną, wylęknioną, w mętnej wodzie zwierciadła, w którym topi się moja maska. Odbicie – które nigdy nie pozwoli mi uciec – tego potwora patrzącego na mnie i śmiejącego się moją twarzą, bo ty odszedłeś, Boyu, nawet nie czytając prologu, jakim anonsowałem twoje urodzenie, abyś wiedział, kim jesteś, oni zaś wracają, tym razem już bez wygłodniałych psów, ażeby powiedzieć mi, że dobrze, możesz odejść, idźże już, wynocha, tyle kłopotu z tobą, żebyś się tu więcej nie pokazywał, masz szczęście, że cię wypuszczamy, młody dziedzic nie mógł przyjść, dzwonił, żeby powiedzieć, że bardzo żałuje, ale że to wszystko jest takie nieważne, tak bez znaczenia, że nie warto mu było wychodzić z domu do komisariatu, jeszcze w tę dziką ulewę, rzadko kiedy potrafi tak lać, chmura się urwała czy co, masz, to są te papiery, zabieraj je sobie, to twoje, wsadź je do kieszeni, my tam nie potrzebujemy tych śmieci, zabieraj się i wynocha, co nas obchodzi, że taki żebrak jak ty zmoknie, pewno jesteś do tego przyzwyczajony, schronisz się pod glorietą w parku, pod brązowym brzuchem konnego posągu, na którymś z placów, aż do chwili, gdy przestanie padać, albo wrócisz nad rzekę, tacy jak ty przeważnie zbierają się

pod mostem, no już, jazda na ulicę i na przyszłość nie pchaj się do eleganckich domów, choćby ci nawet nie chodziło o kradzież, pamiętaj, bo na drugi raz nie ujdzie ci na sucho... więc uciekłem, matko Benito, przez park i deszcz, tyle że psy już nie biegły za mną, uciekłem gubiąc się pośród ulic, dławiąc się pozbawioną kierunku pustką, w której się znalazłem, bo deszcz zacierał wszystko, Dom, gdzież jest Dom, jak trafić do Domu, ten gwałtowny deszcz może roztopić jego gliniane ściany, postrącać stare tynki, labirynty mogą się zapaść, chociaż nie, nie zapadną się, wszystkie staruchy, gościnne i pełne atencji, a nawet matka Benita czekają już, aby otworzyć mi bramę, pozwolić wejść, zamknąć mnie i chronić, jak mają mnie nie chronić, nie zaopiekować się mną, skoro znalazły mnie leżącego bez przytomności przed tą bramą, która musiała się otworzyć, abym mógł wejść.

# 10

Brama otwarła się. Powitała go uprzejmym uśmiechem i przez patio, na którym synogarlice obojętnie dziobały kafle, przeprowadziła na drugi koniec galerii. Usiadł wygodnie, rozparł się w fotelu. W cieniu wiciokrzewu oplatającego filary gościnnie zabrzmiał skrzyp trzciny. Służąca powiedziała, że wprawdzie wuja jeszcze nie ma, ale powinien zjawić się lada chwila. Hieronim podziękował i pociągnął łyk nalewki, a potem pstryknął palcami, chcąc uciszyć synogarlice, które jednak nadal tkwiły pod pionowym słońcem, pogrążone w swym monotonnym dialogu, którego nie przerwało nawet przejście służącej.

Po powrocie z Europy do kraju znów docenił smak znakomitych węgorzy, które jadał co piątek u wuja, przewielebnego Klemensa de Azcoitia. Węgorze i to, co się niejako z nimi wiązało – łagodną ciszę panującą w tych patiach, których mury z *adobe* zasadniczo różniły się od tego, do czego był przyzwyczajony, oraz gadaninę wuja, bardziej polityczną niż eklezjastyczną, bardziej światową niż mistyczną, urozmaiconą pikantnymi anegdotami z przeszłości tej wielkiej rodziny, do której obaj należeli. Hieronim przecież po to wrócił do kraju, aby zobaczyć, czy włączywszy się w jakiś sposób w życie rodziny, uda mu się poczuć jej częścią. Teraz, po upływie dwóch miesięcy, i niezależnie od wuja oraz radości z węgorzy

i wiciokrzewu, zastanawiał się nad możliwością powrotu do punktu wyjścia, choćby dla samej frajdy, jaką byłoby nieostrożne rzucenie się w płomienie spowijające Europę. Pochylił się i odstawił kieliszek; tym razem lekki ruch wystarczył, aby spłoszyć niekonsekwentne synogarlice, które podjęły swą konwersację na dachu.

Spóźnienie don Klemensa było rzeczą wyjątkową; zazwyczaj oczekiwał swych piątkowych biesiadników w tej części galerii; schodził tam już po porannej gazecie i przygotowaniu krytyki działalności stronnictwa, którą obrzucał swoich gości, zanim jeszcze zdążyli zająć miejsca. Arcybiskup zwolnił go od kapłańskich obowiązków, aby po tylu zaszczytach mógł – jak przystało na wielkiego kreolskiego magnata – dokonać życia w tym domu, w którym tak on, jak i Hieronim ujrzeli światło dzienne. Mimo wieku i chorób był nadal bardzo towarzyski; co piątek wokół stołu, uginającego się od ryb, homarów i innych specjałów morskich, gromadził doborową grupę mężczyzn, zorientowanych w skokach giełdy, w koligacjach, w cenach bydła i majątków ziemskich; przyjmował zagranicznych dygnitarzy, dysponujących posadami nawet dla tych, którzy nie należąc wprawdzie do zwolenników, pragnęli się jednak do nich upodabniać. W mieście szeptano, że osobą trzymającą w rękach ster rządów była długoletnia kucharka don Klemensa, Maria Benítez, której karykatura nierzadko pojawiała się na łamach satyrycznej prasy pod postacią wcielenia Oligarchii, wielką warząchwią mieszającej w garnku wyobrażającym kraj.

Zaśmiewając się, don Klemens zapewniał:

– Przecież chodzi po prostu o rodzinne obiady – co było prawdą, bowiem nie było stanowisk i synekur, gdzie by nie siedzieli krewni i pociotkowie Azcoitiów.

W czasie pierwszego obiadu, przy którym asystował Hieronim, wszyscy panowie – podczas gdy don Klemens częstował ich znakomitymi cygarami – nierzadko odpiąwszy uprzednio przyciasne kamizelki, serdecznie witali nowo przybyłego, wspominali jego ojca i dziadka, ciesząc się, że po pięciu latach nieobecności znów jest wśród nich.

Pewien brzuchaty minister, którego czoło, spalone na dole, zaś białe wyżej, świadczyło o stałym noszeniu kapelusza, oznajmił:

– Tam do licha, tu jest twoje miejsce. Dlaczego upierasz się, żeby żyć w Europie, pośród degeneratów i niedowiarków, kiedy tu jesteś kimś? No pewno, że tam kobiety...

Biesiadnicy wesołym śmiechem pokwitowali ten dowód przysłowiowego, a nigdy nie zaspokojonego apetytu ministra, ten zaś, zadowolony z ogólnej aprobaty, wypił duszkiem drugi kieliszek burgunda i zaciągnąwszy się dymem cygara, zaczął obliczać wiek Hieronima.

– Czekaj no. Twoi rodzice pobrali się pod koniec wojny, w której odzyskaliśmy północne prowincje. Dobrze to pamiętam, ponieważ stacjonowałem na granicy po podpisaniu pokoju i nie mogłem być na ich ślubie. Twój biedny ojciec zginął jako bohater rewolucji. Już wtedy byłem ministrem i przemawiałem na jego pogrzebie. Jeszcze cię widzę na czele konduktu, poważnego, ze złotymi włosami Azcoitiów; miałeś może osiem lat, ale wszyscy stwierdziliśmy, że już jesteś mężczyzną. Z pewnością byłeś predestynowany do realizacji planów, którym stanęła na przeszkodzie przedwczesna śmierć twego ojca. Dobrze pamiętam, miałeś może ze dwadzieścia sześć lat i wyjeżdżałeś do Europy, kiedy sam ci zaproponowałem, żebyś został moim sekretarzem na okres wyznaczania granic kraju; myślałem, że cię potem zatrzymam przy sobie... Teraz musisz mieć około trzydziestki...

– Trzydzieści jeden.

Ażeby jakoś zmienić temat, w tak niewygodny sposób łączący jego sprawy osobiste ze sprawami kraju, Hieronim wyjaśnił, że wrócił głównie z powodu wojny. Panowie przysunęli się bliżej i odstawili kieliszki, dopytując o szczegóły związane z Verdun. Ale zainteresowanie tematem szybko zwiędło i konwersacja potoczyła się w kierunku ostatnio importowanej winorośli, w kierunku ewentualnych możliwości nowych rynków zbytu w razie katastrofy we Francji, co niewątpliwie pomogłoby stronnictwu w przyszłych wyborach. To był istotnie ważny problem. W jednej z kluczowych prowincji potrzebny był kandydat cieszący się popularnością i szacunkiem, człowiek zamożny, skłonny zapłacić za to, czego nie można dostać darmo, nazwisko przedstawiające rzeczywistą siłę. Przetasowano wiele kandydatur nie znanych Hieronimowi, dyskutując nad ich powiązaniami zarówno rodzinnymi, jak i politycznymi. Podczas gdy bezpłciowy głos don Klemensa przewodził debacie, pewien sędzia, nie biorący udziału w dyskusji tylokrotnie już powtarzanej, zdrzemnął się, z serwetą pełną okruchów na brzuchu. Ponad resztkami uczty członkowie dwóch skłóconych frakcji wymienili między sobą ostre słowa. Jeden z deputowanych, zirytowany, opuścił jadalnię bez pożegnania. Później, gdy zmożeni sennością biesiadnicy rozeszli się na sjestę, minister położył rękę na ramieniu Hieronima, a drugą mocno ścisnąwszy mu prawicę, powiedział:

– Twoje miejsce jest między nami.

Dlaczego synogarlice nie przeniosą swej monotonnej konwersacji na odleglejsze dachy, by powtarzać ją dla innych uszu? Hieronim wstał i przeszedł się po zacienionej części galerii, ażeby usłyszeć, jak coraz to inne filary powtarzają mu, że jego miejsce jest rzeczywiście tutaj. Ale

to miejsce absolutnie go nie interesowało. W czasie pięciu lat tam, w Europie, zrozumiał, że jego naturalnym prawem jest kontakt z najwyżej postawionymi ludźmi, z najpiękniejszymi przedmiotami. Przyzwyczaiwszy się do tego, niełatwo było zredukować wymagania do mało wyszukanych przyjemności spotkań u wuja księdza. *On dit que Boy est le propriétaire d'un pays exotique quelque part, je ne me rappelle plus le nom. Je crois qu'il l'a inventé...* – oto, co mówili jego przyjaciele w Paryżu. W pewnym sensie było to prawdą. Rzeczywiście wrócił tu z powodu wojny; ale i dlatego, że w ostatnich czasach poczuł się ugodzony w swej dumie. Ażeby symetria jego życia wytrzymała egzamin jego własnych wymagań, musiała ona być inna, zrodzona z czegoś w nim samym, nie wybranego, lecz potężniejszego od jego woli. Tylko brak wolności określa obowiązki. Przekroczywszy trzydziestkę Hieronim nabrał pewności, że w ostatecznym rozrachunku szlachectwo daje tylko obowiązki. Kiedy wybuchła wojna, zrozumiał, że nie ma dla niego miejsca pośród tego zgiełku i tej furii.

Gdyby wziął w niej udział, miałoby to z jego strony wyłącznie charakter eleganckiego sportowego gestu. A ponieważ zbyt wiele razy stwierdzał, że tego typu gesty są właściwie tylko wykrętami, wrócił na swoją amerykańską ziemię, prostacką i prymitywną, w poszukiwaniu obowiązków, które nadałyby jego wolności jakąś szlachetniejszą rangę.

Ale jak powziąć decyzję dołączenia do świata, którego najwyższe prawdy wyznacza węgorz morski w marynacie? Zapach ryby przygotowanej przez Marię Benítez dotarł do niego i złączył się z zapachem wiciokrzewu. Na odgłos kroków szybko pociągnął jeszcze łyk nalewki. W głębi kieliszka dostrzegł odbicie przechylonego nad laską księdza. Zanim zdążył się podnieść, starzec wyjaśnił:

– Spóźniłem się, bo byłem zajęty pewną sprawą związaną z tobą.

– Ze mną?

– Tak, z tobą. Smakuje ci ta nalewka?

Zanim siostrzeniec zdążył podsunąć mu trzcinowy fotel i podłożyć postrzępiony szal, służący za poduszkę dla jego chudego siedzenia, pochylił się, by powąchać alkohol. Pot na jego twarzy wyglądał jak krople rosy na pączku róży różowym, lecz przywiędłym. Jego broda z rozdziałkiem, figura, oczy błękitne, ale pozbawione ognia, otoczone zbyt jasnymi rzęsami, były słabym, lecz ciągle jeszcze widocznym odbiciem tego wspaniałego materiału, z którego zrobiony był Hieronim.

– Jak się wuj czuje?

– Jako tako, synu, dużo problemów... Ale ja już się nie liczę, chodzi o ciebie. Mam dla ciebie pewną propozycję.

Z rozmarzeniem wąchał kieliszek siostrzeńca: zdrowie, a przede wszystkim dobrowolne wyrzeczenie, tylko w ten sposób, z daleka, pozwalało mu korzystać z przysmaków, które ofiarowywał swym gościom; po czym ciągnął dalej:

– Wracam ze stronnictwa. Zebranie ogólne jednomyślnie uznało cię za odpowiedniego kandydata na posła z...

Hieronim wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. A więc taki obraz przybrała wielka pokusa, której podświadomie oczekiwał od kraju... Oczami duszy ujrzał siebie rozprawiającego z prowincjonalnymi aptekarzami i nauczycielami z podstawówki, pragnącymi zdobyć go dla kwestii odbudowy mostu zniesionego przez ostatnie powodzie. Jak wytłumaczyć wujowi, że nie o to szło, że pragnął, by sprawy zupełnie innych wymiarów zatrzymały go na amerykańskiej ziemi? Rozwiązanie ofiarowane przez wuja było dziecinne, tak dziecinne, że wywołało tylko wybuch śmiechu, który jednak nie zniechęcił don Klemen-

sa, w tej chwili zajętego wybieraniem jakiegoś bardzo wyszukanego wina.

– Bo dziś oblewamy.

– Co?

– Twój wybór.

– Nie interesuję się polityką.

– Wiedziałem, że będziesz mi robił trudności. Od śmierci twojego ojca matka psuła cię do niemożliwości. Nic gorszego niż te wieczne podróże. Tylko przewracają w głowach młodym ludziom, którzy w końcu wybierają sobie żony za granicą. Boy! Ale imię... Żeby się tylko nie rozeszło to pederastyczne zdrobnienie wymyślone przez twoje francuskie przyjaciółeczki. Wystarczyłoby, żeby się o tym dowiedziano, a przepadłbyś w wyborach...

– Kiedy ja...

– Uprzedziłem dzisiejszych gości, że niespecjalnie się czuję i że przyjęcia nie będzie. Nie życzę sobie, żeby twoje kaprysy rozpieszczonego paniczyka kompromitowały mnie przed ludźmi, którzy na ciebie postawili. Nie obchodzi go polityka własnego kraju... Coś podobnego. Lepiej przejdźmy do jadalni.

Hieronim szedł za starcem w milczeniu. Niejasne wspomnienia chwil przeżytych w pokojach, które mijali, nie oderwały go jednak od myśli, że dla właścicieli tych brzydkich mebli, tych ciężkich stor przesłaniających zapuszczone wewnętrzne patia tylko rzeczy doraźne, praktyczne miały jakieś znaczenie.

A mimo to... mimo to... W miarę jak w jego głowie narastały tanie argumenty, za pomocą których mógł bez trudności odrzucić to wszystko, coś istotnego w nim samym zaczynało zahaczać się o stare palisandrowe konsole, o wyścielane fotele. Utrzymanie jasnej linii myślenia komplikowało się, bo rozproszone światło czy raczej

chłodny półmrok tych murów z *adobe* chronił wszystko (może z wyjątkiem arbuza na srebrnym półmisku) przed zdrowym rozsądkiem i inteligencją.

– Wuju.

– Co?

– Przyszedłem powiedzieć ci, że wracam do Europy.

– Wykluczone, Hieronimie; nie możesz wracać. Bądź rozsądny. Już nie pozostał nikt prócz ciebie... skoro ja, niech mi Bóg przebaczy, zostałem Jego sługą. Jesteś ostatnim, który może przedłużyć nazwisko. Nie wyobrażasz sobie, jak marzyłem o tym, by jakiś Azcoitia znowu zabłysnął na arenie publicznej kraju; z jaką niecierpliwością czekałem na ciebie i zastępowałem we wszystkim, podczas gdy ty łajdaczyłeś się w tym Paryżu. Ale wróciłeś i teraz nie dopuszczę, byś znowu wyjechał. Coś nie udała się dziś Marii ta szpinakowa zupka. A ryba dobra przynajmniej?

– Z kaparami. Znakomita.

– Cudownie pachnie.

– Nie znam się na polityce, wuju.

– Nie pozwalam ci mówić, że nie interesuje cię polityka twojego własnego kraju. To bluźnierstwo. To oznacza, że ambitni arywiści, całe to tałatajstwo niewierzących radykałów będzie mogło burzyć wszelkie przez Boga stworzone podstawy społeczne, odbierając nam władzę. On rozdał fortuny według swego uznania, biednym dał ich skromne rozrywki, nam zaś kazał być Jego przedstawicielami na ziemi, Jego przykazania zabraniają podnosić rękę przeciw temu porządkowi. A to właśnie robią te typy, których nikt nie zna. Jesteś chrześcijaninem?

– Sam mnie chrzciłeś, wuju.

– To nie ma nic do rzeczy. Po pięciu latach w Europie wszystko jest możliwe, sceptycyzm jest przecież w modzie.

Ale nie możemy sobie pozwalać na wątpienie w czasach krucjaty. Musimy bronić się, bronić Boga, którego Porządek i Autorytet są zagrożone. Obrona twojej własności za pomocą polityki równa się obronie Boga. Założę się, że nawet nie chciało ci się objechać twych posiadłości. Byłeś w Domu?

– W Rinconadzie?

– Nie, w Domu Ćwiczeń Duchowych w Chimbie.

– Bo ja wiem, wszystkie te domy są tak do siebie podobne, że mylą mi się...

– Coś podobnego! Mylą ci się! Jak chcesz, żebym nie wątpił w twoje uczucia chrześcijańskie, skoro nigdy nie zadałeś sobie trudu, żeby mi dać odpowiedź w sprawie beatyfikacji naszej krewnej Inez de Azcoitia.

– W tym okresie nie byłem w Rzymie, a potem wyszło mi to z głowy.

– Powinieneś był tam specjalnie pojechać, skoro dla przyjemności mogłeś rozjeżdżać się na prawo i lewo. Gdybyśmy teraz mieli w ręku broń w postaci tej beatyfikacji ogłoszonej w całej prasie, gdybyś mógł wrócić dzierżąc to w rękach niby symbol władzy ofiarowanej nam przez Boga, byłoby łatwiej wygrać obecne wybory.

– Komu przyszedł do głowy pomysł wystawienia mojej kandydatury?

– Mnie.

– Nie należę do stronnictwa.

– Zapisałem cię do niego dzisiaj. Musisz tylko wpaść tam na chwilę, podpisać formularz, ale tyle chyba możesz zrobić, to zaledwie parę kroków stąd...

Hieronim zerwał się i cisnął serwetkę na stół. Ale w tej samej chwili don Klemens zakrztusił się swą papką z przecieranych jarzyn. Z oczami pełnymi łez, kaszląc, z wysiłkiem zwrócił się do siostrzeńca:

– Dokąd idziesz?

Hieronim miał na ustach odpowiedź: wsiąść na pierwszy statek, który zawiezie mnie daleko od was i od tego świata, pragnącego za każdą cenę dowieść mi, że jestem monstrum, karłem czy Bóg wie czym, jakimś potwornym garbusem, obrazem czegoś, co zniszczenie wyrysowało tu na tych starych ścianach z poobijanej cegły, ale to nieprawda, jestem czym innym, należę do jaśniejszego świata; nawet absurdalny, sportowy gest poświęcenia mojego życia dla wydumanej sprawy tylko dlatego, że tak zadecydowałem, jest lepszy od uwięzienia w tych nieubłaganych murach, gdzie wuj Klemens chce mnie zamknąć zgodnie ze swymi ponurymi zamysłami. Jestem przekonany, że okaleczy mnie, wszystko mi poobcina, zawładnie moimi członkami, zdeformuje mnie i przekształci w kulę, która będzie spełniała jego życzenia... ale mój biedny wuj wciąż się krztusi, opluwając szpinakiem serwetę, może się udusić... Zamiast wyjść, Hieronim zbliża się do wuja, przytyka mu do ust szklankę wody, parę razy delikatnie uderza po plecach, pocieszając jak dziecko, że nic mu nie będzie, że z pewnością wszystkich przeżyje, nic, nic, zaraz przyjdzie Maria Benítez i pomoże mu, no spokojnie, na pewno się nie udławi tu, we własnej jadalni, tymi jałowymi jarzynkami.

# 11

Hieronim musiał dużo podróżować, chcąc utrwalić swój obraz jako nowego kandydata na posła w mózgach wyborców. Nie pozostawiało mu to wiele czasu na inne sprawy. Niemniej jednak pomiędzy podróżami bywał na niezliczonych przyjęciach, gdzie najrozmaitsze kuzynki na wszystkie strony usiłowały chwalić się nim jako jeszcze jednym sukcesem rodziny. No i zdarzyło się to, co się zdarzyć musiało: Hieronim zakochał się w najurodziwszej i najniewinniejszej dziewczynie, która okazała się spowinowacona z nim przez rozliczne babki z domu Azcoitia.

Inez Santillona, jak i on dziedziczka rozległych włości, była bardzo piękna, drobna, ruchliwa jak ptak, cała w kolorycie matowego miodu. Hieronim robił przy niej wrażenie wielkoluda. Miała oczy jasnopiwne, czasem zabarwiające się odcieniem brązu, czasem zieleni; właśnie zielone miała tego wieczoru, gdy uśmiechnięta, oblężona przez rój krostowatych, pragnących z nią zatańczyć młodzieńców, wahała się, kogo wybrać. Pojawienie się Hieronima w ciągu sekundy rozproszyło tłum zalotników, żaden bowiem z tych niezdarnych kreolskich żółtodziobów nie mógł się równać z owym dojrzałym, bogatym i pięknym mężczyzną, na dobitkę otoczonym blaskiem kontynentu, z którego powracał.

Inez nie oparła się gwałtownemu atakowi Hieronima; nie miała zresztą ku temu najmniejszego powodu, bowiem

zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, przy czym stosunek ich, ku ogólnemu zadowoleniu, od razu przybrał formę planów małżeńskich. W czasie spokojnych dni na wsi, u Santillonów, Hieronim udzielał światowych wskazówek najstarszemu ze swych przyszłych szwagrów i opowiadał niebywałe historie młodszym, równocześnie, zgodnie z tradycją, przytrzymując na rękach motki wełny, które matka Inez zwijała w kłębki. Wieczorami, podczas gdy młodzi, pośród świateł salonów, wirowali niby zjawy, damy, które już zrozumiały, że westchnienia należy kierować w inną stronę, okazywały swą radość ze spotkania dwóch tak wyjątkowych istot i wyrażały zadowolenie, że Hieronim, mający już po temu lata, wreszcie się ustatkuje.

W niedzielę poprzedzającą dzień wyznaczony na ślub wielkie śniadanie pod gołym niebem zgromadziło obie rodziny, które piły za szczęśliwą przyszłość młodej pary, po czym kobiety zebrały się wokół Inez, by omawiać szczegóły wyprawy, grupa zaś wachlujących się panamami mężczyzn, czerwonych od upału i wina, ustalała ostatnie posunięcia kampanii wyborczej Hieronima, ta bowiem po powrocie młodej pary z podróży poślubnej miała wejść w swoje ostatnie stadium. Z końca zaimprowizowanego przed gankiem stołu Inez patrzyła na narzeczonego; przez ostatnie miesiące przed ślubem reguły, będące rezultatem odwiecznych tradycji, nie pozwalały na zbyt bliskie kontakty młodej pary. Obfity program wizyt, przymiarek, kupowania prezentów i tak dalej pozostawiał Inez zaledwie parę chwil, by o zmroku, w cieniu krużganka, na moment dyskretnie opuszczonego przez rodzinę, musnąć ustami wargi Hieronima.

Pod gankiem Inez odczekała, aż Hieronim dokończył kieliszek porto, które popijał w towarzystwie don Klemensa zachwyconego tym nowym zakrętem, jakie przybierało

jego życie wcielone w życie siostrzeńca, i pośród protestów starszych, którzy w dalszym ciągu chcieli traktować ją jak małą dziewczynkę, pociągnęła narzeczonego w kierunku brzoskwiniowych drzewek, by chociaż chwilę mogli sami nacieszyć się ich cieniem.

Inez nie była w stanie ogarnąć specyficznych implikacji, jakie cała ta sytuacja przedstawiała dla Hieronima. Obyczaje i formuły, cały ten rytuał tak niezmienny i tak wystylizowany jak wszelkie heraldyczne symbole otaczające instytucję narzeczeństwa, wpisywały go wraz z Inez, objętych, tak jak teraz stali pod obciążonymi owocami drzewkami, w jakiś kamienny medalion: medalion ten był tylko częścią odwiecznego fryzu składającego się z wielu podobnych medalionów, oni zaś, narzeczeni, tylko czasowym wcieleniem spraw sięgających o wiele dalej niż ich indywidualne charaktery. Dusza i ciało Inez nietknięte oczekiwały, że teraz on je ożywi i wydobywszy z pierwszego medalionu wprowadzi we wspaniałość następnego.

Aby zdecydować się na wkroczenie w tego typu świat, Hieronim musiał zapomnieć o wielu sprawach. Jego namiętność do Inez umieszczała go wewnątrz tego systemu prawideł i reguł; świadomość jednak, że jego życie mogłoby upłynąć w innych, znacznie bardziej postępowych ramach, stawiała go niejako na zewnątrz, w pewnego rodzaju ironicznym dystansie do tego wszystkiego. Czuwał więc tylko nad tym, aby oboje postępowaniem swym nadali treść odwiecznej legendzie idealnie dobranej pary. Po co było męczyć Inez tłumaczeniem, że wielkość istoty ludzkiej mierzy się tym, co dobrowolnie jest w stanie poświęcić, że siła polega na tym, co się jest w stanie zamknąć, zachować w samym sobie?

– Przyjdziesz? Obiecałam, że cię przyprowadzę. Ona widuje nas, kiedy czasem jesteśmy sami w galerii.

Z krzaków podgląda, jak się całujemy. Powiedziała mi, że wyglądasz jak książę, że jesteś piękny.

Hieronim pocałunkiem zamknął jej usta. To łono, które teraz napiera na jego brzuch, otworzy się, aby dać mu nieśmiertelność. Fryz z medalionów przedłuży się w nieskończoność poprzez jego dzieci i wnuki... Jasna skóra dziewczyny, jej głos – zdradzały zmysłowość, której ona sama nie podejrzewała. On urobi ją na swoją modłę... Szepnął:

– Już tak niedługo...

– Jeszcze tak długo...

Odsunął ją od siebie i pod rękę poczęli spacerować po galerii.

– Pomyśl, będę się nazywała tak jak ona. To dziwne nazywać się jak święta, nie?

– O czym ty mówisz?

– O twojej, no i mojej, ciotecznej babce, która nazywała się Inez de Azcoitia... No, o tej z Domu. Podobno jest błogosławiona.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Bo twoja matka umarła, kiedy byłeś jeszcze mały, a teraz jesteś mężczyzną. O takich sprawach mówią tylko kobiety.

– Nie słyszałem, żeby twoja matka o tym mówiła...

– Ale ja wiem, że ona jest błogosławiona i że robiła cuda.

– Skąd wiesz?

– Peta opowiedziała mi całą historię. Że było dziewięciu braci i że niańka tej błogosławionej dzieweczki podarowała jej krzyżyk z gałązek związanych skórzanym rzemyczkiem, który tamta zawsze miała przy sobie, i ten krzyżyk uratował Dom od trzęsienia ziemi. Peta ci to powtórzy...

– Jaka Peta?

– Jak to? No, Peta Ponce. Przecież ciągle ci o niej opowiadam, ale ty nie słuchasz; uważasz, że jestem

dzieckiem, co nic nie rozumie i gada głupstwa. Zobaczysz, jak się pobierzemy... Wiesz, ona ma dla ciebie prezent...

– Kto?

– No właśnie Peta Ponce. Sto razy ci mówiłam, jaka była dobra dla mnie, kiedy chorowałam. Przywieziono ją do nas z majątku dziadka Firmina, miała haftować prześcieradła do wyprawy mamy, a potem tak jakoś została w domu, pomagała w szyciu. Mówi, że ten prezent, co ci zrobiła, jest ciebie godny. No, chodź, pójdziemy do niej...

– Chodźmy.

Poszli w kierunku nory Pety, leżącej za kurnikami, za szopami, gdzie dom przemieniał się w chaos rozmaitych bud, budynków i budyneczków nie mających pretensji do urody: w podszewkę frontu.

Przed którymiś drzwiami Inez przystanęła; było widoczne, że coś się z nią dzieje, tak jakby z sekundy na sekundę wszystko oprócz tych drzwi straciło znaczenie. Odwróciła się raptownie:

– Ja ją ze sobą zabiorę. Mama mi ją podarowała. Powiedziała, że mogę ją zabrać, że tu nie jest do niczego potrzebna.

– Przecież ci nie odmawiam...

– Ale czasem masz takie swoje...

– A będzie chciała?

– Peta Ponce chce tylko tego, czego ja chcę. Zgadzasz się, prawda, mój jedyny? Nie będzie nam przeszkadzała, zobaczysz.

Pchnęła drzwi. Ze środka uderzył w Hieronima zatęchły piwniczny zapach worków fasoli, kartofli, grochu, soczewicy, bel koniczyny, słomy, lucerny, zapasów cebuli, papryki, pieprzu i wianków czosnku uwieszonych na wiązaniach belek. Po powodzi światła i ciepła na dworze trudno było zorientować się w formie i wymiarach

pomieszczenia. Hieronim cicho zawołał Inez. Myślał, że odpowie mu z daleka, niby echo, tymczasem poczuł, że bierze go za rękę, i usłyszał jej szept:

– Tędy.

Podczas gdy prowadziła go wymijając skrzynie, paki, tłumoki, oczy Hieronima zaczynały wyławiać w ciemności belkowaty sufit, z którego zwisały uprzęże i wodze. Ale gdy podeszli do ściany, inny zapach wmieszał się w harmonię tamtych naturalnych woni: zapach brudnej bielizny, piecyka węglowego, odgrzewanego jedzenia, okopconych garnków. Jakiś blask zajaśniał wśród sterczących źdźbeł słomy; w oddzielonym snopkami kącie paliła się świeca, której drżące światło wyłaniało z ciemności blade cienie prętów łóżka, niepewnie tańczące na ścianie, gdzie wyblakli święci błogosławili martwy czas starych kalendarzy i zegara o jednej wskazówce. Jakieś skurczone na taborecie stworzenie przestawiało czajnik na fajerce.

– Peta...

– Przyszłaś?

Kupa gałganów zatrzęsła się, żeby dać ludzką odpowiedź na okrzyk Inez. Pomiędzy starą a dziewczyną rozpoczął się urywany dialog, który wzburzył Hieronima. Tej sceny nie miał zamiaru tolerować: nie mieściła się ona w żadnym z odwiecznych kamiennych medalionów. A gdyby się mieściła, byłby to medalion z innej serii, z tej wrogiej, sprzecznej z jego własną, legendy o potępionych i nieczystych po lewicy wszechmocnego. Należało natychmiast zabrać stąd Inez. Nie dopuścić do udziału w tamtej serii, związanej z upodleniem, zapomnieniem, śmiercią. Inez była dzieckiem, które byle głupstwo mogło splamić.

– ...i przyprowadziłam ci Hieronima, Peto.

Stara podeszła do Hieronima, aby mu się przyjrzeć.

– ...zgadza się, żebyś z nami mieszkała.

– A nie będę przeszkadzała panu dziedzicowi?

Ale Inez ubiegła Hieronima i odpowiedziała:

– O nie, nowy dom jest duży.

– Jak będziesz chciała, córeńko.

– A twój prezent dla Hieronima?

Stara pogrzebała pośród tłumoków schowanych pod łóżkiem i wsunęła w rękę Hieronima jakąś białą paczuszkę.

– Proszę to otworzyć.

Posłuchał jej przede wszystkim, żeby zyskać na czasie, wynaleźć powód, który by raz na zawsze przerwał stosunki Inez z tym niższym światem, światem lewicy pańskiej, odwrotnej strony medalu, sprawami, które nigdy nie poznawszy światła skazane były na sczeźnięcie. W paczuszce znalazł trzy niewielkie chustki z cieniuteńkiego batystu tak obrębione i z tak przepięknie haftowanymi monogramami, że przeszył go dreszcz: jak coś podobnego mogły wyjąć spod tego wyra ohydne, pełne brodawek łapy starej? Równie pięknych i wytwornych chustek nie widział jeszcze nigdy... Jeżeli czasem marzyły mu się chustki – to właśnie te, ta cienkość, ta delikatność, ten rysunek; jeżeli wyśnił sobie jakieś chustki, to były dokładnie te, które w tej chwili trzymał w ręku... Ta stara wniknęła w jego sen i skradła mu go. Bo jakimż innym sposobem z nędzy świata, w którym się obracała, za pomocą jakich ciemnych sił mogła była mieć dość gustu i zręczności, aby wykonać te trzy małe arcydzieła? Coś w rodzaju zachwytu wstrząsnęło jego wewnętrznym ładem, sprawiając, że nagle poczuł w Pecie Ponce potężnego wroga.

– Dziękuję. A teraz musimy już iść.

– Ależ, Hieronimie... Nie chcesz, żeby Peta opowiedziała ci historię tej błogosławionej i Domu? Jest taka stara, wie masę rzeczy, których już nikt nie pamięta...

– Nie chcę nic wiedzieć. Idziemy.

Wziął ją pod ramię.

– Do widzenia.

Zanim wyszli, wcisnął do rąk starej monetę. Były to ręce pokrzywione, pełne kurzajek, zdeformowane, drżące, o połamanych, żółtych paznokciach, ręce zdolne zrobić wszystko, nawet stworzyć piękność, do czego nie miały prawa, bowiem tym samym skazywały go na niższą pozycję wielbiciela tej piękności. Gdy wyszli, Inez skoczyła na niego:

– Dlaczego tak zrobiłeś?

Płacząc dawała się ciągnąć Hieronimowi, który puścił ją dopiero w pralni, gdzie wyjątkowej długości białe obrusy wisiały na równoległych drutach w towarzystwie całej rodziny serwet.

– O co ci chodzi?

– O wszystko. Dlaczego dałeś jej pieniądze?

– Nie chcę, żebyś kiedykolwiek więcej miała z nią do czynienia, rozumiesz?

– Peta uratowała mi życie.

W pralni był chłód, śliski chłód nie baczący na słońce odbijające się w błękitnawej wodzie balii i w betonowej podłodze, na którą skapywała woda z wiszącej bielizny. Hieronim zrobił ruch, jakby chciał odejść mimo płaczu Inez, lecz dziecinne rączki narzeczonej przytrzymały go i szepnęła:

– Byłam wtedy malutka... Przed urodzeniem Firmina mama była bardzo chora, więc żebym jej nie zawadzała, wysłano mnie do sióstr, do Domu „Zwiastowanie" w Chimbie. Peta pojechała ze mną. A tam, w Domu, nagle dostałam potwornych boleści, to było coś strasznego, jakby wszystko pękało mi w brzuchu. Kiedy czasem myślę, że mogłoby mi to wrócić, umieram ze strachu. Codziennie przysyłano doktorów, przyjechał tatko, wszys-

cy byli przerażeni, że mnie wysłali na taki koniec świata, a teraz nie mogą mnie zabrać z powrotem, bo jestem zbyt chora. Lekarze nie mieli pojęcia, co mi jest, kręcili głowami i tyle, a ja, chociaż byłam taka mała, rozumiałam, że nie ma rady, że umrę tutaj. I umierałam, Hieronimie, na coś, czego nikt nie umiał ani poznać, ani wyleczyć. Z każdym atakiem bólu wydawało się, że to już koniec. Aż tu pewnej nocy, kiedy bóle jeszcze się nasiliły, Peta podniosła się, jeszcze ją widzę przygarbioną w ciemnościach, usiadła koło mnie, zaczęła mnie pocieszać, a ja mimo strasznych cierpień uspokoiłam się i jakbym usłyszała przeogromną ciszę tego Domu; pozwoliłam, żeby mnie rozebrała, a ona przyłożyła wargi do mego brzucha dokładnie tam, gdzie bolało, i zaczęła ssać. Ssała i ssała, a kiedy przestała, nie bolało mnie już, tak jakby wyssała cały ból do ostatniego łyka. Poczułam się taka jakaś... jakby pusta, tu, o tu. A ona kazała mi przysiąc, że nigdy w życiu nikomu o tym nie opowiem. Ty jesteś pierwszy. Nawet mama nic nie wie. Ale wtedy stało się coś dziwnego; biedna Peta zaczęła sama dostawać tych bólów, które przedtem mnie dręczyły. I od tej pory przez całe życie czuła i czuje moje bóle.

– Czarownica. Ani ty, ani ona nie powinnyście były nigdy więcej opuszczać tego przeklętego Domu. Zamąciła ci w głowie; teraz będę musiał nieźle się namęczyć, żeby to jakoś odrobić. Na początek powiem twojej matce, że zakazuję ci widywać Petę Ponce, i każę natychmiast zburzyć cały ten Dom...

– Nie odważysz się...

Inez zrobiła krok w stronę Hieronima i rzuciła mu się do twarzy. Cofnął się przed atakiem tych pięciu nie znanych paznokci i zaplątawszy się w jakiś obrus, przerwał drut. Mokry, śliski materiał nakrył go i przewrócił na ziemię. Kiedy udało mu się wyplątać z tego całunu, Inez

już nie było. Ręką dotknął policzka, był zakrwawiony od głębokich zadrapań pazurami, umiejącymi ranić i zadawać ból. Chustką od Pety zatamował krew i wyszedł z domu chyłkiem, aby go nie widziano. Cóż teraz można było zrobić? Było za późno, żeby się cofnąć: ślub miał się odbyć za siedem dni.

W dzień ceremonii Hieronim zjawił się w bazylice de la Merced z podrapanym lewym policzkiem. Przeszedł przez szpaler białego kwiecia i rozradowanych twarzy, dumny, pewny siebie, górujący nad tłumem, aby nikomu nie przyszło do głowy zastanawiać się, skąd się wzięły szramy na twarzy oblubieńca.

Emocja i sztywna niby pancerz suknia zdławiła na chwilę przerażenie Inez przed złożeniem mężowi – wśród dymu kadzideł, pod pełnym ufności spojrzeniem don Klemensa przybranego w złote ozdoby – fałszywej przysięgi posłuszeństwa, jakiej zażądał od niej przed Bogiem, najpotężniejszym z krewnych obecnych na tej ceremonii, który nie osłaniałby żadnych nieczystych intencji. Przed złoconym obrazem, pośród pieśni i uświęconych zwyczajem słów, Inez krzywoprzysięgła, dobrze wiedząc, co ma zamiar zrobić. Kiedy na tydzień przedtem matka zaprowadziła ją do don Klemensa, ażeby przygotował ją do sakramentu małżeństwa uprzedzając, że jest grzechem śmiertelnym odmawianie swego ciała współmałżonkowi, duchownemu nie przyszło do głowy, jaką broń wkłada jej do ręki.

Inez dobrze wiedziała, jak bardzo Hieronim jej pożądał. Dlatego w noc poślubną popełniła śmiertelny grzech odmówienia mu swego ciała, ona, która także go pożądała. I byłaby mu odmawiała całe życie, gdyby nie to, że gdy nad ranem leżała nago obok niego, płomień pragnienia stłumił jasność jego myśli. Obiecał jej wszystko, wszystko,

czego będzie chciała, wszystko, o co go poprosi, i w chwili, w której, jak obliczyła, nie zdawał już sobie sprawy z tego, do czego się zobowiązuje, byleby ją posiąść, kazała sobie przysiąc, że nigdy, pod żadnym pretekstem nie rozdzieli jej z Petą Ponce.

Począwszy od tej nocy Hieronim i Inez nigdy już nie byli sami w swym ślubnym łożu. Zawsze jakiś cień – Boya, mój, błogosławionej – dotrzymywał im towarzystwa. Pierwszej nocy po ich ślubie walczyli o to miejsce don Klemens i Peta Ponce, którzy od tej pory manipulowali nimi jak marionetkami, jak kukłami z *papier mâché*.

# 12

Jego cztery czarne psy warcząc wyrywały sobie kawał mięsa jeszcze ciepłego, niemal żywego. Rozrywają go, obszczekują, podrzucają, mordy czerwone i zaślinione, chropowate podniebienia, kły, błyszczące oczy, wąskie pyski. Gdy mięso zostaje pożarte – zaczynają biegać wokół pana w oczekiwaniu na pieszczotę: moje cztery psy, czarne jak cienie wilków, są krwiożercze i mają ciężkie, okrutne łapy zwierząt czystej rasy. Tylko przy mnie, właścicielu mięsa, którym się żywią, i parku, którego pilnują, są łagodne.

– Rzuć im jeszcze.

Fornal ciska krwawy ochłap ponad psami, które przegapiają to, bo gryzą się między sobą i warczą... uważajcie, głuptasy, nie bijcie się, łapcie, czyż nie widzicie, że żółta suka podkrada wam żarcie? Rzućcie się na nią, zagryźcie ją. Chuda kundlica, która krążyła wokół moich szlachetnych psów, skorzystała z przemieszania nóg i pysków, aby gwizdnąć im mięso, a teraz ucieka co siły, drżąca, ze zwieszonym łbem, z ogonem między łapami, taszcząc zdobycz przez esplanadę i w końcu znikając za kaplicą. Zanim moje cztery czarnuchy pojęły rozmiary swojej kompromitacji, fornal cisnął im nowy kawał ścierwa. Czy chce w ten sposób kryć złodziejkę? Na pewno odbije to sobie jutro w czasie wyborów, nażre się mojego mięsa,

ożłopie moim winem, a potem odda głos przeciw mnie, bo mnie nienawidzi.

– To twoja ta żółta suka?

– Nie, dziedzicu. Niczyja.

– Jak to niczyja?

– Przybłęda. Czasem przyłazi grzebać w śmietniku na kuchennym patio albo w parku, kiedy pan dziedzic wyjeżdża konno z psami.

– To dlaczego nie wyrzucisz jej z parku?

– Pani dziedziczka nie pozwala.

Najedzone psy zaczynają się tarzać po świeżej zieloności; całe rano ganiały wokół szop, gdzie szlachtowano cielęta na ucztę po moim zwycięstwie w wyborach. Tam też zjawiła się żółta suka, lizała krwawe skóry porozwieszane na sztachetach w słońcu, paprząc sobie cały pysk krwią, do której ciągnęły natrętne, otępiałe od upału muchy; z drugiej strony esplanady prosiaki czochrały się o pale. Żółta suka jest chuda, chciwa, żarłoczna, nienasycona, zdolna zjeść każde, najobrzydliwsze nawet świństwo.

Szwenda się między nogami przywiązanych do pali koni, cała aż się skręca, żeby je kąsać po pęcinach; w oczekiwaniu na coś lepszego zadowala się obwąchiwaniem kałuż moczu i wsadzaniem nosa w świeże łajno. Muszę pomówić o tym z Inez; do niej, która nie wychodzi na słońce bez woalki i parasoleczki, która nie dotyka gałązek inaczej niż przez rękawiczki, nie pasuje aprobowanie obecności tak ohydnie brudnego stworzenia.

Kiedy wyciągnąłem się obok niej na galerii, było już późno; jednym ponczem z wełny wigonia okryłem jej nogi, drugim siebie i leżeliśmy tak, patrząc na dziwaczne znaki gwiazd pośród cieni drzew Rinconady. Kumkanie

żab odgradzało nas od świata kręgiem, broniącym od wszelkich intruzów z zewnątrz.

– O czym myślisz?

Inez jakby się przebudziła.

– Ja? O niczym.

O niczym? Czemu? Powinna o czymś myśleć i powinna mi to powiedzieć, chociażby chodziło tylko o to, że Laura ma suknię w okropnym kolorze albo że małżeństwo Carlosa z Blanką nie wygląda na udane. Ale może rzeczywiście myśli o niczym, choć myślenie o niczym w chwilach intymności to twoja obrona, Inez, to ucieczka pozwalająca ci na zamknięcie, zablokowanie mózgu, aby ani lęk, ani żadne pytanie nie miały do niego dostępu... Myśl o czymkolwiek, bylebyś myślała i mogła mi to powiedzieć, myśl choćby o tej żółtej suce, o której chcę z tobą pomówić (jeżeli będę pamiętał o czymś równie przyziemnym), bylebyś nie była w tym jakimś nieokreślonym miejscu (tyle że na pewno nie tutaj, nie teraz, nie ze mną), gdzie myślisz o czymś bardzo konkretnym, o czym ja również nie mogę przestać myśleć nawet w chwilach, kiedy namiętność, jaką czuję do ciebie, powinna wykluczyć wszelką możliwość myślenia, nie jest jednak w stanie wykluczyć tej pustki, tej nieobecności, którą mi okazujesz – słusznie zresztą, bo wszystko inne byłoby nieprawdą.

Mógłbym cię odepchnąć. I nienawidzić. I u innej poszukać tego, czego twoja comiesięczna krew uparcie mi odmawia przez całe pięć lat lat małżeństwa. Ale nie mogę. Wszystko, co nie jest pełnym szczęściem, byłoby zaczątkiem przerażenia.

Błękitny diament zapala się w gęstwinie parku, blednie, znowu się zapala, złoci się, miga, znów gaśnie; pośród krzewów rodzą się inne światełka, które, zanim znikną,

patrzą na nas, na ciebie i na mnie, drogie kamienie, gwiazdy, oczy; blask kryjący się wśród liści rośnie, blednie, przemyka pośród ciemnych zarośli nie goniąc nas, ale pilnując, są to bowiem oczy moich psów, teraz powoli snujących się pośród hortensji, czerwone, różowe, uważne, tam gaśnie dwoje stalowych, które teraz zapalają się bliżej, tuż przy ganku, gdzie oboje leżymy; znieruchomiałe iskry na bladym liściu światła – oto twoja twarz. Pozwalam opaść mej ręce, które niemal niechcący dotyka twojej, kryjesz oczy, bo gdy patrzysz na mnie, ukazują mi one twoje plany, odsłaniają nową wersję twej twarzy nie myślącej o niczym, bo nieobecnej; lecz oczy złociste, oczy stalowe, iskry zielone lub niebieskie pośród czerni liści potwierdzają, że Inez jest, uspokojone przesuwają się więc dalej, błyszczą, gasną, nieruchomieją w krótkim lśnieniu, które się roztapia, przez chwilę wszystko jest ciemne, nie widzą nas, teraz muszą wymazać z niej wszystko, co nie jest pełną wiarą w nasze szczęście, zniszczyć niepokój tych rzuconych mimochodem słów, nic, nie myślę o niczym; mam czas, by to zrobić, bo kropla drży na liściu, w tej kropli tkwi źrenica i ta płonąca źrenica patrzy na nas, inne skry dalej, bliżej, wyraźne, zamazane – oczy świadków, żądających, byśmy byli szczęśliwi, pilnujących, czy aby ciemność nie ujawni jakiejś skazy na tym szczęściu; nie możemy rozczarować świadków polujących na naszą doskonałą miłość. Znowu dotykam twej ręki. Widzicie, jak Inez drgnęła? Delikatnie, ale drgnęła. Wy możecie tylko oglądać to drżenie, doświadczyć go nie możecie, wy jesteście tylko oczami żądnymi demonstracji naszego szczęścia. Teraz tu wy, świadkowie, rządzicie, jeżeli w tej chwili nie zadośćuczynię waszemu żądaniu i nie ujrzycie naszego orgazmu, znikniecie i wszystko się zapadnie; gdy nie będzie śledzących nas oczu, zmienię się w strzęp mięsa

rzuconego moim czarnym psom, które nie poznają, że to krew ich pana; pożrą mnie, jeżeli im tu i teraz nie pokażę pełni naszego szczęścia. Ściskam idealnie chłodną dłoń Inez. Zaledwie odpowiada na ten uścisk, więc ściskam ją mocniej i pociągam ku krzewom hortensji, by skryć się w nich, tak jakbyśmy byli dziećmi...

– Hieronimie... Nie...

– Tak.

– Mamy przecież cały dom i całą noc przed sobą...

– To nic. Tutaj.

– Boję się...

– Czego?

– Że nas zobaczą.

– Kto?

– Nie wiem...

– Nie bądź niemądra...

Krąg migotliwych spojrzeń zastyga wokół nas. Nie bój się świadków, Inez, zobacz, jakie piękne są te oczy o niebieskich błyskach. Wszystkie należą do mnie. Pozwól, że cię obnażę w ich blasku. Połóż się na łożu z liści. A teraz patrzcie na nią, po to was trzymam, i na mnie patrzcie, bo także jestem nagi, podziwiajcie moją sterczącą męskość, zazdrośćcie mi jej, po to was karmię, patrzcie, jak kładę się przy Inez na chłodnym posłaniu z liści, jak zmuszam ją do otwarcia oczu piwnych, zielonych, aby widziała tamte oczy skrzące, połyskliwe, których cierpienie, gdy na nas spoglądają, pomaga nam; och, jak pieszczą cię moje ręce, moje usta przebiegają po chłodzie twego ciała, które rozgrzewa się, płonie, mój seks wyrywa z ciebie westchnienie, jęk, zapominasz, że nie myślałaś o niczym, bowiem wypełniam sobą to puste miejsce w tobie, którego mi odmawiasz i którego odmawiałaś mi przez te całe pięć lat szczęścia, posłuchajcie, jak jęczy, jak opada z niej

wstyd, zostawiając ją jeszcze bardziej nagą, jeszcze bardziej splecioną ze mną, szepczącą moje imię, jęczącą, w miarę jak coraz głębiej w nią wnikam, wyjącą w końcu, już obojętną na to, że ją słyszą i widzą, gdy wreszcie posiadam ją wobec wszystkich tych oczu stalowych, żółtych, zielonych, lodowatych, które zapalają się, kryją, pojawiają, by jeszcze coś dojrzeć, dodając mi tym nowych sił... bo musiał widzieć spojrzenia pośród zieleni, która kryła i mnie, matko Benito, bo ja też ich podglądałem, dwoje z tych oczu płonących w ciemnościach parku Rinconady, dwie źrenice biorące udział w niezbędnym chórze tej specyficznej rozkoszy, te oczy, najżarłoczniejsze, najbardziej wstrząśnięte, najciężej ranne, to były moje oczy, matko Benito, te same, które teraz widzisz zmącone gorączką, których powieki usiłujesz zasłonić ręką, abym mógł wypocząć, zasnąć, śpij, Głuszku, śpij, odpocznij sobie, śpij, zamknij oczy, przygaś to spojrzenie, które już się wysłużyło, spuść powieki i zaśnij, ale nie mogę, bo palą mnie, gdy poprzez liście patrzę na ich rozkosz, słuch mam wyostrzony na te urywane słowa, na pieszczotę ciał, nos na zapach ich miłości, a moja ręka, ta ręka, którą teraz trzymasz w swojej, dotyka ich (ale w ogóle tego nie czują), podczas gdy pełni szczęścia kończą raz i jeszcze raz, aż oczy pośród roślinności zaczynają gasnąć, don Hieronim szuka ich, aby odnowić w nich swą siłę, gdzież one, znikły, Inez, znikły, jesteśmy w zupełnych ciemnościach, może nikt nas nie widział, może cały czas było ciemno, chociaż nie, oto żółte oczy i znów jestem gotów, teraz pragnę cię bardziej niż przedtem, bo jesteś zmęczona i ja zmęczony, te oczy żółte, kaprawe patrzą, jak wnikam w ciebie, jak odżywasz, kaprawe oczy tuż obok nas, och, jeszcze, jeszcze... Inez wydaje ostatni okrzyk, matko Benito, będący nie tylko jękiem rozkoszy, ale i przerażenia,

bowiem otwarłszy oczy, aby spojrzeć na konstelację błyszczących dookolnych spojrzeń, tuż koło twarzy Hieronima widzi żółtą sukę, która przybliżyła się, by ich wąchać, by zlizać soki, które ich ciała pozostawiły na liściach: żółta suka, dysząca, obśliniona, pełna krost i parchów, z głodem w oczach, zdolna – ona jedna – zmusić ich do krzyku.

Gdy rozeszła się wiadomość, że w podgórskim miasteczku, w którym radykałowie wyjątkowo dużo naobiecywali górnikom, podczas głosowania skradziono urny wyborcze, władze stronnictwa konserwatywnego, zgrupowane wokół Hieronima de Azcoitia, uznały, że ostrożność nakazuje zabarykadować drzwi i okna ich klubu. Stronnictwo nigdy nie usiłowało roztaczać swych wpływów na sfery górnicze i było rzeczą zrozumiałą, że sektor ten padnie łupem radykałów. Tymczasem jakiś bezimienny idiota, nieodpowiedzialny czy pijak, wjechał konno do szkoły, gdzie odbywało się głosowanie, porwał urny i uciekł, licząc prawdopodobnie, że ten pseudoheroiczny wyczyn zaskarbi mu łaski don Hieronima. Niestety, ciemny tłum, zgromadzony na placu przed klubem – najprawdopodobniej z poduszczenia radykałów, zachwyconych gratką, jaka wpadła mu w ręce – oskarżył ich, kacyków, o czyn, który dla każdego, kto miałby choć trochę oleju w głowie, stał w oczywistej sprzeczności z ich politycznymi interesami.

W takiej chwili bez trudu można było podburzyć postrojone chłopstwo, które z przyległych wsi przyjechało konno do miasteczka, można było nawet doprowadzić do rozlewu krwi. Dotąd jednak tłum, ociężały od wina, spacerował po rynku paląc i naradzając się, nie wybuchając wszakże.

Don Hieronim de Azcoitia spędził całe popołudnie zabarykadowany w klubie, w oczekiwaniu na rozejście się

tłumu, który jednak nie rozchodził się. Zapadł wieczór. Szara, szemrząca masa nadal stała nieruchomo pod szpalerem palm otaczających plac. Latarni nie zapalono.

Hieronim chciał wyjść, wziąć samochód i pojechać do Rinconady, tak jakby nic nie zaszło, bo właściwie, z jego punktu widzenia, nie zaszło nic; ale jego towarzysze, którzy przez szpary w żaluzjach obserwowali plac, nalegali, by dla dobra stronnictwa, dla dobra kraju zaniechał tego projektu: ich zdaniem wyjście w takiej chwili było prowokacją, krokiem mogącym przesądzić o awanturze. Hieronim natomiast uważał, że należy wykorzystać ostatnie chwile niezdecydowania i opuścić klub bez ostentacji, po prostu wychodząc jeden po drugim, jakby nic się nie stało, bo przecież – czego ani na chwilę nie przestawał im powtarzać – to, co się stało, nie było ich winą. Przeciwnie, należało wbić jakoś tym ludziom w głowę, że oni, konserwatyści, z tą kradzieżą nie mają nic wspólnego. Ci jednak, którzy lepiej znali chłopów, byli zdania, że najwyżej można próbować ucieczki – opuszczenie klubu na ich oczach, jak to proponował Hieronim, wyglądało na nieliczenie się z nimi i było nonsensem. Lepiej przedostać się na dach, a potem na dachy sąsiednich domów i zejść gdzieś na boczną ulicę: nie zwróci to niczyjej uwagi, wszyscy bowiem zajęci są obserwowaniem drzwi prowadzących do klubu. Tym sposobem gdyby nawet zdecydowali się napaść na klub – siedzibę wyzyskującej ich oligarchii – nie zastaliby tam nikogo.

Hieronim upierał się, że takie zachowanie będzie równe przyznaniu się do winy, będzie zrujnowaniem rezultatów głosowania, oddaniem się w ich ręce, kupa ciemniaków, naprawdę nie ma się na kim oprzeć, co za kretyn zrobił mi tę zasraną przysługę... Grupa kacyków, poncza i ostrogi, popijająca z Hieronimem w kantynie lub przechadzająca

się po galerii, naradzała się zaaferowana, jeszcze butelkę wina, Pancho, nie, tego lepszego, a jak nie, to byle jakiego, byle nie octu, i parę kanapek z salcesonem, kiedy już nic nie mam, nawet chleb mi się kończy, a z pewnością przyjdzie tu spędzić noc, póki karabinierzy nie przyjdą ich rozpędzić, po kiego diabła zwlekają, ten motłoch nas nienawidzi, popatrzcie tylko, jak tam knują, nie, nie odważą się nic zrobić, póki ktoś nie da im rozkazu, zazdroszczą nam, ze wszystkiego by nas chcieli ograbić, mówią o rewindykacjach, ale to po prostu bandyci, kryminaliści, którzy dawno powinni siedzieć pod kluczem, popatrzcie, jacy zadowoleni, pewno, przecież prawnie są w porządku...

Hieronim podniósł się.

– Chodź, Humberto, idziemy.

– Jak pan rozkaże, don Hieronimie.

– Dlaczego tu tak ciemno? Co się, do cholery, dzieje z oświetleniem tego miasta?

– Za to także zwalą winę na pana.

Tłum gęstniał; wyłaniając się z bocznych, obsadzonych palmami ulic, koncentrował się przed wejściem do klubu. Niektórzy z oblężonych przysunęli się do okien, chcąc rozpoznać twarze, zapamiętać, na kim później trzeba będzie się mścić. Na niebie ponad koronami palm było jeszcze trochę blasku przebitego igłą wieży kościoła po drugiej stronie placu naprzeciw klubu. Tam stał samochód Hieronima. Ażeby dotrzeć do niego, trzeba było przedrzeć się przez setki milczących ludzi wpatrzonych w drzwi klubu, do którego nie mieli dostępu, ciekawość, jak też tam jest w środku, podobno odbywają się tam orgie, a chleją na umór, całe fortuny umieją przerżnąć w karty, a my co? jak gramy, to o tych parę groszy, jak pijemy, to po jednym kieliszku i jeszcze człowiek nieraz nie ma nawet na to, żeby zapłacić.

Te tłumy na placu nienawidzą nas, spiskują, czekają, chcą nas skrzywdzić; jeszcze nie słychać, co mówią, ale wkrótce usłyszymy aż za dobrze. Ktoś wdrapuje się na ławkę i zaczyna perorować, wyzysk, niesprawiedliwość, przekupstwo, zdrada, te wybory na miejsce po zmarłym senatorze, który był naszym człowiekiem, wykazują jak na dłoni, jakie oszustwa będą miały miejsce przy wyborach na prezydenta, to, co się stało, to ponury przedsmak tego, czym będą następne, jeżeli zgodzimy się, żeby typy w rodzaju tego de Azcoitia...

– Humberto, masz pistolety?

– Mam.

– Daj mi ten większy.

– Co robimy?

– Chodź za mną.

– Ale co robimy, don Hieronimie?

– Rób dokładnie to co ja.

– Co oni wyprawiają, to wariaci...

– Proszę odryglować drzwi.

– Upadli na głowę.

– Humberto, słuchaj...

– Odryglować, mówię...

Zabiją cię, Hieronimie, zlinczują cię, nie widzisz, że nienawiść tego anonimowego tłumu koncentruje się na twojej osobie, nie wychodź, zaczekaj, aż się coś wyjaśni...

Ponieważ nikt nie usłuchał rozkazu i nie zdjął sztaby, tej sztaby ze starego żelaza, tak ciężkiej, że zazwyczaj zdejmowało ją dwóch ludzi, Hieronim zrobił to sam: muskuł stwardniał mu pod białym rękawem kurtki, twarz przez chwilę tak sczerwieniała, że błękitne oczy zalśniły jak gwiazdy. Gdy na zewnątrz zauważono, co się dzieje, krzyki umilkły.

– Patrzcie no...

– Otwierają...

Drzwi otwarły się i wyszedł, spojrzał w niebo, jakby wypatrywał deszczu, włożył kapelusz, cisnął cygaro i stanąwszy na schodach spojrzał na nich z góry. Tłum zaszemrał, skądś z tyłu rozległy się nawoływania, chodźcie, wyszedł, idzie, pan hrabia raczył wyleźć, chodźcie, nadbiegają ze wszystkich stron wynurzając się z barów, rozwalają na oścież drzwi domów – całe miasteczko zebrane na placu ogląda don Hieronima de Azcoitia, rozmowy przerwane, ręce w kieszeniach, papierosy pogaszone. Patrzeć. Oglądać. Tylko woda w dalszym ciągu obojętnie wypływa z ust nimf zdobiących fontannę na środku placu. Ktoś nalega:

– Niech gada!

– Niech się wytłumaczy!

– Nie mam się z czego tłumaczyć.

Zszedł ze schodów.

– Dobra, przepuście mnie. Jadę do siebie. Tu nie mam już nic do roboty.

Nie mówił głosem „wiecowym"; mówił spokojnie, niegłośno, tak jakby – co wielekroć miało miejsce – zwracał się do mnie, że trzeba wracać do Rinconady, bo późno, bo nie chce, żeby Inez się niepokoiła. Zatrzymał się jeszcze, aby zapalić nowe cygaro, i zrobił krok w przód, a ludzie rozstąpili się, robiąc mu przejście. Myślałem, że skieruje się ku fontannie z nimfami na środku placu, by dostać się na drugą stronę, gdzie stał wóz, ale nie zrobił tego; powoli, jakby nigdy nic, szedł wzdłuż palmowych szpalerów okalających plac, poprzez inny szpaler ponurych twarzy pod słomianymi kapeluszami, ciał śmierdzących winem, mściwych spojrzeń, zaciśniętych, lecz wciąż jeszcze opuszczonych pięści. Ci, którzy powłazili na ławki i słupy telegraficzne, ażeby lepiej widzieć, teraz zaczynali drzeć

się i podburzać, precz z nim, na latarnię, łobuz, hrabia zasrany, obciąć mu jaja...

– Dlaczego nie zapalono świateł?

– Już pora. To alkad winien.

– Pamiętaj, że masz robić to co ja, Humbercie.

– Pamiętam.

W miarę jak don Hieronim zbliżał się do plebanii, krzyki wzmagały się, w powietrzu latały kapelusze, wymysły, noże, obelgi, nieprzyzwoite słowa przenikały do samego środka tłumu otaczającego Hieronima, który szedł z cygarem w ustach ciasnym, z każdą chwilą ścieśniającym się przejściem.

– Przepuśćcie mnie.

Jakieś nie ogolone chłopisko zastąpiło mu drogę:

– Gdzie idziesz?

– Do mojego samochodu.

Chłop nie usunął się z przejścia.

– Przepuśćcie mnie.

Ale oni tylko przybliżyli się: w powietrzu zapachniała krew. Don Hieronim zrozumiał to: cofnąwszy się do drzwi plebanii, oparł się o nie i wyciągnął pistolet.

– Czego chcecie?

Zamilkli.

– Teraz mówcie. Czego chcecie, u Boga Ojca?

Na widok pistoletu pierwszy rząd otaczających cofnął się. Wtedy Hieronim, jakby nagle stracił zmysły, jakby upił się skutecznością własnej odwagi, wygrażając pistoletem ryknął:

– Śmierdziele, tchórze przeklęte, gadać, do jasnej cholery, co wam zrobiłem, o co chodzi, banda półgłówków, nawet wyjęzyczyć się nie umieją, sami nie wiedzą, czego chcą, łapserdaki, śmieciarze, ciemna masa...

Błysnął zakrzywiony nóż, ktoś wyrwał spod poncza pistolet, jakiś kij, jakiś bat, czyjaś zaciśnięta pięść,

podniesiony kamień, nienawistne spojrzenia wbijające go w drzwi plebanii, które nagle otwarły się – i don Hieronim znikł, jakby się zapadł pod ziemię.

Pomagałem księdzu zatarasować drzwi; walili w nie teraz pięściami. Okrzyki wzmogły się.

– Proszę za mną, don Hieronimie, drabina jest przyszykowana, wejdzie pan na dach, a stamtąd na dach sąsiedniego domu. Na dole czeka auto, nie, nie pańskie, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Oszukani, zaskoczeni zniknięciem głównego winowajcy, rozczarowani, że nie mają na kim wyładować swej furii, przez chwilę jeszcze krzyczeli, ale potem zaczęli się rozchodzić, nie wiedząc, co robić: przecież trudno wyłamywać drzwi plebanii. Nawet dla najzawziętszych radykałów kościół zawsze pozostaje kościołem. Ksiądz pomagał nam dostać się na dach; z góry widzieliśmy, że ludzie wciąż jeszcze otaczają plebanię. Nagle ktoś krzyknął:

– Tam... widzicie... tam jest!

Pamiętam tę wzniesioną rękę, matko Benito, pamiętam rysy tego, kto pierwszy wskazał na dach, do tej chwili pamiętam każde z tych podniesionych w górę spojrzeń.

– Gdzie?

– Tam!

Tłum zaczynał odzyskiwać swój cel. Tak, idzie, idzie po dachu plebanii, to on, Hieronim de Azcoitia, widzicie go, jak spierdala, spierdala ten hrabia, patrzcie tylko... Tysiące oczu ujrzały na dachu don Hieronima: stał tam, olbrzymi, bohaterski, niby cień odcinający się na gasnącej jasności nieba.

– Zabić go!

Huknął strzał.

Przed tysiącem oczu – świadków tego, co się stało – wyniosła sylwetka don Hieronima de Azcoitia zgięła się z bólu, zachwiała, zsunęła na księże patio po dachu,

którego pochyłość, zamiast wydać winnego w ręce sprawiedliwości, zdradziecko go przed nią ukryła.

Kiedy ludzie na placu zorientowali się, co zrobił jeden kretyn będący wyrazicielem intencji ich wszystkich, w zamieszaniu zaczęli szukać winnego, któż to był, kto to zrobił, kryminalista, idiota, czy to ty, Lucho, nie, to Anceleto, ale skąd, ja nie mam pistoletu, to on, to ten, to ty, ten w kapeluszu miał pistolet, ten ze sterczącymi wąsami, ale kto to, nikt go nie zna, o ten, co tam idzie, chce się zmyć, nie, wcale nie, ja go znam, to porządny gość, muchy by nie zabił, wcale nie ucieka, ładny interes, nie wiadomo, co za bydlak go zabił i za co, po co nam to było, oni i tak zawsze nas oszwabią, don Hieronim odważny, co jak co, ale nie robił w portki, zwymyślał nas, gardzi nami, traktuje nas jak niewolników, wyzyskuje nas, i tak nas oszuka w czasie wyborów na prezydenta, będzie kupował głosy na swojego kandydata, będzie nas poił swoim winem, a później wsadzi nas w bydlęce wagony i zawiezie, żebyśmy głosowali na jego kandydata, należało się, draniowi...

Karabinierzy na koniach wjechali na plac z zamiarem zatrzymania kogoś, ale kogo i za co, niechże ktoś mówi, co się stało, w każdym razie trzeba rozpędzić ten motłoch, przecież nie będziemy aresztować tysięcy ludzi, gdzie jest senator, podobno odjechał, a może go zabili, jazda do domu, każdy do siebie, tylko spokojnie, śledztwo i tak wszystko wyjaśni, aresztować któregokolwiek, obojętne kogo, i tak nigdy się nie dojdzie sedna sprawy, rozejść się... w końcu plac opustoszał. Kapitan karabinierów zastukał do drzwi plebanii. Proboszcz nie spieszył się jakoś z otwarciem drzwi:

– Proszę, kapitanie; był najwyższy czas, żebyście interweniowali.

Tak to wszystko wyglądało według relacji historycznych, matko Benito, tak zostało opisane w gazetach i ja tak

samo zapisałem to na tych stronicach, które czytasz. Ale to nie don Hieronim spadł ranny z dachu, matko Benito, to byłem ja.

Kiedy krzyczał, śmierdziele, tchórze przeklęte, co wam zrobiłem, do jasnej cholery, sami nie wiedzą, czego chcą, śmieciarze, łapserdaki, patrząc wprost w tysiąc wbitych w niego oczu na nie oświetlonym placu, byłem ukryty pośród fałd jego poncza. Nie było mnie widać i wyglądało, że sam stawia czoło temu wzburzonemu tłumowi, który za chwilę mógł zaatakować, choć nie atakował jeszcze. A teraz powiem ci, matko Benito, i dlatego że jestem chory, i dlatego że mam gorączkę, a z gorączką mówi się więcej niż zwykle, że chociaż byłem z nim – to byłem przeciw niemu tak jak oni, byłem z nim i nienawidziłem go, bo wiedziałem, że mój głos nigdy nie zabrzmi dość władczo, by krzyknąć śmierdziele, tchórze przeklęte, i chciałem być po ich stronie, bo chociaż okrywał mnie własnym ponczem, mnie także znieważał, więc chciałem być po ich stronie, po stronie tej anonimowej masy, chciałem pomnożyć moją nienawiść poprzez te setki ludzi, które nienawidziły go, zmieszać się z tymi, którzy chcieli go zlinczować, być po stronie ofiar mających stać się katami, tak, matko Benito, dlaczegóż nie miałbym ci powiedzieć prawdy: w tym momencie moje pragnienie, by być don Hieronimem i móc sobie pozwolić na wywrzeszczenie, śmierdziele, łapserdaki przeklęte, było tak rozdzierające, że z rozkoszą byłbym go cisnął między nich, żeby go rozszarpali, porozrywali między siebie jego flaki, upoili się jego jękami, jego ruiną, końcem jego szczęścia, jego krwią. I mogłem to zrobić, matko. Ludzie wiedzieli, że jestem jego człowiekiem, że ma do mnie zaufanie we wszystkich sprawach, szczególnie w takich, do których osobiście wolał nie przykładać ręki. Gdybym był krzyknął:

jest winny, ja, Humberto Peñaloza, przysięgam wam, że sam to wszystko ukartował, byliby rzucili się na niego z kijami i nożami, a ja doznałbym szczęścia na widok jego krwi u moich stóp.

Ale cóż wtedy stałoby się ze mną? Z rysami, które dopiero zaczynały zaznaczać się na mojej twarzy? Czyż tym posunięciem nie przerwałbym raz na zawsze możliwości stopienia się z jego istotą? Tak byłem przynajmniej jakąś jego cząstką, cząstką nic nie znaczącą, niemal niewidoczną nawet dla niego samego, ale mimo wszystko cząstką. Dlatego pozwoliłem, żeby nadal patrzyli na niego z nienawiścią, bo w ten sposób jakaś część tej nienawiści – która była odbiciem jego wielkości, jego siły – przypadała i na mnie...

Proboszcz otworzył nam drzwi. Zabarykadowaliśmy je od środka. Wszystko było przygotowane na patio: drabina prowadząca na dach, skąd przez sąsiedni dom mieliśmy zejść do oczekującego nas samochodu, by uciec, nie zauważeni przez zajęty obserwacją plebanii tłum. Jako lżejszy wszedłem pierwszy, żeby sprawdzić wytrzymałość omszałych dachówek. Wszystko było dziecinnie łatwe, zarówno wejście po drabinie od strony plebanii, jak zejście po drugiej stronie, gdzie również czekała drabina, prowadząca na patio sąsiedniego domu. Powiedziałem do don Hieronima, żeby zaczekał, aż sprawdzę, czy po tamtej stronie wszystko jest przygotowane. Ale kiedy wszedłem na górę, coś się ze mną stało: słysząc wrzaski tłumu napierającego na drzwi parafii, poczułem, że się nie opanuję, że się zatrzymam na samym szczycie dachu.

– Humberto!

To był głos don Hieronima.

– Zwariowałeś? Co ty wyprawiasz?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Minutę, dwie – stałem na dachu nad placem. Krzyknąłem:

– A teraz zabijcie mnie, łobuzy, jeżeli chcecie, oto jestem.

Ale że mojego głosu nie było słychać – kroniki nie wspominają tego okrzyku. Moje słowa nie przeszły do historii. Ktoś jednak dostrzegł mnie, krzyknął i wtedy wszyscy spostrzegli na dachu postać don Hieronima de Azcoitia. Huknął strzał. Tysiące oczu zobaczyło, jak skręcam się z bólu od postrzału tu, w ramię, dokładnie w tym miejscu, matko Benito, gdzie przed laty dotknęła mnie wytworna rękawiczka don Hieronima. Blizna zrobiła się twarda jak węzeł, krwawa niby stygmat. Jakże mógł zniknąć znak przypominający o tym, że tysiące oczu, równie bezimiennych jak moje, stwierdziło, iż jestem Hieronimem de Azcoitia? Nie ukradłem tej identyczności – oni mi ją nadali. Historia uznała ten moment za kulminację władzy oligarchii, władzy, która od tej chwili zaczęła maleć. Lecz ludzie śledzący historię, tak zwolennicy, jak i przeciwnicy Stronnictwa Konserwatywnego, nie mogą nie pochylić głowy w uznaniu dla odwagi, którą tego wieczoru na rynku miasteczka okazał don Hieronim de Azcoitia. Ludzie ci do dziś nie wiedzą, że człowiekiem, którego bohaterską postać podziwiali na tle nieba, podczas gdy ich znieważał – był Humberto Peñaloza.

– Zabili go?

Nie, nie zabili mnie. Zgiąłem się z bólu i straciwszy równowagę zacząłem spadać na patio, czepiając się dachówek; w końcu uchwyciłem się rynny. Proboszcz przystawił drabinę, a don Hieronim zniósł mnie na rękach. Zemdlałem, a oni ułożyli mnie na korytarzu, pośród doniczek begonii i klatek pełnych ptaszków.

Moim największym nieszczęściem, matko Benito, jest fakt, że w najwznioślejszym momencie mojego życia, w jedynym momencie, kiedy byłem aktorem, a nie statystą – oddarłszy mi rękaw don Hieronim wraz z proboszczem

opatrywali mi ranę – leżałem bez przytomności. Momentu tego moja pamięć w ogóle nie zarejestrowała. Gdy się przebudziłem z omdlenia, zobaczyłem, że don Hieronim ma podwinięty rękaw, a na ręce krew – moją krew, matko Benito, krew Humberta Peñalozy – że ksiądz bandażuje mu to samo miejsce, w które ja zostałem zraniony; gdy skończył, zetknął nasze ramiona, równocześnie uciskając mi ranę, aby popłynęło z niej jak najwięcej krwi, która miała splamić te fałszywe bohaterskie bandaże. Trzeba się spieszyć, powiedział don Hieronim, bo jeszcze zorientują się, że to byłeś ty, a nie ja, że to ciebie zranili, a nie wolno do tego dopuścić, bo ten zamach na moje życie – cóż, to był zamach na jego życie, ani nie byłem, ani nie mogłem udawać, że byłem czym innym niż przypadkowym wcieleniem jego odwagi – to wspaniała broń przeciw wszelkim oskarżeniom; jeżeli zechcą mi zarzucać jakieś nielegalne poczynania, pokażę moją ranę i dziennikarzom, i karabinierom, o, właśnie stukają do drzwi... Ze mną załatwili się raz-dwa: po drabinie wnieśli na dach, postaraj się, Humberto, żeby nie było widać, że cię boli, ostatecznie to nic wielkiego, uważaj, żeby się nikt nie połapał, że jesteś ranny, zejdź po tamtej stronie, nikt o ciebie nie będzie pytał, weź samochód i jedź do Rinconady.

No i pojechałem, matko Benito. Zdematerializowałem się.

Don Hieronim de Azcoitia umazany krwią Humberta Peñalozy podszedł do drzwi plebanii, by porozmawiać z władzami i ukazując swą ranę uroczyście zaprotestować: to rzeczywiście szczyt, żeby kraj nie umiał zagwarantować bezpieczeństwa tym, którzy poświęcają się dla niego; nie istnieje autorytet, nie ma szacunku dla najbardziej elementarnych zasad i w tych warunkach ludzie ośmielają się imputować mu coś, czego on, przedstawiciel porządku

publicznego, nigdy by nie był w stanie popełnić; i nie o to mu chodzi, żeby znaleźć winnego, naprawdę nazwisko tego człowieka, który strzelił, nie ma znaczenia, tak zresztą jak i sama rana, znaczenie ma zachowanie opozycyjnej partii, która posłużyła się prostym robotnikiem (podburzywszy go uprzednio przez agitatorów, gotowych zniknąć w odpowiednim momencie), aby jego, Hieronima de Azcoitia, wyeliminować tylko dlatego, że uczciwie wygrał wybory! Dziennikarzom złożył wielkoduszne oświadczenia, które bezzwłocznie ukazały się w stołecznej prasie. Tej samej nocy ukazał się dodatek z fotografią don Hieronima (Inez do dziś przechowuje te zżółkłe egzemplarze w którymś z kufrów w swojej celi), proboszcza wśród swoich ptaszków, i tłumów zebranych na placu, wszystko to razem z długą, pasjonującą relacją z zamachu.

Don Hieronim z bandażem na ręce, kryjącym moją krew, triumfalnie przemaszerował przez plac, tym razem pod eskortą karabinierów konnych – szło przecież o senatora rzeczypospolitej! Mimo wysilonego uśmiechu, jego podbite oczy, ściągnięte rysy świadczyły o bólu; ani na chwilę nie przestawał podkreślać, że to głupstwo, nie zwracajcie uwagi na to draśnięcie, idzie o sprawy dużo ważniejsze.

Tymczasem jednak na placu i w barach rozeszła się wiadomość, że kuli nie udało się wydobyć, że utkwiła w kości, że ranny pewnie straci władzę w ręce, że może nawet trzeba mu ją będzie amputować... Spójrzcie na niego, ani mu rzęsa nie drgnie, odważny gość, szkoda gadać, może i nie taki nieprzystępny, jak mówią... może jeszcze doczekamy się, że będzie z niego wspaniały senator...

# 13

Kiedy Hieronim bywał zajęty, Inez spędzała całe popołudnia z Petą Ponce. Gdy były razem, ożywały tematy z dzieciństwa: z dna pamięci wyłaniały się jakieś dawno zapomniane postacie, zabawy, a może i nie zabawy, a więc talizmany, pasjonujące wskrzeszanie tego, co zniknęło. Wszystko to ożywało w półmroku pokoiku starej na końcu ostatniej galerii, za najdalszym patiem, gdzie Peta Ponce dotąd czeka, matko Benito, a odpadający tynk ukazuje ściany z *adobe*, na których wilgoć rysuje monstrualne obrazy tego, co tam, tu właśnie, matko Benito, mogło i może się zdarzyć.

Podczas gdy kobiety zamykały się w dziupli staruchy w głębi labiryntu przybudówek domu w Rinconadzie, Hieronim oddawał się męskim zajęciom: objeżdżał pola na czele ludzi przekopujących kanał, wydawał dyspozycje zajętym przy winobraniu robotnikom, od stóp do głów spryskanych krwią owocu, zarządzał budowę nowych piwnic na wino i spichrzów, wyznaczał zwierzęta na ubój. Nigdy nie wymieniał imienia Pety i to milczenie wykreślało ją z ich wspólnego życia. Ale kiedy we dwoje jechali ze wsi do miasta lub z miasta na wieś – była z nimi. Na początku małżeństwa, kiedy nie spełniające się nadzieje jeszcze nie zaciemniały ich szczęścia, Inez ze swą nianią całymi godzinami robiły wyprawkę

dla Boya, szyły koszulki i kaftaniczki, haftowały wianuszki i monogramy. Ale gdy spadkobierca coraz dłużej zwlekał z pojawieniem się, pozostały już tylko śluby, modlitwy, nowenny, czekanie i ciągle jeszcze szycie i haftowanie, tyle że już niemal bez nadziei. Z Hieronimem nie można było nawet mówić o dziecku: nie przyjmował do wiadomości niczego, co mogłoby rzucić cień na obowiązujący bezbłędny kontur aktualnego medalionu.

Pozostawała więc tylko Peta Ponce: to jej Inez mogła się zwierzać z cierpień, które musiała ukrywać przed nim. Mówiły o tym bez końca, bez końca wałkowały smutek, wzrastający wraz z latami bezpłodności. Inez dzieliła z niańką to, czego nie mogła dzielić z mężem: dla niego musiała być elegancką, piękną, czułą, namiętną osobą, której wszyscy zazdroszczą, a przecież nie zazdrościliby jej, gdyby wiedzieli, jak co dzień biegnie do pokoiku starej, jak żali się bez końca na to samo, jak wznosi modły do świętej Ryty, patronki spraw nie spełnionych, jak jęczy. Może podświadomie, matko Benito – chociaż nie zdziwiłbym się, gdyby na skutek wspólnego przekonania, że coraz mniejsza jest nadzieja, obie dobrze wiedziały, co robią – w miarę wzrastania tej wspólnej, nigdy nie omówionej tragedii, w miarę oddalania się szans na narodziny Boya w jakąś przeszłość, gdzie dźwięczało tylko jedno słowo: nic, nic, nic, nie myślę o niczym, wymiary wyprawki szytej przez obie kobiety stopniowo zaczęły się zmniejszać tak dalece, że pod koniec tych pięciu lat ubranka wyglądały jak rzeczy laleczki. W dodatku z kawałeczków tektury, z odłamków pudełeczek od zapałek zaczęły robić łóżeczka, stoliczki, krzesełka, komódki i szafeczki, a z ugniecionych i pomalowanych resztek chleba rzeźbiły małe wazoniki, przy czym wszystkie te przedmiociki – wraz z mijającym czasem i w miarę tego,

jak święta Ryta od spraw nie spełnionych i inne instancje zawodziły – też stawały się coraz mniejsze, tak że w końcu zarówno wyprawkę, jak mebelki trzeba było brać pęsetką, a oglądać przez lupę. Wiesz, matko, w tych dniach, jeszcze zanim Inez wróci z Rzymu, wezmę cię do jej celi i pokażę rzeczy Boya, jeżeli chcesz, możemy nawet iść tam zaraz, żebyś się przekonała, że nie kłamię. Znam na pamięć wszystkie przedziały tego kufra-świata, bo od dawna mnie korci, żeby zabrać coś stamtąd i udekorować szalecik dla Iris Mateluny, kiedy urodzi się Boy. Widziałem, znam na pamięć płócienne prześcieradełka, atłasowe kołderki, kaftaniczki robione szydełkiem lub całe haftowane, wszystko to, co Inez wraz z Petą Ponce robiły w pokoiku na tyłach domu, kiedy jeszcze miały nadzieję, że święta Ryta albo Błogosławiona wysłuchają ich. Ale w przedziałach, w tych najniższych szufladach świata, posegregowane i ułożone z całą starannością zgodnie z chronologią rozpaczy, są tamte rzeczy zmniejszające się wraz z każdą przegródką, święta Ryta już nas nie słucha, prośmy więc Inez de Azcoitia, ależ, Peto, przecież Inez de Azcoitia nie była święta, to nic nie znaczy, mogła nawet nie być beatyfikowana, ale są takie dusze, ani święte, ani błogosławione, które umieją robić większe cuda niż święci z ołtarza, bo włóczą się po świecie, współczują nam, wiedzą o nas wszystko i mogą dawać różne rady; więc módlmy się do Inez de Azcoitia, oddajmy się jej pod opiekę, przecież to twoja cioteczna babka, niech nam doradzi, co zrobić, tak dłużej nie może być, lecz następne kaftaniczki były jeszcze mniejsze, bo Błogosławiona również nie udzieliła im pomocy ani rady, coraz mniejsze w miarę mijania bezpłodnych miesięcy, aż w ostatnim przedziale świata pudełeczka pełne rzeczy i mebelki były tak maciupeńkie, że po prostu strach brał ich dotknąć. Całe wieczory spędzałem

w celi Inez, obserwując, jak między jednym a drugim przedziałem kufra, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień nikły jej nadzieje. Dłużej tak być nie mogło, nie można było szyć ani kleić nic mniejszego: nie istniały ani cieńsze nici, ani delikatniejsze deszczułki; ale również nie było można przerwać doskonałego kręgu sukcesów, jakim Hieronim otoczył siebie oraz swą żonę. Tamta Inez z przeszłości nie odpowiadała na wezwania dwóch oszalałych kobiet, już nie wiedzących, co robić: to był koniec; nadzieja wyczerpała się. Żadna siła nie chciała im pomóc. Żadna? Jestem pewien, że w końcu szczęśliwa dziewczynka z rodzinnych opowiadań Azcoitiów, będąca również dziewczynką-czarownicą, którą ojciec ukrył pod swym ponczem w najbardziej pasjonującym punkcie legendy z Maule, ażeby ochronić ją przed aureolą infamii, jestem pewien, że to ona właśnie podszepnęła uważnemu uchu Pety, co trzeba zrobić. Za poduszczeniem ich obydwóch tego wieczoru, którego się odbywały wybory, Inez kazała mi przyjść do pokoiku swej niani.

Podczas gdy don Hieronim w przebraniu Humberta Peñalozy triumfował na rynku miasteczka, samochód, w którym skręcałem się z bólu od rany zadanej don Hieronimowi, podskakiwał na polnej drodze, którą wówczas dojeżdżało się do Rinconady. Skradł moją ranę, ale zapewniam cię, matko Benito, że nie można skraść komuś rany i nie zapłacić za to. Gdyby był poprosił o pożyczenie mu jej, zrobiłbym to z radością, przecież podziwiałem go, ale on skradł mi ją, gdy straciłem przytomność, zabrał mi ją bez mojej zgody, przekonany, że moja rana, ja, zresztą wszystko, co moje, jest jego własnością. Kradnąc mi ją sprawił, że ją straciłem, że zniknęła. Tak, matko Benito, on sam przemienił mnie w Hieronima de Azcoitia; on

i oczy ludzi patrzących na to na placu; on i dziennikarze, którzy dali świadectwo mojego zuchwalstwa.

W świetle latarń migocących w rękach służby Inez czekała na samochód u bocznego wjazdu do parku, którego nigdy nie używałem, o ile towarzyszyłem don Hieronimowi. Wyskoczyłem z pojazdu, jakbym nie czuł bólu ani zmęczenia. Jak się masz, jak się czujesz, co z Hieronimem, kiedy wraca? Kiedy chodziliśmy po zewnętrznej galerii, pod czujnym, błyszczącym wejrzeniem psów, opowiedziałem jej całą prawdę. Kolana uginały się pode mną, jakbym miał zemdleć znowu. Inez wzięła mnie pod rękę, wyciągnij się tu, na leżaku Hieronima, okryję ci nogi jego szalem i posiedzę przy tobie, jeżeli niedobrze się czujesz, uspokój się, nic ci nie będzie... Wystarczyłoby dotknięcie jej ręki, ażeby stało się wszystko. Czułem ogarniający ją podziw dla tej nowej istoty, którą teraz byłem. Wypytywała mnie z coraz większym naciskiem, tak jakby chciała – jak ja tego chciałem – aby kula, która drasnęła moje ramię, utkwiła w sercu jej męża. I nie byłoby aż tak dziwne, gdyby czegoś takiego pragnęła: w końcu i ona, podobnie jak ja, była tylko sługą Hieronima, sługą, której zadaniem było wydanie na świat dziecka mającego stać się zbawieniem ojca.

Kiedy teraz mówię ci o tym, matko Benito, widzę, że Inez nie mogła tak pragnąć śmierci Hieronima, jak ja jej pragnąłem – ona go przecież kochała. Dowód tej miłości dała mi tej nocy, w galerii wychodzącej na park: ponieważ byłem Hieronimem, czułem, jak obejmuje mnie ta miłość. Przeszedł mnie dreszcz. Zapytała, czy nie jest mi zimno. Tak... trochę... chociaż wieczór jest tak ciepły... Powiedziała, że lepiej zrobię idąc się położyć. Odprowadziła mnie do drzwi mej sypialni. Tak mało brakowało, by i ona dopełniła tej substytucji, by weszła do mnie i oddała się swemu mężowi. Nie weszła.

– Dobranoc, Humberto.

– Dobranoc...

– Aha, jeszcze słowo... Gdybyś się nie czuł dobrze albo gdyby bolało cię ramię, idź do pokoju Pety Ponce. Ona zna moje wszystkie tajemnice i dochowuje sekretu, więc nic się nie stanie, jak się dowie, że to twoja rana, a nie Hieronima; ona niewiele sypia, a umie tyle rozmaitych rzeczy... jest znachorką...

Znachorka, rajfurka, czarownica, położna, płaczka, powiernica, wszystkie specjalności starych bab, hafciarka, tkaczka, nosicielka tradycji i przesądów, strażniczka niepotrzebnych paczuszek pod łóżkiem, odpadków wyrzuconych przez państwo, posiadaczka ich cierpień, ciemności, strachów, bólów, rzeczy niewyznawalnych, samotności i wstydów, których oni nie są w stanie znieść. Nieraz zachodziłem do pokoiku Pety Ponce, siadałem obok niej przy piecyku, na którym podgrzewała wodę na mate i topiła na żarze kawałki cukru, dopóki słodkawy dym nie wypełnił mroku. Woda gotowała się w czajniku. Wlewała jej trochę do tykwy, na nasypaną już mate, dodawała gałązkę koprówki, czekała chwilę, poruszała rurką i pociągała, żeby spróbować, dobre, niechże pan sobie pociągnie, don Humberto, więc pociągałem i ja, a potem dolewała wody i sama popijała, a potem znów dolewała i podawała mi gorący napar, który piłem nie czując wstrętu do rurki przechodzącej wprost z jej zwiędłych warg do moich ust, bo kontakt przez mate cementował świadomość symetrii naszych pozycji względem Hieronima i Inez. Mówiliśmy mało. O czym miałem mówić ja, człowiek z wyższym wykształceniem, pisarz, ze staruchą w rodzaju Pety Ponce? Mówiło się o tym, kto jest chory i na co, i jak można mu pomóc, lub o tym, kiedy wracamy do miasta, już przecież idą przymrozki. Kiedyśmy dochodzili do Inez i Hieronima,

słowa nasze okrążały ich dokoła, pozostawiając w środku próżnię, ale ta właśnie próżnia wypełniała wszystkie nasze rozmowy i nie można się było pomylić co do jej znaczenia, jakkolwiek mówiło się, jak ładnie dziś, a wczoraj było pochmurno, ciekawe, dlaczego zwolnili Dionisia, kiedy wraca z urlopu Rosalba, jak tak ciągle leje, to nic dziwnego, że wszyscy są zaziębieni... Błaha gadanina, ale nikt nie przyrządzał mate tak jak Peta, po jej mate inne wydawały się zupełnie bez smaku, więc zachodziłem do niej, aby nie mówić o tym, o czym mówić nam nie było wolno, bo nawet nasi państwo tego tematu nie tykali, a my, ona i ja, byliśmy ostatecznie tylko sługami... Lubiłem zachodzić do niej, siadać na podłodze koło piecyka, na tej samej podłodze, na której siadała Inez, aby przerzucać swoje cierpienia na starą i, pozbywszy się ich w ten sposób, dalej wieść pozbawione trosk życie z Hieronimem, w ramach medalionu szczęśliwego małżeństwa. Właściwie to wstępowałem do Pety nie po to, aby napić się mate, i nie po to, aby usiąść obok piecyka; szedłem tam, aby poprzez starą dotknąć Inez pełniejszej, prawdziwszej niż Inez Hieronima. Czasem czułem, jak okólną drogą, za pomocą jednego, pozornie nic nie mówiącego zdania Inez – ustami Pety – prosi mnie o pomoc:

– Dzisiaj moja dziecinka była jakaś smutnawa...

– Dlaczego?

– Może niedobrze się czuła...

Inez była zdrowa jak ryba.

Peta i ja wiedzieliśmy, że nie czuje się dobrze. Ja nie pytałem. Wszystko miało odbywać się bez słów, bo w głębi tego milczenia odgadywałem moje przeznaczenie; zakłócając je, byłbym je unicestwił. Z czasem to „niedobrze się czuła", wyszeptywane przez starą, przekształciło się w namiętny krzyk, który już nie prosił mnie o pomoc,

który jej żądał, ja byłem sługą, a ona, Inez, której mąż mnie opłacał, miała prawo do korzystania z mych usług. Dziecinka niedobrze się czuje. Źle się ma. Jakaś smutnawa. Jakaś przygnębiona. Boję się, że jeżeli czegoś nie wymyślę, coś się z nią stanie. Z Inez dzieje się coś niedobrego...

A ja dopiero co widziałem ją w salonie, olśniewającą w swojej atłasowej sukni w kolorze tango, oczekującą gości zaproszonych na kolację, którą wyprawiała w swoje urodziny, a na którą, rzecz jasna, nie byłem zaproszony, lub też oglądałem ich na wspaniałych gniadoszach galopujących razem po szerokich jesiennych alejach.

Kiedy palce Pety nie mogły już zlepiać mebelków ani szyć malutkich koszulek, wyłożyła Inez swój plan. Przyprowadź mi go, a wiedz, że mówi to przez moje usta twoja cioteczna babka, czarownica, przyprowadź mi go, przyprowadź do mnie Hieronima, Inez, przekonaj go, że istnieję, niech przyjdzie zobaczyć się ze mną, jeśli zgodzi się posiąść cię w tym pokoiku, wśród brudnych, śmierdzących mym starym ciałem prześcieradeł, na materacu, pod którym trzymam kabalistyczne zawiniątka, w tej ciemności pachnącej starymi gratami, w tej ciemności spokojnej i niespokojnej, obok klatki, w której podskakuje kruk, wtedy, Inez, wtedy przysięgam ci, zajdziesz w ciążę.

Dobrze. Ale jak przywabić Hieronima do tego pokoiku, jak przywieść go tu, do dziupli Pety, skoro Pety nie ma, skoro jej obrzydzenie wymazało ją z tego świata? Natomiast ja, jego sługa, mogę przyjść. On skradł mą ranę, a Inez, żegnając mnie w drzwiach mej sypialni, powiedziała mi bez słów: jesteś nim.

Kiedy tej nocy obudził mnie ból w ramieniu, od razu wiedziałem, że nie jest to prawdziwy ból, że siły Pety Ponce ożywiły moją ranę, bym udał się na spotkanie, które naznaczyła mi Inez, ażebym spełnił mą rolę służące-

go, za to panu płacą, don Humberto, przecież za to bierze pan pieniądze, niech pan wstaje, nie trzeba spać, nie wolno spać. Inez pana wzywa, ona pana potrzebuje, czekamy w moim pokoiku, jak pan nie przyjdzie, sprawię, że ręka będzie bolała bardziej, coraz bardziej, straci pan w niej władzę na zawsze, proszę przyjść, przyjść, czekamy, proszę przyjść teraz, zaraz, natychmiast...

Ubrałem się niezdarnie, ból ręki nie pozwalał mi swobodnie się poruszać, a potem patia i patia, i patia, przejścia, zakręty, puste pokoje, niepotrzebne sale, bezład izb zbudowanych przed wiekiem w dawno zapomnianych celach po to, by zabłądzić w tych zapadających się korytarzach z *adobe*, żeby jednak nie zabłądzić, matko Benito, bo w miarę jak szedłem, ból mijał, wskazując mi, że idę w dobrym kierunku, Peta prowadziła mnie, pchała i ciągnęła w samą głąb tych przejść, pasaży i korytarzy. Zdałem sobie sprawę, że to te drzwi. Nagle ból ustał zupełnie. Otwarłem je. Izdebka była ciemna, pełna dymu z topiącego się na żarze cukru, kruk skakał w swej klatce. Na zewnątrz dom i wieś pogrążone były w łagodnym spokoju. Drzwi najpierw się otwarły, potem zamknęły za mną.

– Hieronimie.

Tak, jestem Hieronimem de Azcoitia, a oto dowód – moja krwawiąca rana. Wziąłem ją w ramiona i zaniosłem na łóżko Pety; łkała, bez końca powtarzając imię Hieronima, aby zniszczyć to, co jeszcze pozostało z Humberta, a im dłużej je powtarzała, tym bardziej Hieronim wzrastał, a Humberto nikł, tak, zlikwidowała Humberta, który zgodził się na to, byle cię dotknąć, jestem Hieronimem, dotknij mnie, przecież znasz moje ciało, nie bój się, jestem Hieronimem, będę nim zawsze, jeżeli tylko mi pozwolisz. Chciałem ją pocałować, ale odwróciła usta, matko Benito;

zrozum – odsuwa twarz od mych warg, jakby to były wargi nieczyste, bo mimo wszystko ja nie byłem Hieronimem, ale był nim olbrzymi mój członek. Jego poznała. Dlatego też pozwoliła unieść swą suknię, rozchyliła uda i podała mi siebie, odsuwając się jak najdalej od mego ciała i twarzy, ażeby nic ze mnie, nic poza mym członkiem, który był Hieronimem, nie dotknęło jej, aby me ręce nie rozkoszowały się jej pięknością, ażebym nie przestał odczuwać tęsknoty służącego obsługującego swą panią, ale powtarzała Hieronim, Hieronim, i Hieronim wszedł w nią, matko Benito, pozostawiając na zewnątrz Humberta, niemego od tej chwili, bowiem nie chciała słyszeć mego głosu, błagającego, by mnie rozpoznała. Zmuś ją, Peto, ażeby chociaż pozwoliła mi dotknąć swej ręki, zmuś ją, przecież jesteś w stanie ją zmusić. Ale Inez nie pozwoliła mi nawet na to, ręce jej były zajęte odpychaniem od siebie wszystkiego, czym byłem, prócz mojej męskości. Ja, ta skorupa, którą był Humberto Peñaloza, nie miała dla niej znaczenia. Dlatego postanowiłem zamknąć ją tu, w tym Domu pełnym brudów, staroci, połamanych gratów, ohydnych nieużytecznych klamotów, nieczystości.

Na galerii palą się wszystkie światła; cztery czarne psy tańczą, skaczą, obszczekują Hieronima de Azcoitia, który odprawia samochód, nakazując przyprowadzić go na siódmą rano, bo musi jechać do stolicy. A teraz spać. Psy usiłują go polizać, żebrzą o trochę uwagi, o pieszczotę.

– Idźcie sobie, jestem zmęczony.

Inez prowadzi go do sypialni. Hieronim nie ma ochoty ani opowiadać, ani nawet odpowiadać na pytania, spać, spać, spać, jest późno, jestem zmęczony, tyle zawracania głowy, tyle roboty, mam zaledwie parę godzin, żeby się zdrzemnąć, denerwuje mnie ten bandaż, zdejmij mi go, Inez, tak, cały, ale skąd, jak mnie może boleć, przecież

Humberto ci opowiedział, że to jego zraniono, a nie mnie, zmyj mi jego krew letnią wodą, obrzydliwa jest taka przyschnięta krew, jeszcze w dodatku cudza, weź gąbkę i mydło, żeby dokładnie wszystko zeszło, chociaż to nie jest obca krew, Inez, kupiłem ją, Humberto za to bierze pieniądze, żeby mi świadczyć usługi, dobry z niego chłopak, uczynny i zawsze można na niego liczyć, dam mu teraz jakiś ładny prezent, jak myślisz, co by mu mogło się przydać, może ucieszyłby się, gdyby dostał pelerynę i *chambergo*[1], zwłaszcza że wśród swoich kawiarnianych kumpli lubi pozować na pisarza; a jest inteligentny, wiele umie jak na kogoś, kto nigdy nie podróżował, i niebywale wrażliwy, dobrze wiesz, jak często rozmawia ze mną o różnych rzeczach, o których ty nie masz pojęcia. Zmyj no mi teraz jego krew z ramienia, niepotrzebna mi już, odegrała swą rolę, to, co mi teraz obmywasz letnią wodą i pachnącym mydłem, to tylko niepotrzebny strup, tyle że jutro, przed wyjazdem, założysz mi znowu czysty opatrunek, trzeba przedłużyć tę całą komedię. No, dobranoc, Inez, muszę iść spać, niezależnie od dzisiejszego triumfu, jutro mam straszny dzień.

Każde idzie do swojego łóżka, gaszą światła, mija parę minut, ale Hieronim nie wie ile, bo zamyka i otwiera oczy nie wiedząc, czy spał, czy też nie spał: może zbudziły go krzyki ptaków, lecących w stronę laguny. Noc rozciąga się i kurczy, a rozległość należących do niego ziem nabiera formy, gdy księżyc niedbale wylicza wszystkie jego posiadłości; leci nowe stado ptaków, może po prostu tamto zawraca, jakiś koń galopuje, unosząc nieznanego jeźdźca w nieznanym kierunku, słychać szczekanie psów, to dalekie, to bliskie, określając

[1] *Chambergo* – kapelusz o szerokich skrzydłach (przyp. tłum.).

wielkość estancji: to szczekanie przychodzi od stodół, tamto bardziej na wschód, to pewno pies karbowego, to bliższe, tuż pod oknem, w bluszczu, niemal tak blisko, że słychać kotłowanie się ciała wśród liści, brzmi tak, jakby pies ujadał tu, w samej sypialni, jakby to Inez ujadała. O, już nie, teraz tylko postękuje, nie przestaje postękiwać pod samym oknem, nagle wydaje przeraźliwy skowyt, który przecina noc i zmienia się w wycie, przeciągłe, długie, długie niby łuk przerzucony do samego księżyca. Dlaczego, no dlaczego właśnie dziś, kiedy mu tak zależało na tym, żeby wypocząć! Skąd się bierze ta idiotyczna namiętność wiejskich psów, by wyć do księżyca? Dlaczego ta suka wyje akurat dzisiejszej nocy, akurat pod moim oknem? Hieronim wstaje i podchodzi do okna, żeby ją przepędzić.

– Zostaw ją.

To po długim czasie pierwsze słowo Inez. Skąd ona wie, czemu ta suka wyje nocą, co chce donieść księżycowi, jakie ma dla niego polecenia, co kryje w sobie ta srebrzysta poświata, w której wszystko wydaje się rosnąć, mnożyć, jakby działając na własną rękę? Suka nie może wyć, bo on, Hieronim de Azcoitia, musi zasnąć – jutro rano ma złożyć w stolicy ważne oświadczenie! Niestety jednak znowu zaczyna.

– Ona mi nie daje spać.

Inez nie odpowiada.

– Jakim prawem włóczy się po parku ta żółta suka?

Hieronim siada na łóżku: niech Inez odpowie.

– ...pójdę i wygonię ją...

– Nie.

Hieronim znowu się kładzie.

Żółta suka w dalszym ciągu biega po parku, rozmawia z księżycem, skowyczy, ucieka i wraca, w końcu bezczelnie

rozsiada się pod samym oknem i wyje; nagle zapada cisza, która nie jest ciszą, bo pająki, termity i inne owady snują swe życie w tych drzewach i krzakach, które należą do niego, do Hieronima; odrywają kawałki listków, przeprawiają się przez przeszkody z gałązek leżących na ścieżce, wygrzebują w ziemi dziurki, które zasnuwają białawą śliną, w ciągu paru minut mnożą się w tysiące pokoleń drążących korytarze w pniach drzew, rozciągają rdzawe plamy zarazy pod liśćmi, wszystko to słyszę w ciszy, wszystko to mogę dosłyszeć, aż do chwili gdy żółta suka, ta chuderlawa złodziejka, znowu siada pod moim oknem, by wyć do księżyca. Hieronim nakłada pantofle. Inez powtarza:

– Nie.

– Muszę ją przepędzić.

I związując gwałtownym ruchem pasek szlafroka nagle uświadamia sobie, co trzeba zrobić:

– Zabiję ją.

– Nie.

– Czy to twoja suka?

– Nie. Nie moja.

– Więc?

Inez chwyta go, usiłując zatrzymać, nie dać mu wyjść z pokoju, lecz on odsuwa ją i wychodzi. W przedpokoju zatrzymuje się i gwiżdże na psy... no pewno, dlatego tak bezkarnie uganiała się po parku, że podczas gdy jego szlachetne czarne psy drzemały pod drzewami pomarańczowymi, ktoś zamknął je na patio... Teraz okrążają go.

– Spokój, spokój... Idziemy...

Psy idą za nim posłusznie niby cienie, stąpając cicho, schowawszy kły. Gąszcz tamaryszków, trawnik, laurowy żywopłot, a potem żwirowana alejka – tam właśnie pod oknem wyje suka nie wiedząc, że jego nie ma już w pokoju, że czai się w laurowych krzakach, by ją ukarać.

Suka wyciąga szyję i długim pyskiem celuje prosto w niebo kończąc swe wycie, będące częścią składową najrozmaitszych odgłosów: pełzania, wzrastania, mnożenia się; przez chwilę słychać bezmiar szmerów tych bezimiennych stworzeń, lecz oto suka rozpoczyna nowy skowyt, z początku łagodny niby skarga, który – jeżeli on go nie przerwie – zmieni się w jakieś niezrozumiałe polecenie.

Hieronim wskazuje na sukę, pstryka palcami i psy rzucają się na wroga; wystarcza chwila plątaniny łap, śliny, krwi, ziemi, po czym moje cztery, podobne cieniom wilków potwory rozszarpują ją bezszelestnie, aby przerwać jej podejrzane rozmowy z księżycem.

Nazajutrz rano don Hieronim pojechał wraz ze mną do stolicy; nie zdążyłem obejść parku i odnaleźć zwłok, które byłyby świadectwem tego, co zaszło. Muszę przyznać, że nawet mi to do głowy nie przyszło, z początku bowiem byłem całkowicie przekonany, iż rzeczywistość jest zupełnie jednoznaczna.

Dopiero w parę miesięcy później, kiedy błogosławiony stan Inez de Azcoitia przestał być tajemnicą i wszyscy wróciliśmy tu, do Rinconady, na wypoczynek, uległem pokusie, aby zapytać ogrodniczków, którzy w swoim czasie sprzątali żwirową alejkę za krzakami laurowymi; niczego sobie jednak nie przypominali, żadnych zwłok ani śladów walki czy też krwi, nic, zresztą trup bezpańskiej, parszywej, krostowatej suki jest czymś, co wymyka się z pamięci ludzi nawet tak skromnych, jak pomocnicy ogrodnika, bo ja wiem, szefie, może i była, ale nie przypominam sobie, czy była żółta, w ogóle nie pamiętam, żebyśmy znaleźli jakąś zdechłą sukę, według tego, co pan mówi, to było ze trzy miesiące temu, skąd człowiek może coś podobnego pamiętać, tyle się stąd wymiata tego wszystkiego, ten park jest taki wielki...

A jeżeli suka nie zdechła? Jeżeli wtedy, gdy zajęła sobą uwagę Hieronima, Inez nie przyszła na spotkanie ze mną?

Boy rośnie jej w brzuchu. Nie ma żadnego śladu, aby tej nocy Hieronim opuścił sypialnię, aby Inez, korzystając z krwawego poświęcenia swej piastunki, wymknęła się na spotkanie ze mną. Może żółta suka nie zdechła, jak w wersji Mercedes Barroso, może pozostała przy życiu, może w dalszym ciągu jest koło nas, może ona przygnała mnie tutaj, skąd nie mogę już wyjść, skryty pod przebraniem jeszcze jednej staruchy wśród tylu innych, abym odpokutował to, co należy odpokutować, i ukrył to, co należy ukryć. Czyż nie rozumiesz, matko Benito, że istnieje przerażająca możliwość, że i tej nocy, tak jak zawsze, Inez i Hieronim spali ze sobą, by znaleźć ukojenie po dniu pełnym emocji, podczas gdy to, co miało znaczenie, odbywało się na innym planie?

Staruchy w rodzaju Pety Ponce umieją kurczyć i rozciągać czas, mnożyć go i dzielić, zdarzenia załamują się w ich łapach pełnych brodawek niby w szlifach brylantu, one przecinają normalny bieg zdarzeń na kawałki, które układają równolegle, zwijają i załamują, tworząc całe struktury służące im do wypełniania ich zamierzeń. Szło o to, aby Inez dała Hieronimowi syna; aby dała mu go szybko, zanim wszystko się zawali. Był to moment krytyczny: każda chwila zbliżała nas do katastrofy; tylko natychmiastowa akcja mogła jej zapobiec. Trzeba więc było poświęcić kogokolwiek, jakkolwiek, bo dłużej nie mogło tak być, nie było już skąd brać cieńszych nici, delikatniejszych tekturek – więc upokarzać i ranić, zastępować i kraść, zemstę mieszać z miłością i szczęściem, wstyd ze sławą, pretensją, rozkoszą. Skąd pewność, że to Peta Ponce wywołała wydarzenia tej nocy, skąd mam wiedzieć, jak je ustawiła?

Może żółta suka nie zdechła, może żadna cząsteczka mego ciała nie dotknęła ciała Inez, ale...

...ale to nie do wiary, matko Benito: bo to musiało się stać, tęsknoty mego ojca i moje tęsknoty musiały być zaspokojone, a moja chciwość otrzymać to jedno, co było w stanie nasycić wszystkich Peñalozów: świadomość, że wreszcie przestajemy być świadkami piękności, a stajemy się jej uczestnikami. Wyłoniła się z ciemności. Wziąłem ją w ramiona i zaniosłem do łóżka, gdzie, jak ci powiedziałem, posiadłem ją. Z daleka, spoza oddzielającej nas od świata ciszy, słyszałem skowyt ofiary i odgłosy burzy, z jaką rzuciły się na nią cztery czarne psy. A przecież cisza izby tak była głęboka, że dokładnie słyszałem dyszenie kobiety leżącej obok mnie w łóżku. Nie usłyszałem wycia suki, bo Inez i Hieronim kochali się w swej sypialni odizolowani od świata inną ciszą niż ta, która nas od niego izolowała, ale kogo izolowała, matko Benito, kogo izolowała, może w tych ciemnościach dałem mą miłość nie Inez, lecz Pecie, Pecie Ponce, która zastąpiła Inez – przecież z natury rzeczy ona była moją partnerką, ona, Peta, zniszczona, stara, pomarszczona, brudna, w jej zgniłym ciele, nie chcąc, doznałem rozkoszy, jęcząc od dotyku jej rąk pełnych brodawek, od widoku jej kaprawych oczu, żebrałem pocałunku jej zwiędłych, pomarszczonych warg, tak, w ciemnościach tej nocy tylko oczy kruka dojrzały, że to seks starej, zrobaczywiały od zbliżającej się śmierci, pożarł mój wspaniały młody seks, że to jej rozpadające się ciało wzięło mnie w siebie.

W chwili orgazmu krzyknęła:

– Hieronim!

A ja krzyknąłem:

– Inez!

Ani ona, ani ja nie odczuwaliśmy przyjemności. My, para wyłoniona z ciemności, poczęliśmy syna, którego

tamta świetlana para począć nie była w stanie. To stara wszystko uknuła: ranne ramię, oczy patrzące na nas w parku, wycie suki, wspólnictwo księżyca, ciemność tej izby i tamtego pokoju, samotność mojej sypialni, bo czasem podejrzewam, że Peta pokierowała nawet mymi snami, czasem ośmielam się myśleć, że wszystko było snem, który – jako że przez nią utkany – miał konsekwencje realnego zdarzenia; że przez ten sen Inez poczuła się ciężarna, a nie dlatego że (na tym łóżku o brudnych prześcieradłach, na tym zjedzonym przez mole materacu, na tym skrzypiącym wyrze, pod którym kryło się tyle tajemniczych zawiniątek, które my, stare, zawsze ukrywamy pod łóżkami) spałem z Petą dokładnie w tym momencie, w którym oni ze sobą spali. Zwłoki suki nie zostały odnalezione, a podobne do koszmaru sennego przerażenie opanowało mnie na stałe; a więc nawet będąc Hieronimem, nie mogłem stać się partnerem Inez. Moim przeznaczeniem, tak jak i przeznaczeniem Pety, było nie doznać miłości, mimo poznania mechanizmu jej aktu. Gdy Inez spoczęła w zmęczonych objęciach Hieronima, myśmy dodali im sił, bowiem – podczas gdy w brudnych prześcieradłach wypełnialiśmy wyznaczoną nam misję – w ciemnościach izby nasze obolałe spojrzenia dojrzały ich twarze w naszych zdeformowanych przez tęsknotę, groteskowych obliczach.

Przerażenie jest jednym z uczuć, które zapomina się najłatwiej, matko Benito, istnieją tysiące sposobów, sama o tym wiesz, nie można stale żyć na krawędzi przerażenia, i ty, by uciec od przerażenia, szepczesz ojczenasze i zdrowaśki, by uciec od przerażenia, pogrzebałaś swe życie w tym do niczego nie służącym Domu.

Kiedy w końcu zostało oficjalnie stwierdzone, że Inez jest w ciąży, na jakiś czas udało mi się zapomnieć o mym

przerażeniu: obezwładniła mnie świadomość odkrycia, że o ile Hieronim odebrał mi płodność, ja odebrałem mu potencję. Jego orgiastyczna męskość, jakby nagle wyczerpana, zmieniła się we wstydliwy zwisek, moja natomiast urosła i zapłonęła jak głownia. Coś podobnego stało się z Petą: gdy zwłoki rozszarpanej suki zniknęły z parku nie pozostawiwszy śladu nawet w pamięci ogrodniczków, Peta odrodziła się. Wszystkim wydało się oczywiste, że to szczęście z powodu ciąży jej pieszczoszki dodało Pecie sił. Ale to nie było to. Po spojrzeniach jej oślizłych oczu, po tikach ust stwierdzałem z co dzień rosnącą pewnością, że potworna starucha uwzięła się na mnie, że tamtej nocy w ciemnościach izby członek mój wlał w jej zasuszone ciało zmysłowość, która odebrana została Inez w zamian za możliwość zostania matką dziecka Hieronima. To zadośćuczynienie wyzuło Inez z wszelkiego pożądania, ale dodało temperamentu starej, która odtąd prześladuje mnie chcąc, bym powtórzył to, co miało miejsce owej nocy, ale ja nie chcę, matko Benito, odmawiam i będę odmawiał, ja pragnę Inez, pięknej Inez o delikatnej skórze i żywych piersiach, o których śnią me dłonie, o głębi włosów, o wonnym karku, o przepięknym seksie. Nie, Peto, nie prześladuj mnie. Mój członek spragniony piękności począł gnić w zetknięciu z twym robaczywym ciałem, nie szukaj mnie, zdechnij już raz, porzuć myśl o tym, że jesteśmy parą tylko dlatego, że oboje jesteśmy samotni i nędzni; to ze strachu przed tobą schroniłem się tutaj, nie należę do niej, matko Benito, chociaż może lepiej zgodzić się na to, że należę, żeby mnie zostawiła w spokoju przynajmniej do narodzin Boya; Inez obiecała ci, że będziesz przyjmować jej dziecko, ale nie będziesz; niech ona sobie w to wierzy, Humberto, mówi don Hieronim, nie warto jej drażnić, ale chyba nie wyobrażasz sobie, że zgodzę się, by wiejska znachorka miała pomagać przy porodzie Inez

i asystować przy narodzinach Boya; niechaj sobie wierzą, że będzie tak, jak chcą, żeby mi nie zawracały głowy, póki nie znajdę lepszych specjalistów. Potem się jej pozbędę, to szmaciana lalka dla rozrywki Inez. Niech tam sobie tymczasem szyją, haftują i szydełkują, a potem ciśniemy ten gałgan do śmieci, ale o tym sza, Humberto, tylko z tobą mogę mówić o takich rzeczach, zresztą o wszystkim wiesz, boję się sypiać z Inez, od kiedy nosi mojego syna, Humberto, a ja mam dziki temperament i nie mogę żyć w abstynencji, więc chodź ze mną, skoro nie mogę dotknąć Inez (ona również nie chce, bym jej dotykał), muszę wyładować się z innymi kobietami, poszukaj mi ich, chodźmy po prostu do domu publicznego, bo z nikim nie chcę się wiązać, najlepsze są takie kobiety bez twarzy, poszukaj mi dyskretnego burdeliku, wiem, że dobrze znasz zakamarki tego miasta, możesz zapłacić, ile będzie trzeba, ale musisz mi znaleźć młode dziewczyny, niech zamkną dom dla publiczności i wpuszczą tylko nas, ciebie i mnie, załatw mi to, tak doskonale wszystko mi załatwiasz, no, dotrzymaj mi towarzystwa, chodź ze mną do doñi Flory, ona mi znajdzie młode ciała, popatrz, jak rozbieram tę dziewczynę, tę Rosę, ściągam jej spódniczkę, tak jakby to była jej skóra, chcę ją przygotować do mych pieszczot, a ta się nazywa Hortensja, lubię bawić się jej wielkimi piersiami, nie, nie wychodź z pokoju, Humberto, zostań tu i bądź świadkiem tego, jak je biorę, chcę, by podniecała cię moja męskość, przecież jej nie masz, przecież jesteś pozbawiony mojej wiedzy o tych sprawach, patrz, jak przełamuję pozorny opór Violetty, użycz mi twej zazdrości, to mi doda potencji, patrz na nasze splecione ciała, odczytaj słowa zamazane przez pocałunki, odczuj zapach naszej intymności, dotykaj mnie, niech zaboli twoje ręce dotknięcie mojej sterczącej męskości, bo jestem pełen męskości, tyle że nie z Inez. Pewno, że to przesąd starych

bab, że stosunek może zaszkodzić dziecku, które kobieta nosi w łonie, ale stał się on dla mnie jakimś pretekstem, jakimś wytłumaczeniem faktu, że od nocy, w czasie której począłem Boya, straciłem mą męskość – ty stałeś się jej właścicielem, Humberto, odebrałeś mi ją, tak jak ja tobie odebrałem ranę; teraz już nie wolno ci mnie opuścić, ażeby pozostać mężczyzną, potrzebuję twego zawistnego wejrzenia, bez niego członek mój, żałosny i chłodny, zwisa bezradnie, więc patrz na mnie, Humberto, patrz na mnie, Humberto... Patrzyłem więc na niego, patrzyłem bez końca, patrzyłem na niego z bólem, z zazdrością, ale też i z pogardą, matko Benito, wiedz o tym. Bo kiedy pod moim spojrzeniem używał sobie z Violettą, Hortensją czy Lilą, ja nie tylko wlewałem w niego siły i przez niego posiadałem kobietę, którą posiadał, ale moja potencja przenikała w niego, posiadałem tego pełnego męskości mężczyznę, jakby był babą, buzerantem, i chociaż on był przekonany, że jego rozkosz polega na czym innym, ja wiedziałem, że to moje spojrzenie daje mu ów dreszcz, ów wyrywający się z niego jęk, więc karałem go, dając mu rolę upokarzanego, moja pogarda rosła i upodlała go coraz bardziej, już teraz nie miał wyjścia, musiał być buzerantem mojego spojrzenia, w końcu tak go pohańbiłem, że tylko stosunek ze mną dawał mu rozkosz: czego tylko chcesz, Humberto, o czym tylko zamarzysz, bylebyś całe życie był przy mnie.

Nocami w mym samotnym łóżku świadka, bowiem łóżka świadków zawsze są samotne, słyszałem, jak Peta Ponce skrada się pod moimi drzwiami, jak kaszle i charczy, słyszałem ten krok tak słaby, jak krok wszystkich staruch w tym Domu, widziałem, jak czai się gdzie popadnie, za drzewem, za murem, za oknem, polując na chwilę, kiedy się zgodzę, ale nie zgodziłem się i nigdy się nie zgodzę, nie powtórzę tamtej sceny, nie było jej, to był koszmar senny,

był i jest nim jeszcze, bo Peta jeszcze krąży po Domu, nie mam pojęcia, skąd jej przyszło do głowy, że tu jestem, może powiedziała jej to Damiana, chociaż nie wiem, czy Peta zna Damianę, a Damiana z kolei nie wie, kim ja jestem; no tak, ale Damiana była uliczną prostytutką, a na ulicach wszystko wiadomo, wszystko się słyszy, szepty służących, zatrzymujących się na rogach z bochenkiem chleba lub torbą pełną jarzyn, lub to, co się mówi w ogonkach. Może Peta nie poznałaby mnie dziś, gdyby doktor Azula zoperował mi twarz, nie zmieniając spojrzenia moich zbolałych oczu, tych nie udało mu się skraść, mam je ciągle, nawet don Hieronim nie był w stanie nakazać doktorowi Azuli, żeby mi je zabrał; są moje, to zresztą jedyne, co mam.

Ale właściwie jakie to wszystko miało znaczenie, skoro miał urodzić się Boy? Wszystko było przygotowane. Hieronim miał wreszcie wyrwać Inez z medalionu szczęśliwego małżeństwa: trzymając się pod ramię przyjmą teraz pozę właściwą drugiemu medalionowi, w którym będą figurowali jako rodzice, podczas gdy Peta i ja, istoty nierealne, groteskowe, monstra, będziemy z dwóch stron podtrzymywać ten medalion niby dwa wspaniałe heraldyczne zwierzęta.

Ale kiedy Hieronim rozchylił firanki zasłaniające kołyskę, ażeby obejrzeć swego tak oczekiwanego potomka, zapragnął natychmiast go zabić. To odpychające ciało, całe wykręcone garbem, ta twarz tak brutalnie przecięta, że wargi, podniebienie i nos ukazywały nieskromnie kości i tkanki w jakiejś krwawej miazdze – były obrazem zamieszania, bezładu, innej, gorszej formy śmierci.

# 14

Don Hieronim de Azcoitia kazał zabrać z domu w Rinconadzie meble, dywany, książki i obrazy – wszystko, co mogło przypominać o istnieniu zewnętrznego świata, nie chciał bowiem, by zrodził się w jego synu żal, że istnieją rzeczy, których nie będzie dane mu zaznać. Kazał również zamurować wszystkie okna i drzwi prócz jednych, od których klucz schował u siebie. Siedziba została zamieniona w pustą skorupę, wewnątrz której znajdowały się wyludnione pokoje, sale, galerie i korytarze; mury otaczały liczne patia, skąd kazał powycinać drzewka pomarańczowe o złocistych kulach, fiołkowe bugenwille, błękitne hortensje, rabatki irysów, zastępując je przez strzyżone żywopłoty o geometrycznych formach, które by kamuflowały normalne kształty krzewów; kazał zburzyć wszystkie przybudówki otaczające dom: precz z tym nie kończącym się ceglanym labiryntem galerii, korytarzy, podwórek i suteren niemalże wrośniętych w ziemię, trzeba to wszystko rozwalić, oczyścić i jasno wyznaczyć linię murów ograniczających cztery patia przeznaczone dla syna. Dla służby zbuduje się na terenie parku małe pawiloniki, których dziecko nigdy nie zauważy. Kazał też ściąć czuby wszystkich drzew rosnących na zewnątrz, by nie wystawały ponad widoczne z domu ogrodzenie, i dał dyspozycje, aby ostatnie patio, to z basenem, otoczyć nieprzebytym

murem, u góry zaś prostokątnego zbiornika ustawić posąg Diany Łowczyni z szarego kamienia, Diany nieforemnej, o olbrzymiej szczęce, krzywych nogach, z kołczanem na garbie i półksiężycem na pomarszczonym czole. Inne patia również kazał przyozdobić kamiennymi potworami. Nagi Apollo przedstawiony został jako podrastający Boy: garbus z nosem i brodą jak maszkara, z niesymetrycznymi uszami, zajęczą wargą, przesadnie długimi ramionami, rękami i olbrzymim zwisającym seksem, który od kołyski wywoływał zachwyt pielęgniarek. Boy, gdy podrośnie, rozpozna w kształtach Apolla doskonałość swych kształtów, a jego budzące się instynkty seksualne natkną się na obraz Diany Łowczyni lub ospowatej Wenus z olbrzymim tyłkiem, zmurszałym i sugestywnie wypiętym w porosłej bluszczem grocie.

Don Hieronim zwracał uwagę na najdrobniejsze szczegóły, nic bowiem w otoczeniu Boya nie miało prawa być brzydkie, nędzne ani nieszlachetne. Brzydota to zupełnie co innego niż potworność, która, choć opatrzona odmiennym znakiem, jest równa piękności i wymaga podobnych przywilejów. Otóż potworność miała być jedyną rzeczą, jaką od samych narodzin don Hieronim chciał ofiarować synowi.

Wysłał swego sekretarza, aby zjeździł miasta, wsie, porty, kopalnie w poszukiwaniu mieszkańców godnych tego, by nimi zaludnić świat Boya. Z początku było to dość trudne, potwory bowiem mają tendencję do chowania się, do krycia swego wstydliwego wyinaczenia po jakichś nędznych zaułkach. Ale Humberto Peñaloza dość szybko wyspecjalizował się w wynajdowaniu ich i doskonale sobie z nimi radził. Na przykład w jakimś prowincjonalnym klasztorze wynalazł braciszka, niezbyt gorąco wierzącego, acz inteligentnego, z garbem wręcz niebywałej wielkości.

Parę razy rozmawiał z nim, kusząc ogromnymi zarobkami, życiem obfitującym we wszystko, o czym zamarzy, światem, gdzie kalectwo nie będzie nienormalnością, lecz regułą: w rezultacie brat Mateusz opuścił klasztor, gdzie przez tyle lat ukrywał swe przerażenie pod habitem pobożności. W domach publicznych, na jarmarkach, w podmiejskich cyrkach Humberto dokonywał rekrutacji karłów mających najdziwniejsze proporcje, olbrzymie łby, gęby pełne zmarszczek niby nagle postarzałe lalki, krótkie nogi, karłów skąpych, dumnych, inteligentnych, mówiących dyszkantem. Wynalazł Miss Dolly, najgrubszą kobietę świata, postać bardzo znaną – niekształtną samicę o niebywałej tuszy i kołyszącym się chodzie; na wysypanej trocinami arenie w skrzącym się od cekinów bikini tańczyła ze swym mężem Larrym, pajacem o przedługich nogach i rękach oraz podobnej główce od szpilki głowie, która chwiała się na cieniuteńkiej szyi. Nocami, kiedy potwory wyłażą ze swych jam i snują się po parkach lub podmiejskich pustkowiach Humberto Peñaloza zaczajał się na nie i – o ile tylko fizyczna deformacja nie zaciemniała kompletnie ich umysłów – często udawało mu się zaangażować je dla Boya. Między innymi odkrył Bertę, która, opierając się na nadmiernej wielkości rękach, niby jaszczurka ciągnęła za sobą po ziemi sparaliżowany odwłok; była to postać, którą znała publiczność tanich dzielnicowych kin, bowiem leżąc na ławeczce z surowego drewna, bystrymi oczami pożerała film po filmie; wygrzebał Melchiora, z wielką malinową narośla deformującą mu rysy, który w swej grocie wygrzebanej pośród śmieci całymi dniami czytywał gazety. Dla Humberta Peñalozy stało się punktem honoru zdobywanie najfantastyczniejszych egzemplarzy, niezwykłych stworów o potwornych nochalach i szczękach, o paszczach wypełnionych żółtymi

zębiskami, akromegalicznych gigantów, albinosek przejrzystych niby duszyczki zmarłych kobiet, o odnóżach pingwinów i uszach jak nietoperze skrzydła, postaci, których felery, przekroczywszy brzydotę, sprowadzały je do szlachetniejszej kategorii monstrów.

Mimo iż potwory nie żyją stadnie, poszła między nimi wieść, że pewiem dżentelmen ofiarowuje im wspaniałe warunki egzystencji. Po pewnym czasie Humberto nie musiał już zanurzać się w miejskie męty, aby wyrywać je z nor. Same zaczęły się zgłaszać do niego, wystawać na ulicy przed drzwiami don Hieronima, aby dostać jakiekolwiek zajęcie, jakiekolwiek zaczepienie w tym świecie pozbawionym upokorzeń, jaki im się nagle objawił; otrzymywano listy, depesze, informacje, dokładne opisy, zdjęcia. Potwory zaczynały napływać ze wszech stron, schodziły z gór, wynurzały się z lasów, wyłaziły z piwnic, przybywały nieraz z bardzo daleka, nawet z zagranicy, błagając o wstęp do raju, który stwarzał don Hieronim de Azcoitia.

W gabinecie sąsiadującym z biblioteką Humberto Peñaloza przyjmował ich po kolei, rozkoszując się różnorodnością, którą ten tłum przedstawiał. Do biblioteki wprowadzał tylko wręcz wyjątkowe egzemplarze. Tutaj don Hieronim – po obejrzeniu ich i po rozmowie – albo rezygnował z ich udziału, albo podpisywał z nimi kontrakt. Prawdę mówiąc, niewielu spotykała odmowa. Ostatecznie nie szło przecież o to, by otoczyć Boya tylko pierwszorzędnymi potworami; ale także, by tym pierwszorzędnym sprokurować inne, które mogłyby je obsłużyć; trzeba było znaleźć im piekarzy, mleczarzy, stolarzy, murarzy, blacharzy i innych wyrobników, jednym słowem usamodzielnić ich – musieli stać się całkowicie samowystarczalni, tak dalece uniezależnić się od normalnego świata, by w końcu przestał dla nich istnieć.

W stosunku do elity potworów, w stosunku do tych pierwszorzędnych, które miały wychowywać i kształcić Boya, don Hieronim przeprowadził skomplikowaną akcję mającą na celu przekonanie ich, że stworzenie nienormalne nie jest niczym gorszym od normalnego człowieka, który nie ma prawa ani pogardzać nim, ani mu współczuć: to są – tłumaczył don Hieronim – reakcje pierwotne, pokrywające nieokreślone uczucia, w których jest coś z zazdrości, coś z nie wyznanego erotyzmu, jaki wzbudzają stworzenia tak niecodzienne jak oni, potwory. Bowiem normalna ludzkość ośmiela się reagować tylko według wyznaczonych kanonów, podziału na to, co brzydkie lub ładne, czyli na odcienie tej samej sprawy. Natomiast potwór – z pasją, która miała jeszcze podkreślić jego wiarę, upierał się don Hieronim – należy do innego rodzaju, rodzaju wybranego, który rządzi się własnymi prawami, poza pojęciami urody i brzydoty, są to bowiem kategorie zbyt słabe, gdyż w gruncie rzeczy tylko potworność jest wzniosła. Stworzenia normalne przerażone niezwykłością usiłują zamykać je w klatkach, po szpitalach lub cyrkach i otaczać pogardą, ażeby wydrzeć jej władzę. Ale on, don Hieronim de Azcoitia, zwróci im ich przywileje dwukrotnie, stukrotnie. W tym celu – w zamian za służenie jego synowi Boyowi, który także jest potworem, ale który nigdy nie zazna upokorzeń tamtego nierozumnego świata – przygotowywał swoją posiadłość, która kiedyś była świadkiem miłości tak nieskazitelnej, że mogło się z niej narodzić tylko coś równie wzniosłego jak Boy. Dziecko ma wzrastać pośród tych podwórców geometrycznych, szarych, nie znać nikogo poza swym otoczeniem, które od pierwszej chwili będzie wbijało mu w głowę, że jest on początkiem, końcem i środkiem tej kosmogonii, specjalnie dla niego stworzonej, nie

ma on, nie powinien w żadnym wypadku podejrzewać istnienia innego świata, poznać żrącej tęsknoty (jaką oni, służący mu, poznali) za rozkoszami, których oni dlatego byli pozbawieni, że urodzili się i żyli w świecie nie dla nich zaprogramowanym.

Tu prócz poborów otrzymają całą resztę Rinconady, aby zorganizować w niej własny świat, którego moralność, prawa, ekonomia i zwyczaje będą takie, jakich oni zapragną, a zakazy i swobody takie, jakie oni ustanowią, świat, który da im pełną wolność ustanawiania własnych porządków lub nieporządków, tak jak on ustanawiał określony porządek dla swego syna. Wymagał tylko jednej rzeczy: ażeby Boy nie domyślił się istnienia bólu ani rozkoszy, szczęścia ani nieszczęścia, żadnej ze spraw zasłoniętych ścianami jego sztucznego świata.

Nie wszyscy zrozumieli założenia don Hieronima. Niektórzy, przerażeni tym, co uznali za żądania, ukradkiem wracali do swych kryjówek w trudno dostępnych miejscach, do grot wśród dzikich jeżyn i cierni, do swych klasztorów, swych cyrków. Ale inni wysłuchali i zrozumieli. Zwłaszcza Emperatriz zadawała wiele inteligentnych pytań. Ją pierwszą zaangażowano; była to daleka krewna don Hieronima; miała pewną wiedzę, wiele czytała i prowadziła pracownię eleganckiej bielizny, gdzie mimo swego wzrostu Tomcia Paluszka, wielkiego łba, obwisłych policzków i ociekających śliną ust, z których sterczały kły jak u buldoga, cieszyła się wielkim autorytetem wśród personelu. Ona miała zostać kierowniczką zamkniętego królestwa Boya. Była jedynym potworem, który odnosił się do don Hieronima jak do równego sobie, jako zaś krewna – wprawdzie daleka – miała bezpośredni dostęp do niego, z pominięciem biura sekretarza, sąsiadującego z biblioteką.

– A ten Humberto?

– Co chcesz o nim wiedzieć?

Zapaliła papierosa i założyła nogę na nogę.

– Jaka będzie jego rola?

– Już ci mówiłem. Będzie waszą władzą. Nie masz w nim widzieć mojego reprezentanta w Rinconadzie, ale raczej kogoś, kto będzie moim wcieleniem, kto będzie niejako mną pośród was wszystkich, zajmujących się Boyem. W przyszłym tygodniu odbędzie się tu zebranie. Od tej pory będziecie komunikowali się ze mną już tylko za pośrednictwem Humberta. Za usiłowanie skomunikowania się wprost ze mną będzie groziła ekspulsja.

– Nawet mnie, twojej kuzynce?

– Dość tych głupstw, Emperatriz. Nie nadużywaj tego pokrewieństwa, w końcu mamy wspólnego zaledwie jakiegoś pociotka. Dla was Humberto będzie mną, będzie mną tak dalece, że sam będzie komunikował się ze mną tylko raz do roku.

Emperatriz zatrzepotała się pośród szarych aksamitnych poduszek kanapy. Nogi jej zaledwie dosięgały do brzegu siedzenia, niby nóżki nieskromnej, pachnącej Mitsuko, lalki.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, Hieronimie.

– Więc czego chcesz?

– Chodzi o to, o czym mówiliśmy między sobą, z Bertą, z Melchiorem...

– Czyli?

– Posłuchaj: Humberto nie jest potworem. Trzeba to sobie powiedzieć jasno. Jest normalny, zwyczajny, tyle że brzydki i nic nie znaczący. Rozumiesz więc chyba, że jego obecność pośród nas będzie raczej dwuznaczna...

– Nie rozumiem...

– Zawsze będzie przypominała nam o tym, czym nie jesteśmy. W końcu znienawidzimy go.

– Może masz i rację. Ale jego rola jest ważna z dwóch powodów. Po pierwsze, jedyne stworzenie normalne w świecie potworów samo staje się nienormalnym pośród normalnych; w ten sposób wy stajecie się normalni. Boy będzie jego uważał za potwora.

– Ciekawe. A po drugie?

– Humberto to utalentowany pisarz, który dotąd nie miał ani spokoju, ani warunków, aby dać temu talentowi ujście. Zamówiłem u niego kroniki świata Boya, historię zuchwałości, jaką jest umieszczenie mojego syna poza zasięgiem normalnego świata.

Emperatriz wydmuchała dym nosem.

– Pisarz? Ciekawe. Nie wiedziałam o tym. W takim razie mógłby rzeczywiście napisać coś interesującego o twoim eksperymencie w Rinconadzie.

Olbrzymie zaliczki, jakie don Hieronim de Azcoitia powypłacał na rzecz przyszłych poborów, pozwoliły po troszku pozbyć się wszystkich starych ciuchów, wszystkich okryjbid, pod którymi usiłowali chować swoje rzucające się w oczy pokraczności, habitów, sutann, brudnych szmat, strojów cyrkowych i teatralnych i zainstalować się w Rinconadzie w nowiuteńkich kreacjach. Berta przytaszczyła cztery walizki bucików: były tam lakierki i pantofelki z węża, i złocone szpilki na wieczór, i płaskie pantofle z grubej skóry do strojów sportowych, nawet para czółenek przybranych brylantowymi klamerkami. Basilio, rozrośnięty głowacz o niebywałej sile, demonstrował koszulki sportowe z nadrukiem *superman* z Marilyn Monroe, z Che Guevarą, atłasowe kąpielówki, futbolowe buty ze wzmocnionymi nosami, ręczniki i szlafroki treningowe z inicjałami mistrzów. W pół godziny po przybyciu na wieś Emperatriz zaczęła mierzyć toczki z wiśniowego aksamitu,

kapelusze o szerokich rondach, berżery z fiołkowego tiulu, które przywiozła wraz z tuzinami innych nakryć głowy. Doktor Azula, mający oko na środku czoła i ręce drapieżnego ptaka, od pierwszej chwili wzbudził szacunek wszystkich nieskazitelnym hiszpańskim akcentem; zawiesiwszy dziesięć nowych garniturów z angielskiej wełny na mahoniowych wieszakach, właśnie wybrał lekkie jasnogranatowe ubranie i przechadzał się po parku, zachwycony widokiem wspaniałego łańcucha górskiego w owej Ameryce, dokąd ściągnął go don Hieronim de Azcoitia płacąc obłędne sumy, byle tylko stał się lekarzem jego syna.

Następnie zaczęło się wybieranie pokoi i mieszkań, które meblowali według własnych gustów przedmiotami wyłączonymi z bezosobowej szarości podwórców i apartamentów Boya. Były tam delikatne krzesła w stylu dyrektoriatu, pastel Rosalby Carrery, zachód nad ruinami Claude Lorraina, weneckie komody, *petit meubles* z intarsjami, story z jasnych jedwabi o delikatnych barwach i inne, z genewskiego aksamitu lub z *toile de Jouy*, które zdobywali ci, co najgłośniej wrzeszczeli lub najwięcej się pchali. Basilio uśmiechał się z wyższością: na posadzce swego pokoju rozciągnął wspaniały śpiwór marki Abercrombie and Fitch, ściany przyozdobił zdjęciami drużyn piłkarskich i zespołów muzycznych, w sypialni zaś powiesił *punching-ball*, aby móc trenować.

Było lato. Pośród przepychu parku świerszcze dawały swe letnie koncerty. Potwory, które w tej chwili nie dyżurowały przy Boyu, ubrane w kostiumy kąpielowe zeszły do basenu. Berta swymi szerokimi niby korzenie łapami nacierała oliwą purpurowe krosty Melchiora, on z kolei natrze później jej sparaliżowane nogi, nawet stopy w pantofelkach przybranych mieniącymi się cekinami. Jedno obok drugiego, z oczami zamkniętymi pod ciem-

nymi okularami, w milczeniu wygrzewali się na słońcu. Siedząca w cieniu Emperatriz odezwała się do Melisy, której jako albinosce nie wolno było się opalać:

– O zakład, że się to skończy weselem. Berta obiecała mi nawet, że będę druhną. Mam pewien uroczy medalik z egretą. Na tę okazję będzie jak znalazł.

Ci, którym nie zależało na kąpieli, siedząc pod kolorowymi parasolami popijali koktajle albo grali na trawnikach w krokieta lub piłkę nożną. Larry i Miss Dolly zakończywszy inne zajęcia i ułożywszy do snu Boya spoczywali na leżakach w galerii.

– Hm, są gusta i guściki – szepnęła Berta – ja tam nie chciałabym z tym Larrym za żadne pierniki, taki patyk, że obrzydliwość bierze.

A Emperatriz polując swoim długim psim językiem na wiśnię tkwiącą w głębi szklanki, z której popijała manhattan, przytaknęła:

– Chyba jest zboczona, bo faktycznie, że z tym Larrym to za nic...

# 15

Zdaniem ekspertów, z naukowego punktu widzenia, przyjście na świat Boya było czymś nie do pojęcia: to poczwarne wykręcenie, które wykrzywiało mu ciało upodabniając nos i szczękę do haczyków, ta zajęcza warga otwierająca twarz aż do podniebienia, niby przekrojony owoc... ależ to nie do uwierzenia, to się nie mieści w głowie, dzieci-gargulce żyją zaledwie kilka dni, najwyżej tygodni, a tu... i to zupełnie wyjątkowy przypadek, nie widuje się tak wielkiej zajęczej wargi, a garb... a nogi... Jakby wszystkie możliwe defekty zebrały się w tym jednym ciele! Cóż, don Hieronimie, musi pan pogodzić się z myślą, że pański syn nie będzie żył. Może to zresztą i lepiej, niech pan tylko pomyśli, jaki byłby jego los...

– Wy macie robić wszystko, żeby wyżył. Jego los to już moja sprawa.

Europejscy agenci don Hieronima natknęli się w Bilbao na wielkiego specjalistę od tego typu przypadków: doktor Crisóforo Azula, sam będący ofiarą poważnego wrodzonego kalectwa, jakoby zainteresował się przypadkiem Boya jako takim; mimo że wyjazd do Ameryki równał się dla niego zarzuceniu na parę dobrych lat naukowych eksperymentów, nie oparł się propozycji wyjazdu z niebywałą wręcz pensją. Zdecydował, że powróci bogatszy zarówno w doświadczenia (jako że przypadek Azcoitia wydawał

mu się pod każdym względem unikatowy), jak i w pieniądze, które pozwolą mu na dalsze eksperymenty, a może nawet spełnienie największego pragnienia – otwarcia kliniki wyspecjalizowanej w tego rodzaju przypadkach.

Z miejsca zabrał się do roboty; zrobił Boyowi sztuczne powieki, pozszywał mu twarz, wyposażył ją w nadające się do użytku usta, prostując wybryki natury, stale zagrażające życiu chłopca. Don Hieronim bez przerwy go przynaglał. Chciał, by robił wszystko od razu, póki dziecinna pamięć będzie w stanie zaszyfrować wspomnienia fizycznych cierpień, sond, serum, zastrzyków i transfuzji, zanim jego świadomość zarejestruje sztuczny sen w czasie operacji, koniecznych, ażeby jakoś uporządkować ten anatomiczny chaos i przysposobić narządy chłopca do wykonywania odpowiednich funkcji.

Tak, don Hieronim błagał doktora Azulę o wszystko, co było w jego mocy, ażeby ratował życie Boya, nie robiąc jednak żadnych wysiłków, by nadać pozory normalności temu, co nie jest normalne; nie należy zmieniać statusu Boya: ma pozostać potworem. Wszystko, co by zrobiono w tym kierunku, pozostałoby powierzchowne, naskórkowe, nie mogłoby zatrzeć tych zasadniczych braków, z którymi został stworzony, wszelkie próby upiększania go narzuciłyby jego synowi wstydliwą maskę mającą ukryć przegraną, przegraną, która – widziana pod innym kątem – mogła stać się prawdziwym triumfem.

Humberto Peñaloza zamieszkał w parku, w wieży, którą don Hieronim kazał zbudować w czasie ciąży Inez i która w przyszłości przeznaczona była dla Boya: z jej to tarasów miał oswajać się ze światem. Humberto zawiesił nad kominkiem wspaniały zachód Claude Lorraina, zamówił fotele obciągnięte takim samym szarym pluszem jak fotele don Hieronima, półki zapełnił z dawna

upragnionymi książkami, podłogę wyłożył dywanami o delikatnych barwach, pod oknem wychodzącym na park ustawił dębowe biurko, na którym umieścił maszynę Olivetti, bele papieru, pudła, kalki, ołówki, gumy, atrament, pluskiewki, spinacze. Wszystko było gotowe.

Z początku Humberto Peñaloza dość często jeździł do stolicy, aby kompanom z dawnych czasów dobitnie ukazać wspaniałość swojej aktualnej, acz trudnej do wyjaśnienia sytuacji; chciał, by podziwiali jego pelerynę i *chambergo*, które nadawały mu pozory zamożnej bohemy. Ale podczas spotkań z pisarzami i artystami w modnych kawiarniach zazwyczaj pito zwykłe, mocne wino, zresztą nawet wytworniejsze nie było dla niego dostępne. Zawsze ten przeklęty żołądek! Ilekroć zabierał się do czegoś, co go pasjonowało, tak teraz, jak i w czasach gdy jako student zaczął pisać swoją książkę, zdarzało mu się to samo. A bez alkoholu taka praca była niemożliwa. Jakże ograniczone były aspiracje tych gryzipiórków, którzy wierzyli, że istnieje jakaś rzeczywistość do opisania, jakże nudni byli ci portreciści, z całą ich mentalnością zawistną i nacjonalistyczną, jakże wulgarne ich apetyty, jakże dosłowne i płaskie ploty, którymi żyli! On, który z początku był koryfeuszem tych zebrań, stawał się coraz bardziej milczący, coraz bardziej trzymał się na uboczu. Nielicznym, którzy pytali, skąd ta rezerwa, odpowiadał, że nowe zajęcie absorbuje nie tylko jego czas, ale i myśli.

Zresztą była to prawda. Z biegiem czasu wszystko, co nie dotyczyło życia w Rinconadzie, przestawało go interesować. Jego pobyty w stolicy stawały się coraz krótsze. Chętnie wracał do swej wieży, do swojej biblioteki, w której królowały ruiny pędzla Claude Lorraina, do pogawędek na tarasie z doktorem Azulą, z Emperatriz, z bratem Mateuszem.

Brat Mateusz, niby średniowieczny mnich w swej celi, bez końca robił maleńkie rysuneczki ludzi bez skóry, ukazujące anatomię wymyśloną przez Humberta, według wskazówek doktora Azuli. Części ciała i tablice demonstrujące ich funkcjonowanie tak były zrobione, aby Boy, doszedłszy do wieku, w którym dzieci o wszystko pytają, nie miał wątpliwości co do swojej fizycznej perfekcji. A kiedy pewnego wieczoru, przy kominku, brat Mateusz zaczął pokazywać astrolabia i mapy całego świata będącego tylko niebem i ziemią domeny, którą zamieszkiwali, wszyscy orzekli, że aż takie przygotowania są chyba przesadzone, jako że Boy będzie żył w przeświadczeniu, że przedmioty rodzą się pod jego spojrzeniem, a kiedy on przestaje na nie patrzeć – umierają; że są tylko tym, co jego oczy obejmują. Tak samo wśród słów, których z pewnością nigdy nie pozna, będą takie jak te, które wyznaczają początek i koniec; nie będzie dlaczego ani kiedy, nie będzie przedtem ani potem, przyjechać ani wyjechać, żadnych systematyzacji, żadnych uogólnień. Ptak o jakiejś porze przecinający niebo nie będzie ptakiem przecinającym niebo o jakiejś porze, nie będzie odlatywał gdzie indziej, bo nie ma żadnego gdzie indziej, tak jak nie ma innej pory: Boy miał żyć w zaczarowanym czasie teraźniejszym, poza zasięgiem wszelkich przypadków, wszelkich, specyficznych okoliczności, poza wszystkim, co mogłoby poddać go jakimś regułom, a poddawszy przerzucić w nie kończącą się i pozbawioną odpowiedzi pustkę, której istnienie miał ignorować. Wszystkie potwory były wyjątkami. Nie były przedstawicielami żadnej rasy, żadnego typu.

Mimo swych przywilejów Humberto niecierpliwie wyczekiwał dorocznego spotkania z don Hieronimem. Bo przecież pełnię doświadczenia można dzielić tylko z kimś

równym sobie, z kimś będącym także poza zasięgiem gry, po prostu z kimś normalnym, nie z potworem. Zresztą tyle wspomnień, tyle uczuć, tyle wspólnie spędzonych lat...

Jak się czuje Boy? Czy doktor Azula rzeczywiście jest tak oddany i wykwalifikowany, jak zapewniali agenci? Czy zakończył już operacje? Czy Boy zaczyna chodzić? Mówić? No, co to, to jeszcze nie, to musi trochę dłużej potrwać niż u normalnego dziecka, jakkolwiek po serii testów doktor Azula zapewnia, że jego inteligencja znakomicie się rozwija, mimo początkowego opóźnienia spowodowanego tak licznymi operacjami.

– To było do przewidzenia.

– Z pewnością.

A on? Humberto? Czy jest szczęśliwy?

Doznając tyle serdeczności i troski ze strony don Hieronima, Humberto miał uczucie, że spotyka się ze swą drugą połową i że tylko w takich okazjach, raz na rok, jest pełnym człowiekiem.

– Cygarko?

– Nie, dziękuję, don Hieronimie.

– Może trochę koniaku?

– Boję się...

– Szkoda...

A więc doktorowi Azuli nie udało się go wyleczyć z tej nadkwasoty, z tych bólów i skurczów żołądka? To przykre, ale trochę cierpliwości... A czy zaczął spisywać kronikę Rinconady? No... pisać jeszcze nie zaczął, właśnie bóle i ta okropna nadkwasota... Ile razy zaczyna przelewać na papier swoje wrażenia, bóle powalają go na całe tygodnie. Ale szkielet dzieła, osoby, sytuacje, trochę humoru, anegdoty, to wszystko gotuje mu się w głowie bez przerwy, więc któregoś dnia z pewnością wybuchnie. Przyznał się

pełnemu podziwu don Hieronimowi, że od dłuższego czasu już nie wie, co właściwie jest rzeczywistością – to, co na zewnątrz, czy też to, co wewnątrz; czy to, co widzi, jest jego wymysłem, czy też jego myśl stworzyła to, co widzą oczy. Jest to świat zamknięty, dławiący, tak jakby siedziało się w jakimś worku i usiłowało rozgryźć go, aby znaleźć wyjście lub wpuścić trochę powietrza, zrozumieć, gdzie jest jego przeznaczenie, zobaczyć, gdzie zaczyna się on, gdzie kończą inni. Stąd ból i szukanie wyjścia, i chęć złapania powietrza.

– Szkoda, Humberto...

– No cóż...

Dlaczego wobec tego nie decydował się na coś radykalnego? Może należało poddać się delikatnym rękom doktora Azuli, w którego on, Humberto, tak bardzo wydawał się wierzyć? Może jemu uda się wyeliminować ten bolesny punkt? Nie, don Hieronimie, nie jest aż tak źle. Może to nawet i nie wrzód, może to także należy do rzeczy, które sobie wyobrażam w tym zamknięciu...

– W zamknięciu?

– Tak.

– W Rinconadzie?

– Ale to już nie ta Rinconada...

– O wiele piękniejsza.

– Nie wiem... brak mi pewnych rzeczy, kochałem tamte patia, lubiłem się po nich przechadzać, tęsknię do dawnych galerii...

Z polecenia Emperatriz Basilio zjawił się u Humberta i oświadczył mu, że w pilnej sprawie musi przyjść do niej na herbatę jeszcze tegoż popołudnia.

Czekała na niego w swoim buduarze, siedząc za maleńkim inkrustowanym biureczkiem, zrobionym w osiemnastym wieku dla córki jakiegoś markiza. Gdy tylko się

zjawił, wstała, by go powitać. W kok miała wpiętą sztuczną orchideę, brewki wyskubane, a wśród niebieskawego makijażu jej powiek połyskiwały srebrne punkciki; podobne miała modelka na okładce ostatniego „Vogue", który Humberto zdjął ze stojącego obok sofy stolika, aby Basilio mógł postawić tacę z wonną chińską herbatą Lapsang-Souchong.

– Chyba żebyś wolał jaśminową?

– Nie, dziękuję. Ta lepsza jest na żołądek.

– To Twining. Znakomita.

– Rzeczywiście znakomita.

Emperatriz usiadła naprzeciw Humberta. Nalała dwie filiżanki herbaty, po czym skrzyżowawszy swe pulchne jak kuleczki nóżki, wyjęła z etui marlboro king size i trzymając go w swych poskręcanych niby świdry paluchach czekała, aż rozmówca poda jej ognia. Kiedy się pochylił, by to uczynić, zauważył, że czoło Emperatriz, chyba jeszcze bardziej pomarszczone niż zazwyczaj, wygładziło się przy pierwszym hauście dymu. Uśmiechnęła się do niego, a jej zaślinione kły wychyliły się poza mięsiste brzegi olbrzymich, zwierzęcych warg.

– Co się stało, Emperatriz?

– Nic. Czyż nie mogę zaprosić cię na herbatę bez jakiegoś konkretnego powodu?

– Ale Basilio mówił mi, że sprawa jest pilna.

– Jemu zawsze się spieszy. Byle jak najprędzej wyrwać się na futbol do swoich chłopaków.

Humberto nie wierzył jednak, by w to gorące popołudnie zaprosiła go ot tak, bez powodu, tylko dlatego, żeby napić się z nim herbaty... co zresztą było dla niego nie tylko przyjemnością, ale i wyróżnieniem. Dopiero gdy Basilio opuścił buduar, Emperatriz pozwoliła sobie na ponowne zmarszczenie czoła i wyznanie, że ma pewien

kłopot, ale że pragnie póki co utrzymać go w sekrecie, dlatego, zamiast zatelefonować, posłała po niego wiernego Basilia. Telefonistka, no ta o uszach wielkości skrzydeł nietoperza, nie jest osobą godną zaufania, a wobec tego...

– Co się stało, Emperatriz?

– Boy ma zielone rozwolnienie.

– Trzeba natychmiast wezwać doktora Azulę, to może być coś poważnego. Nie ma co zwlekać, podaj mi jego telefon...

– Chwileczkę...

Pierś Emperatriz drżała, może z powodu tego, o czym miała mówić, może zaś z powodu bliskości, w jakiej się znajdowali w różowym buduarze. Niech się wstrzyma z wzywaniem Azuli. Najpierw oni sami muszą się naradzić: mianowicie w czasie ostatniego roku, od kiedy operacje przestały być konieczne, doktor Azula stracił zainteresowanie dla Boya. Skoro więc jego zadanie jest skończone, czemu nie wraca do swojego naukowego instytutu w Bilbao, do którego – mówi o tym bez przerwy – tak tęskni? W zeszłym roku jeszcze się to tłumaczyło, miał bowiem romans z jedną z wielu pretendujących do tytułu „najgrubszej kobiety świata", ale teraz, odkąd się pokłócili, kompromituje się ze wszystkimi, nawet z Bertą, która ma przecież wszystko martwe. Czy Humberto wie, że przespał się z nią korzystając z tego, że biedna Berta urżnęła się na przyjęciu, które wydawaliśmy na urodziny brata Mateusza...

– Nie byłem na tej zabawie.

– Nigdy nie chodzisz na nasze zabawy; będę zresztą robiła tak samo. Przynajmniej ty i ja musimy zachować głowy, gdy inni je tracą.

Ty i ja; jak by nigdy nic, Emperatriz rzuciła to przeraźliwie symetryczne porównanie. Od dawna robiła jakieś

aluzje, okazywała wzruszenie będąc blisko niego, była pełna atencji, ofiarowywała mu to, co lubił, na przykład herbatę Lapsang-Souchong, o którą było stosunkowo trudno, na urodziny kupiła mu kwartet Nr 15, w wykonaniu kwartetu Lehnera, nagranie, które najbardziej mu się podobało. Ale dziś po raz pierwszy dała do zrozumienia, że są parą: ty i ja.

– W każdym razie, w takiej sytuacji doktor Azula...

– Nie, Humberto...

Poczuł pewność, że dąży do kolejnego wyeliminowania wszystkich pozostałych. Z początku potwory pierwszej klasy były sobie równe, razem chodziły na przyjęcia, robiły bale maskowe, pluskały się w basenie, urządzały bukoliczne pikniki, w których wszyscy brali udział. Potem Emperatriz zaczęła tworzyć elitę zapraszając na herbatę coraz mniejszą grupę, wreszcie wykluczając nawet Bertę i Melchiora. Parę dni temu powiedziała coś uszczypliwego o bracie Mateuszu... Teraz doktor Azula. A kto potem? Czy jego wyeliminuje również?

– Trzeba się pozbyć Azuli, Humberto. Boy kończy cztery lata, a choć dopiero zaczyna mówić, rozwija się zgodnie z przewidywaniami, z dnia na dzień widać postępy. I nagle zielone rozwolnienie! Oczywiste zaniedbanie Azuli, z pewnością nie zajął się przystosowaniem pokarmów do jego wieku.

Ażeby wyeliminować z pożywienia Boya rzeczy przyjemne i przykre, od pierwszej chwili karmiono go tylko papkami, formuły zaś, które wnosiły do jego organizmu to, co było potrzebne, proteiny, wapno, witaminy i tak dalej, były doprawiane smakiem wanilii. Do tej pory nie było żadnych problemów z trawieniem. A tu nagle zielone rozwolnienie...

– Radziłaś się Miss Dolly?

– Jestem przekonana, że będzie o wiele lepiej od Azuli zorientowana w tym, co mu jest potrzebne. Doskonale się czuła po porodzie. A pracowita... jak nigdy. Och, gdyby inne były do niej podobne...

– Co urodziła?

– Chłopca.

– Nie o to pytam... potwór czy normalny?

– Niestety normalny, już drugi raz. Znowu musiała się go pozbyć. To jedyny feler Miss Dolly: jej regularne porody stale się kończą atakami histerii, bo nigdy nie udaje jej się urodzić dziecka podobnego do siebie ani do Larry'ego. Wziąwszy pod uwagę jej tuszę słonicy, powinna przynajmniej dłużej nosić, a nie kłopotać nas swymi problemami dokładnie co dziewięć miesięcy...

Zamilkła, bowiem Basilio przyszedł po tacę. Powiodła wzrokiem za nieforemnym olbrzymem o torsie cyklopa, o krótkich nogach, ramionach orangutana i opadniętej szczęce. Kochanek Emperatriz? A czemuż by nie? W maleńkim ciele Emperatriz na nic nie było dość miejsca poza wybujałym erotyzmem – tak przynajmniej sądził Humberto. Kiedy Basilio zamknął drzwi, uśmiechnęła się złośliwie.

– Z nim też będziemy mieli zawracanie głowy.

– Z Basiliem? Taki dobrotliwy...

– Aż za bardzo. W parku trenuje bez przerwy ze swymi młodziutkimi przyjaciółmi! Bóg jeden wie, skąd wygrzebuje te potwory trzeciej, a nawet czwartej klasy. Nie widziałeś, jak w basenie uczył crawla tego małego garbatego blondyneczka o buźce jak z porcelany?

– Emperatriz, na Boga...

– Niestety, Humberto. To wszystko pachnie mi trochę podejrzanie greckimi obyczajami. W gruncie rzeczy lubię pedałów...

– No, mniejsza z tym. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.
– Na przykład zielone rozwolnienie?

Humberto roześmiał się; unosząc rękę pełną pierścionków, by poprawić tkwiącą w koku orchideę, Emperatriz ukazała mu swą świeżutko wygoloną pachę...

Letnie słońce było tak palące, że mimo tiulowej berżery w kolorze lila, brzuch, piersi, nogi i ramiona Emperatriz dosłownie płonęły. I mimo że z początku była żywo zainteresowana opinią Huxleya odnośnie Beethovenowskich kwartetów, nie mogąc dłużej skupiać się na rozmowie, gryząc paznokcie, aby się publicznie nie podrapać w rozpaczliwie swędzące ją przyrodzenie. Ach, jakże niewygodna była reguła zabraniająca komukolwiek wchodzenia do królestwa Boya inaczej niż nago: nago nie podobała się sobie, natomiast była zdania, że ubrana przedstawia się znakomicie. Już berżera była właściwie odstępstwem, ale taka leciutka była, taka przezroczysta... Kiedy w towarzystwie Humberta Emperatriz okrążała basen Diany Łowczyni, była całkowicie niezdolna włączyć się do rozmowy, bowiem jedyną rzeczą, o której mogła myśleć, jedyną, której pragnęła, było podrapać się. Niepodobieństwem jednak było drapać się w to właśnie miejsce, w dodatku w towarzystwie Humberta mówiącego o ostatnich kwartetach Beethovena.

Na szczęście za Dianą i sforą jej psów, obok obrośniętego bluszczem muru zamykającego ostatnie patio, było jakby trochę przewiewu. Larry, szef ogrodników, zapomniał przyciąć bluszcz, który w tym miejscu opadał niby kaskada, ofiarowując jej – o ile spacer nadal będzie się toczył równie powoli i o ile uda jej się doprowadzić Humberta do tego, by zagwizdał adagio (przy czym zawsze zamykał oczy) – szansę skrycia się na ułamek sekundy i szybkiego podrapania w swędzące miejsce.

Humberto nagle zamilkł. Ktoś ukryty w grocie osłoniętej bluszczem mówił:

– Ta... ta... Mamm... ma...

– Mama...

Szczebiot dziecka i odgłos całusa. Potem cisza. Humberto i Emperatriz odsunęli zasłonę z liści: zbyt długie ramię Larry'ego obejmowało talię Miss Dolly, dającą swą olbrzymią pierś Boyowi, który ssał ją z zachwytem; po buzi dziecka-gargulca, po blednących już bliznach spływało mleko olbrzymki.

– Zielona kupka! – wrzasnęła Emperatriz.

– Emperatriz!

– Zabijasz go, Miss Dolly!

Zaś Humberto:

– Kto go nauczył mówić tata i mama?

Miss Dolly przytuliła dziecko do swych nagich, ponadludzkich wymiarów piersi i wysunęła się z ukrycia; za nią Larry. Wydawało się, że oboje za chwilę wybuchną płaczem, podczas gdy Emperatriz i Humberto stojąc naprzeciw nich na brzegu basenu krzyczeli jednogłośnie:

– Proszę oddać nam dziecko!

– Z tą chwilą jesteście zwolnieni z pracy – dodał Humberto. – Nie do wiary, że przez te wszystkie lata, wykorzystując zaufanie, jakie mieliśmy do was, a zwłaszcza do pani, Miss Dolly, oszukiwaliście nas. Nie zrozumieliście ani na jotę, o co nam chodzi. Nie zasługujecie na to, by was uważać za potwory jakiejkolwiek klasy, skoro usiłujecie zabawiać się w dzidzi-potwora ni mniej, ni więcej, tylko z synem don Hieronima de Azcoitia. Dziś w nocy macie opuścić Rinconadę.

Olbrzymka otarła łzy. Spojrzała mu prosto w twarz i powiedziała:

– Nauczyliśmy go wielu innych rzeczy.

– Na przykład?

Larry wskazał palcem na Humberta i powiedział:

– No, syneczku, powiedz: Jaki jest don Humberto?

Pocerowana buźka ogłosiła:

– Pa...sku...dny... – i mały wybuchnął płaczem; ukrył twarz pomiędzy rozłożystymi piersiami Miss Dolly i wyciągnął rączki do Larry'ego, aby go obronił; Humberto nie mógł się powstrzymać i spojrzał na swoje odbicie w wodzie: mężczyzna, brzydki, żaden, ani potworny, ani też piękny, bez wyrazu, zwyczajny; zapewne – wszystko jest kwestią proporcji i harmonii; stworzyłem wokół Boya świat jemu podobny, a teraz sam widzę, że to ja jestem odmieńcem; cóż, nie jestem potworem, chociaż w każdej chwili oddałbym życie, by nim być...

Na ręku Miss Dolly Boy powtarzał: paskudny, paskudny, paskudny, a Larry, Miss Dolly i Emperatriz wprost skręcali się ze śmiechu. Tak, wszyscy troje śmieli się z niego! Humberto gwałtownym ruchem wyrwał dziecko z rąk niani. Trzy potwory przestały się śmiać. Trzymane przez niego dziecko zaniosło się płaczem ile sił w płucach, oddał je więc Miss Dolly:

– Uspokój go.

Emperatriz wykorzystała całe zajście, ażeby do woli wydrapać swój pubis, nie przyniosło jej to jednak żadnej ulgi. W dodatku szlag ją trafił na Miss Dolly, która siedząc na brzegu basenu Diany kołysała dziecko, ocierała mu łzy i smarki, całowała je i pieściła; mały zaczął się uspokajać. Larry pomagał jej uciszać jego płacz, stojąc nad żoną niby jastrząb. Miss Dolly zaczęła nucić:

O święta Panienko,
dziecko znowu płacze,
spadło mu jabłuszko,
poszukam, zobaczę.

Ale ponieważ płakał nadal, Larry położywszy swą długą rękę na ramieniu Miss Dolly jeszcze czulej zanucił:

O święta Panienko,
módlże się za nami,
znowu dziecko płacze
na rękach u niani.

Emperatriz, która stojąc z boku przynosiła sobie ulgę drapaniem, teraz z berżerą w ręku włączyła się do rozmowy: dosyć wygłupów, niech jej oddadzą dziecko, nie, nie ma obawy, jej nie będzie się bało, są nawet spowinowaceni. Ustawiła się na czele pochodu i naga, purpurowa, z tiulową berżerą na głowie i dzieckiem w ramionach, ruszyła przodem, a za nią Humberto, Miss Dolly i Larry; okrążyli basen i skierowali się ku galeriom w głębi patia. Tu Emperatriz zwróciła się do nich:

– Idźcie się spakować. Dziś opuścicie Rinconadę,

Humberto zatrzymał ich:

– Nie, niech nie wychodzą z tego patia. Nie chcę, żeby zaczęli opowiadać jakieś niestworzone historie; to przecież kłamczuchy. Tylko narobią niepotrzebnego zamieszania. Każę Melchiorowi przygotować auto. Za pół godziny zajedzie.

– Ależ, Humberto, przecież nie pojadą nago. Mają rzeczy, które kupowali za to, co zarobili w czasie tych czterech lat pracy.

– Nie zasługują na to, żeby cokolwiek zabierać. Niech idą w tym, w czym tu się zjawili. Ty, Emperatriz, przyniesiesz jemu spodnie, jej suknię i nic więcej. Pojadą wprost z patia na stację. Nie powinni się z nikim widzieć. Ja przez ten czas popilnuję Boya.

Emperatriz uśmiechnęła się lekko:

– Może się zbudzić. Wtedy zlęknie się ciebie, Humberto. Jesteś... jesteś inny...

Haczyk, krwawy haczyk do łowienia ryb, który wszedł w niego, zaczepił się ukazując mu intencje monstrualnej karlicy, mówiącej, że dziecko boi się go, boi się jego żadnej, niczym nie wyróżniającej się normalności. Ona, świadek jego hańby (świadkami są ci, co mają siłę), ona, która śmiała się z niego wraz z nimi, ona, która kołysała dziecko w swoich niedorozwiniętych ramionkach, która kołysała je według reguł gry, jaką don Hieronim i ja, tak, właśnie ja, wymyśliliśmy wspólnie, teraz schwytała mnie na ten haczyk rozszarpujący mi wnętrzności.

# 16

Kiedy odjechało auto uwożące Miss Dolly i jej męża, Humberto zrozumiał, że jest jego obowiązkiem, tak wobec don Hieronima, jak wobec samego siebie, ujęcie w ręce kontroli nad tym, co się dzieje. Postanowił bez zwłoki zawezwać wszystkie potwory pierwszej klasy na taras swojej wieży. Przesłuchując jednego po drugim zgłębi wszelkie uchybienia, zauważy wszystko to, co przedtem umknęło jego oczom. A mogło być tego wiele, jako że asystował wydarzeniom stojąc z boku, nie biorąc w nich udziału.

Zachowanie Miss Dolly i Larry'ego (wykryte tegoż popołudnia opodal basenu Diany) zostanie im przedstawione jako przewinienie wręcz kryminalne: zielona kupka zagrażała życiu Boya!

Wezwanie wszystkich miało jeszcze i inny cel: podkreślenie, zaznaczenie raz na zawsze jego nie podlegającej dyskusji wyższości człowieka normalnego. To oni zależeli od niego, nie on od nich. To on był dozorcą więziennym, nie oni, to on ich wymyślił, nie oni jego. Rinconada, patia Boya, organizacja, dieta, doktor Azula, struktura domu, zburzenie przybudówek, gdzie tak łatwo było zabłądzić, wszystko, wszystko, to były jego pomysły, jego dzieło. Zarówno oni sami, jak i ich życie są także jego wymysłem. Niech się nie buntują. Niech zobaczą, że to grozi tym

właśnie, co się zdarzyło Larry'emu i Miss Dolly, wykluczeniem z ich wspólnego wszechświata, z tego wszechświata pilnowanego przez monstra drugiej, trzeciej, czwartej i piątej klasy, służące tym z pierwszej – kolejne warstwy otaczające jądro, tę elitę, którą oni byli – również jednak zdolne pewnego dnia ich zastąpić. Kiedy miał włączyć fonograf, aby zlecić telefonistce zwołanie w ciągu pół godziny zebrania na swym tarasie, z daleka, z drugiego końca parku, gdzie były pawilony zamieszkiwane przez potwory, doszedł go odgłos, który wkręcił mu się w uszy: dźwięki muzyki i... tak, nie mylił się... wybuchy śmiechu! Nie włączył fonografu.

– Co jest, u diabła...

Wrzucił do szklanki dwa kawałki lodu i nalał sobie whisky. Ze szklanką w ręce podszedł do balustrady otaczającej taras. Słuchał. Tak, muzyka i śmiech: jakby oblewali jakieś szczęśliwe wydarzenie! Powąchał whisky. Zawsze mu szkodziła... ale trudno, dzisiaj nie pora na zachowywanie ostrożności. Za każdą cenę należy się odprężyć. Pociągnął długi łyk, który najpierw przeszył go dreszczem, potem jednak uspokoił. Odstawił szklankę na balustradę i oparłszy się obiema rękami, wsłuchany w splecione odgłosy wieczoru, świerszcze, kumkanie żab, krzyki, śmiechy, stuszowane przez gęste listowie topoli i kasztanów, usiłował z tych dźwięków wyłowić słowa, może swoje własne imię – choć to byłoby mu zadało ostateczny cios.

Co za naiwność kazać Melchiorowi odwozić Larry'ego i Miss Dolly na stację! Choć nie było to daleko, te dziesięć minut mogło wystarczyć, by inaczej naświetlili zdarzenie, które rozegrało się nad basenem, gdzie on, Humberto Peñaloza (człowiek tak normalny, tak zwykły, tak pospolity, że nie było osoby, która by odwróciła za

nim głowę w mieście), stał się obiektem kpin trzech potworów. By opowiedzieć, że jego niewinna powierzchowność wzbudziła lęk dziecka-potwora... Ton tych z dala dolatujących śmiechów, tak jak i kumkanie żab, podniósł się w miarę zapadania zmroku; głowy węży, skóro-łuska płazów, sowie oczy, psie łapy, zwierzęce głosy, wszystko to śmiało się z niego. Było jasne: wiadomość, że Miss Dolly, Larry i Emperatriz zadrwili z niego, on zaś pod wpływem tych drwin z lękiem przejrzał się w lustrze wody, obiegała Rinconadę. Śmiechy dolatywały ze wszystkich stron. To już nie tylko były śmiechy, to były szepty, pomruki, bieganie od drzwi do drzwi z tą wiadomością, powstrzymywane i nagle wybuchające kaskady śmiechu, centrala telefoniczna bez przerwy zajęta, telefonistka włączająca się i poprawiająca tych, którzy omawiali wydarzenie, którzy śmiali się z niego, obrabiali ploteczkę, igrali z nią, definitywnie obalali jego autorytet: szum telefonów łączył się z odgłosami śmiechu, z kumkaniem żab, Humberto usłyszał wyraźnie jąkanie się Melchiora, który coś opowiadał, chociaż nie, to był odgłos piłki na placu tenisowym, gdzie Melchior z Melisą kończyli partię przed zapadnięciem zmroku. Nie. Potwory nie mówiły o nim. Wysilił oczy zachodzące mgłą: Melisa w białym stroju tenisowym wyciągnęła się na hamaku z szydełkiem w ręku. Obok niej Berta po raz setny opowiadała tragiczne meandry swego uczuciowego życia, José Maria, garbus o porcelanowej twarzyczce, ukazywał się i nikł pomiędzy krzakami, trenując swój codzienny sprint. W mieszkaniu Emperatriz na wprost wieży Humberta zapłonęły światła. Karlica przebrana w jakąś cudaczną domową suknię, jak co dzień o tej porze, zasiadała do robienia rachunków.

Rzeczywistość dementowała jego podejrzenia: nikt z niego nie żartował. Życie Rinconady płynęło bez zakłóceń.

Zapewne, Miss Dolly i Larry wyjechali, ale co to miało za znaczenie. W dodatku ten cały Larry do niczego nie służył; pośród zaś potworów, które stale napływały do Rinconady, znalazła się inna olbrzymka, wcale nie mniejsza od Miss Dolly, i ta na szczęście po pierwsze była bezpłodna, po drugie, jako nowa, bardzo dbająca o *social climbing*. Nawet Emperatriz mówiła mu, żeby się nie przejmował, jako że nadmierna tusza jest jedną z najpospolitszych degeneracji. Tak małe dziecko nic nie zauważy i łatwo uda się zastąpić jedną olbrzymkę przez drugą. Różnice między najgrubszymi kobietami świata są niemal niedostrzegalne, wszystkie one są jednakowe, jak Murzyni czy Chińczycy.

Humberto westchnął. Miał ochotę na drugi łyk whisky, ale odmówił go sobie: w żołądku czuł kwaśne palenie, podchodzące niemal do gardła. Wylał resztę alkoholu na trawnik i wrócił do biblioteki: praca zawsze najlepiej pomagała mu zapomnieć o zmartwieniach, tak zresztą jak i Emperatriz, która z miłości do niego obsesyjnie pogrążała się w rachunkach Rinconady. Usiadł przy maszynie. Przygotował sobie odpowiednie światło. Dokładnie wiedział, o czym będzie pisał. Plan książki miał opracowany do najdrobniejszych szczegółów, charaktery były gotowe, sytuacje i anegdoty skomponowane, nawet początkowy akapit śpiewał mu w duszy podobny trampolinie, od której odbije się wszystko to, co ma do powiedzenia, to, co gotowe od dawna, czeka tylko okazji, by wyskoczyć.

Kiedy don Hieronim de Azcoitia wreszcie rozchylił firanki zasłaniające kołyskę, ażeby dojrzeć swego tak oczekiwanego potomka, zapragnął natychmiast go zabić. To odpychające ciało, całe wykręcone garbem, ta twarz tak brutalnie przecięta, że wargi, podniebienie i nos ukazywały nieskromnie kości i tkanki w jakiejś krwawej miazdze – były obrazem zamieszania, bezładu, innej, gorszej formy śmierci.

Ale Hieronim nie zabił syna. Przerażenie, że jest ojcem podobnej potworności, istnego wcielenia chaosu, wywołało zwłokę pomiędzy odruchem a jego wykonaniem, i Hieronim de Azcoitia nie zabił. Zabić znaczyłoby ulec, włączyć się samemu w ten chaos, stać się jego ofiarą. Ten brutalny żart świadczył, że opuściły go na zawsze tradycyjne moce, od których on sam tak jak i jego przodkowie otrzymywali wiele łask w zamian za zachowanie własnego stylu życia, własnych obyczajów w sprawach doczesnych, sprawach tej Ziemi...

Nie, małą literą: ziemi... Zresztą... Wszystko to miał w głowie. Wszystko. Gruby, porządny papier, ta śliczna błękitna kalka, delikatny szelest bibułek kopii, niby kobiece głosy, szepty, mruczenia... aż miło pracować w takich warunkach. Kobiece głosy? A może męskie? I nie mruczą, raczej chichocą. Zanoszą się od śmiechu! Idiota! Zostawił otwarte drzwi na taras i wieczorny wiatr wraz z odrobiną przyjemnego chłodu przynosił teraz odgłosy rozmów mieszkańców Rinconady. Wstał, aby zamknąć okno, ale zamiast je zamknąć, wyszedł na taras. Było już ciemno. Ile czasu przesiedział nad maszyną nie napisawszy ani słowa? Gdyby nie wypił tego przeklętego łyka whisky, byłoby mu o tyle łatwiej się skupić... Z pewnością w nocy skurcze żołądka znowu nie dadzą mu spać, a i nazajutrz nie będzie do niczego zdolny. Oparty o balustradę zobaczył, że firanki u Emperatriz są odsłonięte. Basilio w żakiecie i białych rękawiczkach chodził tam i na powrót, roznosząc bez przerwy tacki z jakimiś przysmakami, którymi Emperatriz podejmowała potwory, a których jemu odmawiała. Doktor Azula, no jasne... Melisa... Rosario o kulach... Berta... Melchior... brat Mateusz w nowej sutannie *drip-dry* specjalnej na lato, które tak pięknie się zapowiadało... Wszystkie potwory pierwszej

klasy rozgadane, roześmiane, drwiące z niego, który nie został zaproszony na ich bal, bo nigdy nie chadzał na te bale, starając się trzymać z boku jako jedyny normalny człowiek w Rinconadzie.

Może od początku śmieli się z niego. Te śmiechy to był pierwszy krąg, który go zamykał. Z latami bowiem było coraz więcej kolonii gigantów, garbusów, wybryków natury o zbyt wielkich głowach, stopach i rękach, koncentryczne kręgi zamykające się wokół tego pierwszego, będącego więźniem następnych, i tak bez końca, a w środku on, Humberto, w samym centrum chichotów, w samym centrum potworów, potworów ze wszystkich następnych kręgów... a w środku on... Bowiem nie Boy był więźniem, ale on, i jego, a nie Boya, postanowił zamknąć don Hieronim; z niego, nie z Boya, wszyscy się śmieli, z niego, więźnia tych kręgów śmiechu, zamurowanych okien, szyb do wysokości człowieka pomalowanych na czekoladowo, aby nikt nie mógł wyjrzeć na zewnątrz, siatek, krat, pozabijanych drzwi, korytarzy, w których można się zgubić, podwórek podobnych do siebie, śmiechu potworów pasących stada po górach, olbrzymów siejących zboże, garbusów łowiących po lagunach ryby, polujących po lasach, karłów znakujących bydło, czekających, aż potwory z górnych kręgów poznikają lub poumierają, ażeby zająć ich miejsce. Taki jest ten świat, nasz świat, który się śmieje, ta elita, ci wybrani więźniowie, którzy zazdroszczą nam, podczas gdy my zazdrościmy tylko jemu, Humbertowi, który nie zazdrości nikomu, który się dusi, bo nie może nikomu zazdrościć, chociaż nieprawda, żebyście wiedzieli, że zazdroszczę, zazdroszczę temu, który mnie wymyślił i który mnie tu zamknął w środku tej zazdrości, co mnie dławi. Dlaczego Emperatriz wykazała taki brak serca, by zrobić przyjęcie tego samego wieczoru,

kiedy jej śmiech i śmiech wyrzuconej pary jeszcze dźwięczał w powietrzu, raniąc uszy, przenikając do samego dna? Emperatriz interesują tylko przyjęcia. Co rok wyprawia wielki bal kostiumowy na jakiś określony temat, na przykład „Chińska pagoda", „Wersal", „Czasy Nerona" albo... rok temu... „Dwór cudów", wszystkie potwory poprzebierane za żebraków, za kaleki, za złodziei, za zakonników, za bezzębne staruchy, za czarownice, cały dom Emperatriz przystosowany do takiej, a nie innej legendy, przemieniony w niezbadany labirynt, gdzie trudno oddychać, w jakieś ruiny, w opuszczone podwórce; mówili, że bardzo to było udane, on widział przygotowania, nawet sam doradzał pewne rzeczy, na przykład jak porobić sztuczne plamy wilgoci na ścianach, jak paroma pociągnięciami pędzla pozaznaczać perspektywy nie kończących się ponurych korytarzy. Co też uknuła para potworów, podczas gdy ja szukałem po szafach ich rzeczy? Było nieostrożnością zostawić ich samych na patiu. Emperatriz nie lepsza, także tylko by intrygowała. Te kombinacje, za pomocą których usiłowała rzucić Bertę w objęcia doktora Azuli... Zostawił ją po jednej nocy, ona zaś po tak wielu pięknych marzeniach wróciła do Melchiora, który na szczęście przyjął ją z otwartymi ramionami. *Intermezzo* z Ingrid Bergman i Leslie Howardem, wszyscy obejrzeli ten film w prywatnej sali projekcyjnej Berty. W końcu Melchior był tylko biednym mechanikiem, podczas gdy rola Berty w Rinconadzie nie była pozbawiona szlachetności, znaczenia. Dzięki Bogu po tym zdarzeniu Melchior znienawidził Emperatriz. Kto wie, czy pretensja, jaką do niej zachował, nie kazała mu przekręcić tego, co mu opowiadali wyrzuceni na temat zdarzeń owego popołudnia, zdarzeń, które w gruncie rzeczy ośmieszyły mnie, które jednak w opowiadaniach Melchiora mogłyby obrócić się

przeciw karlicy? Niestety dokładnie w tym momencie Humberto dojrzał w oknie sylwetkę Melchiora z kieliszkiem szampana w ręku: przepijał do Emperatriz. Nie, Melchior opowiedział tak, jak było. Z pewnością w tej chwili właśnie układali między sobą jakąś ulepszoną wersję tego wydarzenia, wersję, która za chwilę z ust do ust obiegnie całą Rinconadę. Dosłyszałem: teraz to już nie było kumkanie żab, to moje imię, moje niepowodzenie powtarzały sobie ich pełne ironii usta, wszyscy razem, wszyscy wykpiwają mnie, a ja nie mogę odezwać się do nich nawet siadając do maszyny, by pisać dalej. Dalej? Przecież jeszcze nie zacząłem, jeszcze nic nie napisałem... Niech jednak wszyscy sobie zapamiętają: któregoś popołudnia zacznę pisać, ażeby uwolnić się od tej obsesji śmiechów, w jakiej uwięził mnie don Hieronim.

Teraz w każdym razie trzeba jakoś uspokoić ból żołądka, ten nóż krający mi brzuch, nie, nie nóż, drobne, ostre ząbki, które nie puszczają mnie ani na chwilę, haczyk, który mnie przekłuwa, okrwawione kły, które znam, wiem, do kogo należą, nie popuszczą, dopóki nie wyrwą mi owego kawałeczka bólu tkwiącego w środku. Whisky, przeklęta whisky. Po co piłem? W dodatku nie smakuje mi. Wyciągam się na łóżku. Teraz moje dzieło wybuchnie we mnie, w moim wnętrzu, każda część mojego ciała posiądzie swoje własne życie, niezależnie ode mnie, przestanie istnieć Humberto, pozostaną tylko te potwory, tyran, który uwięził mnie w Rinconadzie, po to, bym wymyślił jego, Inez o skórze koloru miodu, śmierć Brygidy, histeryczną ciążę Iris Mateluny, Błogosławioną, która nigdy nie została błogosławiona, i ojca Humberta Peñalozy, wskazującego na don Hieronima, gdy ubrany wychodzi do klubu, i twoją rękę pełną współczucia, pełną dobroci, matko Benito, rękę, która puszcza moją, i uwagę,

z jaką mnie słuchasz, mnie niemego, i twoje różańce, i ten Dom będący Rinconadą z przeszłości, z teraźniejszości, z przyszłości, będący ucieczką, będący zbrodnią. Wszystko żyje w mej głowie, pryzmat Pety Ponce odbija to i zamyka, stwarzając plany równoczesne i różnorodne, ale nic z tego nie pojawia się na papierze, bo bez przerwy słyszę głosy i śmiechy spowijające mnie, wiążące mnie, patrzę w oświetlone okna Emperatriz, Basilio przenosi tace, potwory szykują się do tańców, a tu ten ból, ten uchwyt krwawych kłów, który nie puszcza ani na sekundę swej zdobyczy, haczyk Emperatriz przedziurawiający mnie na wylot. Wstaję, by zadzwonić po doktora Azulę. Gdzie mogę go zastać? To pilne. Odpowiedź telefonistki brzmi: U Emperatriz.

– Nie możesz go wciągnąć?

– Chyba widzisz, że nie.

– Utyłaś w Rinconadzie.

– Może i nie: uprałam to bikini, więc może się zbiegło.

– Ale jak mogłaś nie utyć, Miss Dolly, przecież obżeraliśmy się tam ile wlazło.

– A ty? Dlaczego nie utyłeś? No to najwyżej utyłam. I co z tego? Tym lepiej. Tym łatwiej mi będzie o pracę. Pewno, że będę musiała nauczyć się tego, co teraz modne, piosenki i tańce tak się zmieniają... Chociaż są takie klasyczne numery jak babalu. To zawsze się podoba. Lepiej byś się czymś zajął, zamiast bez przerwy popłakiwać z tęsknoty za Boyem, w końcu będę zmuszona wziąć cię na utrzymanie, a teraz w cyrkach wcale się nie rozbijają za najgrubszymi kobietami świata, nie to co dawniej. Dziś jest tyle grubych... Podobno taka jest polityka rządu: każą dużo jeść. Chociaż nie mogę na siebie narzekać.

– Uważasz się za Tiny Griffith...

– Może i byłam do niej podobna za najlepszych czasów Rinconady. Ale teraz, kiedy nas wyrzucają z każdego pensjonatu za to, że nie płacimy, nie mogę sobie pozwolić na to, by chudnąć.

Siedząc na brzegu łóżka, w okularach na nosie, Miss Dolly przyszywała cekiny, które jej poodlatywały od staniczka.

– Trzeba będzie poprzeszywać je trochę rzadziej, inaczej mi nie starczy. To wszystko przez Emperatriz, przez to, że nas nie broniła, chociaż, wówczas gdy don Humberto poszedł szukać naszych rzeczy, tyle gadała, że sprowadzi nas z powrotem... mówiła, że weźmie go w garść, że niewiele do tego brakuje, bo on się strasznie w niej zakochał, i że jak się jej oświadczy, to będzie mogła rządzić całą Rinconadą i wtedy nas wezwie...

– Ciekawość, co tam porabia nasz mały...

– Szkoda, że nie będziemy na ślubie Humberta z Emperatriz. Pokazywała mi całą wyprawę, wszystko ma przygotowane... Będzie zabawa na sto dwa...

Ziewnęli oboje.

– Chodźmy już spać.

– Przecież trzeba na nią zaczekać.

– Która godzina?

– Jedenasta.

– Powinna być za chwilę.

W małym, ordynarnie wytapetowanym hotelowym pokoiku, słuchając płaczu dziecka, który dochodził z sąsiedztwa, czekali na nią aż do wpół do dwunastej. Wreszcie rozległo się pukanie.

– To ona, otwórz.

Miss Dolly włożyła kimono i wpuściła zdeformowaną staruszkę; rysy jej kompletnie ginęły pośród miliona brodawek; było to ohydne monstrum o szorstkich łapach,

rozmazujących się ustach, oczach zarośniętych łuskowatymi polipami. Larry przygasił światło. Miss Dolly podsunęła starej jedyne krzesełko, a oboje przysiedli na łóżku.

– No i co powiedział don Hieronim? – zapytali.

Stara zakasłała:

– Nie mówiłam z nim. Wymyśliłam coś lepszego.

– No?

– Sama pojadę do Rinconady.

– Po co? Tysiące niebywałych potworów, syjamskich braci i różnych cudaków czeka, żeby ich tam zatrudniono, dlaczego mieliby liczyć się z tobą, przecież nawet nie jesteś potworem, a tylko kaleką?

– Może i tak. Ale ja dobrze znam don Humberta i jego słabe strony. Nawet nie będę musiała zbliżać się do budynków. Gdzieś tam się przyczaję i zacznę szerzyć plotki, mówić o różnych rzeczach, o tym, co się zdarzyło koło basenu...

– Co nam z tego przyjdzie? Teraz i tak wszyscy znają tę historię; my sami opowiedzieliśmy ją Melchiorowi.

– Od ludzi, których mam w Rinconadzie, wiem, że nie tylko Humberto kocha się w Emperatriz, ale że i ona jest w nim nieprzytomnie zakochana. Jeżeli się pobiorą, nikt nie zdoła poprowadzić potworów przeciw tym dwojgu. A oni się kochają, wszystkie noce spędzają razem. Wiem o tym! On jest nienasycony! Trzeba ich poróżnić. Trzeba z niej zrobić wroga Humberta.

Ale Emperatriz już jest moim wrogiem, Peto! Z mej wieży co noc słyszę jej śmiech, ona mnie nienawidzi, nie masz po co przyjeżdżać do Rinconady, wzniecać nienawiść już istniejącą. Tobie chodzi o co innego: po prostu chcesz sama mną zawładnąć! Nie przyjeżdżaj, nie jesteś potworem. Zabronię cię wpuszczać, a jeżeli się wedrzesz,

każę cię zabić. Kto będzie szukał starej, chorej włóczęgi, bez dokumentów? Niech zdycha w polu... Nikt. Oby cię zabili, zanim się tu zjawisz. Chociaż nic z tego faktycznie nie istnieje, nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o tych potworach, które śmieją się ze mnie, ujarzmiając mnie w ten sposób z rozkazu don Hieronima, po to, aby mnie ze wszystkiego obłupić, bo tego oni chcą, matko Benito, tkwię w samym środku wszystkich tych intryg i machinacji, które własnymi rękami utkałem, jakbym chciał się zadusić, a ja nie chcę się dusić, nie chcę oddychać błotem, które nie pozwala mi myśleć o czymkolwiek innym, rozdziera mnie tęsknota za tymi czasami, kiedy umiałem myśleć o innych sprawach, patrzeć poza, wyglądać przez okno, światło, wiatr, twarze, liście, książki, rozmowy, wszystko tak odległe, sprzed Rinconady, sprzed czasów, gdy ty się pojawiłaś, matko Benito, i zaczęłaś się modlić siedząc koło mego łóżka, gładząc mą rękę, sprzed czasów, gdy pojawił się don Hieronim, tego letniego popołudnia, kiedy w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym spokojnie studiować moje skrypty, spacerowałem po galerii drugiego piętra Muzeum Antropologicznego, a na dworze zakurzone lato stolicy przysypywało wszystko szarym piaskiem nudy. W moim domu trudno było się uczyć. Ojciec, zbyt troskliwy, irytował się, że matka hałasuje zmywając w kuchni garnki; siedząc na wprost mnie za stołem, niby to porządkował moje skrypty, a w gruncie rzeczy je rozrzucał, albo niepotrzebnie przysuwał mi światło, które mnie raziło, albo zamykał okna, aby nie przeszkadzał mi hałas uliczny, który nic a nic mi nie przeszkadzał. Uciekłem. Parki? Ale parków od dzieciństwa się bałem. Kościoły? Było w nich chłodno, lecz zbyt mało światła. Natomiast w Muzeum Antropologicznym w dni powszednie bywało niemal pusto. Drzemiący strażnik

wyglądał, jakby zapomniano go zabalsamować, wobec czego groził mu ostateczny rozkład i wyrzucenie do śmieci. Galeria drugiego piętra miała kształt owalu, po którym można było chodzić całe kilometry powtarzając sobie prawnicze paragrafy: kiedy odrywałem od nich oczy, widziałem w sali pierwszego piętra rekonstrukcję szkieletu niebywałego przedpotopowego potwora; w dni powszednie nie oglądał go nikt, a i w niedzielę niezbyt wiele osób. Panował tam spokój, matko Benito. Bezpieczeństwo. Przygotowywanie się do egzaminów z drugiego na trzeci rok prawa, nieprzerwane krążenie po tym owalu, najpierw magister, potem doktor, potem sędzia lub notariusz o własnym obliczu... Wszystko było w zasięgu ręki, póki krążyłem dokoła galerii drugiego piętra, oglądając małe gablotki, a w nich jakieś przedmioty z gliny, nie oszlifowane kamienie, naczynia z wydrążonych pni, igły z kości. W wielkiej witrynie podobnej do akwarium leżały w najróżniejszych pozach nagie, rozpadające się, przesuszone mumie Indian Atacama, które uśmiechały się do mnie przez szkło. Zatrzymuję się, by na nie popatrzeć. Znam je, to są moi przyjaciele. Odbita w szybie moja twarz pokrywa się dokładnie z twarzą którejś z nich. Jej uśmiech jest moim uśmiechem i chroni mnie przed wszystkimi niebezpieczeństwami poza tym jednym, że wciąż go widzę w jasnoszarym ubraniu, stoi na wprost mnie, ogląda atakameńskie mumie, ale jego twarz bynajmniej nie jest odbiciem ich uśmiechu. Poznałem go. Odezwał się do mnie. Odpowiedziałem. Razem zaczęliśmy przechadzać się po galerii zamykającej swoim owalem przedpotopowego potwora z pierwszego piętra.

Wtedy się to stało, matko Benito. Mogłem się uratować spadając na niższe piętro i rozbijając sobie łeb o podłogę. Mogłem uciec; przebrać się za Indianina araukańskiego,

włożywszy na siebie to, w co był ubrany stojący obok manekin. Ale nic takiego nie zrobiłem. Nie rozumiem, dlaczego odpowiedziałem don Hieronimowi na jego pytanie. Co robię? Jestem pisarzem. Ponieważ mam doskonałą pamięć, pamiętałem wiele z tego, co w deszczowe popołudnia czytywałem w Bibliotece Narodowej, wiele z Nietzschego, Hölderlina, Szekspira, Goethego, ale również wiele z Insúy i Vargasa Vila, i Garcii Sancheza, i Villaesposy, i Emilia Carrere, no tak, i klasyków także, chociaż w moim stylu pobrzękuje więcej Insúy niż Goethego, oni otwierali mi okna, teraz zabite, bez powietrza, okna, które po odpowiedzi danej przeze mnie don Hieronimowi tego przeklętego letniego popołudnia zamknęły mnie w tym domu: powiedziałem, że jestem pisarzem. Zapytał, jak się nazywam. Zaczerwieniłem się przy odpowiedzi:

– Humberto Peñaloza.

– Będę czekał na pierwszą pana książkę.

– Cieszę się, że wzbudziłem pańskie zainteresowanie.

– Interesuje mnie wszystko, co pana dotyczy...

– Dziękuję...

– ...tak jakby to były moje własne sprawy.

– Dziękuję ci, Emperatriz.

– Nie ma za co, Humberto.

– Tyle dowodów przyjaźni...

– Jak by ci tutaj zdobyć herbatę Lapsang-Souchong?

Spuściła powieki. Zabłysły srebrzyste piegi jej błękitnego makijażu, a w uśmiechu zalśniły olbrzymie kły, które ukryły się zaraz pod fałdami jej buldożego pyska. Skóra karlicy już nie była purpurowa jak na początku lata: jej gładkie ciało, jej małe piersi, wszystko było złotawobrunatne, namaszczone olejkami Guerlaina, których zaczęła używać od czasu sceny przy basenie Diany. Szli koło siebie powoli, niemalże stykając się ciałami. Niedaleko jest

ustronne miejsce, tam obejmie uściskiem tę ohydną karlicę, tam ją posiądzie, bo – nie oszukujmy się – pragnie jej; za chwilę będzie do niego należała, za chwilę, jak tylko podejdą do tego zacienionego miejsca. Gdy tylko znalazł się blisko niej, poczuł, jak wzbiera jego męskość, a spuszczone oczy Emperatriz dostrzegły bez wątpienia, że jej pragnie, że pragnie tego potwora, tego niedonoska o psim łbie, któremu po ugryzieniu zaciskają się szczęki, który trzyma i nie puszcza tak długo, aż wyrwie kawał mięsa. Porwać ją w ramiona, przeniknąć swą męskością, przebić ją, zabić przeszywając swym olbrzymim seksem...

Poczuł, że doszedł do mety, członek jego opadł. Oparłszy łokcie o stół po obu stronach maszyny do pisania, ukrył twarz w dłoniach. Jak uciec? Dokąd? Zniknąć. Nie pragnąć ani nie być przedmiotem pragnień. Biała kartka wkręcona w wałek maszyny. Iść do Emperatriz, nabrać ją, oszukać, byle mu się oddała.

– Emperatriz, przebacz mi, wiem, że jestem nikim, ot, cyganem błądzącym wśród zmierzchów w poszukiwaniu ideału, który zawsze mi umyka, którego moje ręce samotnego człowieka nie dotkną nigdy... Emperatriz, zostań moją żoną...

Głowa Humberta opadła na maszynę do pisania. Ręce strąciły stojącą lampę, ciało zsunęło się z fotela na ziemię i pozostało tam niby kupa gruzu.

Moje stopy szukały rannych pantofli, jak mogłem, otuliłem się szlafrokiem. Emperatriz, Emperatriz, Emperatriz... przejść przez trawnik, dojść do mieszkania karlicy, nie umierać samemu, chociaż może to i lepiej, ale nie, lepiej umierać w objęciach odpychającej karlicy niż samotnie w tej cichej wieży przeznaczonej dla istoty doskonałej.

Otworzyli. Dziękuję ci, matko Benito, ty zawsze jesteś wszędzie tam, gdzie potrzeba, by mi otwarto drzwi. Wszyscy nadzy w buduarze Emperatriz, wszystkie te potwory, które ciągną mnie za sobą, Melchior, Basilio, widzę ich ułomności, wyzywająco wystawione na pokaz, jakby się ich wcale nie wstydzili, nie udają, naprawdę się nie wstydzą, wszyscy kryją się tu, w Rinconadzie, gdzie nikt za nimi nie odwróci głowy, nikt ich nie wyśmieje, korzystają z azylu, lęk trzyma ich na uwięzi, nigdy nie wychodzą z Rinconady, a przecież mogliby, wolno im, ale nie wychodzą, nie mogą wyjść, tak jak i ja nie wychodzę, chociaż mi wolno, chociaż jestem normalny; widzą, że jestem normalny, nie mogą tego nie widzieć, teraz, gdy układają mnie na różowym szezlongu Emperatriz. Wy, potwory, boicie się wychodzić, boimy się wychodzić, boimy się pokazywać i dlatego kryjemy się tutaj, jak ma się nie bać doktor Azula, że zobaczą jego ciało pokryte łuską i jego szpony drapieżnego ptaka, które teraz dotykają mnie, badają, podczas gdy Emperatriz zdejmuje mi szlafrok, tak że zostaję tylko w piżamie, dotyka mojego czoła, ja nie mogę znieść tego kontaktu, wszystkie więzy puszczają i robię pod siebie, a mój kał, śmierdzący, płynny, czarny, plami morę kanapki, piękną tkaninę z Aubusson, nagie potwory zakrywają sobie twarze chusteczkami, zatykają nosy, uciekają, nie mogą wytrzymać, jestem zbyt obrzydliwy, doktor Azula orzeka, że widać od wielu dni traciłem krew, że stan mojego zdrowia jest groźny, trzeba by operować, ale na operację jestem zbyt słaby, straciłem zbyt wiele krwi, unosi mi powiekę, która jest pod spodem biała, trzeba zrobić analizę krwi, sprawdzić ciśnienie, proszę mi przynieść narzędzia, ciśnienie krwi spada i spada bez końca, potwory zatykają nosy, brzydzą się mnie do ostatecznych granic, ale ciekawość trzyma je na miejscu, trzeba zrobić transfuzję, decyduje Azula, w jego rękach nie powinienem

się niczego obawiać, kto chciałby dać krew dla don Humberta, ja, ja, ja, wszyscy chcą mi dać swoją potworną krew, tak bardzo chcą, jakby w ten sposób mogli uwolnić się od niej. Dla niepoznaki, żebym się nie domyślił, że przyłapałem ich w czasie orgii, ubrali się na biało, nadzy, ale na biało, przebrani za pielęgniarzy, w fartuchach i maseczkach, które jednak nie przesłaniają ich potworności, ty jesteś Melisa, poznaję cię po czarnych okularach, ty Basilio, jakżeby cię można pomylić z kimś innym, ty Emperatriz, ty Azula, a ty Mateusz, nawet ta telefonistka o uszach niby skrzydła nietoperza opuściła centralkę i też wystroiła się na biało, by asystować temu, co się będzie dziać, wyznawcy tajemnego rytu, zakonnicy w białych habitach, na balu przebierańców, na którym maseczki nie są obowiązujące, bo każdy ma własną, potwory w białych dominach operują termometrami, sondami, strzykawkami, irygatorami i promieniami iks, wysoko uwieszona butla z serum powoli wypróżnia się, wlewa się we mnie, w żyłę drugiej ręki cieknie z czerwonego balonu krew potwora i czuję, jak mocna krew Basilia rozpływa się we mnie, jak rosną mi ręce i powiększa się dolna szczęka, upotwarzają mnie, krew Berty unieruchamia mi nogi, które będę ciągnął za sobą niby ogon jaszczurki: białe domina upodabniają ich do siebie, nie odróżniam, kto jest kim, to zresztą obojętne, bo krew każdego z nich jest inna i każdą z nich odczuwam inaczej, krew Emperatriz skarla, krew Boya robi mi garb, krew Melchiora wyrzuca mi na ciało krwawe wypryski, które czerwonymi żyłkami znaczą białość marmuru otrzymaną od albinoski Melisy, straciłem własny kształt, nie mam granic, jestem ciałem płynnym, zmiennym, jakby widzianym poprzez wodę w ruchu, który deformuje mnie tak, że przestaję być sobą, jestem zmierzchającą świadomością zaludnioną postaciami w bieli, które pojawiają się i wkłuwają w moje żyły, ile czerwonych ciałek, ach, już prawie ich nie ma, więc

zastrzyk, to żeby nie bolało, ależ ja nie czuję, to wy mi wymyślacie jakieś choroby, chcecie mi wmówić, że źle ze mną, choć nic mnie nie boli, mierzą mi gorączkę, mierzą mi ciśnienie, kręcą nade mną głowami, niedobrze, o, niedobrze, stracił zbyt wiele krwi, trzeba jeszcze raz zrobić mu transfuzję, kto da krew, uważnie staram się rozeznać, co zawiera w sobie ta krew, jaką ludzką potworność znowu wleją w moje żyły, czyja bogata krew połączy się z moją, czyje to nieznane ciepło, które kropla po kropli wsącza się we mnie, by ratować mi życie. Ale po co mi to? Jakie perwersyjne zamierzenia kryją te monstra poprzebierane w eleganckie domina z osiemnastego wieku, z których wyglądają tylko ich potworne maski-maszkary? Ktoś szepcze: „Nie wyjdzie już stąd". Och, pozwólcie mi wyjść, nie chcę się udusić w tych rozpadających się ścianach, wy jesteście tylko plamami wilgoci na murach, pozwólcie mi wyjść, przekroczyć tę niedostrzegalną linię dzielącą ciemność od światła. Zresztą nawet nie zauważę tego – jestem u kresu. Ale nie, nie pozwolą mi wkroczyć w tę ciemność, w której nie ma już niepokoju, chcą mnie zatrzymać z tej strony, w półcieniu, w którym zamazują się kontury przedmiotów, w którym wszystko zaledwie się przesuwa, telefonistka upiera się, by mi dać swą krew, której nie chcę, zaciskam ręce na uszach, ściskam je, żeby nie rosły, zgniatam chrząstki, krew nie płynie, bo nie mam już krwi, lecz mimo to uszy zaczynają mi rosnąć, wielkie niby parasole, które słyszą wszystko, oni chcą zbawić mnie swoją krwią, płonę od czerwonej krwi Melchiora, roztapiam się w lodzie krwi Melisy, nie igrajcie ze mną dłużej, bo to zabawa, wiem, nie przeczcie, pozwólcie mi minąć tę granicę, tam dalej już nic się nie rusza, nic nie widać, och, umrzeć w spokoju, nie kłujcie mnie więcej. Doktorze Azula, nie, nie wytrzymam dłużej tej sondy, którą mi pan wpuszcza przez nos do żołądka, tej szprycy, która wyciąga ze mnie litry

mojej własnej krwi, jeszcze nie zmieszanej z krwią potworów, krwi z czasów, kiedy byłem sobą, a nie tym płynnym czymś-niczym, Crisóforo Azula nienawidzi mnie i jest o mnie zazdrosny, bo wie, że Emperatriz kocha się we mnie; wymieniając wbrew mojej woli krew na krew potworów, przygważdżają mnie tu do łóżka, podczas gdy za drzwiami mojego mieszkania potwory wrzeszcząc czekają na moją prawdziwą krew, która może jest słaba, ale mimo wszystko jest krwią normalnego człowieka, więc piją lub zastrzykują ją sobie, błagają o nią, wrzeszczą, więcej krwi Humberta Peñalozy, więcej, więcej, słyszę krzyki spragnionego tłumu, który kłębi się u mych drzwi, ale nie mogę się ruszyć, bo unieruchomili mnie tymi piekielnymi sondami, obecnością potworów poprzebieranych w domina, w maski, które wymieniają między sobą, pytają, jak się czuję, sami przejęci, mówią, żebym się nie przejmował, że wszystko będzie dobrze, że to normalne zabiegi, ale nikt nie pyta o moje zdrowie, ci lekarze i pielęgniarki mówią, że mnie nie znają, pytają, jak się nazywam, przynoszą jakieś karty do wypełniania i chociaż wszystko wiedzą na pamięć, udają, że nic nie wiedzą, mówią, że znaleźli mnie w kałuży krwi i tyle, skąd więc mają wiedzieć, kim jestem, zabierają mi nawet nazwisko, nawet to mi kradną, Humberto Peñaloza, Humberto Peñaloza, Humberto Peñaloza, wrzeszczę, ale mego głosu nie słychać, więc współczująco kiwają głowami, biedny, biedny, i chowają druki, na których nie wpisali mego nazwiska. Oni drwią ze mnie, matko Benito, widzą, że jestem tak słaby, że nie pamiętam nawet własnego nazwiska, że nie jestem w stanie zidentyfikować się, pomóż mi, ty pobożna, ty współczująca, chociaż po co, nie chcę wiedzieć, kim jestem, już nie jestem tym, kim byłem, nie odchodź, matko Benito, nie puszczaj mojej ręki, nie każ mi umierać samotnie. Albo nie. Odejdź. Ty nie jesteś matką Benitą, ty się tylko pod nią

podszywasz, odejdź. Nie jestem tutaj nieznany, kiedy tylko mi się zechce, mogę wezwać Emperatriz, ona nie tylko mnie kocha tak jak ty, matko Benito, ale w dodatku mnie pożąda, kocha mnie inaczej, chce zostać moją żoną, a ja obiecałem, że się z nią ożenię, bo także ją kocham, mogę zawołać, by przyszła i usiadła przy mnie, kawałkiem waty nasączonej wodą kolońską przetarła mi spocone czoło, wzięła mnie za rękę i gładziła ją delikatnie, mówiąc, żebym się nie przejmował, żebym się nie bał, że ona czuwa przy mnie, że wszystkie potwory z Rinconady są zrozpaczone tym, co mi się przydarzyło, że niezliczone litry krwi dają mi olbrzymki, grubaski, syjamscy bracia, garbusy, albinosi, karły i wszystkie inne dziwolągi, teraz cała ta krew płynie już w mych żyłach, podczas gdy doktor Azula bez końca wypompowuje moją dawną krew sondą wpuszczoną mi przez nos i mówi, bym się nic nie bał, wszystko będzie dobrze, to stara krew, do niczego, płuczemy ci żołądek, będziesz zdrów, ale ja wiem, że to kłamstwo, że to rabunek. Wiem, że moja dawna krew była dobra, czarna, bo skoncentrowana, a teraz oni przechowywać ją będą w ampułkach z etykietką, na której będzie figurowało nazwisko wymazane z mej pamięci. Zresztą teraz, matko Benito, jestem już tylko zbiorem tych potworów, które przetoczyły we mnie swoją ohydę, aby zawładnąć moją zwykłą, pospolitą krwią.

# 17

Czyżbym nie tylko był niemy, ale jeszcze i głuchy? Jakby nie dość było, że jestem prawie ślepy, zaledwie rozróżniam kształty i nie widzę, czy to krzesło, czy szafy, czy umywalki, czy postacie, czy jakieś zasłony, które pojawiają się, giną, zmieniają miejsce, gasną i zapalają się bez powodu, a nagle w połowie ruchu znikają bez przyczyny. Nie słyszę kroków, nie słyszę żadnego hałasu, wszystko jest z waty i gazy, z miękkiej, pozbawionej konturów waty, mogę zanurzyć palce w tej masie waty będącej człowiekiem, lekarzem, pielęgniarką, nie wiem czym, lub też objąć miękki, niekształtny kawał waty wiszącej na ścianie i udającej rozproszone światło. Ja także jestem z waty. Przesuwam rękami po ciele, ale nie czuję ani jego formy, ani konsystencji, bo nie czuje się konturów ani formy waty, czuje się tylko jej miękkość, jej białość; chwilami odróżniam zarys jakiejś pochylającej się nade mną twarzy, maska otwiera usta i mówi coś, czego nie słyszę, po czym otaczająca mnie wata z powrotem wchłania cień postaci: jedyną rzeczą nie z waty są cztery pręty w nogach mego łóżka, gdzie wisi moja karta chorobowa, którą lekarz przegląda uważnie, którą omawia z białą pielęgniarką. Zagłębiam głowę w wacie poduszki.

– Zasypia.

– To dobrze.

– W ten sposób nic nie będzie czuł.

Czego mam nie czuć? Podchodzą inne pielęgniarki, twarze w maskach z gazy, ale już nawet tych masek nie widzę, coś szepczą, wygładzają mi prześcieradła, poruszają rezerwuarem z krwią wiszącym gdzieś pod sufitem, patrzą na wykres temperatury, wkładają mi do ust termometr, szepczą, uśmiechają się, wciąż się uśmiechają, zbyt dużo się uśmiechają, choć nie ma z czego; jedna z nich delikatnie klepie mnie po ramieniu i mówi jak do dziecka:

– Śpij sobie, śpij.

O to im chodzi! Ale ja nie zasnę. Ta krew, która przez gumową rurkę wpływa do mej żyły, ułatwia mi uczepienie się czegoś czarnego, czerwonego, czegoś, co pozwala oprzeć się tej białości, tej spowijającej mnie białej senności, i w ten sposób chwytać strzępy rozmów zamaskowanych postaci, szepczących, że don Hieronim polecił nie szczędzić wysiłków ani kosztów, aby mnie operować i leczyć, że wymieniono osiemdziesiąt procent mojego ciała, a zostawiono tylko dwadzieścia, że operacja była bardzo poważna, że zagrażała życiu.

Ręce, które podnosząc kołdrę układają mnie na boku i opuszczają spodnie od piżamy, są szorstkie tak jak i igła, wroga igła, którą wbijają mi w ciało, wrogi płyn, który mi wstrzykują w pośladek; szorstka i twarda jest również moja trzeźwość, która zaledwie ociera się o sen. Ona siedzi koło mego łóżka, przygotowując strzykawki i igły, z brzękiem przewraca je w biało emaliowanej nereczce z niebieskim brzegiem. Dlaczego nie robi tego ciszej i delikatniej, przecież don Hieronim nakazał jak najsprawniejszą opiekę? Patrzę na nią, bo mam ochotę zwrócić jej na to uwagę, ale nie mówię nic, bo ją poznaję: to ona. Pomimo białej, dość wysoko zachodzącej maski i czepeczka, który zasłania jej część twarzy, poznaję, że to ona

mnie pilnuje, ona manipuluje rezerwuarem z krwią, ona odkręca kurek więcej, coraz więcej, robię się purpurowy, palę się, płonę, nie wytrzymuję żaru ognia i bólu równocześnie wszystkich ran, bo mam wiele ran, które bolą nie wiadomo gdzie, ale tak mocno, że w końcu ten ból mnie zabije; krew wypływa zbyt szybko z naczynia i parzy mnie, och, jestem purpurowy, szarpany pazurami, kłami, poćwiartowany na stole operacyjnym, chirurgiczny nóż wyrwał trzy czwarte mojej istoty, oparzenie piecze, krew wali, a ja wchłaniam tę krew, ja zwielokrotniony, ja purpurowy, ja rozszarpany pazurami, zębami, nożem... och, zbyt szybko wpływa ta krew, zamknąć kurek, zamknąć kurek... lepiej; zaczynam chłodnieć, ziębnąć, lodowacieć, staję się kawałkiem lodu, z którego kropla po kropli kapie woda, z nosa kapie mi woda, z rąk kapie mi woda, z nóg kapie mi woda, sopelek lodu, który topnieje, topnieje, aż stopnieje i nie zostanie nic. Przychodzą pielęgniarki, odkrywają mnie, gadają ze sobą, pewne, że nic nie słyszę, obnażają mnie z wyrazem obrzydzenia, bo jestem brudny, a im dłużej to trwa, tym brudniejszy jestem i bardziej cuchnący, więc choć są do tego typu rzeczy przyzwyczajone, wzbudzam ich wstręt, kładą mi czystą piżamę, ale wybrały najstarszą i najbardziej połataną, we cztery manipulują przy zmienianiu prześcieradła, równocześnie na cały głos gadają o Pedro Perezie, że kupił samochód i pojechał na spacer z Fernandem Fernandezem, który dostał wymówienie za niepunktualność, ale powiedział Gonzalo Gonzalezowi, że to bezprawie, a potem wołają na cały głos do innej pielęgniarki, która śmieje się z czegoś, stojąc pod drzwiami, żeby poprosiła w aptece o nową flaszkę serum, hałasują, nie liczą się ze mną, nie traktują mnie jak chorego poleconego im przez don Hieronima, ale raczej jak więźnia. Wyobrażam sobie, że ze

mnie się śmieją, bo wiedzą, że wycięto mi osiemdziesiąt procent... wody, wody, myślę, że wołam wody, ale widać mówię coś innego, bo poruszają głowami, że nie, a przecież nikomu nie odmawia się szklanki wody, nawet takiemu, któremu wycięto osiemdziesiąt procent. Coś zupełnie konkretnego musiało zwrócić wszystkie te pielęgniarki przeciw mnie, wiem, że będą mnie dręczyły, po to tu są, cztery pręty w nogach łóżka nie są już prętami w nogach łóżka, są prętami w oknie, jestem uwięziony w tym pokoju, gdzie wszystkie pielęgniarki i wszyscy lekarze nienawidzą mnie, czego dowodem, że odmawiają mi jedzenia i picia, a przecież wody nie odmawia się nikomu. Pod maskami z gazy ściskają sobie nosy, żeby nie czuć mego smrodu. Ale nawet gdybym nie śmierdział, brzydziłyby się mnie tylko dlatego, że to ja, po prostu wpadłem w łapy don Hieronima, uknuty podstęp został wcielony w życie, a ja, który wszystko brałem za dobrą monetę, wpadłem w pułapkę, połknąłem haczyk; don Hieronim od dawna szykował to, co teraz się stało. Chciał mieć mnie przywiązanego do łóżka, w celi z okratowanym oknem, znarkotyzowanego, niezdolnego do najmniejszego ruchu, omotanego sondami, gumowymi rurkami wprowadzonymi do nosa, potrzebującego krwi potworów, ażeby nie zemdleć, więźnia tego małego białego pokoiku, w którym leżę teraz na wprost okna patrząc na ulicę, na domy, na pompę benzynową, na kogoś idącego po przeciwległym chodniku... to jakiś mechanik w niebieskim kombinezonie, przyklęka i sprawdza ciśnienie w kołach, jedzie auto, pierwsze poranne auto, bo jeszcze jest bardzo wcześnie, pielęgniarki z nowej zmiany właśnie mnie przebudziły chichotami na korytarzu, telefonami, tak, tak, don Hieronimie, tak, właśnie się przebudził, tak, tak, zrobiłyśmy mu następny zastrzyk, nie, wszystko będzie dobrze, niech się

pan nie niepokoi, niech pan go spokojnie nam zostawi, wszystko to, do czego pan zmierzał przez te lata, zostanie spełnione, to jego wina, niech teraz płaci za swoje zarozumialstwo owego dnia w Muzeum Antropologicznym; powiedział przecież panu, że jest pisarzem, niech więc pisze, ale nie napisał nic, ciągle tylko opowiadał, że napisze pańską biografię, że napisze biografię tej Błogosławionej pochodzącej z waszej rodziny, że napisze powieść, esej filozoficzny, co dzień mówił co innego, czy też może co dzień to samo, tyle że w innej formie, nie mógł się zdecydować, nie był w stanie zacząć, ile razy siadał do maszyny, wstawał nie napisawszy ani słowa, ale na wypadek, gdyby pan zapomniał, don Hieronimie, pozwalamy sobie przypomnieć, że to indywiduum nie powiedziało panu, że ma zamiar zostać pisarzem, co w młodym człowieku, jakim był wtedy, byłoby nawet wzruszające i zrozumiałe, nie, on powiedział, że jest pisarzem, jakby się nim urodził. No pewno, wy, pielęgniarki, zdobyłyście swoje umiejętności w wyniku długich i kosztownych studiów, więc nie możecie zrozumieć, iż mówiąc, że jestem pisarzem, nie kłamałem, byłem pisarzem, bo czułem, iż postać don Hieronima bardziej pasuje do literatury niż do rzeczywistości. Tak, zaangażowałem się, to prawda. Na cały głos powiedziałem to, czego przedtem nie powiedziałem nikomu i nigdy:

– Jestem pisarzem.

Zaangażowałem się w stosunku do pana, don Hieronimie. Już nie mogliśmy się rozstać, przywiązałem się do Rinconady, do Inez, do Pety, do pana, do Domu, do matki Benity, do tych postaci z balu, który wiele lat temu wydała Emperatriz pod hasłem „Szpital". To był haracz, który złożyłem pragnieniom mojego ojca. Doktor praw to coś znaczy, mój synu, jeżeli zostaniesz doktorem praw,

będziesz kimś; ja zaś nic nie mówiłem ojcu, niemal przed sobą samym nie przyznawałem się do tego, że nocami pisuję wiersze, aby nikomu to przez myśl nie przeszło w tych naszych mieszkaniach zawsze jednakowych, zawsze maleńkich, zawsze z balkonikiem, na którym moja siostra marzyła o fortepianie nakrytym serwetą z Manili...

Czasem wieczorem mówiłem do ojca:

– Muszę wyjść. Jest zebranie mojej partii.

Ojciec starannie zawiązywał mi krawat, który ściągałem na rogu ulicy, i szedłem do baru „Herkules", gdzie siadałem przy stoliku w rogu, aby pisać. Rosita podawała mi kieliszek czerwonego wina, kanapkę.

– Jak dziś pan nie ma, zapłaci pan kiedy indziej.

Czekałem, aż zamkną, a potem odprowadzałem ją do domu. Nazywam się Zoila Blanca Rosa López Arriagada, powiedziała mi kiedyś i zaczerwieniła się czując, że wydawało mi się to dość prostackie, ale nie rozśmieszyło mnie, raczej wzruszyło, gdy potem objaśniła, że urodziła się po czterech chłopakach i wydała się swemu ojcu tak śliczna, taka biała i różowa, że nazwał ją Blanca i Rosa. Głaskałem spód jej ręki, trochę biały, a trochę różowy, i pożyczałem jej szalik, bo to była jesień, liście z platanów spadały i nagle wszystko było poważne, poważne i wzruszające, mimo że ciągle zdawałem sobie sprawę ze śmieszności jej imienia. W owych czasach zrozumiałem, że dobrze czuję się właśnie z bywalcami baru „Herkules", mymi nowymi kolegami uniwersyteckimi, trochę gruźlikami, trochę poetami, którzy przychodzili tam w przemoczonych, oblepionych trocinami bucikach. W tym barze, gdzie grywaliśmy w domino z robotnikami z pobliskiej stacji benzynowej, gdzie każdy z nas był albo anarchistą, albo dekadentem, wszyscy biedni jak myszy kościelne, więc do widzenia, skrypty, może już je sprzeda-

łem na papierosy, dość miałem tego, dość zachowawczych partii i krawatów, i dobrze brzmiących nazwisk. Moi źle ogoleni koledzy nigdy nie chodzili na wykłady, spotykali się w „Herkulesie", żeby trochę pożartować z profesorów, podzielić paczkę, którąś jakaś stęskniona matka podesłała z prowincji, bo właśnie zaszlachtowano świniaka, to niech dzieciak skosztuje domowych kiełbas i salcesonu, i kaszanki, niech poczęstuje przyjaciół, tak mało forsy możemy mu posyłać na te studia, niech chociaż ma z domu paczuszkę dobrze pachnącą czosnkiem i papryką, to go rozerwie w zimowe wieczory, no i trochę kawy, żeby nie zasypiał przy nauce; tacy byli moi nowi przyjaciele, kumple pachnący winem, które pili okręceni szalikami, bo w „Herkulesie" było zimno jak diabli, tak jak i w skromnych pensjonatach, gdzie mieszkali, jak i na ulicach pełnych błota, po których chodzili w dziurawych, pozatykanych kawałkami kartonu bucikach, ale na piechotę, bo szkoda paru groszy na tramwaj, lepiej zachować je na kieliszek czerwonego wina z przyjacielem, a jak nie ma forsy, to zastawić zegarek, sprzedać skrypty. Co ci z tego przyjdzie, że napiszesz książkę, Humberto, kiedy nie masz ani grosza na wydanie, a żeby znaleźć wydawcę, trzeba mieć stosunki i nazwisko, a ty nie masz ani tego, ani tego.

Luis kaszle coraz bardziej, zabierają go i ślad po nim ginie.

– Pewno umarł.

– To szczęście umrzeć młodo.

– Postaw drugą kolejkę, Rosita, w poniedziałek ci oddam.

– No więc jak sobie wyobrażasz, że będziesz publikował, Humberto?

Subskrypcja, rzecz jasna. Mówiłem z drukarzem. Trzeba dać tylko zadatek. Potem, w miarę uzyskiwania

subskrybentów na egzemplarze, spłaca się resztę. Wtedy napisałem do pana, powołując się na nasze spotkanie w Muzeum Antropologicznym, ofiarowując panu moją książkę już napisaną, tyle że jeszcze nie wydaną z braku funduszów na ów zadatek właśnie. W parę dni później znalazłem na poste restante serdeczny list pana z załączonym czekiem; oferował pan subskrypcję nie jednego, lecz stu egzemplarzy z zaplanowanych pięciuset. Wziąłem pieniądze i manuskrypt i zaniosłem do drukarni.

A kiedy po raz pierwszy ukazało się moje nazwisko, którego już nie pamiętam, choć wiem, że jest wypisane na karcie chorobowej w nogach łóżka, gdzie białe fartuchy co jakiś czas spoglądają kręcąc głowami, moje nazwisko, którego ty też nie znasz, matko Benito, bo dla ciebie jestem tylko Głuszkiem, który zamiata, szoruje, bierze napiwki, naprawia krany i zabija okna, mój ojciec zapłakał z dumy. „Nowy talent, który zaledwie wylągł się z poczwarki, zapowiada jednak ogromną wrażliwość artystyczną, wrażliwość niemalże chorobliwą, otaczającą się nadmiarem obrazów o posmaku nieraz dekadenckim. Nazwiska tego nie wolno nam będzie zapomnieć, bowiem już pozostawiło ślad, wpisując się swą artystyczną wrażliwością w literaturę naszego kraju: Humberto Peñaloza". Tak się nazywam, matko Benito: Humberto Peñaloza. Wiedziałem, że nie zapomnę tego nigdy, bo tego nikt mi nie ukradł, po co komu takie brzydkie, pospolite nazwisko, nie przyda się żadnej z tych biało ubranych pielęgniarek, żadnej z tych postaci z waty. Ojciec nie wiedział... jakże mógł się domyślać tych moich sekretnych pasji, które ukrywałem przed nim, byłby przecież uznał, że zawód literata również może daleko zaprowadzić. Moje nazwisko, wypisane wielkimi literami w niedzielnym dodatku literackim najpoważniejszego dziennika, dawało nazwisko rów-

nież i mojej rodzinie, niechże je tylko zobaczy, oto wydrukowane jest w całej swej okazałości: Humberto Peñaloza; wszak było to również i jego nazwisko, ojciec poprosił więc matkę o nożyczki, z okrucieństwem wbił je w papier i uroczyście wyciął artykuł. Powiedziałem mu wtedy, że to pan, don Hieronimie, tak wspaniałomyślnie subskrybował sto egzemplarzy po sto osiemdziesiąt stron każdy, aby pozwolić na ukazanie się tej książeczki o brzydkim zielonkawym grzbiecie.

– Don Hieronim de Azcoitia? Jakże, u diabła, go poznałeś?

Przez chwilę patrzył na mnie zdumiony, a potem zapytał znowu:

– Czy chociaż poszedłeś mu podziękować?

– Nie.

– No, to już rzeczywiście szczyt! Ubieraj się, ale już... ciemne ubranie... najlepsza koszula... jeżeli jest pognieciona, niech ci matka wyprasuje. Masz zaraz do niego iść. Jak można było okazać taki brak wychowania? Mój syn, ktoś, kto nosi moje nazwisko...

Po raz pierwszy w życiu odważył się mówić o swoim nazwisku.

...kto nosi moje nazwisko, zachował się jak niewdzięczny cham.

Krzyknąłem ci wtedy, że w brzuchu wciąż boli mnie ukłucie nożyczek, którymi wyciąłeś artykuł na mój temat. Niech ta idiotka moja siostra przestanie wklejać do albumu wycinki z moim nazwiskiem i ozdabiać każdy wycinek głupimi wianuszkami z kwiatów, dajcie mi ten album, niech go spalę, jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, nie należę do żadnej partii i co noc upijam się w knajpie z przyjaciółmi, którzy naprawdę cieszą się z mojego triumfu, zresztą to nie żaden triumf, zaledwie powodzenie, a oni to

wiedzą i oceniają właściwie, bez umniejszania tego, co mnie spotkało, ale i bez przesady, a poza tym już nie chodzę na żadne wykłady, ani mi się śni być adwokatem czy też notariuszem, nie chcę być nikim takim, dajcie mi święty spokój, nie zabierajcie mi jedynej rzeczy, która jest naprawdę moja, tej książki... Może nie będziesz miała posagu, córko, mówił ojciec do mojej siostry, ale co innego wniesiesz w twoje małżeństwo, coś, z czego będziecie oboje dumni, ten album wycinków prasowych mówiących o twoim bracie, o tym, że twój brat to ktoś, kto ma nazwisko.

– Masz dbać o moje nazwisko, słyszysz?

– A od kiedy ty masz nazwisko?

Wyszedłem trzasnąwszy drzwiami i nie wróciłem więcej. Tego wieczoru, don Hieronimie, kiedy pojawił się pan w barze „Herkules", aby mnie tam odnaleźć, od miesięcy już mieszkałem z Rositą w małym, pachnącym chlorkiem pokoiku nad pralnią. Jej drobne, świeże ciało splecione z moim pozwalało mi zapomnieć o ojcu i jego wymaganiach; znikły nawet moje dotychczasowe skurcze żołądka. Ona nie pytała mnie, co piszę, również nie pytali mnie chłopcy, z którymi w niedzielę grywałem w domino. Koledzy z uniwerku rozleźli się, ja jeden zostałem wierny „Herkulesowi", dobrze mi tam było, gdy z kąta sali patrzyłem na uśmiech Rosity schowany za ekspresem do kawy, i nie brakło mi ich: poeta gruźlik zmarł, tak jak mu było pisane, w baraku, Manolo dostał posadę w Kasie Urzędniczej (stary szmaciarz miał już dość głodu i wiecznej gadaniny matki, że w domu nic nie ma), Niocanor wrócił na swą deszczową prowincję, gdzie się ożenił z dziewczyną, którą przeznaczyli mu rodzice, aby połączyły się dwa sąsiadujące kawałki ziemi, i tak dalej... a ja spokojnie grywałem sobie dalej w domino aż do dnia, gdy

pan stanął w progu. Podszedł pan do baru i zapytał o mnie Rositę. Wskazałaś mnie twą niewinną dłonią w głębi sali, w rogu, obok piecyka, z którego rozchodziło się trochę ciepła, pan popatrzył na mnie ponad głowami klientów w żółtawym świetle, a ty, Rosito, wskazałaś mnie i wydałaś don Hieronimowi, ze związanymi nogami i rękami, niezdolnego do jakiegokolwiek oporu. Poczułem ból tu, w tym miejscu, które teraz pokryte jest warstwami waty, gazy i plastrów, ból, który zwiększał się i zaostrzał, podczas gdy pan podchodził do mnie wymijając oblężone stoliki. Oparłszy łokcie o marmurowy blat usiłowałem skupić się na następnym posunięciu. Ale cios nożyczek zapierał mi dech, pan stał za mną, cisza; jakim cudem dowiedział się, gdzie mnie szukać, czyżby poszedł do naszego domu, czyżby gorliwy i usłużny ojciec zaprosił go do naszego wzruszającego saloniku, do tego kulawego stołu, nakrytego lauferkiem haftowanym przez moją siostrę, czyżby pokazał mu album i przedstawił go matce, dyskretnej, sceptycznej, skrycie ironicznej?...

– Trójka.

Ręka don Hieronima dostawiła kostkę. Zerwałem się wściekły:

– Co się wtrącasz, do cholery?

Pan się roześmiał. Nie, z początku tylko się pan uśmiechnął.

– Nie poznaje mnie pan?

Nagle przy innych stolikach rozmowy ucichły. Patron i Rosita patrzyli na nas poprzez wiszące wędliny, poprzez zadymioną salkę. Ktoś mruknął:

– Będzie chryja.

Wtedy dopiero pan roześmiał się naprawdę i powiedział:

– Żadnej chryi nie będzie.

I odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z sali. Mój partner, który obserwował to, co się działo za moimi plecami, powiedział mi, że zatrzymał się na sekundę, zanotował coś na kartce i podał ją Rosicie. Wygrałem partię.

– Idę.

– Tak wcześnie dziś wychodzisz?

– Rewanż jutro.

Wiedziałem już, że jutra nie będzie. Owinąłem szal dokoła szyi. Podszedłem do baru, by szepnąć Rosicie:

– Idę.

– Dokąd?

– Jakoś źle się czuję... Brzuch...

Już wychodziłem, gdy zawołała mnie jeszcze:

– Słuchaj no...

– Mów.

– Ten gość kazał ci powiedzieć, że czeka na ciebie jutro o dziesiątej rano u siebie w domu.

Podała mi kartkę z adresem. Podarłem ją.

– Niech idzie do wszystkich diabłów.

Mogłem sobie pozwolić na podarcie tej kartki: dobrze znałem żółtą fasadę jego domu na wprost parku; to, co zrobiłem, było tylko gestem, aby Rosita nie zdała sobie sprawy, że nigdy już nie będę spał w jej objęciach.

# 18

Wszystko, od samego początku, od „Herkulesa", nie, wcześniej, od tego popołudnia w Muzeum Antropologicznym czy też jeszcze wcześniej, od chwili, gdy jego rękawiczka dotknęła na ulicy mego ramienia, wszystko to, krok po kroku, z niezmierzoną cierpliwością zostało utkane, aby mnie omotać jego zaufaniem, aby od chwili, gdy zacząłem mu służyć, zrobić ze mnie świadka swej miłości i przez to mnie uwięzić; Inez była pierwszą przynętą, aby lepiej połknąć haczyk; władza nad światem potworów, gdzie moje nędzne ciało miało go wcielać, gdzie miałem być ojcem jego syna – ostatecznym kuszeniem, najcieńszym haczykiem; połknąłem go, zaczepił się i już nie mogę się uwolnić, przykuty do łóżka, które na przemian parzy i zamraża, zastrzyki, jedne po drugich, nie pozwalają mi myśleć, nie przeczcie, wiem dobrze, że temu mają służyć, mają zabrać mi światło i pogrążyć w tych ciemnościach nie będących ani życiem, ani śmiercią, wciąż nowe rezerwuary krwi, która nie pozwala mi umrzeć, ale nie pozwala mi również połączyć rozproszonych okruchów świadomości. Dlaczego, don Hieronimie, dlaczego to wszystko, przecież nie po to, żeby zmienić mnie w *imbunche*, chociaż to byłby spokój ostateczny: wszystko zaszyte, miast by wszystko zostało otwarte precyzyjnym cięciem noża doktora Azuli; zostać zaszytym, słuchając

cichych kroków staruszek – one nie chcą, bym był otwarty, więc zjawiają się, by mnie zaszyć, poczciwe staruszki, przez okno widzę, jak snują się po ulicy, czekając na mnie na rogu koło pompy, ta, co się uśmiecha do mnie z okna naprzeciwko, to chyba Dora; dlaczego nie pozwalają im wejść – we wszystkich klinikach są przecież godziny odwiedzin, we wszystkich, ale nie tu, bo to nie jest klinika, lecz białe więzienie, i dlatego poczciwe staruszki (jestem przecież jedną z nich) czekają na mnie w kwadracie okna, chcą dać mi spokój, chcą mnie zabrać, owinąć, żeby mi nie było zimno, dlatego przyniosły swoje torby, wszystko jest przygotowane, czekają bez zniecierpliwienia, bo czas starych jest nieograniczony, jedne zastępują drugie, nie, nam się nie spieszy, poczekamy, aż skończą przetaczać tę krew do żyły biednego Głuszka.

Na dworze jest zimno. Dmie lodowaty wicher, którego nie poczuję już nigdy w życiu, tak jak nie poczuję smaku wody w ustach, bo mi jej nie dadzą, jakby woda mogła komukolwiek zaszkodzić... Nie widzę wiatru, bo nie ma chorągwi ani sztandarów, nie widzę przechodniów ani samochodów, nic nie porusza się w tym pejzażu miejskim, w którym tylko można się domyślać zimowego chłodu. Zawsze już będą trzymali mnie tu, w tej zbyt nagrzanej kostnicy.

Zamykam oczy, aby oddalić od siebie pustkę i smutek ulicy. Pod powiekami rysuje się pewność: chcą cię tu zatrzymać i nigdy nie pozwolić ci wyjść, aby po kolei zrabować wszystkie twoje członki; sam widzisz, że osiemdziesiąt procent już ci zabrali... Tak, to właśnie chcą zrobić. Robią to. Otwieram oczy, ale w kwadracie okna nie poruszyło się nic. Usiłuję unieść się na łóżku; ale nie mogę. Kto wie, od jak dawna jestem do niego przywiązany, zanurzony w tym wiecznym zmierzchu. Zaczęli od pod-

mienienia mi krwi, przecież na własne oczy widziałem, jak doktor Azula wyciągał z moich żył jedną strzykawkę krwi po drugiej i oddawał wrzeszczącemu tłumowi, który pożądał jej, a dostawszy uspokajał się na chwilę. To samo zrobią ze wszystkim, co mi pozostało: wytną mi resztę zdrowych członków, aby dać je potworom w miejsce ich nienormalnych organów, nocą czułem piłę odcinającą mi nogi, czułem, jak nakreślili czerwone kółko najpierw wokół mojej prawej kostki, potem wokół lewej. Tej nocy obudziłem się z olbrzymimi stopami, z żółtą błoną pomiędzy palcami, cóż – płetwy, podejrzewam, że ręce także zmienili mi na płetwy, ale nie chcę ich widzieć, więc trzymam je pod prześcieradłem, nie chcę patrzeć na te ohydne błony łączące moje palce, obrośnięte grubą warstwą skóry potwora. Z pewnością ustalono jakąś kolejność, której pilnuje Emperatriz; nie przyszła jeszcze, musi być bardzo zajęta w biurze, gdzie w białym wykrochmalonym czepku na głowie uśmierza chciwość potworów czekających na moje członki, potwory pierwszej, potwory drugiej klasy, poproszę o nazwisko, czego sobie pan życzy, proszę o nową twarz, aby zastąpić tę zniekształconą, o, to najtrudniejsze, mamy bardzo dużo zamówień na twarze, wszyscy chcą nowych, a jest ich bardzo niewiele, to długi proces i wyjątkowo delikatny, przecież twarz jest ważniejsza od wszystkiego innego.

A potem moja skóra, obedrą mnie z niej, aby ubrać w nią albinosowate ciało Melisy, i obudzę się po Bóg wie ilu dniach snu, zmieniony w białą duszyczkę zbrojną w parę czarnych okularów... a mój nos, a nerki, a ręce, a żołądek, e, ten już mi chyba wycięli, w każdym razie osiemdziesiąt procent, a wątroba, a płuca, wszystko to, co zdrowe, oddane będzie hałaśliwym potworom stojącym w ogonku do biurka Emperatriz, bezbłędnej, dokładnej,

drobiazgowej, uwzględniającej priorytety i konieczności, zaznaczającej krzyżykiem, kropką (jeżeli czerwona – to pilne), cała poczekalnia monstrów zazdrosnych o moją nijakość, olbrzymów pragnących mojego wzrostu, plamiastych pragnących mojej jasnej skóry, normalnych matek przyprowadzających nienormalne dzieci, żebym im coś ofiarował, och, cokolwiek zdrowego dla mojego synka-potworka, normalne dzieci, które przyprowadzają nienormalnych rodziców, żeby sprawdzić, czy w ich wieku można jeszcze coś zrobić, jakoś zamazać ten wstyd, mnie obciążając ich kalekimi organami, które bez końca przeszczepiane we mnie stwarzają moje nowe ja, sumę wszystkich potworności, nowe ja, w którym będę skazany na poznawanie samego siebie w ruchomym piekle choroby, deformacji, śmieszności i błędów, podczas gdy moje zdrowe członki poprzeszczepiane ekspotworom będą wybawiały je od ich potworności tak długo, aż powoli staną się zupełnie normalnymi istotami, równie nijakimi jak ja, ja, którego trzymają tu teraz przykutego do łóżka, wpatrzonego w szyby tego zamkniętego okna, w oczekiwaniu, aż mnie znowu uśpią, aż zabiorą mi drugą nerkę, drugie ucho, paznokcie, które zastąpią szponami. Wszystkie potwory wyzdrowieją w Rinconadzie, wszystkie staną się normalne, pospolite, nijakie, wolne i żadne, wszystkie zaczną życie normalne, pospolite, nijakie, miejskie albo wiejskie i będą miały sąsiadów, i pozawierają przyjaźnie, podczas gdy ja, tu, zamknięty wśród nich...

Ale to niemożliwe. Tak się nie stanie. Przecież jestem stworem ograniczonym, mam tylko dwa płuca, jeden nos, dwoje uszu, trzydzieści dwa zęby, dwie ręce, dwie nogi... Obudziwszy się o jakiejś godzinie nocy lub dnia (bowiem światło ani cień nie uwidaczniają się w mym oknie), zdałem sobie sprawę z czegoś bardzo dziwnego: że moje

ręce i nogi już nie są płetwami, że przeszczepione na mnie organy potworów z powrotem stają się normalne. Dlatego mnie usypiają. Przez sen czuję lancet doktora Azuli, piły, którymi odpiłowują mi kości, czuję, jak kroją, szyją, odrywają, odcinają części mego ciała, już te nowe, już raz przeszczepione, które jednak po przeszczepie stały się normalne, śpię, ale czuję wszystko i już wszystko wiem: wiążą mnie i nigdy nie pozwolą mi wyjść, bo jestem szkółką zdrowych części ciała, jednoosobową fabryką normalnych członków: dlatego don Hieronim każe utrzymywać mnie przy życiu, bowiem stworzył tę fabrykę, która stoi na mnie jednym, fabrykę, której jedynym producentem jest moje ciało. Abym nie zdał sobie sprawy z tego nadużycia, utrzymują mnie w stanie półświadomości, dając mi tylko taką dozę powietrza, abym nie umarł, a w tej stałej wymianie organów czas mój się wydłuża: ponieważ nigdy już nie będę człowiekiem, lecz tylko terenem kultur członków dla innych, nigdy nie umrę, będę trwał w tym wiecznym zmierzchu; już zawsze tak będzie i nic tego nie zmieni, wszystko jednakowe, prawie żadnej różnicy między czuwaniem a snem, don Hieronim nie pozwoli mi umrzeć, dopóki nie nasyci mną wszystkich potworów świata, które potem znikną z powierzchni ziemi, zostawiając we mnie jednym swoje potworności.

Znowu na korytarzach i zewnętrznych patiach słychać hałasy: ja potrzebuję ucha, dla mnie duży palec od prawej nogi, nie, przepraszam, od lewej, to musisz poczekać, bo na palec od lewej mam dużo zamówień, jesteś czwarty w kolejce, bo ja wiem, ile czasu, czasami palce odrastają bardzo powoli, poproszę o powiekę, o kawałek skóry, o jeden palec dla ręki, która od urodzenia miała tylko cztery... Czas, z którego jestem wyłączony, rozciąga się jak guma w obramowaniu okna, na ulicy nic się nie

porusza, ani dniem, ani nocą, ani ciepło, ani zimno, stałe podmienianie odradzających się członków bez prawa do śmierci, czas statystyczny, elastyczny, wszystko takie samo, wszystko białe, wszystko w półmroku, przyciszone głosy, zegar bez wskazówek, serce, które nie uderza, czas, który nie płynie w tym półmroku, odmawiającym mi prawa do ostatniego śmiertelnego skurczu.

Myślą, że śpię, mówią cicho, doktor Azula ogląda moją kartę chorobową, wykres temperatury, ciśnienia, stan czerwonych ciałek krwi. Pokazuje ją don Hieronimowi. Komentują te wykresy, od pielęgniarek żądają szczegółów, doktor Azula wiesza kartę z powrotem. Nie otwieram oczu, ale ponieważ przeszczepiono mi przezroczyste powieki węża, i tak wszystko widzę. Niech sobie myślą, że śpię. Nie mam ochoty być traktowany przez don Hieronima tak, jakby wszystko było w porządku. Jest moim wrogiem. Wszyscy oni są moimi wrogami. Nie otworzę oczu.

– Ma się zupełnie dobrze, don Hieronimie.

– Czy jest dostatecznie silny, by znieść zasadniczą operację?

– To są dwie równoczesne operacje, don Hieronimie. Uśpię was obu równocześnie na dwóch sąsiednich stołach, i podczas gdy pan będzie już przygotowany na przejęcie przeszczepu, przystąpię do ekstrakcji organów Humberta.

– Oby mi to wyszło na dobre. Moje genitalia może pan wyrzucić do śmieci, do niczego mi nie służą od dnia, gdy ten nikczemnik zazdrosny o moje powodzenie zakręcił mi w głowie zmuszając do stosunku ze starą babą, której zgniły seks skaził mój. A tymczasem on, niby tak mi oddany, pozwolił sobie na romans z Inez. Nie, o rogach nie mogło być mowy, Inez nie wiedziała, że to Humberto,

była przekonana, że oddaje się mnie. Mimo to nie mogę mu przebaczyć, że dotknął mojej żony, że ośmielił się zbliżyć do kogoś, kto z samego urodzenia był i będzie zawsze dla takich jak on niedostępny. Należy mu się kara. Trzeba raz na zawsze uniemożliwić mu współżycie z kobietą, trzeba zabrać mu seks i przeszczepić go mnie, ale jemu nie wszczepiajcie mojego, niech nie ma żadnego, nawet tak nieużytecznego jak mój.

Kiedy opuścili pokój, otworzyłem oczy. Popatrzyłem przez okno na nie kończącą się ulicę, nieruchomą niby fotografia czegoś codziennego, ani ciekawego, ani pięknego, zdjęcie zrobione bez żadnego powodu, po to, by wreszcie skończyć rolkę, na której były inne, rzeczywiście ciekawe fotografie, ale nie ta – perspektywa ulicy, na której nie zmienia się nic. Ogarnął mnie dziwny spokój na widok tego powiększenia fotograficznego na murze, na wprost którego miało płynąć życie moich nie kończących się metamorfoz. Spokój i radość. Bo jakżeby? Przecież zapewnił mnie o tym sam don Hieronim, że owej nocy w izdebce Pety Ponce spałem z Inez, jej pięknością się poiłem. Wobec tego cóż znaczyło, że nie pozwalano mi umrzeć, że odmawiano mi wody, że nie odróżniałem snu od jawy? Jak mogłem nie czuć spokoju patrząc na ulicę ginącą w dalekiej monotonii tego, czym miało być moje życie? Do czegóż wobec tego miały mi służyć organy rodne? Niech mi je wyrwą, niech cisną psom na pożarcie! Ja już przeskoczyłem barierę, dotknąłem zakazanego owocu – Inez. Don Hieronim nie ma prawa dowiedzieć się o tym moim ostatnim triumfie. Wyobraża sobie, że obrabuje mnie z seksu, tak jak mnie obrabował z blizny, ale nie, don Hieronimie, nie: darowuję go panu, już mi na nim nie zależy. Niech go pan zabiera, należy do pana. Niech doktor Azula odcina go – ja znalazłem spokój.

Znane postacie zaczynają pojawiać się na ulicy, słyszę kroki, uśmiechają się do mnie, z początku skrycie, z chodnika, stojąc na rogu, teraz już dają mi znaki, żebym zszedł, Ryta mówi, że otworzy mi bramę, Dora zapewnia, że mnie przygarną, Brygida macha do mnie przyzywająco ręką, słyszę dzwony na wieży Fray Andresito, jest czwarta po południu, zima, ale słońce, na dworze musi być dobre powietrze, niech czekają na mnie, kiwam, żeby trochę zaczekały, dzisiaj nie będę mógł zejść do nich, może i jutro jeszcze nie, ale pojutrze lub popojutrze z pewnością mi się uda – już będzie po operacji. Chodźże, chodź, Głuszku (Głuszku, bo zapomniano ci przeszczepić gardło i straciłeś głos, bo zapomniano ci przeszczepić uszy i stałeś się głuchy), chodźże, chodź, czekamy na ciebie, by cię przygarnąć, my nic od ciebie nie chcemy, tylko opiekować się tobą, chcemy być dobre dla ciebie, otulać cię, popatrz, te worki są po to, żeby cię w nich zabrać, tak by nikt tego nie zauważył, dla nas to nie ma znaczenia, że nie będziesz miał seksu, jesteśmy już takie stare, że mamy uczucie, jakbyśmy same nigdy w życiu go nie miały, mamy inne rozrywki, zobaczysz coś, co odbywa się niejako pod spodem spraw widocznych, znaczone karty, które łamią czas i obrazy, pokażemy ci, jak się nimi posługiwać, jesteś nasz, bo tak jak my zostałeś z wszystkiego obdarty, posiadasz więc siłę obrabowanych i nędznych, i starych, i zapomnianych, chodźże, chodź, Głuszku, bawić się z nami w nasze niewinne zabawy, sam jeszcze zobaczysz, co się może przydarzyć, kiedy my bierzemy sprawy w swoje ręce, liturgie, które umiemy stwarzać, niewinne, ale ściśle określone rytuały. W naszych wilgotnych galeriach, zrujnowanych murach, na naszych opuszczonych patiach, nie ma miejsca na seks, tak że nie będziesz tam żadnym wyjątkiem, będziesz taki sam jak

my, jeszcze jedna stara, której udało się zatriumfować nad tyranią. Śmiej się z don Hieronima, to ty go zniewalasz dając mu to, co jeszcze dzisiaj masz, ale od czego jutro czy pojutrze już będziesz uwolniony, gotów tu przyjść i zamieszkać z nami, trochę pozamiatać, trochę poszorować, kogoś przygotować na śmierć, za kogoś zmówić wieczny odpoczynek, wraz z nami pośmiać się z żartów Mercedes Barroso i „modernych" tańców Iris Mateluny (choć teraz, odkąd oczekuje cudownego dzieciątka, jakoś mniej tańczy), wraz z nami popijać mate, pokasływać i narzekać na niewdzięczność państwa, którzy nigdy nie pamiętają o człowieku, po tym jak dla nich poświęcił całe życie, a wieczorkiem jeszcze jeden różaniec, bo podobno w nocy znowu było słychać, jak don Klemens spaceruje po galeriach... ćć, ćć, baby, nie gadajcie tyle, nie krzyczcie, nie wołajcie mnie, nie hałasujcie, bo usłyszą, jak wołacie:

– Zejdź, Głuszku!

– Zejdź!

– Czekamy na ciebie...

– Tęsknimy za tobą, Głuszku...

Stojąc na przeciwległym chodniku wołają mnie, wymachują rękami, chusteczkami. Opamiętajcie się, staruchy, uspokójcie się, ależ tak, pójdę z wami, nie będę długo zwlekał, z pewnością pozwolą mi wyjść, żebym zaczerpnął trochę powietrza, pozwolą wam mnie zabrać, ażeby dopełniło się wszystko.

A więc ty także szydełkujesz coś dla Boya? Kto też ją dopuścił do sekretu siedmiu czarownic? To się musiało stać, kiedy byłem w szpitalu. Wprost nie poznaję matki Benity – odpoczywa, nie krząta się, jakby, tak jak ja, miała przed sobą całą wieczność, zmierzchającą się, rozpływającą, bez widoków na jakikolwiek kres.

Po coście mnie przywiązały? Przecież widzisz, matko Benito, że się nie mogę poruszać. A może mnie nie widzisz? Może trudno w tak wielkim łóżku zauważyć te dwadzieścia procent człowieka, do których zostałem zredukowany? Chociaż może nie jest ze mną tak źle, bo nie wyglądasz na zdenerwowaną, jesteś spokojna, siedzisz obok mnie szydełkując, może to biały szalik, przecież wszystko, co się przygotowuje dla Boya, jest białe. Spokój tego nie kończącego się popołudnia, o którym wiesz tak dobrze jak i ja, że skazane jest na wieczne trwanie, urzeka cię półmrokiem ulicznym, który ukazuje moje okno, a który dla mnie pozostanie taki już na zawsze. Bierzesz mnie za rękę, bo wiesz, jak bardzo boję się, że nie umrę, ale ja nie zawsze boję się tego, matko Benito, czasami upaja mnie myśl, że mój czas przedłuży się w nieskończoność pozbawioną początku i końca, płynącą przez tę ulicę, będącą jakąś wersją raju, fasady domów, chodniki, latarnie, bruki, okna, drzwi, zeschłe drzewo, anteny, kable, bo widziane stąd, gdzie jestem pod twoją opieką, wszystko to nie jest wersją piekła, jaką gnany wichurą przez nędzne ulice poznałem po mojej ucieczce z Rinconady, wtedy, gdy zrozumiałem, że wszystko zostało zaplanowane, nie aby uratować Boya, ale po to, aby upolować mnie; uciekłem więc samotny wśród zimna, pozbawiony rysów (bo doktor Azula zostawił już tylko dwadzieścia procent mojego ja), przebrany za żebraka, żeby nikt nie poznał mojego spojrzenia, zimno zaś, głód i nędza przybierały wtedy wygląd wrogich twarzy, właścicielki pensjonatów niezmiennie wyrzucały mnie na zbity łeb, na ulicę, bo im nie płaciłem, a przecież nie miałem pieniędzy, więc tylko włóczyłem się poprzez pusty czas, który mnie spowijał, noce i dnie, noce i dnie, jedne gorsze od drugich, ale wszystkie wrogie, nocami łaziłem po

parkach, ale nie tych, gdzie stoją konne posągi, gdzie są pergole i stawy, nie, po innych, tych podmiejskich pół parkach, a pół pastwiskach, po pustych terenach, których nikt nie pilnuje i dlatego nocami jest w nich miejsce dla nas, zapalających maleńkie ogniska, aby było przy czym ogrzać ręce lub zrobić herbatę, ogniska z suchych liści, które gasiliśmy szybko, aby nikt nas nie zauważył; my również woleliśmy nie zauważać się nawzajem, bo moglibyśmy się pozabijać. Teraz, gdy już jestem tylko tymi nieokreślonymi dwudziestoma procentami, włóczę się po ulicach i nie boję się, że Peta mnie odnajdzie, wchodzę do opuszczonych parków, nie żeby ukrywać się przed nią, ale żeby jej pokazać, iż nie jestem już tym, którego szuka. Niechże zrozumie, że szkoda jej wysiłków, niechże już odtąd goni za nim, to, o co ci chodzi, jest już w jego posiadaniu, Peto, to on przebił cię na wylot i kazał jęczeć z rozkoszy, w czasie tego jedynego orgazmu, o który twe życie walczyło od zarania wieków, od owego pierworodnego koszmaru, z którego wyszliśmy wszyscy, to ciężar jego ciała poczułaś tamtej nocy w twym łóżku, a nie mego, moja męskość dotknęła Inez, dlatego teraz pozbawiono mnie jej, wyrzucono na ulicę, którą widzę przez okno, na której nic się nie dzieje; milczy pusta stacja obsługi, w jakimś statycznym czasie ulica wydłuża się i kurczy, i znów wydłuża, idzie nią chuderlawy, brodaty żebrak w łachmanach, biedak, który często żebrze pod kościołem, bo jest głuchoniemy, a teraz idzie ulicą i nagle znika sprzed oczu innych jakby wymieciony przez wiatr, wchodzi do parku, w którym kryją się tacy jak on, ale on nie ukrywa się, matko Benito, przysięgam ci, że się nie ukrywa, w jakimś rowie rozpalił sobie ogień z zeschłych liści i zasypia z nadzieją, że nocą przyjdzie Peta i udając, że chce go okraść, przeszuka jego spodnie, ale Peta nie

chce nic kraść, matko Benito, ot, szuka u mnie tego, czego zawsze szukała, ale ja się nie przebudzę, bo ona niczego nie znajdzie, przełknie przekleństwo, którego nie dosłyszę, i pójdzie szukać gdzie indziej. Chociaż po prawdzie to nie jestem taki spokojny, matko Benito, a nawet chwilami trochę się boję, bo w gruncie rzeczy nie wiem, w jakim miejscu procesu przeszczepiania zatrzymał się doktor Azula. Może jeszcze nie zrobił zasadniczej operacji, może to były dopiero przygotowania i na ulicy, którą widzę z okna, nie ma ani żebraka, ani starych, poszły, zabrały się, wróciły do Domu. Ja także chciałbym wrócić do Domu, matko Benito, nocami snuć się po korytarzach, popatrzeć na Dorę i Rytę, ale już nie ma ich na ulicy za oknem, które widzę z łóżka, zimne moje łóżko, zimne moje okno, zimna ulica, na której nie ma ani mechaników, ani stacji obsługi, ani przechodniów, zimny wiatr wśród drzew pozbawionych liści, nie ma suszącej się na sznurach bielizny, wszystko statyczne, zatrzymane w jakimś momencie rozciągającym się bez końca, i ty przy mnie, troskliwa, pilnująca mnie, czuwająca nade mną, chociaż nie, ty nie czuwasz nade mną, ty mnie pilnujesz, Emperatriz, poznaję cię pod wytwornym dominem z białego atłasu, za pomocą którego udajesz pielęgniarkę, zatrzymałaś się koło mego łóżka, zanim wrócisz na bal potworów, gdzie twa potworność, którą wzięto za udane przebranie, została wyróżniona nagrodą. Siadasz i nie odchodzisz – coś musiało cię zainteresować, skoro nie ruszasz się stąd ani na chwilę, skoro godziny całe spędzasz przy moim łóżku, pilnując mnie, nie pozwalając mi drgnąć, abym nie umknął, abym dotrzymał obietnicy i ożenił się z tobą. Już nie masz na sobie pielęgniarskiego fartucha ani też eleganckiego domina, lecz tę straszliwą suknię ślubną, którą przygotowałaś nie wiem już jak

dawno, pełną haftów i drogich kamieni, z długim, ciągnącym się po ziemi trenem, z welonem przesłaniającym ci twarz i poruszającym się wraz z twym oddechem, suknię, której nie zdejmujesz dniem i nocą, wyfiokowana, pełna kokardek, loczków i srebrnych plecionek, z powiekami twych czujnych oczu lśniącymi od pajetek, z drogocennym diademem przytrzymującym tiul, symbol twej czystości, która oczekuje ostatecznej ceremonii, czyhasz tu, aż się obudzę, aby mnie złowić, o, nie umkniesz mi już, to jedyna okazja, trzeba być gotową dzień i noc, trzeba czatować, trzeba czuwać, pilnować, aby mi nie uciekł.

Lecz wobec tego... jeżeli czatujesz, musisz coś wiedzieć: a więc nie zoperowano mnie, jestem cały, nie zabrano mi organu, który posiadł Inez, ani nie wyrzucono tamtego do śmieci, jestem cały i dlatego czatujesz na mnie tutaj, a ona, Peta Ponce, tam, na zewnątrz, w tym parku, gdzie posiadła mnie uśpionego jakimś magicznym napojem. To rozpaliło w niej niewyczerpaną pożądliwość i nadal mnie tam oczekuje. A więc nie operowano mnie. Don Hieronim zatrzymany przez sprawy państwowe nie zdążył na czas: niechże teraz on czeka w tym zmierzchu, niechże czeka w tym rozciągającym się czasie, niechże czeka patrząc przez okno, Emperatriz będzie nad nim czuwała. Lecz Emperatriz nigdy nie służyła nikomu, jest panią siebie i dlatego, dlatego że nie operowano mnie, że jestem cały i wciąż niebezpieczny, miota się jak zwierzę po korytarzu czekając, aż się ocknę, oszalała z niepokoju, ciągnąc po ziemi tren swojej ślubnej sukni niby ogon białego pawia, dlatego przebiega białe korytarze kliniki w błyszczącym diademie, zmarszczone czoło i opadające policzki trzęsą się jej ze strachu, że don Hieronim wyrwie mnie z jej rąk, odkrywa welon zasłaniający jej potworną twarz teraz wykrzywioną przez ból, pomocy, to ona jest przy moim

łóżku, ta karlica lubieżna i uparta, pomocy, nie mogę odgonić sprzed oczu tej twarzy, dajcie mi jeszcze jeden zastrzyk, abym nie czuł bólów z każdą chwilą wzrastających, pomocy, przysięgam ci, Emperatriz, że się z tobą ożenię, jeżeli zmusisz pielęgniarki do jeszcze jednego zastrzyku, by zabić ten ból, który mnie zabija, przysięgam ci, że ożenię się tutaj, zaraz, choć leżę w łóżku, a ty miotasz się w twej błyszczącej od drogich kamieni sukni, w twym drogocennym diademie, jeżeli zmusisz je, by mi dały jeszcze jeden zastrzyk, który przesłoni twe przerażające oblicze. Ale w twych oczach zaczynam widzieć wątpliwość, czy aby jestem mężczyzną, może jednak już mnie operowali, może wszczepili mi zarażony przez Petę seks, zwiędły, niepotrzebny, przechadzasz się nerwowo, z korytarza słyszę, jak wspaniała miotła twego trenu zamiata podłogę przy każdym obrocie. Siadasz koło mnie. Bierzesz mnie za rękę. Cały omotany białym welonem potrafię – uwierz mi, Emperatriz – mimo że byłem kiedyś kochankiem Pety, ja, Humberto Peñaloza, zdołam uczynić cię szczęśliwą; pragnę ci pokazać, że mam seks, odsuwam więc prześcieradła, chcę, byś zobaczyła, że jestem wart zachodu, i wystarała mi się o ten zastrzyk, który by wymazał twą odpychającą twarz, poddzieram ślubną suknię, by cię zgwałcić, tego przecież chcesz, tego chcesz, Emperatriz, nie przeszkadzaj mi udając, że chcesz mnie zmusić, bym leżał spokojnie, nie lamentuj odpychając moje ręce wdzierające się za twój ohydny, pokryty piegami dekolt starej karlicy, moje palce szukają twego seksu; nie odchodź, nie odchodź, nie zostawiaj mnie samego, nie uciekaj krzycząc, że usiłowałem cię zgwałcić, nie potykaj się o twój ślubny tren, nie protestuj, przecież chciałaś, bym cię posiadł, a teraz mnie zostawiasz samego w tej suterenie bez wyjścia, pośród wrzących probówek i kolb, pośród flaszek z serum, pośród przewodów od sond i transfuzji, pośród jakichś niezliczo-

nych rurek, które mnie przytrzymują. Chcę uciekać, muszę uciekać, bo mnie żywcem uduszą, otworzyć okno, muszę złapać trochę powietrza, ale okno nie jest oknem, teraz widzę moją pomyłkę, to fotograficzne powiększenie okna, które powiesili na ścianie, aby dać wrażenie światła i przestrzeni, abym chciał je otworzyć, dotknąć chłodu szyb, które nie są chłodne, bo to nie szkło, lecz papier, cienki papier naklejony na murze, zdjęcie, oszustwo, nie ma okna, nie ma drzwi, nie ma wyjścia, drapię, rwę, zdzieram pasy tego oszukańczego zdjęcia, obiecującego jakieś zewnątrz, którego nie było nigdy ani nigdzie, z kolei pasy drę na kawałki, na drobne części drę tę fotografię okna, udającą, że jest jakieś wyjście, bolą mnie paznokcie, szarpię, rwę, nic, na nic, nie ma nic, nie ma światła w tym małym pomieszczeniu, które jest jak grób, już zerwałem całą fotografię, nic, ściana z *adobe* wytapetowana starymi gazetami, pełnymi straszliwych wiadomości, które dziś już nie mają znaczenia, wylew Jangcy, trzęsienie ziemi w Skopie, głód w północnej Brazylii, te krzyżówki okropieństw, całe warstwy wiadomości już nie będących wiadomościami, zerwałem to okno i jego udawane światło, i jego fałszywe powietrze, i jego wiatr, i jego nieciekawą ulicę, którą miała biec trasa wyznaczona mi przez stare, gdy mnie wzywały, nic, grób straconych złudzeń, zwiędłych prawd, dyskusji zakończonych raz na zawsze, zresztą to nawet nie pokój, to ziemia, już nie ma tapet ani murów, błoto, kamienie, dziura, jakiś tunel, który teraz rękami grzebię w zbyt suchej glinie, ciemnica w głąb ziemi, gdzie zamknięto mnie i żywcem zamurowano, nawet nie ma po co wzywać pomocy, Emperatriz, Emperatriz, wybaw mnie, nie, nie słychać mego głosu, doktor Azula wyrwał mi gardło i nie chcę już mówić, nie chcę już krzyczeć, bo i tak nikt mnie nie usłyszy, jestem sam w samym środku ziemi, otoczony ślepymi ścianami w tym grobie, gdzie się duszę, skały, cegła,

ziemia, kości i wspomnienie tego kłamliwego okna, które przykleili, abym wierzył, że istnieje jakieś zewnątrz; przecież kopiąc mymi zakrwawionymi rękami, gryząc zębami gdzieś się w końcu dokopię, w górę, w dół, nie ma kierunku, bo nie ma celu, chociaż coś przecież jest, coś sobie przypominam, niewiele, ale coś poza tą celą, poza zamkniętą celą, o którą się obijam, w której zaledwie się mieszczę, w której brak mi powietrza, tak, trzeba żłobić tunele, galerie, przejścia i korytarze, aby wyjść jakoś z ziemi, stworzyć patia i pokoje, przestrzeń zamiast tego grobu, który szarpię zębami, gryzę, rwę, kopię, nie mogąc nic osiągnąć, moja przestrzeń się kurczy, duszę się, bo nigdy nie było okna, bo nie ma po co wyglądać przez okno, świeże powietrze to halucynacja, woda płynąca rynsztokiem to złudzenie, nie można jej dotknąć, tak jak nie można poczuć na twarzy wietrzyka szumiącego w liściach drzew pomarańczowych (trzeba wziąć szal) ani nieśmiałego słońca przeświturającego poprzez gałęzie, łudzącego podwodnym światłem, w którym pływa się bez pośpiechu, nic, tylko te sypiące się mury, trzeba to wymieść, tak jak i te stare gazety, wszystko, Głuszku, zmieć na kupkę, żeby nie było dookoła gruzów ani śmieci, dobrze, Doro, ale nie popędzaj mnie, jestem zmęczony, nie widzisz, że cały czas zamiatam, podczas gdy ty chichoczesz w chustkę, którą zakrywasz usta, rozśmieszona czymś, co ci mówiła Ryta, a potem odsłaniasz tę bezzębną kawernę, tu nikt się nie zasłania, żadnych masek, ani balowych, ani szpitalnych, tu każdy ukazuje swą twarz, na której, tak jak przystało, znać mijający czas, a Głuszek ze swą miotłą zamiata na jeszcze jedną kupkę śmieci, odłamki muru i podarte gazety, tyle gazet, tyle pokoi, całe pokoje pełne starych gazet, w tym Domu tyle jest niepotrzebnych papierzysk, które nam przysyłał arcybiskup...

Misia Raquel i matka Benita spacerują po korytrzu i całe godziny gadają i gadają o wszystkim, ale głównie o przyjeździe misi Inez, podobno biedaczka strasznie jest skonfundowana tą sprawą, w dodatku lewicowe gazety nic tylko przeciw niej podburzają i wykpiwają całą sprawę Błogosławionej. Ależ też co za głupota, mając takie miliony ślubować ubóstwo! Z pewnością zrobiła to ze złości na Hieronima, za to, że podpisał zgodę na przekazanie Domu bez porozumienia się z nią, że skorzystał z tego, że była w Europie, chociaż jestem przekonana, że Hieronim nigdy nie porozumiewał się z nią w żadnej sprawie, a teraz, kiedy wróci, będzie już po licytacji, stare będą porozmieszczane po innych przytułkach, ściany zburzone... O tym mówią chodząc tam i z powrotem dookoła patia, podczas gdy Głuszek zamiata, a Ryta z Dorą wyrywają i wrzucają do papierowej torebki rzodkiewki, żeby było co pojeść, jak im się zechce, dobre rzodkieweczki. Chodź no, Ryto, woła matka Benita, misia Raquel musi już jechać, trzeba otworzyć jej bramę, pójdę ją odprowadzić. Zaraz będę z powrotem, mówią mi jej oczy, poczekaj tu na mnie, Głuszku, zamiataj dalej, dopóki nie wrócę na pomarańczowe patio po odprowadzeniu misi Raquel do portierni, mówią, że jednak będą burzyć... Ale tam, słyszę to od czasu, gdy byłam dziewczynką, matko Benito, i kiedy przyjeżdżałam tu na rekolekcje, no i widzi matka, nic nie zburzyli, wszystko jest, jak było, Głuszek zamiata, Dora, pochylona nad rzodkiewkami, uważnie ogląda krwawe kikuciki, przysmak staruszek.

# 19

Czemu masz taką udręczoną twarz, matko Benito? Odstawiam moją miotłę, by podejść do ciebie, gdy wołasz mnie nie wołając. Odprowadziła misię Raquel do portierni, wróciła na pomarańczowe patio i rozgląda się na wszystkie strony, jakby bez słowa szukając oparcia, to nic, ja i tak rozumiem, o co jej idzie, chodźmy, Głuszku, mówi, nie każ się prosić, pójdź ze mną przez korytarz do kaplicy. Tylko modlitwa odegna niepokój, który czai się w jej brudnym kornecie, chodź ze mną, Głuszku, potrzebuję samotności, a ty umiesz być ze mną nie będąc, w tej kaplicy, w której nie odprawiają się już żadne nabożeństwa, ot, murowana piwnica, ławki, ołtarz, gipsowi święci, klęczniki, konfesjonały – narzędzia kultu, który już nie istnieje, choć stare w dalszym ciągu przychodzą tu popołudniami, przebiegają korytarze trzymając się nawzajem swych łachmanów, by odmawiać różańce w tej kaplicy już nie będącej kaplicą. Na szczęście dzisiejszego popołudnia nie ma żadnej staruszki, która by przeszkadzała szeptami i litaniami w moich rozmyślaniach, w chęci zwrócenia się do Ciebie, o Panie mój, w tym miejscu, w którym usiłowałam wznieść się do Ciebie, kiedyż to było... dwadzieścia dwa, nie, dwądzieścia trzy lata temu. Z początku matka przełożona mówiła mi: szukałam dla ciebie jakiegoś żywszego zajęcia, zakonnica o twojej inteligencji

nie powinna tracić czasu w tym Domu i mam nadzieję, że na przyszły rok będę mogła posłać cię do... już nie pamiętam dokąd. Tak że cierpliwości, córko, nadal pracuj z pokorą, którą zawsze okazywałaś... Ale ja, matko, prosiłabym o jakąś pomoc, nie tylko pieniądze, proszę mi przysłać parę innych zakonnic, młodych i pracowitych, te dwie, którymi dysponuję, matka Anzelma i matka Julia, już całkowicie wsiąkły w te staruchy, którymi jestem otoczona, po prostu stare połknęły zakonnice, które miały mi pomagać, teraz tak dalece połączyły się ich łachy, przesądy i manie, że nie jestem w stanie odróżnić zakonnic od starych, mam tylko Głuszka... Czy jesteś tam w cieniu konfesjonału, czy towarzyszysz mi, Głuszku? Czy jesteś tam, matko Benito, w ostatniej ławce, czy usiłujesz bezskutecznie się modlić? Zaczekaj trochę – mówiła matka przełożona. Czekałam, nadaremno wysilając się wraz z Głuszkiem, aby utrzymać choć trochę porządku, choć trochę godności w tym Domu: bez Głuszka zginęłabym w walce z rozpadającymi się murami, ale i z nim z każdym rokiem mniej można było temu wszystkiemu przeciwdziałać, teraz już prawie wcale... Co zamiatałeś dzisiaj na patiu, czy znowu się coś obsunęło? Oj, trzeba coś robić, no pewno, matko, trzeba coś robić, a matka przełożona mówiła do matki Benity, czekaj córko, czekaj cierpliwie, obiecuję ci, że w przyszłym roku mianuję cię przełożoną szkoły, w tym Domu twoje wykształcenie i zalety po prostu się marnują, ale przełożoną wysłali do Rzymu albo umarła, a nowa nie znała jeszcze matki Benity, tak że ona z kolei mówiła jej, poczekaj trochę, muszę cię lepiej poznać, ażeby wiedzieć, do czego jesteś zdolna, nie ma przecież dowodów twych wysiłków, nie zostawiły śladów, mówią... mówią... to nie dosyć, że mówią, muszę to zobaczyć na własne oczy, matko, ja proszę, ja naprawdę

konam już w tym Domu z nudy, z tego, że nie mam do kogo otworzyć ust, ze strachu, że ten legion staruszek połknie mnie, tak jak połknął moje zakonnice, konam z tego, że jestem otoczona wyłącznie zdziecinnieniem i rozpadem, mam już czterdzieści osiem, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt cztery, pięćdziesiąt osiem lat... Poczekaj, córko, poczekaj, ale potem nie mówiono już, poczekaj, tylko pogódź się z losem, złóż z niego ofiarę Bogu, który nagrodzi cię niebem, bo pozostawanie w Domu jest wielką ofiarą, przecież wiesz, że gdyby nie ty, Dom dawno by już runął, a teraz i tak upadnie, mimo twojej obecności, mimo mojej ofiary, tak przynajmniej twierdzi misia Raquel, przyjdą komornicy i zrobią inwentarz tych wszystkich gratów, drewnianych ławek, gipsowych świętych, przesłodzonych wizerunków Madonny z Dzieciątkiem, kaplicy i tak już nie ma... zlikwidował ją jeden papierek podpisany przez arcybiskupa. Ale Twoja czerwona obecność płonie jeszcze w wiecznej lampce. A po komornikach przyjadą mechaniczne spychacze, młoty pneumatyczne, ciężarówki i robotnicy z oskardami... Gdzie my się podziejemy, Głuszku? Co się z nami stanie, matko Benito? Gdzie się schronimy? Projekt misi Raquel to jedna bajka więcej, ażeby nie pozwolić nam uwolnić się od starych, ach, to o tym dyskutowałaś z misią Raquel, chodząc dookoła pomarańczowego patia, ja obserwowałem was z cienia, nic się właściwie nie działo, Carmela przeszła nucąc „Pójdźcie wszyscy ze mną", ja z miotłą, Dora i Ryta z tymi pokrwawionymi kikutami, tak, misiu Raquel, ksiądz Azócar przyrzekł mi, że będę zarządzała całą ekonomiczną stroną Miasteczka Dziecka, ale ja widzę, co pani myśli o księdzu Azócar, i to mnie denerwuje, ależ, matko Benito, naiwność matki wprost przechodzi granice, przecież matka ma już swoje lata, załgany, rozpolitykowany księżyna, może

i zburzą Dom, to całkiem możliwe, ale nie będzie tu żadnego Miasteczka Dziecka, bo on forsę wsadzi w kieszeń, teren rozparcelują i sprzedadzą, a pieniądze pójdą na kampanie polityczne, z których każda będzie lansowała własnego kandydata, jakbym to widziała, przecież to jasne jak słońce, dlatego robią taki gwałt z tym burzeniem właśnie teraz, kiedy zbliżają się wybory, mnie nie zbuja ksiądz Azócar, który nie wiadomo skąd tu się wziął, nie będzie żadnego Miasteczka Dziecka, tyle że wy zostaniecie na lodzie, nie wiadomo, co z wami zrobią, chociaż ja mogłabym ofiarować matce coś znacznie lepszego... coś naprawdę znakomitego... Płomyk lampki oliwnej mruga i drży, podczas gdy po kaplicy przesuwa się cień misi Raquel przekonującej mnie, obalającej moją wiarę w to, że uda mi się uwolnić od staruszek i któregoś dnia rozpocząć pracę wśród młodych i zdrowych, w domu o wielkich oknach; mówisz, gestykulujesz, jakbyś wygłaszała kazanie, a ja siedząc w tylnej ławce słucham, jak mi tłumaczysz, że miałabyś dla mnie coś o wiele bardziej interesującego:

– Co?

– Czy przyjęłaby matka całkowite zorganizowanie przytułku dla tych starych kobiet, a potem kierownictwo nad nim?

– Ależ to nierealne, misiu Raquel. Na to trzeba by fortuny. Zrobiłam listę wszystkich pensjonariuszek, spisałam tam wszystko to, co pamiętały i co zechciały mi opowiedzieć o sobie. Wiele z nich należałoby posłać do szpitali, wiele do domów wariatów... Na przykład ta nieszczęsna Amalia, pamięta pani tę przygłupią dziewczynę, która posługiwała Brygidzie? Chodzi i płacze, bo mówi, że nie może znaleźć palca, ale choć ani ona, ani nikt nie wie, o jaki palec chodzi, ona szuka go bez przerwy; nawet nie wie, jak ten palec miał wyglądać, nigdy go nie widziała. A te osławione sieroty...

– A Brygida?

– Ależ, misiu Raquel... doprawdy, zadziwia mnie pani. Przecież nie kto inny, a właśnie pani wyprawiła jej rok temu ten wspaniały pogrzeb... przecież nie mogła pani tego zapomnieć...

– No pewno, że pamiętam...

– Więc?

– Właśnie likwiduję wszystko to, co zostało po Brygidzie.

– Nie widzę, co jedno ma z drugim wspólnego... to chyba przecież nie pani krzyczy na mnie od ołtarza, tak jakby krzyczała pani na swoje wnuki, gdyby łasowały po kątach... to chyba nie pani, misiu Raquel, może to Brygida tam szura za ołtarzem, pewnie sprząta, tak jak sprzątała całe życie, jak cerowała, jak szyła, chociaż nie, to nie Brygida, bo jest czarno ubrana, a Brygida nie nosiła czarnego koloru, tak że to jednak pani, to pani mi mówi, że Brygida zaoszczędziła do ostatniego grosza wszystko, co zarobiła podczas czterdziestu pięciu lat służby, nigdy nikt nie widział, żeby cokolwiek wydała, nigdy nie wychodziła, nie miała rodziny, wcześnie została wdową po ogrodniku, który służył u mojej mamy, a ja dawałam jej wszystko, prześcieradła, pościel, radio, pantofle, wszystko, czego chciała, moje rzeczy pasowały na nią jak ulał, miałyśmy zupełnie te same wymiary, a ona przez całe życie chowała pieniądze do dziury w materacu, latem zaś, kiedy wyjeżdżaliśmy na wakacje, robiła z tych pieniędzy paczuszkę i wręczała mojemu mężowi, żeby kupił jej akcje, które przynosiły niezły dochód, bo nie wiem, czy ci wiadomo, Głuszku, że mąż misi Raquel był agentem giełdowym, jednym z najbardziej znanych, najlepiej zorientowanych i bardzo bogatym, tak, tak, słyszałem, był przyjacielem don Hieronima, grywali razem w Klubie

Zjednoczonych, a po południu drzemali w klubowych fotelach w bibliotece nakrywszy twarz gazetą. Z latami kapitał Brygidy, którym mój mąż umiejętnie operował, wzrósł niemal stokrotnie, mój mąż bardzo był przywiązany do Brygidy, sam nieraz chodził do przybudówki, żeby jej złożyć wizytę i opowiedzieć o swoich inwestycjach. Nieraz długą chwilę z nią gadał, a potem mówił do mnie:

– To niebywałe, że ta prosta kobieta, która nigdy nie wychodzi z domu i tylko klepie nowenny i różańce, ma taki łeb do interesów! Nie wyobrażasz sobie, ile pieniędzy zarobiłem dzięki jej wskazówkom. Wierzysz w to, Głuszku? To niemożliwe... Wierzę, matko Benito, wiem, że Brygida była zdolna do tego i do wielu innych rzeczy. Kiedyś była bardzo zdenerwowana, w końcu któregoś dnia poszła do mojego męża do biura i wbrew jego radom dała dyspozycje, żeby sprzedać wszystkie jej akcje i za te pieniądze kupić złoto. Mój mąż myślał, że zwariowała. Ale ponieważ lokowanie kapitału w złocie nie mogło nikomu zaszkodzić, ustąpił. Ciekawe, że po tym incydencie zauważyłam, że mąż był z kolei zdenerwowany, jakby niezadowolony, pewnego dnia rano wstał i mimo że teraz inni agenci jego uznali za wariata, zamienił wszystkie nasze akcje na złoto, tak jak Brygida. Nigdy nie był w stanie wytłumaczyć, dlaczego tak zrobił. Jedno wiem, że to nie jego talent giełdowy, jak to potem mówiono, ocalił nas wtedy, kiedy przyszedł ten międzynarodowy krach i ludzie wszystko potracili, a wielu nawet odebrało sobie życie. Myśmy się uratowali dzięki niej, a potem, gdy inni wyprzedawali się za grosze, odkupiliśmy się za bezcen...

– Misiu Raquel... Jeżeli pani chciałaby dać na jakiś cel pieniądze Brygidy, to dlaczego by nie na Miasteczko Dziecka?

– Matka doprawdy jest mniej rozgarnięta, niż na to wygląda, matko Benito. Proszę słuchać dalej: Kiedy owdowiałam piętnaście lat temu, Brygida nie zgodziła się, by ktokolwiek dotknął jej pieniędzy, za które w swoim czasie, kiedy można je było kupić tanio, mąż kupił dla niej place. Jego biuro zarządzało tymi placami. Nie wierzyła nikomu poza nim. Tylko mnie... Więc kiedy mój mąż umarł, Brygida wszystko, co miała, przepisała na mnie, ależ, misiu Raquel – mówiła -- skoro ja nie umiem czytać ani pisać, ani nawet podpisać się, to czyż nie lepiej, żeby to wszystko było na pani nazwisko? Od tej pory ja zaczęłam zajmować się inwestycjami Brygidy. Z jej pensji, którą nadal przechowywała w materacu, kupowałam jej coraz to nowe domy, coraz to nowe mieszkania. Ponieważ nie lubiła „latać" jak inne służące (którymi zresztą przez to pogardzała), ja załatwiałam za nią wszystko, oglądałam to, co było do kupienia, opisywałam jej wygląd, dzielnicę i tak dalej, wtedy ona prosiła, żebym pozwoliła jej się zastanowić, a następnego ranka, przynosząc mi do łóżka śniadanie wraz z poranną gazetką, mówiła:

– Niech pani kupuje.

A ja, zamiast poleżeć w łóżku i obejrzeć ostatnie żurnale albo pogadać z kumami przez telefon, zrywałam się i szłam załatwiać te transakcje: kupno domu, terenu, mieszkania dla Brygidy. Dała mi notarialne upoważnienie, matko Benito. Ciężka rzecz taka odpowiedzialność. A ponieważ nie lubiła dyskusji, mrucząc, że teraz ludzie są tacy kłótliwi i chytrzy, ja odbierałam dochody z jej domów i mieszkań, ja podpisywałam kwity, akty kupna, sprzedaży szły na moje nazwisko, ja miałam do czynienia z notariuszami, ja zamawiałam robotników, ażeby naprawiali łazienki, które jacyś lokatorzy, potem zresztą usunięci, bo nie mieli ślubu, kompletnie pozatykali, co tu dużo gadać

– ja zajmowałam się wszystkim. I chętnie robiłam to dla Brygidy, matko Benito, nie będę zresztą ukrywała, że mnie to bawiło, bawiło mnie, że te jej pieniądze, właściwie bezużyteczne, których jedynym przeznaczeniem było mnożenie się – zresztą pomnażały się zupełnie bezużytecznie – były znacznie bardziej moje niż wszystko to, co odziedziczyłam po mężu. Matka wie, jakie jest życie kobiety z mojej sfery, kiedy już dzieci są dorosłe, a wszystkim zajmują się administratorzy – właściwie bardzo nudne. I tak jak moje przyjaciółki znajdowały sobie rozrywkę w graniu w karty, ja bawiłam się pomnażaniem tej bezużytecznej fortuny, która rosła niby rak, bez związku z czymkolwiek, nie służąc niczemu. To była gra. Tyle że nie ja grałam, gra, tocząc się sama, nie wypuszczała mnie ze swej władzy, to już był nałóg to bieganie od jednego domu do drugiego w sprawie zbitej szyby, zaziębianie się na korytarzach rozmaitych mieszkań, których właścicielką była Brygida, a ja oddalałam się niepostrzeżenie od moich przyjaciół, zaniedbywałam wnuki, bo nie ukrywam, że interesowałam się nimi mniej aniżeli tą grą, podczas gdy ona, Brygida, beztrosko czekała na mnie w moim ciepłym mieszkaniu, zawsze spokojna, starannie ubrana, ze swym siwiejącym koczkiem; gdy wracałam, klękała u moich nóg, żeby zdjąć mi zabłocone pantofle, bo latałam po jakichś zakazanych dzielnicach sprawdzając, czy prawdą jest, że nasi lokatorzy podnajmują pokoje, bo ja na przykład bardzo tego nie lubiłam. Wieczorem kładłam się do łóżka kompletnie wyczerpana tą grą, w którą wpędziła mnie Brygida, a ona przynosiła mi filiżankę herbaty i cieniutkie tosty, właśnie takie, jak lubiłam, i stojąc obok mnie ze skrzyżowanymi rękami, pełna szacunku, pytała, czy nie za dużo płacimy za wytapetowanie mieszkania po Riquelme, mówią, że w San Isidro jest jakaś fabryka, gdzie są

przepiękne tapety i o wiele tańsze... mówią... mówią... nie wiem, skąd pochodziły te głosy, które mówiły, ale gnana przez nie znowu wychodziłam, by dalej niepotrzebnie pomnażać niepotrzebne pieniądze Brygidy. Kiedy pewnego dnia wspomniałam, że powinna zrobić testament, rozpłakała się, jak to, teraz, po tylu latach służby, nie chcę więcej zajmować się jej pieniędzmi? A była już zupełnie zgnębiona, gdy powiedziałam jej, że nie o to chodzi, i usiłowałam wytłumaczyć, że nie ma powodu nadal służyć u mnie, że jest kobietą bogatą, że mogłaby zamieszkać w którymś ze swoich mieszkań z jakąś młodą dziewczyną, na przykład z Iris Mateluną, która by jej usługiwała, że ze swych dochodów mogłaby żyć jak królowa... Ale gdzie tam... Trzeba było widzieć, jak płakała, to pani chce się mnie pozbyć, teraz, kiedy jestem stara, pani chce mnie wyrzucić na ulicę jak śmieć. A ponieważ była pamiętliwa, nigdy mi nie przebaczyła tego pomysłu i wtedy to zwróciła się do Inez, że chce zamieszkać tu, w Domu, nie mam po co zostawać u misi Raquel, powiedziała, skoro już jestem do niczego. Na szczęście okazało się, że było jej tu dobrze, tyle że ja co drugi dzień musiałam latać na drugi koniec miasta z wiadomościami o jej interesach. Ale w rezultacie umarła nie zostawiwszy testamentu. Cała jej fortuna jest zapisana na moje nazwisko. Właśnie ją skończyłam upłynniać i doprawdy nie wiem, co robić z tak olbrzymią sumą pieniędzy, w dalszym ciągu pobieram komorne, robię inwestycje, tak jakby Brygida żyła... mówią, że w dzielnicy Matadero... mówią, że płynny gaz... Ale nie chcę już dłużej być więźniem pieniędzy Brygidy, słuchać tego, co mówią, chcę się wszystkiego pozbyć, jestem zmęczona, chcę jakoś zdjąć sobie z głowy problem Brygidy, chcę przez te moje ostatnie lata pożyć dla siebie... Może już tego przede mną niewiele...

Stoi tam, w prezbiterium, czarno ubrana. Gdyby było trochę jaśniej, mogłabym dokładniej widzieć wyraz jej twarzy, jej ruchy, gestykulację. Utyła ostatnio, Głuszku, zapal no parę świec, żebyśmy mogli zobaczyć, co robi, i pomóż jej przenieść to złocone krzesełko, mam wrażenie, że chce je przestawić. Chociaż po co jej to było, czekaj no, czekaj, Głuszku, ona przypomina Mercedes Barroso, tęga, wielka, cała w czerni, zatrzymuje się, żeby mi coś powiedzieć.

– Dlatego przyszłam się z matką naradzić. Teraz, kiedy tutaj wszystko zbliża się ku końcowi, bo przecież matka rozumie, że to już kwestia tygodni, ksiądz Azócar kazał nawet zrobić inwentarz – pewno, że to kupa śmieci, ale ostatecznie coś się da z tego wycisnąć – wy także będziecie musieli przenieść się nie wiadomo dokąd, myślałam więc, matko Benito, że z pieniędzy Brygidy... ale myślałam o czymś nowoczesnym, racjonalnym, z opieką lekarską, no a matka wszystko by poprowadziła. Przytułek imienia Brygidy... Brygidy... da matka wiarę, że nie pamiętam nawet jej nazwiska?

Stojąc w cieniu, obserwuję tę istotę proponującą matce Benicie, żebyśmy wszyscy zamieszkali w antyseptycznym szpitalu, pod opieką pielęgniarek w białych maskach. Ale tak dobrze cię znam, matko Benito, że wiem, że powiesz jej nie, w każdym wypadku, nawet gdyby obiecywała cuda, dom przyjemny i nowoczesny, i z ogrodem, może z parkiem nawet, gdyby chciała przekonać cię, nie bacząc na to, że jej, tej osobie nie oświeconej Duchem Świętym, mówisz w tej kaplicy nie będącej już kaplicą, że starych jest tyle, tak bardzo dużo... za dużo...

– Ale będzie ich coraz mniej. Teraz już ludzie nie mają takiej służby, o którą dawniej mieli ochotę troszczyć się całe życie. Właśnie chciałam zaproponować matce, żeby

nie przyjmować więcej staruszek, tylko wziąć te, które mamy, a które powoli będą wymierały, aż wymrą wszystkie. Z matki doświadczeniem cudownie by matka poprowadziła Nowy Dom, Nowy, Biały, Piękny Dom... Niech te staruszki dzięki Brygidzie dożyją szczęśliwie końca; korzystając z wakacji, z centralnego, z usług lekarskich, z autobusów, które by je zawoziły na plażę, a mnie w ten sposób uda się wydać pieniądze Brygidy, które inaczej będą mi wiecznie ciążyły.

– Nie, nie, nie mogę mieć dłużej do czynienia ze staruszkami, one i tak będą używały fajerek z węglem drzewnym, niezależnie od centralnego, i będą trzymały klatki z ptaszkami i nie kończące się ilości paczuszek pod łóżkami... nie... nie... za nic...

Tęga postać cała na czarno zaciągnęła złocone krzesełko aż do oliwnej lampki, nie, Menche, nie właź na nie, jesteś za gruba, za stara, jesteś niezdarna, a krzesełko chwiejne, drzewo i gips, zaraz się zwali...

– Nie, misiu Raquel, niech pani wyzwoli się jakoś inaczej od swojej Brygidy, proszę mi jej nie przekazywać. Od dwudziestu lat żyję wśród nędzy, upadku i rozpadającej się starości. Nie mogę dłużej, niech pani mówi, co chce, o księdzu Azócar, ale on dobrze wie, co robi.

– ...no więc po prostu spalę te banknoty, ostatecznie to tylko papier, zwyczajny gazetowy papier, tyle że pocięty na kawałki, papier, który nadaje się do spalenia. Brygidzie to już chyba będzie obojętne...

Biedna Mercedes Barroso koniecznie chce wdrapać się na krzesełko, żeby ukraść lampkę sprzed Świętego Sakramentu. To jedyna wartościowa rzecz, jaka jeszcze znajduje się w Domu, matko Benito, cała reszta to śmiecie; będziemy teraz inaugurować oratorium biskupa, a ta lampka, okaz ciekawej roboty z okresu kolonii, świetnie

przy tym będzie wyglądała, szkoda, by się zmarnowała tu, w Domu. Menche zabrali zwykłym wozem, w dodatku nawet nie czarnym, a my uciełyśmy jej parę zakurzonych pelargonii z patia, żeby nie pojechała bez jednego kwiatka, biedna Menche, taka była zabawna, a taka biedna... to nie taki pogrzeb, jak miała Brygida, to był prawdziwy pogrzeb, który pani zapłaciła, misiu Raquel, taka dobra i hojna, niech matka sobie nie myśli, matko Benito, Brygida była bardziej pokręcona niż ten cały Dom: jej pogrzeb nie był wcale prezentem ode mnie. Brygida, która tak okropnie była przerażona, kiedy mówiłam jej o testamencie, nie bała się nic a nic tego, co dotyczyło jej własnego wspaniałego pogrzebu. Ufundować sobie wspaniały pogrzeb z całym rytuałem i pompą, nie zawdzięczać go nikomu, przewidzieć wszystkie najdrobniejsze szczegóły – było jej obsesją niemal przez całe życie. Zanim jeszcze zamieszkała w Domu, całe godziny konferowała z przedsiębiorstwami pogrzebowymi wypytując o ceny, o zalety takiej lub innej trumny, rzecz jasna, że ja musiałam biegać, sprawdzać, a potem dostarczać jej wszelkich informacji: jakim metalem są wyłożone, jaki gatunek aksamitu i atłasu, ile koni w czarnej, złotem obrzeżonej uprzęży, w kandelabrach gromnice z prawdziwego wosku, nie jakieś tam elektryczne, jak to się teraz robi. Ale za nic nie chciała, żeby inne staruszki z Domu dowiedziały się, że sama opłaci swój pogrzeb. Marzeniem jej życia było zaimponowanie wszystkim innym służącym wcale nie swoim bogactwem, lecz tym wspaniałym pogrzebem: nigdy nie udało mi się nawet w przybliżeniu wytłumaczyć jej, jakie ogromne sumy posiadała, bo rozumiała tylko szczegóły, ale nie ogarniała całości takiej fortuny. Chciała, żeby zaimponował im fakt, że jej pani tak ją kochała, że zafundowała jej królewski pogrzeb: zrobienie ze mnie potwora miłości, jakim nie

jestem, było jedynym luksusem, który kupiła sobie za swe olbrzymie pieniądze. Oczywiście, że byłabym sama z siebie chętnie zapłaciła za jej pogrzeb, byłyśmy bardzo zżyte z Brygidą, ale ani dla siebie, ani dla moich dzieci nie śniłoby mi się robić takiej pompy. Niech matka sobie wyobrazi, że w osobnych kopertach dawała mi powydzielane pieniądze na wieńce od poszczególnych członków rodziny. Oni i tak byliby posłali kwiaty, ale nie aż tak drogie jak te, które kazała mi kupić Brygida...

Zawołaj ją, zawołaj, Głuszku, błagasz mnie, ale przecież nie słychać mego głosu, matko. Zawołaj tę postać z prezbiterium, zawołaj, módlmy się razem, żeby jej dusza dostała się do czyśćca, odejdź, Menche, co robisz w prezbiterium, módlmy się: Witaj, Królowo, Matko Miłosierdzia, życie, słodkości i nadziejo nasza, witaj, do ciebie wołamy jęcząc i płacząc na tym łez padole... Postać wydaje się wymyślona przez chwiejny blask płomienia, ależ oczywiście, że to nie misia Raquel, to Menche, która podchodzi do tabernakulum, żeby je okraść, nie otwieraj drzwiczek tabernakulum, Menche, to świętokradztwo, tylko ksiądz ma prawo je otworzyć, gdy Pan jest wewnątrz, ale Menche otwiera, pochyla się nad białym obrusem i modli się. Skądś znam ten gest, z którym się pochyla, Głuszku, znam ten gest, którym otwiera drzwiczki tabernakulum, którym wkłada rękę i wyjmuje okrągłe pudełeczko zawierające hostię, którą teraz wkłada między guziki sutanny, bo to sutanna, nie, to nie Menche, to ksiądz, nadęty i gruby jak ona, który to przyklęka, to się podnosi... to on. Poznaję go, gdy się odwraca, aby popatrzeć na czerwony płomyk tam w górze: włosy sztywne od brylantyny i tak czarne, jakby rano posmarowano je tuszem, gęste brwi, których nie widzę, ale które odgaduję, oczy ciemne, wielkie, aksamitne, o zbyt zakręconych rzęsach

i zbyt grubych powiekach. Czemu mnie nie słuchasz, Głuszku, i nie wołasz go, i nie uprzedzasz, że jesteśmy tu, w ostatniej ławce, żeby nie zrobił czegoś, czego nie powinniśmy być świadkami? To chyba jakiś koszmar senny, w którym wydaje mi się, że Azócar spogląda pożądliwie na lampę sprzed Najświętszego Sakramentu, staje pod nią, podnosi rękę, nie może dosięgnąć, więc wkłada palec do ust gestem Iris Mateluny i zastanawia się. Potem znowu podnosi rękę, ale tym razem podskakuje, również jednak nie udaje mu się dosięgnąć lampki. A więc ksiądz Azócar przyszedł ukraść lampkę sprzed Najświętszego Sakramentu! To chyba sen. Boże mój, jak mogę śnić, że ksiądz Azócar pozwoli sobie zgasić Wieczne Światło, zatrzymać Serce Domu! Arcybiskup podpisał desakralizację, ale właściwy akt odbywa się dopiero teraz. Zgaszenie Przenajświętszej Obecności... zabranie lampki... hostii... Teraz zaciera swoje białe, tłuste, porośnięte czarnym włosem ręce, patrzy na lampkę. To śmiertelny grzech śnić, że prałat, porządny człowiek, bo to musi być porządny człowiek, skoro jest sekretarzem arcybiskupa, że prałat, dystyngowany, choć gruby, zasapuje się popychając krzesełko obite adamaszkiem, aby ustawić je dokładnie pod lampką od Najświętszego Sakramentu. Chce ją zdjąć, chce ją zabrać. Nie można tego robić, proszę księdza, przecież to rabunek... Niech ją zabierze, a ty, Głuszku, który tam stoisz za konfesjonałem, pomóż mu zgasić Wieczną Lampkę i zostawić nas bez Obecności Boskiej. Poczekaj... popatrz... chce wejść na złocone krzesełko, ono jest słabe, niech ksiądz nie wchodzi, ksiądz jest tęgi i niezręczny, Głuszek jest lekki, poproszę go, by przyniósł drabinkę i zdjął lampkę, niech ksiądz mnie nie zmusza do patrzenia na takie rzeczy, błagam, błagam... To krzesło, ordynarne jak te stoły z imitacjami marmuru,

jak zniszczone linoleum, jak ławki z surowego drzewa, słabe, kruche, złamie się, jak tylko ksiądz na nie wejdzie, ksiądz jest ciężki, proszę mnie posłuchać, a ty, Głuszku, nie bądź biernym świadkiem tego koszmaru, słuchającym mnie bez słowa odpowiedzi. Zatrzymaj go, nie daj mu wejść na to krzesełko. Och, podnosi sutannę, mocuje się z nim, popycha, niełatwo mu będzie się na nie wdrapać. Z zadartą sutanną podnosi grubą nogę, przez chwilę trzyma ją w powietrzu niby baletnica, po czym spuszcza, bo nie udaje mu się wejść na krzesełko. Podnosi drugą nogę, znowu sapie, spuszcza ją, nie jest w stanie. Nie wie, co robić. Siada na krzesełku, patrzy na lampę, podnosi się i podskakuje, żeby jakoś do niej sięgnąć, ale nie może, tyle że dotyka jej palcami, od czego lampka zaczyna wirować, płomyk chwieje się, a wszystkie cienie w kaplicy, ja i on, Głuszek i święci, wszyscy tańczymy. Teraz klęka na purpurowym adamaszkowym siedzeniu, chwyta się poręczy, żeby się wyprostować, nie, proszę księdza, ta poręcz ledwie się trzyma, ja znam moje krzesełko, jego nieprzyzwoite nogi, jego podwiązki, Boże, Boże, nie pozwól mi mścić się na księdzu Azocarze, który wie, że w tym domu nic nie ma, my także jesteśmy niczym, nie pozwól mi mścić się na nim we śnie, nienawidzę go, bo obiecał uwolnić mnie od staruch, ale ponieważ wiem, że tego nie zrobi, więc go nienawidzę, chciałabym jakoś zapanować nad tym snem, a nie mogę. Sapie. Podniósł się i teraz staje na krzesełku, które skrzypi pod jego ciężarem, uwaga, bo ksiądz spadnie, uwaga, podnosi ręce, dotyka lampy, krzesło kiwa się, drży, ksiądz zdaje sobie z tego sprawę i rozkłada ręce, aby utrzymać, złapać równowagę, niby tancerz na linie, wszystko się chwieje, wszystko się chwieje i my także, a on nie może odczepić lampy, której pragnie, znowu podkasuje sutannę i uważnie jak dziecko, które ma

wejść do wody, opuszcza nogę, ale potem cofa ją, bo woda jest zimna... to tęgie ciało z wyciągniętymi ramionami tańczy nad złoconym krzesełkiem... teraz spadniesz, księże, pomóż mu, Głuszku, pomyśl o mym grzechu, bo grzechem jest śnić ten skandaliczny sen, wyrwij mnie z tego koszmaru, nie chcę dłużej grzeszyć takim snem, ale jak można go powstrzymać, ciągnie się i ciągnie, a matka Benita wpycha sobie pięść do ust, żeby nie płakać z przerażenia, Brygida mnie wybawi, wybawi nas wszystkich, to przecież obiecała mi misia Raquel, zakrywa sobie usta, by nie krzyczeć, bo ksiądz Azócar w dalszym ciągu robi jakieś piruety na chwiejnym krześle, więc znowu pięść do ust, trzeba zdławić łkanie, które czuję w piersiach, które mnie boli, w mych piersiach coś nabrzmiewa, nabrzmiewa, Boże, bo nie uda mi się utrzymać tego, co mnie napełnia, nie pozwól, by się to stało, Boże... kiedy ksiądz Azócar z nogą w powietrzu szykuje się, by zejść, słychać wybuch śmiechu matki Benity, skandaliczny pogłos tego śmiechu w kaplicy, która nigdy już nie będzie kaplicą, bowiem mój śmiech zdesakralizował ją raz na zawsze... Prałat potyka się i pada.

– Cholera!

Matka Benita wstaje z ławki, usiłując powstrzymać śmiech, oboje biegniemy do księdza, który mruczy coś pod nosem, sapie i przeklina.

– Ajajaj...

Matka Benita i Głuszek pomagają księdzu wstać, ale on nie może odzyskać równowagi i znowu pada, podtrzymują go, wreszcie... Otrzepuje kurz z sutanny i przeczesuje palcami włosy, aby poprawić fałszywą czerń swej czupryny. Rytm jego oddechu się zmienia.

– Czemu nie uprzedziła mnie matka o swojej obecności?

Nie możesz powiedzieć: bo spałam, lepiej więc nie mówić nic, nie możesz powiedzieć: bo rozmawiałam z misią Raquel, która mówiła mi rzeczy, które raczej powinna była powiedzieć księdzu... może ksiądz mógłby coś zrobić, by misia Raquel nam pomogła, a jak nie ona, to może arcybiskup, ktokolwiek, musimy znaleźć jakieś schronienie, teraz, kiedy wszystko się kończy. Ale nie mogę nic powiedzieć. Milczeć i być posłuszną, tak jak zawsze milczałam i byłam posłuszna.

– Dlaczego matka nie powiedziała Głuszkowi, żeby mi pomógł?

Milczeć. Milczeć.

– Nie wiem, czy matka przypomina sobie, że parę tygodni temu mówiłem, żeby przygotować mi tę lampkę, że chcę ją zabrać przed przyjściem komorników...

– Tak, tak.

– Ocalić ten przepiękny przedmiot...

– Tak, pamiętam, proszę księdza, wiem, że poza nią nie ma tu nic, rozumiem, nie dziwię się, wiem, że spychacze mechaniczne zwalą wszystko, zrównają z poziomem ziemi, na której kiedyś ustawiono ten Dom. Ale my? Ja, Głuszek, staruszki? Co z nami będzie?

Jego aksamitne oczy, nagle twarde, upewniają mnie, że nie zostanę kierowniczką Miasteczka Dziecka. Mój śmiech mnie zgubił. Chociaż już przedtem byliśmy wszyscy zgubieni, wyście o nas zupełnie zapomnieli, księże Azócar, żadnej jałmużny, żadnego miłosierdzia, w ogóle się nie liczyliśmy, nie jesteśmy już istotami ludzkimi, lecz odpadkami, tak, tak, niech ksiądz nie przeczy, ksiądz gardzi nami tak jak i resztą całej tej graciarni, którą jest Dom, nasz los nie ma najmniejszego znaczenia... Jakim prawem mówi mi ksiądz, bym tak nie myślała, skoro i ksiądz, i arcybiskup pozostawili nas bez jedzenia, bez ubrania, chore, przez całe lata... Może tak nie było, proszę księdza?

– Uspokój się, córko.

– Ksiądz każe mi się uspokoić, ale nie mówi mi nic, co by mnie uspokoiło.

Ksiądz Azócar prostuje się: jest olbrzymi, czarny, połyskliwy, od stóp do głów ubrany w nowiuteńki atłas; wysokie czoło, spokojny głos; groźnie wznosi biały palec, a groźba ta się spełni, już on tego dopilnuje.

– To jest brak subordynacji, którego nie będę tolerował, matko Benito. Będę musiał porozmawiać z przełożoną matki, to musi się zmienić.

– Od sześciu miesięcy nie dała znaku życia. Nawet nie raczy podejść do telefonu, kiedy dzwonię, taka jest zajęta...

– Dobrze; dosyć już tego. Jutro przyślę po lampkę, proszę mi ją zostawić u Ryty na portierni. Teraz zabieram hostię, a kiedy zdejmie się lampę, niech Głuszek zabije drzwi do kaplicy. Mają być otwarte dopiero wtedy, kiedy komornicy przyjdą spisywać inwentarz.

Zabiera się do wyjścia z kaplicy już nie będącej kaplicą, odwraca się ku ołtarzowi, zgina kolana, by przyklęknąć przed ołtarzem, ale przypomina sobie, że już nie ma hostii w tabernakulum, które już nie jest tabernakulum, że on, ojciec Azócar, prałat pełen dystynkcji, trzyma ją na piersiach pod sutanną, na sercu. Raz jeszcze odwraca się do zakonnicy:

– Do widzenia, matko.

– Do widzenia, ojcze.

– Aha, i...

Jego twarz staje się miększa, przez chwilę odzyskuje swoje aksamitne spojrzenie. Zakonnica wytrzymuje je.

– Tak, proszę księdza...

– Mam nadzieję, że nie będzie matka z nikim omawiała...

Teraz ty jesteś górą, matko Benito, teraz ty nie spuszczasz już oczu, bo wiesz, że to nie twój śmiech ostatecznie zdesakralizował kaplicę, lecz przekleństwo, jakie wyrwało się z ust księdza, kiedy spadał z krzesła.

– Czego mam nie omawiać, proszę ojca?

Pytasz go o to z okrucieństwem, i słusznie, bo wiesz, o co chodzi: żebyś nie mówiła nikomu o jego komicznej postaci podrygującej w tańcu chciwości na trzeszczącym krześle, żebyś nie powtarzała słowa, które mu się wymknęło, gdy spadał. Ale ty chcesz, żeby ten ksiądz, ten człowiek, który cię poniżył, teraz wyraźnie cię o to poprosił, żeby wymawiając to, do końca wyznał swe własne poniżenie. Tak. Żeby jego aksamitne oczy i wyniosłe słowa spuściły z tonu teraz, kiedy cię prosi o dyskrecję. Ale oczy prałata twardnieją:

– Nie ma o czym mówić, matko Benito.

Pozostało tylko czerwone światło, żywe jeszcze, bolesne niby rana zawieszona przed ołtarzem. Trzeba je teraz zgasić i zdjąć lampę, która nie ma już żadnego sensu, skoro ksiądz Azócar zabrał hostię; zostaje już tylko jedno jej znaczenie – duża wartość tego unikatowego przedmiotu. Chociaż światełko jeszcze płonie, to miejsce jest już tylko jednym więcej pustym pokojem w Domu. Czujemy wiatr wiejący przez szpary, jak w każdym innym pomieszczeniu. Parę zbitych szybek, trzeba uważać z tymi witrażami. W jakimś kącie słychać, jak myszy drążą ścianę, by lepiej się ukryć w grubym murze z suszonej gliny.

Ja mogę się jeszcze modlić w tej pustej skorupce. Ten czerwony płomyk jest moją modlitwą... Co z nami będzie, o Boże, kiedy runą te mury. Nie chcę o tym myśleć. Zamykam oczy.

– Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny...

Gdy otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że znów zasnęła. Znowu, Głuszku? Czy może to był jakby dalszy

ciąg tamtego snu? Głuszku, Głuszku, nie zostawiaj mnie samej, gdzie jesteś, czuję, że przegraliśmy... moje groźby nikogo nie przerażają, moje modlitwy nigdzie nie trafiają, nie kończę ich nawet i po prostu zasypiam... pójdę się położyć, stara już jestem i nawet nie wiem, kiedy czuwam, a kiedy śpię... zapal no świeczkę, Głuszku, i oświeć mi drogę do celi, żebym się mogła schować w łóżku.

# 20

Komornicy otwarli kaplicę i wydobyli z niej wszystko, przygotowując gotowe pakiety licytacyjne, numerując je i naklejając etykietki: popróchniałe konfesjonały, kulawe złocone krzesełka, wyścielane poplamionym i podartym pąsowym adamaszkiem, drewniane ławki, piedestały z drzewa udającego marmur, wykładane aksamitem klęczniki. Uprzedzili matkę Benitę:

– To pójdzie najwyżej po cenie drewna.

– Powiedzcie o tym księdzu Azocarowi.

– Żeby potem nie było do nas pretensji.

– Wątpię, żeby miał pretensję. Dawno zabrał wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Komornicy usunęli z kaplicy również i to, co stanowiło jej jedyną ozdobę i luksus: cztery witraże z początku stulecia, na których dobroczyńcy Domu, klęczący, przybrani w czarne peleryny, pochyleni, z modlitewnie złożonymi rękami (ich znakomite nazwiska umieszczono u dołu każdego witraża) otaczali: Archanioła Gabriela ze wzniesionym paluszkiem i Matkę Boską o wstydliwie spuszczonych oczach; Matkę Boską Niepokalanego Poczęcia, depczącą swymi przeczystymi stopami głowę potwora trzymającego w szponach kulę świata; świętą Annę, która poczęła Matkę Boską bez grzechu pierworodnego; Dziewicę odwiedzającą świętą Elżbietę z brzuchem wzdętym

niewidocznym Janem Chrzcicielem. Witraże były katalońskiej roboty, zdaniem niektórych rzeczywiście dzieła artystów, interesujące jako przykład gustów epoki. Wyjąwszy je z okien, licytatorzy oparli je o kolumny krużganku, aby w dzień licytacji przebijało przez nie kokieteryjnie słońce – kolory były bowiem naprawdę piękne, tak zresztą jak i w chińskim stylu wykonane obramowania, lotosy, czaple, jakieś rośliny – kuszące ewentualnych kupców, chociaż trudno było sobie wyobrazić, by mogły dzisiaj do czegokolwiek służyć, tym bardziej iż przystojne damy w czarnych toaletach, których identyczność dzisiaj już nic nikomu nie mówiła, psuły całość, która inaczej miałaby może jakąś wartość.

W murach kaplicy, której drzwi były zabite skrzyżowanymi deskami, zostały cztery ogromne wyrwy; ponieważ dzień licytacji jakoś nie nadchodził, w wyrwach ptaki zaczęły wić sobie gniazda, a pająki rozciągały efemeryczne rysunki swych sieci, zmiatanych uderzeniami wiatru, który nocami chwiał płomykami świec – tych słabych świateł z zewnątrz nie było widać – zapalanych przez pensjonariuszki. Usadowiona, niby na tronie, na złoto-czerwonym krzesełku, na samym środku prezbiterium, które już było tylko drewnianym wzniesieniem, Iris Mateluna kichnęła. Dora powiedziała:

– Ave Maria Purissima.

Siedzące na podołku Iris dziecko również kichnęło.

– Bez grzechu poczęta.

– Zakryj się porządnie, Iris, a dziecko też opatul, o tej porze roku jak nic można złapać bronchit, podobno zresztą panuje grypa.

Iris podniosła kołnierz kawowego płaszcza, którego wielkość osłaniała jej ciążę, denerwującą, niezdecydowaną,

ciągnącą się całe miesiące ku niepokojowi nas wszystkich, które powtarzałyśmy, że to cud, to cud, Brygida mówiła, że cud, a ona znała się na tym, cudowna ciąża może być krótsza, ale też i o wiele dłuższa od zwykłej, trzeba czekać, aż dziecię w swej mądrości uzna, że nadszedł moment, by zabrać nas wszystkie do nieba, i wtedy się urodzi, oby zresztą jak najszybciej, bo przecież mają burzyć Dom i kto wie, co się z nami wtedy stanie, gdzie też nas poślą, martwi się niejedna, bo i jakże się tu nie martwić, ale nie należy bać się, a przeciwnie, żyć nadzieją, wierzyć w dziecię, wierzyć, że wszystko pójdzie wedle jego woli, tymczasem zaś opiekować się Iris, zupełnie się zrobiła niemożliwa, ciągle muchy w nosie, ale trzeba jej słuchać, czcić ją, obstawiać gromnicami, otaczać śpiewami i modlitwą.

Dziecko kichnęło znowu.

– Uważaj, Iris...

Iris ziewnęła:

– Ech, nudna była dzisiaj zabawa jak nie wiem co. Ale mu z nosa leci, popatrzcie tylko. Jeżeli jutro nie będzie zabawniej, naskarżę na was do matki Benity. Dosyć się już nasiedziałam z dzieckiem na kolanach, chodźmy. Chcę się położyć, a on się zlał, dlatego kicha.

– Siuśki nie ziębną, trzymają ciepło.

– Ależ, Amalio, tylko wtedy trzymają, kiedy dziecko ma gumowe majteczki, a jeszcze mu nie włożyłyśmy...

– Tak? Nie wiedziałam.

– A kiedy ty co wiesz, Amalio?

Na miesiąc przed przybyciem komorników mających przygotowywać pakiety licytacyjne arcybiskup kazał wynieść świętych. Staruszkom smutno było, że w kaplicy pusto, chociaż wiedziały, że to już nie kaplica, że ją odświęcono. Ale Głuszek powiedział im, żeby nie były

głupie i nie mazały się bez powodu, że wystarczy iść na patio, gdzie pośród jeżyn, kamieni i chwastów leży pełno kawałków różnych gipsowych draperii, płaszczy, gronostajów, drogich kamieni, miecz zagłębiony w piersiach męczennika, korony cierniowe i wieńce, wyblakłe oczy i kawałki głów z resztkami aureol, diaboliczne węże z powyrywanymi językami, popękane twarze, ręce złożone w bolesnej ekstazie, palce odwracające strony grubych gipsowych ksiąg i w wysokiej trawie przesuwające ziarnka różańców. Głuszek powiedział, że skoro arcybiskup zabrał im swoich świętych, one powinny sobie skombinować innych, to przecież skandal, żeby kaplica wyglądała jak ogołocony barak. Stare zabrały się do roboty, pełne dumy ze swych znalezisk i pomysłów. Miały z tego wszystkiego tyle rozrywki, że na dłuższy czas zapomniały o Iris i jej dziecku, bo budowanie postaci i nadawanie im osobowości poprzez przyklejanie z lepszym lub gorszym skutkiem rozmaitych rekwizytów było świetną zabawą, zresztą nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie, można akurat utrafić i z tych kawałków zrobić prawdziwego świętego, to zresztą nie ma znaczenia, od tego jest Głuszek, który teraz nie może brać się do cięższej roboty, ale na tym to on się zna i rysuje twarze o zamazanych rysach, podpowiada interesujące kombinacje rozmaitych kawałków, które im samym pewno by nie przyszły do głowy: Iris składa swoich świętych na dróżkach, Dora za krzakami, tu na przykład dziki koper oplątał swymi korzeniami jakiegoś świętego, wykapany Jan Chrzciciel, trzeba będzie zrobić podkop, żeby go jakoś uwolnić, tu skrzydło i kawałek kobiecej twarzy, tu włosy świętej Magdaleny, tu paszcza smoka, z której nie leci dym, trzeba trochę podmalować linię szyi i przykleić głowę, która nie należy do tego

ciała, nie, nie zamalowujcie, to jest błogosławiona Inez de Azcoitia, która zachowała przez całe życie bliznę na szyi, i dlatego welon, dlatego ten Dom zbudowany, ażeby ją zamknąć i ukryć. Na to Amalia:

– Ale czcić jej nie można, skoro nie udała się beatyfikacja. Biedna misia Inez...

– Jeszcze może się udać. Podobno ma zostawić wszystkie papiery w Rzymie, żeby tamtejsi adwokaci i ambasador zajęli się tą sprawą; mówią, że ambasador przy Watykanie jest komunistą i dlatego pokrzyżował plany beatyfikacji. Trzeba zaczekać, aż się zmieni rząd i poślą jakiegoś lepszego ambasadora, wtedy się uda.

Amalia namyśla się chwilę:

– Tym gorzej – mówi. – Nie składajmy figury świętej Inez de Azcoitia, bo podobno jak władze dowiadują się, że się czci jakiegoś świętego, którego Rzym nie kanonizował, uznają to za bałwochwalstwo i potem kardynałowie już nie chcą go kanonizować, kiwają głowami i mówią, że nie. Nie czcić wcześniej – to jest główna zasada, żeby beatyfikacja się powiodła.

– A ty skąd taka mądra?

– I, po co słuchać tego plecenia, przecież Amalia tyle wie, co zje.

– Nie rozumiesz, Amalio, że to głupie gadanie? I nie masz czego beczeć o byle głupstwo.

– Wcale nie beczę, łzawi mi oko. Nie znalazłam paluszka archanioła Gabriela...

– Popatrzcie, ale mi się udał ten święty...

– Nogi ma przykrótkie.

– I za wielką głowę.

– To nie ma znaczenia, jest święty, bo go zrobiłam ze świętych kawałków. Słuchaj, Głuszku, jak go nazwiemy?

Stare zbierają się dookoła mnie pomiędzy krzakami i kawałkami gipsu, ażebym zdecydował i pędzelkiem na podstawkach tworów ich anarchicznej wyobraźni wypisał imię świętego. Ta to święta Brygida, bo ma takie cieniutkie paluszki, pozornie do niczego nie służące, no i sentymentalne wejrzenie. Ten to święty Fidel z powodu brody, więc domalowałem mu ładownicę pełną naboi. Święty Hieronim, duży, mocny, dumny, całe słoneczne rano spędziłem z przykucniętymi wokół mnie szepczącymi staruchami, starając się dokładnie oddać błękit jego oczu. Błogosławiona Inez de Azcoitia, z tą wielką szramą czonczona na szyi i zbyt dużymi uszami, miała od początku największe powodzenie ze wszystkich świętych. I święta Peta Ponce, o lubieżnym wejrzeniu, i święty doktor Azula, jednogłośnie uznany za bardzo podobnego do Amalii, której jedyne oko nie przestawało łzawić.

– Ale co to szkodzi, że archanioł Gabriel nie będzie miał paluszka, Amalio?

– Szkodzi.

– Przecież poza tym jest prawie cały, trzeba by go teraz załadować na wózek Głuszka i zawieźć do kaplicy, zobaczysz, jak pięknie będzie wyglądał.

– Nie chcę. Aż znajdę paluszek. Dopiero wtedy go tam zawieź.

– Nie zwracajcie na nią uwagi.

– Coś jej się w głowie popsuło po śmierci Brygidy.

– Ja tam nie wiem, nigdy nie widziałam, żeby święty Gabriel miał paluszek.

– Z nią już niedługo będzie koniec. Zobaczycie.

– Długo już nie zostanie między nami...

Stare wwożą na wózku Głuszka swoje dzieła i ustawiają wokół królującej na środku, z dzieckiem w ramionach,

Iris Mateluny, tworząc w ten sposób dwór oświetlony drżącym światłem świec osłoniętych baldachimem, który wiejący przez wyrwy w murze wiatr bez przerwy wydyma.

Już teraz wtajemniczonych jest więcej niż siedem. Nie wiadomo, jakim cudem poszło po Domu... mówią, że w kaplicy... mówią, że Iris Mateluna... mówią, że palą przed nią gromnice, że ustawiają kwiaty i bukiety... mówią, że sprawia cuda... mówią... mówią... po kątach niemal każdego patia słychać szepty, słychać skradające się kroki, stare szpiegują, spojrzenia spod oka, podchwytliwe pytania, prawdy wygrane lub przegrane w oko, gdy walet trefl nie przyprowadził ze sobą króla, mówią... kroki, cienie, słowa, uszy przy przepierzeniach, jak ma nie być plotek, kiedy zdarza się cud? Nie można o tym nie mówić, tak że z konieczności coraz więcej starych zostało dopuszczonych do sekretu, ukrywanie przed nimi mogło okazać się ryzykowne, ta, co modli się do Matki Boskiej z Lourdes, a mieszka przy patio od pralni, to taka gaduła... a wszystkie takie zazdrosne, wtrącalskie, kłótliwe... zresztą, co tu poradzić, skoro ta ciąża tak się przedłuża, tak strasznie długo trwa, trzeba się modlić, nocami w kaplicy wokół Iris, królującej z dzieciątkiem w ramionach, z tą lalką, ze swoim noworodkiem, którego nie chce wypuścić z rąk za nic na świecie, rój starych klepie różańce, zdrowaśki, proszą Boga, żeby to ich pisklę urodziło się bez bólu, żeby prawdziwe dzieciątko rzeczywiście przyszło na świat i żeby można było obejść się już bez tej lali, która małą uspokaja, och, jakaż się zrobiła niemożliwa, niechby już raz wreszcie urodziło się to dziecko poczęte bez grzechu, niechby one zdążyły polulać je przed śmiercią, pokołysać je w ramionach, jeżeli od razu nie zabierze ich do nieba. Mimo straszliwych przeciągów w kaplicy, mimo kaszlu,

kichania, lęku przed zapaleniem płuc, snu, który spada na nie czasem w samym środku zdrowaśki, stare modlą się i modlą, schylając się przed Iris, co jej się podoba i co ją śmieszy, okadzają ją tak, że niemal przed nią tańczą, nucąc aaaaa i aaaaa, i wymachują rękami, przyklękają na trzeszczących kolanach, niechże się dzieciątko pospieszy, one już mają węzełki przygotowane, żeby iść za nim do nieba, tak jak im to zapowiedziała Brygida, nieduże węzełki, tylko to, co najważniejsze, ot, budzik, chustka wełniana, karty do gry, bo tam nie przestaną grać w oko, a co, nie wiesz, że to diabelska gra, czajniczek, może zresztą nawet i tego nie potrzeba zabierać ze sobą, podobno w niebie wszystkiego pełno, a w dodatku nowiuteńkie.

Pod swym kawowym płaszczem Iris robi się ciągle grubsza, ma czerwone oczy, wczoraj osiem razy kichnęła, a mówiłam wam, ale to była wyjątkowo zimna noc. Ja też tyle razy kichnąłem, ale ponieważ ona ze znudzenia drzemie na tym całym tronie, to nawet nie wytarła mi nosa. Teraz przyciągają mój wózeczek, już był najwyższy czas, Iris siada na nim, mnie usadzają na jej kolanach, ona, dobra mamusia, napomina, żeby dzieciaczkowi włożono wełnianą czapeczkę z pomponikiem, żeby się nie zaziębiał więcej. Stare zakładają z powrotem deski, którymi pozabijałem drzwi od kaplicy, ażeby nie było widać, że ktoś tam wchodził po wyjściu licytatorów. Poprzedzany przez dwie staruchy, które niosą świece w papierowych różkach z gazety, jedzie wózek ciągniony przez inne, na nim Iris i ja, a za nami cały orszak rajfurek, akuszerek w gałganach, znachorek pachnących ziołami, uzdrowicielek, płaczek, guwernantek i wiedźm mniejszego kalibru, które nawet nie wiedzą, że są czarownicami, a teraz idąc po korytarzach modlą się, kaszlą, gadają i węszą.

Od czasu kiedy zostałem zoperowany przez doktora Azulę, nie tylko zmieniła mi się twarz, zamiast której otrzymałem tę maskę bez rysów, ale również zmniejszyłem się do tego, czym teraz jestem, do tych dwudziestu procent, które mi zostały po odebraniu osiemdziesięciu, malutki, słabowity, o skoncentrowanym spojrzeniu. Stare znoszą mnie do sutereny i kładą na jednym z łóżek. Odgoniły co nowsze pensjonariuszki, suterena jest niewielka, nie bądźcie takie ciekawe, kobiety, na Boga, innego dnia ty zejdziesz, Lucy, teraz nie zmieścimy się wszystkie, będziecie nam przeszkadzały, jest tyle roboty, jak będziemy potrzebować, to was zawołamy, czekaj, Iris, daj się rozebrać, włóż nocną koszulę i kładź się już, bo późno, zasiedziałyśmy się dziś w kaplicy. Iris sama chce zająć się dzieckiem, ale w końcu zezwala, byśmy jej pomogły, bo trudno jest samej szybko przewinąć dziecko nie większe od lalki. Odwijają pieluszki.

– To niemowlę mniej się moczy niż Damiana.

Przed ich oczami ukazuje się mój zziębnięty seks. Wyobrażają sobie, że to seks Głuszka, ale nie, to nieprawda, on tylko udaje uległy seks Głuszka, pod którym teraz ukrywam potężny seks don Hieronima.

Jezu, mój Jezu, kiedyż dzieciątko wreszcie się urodzi, żeby już więcej nie mieć do czynienia z tymi obrzydliwościami Głuszka, robić to prawdziwemu dziecku to głupstwo, ale jemu... już nie mogę więcej tego dotykać, aż mi się coś w środku przewraca, ile razy mam myć Głuszka, zbiera mi się na wymioty, myj go sobie sama, Iris, to twój dzidziuś, wszystkie obrzydliwości zwalasz na nas, my jak idiotki tańcujemy koło niego, a ty się byczysz, ile czasu będziemy czekać na tamto prawdziwe dziecko, jak się tak czeka, to wiara w człowieku słabnie i zamiast myśleć same dobre

rzeczy, wiele z nas już wątpi, inne znowuż się boją, bo mówią, że to niezgodne z prawem i takie tam, ja słyszałam, jak jedna, co mieszka na palmowym patiu, mówiła, że to jest prawdziwe zgorszenie, że ona złoży donos, że jesteśmy wariatki, właściwie to wszystkie już wiedzą, że coś się święci, tylko nie wiedzą co, czują, że coś się kryje w naszych tajemniczych szeptach, my same już też tak jakoś marniejemy, wystarczy spojrzeć na Amalię, z tym jej gadaniem dzień i noc o zgubionym palcu świętego Gabriela, nosa już tu nie pokazuje, pospiesz no się, Iris, co zrobimy, jak zaczną rozbierać Dom, zanim urodzi się dziecko, wyrzucą nas na bruk, będziemy musiały żebrać, spać gdzieś po bramach, ale tam, nie wariujcie, baby, nawet jak zlicytują, nie będą rozwalać, to będzie pierwszy cud dziecka zaraz po urodzeniu, zobaczycie, a póki co, zabawiamy się z Głuszkiem, ten wszystko pozwala ze sobą robić, taki jest jakiś ogłupiały, taki senny, ani żywy, ani umarły, co się z nim dzieje, matko Benito. Matka też mówi, że już nie wie, co z nim robić, że do niczego nie służy, czasami gdzieś się ukrywa, a że zna cały dom jak własną kieszeń, bo tu siedzi od niepamiętnych czasów, dawniej niż my wszystkie, a nawet niż sama matka Benita, gubi się nam i musimy szukać go po korytarzykach, po galeriach, po zakamarkach tak długo, aż go znajdziemy, bo inaczej Iris strasznie się gniewa, drapie nas pazurami albo wali rózgą, szukajcie mi dzidziusia, ale już, bo jak nie, to spadnę ze schodów i zabiję to moje cudowne dziecko i będzie po krzyku, zostaniecie tu wszystkie jak głupie z paluchem w gębie, a co wtedy zrobicie, pozdychacie jedna z drugą, boście już stare i chore, po dobremu wam radzę, szukajcie niemowlaka, bo poskarżę się matce Benicie, a ona was ukarze, i księdzu Azocarowi także się poskarżę, powiem, żeby was wyrzucił na ulicę, znam na

pamięć prywatny telefon arcybiskupa, zaraz tam zadzwonię i wszystko opowiem, już dwa dni, jak nie ma mojego laluszka, a my, kulejąc, jedna prawie ślepa, bo jej wyskoczył jęczmień i boli ją jak nie wiem co, druga całując szkaplerzyk, że może od tego się poszczęści w poszukiwaniach, przerażone rozłazimy się w ciemnościach po całym domu, po jakichś przejściach, których nie widziałyśmy nigdy przedtem, po patiach, gdzie biegają zające, popatrz, Rosario, wygląda, jakby tu hodowali zające, chodź, upolujemy jednego, nic lepszego jak duszony zając z drobno siekanym czosnkiem, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma co do garnka włożyć, wiecie, kochane, na jednym patiu spotkałyśmy moc zajęcy, jakich zajęcy, nie bądź głupia, Carmela, to przecież króle, ale tam, żadne króle, to po prostu duże świnki morskie, ciekawe, po co by kto hodował tu na patio świnki morskie, także coś... Ale Głuszka ani śladu. Iris drze się, że wszystkie będziemy odpowiadać, stoi koło balustrady, w każdej chwili gotowa rzucić się i zabić dzieciątko, jeżeli jej nie przyniesiemy niemowlaka, nagle słychać krzyk Ryty, jest, jest, znalazłam go, no i jest, siedzi na ziemi, obejmując rękami nogi, z twarzą schowaną w kolanach, taki łagodny, taki poczciwy ten nasz Głuszek, idzie z nami bez oporu, dajemy mu jeść, ale niedużo, troszeczkę tylko, bo on teraz prawie nic nie jada... Chociaż czasem bywa inaczej, jak widzi, że się zbliżamy, zaczyna uciekać i znowu nam się gdzieś gubi po tych różnych zakamarkach, przecież nie możemy tak lecieć jak on, i dopiero w parę dni później – nieraz trzeba Iris zamykać na klucz, żeby przez ten czas nie robiła głupstw, nie wrzeszczała i nie lała nas swoją rózeczką – znajdujemy Głuszka w którymś z pokoi, gdzie składano stare gazety, pisma, książki, w jamie, którą sobie wygrzebał w tych masach niepotrzebnego papieru, w plikach pism, w książ-

kach zjedzonych przez myszy, w górach wybrakowanych encyklopedii, w księgach o pięknych oprawach, całych poplamionych od pofarbowanych okładek, czasami nawet widzimy, że czyta, mówią, że Głuszek przeczytał wszystkie pisma i wszystkie gazety, i wszystkie książki, jakie tylko są w Domu, i dlatego taki jest osłabiony, a mimo to jak go złapiemy w takim schowku, wyrywa się nam znowu i pryska na górę książek ustawionych pod sam sufit, ale my, chociaż bolą nas kości, chociaż jęczymy, przerażone groźbami Iris, drapiemy się za nim na te góry różnych oprawnych i zblakłych „Zig-zag", różnych „La Esfera" i „Je sais tout", które umiem na pamięć, otaczają mnie jak zwierzę, zwołując na pomoc inne, aż w końcu chwytają mnie, Głuszku, Głuszku, nie bądź głupi, poddajże się, czego się wyrywasz, kochamy cię, przecież nigdy nie robimy ci krzywdy, chcemy cię tylko prosić, żebyś nam pomógł jakoś zająć Iris, dopóki nie urodzi się dziecko.

Zaczynają owijać mnie, obwiązują bandażami z gałganów, ściskają stopy, żebym nie mógł nimi poruszać, całe ciało krępują ile sił, potem pchają mnie w coś w rodzaju worka, i sznurują go tak, że tylko głowę mi widać. Kładą mnie do łóżka Iris, bo ona tego żąda, żeby się uspokoić: najpierw dobrze mnie zawinąć, a potem położyć koło niej, pod prześcieradłem, bo lubi spać ze swoim dzieckiem, jej mama i tato także spali razem z nią, a podczas kiedy ona spała, robili sobie kiziołki, aż któregoś ranka, którego ona już nie pamięta... i wszystko wraca do sytuacji aktualnej, do jej niemowlęcia w łóżku, tuż obok niej, żeby mogła się z nim bawić.

– Bierz twojego dzieciaka, Iris, i śpij już.

– I jego także już uśpij.

– Dzięki Bogu, ten lepszy jest do spania niż ta idiotka Damiana, nie drze się i zasypia od razu. Ale uważaj, Iris,

żeby nie próbował z tobą żadnych świństw; żeby cię czasem nie ruszał i żeby mu ten siusiaczek nie stanął, związałyśmy go tak, że proszę, niech śpi obok ciebie jak prawdziwy niemowlak, chociaż ten cały Głuszek to prawie niemowlę, co on tam może, i tak dobry, może on także jest święty, co to można wiedzieć, pamiętacie, jak wyglądał, jakeśmy go wczoraj znalazły nad taką grubą oprawną księgą, co wyglądała jak Biblia, bo takie grube oprawne księgi ze złotymi literami to Biblie, nawet podobno kiedyś go widzieli, jak coś pisał, to się nazywa rozmyślania czy jakoś i podobno tylko święci to piszą, dlatego nie szkodzi, że śpi razem z Iris, która też jest cnotliwa, chociaż jeden święty drugiemu nie równy, tak że na wszelki wypadek lepiej uważać, wprawdzie tylko kawałeczek chłopa z niego, ale ostatecznie to zawsze chłop, a wszystkie chłopy, wiadomo, świnie, i tylko szukają okazji do macania dziewuszek, jeszcze lepiej trzeba go było zawinąć, żeby się nie dobierał do niej brudnymi łapami ani nie dotykał swoim męskim ciałem, żeby nie naszły jej złe myśli, a to grzech, wtedy przestanie być cnotliwa i czysta, a jak przestanie być cnotliwa i czysta, nie będzie cudu i nie będzie dziecka, musiałyśmy jej powiedzieć, że będzie miała dziecko, żeby się nie wygłupiała, wszystko jest dziś inaczej niż za Brygidy, dużo się zmieniło, a jeżeli nie będzie świętego dziecka, będziemy musiały czekać w tej dolinie łez, aż przyjdzie Kostucha; w czasie jakiejś przeraźliwej nocy zobaczymy z daleka, jak będzie wchodziła do Domu, który podobno mają burzyć, mimo że Inez wróciła z Rzymu, co też z nami będzie, jak rozwalą Dom, wszyscy o nas zapomnieli, nawet Jego Świątobliwość, wszyscy prócz tego dziecka, które się narodzi, ażeby nas zbawić, które nie pozwoli, żeby nas wywoził wóz z Opieki Społecznej tak jak biedną Mercedes Barroso, żeby po-

chowali nas we wspólnym grobie, pewno, że gdyby to miał być taki pogrzeb, jaki misia Raquel zafundowała Brygidzie, nie miałybyśmy nic przeciwko temu, ale kto tam miał taką panią jak Brygida, z taką panią wszystko byłoby inaczej, człowiek mniej by się bał, jakby go zamykali w trumnie, gdyby wiedział, że będzie leżał w niszy wyłożonej prawdziwym białym marmurem, imię wypisane i daty, i wszystko, i cała rodzina Ruiz na pogrzebie, modlili się i było widać, że byli bardzo przejęci śmiercią biednej Brygidy, ale kto tam ma takie szczęście jak ona, dlatego trzeba dbać o Iris, potrzebne nam to cudowne dziecko, ono wygoni tych niedobrych ludzi niosących czarne pudła i dotknąwszy swoim cudownym paluszkiem wyczaruje karety i konie, które nas zabiorą prosto do nieba, przerobi je z czarnych na białe, a wtedy już nie będzie się czego bać, bo wiadomo, że to, co białe, nie może być złe, dlatego Brygida nigdy nie chciała nosić tego czarnego szala, co go dostała od panienki Malú na urodziny, i nigdy go nie tknęła... ciekawe, kto też go po niej odziedziczył... może zresztą zmienił kolor i teraz też jest biały. Cud może się zdarzyć w każdej chwili, zawsze trzeba być gotowym i mieć uszykowane tobołki z tym, co trzeba ze sobą zabrać, czajniczek, budzik, karty, ciepłe pończochy, bo może być chłodno, jakąś chustkę, już tam wszystko jedno jakiego koloru...

Gaszą światła. Odchodzą. Zostawiają tylko jedną dyżurującą starą, która śpi na drugim stojącym w suterenie łóżku. Słyszę, jak się przewraca. Poprzez krępujące mnie bandaże i pieluchy czuję, jak ogarnia mnie ciepło ciała Iris. Stara usnęła. Coś tam mruczy, pochrapuje, tak, śpi. Ty i ja, przytuleni do siebie, nauczyliśmy się poznawać chwilę, gdy nieregularny oddech wykazuje, że stara zapadła w sen, który wepchnął ją w podobny

do mojego worek, uniemożliwiając ruchy, zawieszając czujność.

Nie dotykasz mnie ani nie mówisz do mnie, trzeba czekać nie tylko na tę chwilę, kiedy sen ogarnie dyżurującą staruchę, ale i na tę, kiedy ból przekroczy granice mej wytrzymałości i zacznę cię błagać. Sama nauczyłaś się tak mnie krępować, ażebym nie mógł drgnąć, boję się dzidziusia, mówiłaś, i kazałaś im, niewolnicom twej macicy, tak mnie unieruchomić, by po chwili wszystko zaczynało mnie boleć; usiłuję się kręcić, żeby jakoś sobie ulżyć, ale sam nie mogę się ruszyć, a ty nie chcesz mnie dotknąć, więc muszę cię błagać, Iris, Iris, sama wszystko uknułaś, jestem w twojej mocy, wiem o tym, szepczę, błagam cię, porusz mną choć troszeczkę, bo cały drętwieję, czyżbym do końca życia miał już tak zostać, w tej okropnej pozycji, tu, w suterenie, przecież jak stare przyjdą mnie odwinąć, nie będę zdolny ani dać kroku, ani ruszyć palcem...

Ty oddychasz inaczej niż śpiące staruchy. Ale ja już nie mogę... Czuję, że za chwilę zaczną łapać mnie kurcze, więc znów zaczynam:

– Iris.

Nie odpowiadasz, bo chcesz, bym cię prosił dalej.

– Porusz mnie troszeczkę.

– Nie chcę.

– Proszę cię, Iris.

– Ććććć...

I nie ruszasz mnie.

Nieznośny skurcz pojawia się zawsze w tym samym miejscu, na podbiciu, ból ogarnia całą stopę unieruchomioną bandażem, wędrując poprzez ścięgna moich nieruchomych nóg, poprzez ciało niezdolne do walki z bólem, który znikłby przy najmniejszym ruchu, ale mi go bronisz,

skurcz idzie ciągle wyżej, mięśnie twardnieją, już obejmują cały mój lewy bok, aż do ramienia, do obojczyka, nie mogę się bronić nawet ruchami szyi, nie mam prawa do najmniejszego drgnięcia, które by mnie wybawiło od tego skurczu, zabrałaś mi to prawo, bo chciałaś zrobić ze mnie twego niemowlaka, a wiesz, że owinięty, z ciałem, które staje się jednym straszliwym bólem, znów będę krzyczał; ale nie krzyczę, tylko szepczę:

– Iris.

Nie odpowiadasz.

– Chociaż troszeczkę.

– Nie.

– Umieram z bólu...

– Dobrze ci tak... To za karę.

– Iris...

– Bardzo cię boli?

– Bardzo.

– Chciałbyś się poruszyć?

– Chciałbym.

– A co dla mnie zrobisz, jeżeli cię poruszę?

– Wszystko, co mi każesz.

– Łgarz zasrany.

– Nie, Iris, nie, nie mogę dłużej...

– To dlatego że jesteś wstrętny łgarz. Ile razy ci mówiłam, żebyś mi przyprowadził tego faceta, co mi zrobił dzieciaka? I nic. Zawsze bujdy, obietnice, ploty, że ktoś... że coś... ale potem jak kamień w wodę i ani śladu faceta. A ja już lada dzień będę miała dziecko. Nawet chyba już przenosiłam, nic się w tych datach nie kapuję, wszystkie dni do siebie podobne, ale coś mi się widzi, że przenosiłam, więc chyba już niedługo. Ten facet musi po mnie przyjść, zabrać mnie i uznać dziecko. Nie chcę mieć bękarta... A jak się urodzi tu, w Domu, to co powie

matka Benita... Jeżeli mi go nie przyprowadzisz przed urodzeniem dzieciaka, to wszystko zwalę na ciebie...

Szepczę:

– Iris... Posłuchaj...

– Nie chcę słuchać.

– Mam pewien pomysł.

– Wsadź go sobie gdzieś.

– Ale dobry pomysł.

– Nie wierzę ci.

– Tylko mnie porusz troszeczkę...

– Nie.

– To jak mam z tobą rozmawiać?

Iris zmieniła mi pozycję w łóżku, pomaga mi zgiąć, a potem wyprostować nogi i samo to jest tak cudowne, jakbym nagle zanurzył się w chłodną wodę, od której mija cały ból. Wiem, że zostawi mnie w tej pozycji do chwili, kiedy wyciągnie ze mnie to, o co jej chodzi, a potem odczeka, aż znowu złapią mnie kurcze, aż znowu zacznę ją prosić i obiecywać wszystko, co możliwe, żeby tylko mnie poruszyła i żeby minął mi albo chociaż trochę zelżał ból. Nie chcąc obudzić dyżurującej staruchy, szepczę jej do ucha:

– Rzecz w tym, że nie ma go tu, Iris. Zorientował się, że go szukają, dał nogę i straciłem go z oczu. Jak się dowiaduje, że ktoś go szuka, przeprowadza się do innego domu, do innej dzielnicy, a ja muszę bez przerwy przebierać się za nie wiem kogo, żeby nie poznawali, że to ja go szukam. On się boi, bo czuje, że ktoś za nim chodzi, a wiesz, że to najgorsze ze wszystkiego, wtedy człowiek zaczyna się głowić dlaczego, wymyślać jakieś niestworzone historie, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością, żeby jakoś dojść, o co chodzi...

– Nie rozumiem cię, mów jaśniej...

– Jak nocą, podczas gdy stara, co ma nas pilnować, śpi, a ty rozwiązujesz mnie, każesz mi się ubrać, wyganiasz mnie jak psa na ulicę i zabierasz mi klucze, a potem czekasz na mnie do rana za bramą, włóczę się po mieście, Iris, a miasto to straszna rzecz, nie rozumiem, dlaczego ty chcesz wychodzić, tu masz przecież wszystko. Mnie znają już po barach, w burdelach, na jarmarkach, w cyrkach, w podmiejskich teatrzykach, gdzie są takie ławki, jak były u nas w kaplicy, bo chodzę i szukam go na wszystkie strony, przysięgam ci, że go szukam, ale wszędzie mi mówą, że już dawno go tu nie było, że jak się dowiedział, że go szukają, pomyślał, że chcą się na nim zemścić, więc zląkł się i czmychnął. Oczywiście nikt nie wie, że to ja go szukam, że to ja jestem instrumentem tej zemsty, no więc mi wszystko opowiadają...

Słuchasz mnie, bo wszystko to brzmi trochę jak romans kryminalny.

– Posłuchaj mnie, Iris.

– Przecież nie zostanę na zawsze w tym zasranym Domu z tobą i ze starymi.

– Wypuszczę cię, kiedy będziesz chciała.

– I co mi z tego przyjdzie? Sam mi mówiłeś, że Damiana włóczy się tu gdzieś po okolicy, a ja nie potrzebuję, żeby ta stara lesbija znowu się do mnie przyczepiła. Ona mi powiedziała, że jak wyjdę sama, to wezmą mnie do szpitala, gdzie nie będą się ze mną patyczkować. Ja nieraz słyszę nocą, jak ona krąży koło Domu, jak gwiżdże, żebym wyszła na balkon, ale nie wychodzę, nie chcę z nią mieć nic wspólnego. Wolę zaczekać, aż on po mnie przyjdzie, a tymczasem odstawiać ze starymi te cuda; jak nie znajdę chłopaka, one chociaż pomogą mi przy porodzie i wychowają mi dziecko. Nie nadaję się do żebrania z dzieckiem na ulicy. Jeżeli nie

znajdziesz tego faceta, musisz chociaż sprokurować mi forsę, ot co.

– O tym chciałem z tobą pomówić.

– O czym?

– Tylko rozwiąż mnie trochę.

– Znamy te numery.

– Rozwiąż, to ci powiem...

Pod pościelą Iris manipuluje sznurkami, które robią ze mnie mumię. Już się mogę poruszać. Mam ręce, mam nogi. Mimo bólów i skurczów czuję je. Istnieją, gdzieś jakby poza bólem i skurczami. Iris. Iris. Jeszcze trochę popuść, a powiem ci coś nowego, jeszcze raz cię nabiorę na jakąś niebywałą brednię w rodzaju fotonoweli, w którą uwierzysz, a ja całkowicie wtłoczę cię w to złudzenie jak w moją pozytywkę, o... rozluźniasz... on podobno mówił na wszystkie strony, że nikogo nie kochał prócz ciebie... jeszcze jeden supeł... ale że nie miał ci co ofiarować, bo był biedny jak mysz kościelna... jeszcze ten... że nie zasługiwał na ciebie... teraz ten sznurek... co z tego, że nawet po ciebie przyjdzie, skoro nie ma na nic, nie mógłby kształcić syna... przysuwam się bliżej, by doradzać ci wprost do ucha, że nie warto, byś go dłużej szukała, nie warto, przecież możesz za moment urodzić, w dodatku ten cały Romuald to był nędzarz, nawet głowa Olbrzyma nie należała do niego, ta głowa, na którą cię nabrał, na dodatek zmył się, ani śladu po nim, tak jakby ci, co wtedy poszarpali na kawałki głowę Olbrzyma, jego samego także rozszarpali, lepiej zapomnij o tym gnojku, Iris, nie bądź głupia, ja także chcę się wyrwać z domu, mimo że boję się ulic i czasami nawet wolę to leżenie obok ciebie, bez ruchu i w skurczach, od włóczenia się po mieście... ale teraz, kiedy mnie odwiązywałaś i wyganiałaś na całe noce, zamknąwszy

bramę na klucz, ażebym nie mógł wrócić bez wiadomości o Romualdzie, widziałem wiele domów, podglądałem przez okna, tak że już wiem, skąd wziąć forsę. Dużo forsy.

– Złodziej.

– Dlaczego złodziej?

– Ja mogę być kurwą, ale nie jestem złodziejką.

– Kto ci powiedział, że jesteś kurwa?

– Damiana.

Nie jesteś kurwą, Iris, jesteś cnotliwa i czysta, zapewniam cię, obiecuję ci to. I w cichej, przytulnej nocy tej sutereny haftuję ci do ucha bajkę, żeby cię ocalić i żebyś mnie rozwiązała, bo inaczej ból mnie zabije, dlatego wymyślam i improwizuję zależnie od tego, jak reagujesz: jest pewien bardzo wielki żółty dom, który stoi naprzeciw wielkiego parku po drugiej stronie rzeki, w tym domu żyją ludzie bardzo bogaci, ale zarówno swoją władzę, jak i pieniądze zawdzięczają mnie, tak że nie może być mowy o żadnej kradzieży, Iris, jestem biedny i słaby, bo oni ze wszystkiego mnie obrabowali, nie zapłacili mi nic z tego, co mi byli winni, a wiele byli mi winni, bo żeby nie ja, w ogóle by ich nie było, ja wszystko im dałem, piękność, władzę i dumę, beze mnie rozwiałby ich dym, ulotniliby się, rozumiesz, oni, ich pieniądze, ich biżuteria, wszystko, tak że wszystko do mnie należy. W ciemnościach płoną twoje oczy od tej nowej historii, którą wymyślam, żeby jakoś cię nabrać, bo inaczej ból mnie zabije, jednym słowem, jeżeli chcesz, pójdę wydostać stamtąd pieniądze, nie ukraść, nie, pieniądze, które są w tym żółtym domu na wprost parku, są moje, i nic łatwiejszego, jak je zdobyć, na pamięć znam sekretną kombinację, na jaką zamyka się kasa pancerna ukryta w jego bibliotece, za pewnymi książkami o zielonawych grzbietach, na górze, na lewo od wejścia. Od czasu do

czasu on otwiera tę kasę i oblicza swoje miliony. Ja mogę wyjąć stamtąd jego pieniądze, Iris, ale musisz mnie uwolnić, i to już, od razu, uwierz mi, raz jeszcze, a potem zrobimy z tymi pieniędzmi, co będziesz chciała.

– Ale ja nie chcę z tobą żyć.

– Dobrze, to podzielimy się po połowie i będziesz robiła, co będziesz chciała.

Zastanawiasz się.

– Nie, to mnie nie urządza. Jestem nieletnia. Dla mnie jednak lepiej będzie tu zostać. Co powiedzą, jak się zjawię bez papierów w jakiejś klinice, żeby urodzić dziecko?

Wtedy mruczę:

– Pobierzmy się.

– Za żadne skarby świata.

– Proponuję ci to tylko dlatego, żebyś mogła robić, co ci się będzie podobało. Z kupą forsy, którą ode mnie dostaniesz, i będąc mężatką, będziesz mogła robić, co ci przyjdzie do głowy, i nikt nie będzie o nic cię pytał. No a także to będzie dobrze ze względu na dziecko: nie będzie bękartem. W ten sposób będzie chociaż miało nazwisko...

– Jakie nazwisko?

– Moje.

– Ale jakie?

Nie, nie zmusisz mnie, bym je wypowiedział.

– To teraz nie ma znaczenia, potem powiem ci wszystko...

W miarę jak Iris z zachwytem chłonie moją opowieść, która nadaje kształty jej złudzeniom, a mnie zwraca wolność, zwalnia me więzy: nagi, z ogolonym seksem, ale wolny, leżę jak mężczyzna koło kobiety. Mógłbym zgwałcić cię, Iris, teraz, tutaj, stara niczego by nie zauważyła, może ty nawet byś nie zauważyła, ale nie zrobię tego, nie

mam seksu i chcę, by wszystkie stare wiedziały, że go nie mam, by ta wiadomość dotarła do Pety Ponce, może się wreszcie uspokoi i postanowi umrzeć. Jestem jeszcze jedną staruchą, która czuwa nad tobą, Iris, na wypadek, gdyby ta noc stała się wreszcie nocą olśnienia. Mówisz:

– Nie mam żadnych papierów. Ale to żadnych.

– Ja też nie.

– No to jak?...

Nieważne jak, Iris, nie martw się o to, najpierw trzeba zdobyć pieniądze, z pieniędzmi podobno wszystko można zdziałać, przynajmniej tak mówią ci, co się na tym znają. Jak już będziemy mieli forsę w garści, zobaczymy, co się da wykombinować, nie bądź głupia, mówię ci, że to nie kradzież, mogę zrobić, co chcę z tymi ludźmi, zamknąć ich w pozytywce wiecznie powtarzającej *Karnawał Wenecki* albo w tej małej chatce z szarotkami i ptaszkami. Podaj mi spodnie i koszulę, które ukryłem pod łóżkiem. Pozwól mi ubrać się na leżąco pod kołdrą, żeby stara się nie pokapowała, no, wstajemy, włóż płaszcz na nocną koszulę. Widzisz, daję ci się prowadzić, idę za tobą z rzemykiem na szyi; ciągniesz mnie jak psa przez te wszystkie przejścia aż do portierni, teraz bierzesz klucze, ty rozkazujesz, ty rządzisz, ty mi każesz wyjść na ulicę i przebiegać te wielkie przestrzenie, gdzie nie ma poczciwych, zdziecinniałych i ogłupiałych ze starości staruszek; wypchnąwszy mnie na ulicę zamykasz bramę. Masz mi go przyprowadzić! Ale to koniecznie. Jeżeli teraz wrócisz bez Romualda, powiem Rycie, że dobierałeś się do mnie, a one jutro jeszcze mocniej cię związą, dużo, dużo mocniej niż dzisiaj, tak że nie będziesz mógł nawet paluchami ruszać i zdechniesz z bólu i z tych kurczów, i z tej niewygody, ty zasrany Głuchu, a ja leżąc koło ciebie nie drgnę nawet, nie dotknę cię, choćbyś darł się wniebogłosy, choćbyś mnie

błagał; wiem, że możesz schować się tu w Domu, w twoim Domu, ale to twoje wieczne chowanie i szukanie cię zmieniło wszystko w coś w rodzaju zabawy, w chowanego czy czarnego luda, ale śmieszniejsza jest taka ganianka po piwnicach i balkonach, i dachach, niech pani patrzy, pani Ryto, powiem jej jutro, niedobry dzieciak, wstrętny niemowlak.

– Dobrze.

– Czekam na ciebie w portierni.

– Dobrze.

– I żebyś przyniósł kupę forsy.

– Dobrze.

Otwierasz. Staję w bramie. Wypychasz mnie i zamykasz ją za mną jak zawsze. Stoję sam na ulicy, pada, i nie wiem, co robić. Już nie wiem, co wymyślić, żeby jutro rano – kiedy trzy razy zastukam w bramę, a ty mi otworzysz – mieć dla ciebie przygotowaną nową bujdę i żeby brzmiała prawdopodobnie. Może poszukać jakichś paciorków, kawałków szkła, koralików, takich różnych ozdóbek i powiedzieć ci, że to od jakiejś sukni, że ktoś ci to przysyła, żebyś wybrała, a wokół tego wymyślić jakąś nową bajkę, która cię zainteresuje... a przez ten czas ja hop – i już będę w środku.

W środku. Wolny. Nie uduszony. Znowu pośród murów z *adobe*. Skorzystawszy ze wstrząsu, jaki wywołała w Iris moja opowieść, ucieknę przed jej okrucieństwem, by zagubić się w tym niezgłębionym Domu. Myślicie, że poznałyście go do końca, ale się mylicie. Zawsze jeszcze są nie zbadane kąty, nie tknięte kufry, nieprzeniknione ciemności, których trzeba dotknąć, ażeby je poznać, i które ja jeden znam, nikt inny nie wróciłby stamtąd i przysięgam ci, że tym razem stare nie znajdą mnie, niech nawet nie próbują mnie tam szukać. Albo też znajdą mnie wtedy,

kiedy sam się na to zgodzę, kiedy coś znowu zacznie kiełkować we mnie, rosnąć niby nóżki ślimaka, i poczuję, że nadszedł moment, abyście, ty i stare, odnalazły mnie, związały, skrępowały, opakowały raz jeszcze, abym w ten sposób wypełnił moje przeznaczenie niemowlęcia poobwijanego szmatami, rozrywki jednego z wielu wcieleń córki bandyty... czekając, aż na nowo wypchnie mnie w przepaść ulicy.

# 21

Kufry, skrzynie, podwójne drabiny, worki... sterty worków, wśród których się ukrywam, i pług, Bóg wie jakim cudem tutaj przytaszczony, chodź, Głuszku, chodź, rój bab ściga mnie aż do tej graciarni, chodź, chodź, nie bój się, teraz to nie zabawa, a tylko w czasie zabaw można się nas bać, chodź, matka Benita nas przysłała, bo chce z tobą mówić. Prostuję się i znowu jestem Głuszkiem, czy też tym, co z niego zostało, każdego dnia mniej, mój Boże, co też będzie z tym człowieczkiem, tak źle wygląda, mówi matka Benita, codziennie słabszy, mniejszy, ale przysyła was prosząc, żebym przyszedł do portierni, bo chce mi donieść o depeszy ze Szwajcarii, chce, bym i ja ją przeczytał. Zastałem ją tam z rękami bezwładnie opuszczonymi na fartuch, a obok niej, na ławce, ten papier. Zachwycony szmer starych, które masowo nadchodziły na wieść o tej nowinie, wzrastał, podczas gdy odczytywałem telegram: Ślubowanie ubóstwa poddało mi myśl by spędzić ostatnie dni życia w Domu do mnie należącym stop proszę sprawdzić które patio faktycznie było zamieszkiwane przez Błogosławioną tam przygotować mi celę i łazienkę stop list dyspozycje w drodze stop serdeczności stop Inez Azcoitia.

Przeprowadzasz długą rozmowę telefoniczną z misią Raquel, bo nie śmiesz, tak jak nigdy nie śmiałaś, mówić

z don Hieronimem: jak byś zresztą miała z nim mówić, on nic o tobie nie wie, ignoruje zarówno ciebie, jak i Dom, jak i nas wszystkich. Misia Raquel mówi, że słusznie, bardzo słusznie matka nie chce mówić z don Hieronimem, już kto jak kto, ale ja znam Inez jak własną kieszeń, ślubowanie ubóstwa, taki delikacik i wygodnicka jak ona, też coś... A nie mówiłam matce, matko Benito, że Inez odegra się na Hieronimie za to przekazanie Domu arcybiskupowi, że się będzie na nim mściła? No i proszę, to jest właśnie jej zemsta, bo Inez nigdy nie mści się wprost, a już w żadnym wypadku nie na Hieronimie, nie mówiąc o tym, że na nim nie można mścić się wprost, on nie nadstawia się wprost, jakby nie był zdolny stanąć twarzą w twarz, równocześnie jest ponad i w jakiś sposób nie dorasta do tego, kto ma do niego pretensję, krótko mówiąc, Inez mści się przeprowadzając do Domu, bo sama matka rozumie, że póki ona tu będzie, arcybiskup nie ośmieli się ruszyć Domu, niezależnie od wszelkich kombinacji i niezależnie od tego, że kapelaństwo zostało odstąpione; Inez ma w nosie całe te historie, a z pewnością jest wściekła, że jej nie wypaliła afera z tą beatyfikacją, chociaż wszyscyśmy z góry wiedzieli, że nic z tego nie wyjdzie, i mówiliśmy jej to po sto razy, ale nie zwracała na nas uwagi, przecież wszyscy włącznie z Hieronimem śmiali się z niej, no to teraz instaluje się tutaj, wiedząc, że w ten sposób arcybiskup nie będzie mógł tknąć nawet dachówki... bo jak to zrobi, Inez natychmiast zmieni testament spisany na rzecz arcybiskupa i zapisze swoją fortunę komu bądź, towarzystwu opieki nad zwierzętami czy bo ja wiem komu... Arcybiskup nie zaryzykuje utraty fortuny Azcoitiów, mowy nie ma, księdza Azocara szlag by trafił, gdyby coś podobnego się zdarzyło, a co do Hieronima, to nie należy zawiadamiać go o tym, matko

Benito, niech go spotka niespodzianka, wie matka co, najlepiej będzie, jak wytapetujemy jej celę, Inez nienawidzi nie wytapetowanych murów, mówi, że trzymają wilgoć, że to szkodzi na reumatyzm, jeżeli matka chce, pomogę jej w wybraniu tapety, znam gust Inez, a zresztą w San Isidro jest fabryka tapet, mają tam ładne i niedrogie, a ponieważ najlepiej wszystko robić, że się tak wyrażę, w rodzinie, misia Raquel przysłała męża swojej wnuczki Malú, młodego architekta z długimi, ładnie falującymi włosami i w odpowiednio wystrzępionych i wyłatanych welwetowych dżinsach, ażeby zabawił się w to, co on sam określał jako zgadywankę, w tym labiryncie korytarzy i podwóreczek, to nie do wiary, że nie zachowały się żadne papiery, które by pomogły ustalić daty poszczególnych konstrukcji, tej dziwacznej składanki przybudówek i dobudówek, zabawnych, jakkolwiek zupełnie nieinteresujących z punktu widzenia architektonicznego, bo to, co pozornie wygląda na całość, jest wyłącznie owocem niedbalstwa, matko Benito, nie pozbawionym pewnego uroku, ale misia Raquel naprawdę jest śmieszna, kiedy się oburza, że rząd, który ma pieniądze na tyle głupstw, nie chce łożyć na uchronienie od ruiny jednej z niewielu starych budowli, jakie nam pozostały, to w ogóle nie jest stara architektura, matko, to są po prostu starocie, a to gruba różnica, pewno że gdybyśmy się uparli, to to patio, to, które wy nazywacie palmowym, jest chyba najstarsze: proszę zauważyć zupełny brak wszelkich ozdób na kamiennych podstawach podtrzymujących pilastry krużganka, no i cele wąziutkie, i mury grubsze, i korytarze też skromniutkie, jakby więzienne, zresztą sam fakt, że palma na środku patia ma co najmniej sto pięćdziesiąt lat, daje nam klucz stosunkowo pewny... szkoda, że nie ma więcej takich palm jak ta, tu chyba przedtem była palmiarnia, tylko wygląda na to, że

damy, które rozczytują się w amerykańskich pismach poświęconych dekoracjom wnętrz, uznały, że palmy nie są w modzie, i kazały je wyciąć; oby Miasteczko Dziecka uszanowało chociaż tę czcigodną palmę, taką piękną... ona i te pofalowane, mchem porośnięte dachówki to cały wdzięk tego patia, chociaż właściwie nic nie wskazuje na to, że to jest oryginalne patio, niby jest rzeczywiście prymitywne, ale bo ja wiem... to niewykluczone, w każdym razie nie ma żadnej pewności.

Pewności? Jak można mówić o pewności przy czymś równie płynnym i nieokreślonym? Co na przykład znaczy w telegramie Inez słowo Błogosławiona, skoro już tyle miesięcy temu Watykan przeciął sprawę raz na zawsze, przykro mi, Inez, ale raz na zawsze, swoim fanatycznym „nie". Twoja depesza jest buntem w stosunku do najwyższych władz kościelnych, jest domową herezją, jak potrawka z duszonej w domu fasoli, pachnąca czarami... herezja bez znaczenia dla innych, ale nie dla ciebie, bowiem obnaża twoją kompletną nieudolność: nie byłaś zdolna dać mężowi dziecka, a teraz okazałaś się równie niezdolna, aby wzbogacić swój ród o Błogosławioną; w Inez zaś publicznie czczonej lud czciłby także rodzinę, której twoja bezpłodna macica nie była w stanie przedłużyć. I mimo że Watykan zabronił ci robić nawet wstępne kroki do tej beatyfikacji (zauważ, że nie pozwolono ci nawet nic zacząć), ty w dalszym ciągu mówisz o Błogosławionej; ku jakim przerażającym celom zmierzają twe wysiłki, aby ta zakonnica, która nigdy nie założyła welonu, a zakończyła życie w tym Domu pod koniec osiemnastego wieku, nie umarła definitywnie wraz z tobą? Czy boisz się, że jej śmierć wykazałaby, że żadna z was nigdy naprawdę nie istniała?

Przecież Inez nigdy nie miała najmniejszej szansy na uzyskanie beatyfikacji. Wszystkie te próby były tak

niepewne, tak zawsze oparte na jakimś „mówią"... Przy czym znało się jedynie nazwiska osób, które słyszały, że mówią, nigdy tych, które mówiły... w nie istniejącym pokoju nie istniejącego domu, na ulicy, która zmieniła nazwę, a poza tym została inaczej wytyczona, czyli że w gruncie rzeczy nie jest już tą samą ulicą, ktoś zasłyszał czy też powiedział słowa, które zasłyszała czy też powtórzyła babka lub może matka Inez, a może Peta Ponce albo zbiedniałe ciotki, których dumę mogły zadowalać tylko tego rodzaju plotki... Istnieje też pakiet listów, ale i one niewiele więcej znaczą, jakieś metryki, akty zgonów, jakieś kroniki wspominające fakty, które jakoby mogły uchodzić za cuda... Jedynym niezbitym, rzeczywistym i legalnym dowodem jest ufundowanie kapelanii: pod koniec osiemnastego wieku jakiś bogaty właściciel ziemski pochodzenia baskijskiego, wdowiec, ojciec dziewięciu synów i córki jedynaczki, przybył ze swych dóbr leżących na południe od rzeki Maule, by zamknąć swą szesnastoletnią córkę w klasztorze kapucynek, których przełożoną była jego rodzona siostra. Dla przyczyn, o których kroniki milczą, młoda dziewczyna nie złożyła ślubów zakonnych, co samo przez się już było nienaturalne. Natomiast istnieje pewność, że w ciągu bardzo długich dyskusji, których treść znały tylko mury wieży klasztornej, przełożona wytłumaczyła bratu, iż w podobnym wypadku najlepiej będzie ufundować kapelanię i tym sposobem pojednać rodzinę z Bogiem, zmuszając Najwyższego, by otoczył ją swoją opieką. Czyż brat jej nie słyszał, że tutejsze siostry nie mają swojego Domu? Dlaczegóż by nie zbudować go dla nich, ażeby tam czuwały nad Inez do końca jej dni, skoro właśnie o to idzie, ażeby ktoś nad nią czuwał? Tak się też stało. Jak tylko Dom został skończony, siostry-strażniczki przenio-

sły się do niego zabierając Inez. Kapelania była tak bogata, wyposażona w tak żyzne ziemie Chimby, że stała się na długie lata niewyczerpanym tematem rozmów całej socjety owej epoki, aż do chwili, gdy wojny wyzwoleńcze starły wszelkie zainteresowania dotyczące tak świętości, jak i hojności: od tej pory można już było mówić tylko o ogniu, krwi i zagrażającym ze wszech stron nieprzyjacielu. Inez de Azcoitia zmarła w tymże Domu w wieku lat dwudziestu, *in odore sanctitatis*.

Oto fakty historyczne. Ale tak z dzieł, w których ówczesne damy spisały to, co zasłyszały, jak i z notatek jakiejś podróżniczki z Europy, której ciekawość pozwoliła dotrzeć do tych domów w kraju, gdzie te sprawy były komentowane, do dzisiaj dochodzą do nas echa jej niezrównanego miłosierdzia, a przede wszystkim opowieść o tym, co można uważać za jej najbardziej spektakularny cud: podczas najstraszniejszego trzęsienia ziemi, które w końcu osiemnastego wieku zwaliło większość domów w stolicy i otaczających ją wsiach, Dom „Zwiastowanie" w Chimbie pozostał nietknięty, mimo że była to budowla z *adobe* i gontów, jak wszystkie ówczesne. Mówią... mówią, że zanim zaczęły się podziemne wstrząsy, Inez de Azcoitia – tu warto zanotować arcyciekawy fakt, że jakkolwiek nosiła habit, ślubów również nie złożyła – padła na kolana na środku patia, na oczach obserwujących ją z krużganka w nabożnym skupieniu sióstr. A kiedy podziemne grzmoty i wstrząsy, od których pękała ziemia, zagroziły zawaleniem murów klasztoru, Inez w straszliwym wysiłku, poświęcając całą siebie, rozpostarła ramiona w formie krzyża, aby podtrzymać te mury; podtrzymała je i Dom nie runął. Panika zakonnic, nie mogących z powodu klauzury uciekać z zagrożonego Domu, zaledwie pozwoliła im w świetle błyskawic rozjaśniających pasmo górskie

zauważyć owe ręce, które uratowały Dom: wysiłek zamienił je w suche gałęzie czy też w winorośle, niby pełne brodawek ręce staruszki. Inez zawsze jadała samotnie w swojej celi – nigdy nie prowadziła życia wspólnego z resztą zakonnic – z której wychodziła tylko na nabożeństwa do kaplicy albo na samotne milczące przechadzki po podwórcu klasztornym, z ukrytymi w fałdach habitu rękami, w których zawsze trzymała krzyżyk z suchych, rzemyczkiem związanych gałązek, podarek biednej starej piastunki na dzień jej pierwszej komunii, jedyną rzecz, jaką mogła czy też chciała wziąć ze sobą lub może przemycić ze swych ziem nad Maule.

Po trzęsieniu ziemi zakonnice z obsesyjną uwagą zaczęły obserwować cudotwórcze ręce Inez: to była prawda; w czasie gdy się modliła w oświetlonej kaplicy, z uniesieniem graniczącym z jakimś innym rodzajem egzystencji, do której zakonnice nie miały dostępu, wydawało się, że w pełnych cienia fałdach habitu palce jej łączą się z krzyżykiem, sczerniałym, zeschłym chyba od wieków, z gałązkami owego krzyżyka – podarku niani; ręce jej dosłownie przemieniały się w zeschłe gałęzie, a w miarę jak wśród narastającej ekstazy wznosiła je wyżej i wyżej (pełne zaś podziwu i konsternacji zakonniczki po jednej wysuwały się z kaplicy), ramiona Inez przemieniały się w gałęzie także i wewnątrz rękawów, aż do chwili, gdy przy świetle ostatniej już jedynej świecy ona sama, z oczami wbitymi nieruchomo w sierp księżyca okalający stopy Madonny, z rękami modlitewnie wzniesionymi w górę, upodabniała się do suchego pnia, którego sęki i pęknięcia okalały pełną bólu starczą twarz, przesłaniając gładkie oblicze dziewczęce. Dopiero brzask zwracał córce fundatora jej prawdziwą osobowość.

Legenda na temat pobożności Inez wyszła poza mury, snuła się od klasztoru do klasztoru, wreszcie dopłynęła do

stolicy. Azcoitiom spodobało się prócz tylu bohaterów mieć jeszcze i świętą lub chociażby błogosławioną, która by na swój sposób ozdobiła rodzinne drzewo.

Ale nadeszły czasy burzliwe, nie sprzyjające kultywowaniu świętości. Ważniejsze były doraźne zwycięstwa, świeżo narodzone nienawiści, nigdy nie zaspokojone zemsty, niebezpieczeństwa, które trzeba było zażegnywać za cenę własnego życia... i potem organizowanie tej małej i dalekiej rzeczypospolitej, ustanawianie praw, określanie klas, zwalanie jednych przywilejów i stwarzanie na ich miejsce innych. Upłynęło wiele dziesiątków lat od śmierci Inez de Azcoitia, zanim to, co powtarzano sobie po klasztorach (ale co milkło wydostawszy się na zewnątrz podwórców), dopłynęło do arcybiskupstwa w formie oficjalnej, przez przełożoną Domu podpisanej propozycji, aby wszcząć kroki zmierzające do beatyfikacji. Pierwszym warunkiem była ekshumacja zwłok. Inez twierdzi, że w jej rodzinie przez lata utrzymywała się pogłoska, iż po otwarciu trumny wstrząśnięty arcybiskup ujrzał świeży, czysty, nowiuteńki atłas, jakby nie minęło tyle lat od tamtej śmierci, jakby nigdy nie leżało na nim żadne ciało. Jest rzeczą bezsporną – a szkoda, bo to mogło było wzbudzić zainteresowanie Watykanu – że nie ma na ten temat żadnych dokumentów. Prawdą jest, że czas zatarł miejsce, gdzie pochowano świętą dzieweczkę, że ciało jej znikło nie zostawiając po sobie innych śladów niż ten Dom, zbudowany, by ją w nim więzić, i stale rozrastający się wokół legendy owej pierwszej więźniarki, o której pamięć zaginęła.

Prawie nic ze spraw dotyczących życia i cudów Błogosławionej nie wykracza poza sferę przypuszczeń lub pogłosek. A jednak można chyba twierdzić, że po śmierci

Inez de Azcoitia, ofiary jednej z owych tak częstych w przeszłości epidemii, przełożona sióstr kapucynek, której sumienie obciążała tajemnica powierzona jej przez brata (zanim ów przed całkowitym wycofaniem się z życia w końcu oddał ducha Bogu), stanowczo, acz możliwie najdyskretniej, oparła się pochówkowi w poświęconej ziemi tej, która – chociaż jej kuzynka, i to z rodu Azcoitia – była jednak czarownicą. Dla tego samego zresztą powodu od pierwszej chwili przeciwstawiała się przystąpieniu jej do grona duszyczek anielskich, wobec czego Inez nigdy nie udało się złożyć ślubów zakonnych. Takie były przyczyny, dla których arcybiskup nie znalazł trumny ze szczątkami zmarłej w rodzinnym mauzoleum; nieobecność tej trumny stanowi jądro, wokół którego Azcoitiowie i ich służba przez półtora wieku snuli piękną legendę o nieskazitelnym atłasie owego ostatniego posłania, którego nikt nigdy nie ujrzał.

Inez de Azcoitia najprawdopodobniej wielokrotnie musiała słyszeć komentarze i roztrząsanie szczegółów tej sprawy z ust Pety Ponce, w czasie długich wieczorów dzieciństwa, gdy stara, przy kominku, uczyła ją szyć lub haftować.

Ale wszystko, co łączy się z Petą, natychmiast staje się płynne i nieuchwytne, czas się rozciąga, ginie jego początek i koniec i trudno dociec, jaką jego część zajmuje ewentualna teraźniejszość... Poza tym Peta musiała opowiadać Inez również historię dzieweczki-czarownicy; cała ta opowieść jest przecież elastyczna, płynna i kto wie, czy w jednym z rozlicznych wariantów nie udawało się rozciągnąć jej tak dalece, by zrealizować syntezę wersji dzieweczki-świętej z wersją dzieweczki-czarownicy, w ten sposób dając każdej z nich swoistą pełnię.

Trzeba bowiem przyznać, nawet z literackiego punktu widzenia, że opowieść o dzieweczce-czarownicy wyłączona

z kontekstu jest w jakiś sposób niepełna. Z początku główną bohaterką opowiadania jest córka kacyka, piękna i pochodząca z dobrego gniazda; ale gest ojca, który szerokim ponczem zasłonił sypialnię córki i to, co się w niej działo, przełamuje kierunek opowiadania, dzieląc je na dwie części. W jednej z nich, popularnej, tej nieśmiertelnej, którą będą sobie podawały z ust do ust stare kobiety, spracowani robotnicy i dzieci, kacyk w samym środku opowiadania nagle ukrywa córkę, podstawiając na jej miejsce starą, nikogo nie interesującą, pokraczną wiedźmę, która samotnie odpokutuje to, co powinny były odpokutować wspólnie, gdyby postać, do tej chwili wiodąca, nie znikła nagle, nie pozostawiając śladów. W drugiej części, anielsko-arystokratycznej, utrzymuje się wersja interesująca wyłącznie rodzinę bliską wygaśnięcia: przeczysta dzieweczka popada w mistyczną ekstazę i ratuje od katastrofy Dom, zdaniem architekta, który go oglądał w ostatnich dniach, pozbawiony jakichkolwiek architektonicznych wartości.

Sam widziałem, jak don Hieronim podnosił rękę, automatycznie unosząc ponczo z wigonia ruchem kacyka z legendy, aby zaznaczyć, że tutaj nie zdarzyło się nic, że nie ma się czym interesować, usiłując tym gestem wyłączyć ze wzbronionej całości fragment, który skłonny był ukazać. Don Hieronim chciał swym ponczem zasłonić przed Inez określoną część owej tajemnej sprawy, ale tym samym okaleczył legendę, czyniąc ją niekompletną, nieprzejrzystą, pozbawioną pełni projekcji, którą osiągnąć można było tylko przez syntezę; wprawdzie osiągnął to, że Inez zapomniała o historii dzieweczki-czarownicy, ale nie przewidział, że gestem swoim rzuci na nią cień lęku, że oto zbliża się koniec – dotąd czuła tylko rozpacz, że mimo miłości do Hieronima nie udało jej się dać mu

dziecka – który to lęk pchnął ją do Rzymu, by zrobić to, co było w jej mocy, by otworzyć drzwi dla legendy dzieweczki-błogosławionej, przez którą ona sama, a również i Azcoitiowie znaleźliby możliwość przetrwania.

Oto przyczyny, dla których jej anarchiczny umysł uczepił się tego skrawka wykrojonego z dużo szerszej rzeczywistości, okrytej płaszczem zapomnienia, pragnienie, by nadać swojej ciotecznej babce rangę błogosławionej i osiągnąć w ten sposób cześć całych pokoleń. Niestety, dzieweczka nie była bezpośrednią krewną Inez – lecz Pety Ponce. Zamiar Hieronima, by oddzielić, ocenzurować tylko część tak zawiłej rzeczywistości, stworzył niejasną sytuację.

Ale nie była to nowa niejasność; trwała od niepamiętnych czasów. Co ukrywał ruch kacyka, gdy rozwarte drzwi zasłaniał rozpostartym ponczem? Czy chwilę, w której złowroga głowa czonczona przyrastała do ciała dziewczynki, zostawiając krwawą bliznę na jej szyi i uszy podobne skrzydłom nietoperza, które nigdy całkowicie nie znikły? Może właśnie dlatego trzeba było natychmiast, jak najszybciej, ukryć to wszystko pod białym kornetem zakonu sióstr od Zwiastowania Pańskiego? Czy jest możliwe, że ojcowskie spojrzenie wstrzymało proces, za pomocą którego ręce dzieweczki wracały do swej normalnej białości, i sprawiło, że zostały na zawsze już zdeformowane, pełne zgrubień i bruzd, podobne suchym, pokrzywionym gałęziom, i że stało się sprawą niebywale pilną ukrycie ich pod habitem jakiegokolwiek zakonu? Czy jest możliwe, że na widok postaci tych kobiet łączących się ze sobą jak dym, zmiennych i zmieniających się jedna w drugą, płynnych, wahających, kacyk poczuł przerażenie, iż córka rozpłynie się, i dlatego bez zwłoki zamknął ją najpierw w jej własnym pokoju, potem u kapucynek, a wreszcie w tym Domu zbudowanym niby sieć,

służąca do chwytania każdego jej wcielenia, nawet gdyby była już hybrydą, nawet gdyby częściowo już się rozpłynęła? Tak; chyba wszystko jest możliwe, kiedy w grę wchodzi Peta Ponce. To po to, by jakoś z nią skończyć, nie przestaję pytać sam siebie, jaki zwykły, lecz istotny fakt począł tego potwora o stu polipowatych twarzach, o nie kończących się wariantach, o cechach labiryntu, które, nie przynosząc nic pożytecznego, mimo to w jakiś sposób się liczą.

Co zaszło w rzeczywistości? Pod koniec osiemnastego wieku bogaty właściciel ziemski baskijskiego pochodzenia, ojciec dziewięciu synów i córki jedynaczki, opuszcza swoje majętności na południe od rzeki Maule, aby zamknąć córkę w klasztorze, równocześnie fundując kapelanię związaną z rodziną Azcoitia. Oto historia. Ale dla jakich przyczyn ojciec uwielbiający swą córkę, wdowiec, niemłody już, zamykałby jedynaczkę na zawsze w klasztornych murach? Dlaczego usiłuje karać ją jako czarownicę, skoro czarownice nie istnieją, tak jak nie istnieją czonczony, *imbunches* ani *salamancas*[1]? Czy po to ukarał niańkę, aby lud nadal wierzył w te opowieści, w te maski strachu? Po co budować specjalny Dom i zamykać w nim dziewczynkę, jeżeli jest prawdą, że nawiedzały ją mistyczne ekstazy i był w niej materiał na błogosławioną, która mogła i powinna świecić przykładem?

Inez de Azcoitia nie była ani czarownicą, ani świętą. Jestem pewny, że wszystko było o wiele prostsze. Dorastająca dziewczyna, zamknięta na zapadłej wsi osiemnastego wieku, do której może wiodły ścieżki, ale na pewno nie trakty, samotna na tej dziewiczej ziemi zaludnionej tylko

[1] *Salamancas* – tak nazywają się w Chile groty, gdzie jakoby mają mieszkać czarownice (przyp. tłum.).

przez zwierzęta i awanturników, zakochała się w jakimś młodzieńcu, może delikatniejszym, może piękniejszym, może po prostu czyściejszym niż jej bracia i ojciec. Kryta przez starą, w jej przypadkowej roli stręczycielki, niezdolnej ukochanemu dziecko niczego zabronić, miała romans z chłopcem, którego niańka jej przyprowadziła, może był to sąsiad, może jakiś chłopak z fermy, może koniuszy, to nie ma znaczenia. Przychodzi mi na myśl, czy to nie poród córki zakryło szerokie ojcowskie ponczo, przesłaniające zbyt szeroko otwarte drzwi rzeczywistości. Czy nie zwrócił on umyślnie furii swych podwładnych przeciw starej, by wykończyli ją, jedynego świadka całej tajemnicy? Czyż nie dlatego wyrwał swą córkę z życia, by zamknięta w tym Domu odpokutowała ów zwykły grzech, rodząc legendę zamiast bastarda? A bastard? A jego ojciec? Oczywiście trzeba było pozbyć się ich obu. Ojca można było po prostu nie szukać. Zignorować go; nic się nie stało i moja ukochana córka, czysta, cnotliwa, idzie do klasztoru, a ja, by podziękować Najwyższemu za dar tak bezprzykładnej cnoty, funduję tę kapelanię; nie ma plamy; nie ma syna; i nigdy go nie było i nigdy nie będzie. A skoro nie ma syna, jest rzeczą jasną, że nie ma i ojca ani żadnej zemsty nad tym ojcem – przecież go nie ma. Kompletne milczenie kacyka, który nie powierzył sekretu nawet własnym synom, bo nie zrozumieliby zemsty utkanej tak cienko, polegającej po prostu na zaprzeczeniu istnienia, unicestwienia owego nieszczęsnego, nieśmiałego ojca, który uciekł, zanim go tych dziewięciu dzikusów zabiło; ale oni go nie zabili, bo go nie gonili, a nie gonili, bo go nie było, nie było i nie ma. Nie ma ojca, nie ma syna, moja córka Inez wstępuje do klasztoru, jest cnotliwa i czysta, nic, absolutnie nic się nie stało...

Kacyk pozbył się wnuka, podrzucając go do domu jakiegoś chłopa w którejś ze swych daleko położonych

posiadłości, gdy ją mijali w czasie podróży do stolicy. Bastard rósł jak bękart, bez nazwiska, bez pochodzenia, wychowywany był przez byle kogo, zasmarkany i niedożywiony, nie do odróżnienia od innych chłopskich dzieci zasmarkanych i niedożywionych. Z pewnością gdy dorósł, sam miał zasmarkanych i niedożywionych synów, którzy mieli w sobie krew Azcoitiów i roznieśli tę krew po całej okolicy, łącząc ją z krwią chłopów na południe od rzeki Maule. Kiedy gauczo poczyna bastardów z kobietami ze swoich ziem, w synach odzywa się z pewną dumą jakiś ślad bastarda, syn właściciela, i ta ukryta duma zaznacza w dziecku rysy ojca, co sprawia, że wszyscy (oprócz oficjalnych rodziców) rozpoznają je jako potomka dziedzica. Ale kiedy bastarda urodziła kobieta z arystokracji, takie dziecko natychmiast traci wszelki ślad swojej identyczności, wszelki cień swojego lepszego pochodzenia: w tym wypadku czarna kreska nie przekreśla tarczy herbowej pozostawiając widoczny rysunek herbu, lecz zamazuje ją całkowicie, zmienia w czarną plamę tak tarczę, jak i herb, którego nikt już nie będzie mógł zobaczyć, bo tu nie było dziecka, nic, absolutnie nic się nie stało...

Peta Ponce przyszła na świat w którymś z majątków Azcoitiów na południe od Maule. W jakiejś anonimowej, ciemnej rodzinie, gdzie orano ziemię właściciela, pilnowano jego zabudowań, koszono jego kukurydzę, pasiono jego owce i deptano jego winogrona na wino. Mówią... mówią, że matka Pety miała olbrzymi tyłek i że w okresach plag komarów kładziono ją zupełnie nagą u stóp łóżka babki Inez, aby owady pasły się jej tłustym ciałem nie tykając czystej, porcelanowej skóry damy, która w ten sposób mogła spokojnie spać.

Jestem pewien: owej nocy kiedy w Rinconadzie zdechła żółta suka, której ścierwa nigdy nie znaleziono, udało mi

się całkowicie uwierzyć, że to Inez jęczy pod ciężarem mego ciała. A udało mi się dlatego, że w Pecie płynęła krew tamtej Inez de Azcoitia, choć pokolenia upokarzanych przodków zatraciły wszelki ślad szlachetnej rasy na twarzy tej rzucającej uroki Metyski... może sama dzieweczka-święta, sama dzieweczka-czarownica ucieleśniła się pod moim ciałem owej nocy, ażeby przyjąć ze mnie to, co poczęło potwora?

Tak, w mroku mojej miłości dostrzegam tamtą twarz. Nieraz, zatapiając wzrok w zżartych starością rysach Pety, dostrzegałem – niby echo przybywające z nieskończonych odległości poprzez szeregi wynędzniałych pokoleń – dalekie wspomnienie jasnych rysów wielkiej rodziny, Inez-czarownicy, Inez-Błogosławionej, zmartwychwstającej w Pecie, która po to mnie prześladuje, aby mnie posiąść i dowieść mi, że ma w sobie jakąś rasę, że skądś pochodzi, że miała matkę, ojca, dziadków, pradziadków i prababki... z których jedna była dewotką i czarownicą.

Chce mi tego dowieść, ażeby zadrwić ze mnie, bo ona zna prawdę, wie, że straciłem swoje pochodzenie, że doktor Azula pozbawił mnie osiemdziesięciu procent należących do Humberta Peñalozy pisarza, Humberta Peñalozy sekretarza wielkiego człowieka, Humberta Peñalozy w pelerynie i *chamergo* recytującego po knajpach wiersze, Humberta Peñalozy syna nauczyciela szkoły podstawowej, wnuka maszynisty prowadzącego zabawną ciuchcię, która zadymiała całą okolicę. Tak, nawet tak skromne pochodzenie zrabował mi doktor Azula, zmieniając mnie w te opłakane dwadzieścia procent człowieka. Stare w Domu gadają o różnych rzeczach. Teraz, gdy licytatorzy składają na kupki rozmaite przedmioty, plotkują mniej, zachwycone możliwością usadowienia się na ośmiu materacach, leżących jeden na drugim, by pod-

skakiwać na nich niby bezzębne dzieciaki, popatrz, Zunilda, tak musi być w niebie, ale zawsze znajdą dość czasu na szepty, na: mówią... mówią, że misia Inez wraca w przyszłym tygodniu, mówią, że już przyjechała, ale jeszcze się tu nie przenosi, a w ogóle nie wiadomo, czy się przeniesie, mówią, że nic nie wiadomo, mówią, że nie przyjechała, że poszła z pielgrzymką do Fatimy czy też do Lourdes, mówią, że jak misia Raquel dała klucz od swej celki matce Benicie, matka Benita zrobiła nieszczęśliwą minę, co ja mam zrobić z tymi wszystkimi gratami, tak jakby misia Raquel nie miała tam wartościowych rzeczy, taka dobra ta misia Raquel, teraz, kiedy Głuszek jest taki słaby, kto mi pomoże wyjąć to wszystko z pani celi i jakoś to uporządkować, Głuszek to teraz jakby jeszcze jedna staruszka, misiu Raquel, jak matka Anzelma czy matka Julia, och, kiedy się już to wszystko skończy, nawet Głuszek mi się pochorował, ledwo się trzyma na nogach, a jak zabijał drzwi, to zleciał z drabiny i sieroty musiały pomóc mu dokończyć, biedny ten Głuszek, skąd też on się wziął... mruczą, szepczą, całe lata już tak szepczą, szepty te przywierają, przylepiają się do ścian, ale stare trwają krótko, bo mają po sto lat i umierają, tyle że potem przybywają następne i one z kolei słyszą te plotki, te szepty, które potem, przetworzone, przekazują jeszcze później przybyłym staruszkom, które umrą trochę później niż poprzednie, przekazawszy cienie cieni i tomy plotek zebranych tu, w Domu, swoim następczyniom... mówią... mówią, że Głuszek tutaj się urodził, że przez całe życie nigdy nie wyszedł na ulicę, boi się klaksonów, chociaż jak to może być, mówi Mercedes (inna, nie Mercedes Barroso, tamtą wywieźli furgonem Opieki Społecznej, który zabierze po kolei każdą z nas), no jak może się bać klaksonów, jeżeli jest głuchoniemy... Może i jest, ale podobno zawsze tu

był, jeszcze przed matką Benitą, kiedy było dużo, dużo zakonnic, nie tak jak teraz, i mówią, że kiedy pewną młodą dziewczynę znaleziono rankiem na progu Domu (a zakonnice, które tu były, były dobre, nie takie złośnice i ważne jak matka Benita, co nie wiadomo dlaczego robi się coraz gorsza), to te zakonnice wciągnęły małą do środka, na patio, i mówią, że tutaj urodziła siedmiomiesięczne dziecko, które ówczesne pensjonariuszki wychowały i ocaliły od śmierci, ale nie udało się uratować mu ani słuchu, ani głosu, a to dlatego, że było siedmiomiesięczne, więc Głuszek jest taki malutki i jeszcze ciągle się zmniejsza, no i jest półidiotą... mówią... ale co to człowiek wie, czy kto jest idiota, czy nie jest, kiedy nic nie mówi, popatrzcie tylko, co się z niego ostatnio zrobiło, dziwny jakiś ten nasz Głuszek, prawie się nie rusza, jakby był sparaliżowany czy co, szkoda biedaka... Swędzi go ciało z tego brudu i głowa od wszy, ale nie mogę się podrapać, ręce i nogi jak flaki, cały dzień tylko siedzę na słońcu, na gotyckim fotelu, który zostawiła jedna señora, co przyszła do swojej celi, żeby zabrać rzeczy, skoro mają rozwalać Dom, ale ten fotel postanowiła zostawić, taki duży, nie ma dla niego miejsca, podaruję go matce Benicie, a kiedy matka Benita jej powiedziała bardzo dziękuję, ale co ja mam robić z takim wielkim meblem, teraz, kiedy wszystko mają wyprzedawać, a ja co mam zrobić, kiedy się nie mieści w moim nowoczesnym mieszkaniu, a w dodatku gotyckie meble to teraz nieelegancko, według „House and Garden", chociaż właściwie nic mnie to nie obchodzi, ja mam swój własny styl w meblowaniu się, przynajmniej tak twierdzą moje przyjaciółki, dlatego też nie rozumiem, a nawet czuję się trochę dotknięta, że matka mówi, że nie wie, co ma z tym fotelem zrobić, coś podobnego, porządny, masywny orzech, stał w hallu u mojej mamy przy ulicy

Dieciocho, w dodatku to podobno nieprawda z tym rozbieraniem Domu, bo Inez ma tu zamieszkać... mówią, że ślubowała ubóstwo... z jej milionami... ktoś, kto widział ją w Rzymie czy w Szwajcarii, już nie wiem, gdzieś tam po świecie, mówił, że się bardzo zmieniła, podobno przestała farbować włosy, bardzo jej teraz brzydko z taką nierówną siwizną, mówią, że Głuszka staruszki i siostry tu w Domu chowały na zakrystiana, dlatego taki jest poczciwy, ale już jest całkiem do niczego, taki zmęczony bidaka, jakby nawet już nie widział czy co, a to nieprawda, bo widzę, patrzę, moje nostalgiczne spojrzenie jest jedyną rzeczą żywą, jaka mi pozostała z tego wszystkiego, co kiedyś miałem, i łączy mnie w jakiś sposób z tym, czym jestem teraz, bo mówią... mówią, że jakaś kobieta, która dawniej mieszkała tu, na palmowym patio, słyszała, jak mówiła jedna dziewczyna (ona zresztą też już dawno temu umarła), a tu znowuż słyszała to od jakiejś innej, która mnie wtedy znała, że byłem bardzo ładnym dzieckiem, z małą, woskową buzią i wielkimi smutnymi oczami, tak jakbym za chwilę miał się rozpłakać, i jedna żebraczka z przedmieścia znalazła mnie któregoś dnia przed swoimi drzwiami, nagiego, w czasie tej samej zimnej nocy, której Iris wyrzucała mnie na ulicę, żebym go jej przyprowadził. Ale cóż? Mogłem tylko stanąć za szybą i przez okno patrzeć do środka, patrzeć przez deszcz, jak w bibliotece o szarych fotelach odsuwa część półki, nie tej, na której rzeczywiście stoi sto tomów z moim nazwiskiem na zielonawych grzbietach, tylko tej, na której książki maskują kasę ogniotrwałą; ale mnie nie interesuje jej zawartość, chcę wrócić do Domu, jeszcze o jeden procent mniejszy teraz, gdy wiem, że moje nazwisko figuruje już zaledwie na grzbietach tych stu nieprawdziwych tomów; może moje nazwisko także jest nieprawdziwe teraz, gdy czekam,

by Iris zmiłowała się nade mną jak ta żebraczka, która mnie znalazła przed swymi drzwiami wśród chłodu innej ponurej nocy. Nikt w miasteczku nie wiedział, kim była moja matka, nie mówiąc o ojcu, ale tego nie wie się nigdy, prawie nikt nie ma ojca, najwyżej jakiś krótkowzroczny nauczyciel szkoły podstawowej w ciemnym ubraniu posiwiały od kredy, którą się pisze na tablicy. Ale moje wejrzenie było tak rozdzierająco smutne – tylko smutne wtedy, niższa forma nostalgii, która później wyposażyła mnie w taką moc – że żebraczka, która mnie znalazła, zdała sobie sprawę z moich możliwości i nie wyrzuciła mnie, co by było naturalne, jako że reprezentowałem jedną gębę więcej, a czasy nie sprzyjały litości... mówią, że wychodziła ze mną – okrywszy mnie byle czym, bo chciała, żebym zieleniał z zimna – na żebry po ulicach lub pod kościołami w porze nowenny, a kiedy widziała, że ludzie zaczynają wychodzić z kościoła, szczypała mnie, bym płakał. Na mojej buzi malował się wtedy taki ból, tak rozdzierające były moje krzyki, że litościwi ludzie gromadzili się koło żebraczki i patrząc na moje łzy zarzucali ją datkami... mówią, że nigdy nie dawała mi dosyć jeść, żebym nie utył i zawsze był gotów do płaczu, głodny i niemal przezroczysty, bo to było bardziej wzruszające, mój wygląd był bardziej komercjalny... mówią, wyobraź sobie, Lucy, mówią złe języki, że ta stara rozchorowała się i już nie miała siły wynosić mnie na żebry, bo jednak mimo głodu rosłem, już nie byłem taki lekki, a ponieważ ona nie wychodziła, a moja sława rozeszła się po całym mieście, podnajmowała mnie innym staruchom, które mnie wynosiły, a ja, głodny, płakałem, nakłaniając przechodniów do datków, te stare, które mnie podnajmowały, też mnie szczypały, żebym wrzeszczał, ale kiedy ludzie wychodzili z mszy, czasem mnie i pieściły, zwłaszcza gdy sporo osób

się zgromadziło, chociaż parę groszy, na litość boską, nie płacz, malutki, śliczny, mój śliczny, biedny malutki, popatrzcie tylko, jak płacze, o tak, ma coś z płucami, mój jedyny wnuczek, córka w szpitalu, a o ojcu ani słychu, ani dychu, zmachał dzieciaka i tyle go było, a ja, sami państwo widzicie, stara, chora, niezdolna do pracy, żeby zarobić chociaż na tę kropelkę mleka dla dziecka, na ten kawałek chleba, żeby mu wsunąć do buzi i żeby tak nie płakał, chociaż jak nie płacze, to chyba jest jeszcze gorzej, bo te oczy ma takie smutne... i z powrotem do miasteczka szurając kapciami po trotuarze, żeby nie płacić za autobus, z kieszenią wśród fałd spódnicy, ciężką od pieniędzy, aby oddać mnie starej nie będącej moją matką ani babką, ale po prostu właścicielką, starej, która zresztą potem umarła zostawiwszy mnie w spadku innej starej, a ta z kolei... mówią nawet, tylko uważaj, Melanio, mówią, że tu do Domu przyniosła go pierwsza stara, którą tu przyjęli, jakaś bardzo milcząca kobieta i bardzo dobra podobno, która się nazywała Peta Ponce, ówczesna właścicielka Głuszka, który już był za duży, żeby można było brać go na żebry, ale ta kobieta była bardzo stara i mówią, że któregoś dnia wyszła i zaczęła sama chodzić po korytarzach, tu, w Domu, co są takie długie i tak wcześnie robi się w nich ciemno, i tyle jest podwórek i suteren, i zakamarków, nie wiem, czy widziałaś te stosy materacy, które licytatorzy poukładali na korytarzu prowadzącym do tamtego patia, poduszki i piernaty, i różne takie, słowo daję, Melanio, warto obejrzeć, tam jest dużo całkiem przyzwoitych rzeczy, co to ja mówiłam, aha, i podobno ta kobieta, jak któregoś dnia zaczęła chodzić po tych korytarzach, to zgubiła się tu w Domu już na zawsze, jakby ją ten Dom połknął czy co, szukali jej w piwnicach i w suterenach, i na wszystkich piętrach, na nic, nigdy się nie

znalazła, ale też i nie figuruje w spisie jako zmarła, tak że nie wiadomo właściwie, gdzie jest...

– A teraz wyłączyli światło.

– Okropność, no nie?

– Dlaczego wyłączyli?

– Bo będą rozbierać.

– Przecież nie będą rozbierać.

– Jak to nie będą?

– Jak mogą rozbierać, skoro misia Inez przyjeżdża?

– A kto ci to powiedział, Amalio?

– Mówią...

– Jak ma przyjechać, skoro nie ma elektryczności...

– Tylko na trochę wyłączyli.

– Skąd wiesz?

– Bo się reperuje kable w celi misi Inez.

– Ale my lepiej nie włóczmy się po korytarzach, żebyśmy się nie zgubiły jak tamta kobieta, co to mówią, że tu zginęła, jak to ona się nazywała, nie, nie nazywała się Peta Ponce, nazywała się Peta Arce, nie, Peta Perez Arce, tak, tak, i to nie była ta, co przyprowadziła ze sobą Głuszka, ta, co przyprowadziła Głuszka, to była inna... mówią, że nie przyprowadziła go tu żadna kobieta, podobno sam zjawił się jakiegoś deszczowego dnia i...

# 22

Tapeta, którą misia Raquel wybrała do wyklejania celi misi Inez, przedstawiała na kremowym, jakby przeroczystym tle rysunek kawowych i białych lir, podobnych do tych, na jakich w niebie grywają anieli. Skromna, elegancka, lecz nie pretensjonalna, nadawała się doskonale dla kogoś, kto ślubował ubóstwo. Pod tę dyskretną anielską tapetę, wprost na ścianę z *adobe*, nakleiłem, tak jak w klitkach staruszek, parę warstw gazetowego papieru, przerażające wiadomości, wprawdzie już nieaktualne, ale zachowujące cały ładunek swej grozy – tysiące więźniów politycznych gnijących po więzieniach od trzydziestu lat, setki tysięcy ludzi potopionych na skutek wylewu rzeki Jangcy, eksterminacja plemienia Watusi, głód na północy Brazylii, zaalarmowane i alarmujące twarze, ręce wyciągnięte pośród miast zrujnowanych przez wojny i trzęsienia ziemi, oczy błagające o litość na widok nieuniknionego przeznaczenia, krzyki zduszone przez odległość i czas, wyjęte z kontekstu, a przez to jeszcze bardziej przeraźliwe, mimo że przerobione na podkład pod tapetę, która wprawdzie wszystko zasłaniała, ale wszelkie okropności trwały nadal.

– Ładna.

Otworzyła walizkę na łóżku:

– Rzeczywiście, że ładna.

Zdjęła palto i czarną suknię, wkładając nocne pantofle i czerwony szlafrok.

– Jaka pani elegancka, misiu Inez... Zawsze słyszałam, że we Włoszech jest pełno pięknych rzeczy.

– To ze Szwajcarii, zresztą jedyna rzecz, jaką kupiłam w Europie, prócz paru identycznych czarnych sukienek, które mi wystarczą do śmierci.

Matka Benita pomaga jej wieszać w szafie te przygnębiające czarne suknie... wyobrażam sobie, że to przez posuwający się proces beatyfikacyjny pani tak długo siedziała w Europie... a rząd czarnych pantofli na prawidłach ustawić na dolnej półce.

– Nie, długi czas przeleżałam w sanatorium w Szwajcarii; gdy kardynałowie odmówili mi beatyfikacji, przeżyłam prawdziwy szok.

Porusza głową, tak jak pewno poruszali głowami kardynałowie mówiąc jej nie, Błogosławiona nie jest błogosławiona, nie byłaś zdolna przedłużyć linii ani rodząc syna, ani wyciągając z kufra rzeczy minionych sprawę Błogosławionej, ażeby rozbłysła na rodzinnym drzewie... Kręcisz głową, widzisz się w lustrze, dotykasz włosów i mówisz dalej:

– ...chciałam też, żeby mi odrosły włosy, bym mogła wrócić już siwa; pamięta matka, przed wyjazdem rozjaśniałam włosy na taki kolor, jaki miałam niegdyś, ale teraz czekam na ten bezpretensjonalny koczek à la praczka, jaki noszą wszystkie tutejsze staruszki. A jak matka się czuje, matko Benito?

– Jestem zagoniona z tą całą likwidacją.

– Nie będzie żadnej likwidacji.

– Mówiła pani z arcybiskupem?

– Z nikim nie mówiłam, przyjechałam taksówką wprost z lotniska, z tą jedną walizką; resztę rzeczy tą samą taksówką odesłałam do domu. Jeżeli jutro zjawią się

licytatorzy, proszę przysłać ich do mnie, już ja ich wygonię, niech idą skarżyć się Hieronimowi.

Matka Benita opuszcza żaluzje, pochyla się, by wsunąć walizkę pod łóżko, a podnosząc się widzi, że misia Inez wpatruje się w tapetę z taką siłą, jakby chciała przebić na wylot i liry, i warstwę przebrzmiałych informacji prasowych, i dostać się do muru z *adobe*, wyrwać stamtąd coś, o czym ty, matko Benito, w ogóle nie masz pojęcia. Nie przestając wpatrywać się w ścianę, zwraca się do matki Benity:

– A portierka? Jakże jej tam było…

– Ryta.

– Jak się czuje?

– Bardzo dobrze.

– Nie ma dla mnie żadnej wiadomości?

– Nic nie mówiła.

– To znaczy, że Hieronim nie dzwonił. Nie wie, że już jestem. Pewno taksówka z rzeczami przyjechała, kiedy był w klubie, i dowie się dopiero, jak nocą wróci do domu. Gdyby dzwonił, niech Ryta powie, że jestem w kaplicy i że nie wolno mi przeszkadzać. Przyjechałam tu po to, żeby modlić się i pokutować.

– Ależ misiu Inez…

– Co takiego?

– To pani nic nie wie…

– O czym?

– Nie powiedzieli pani, że pierwszą rzeczą, którą zrobili, była desakralizacja kaplicy? Od miesięcy drzwi do niej są zabite, witraże wyjęte i w ogóle…

Inez zakrywa twarz rękami.

– Jak mogli zrobić coś podobnego?

– Ksiądz Azócar tak się spieszył z tym wszystkim, żeby jak najszybciej zacząć rozbiórkę… a potem nie zaczęli i tak zostało: już tam się nic nie odprawia…

Inez odsłania twarz, ale jej widok wstrząsa tobą, matko Benito, bo jest to jedna z tych przerażonych twarzy, ukrytych za tapetą z lirami.

– Więc Hieronim chce pozbawić mnie nawet mszy?

– Niech pani tak nie mówi...

– Matka go nie zna...

– Nie.

– Matka nie wie, do czego jest zdolny...

– Nie wiem...

– Nie po to się tutaj zamknęłam, żebym miała obywać się bez mszy. Zaraz dam dyspozycję, żeby przywieźli mi z domu to, co potrzeba. Urządzimy kapliczkę tu, w pokoju obok. A jeżeli ksiądz Azócar ma chociaż odrobinę przyzwoitości i poczucia obowiązku, przyśle mi jakiegoś księżyka, który co dzień odprawi mszę i udzieli mi komunii... Przecież jakoś to musi zostać załatwione... A teraz jestem śpiąca, pójdę się położyć...

– O, szkoda, wszystkie pensjonariuszki czekają w kuchni, by panią przywitać...

– Nie dzisiaj, jestem bardzo zmęczona. Jutro... I niech matka zapamięta i przykaże Rycie, że gdyby Hieronim dzwonił, ma mówić, że nie mogę podejść... Przecież chyba nie przyjedzie... same telefony wystarczą zresztą, żeby odebrać mi spokój. Proszę mu zawsze mówić, że jestem zajęta.

– Dobrze, proszę pani.

– Dziękuję.

– Czy jeszcze potrzebuje pani czegoś dziś wieczorem, misiu Inez?

Chodzi wokół celi dotykając lir końcami palców, po czym cofa palce, jakby zostały zranione, i chowa ręce do kieszeni czerwonego szlafroka. Spogląda na zakonnicę.

– Nie wiem, matko Benito...

– To ja już pójdę...

– Gdzie matka sypia?

– Przy sąsiednim patiu.

– Ależ ten Dom jest wielki...

– Olbrzymi.

– Mam wrażenie, jakby jeszcze urósł podczas mojej nieobecności.

– Nie ma sposobu całkowicie go poznać.

– Mówią, że jeden Głuszek tak naprawdę go zna. Czy to prawda?

– Mówią... Ale mówią tyle rzeczy... Zresztą możliwe. Wszystko w tym Domu jest możliwe.

– Niechże matka tak nie mówi, na Boga.

Siada na łóżku.

– A tu jest dzwonek, gdyby pani mnie potrzebowała.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Matko...

– Słucham panią.

– Czy byłoby słychać, gdybym krzyczała?

– Dlaczego miałaby pani krzyczeć?

– Bo ja się boję pająków...

– Tu było bardzo porządnie wysprzątane.

– Ale ja...

Matka Benita kładzie ci swe błogosławione ręce na ramionach. Stojąc przed tobą szuka twego spojrzenia, jakby chciała cię wesprzeć, ale unikasz jej wzroku.

– Co pani jest, misiu Inez? Proszę mi szczerze powiedzieć...

Nie patrzysz na nią.

– Po prostu, matko, odkąd upadła sprawa beatyfikacji, cierpię na straszliwą bezsenność. Nawet w Szwajcarii nic mi na to nie umieli poradzić, dlatego pojechałam do

sanatorium. Ale jak już w końcu uda mi się zasnąć, trudno sobie wyobrazić, jak straszne mam koszmary, nie mogę się od nich uwolnić, wydaje mi się, jakbym już na zawsze miała w tym żyć... czasem nawet nie umiem odróżnić snu od jawy...

– Nie umie pani odróżnić snu od jawy... Ależ to okropne...

– Skąd matka wie?

– Bo i mnie się to zdarzyło...

– Ale wątpię, czy aż w takim stopniu jak mnie... Przeżywam nieprzytomne wprost lęki. Może by mi na wszelki wypadek zainstalować telefon, tu, w pokoju, żeby w razie czego...

– Ale czego, misiu Inez?

– Pachnie tutaj cementem.

– Tak? Ja nic nie czuję.

– Czy nie muruje się tu czegoś?

– Przecież mają właśnie rozbierać...

– Ale ten Dom nie był aż tak wielki...

– Nie urósł przecież...

– Ale nie był...

– Co też pani mówi, misiu Inez...

Widać podświadomie zauważyłaś drzwi, które pozakładałem cegłami i cementem, takie przecież były dyspozycje, kazano mi zamykać pokoje i całe galerie, ażeby nie pogubić się w nich, a ja się tym zajmowałem, zamurowywałem wszystko po kolei, a potem obrzucałem tynkiem, podmalowałem niby plamami wilgoci, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że za tym kryją się pokoje, galerie, korytarze. Nikt nie zauważył tych zmian, ty jedna tylko, bo wiesz, że ograniczając przestrzeń powiększa się ją, gdyż nawet licytatorzy, nawet robotnicy, którzy przyjdą rozbierać Dom, nie dotrą do tych zamurowanych części.

– Czy to klozetowe rury tak szumią?
– Nie, to ściek na patiu.
– Nie da mi zasnąć.
– Jutro go każę naprawić.
– Nie, jeszcze dzisiaj. Ja muszę odpocząć.
– Spróbuję.
– Niech matka zaczeka... Niech matka jeszcze nie odchodzi...
– Jeszcze czegoś pani potrzeba?
– Chyba już nic...
– W takim razie...
– Matko Benito... ale matka wierzy, prawda?
– W co?
– W Błogosławioną...
– Co do mnie, to...
– ...wszyscy mnie porzucili...
– A pani mąż?
– Och, matka go zna...

Matka Benita nie rozumie, o co chodzi; siada koło ciebie na łóżku, a wtedy wstajesz i mimochodem przeglądając się w owalnym lustrze toaletki, jakbyś przeczuwała nieuchwytne twarze rysujące się pod lirami, zaczynasz chodzić tam i z powrotem, tam i z powrotem wzdłuż celi.

– Niechże mi matka powie, czy może istnieć bardziej przekonywający dowód jej świętości niż ten Dom?
– Niech pani się położy...
– Niech mi matka odpowie na to jako osoba wierząca.
– Misiu Inez...
– Czekam na odpowiedź...
– Chodzi pani o to sławne trzęsienie ziemi?
– I o to także, że jest pogrzebana tu, w Domu, a ja go przeszukam do końca, choćbym miała ryć paznokciami. Niech matka popatrzy na moje paznokcie. Pamięta matka,

jakie dawniej miałam ręce? Takie zadbane... to był mój cały luksus, a teraz...

Wyciągasz ręce z kieszeni i pokazujesz je, drżące, kościste, z połamanymi paznokciami. Matka Benita bierze je, splata, ażeby tak nie drżały, i powoli odkłada na twoje czerwone łono.

– Jaka szkoda...

– A wie matka dlaczego?

– Zaniedbanie... Przestały panią interesować próżności tego świata.

– Nie to, nie to. Tylko nocą, jeżeli czasem uda mi się zasnąć, przez sen chwytam się czegoś, wpijam się w to, drapię i rwę wszystko dokoła, prześcieradła, łóżko, wszystko, co mi wpadnie w ręce... Szkoda, że matka nie mogła zobaczyć, w jakim stanie zostawiłam łóżko w „Grand Hotelu" w Rzymie. Śniło mi się coś, już nawet nie pamiętam co, i łapałam to, co było pod ręką. A potem, w dzień, cały czas ssę palce i obgryzam paznokcie, żeby mnie tak nie bolały... Dlatego pojechałam do tego sanatorium w Szwajcarii. Bardzo niedobrze ze mną było w Rzymie...

– Nie chce się pani położyć?

– Nie.

– Może filiżankę herbaty?

– ...wszystko spalić, wszystko, po to przyjechałam, żeby spalić wszystko, co chowałam w moich celkach, od tego zacznę. Ale chcę matkę o czymś uprzedzić: nie spalę ani jednej rzeczy, dopóki nie obejrzę jej na wszystkie strony, po prawej i po lewej, na zewnątrz i w środku, najpierw przeczytam wszystkie listy i wycinki, i umowy, i podpisy pod zdjęciami, i obejrzę wszystkie zdjęcia, przejrzę wszystkie skrzynie, wszystkie pudła, kieszenie wszystkich ubrań, palt, nawet tych kostiumów balowych,

które mam w kufrach i które zjadają mole, mimo że Głuszek tak o nie dba... będę szukała za podszewkami i w starych torebkach, a potem, jak tak przejrzę wszystkie rzeczy, nie będę się bawiła w żadne dobroczynności, tylko spalę jedno po drugim, wszystko, Głuszek mi pomoże i...

– Ale co chce pani znaleźć?

– Coś, cokolwiek, co by mnie naprowadziło na ślad... coś przecież było... Żebym nie darła tak wszystkiego paznokciami przez sen. Chociaż czy to jest przez sen? Może ja tylko chwilami drzemię...

– Czy chciałaby pani jeszcze jedną poduszkę?

– Nie, nie, ja chcę pokutować.

– Ale skoro już zdjęła pani szlafrok, proszę się położyć, niechże pani nie chodzi taka rozebrana, cela dopiero co tapetowana, jest wilgotna... Dopiero za parę dni wyschnie...

– O czym to ja mówiłam, matko Benito?

– Że chce pani coś znaleźć.

– To mnie najbardziej przygnębia.

– Co?

– Że nie pamiętamy, ani ja, ani nikt inny...

– Niech pani spróbuje zasnąć. Mamy przed sobą tyle czasu na rozmowy. Niech pani się nie dręczy, wszystkie będziemy starały się dogadzać pani. I może pani zostać tu tak długo, jak tylko będzie pani chciała...

Siwe kosmyki spadają ci na plecy, jesteś bosa, matka Benita usiłuje cię zmusić do włożenia rannych pantofli, prosi, byś się położyła, uspokoiła, napiła wody.

– Jak matka śmie zapraszać mnie tu i zapewniać, że mogę zostać tak długo, jak mi się będzie podobało, w tym Domu, który jest mój i tylko mój? Hieronim może sobie podpisywać wszystko, co mu się podoba, to nic nie zmienia, Dom jest mój, nie zgadzam się na żadne burzenie, nie pozwolę, żeby ktokolwiek dotknął chociaż jednej

ściany. W Domu jest tajemnica, sekret, którego nie rozumiem, ani ja, ani matka, ani nikt, ale Dom jest mój, bo ja wiem, że posiada tę tajemnicę, choćbym nigdy nie miała jej rozwiązać, choćby mnie to miało zabić... Dom jest mój, to nic, że zasadniczo według prawa dziedziczy się wszystko po linii męskiej, ale to my, kobiety, strzegłyśmy tego Domu; dlatego utrzymał się w rękach Azcoitiów, że wiele pobożnych kobiet, których dziś już nikt nie pamięta, swoimi rękami, swoimi słabościami, swoimi małymi chytrościami, małymi sposobami, których nie rejestruje historia, nie zezwolił na to, by ich mężowie rozstali się z tym Domem, przy czym zawsze były to motywy irracjonalne, subiektywne, nie ma żadnego klucza do zrozumienia, dlaczego całe pokolenia kobiet z rodu Azcoitia tkały ochronną nić wokół Domu... Nie wiem, czego ode mnie oczekiwały, ale... Wyobraźmy sobie, że któregoś dnia, kopiąc dołek na lipowym patiu, nagle natykamy się na szczątki Błogosławionej... O, wtedy zabiorę je dla siebie, Błogosławiona jest moja i tylko moja, bo nikt, nawet matka w nią nie wierzy, matko Benito... I będę dbała o ten Dom, bo trzeba dbać o wszystko i przechowywać wszystko, nawet takie klamoty, co wydają się zupełnie nieprzydatne, trzeba je chować, opakowywać, bo jak zobaczą cokolwiek, co ma jakąś wartość, zaraz to zabiorą, to moje, oddaj mi to, ty się na tym nie znasz, idź szyć, idź grać w brydża, zadzwoń do kuzynki, a przez ten czas zabiorą ci to, co znajdą, oni znają wartość rzeczy, umieją tyle gadać na ten temat, że wszystko traci sens, ja nie chcę, żeby to straciło sens, chcę coś znaleźć, nie chcę drapać pazurami nocą, kiedy zasypiam, chociaż czy ja w ogóle zasypiam? właściwie nigdy nie wiem... dziękuję, matko Benito, tak, ten szal, który leży w nogach łóżka, proszę mnie nim nakryć...

– Może zgaszę górne światło, a zapalę nocną lampkę?

– Proszę nic nie gasić, będę spała przy wszystkich światłach zapalonych, w pokoju obok także proszę mi zapalić i w korytarzu także, ja nie rozumiem, po co oni nawydawali tyle pieniędzy i jeszcze rozbudowali ten Dom, skoro chcą go burzyć... Wydaje mi się dziś taki olbrzymi... Będę się musiała jakoś przyzwyczaić...

– Zobaczy pani, że za parę dni będzie się pani czuła lepiej niż w sanatorium, w ogóle nie będzie pani śniła, naprawdę, zobaczy pani.

Słusznie, matko Benito, po co ona miałaby śnić teraz, kiedy ja się nią zajmę, poprowadzę ją przez korytarze, aż się w nich zgubi, aż w nich spotka, kogo będę chciał i kiedy będę chciał.

– Szkoda, że nie przyszło wam do głowy urządzić mi celi koło celi matki.

– Przecież w depeszy zaznaczyła pani, że chce pani na najstarszym patiu...

– To prawda.

– Nie powinna się pani bać.

– Nie powinnam.

– Ona nad panią czuwa.

– Jeżeli istniała...

– Niech pani modli się o to.

– Bóg ma ważniejsze rzeczy na głowie...

– Proszę, niech pani wypije trochę wody i zażyje weronal.

– Jeszcze za wcześnie. Czy ja wiem, o czym będę śniła tej pierwszej nocy, którą spędzam w Domu. Może okaże się, że podczas gdy spałam, ktoś, nie wiem kto i po co, usiłował zamurować mój sen cegłami i cementem... Bo ten dziwaczny zapach...

Rozgląda się dokoła.

– Ktoś idzie…

Dzięki znakomitemu słuchowi, a może dzięki temu, że potrzebna ci jest moja obecność, dosłyszałaś, jak skradałem się po korytarzu. Dajesz znak matce Benicie, żeby się przysunęła do ciebie, i mruczysz jej do ucha:

– Dokument, który o tym świadczył…

– Który świadczył o czym?

– Znikł.

– Niemożliwe.

– A jednak. Miałam go u siebie w celi. Jestem absolutnie pewna. To Hieronim kazał go usunąć, po to, żeby mi nie wyszło z beatyfikacją.

– Ależ misiu Inez…

– To, co jest naprawdę potrzebne, znika. Pozostaje tylko to, co do niczego nie służy. Może zresztą to nie było z rozkazu Hieronima… już sama nie wiem, ale znikł, bo czasem rzeczy nikną dlatego, że ludzie ich potrzebują i używają, używają tak długo, aż one znikną… Gdyby nie my, ciemne, nic nie umiejące kobiety, my, które nigdy nie rozumiemy, po co ani dlaczego, my, które się tak łatwo męczymy i tylko płaczemy, bo płacz to nasza jedyna rozrywka, wszystko by znikło… tylko my czasem chowamy jakieś rzeczy, ukrywamy je, żeby oni ich nie używali, a potem nie wyrzucali przechodząc od razu do czegoś nowego… My to co innego, my przechowujemy wszystko, telefonujemy do siebie, komentujemy te różne sprawy, mówimy o nich, powtarzamy głupstwa i ploty, ale w tych głupstwach, w tych plotach, które powtarzamy sobie przez telefon i rano, w łóżku, w okruszkach od śniadaniowych grzanek, w tych idiotycznych komentarzach pod pokrywką czegoś pospolitego można przechować rzeczy naprawdę ważne, a potem inna kobieta, jakaś kuzynka, zachowuje to, cośmy jej dały, opakowuje je i przekazuje

dalej... Ale ja nie mam nikogo, komu mogłabym opowiedzieć historię Błogosławionej, nikt nie chce wierzyć w jej istnienie, a już na pewno nie w to, że była Błogosławiona... biedactwo, tak młodo umarła, po mojej śmierci już dla nikogo nie będzie miał znaczenia fakt, że Błogosławiona tak młodo umarła... Jeżeli dzisiaj uda mi się wyspać i jutro rano będę miała trochę więcej sił, zacznę palić wszystko, co jest w mojej celi. Niech matka powie Głuszkowi, żeby od rana był gotów do pomocy, bo chociaż nie ma już dawniejszych sił, chociaż jest już tylko kukiełeczką, on jeden może mi pomóc, bo wie, co jest w mojej celi. Jak tylko się rozwidni, przystąpimy do roboty, już widzę zresztą, że przez ten hałasujący ściek nie zmrużę oka ani na sekundę... Akurat kiedy tak mi potrzeba wypoczynku po podróży. Niech mi już matka poda ten weronal, matko... Żeby to wiedzieć, kogo spotka się we śnie, najgorsze, że te okropności nie mają formy, potem nawet nie można ich sobie przypomnieć... Jeszcze chwileczkę, matko, niech matka zaczeka, aż zetrę krem z twarzy... poproszę o to lustereczko, które jest tam, w tej czerwonej kosmetyczce, która jest w mojej czarnej torbie, która jest w plastikowym worku, który jest w przedziałce zamkniętej na suwak walizki, która stoi pod łóżkiem. Dziękuję, matko Benito.

W ciągu dnia prawie się nie poruszam, czasem tylko podnoszę się z mojego fotela i podparłszy głowę rękami siadam u wejścia do galerii, ażeby potem, jak się zrobi zimno, opierając się o ściany przejść do kuchni. Widzisz mnie, kiedy spacerujesz rozmawiając z Zunildą Toro, i poruszasz głową wzdychając, żeby mi się poprawiło, biedny Głuszek, chyba mu to minie, Antonieto, przecież to nie będzie trwało wiecznie, czekam, aż mu się poprawi, żeby wraz z nim przejrzeć najrozmaitsze starocie, które

trzymam w celce, sama nie dałabym rady, on wie, gdzie co jest, a ja nieraz nie mam pojęcia, wolę poczekać parę dni, aż wydobrzeje, przy okazji i ja trochę wypocznę, tymczasem jednak tracisz czas, Inez, nie robiąc nic, nawet twoja pobożność nie ma punktu zaczepienia, bo ksiądz Azócar nie dostał pozwolenia na urządzenie prywatnej kapliczki w pokoju sąsiadującym z twoim, niełatwo jest się modlić, kiedy nie ma nawet klęczników i trzeba klęczeć na ziemi. One łażą za tobą, jaka kochana misia Inez, jaka dobra, szkoda, że tak się teraz zaniedbała, byłoby zabawniej, żeby przyjechała jak z żurnala, co wy mówicie, a ślub ubóstwa, podobno ona jest milionerką, kupiła ten Dom tylko po to, żeby tu zamieszkać, i dlatego nie licytują, każe sobie zrobić prywatną kapliczkę, ze złotym ołtarzykiem, mówią, że będzie tu po trochu przewoziła swoje meble i wszystkie rzeczy, umebluje cudownie cały Dom, dlatego tu teraz nie włóczą się te różne typy, co przedtem układały na kupkę rzeczy do licytowania, nawet nasze nory chcieli rozbierać, ciekawość, co by z nami się stało, jakby nam zabrali te nasze izdebki, w tym wieku nie zaczniemy przecież przenosić się do pokoi, w dodatku jeżeli mieli rozbierać cały Dom...

– Nic nie będą rozbierać.

– Nie będą, misiu Inez?

– Póki ja żyję.

– Przecież pani tak dobrze się trzyma, misiu Inez. Nie to co my, kaszlące, koślawe...

– Ale wy nie cierpicie na bezsenność tak jak ja.

– Bezsenność, misiu Inez?

– Prawie nie sypiam.

– Biedactwo...

Oj, biedna, to okropnie nie móc spać, to nie to co my, śpimy tyle, że nawet nie wiemy, kiedy śpimy, a kiedy nie.

Antonieta, ta długa tyka, z którą rozmawiałaś parę dni temu, znana jest z tego, że umie spać na stojąco i jeszcze gadać przez sen. Pewno, że dla pani te nasze rozrywki to nie rozrywki, panią nie bawi pozamiatać czy obrać kartofelki, szkoda, że pani nie lubi haftować, haft krzyżykowy to taka ładna rzecz...

– Dawniej lubiłam.

– A teraz nie?

– Nie mam cierpliwości.

– Ale czas jakoś schodzi.

– No a poza tym...

Najczęściej zaglądasz do Ryty, na portiernię. Tego popołudnia, kiedy Dora wróciła z dorocznej wizyty u swoich byłych państwa – na parę dni przed świętą Teresą idzie tam upiec ciasta na imieniny swojej pani, bo nie ma takiej drugiej do ciast i tortów jak Dora – siedziałyśmy we trzy w tym małym pokoiku Ryty obok furty, gdzie jest telefon i gdzie mieści się zaledwie stolik, dwa krzesełka i piecyk. Dla Inez przyniosły jeszcze jedno krzesło z tych złoconych, wykładanych czerwonym adamaszkiem, które przedtem stały w kaplicy, żeby z nimi chwilę posiedziała. Dora przyniosła dwie paczki. Otwarła większą: merengi, kawałki tortów, andruty, kruche ciasteczka, nie ma takiej drugiej do ciast i tortów jak Dora, misiu Inez, mówi Ryta nalewając mate.

– Proszę skosztować...

Kosztujesz.

– Rzeczywiście, znakomite ciasteczko...

– Wiesz, Dora, ten tort mokka nie jest aż tak dobry jak w zeszłym roku. Ciekawość dlaczego.

– Rękę miałam cięższą do kręcenia kawy.

– Ale, zapomniałam pani powiedzieć, misiu Inez... dzwonił ksiądz Azócar.

– Czego chciał?

– Powiedział, że będzie tu jutro o jedenastej.

– Pewnie trzeba coś podpisać w związku z urządzaniem prywatnej kapliczki.

– Zdaje się.

– A do mnie nie było telefonu?

– Dzwonił don Hieronim.

– Co mówił?

– Pytał, kiedy pani wraca do domu.

Wybuchnęłaś śmiechem. Stare pootwierały ze zdumienia oczy, jak to możliwe, żebyś mając do dyspozycji taki pałac, bo podobno twój dom to prawdziwy pałac, gdzie mieszkacie tylko we dwoje z tuzinem służby, przenosiła się tutaj i jeszcze się śmiała, jak twój mąż pyta, kiedy wracasz, ależ na Boga, misiu Inez, każdy by chciał mieć kogoś, kto by się o niego troszczył, a my takie jesteśmy samotne jak palec w nosie, nikt za nami nie tęskni, nikt się nas nie pyta, ani jak się czujemy, ani co u nas słychać, tyle co czasem matka Benita, i pewno, że my byśmy nie chciały, żeby pani wynosiła się z Domu, bo wtedy zaczęliby rozbierać i wygoniliby nas na ulicę żebrać, a do tego, żeby żebrać, trzeba mieć dzieciaka, tylko wtedy ludzie coś dają, jak człowiek nie ma dzieciaka, to nic nie użebrze, a my nie mamy skąd wziąć dzieciaka. Ryta kopie Dorę pod stołem, żeby nie mówiła o tym, co nie trzeba, przed kimś takim jak misia Inez, bo tylko się rozgniewa, a nie zrozumie, oprócz nas samych nikt nas nie może zrozumieć, do tego trzeba być jedną z nas, żeby wierzyć w dziecko Iris, w to dziecko, nad którym ona się znęca, co noc wyganiając mnie na niepogodę i nie pozwalając wrócić aż do rana, dlatego potem przez cały dzień ledwo żywy siedzę w gotyckim fotelu na galerii, który stał w hallu u mojej mamy przy ulicy Dieciocho, nie rozumiem, jak może

się tu nie nadawać, matko, a jeżeli się nie nadaje, to niech go matka sprzeda, a to, co matka za niego dostanie, to będzie mój osobisty wkład w Miasteczko Dziecka, tylko żeby mnie później nie nachodzili o pieniądze, ale skąd, nawet nie widziałam Inez, podobno postarzała się o dziesięć lat, strasznie bym ją chciała zobaczyć, ale na odgłos dzwonka chowa się w mysią dziurę, w tym tygodniu byłam raz, w zeszłym dwa razy, ale ani słychu, ani dychu, przyjaciółki mi nie wierzą, jak im mówię przez telefon, że to prawda, że Inez ukrywa się jak trędowata, może i jest trędowata i może dlatego Hieronim zamknął ją w Domu pod pretekstem ślubu ubóstwa, nie do mnie z takimi bajkami, jakbym nie wiedziała, że dla Inez ciuchy to sprawa życia i śmierci, chociaż podobno teraz przestała farbować włosy, chodzi z siwym koczkiem tak jak te staruchy i nosi czarną suknię jak księża gospodyni z prowincji, Hieronima pewno mało szlag nie trafi, na przyszły tydzień znowu muszę pojechać do Domu, wziąć miarę na poduszki do hamaka, to może mi się uda ją zobaczyć, co też ta Inez ma w głowie, tam się zamknąć, to już rzeczywiście szczyt, a jeszcze tak się zaniedbać... szkoda, że nie popatrzy na mnie, co mam trzy, nie, dwa lata więcej od niej, a mimo to...

Nie mogę cię zobaczyć, bo na odgłos dzwonka się chowasz; za to o ile nikt nie dzwoni, potrafisz całe popołudnie spędzić z Rytą przy telefonie.

– A co masz w tej drugiej paczuszce, Dora?

– Wyścigi psów, młodszy panicz mi podarował.

– Pokażesz?

– Ja umiem grać w wyścigi, ale w takie zwykłe, końskie, psich jeszcze nie widziałam. Tak samo się gra?

– Darował mi te wyścigi, bo mu się zgubiły trzy pieski i zostały tylko te trzy, o te, plastikowe, ten czerwony, ten niebieski, i ten żółty.

– To suki...
– Co takiego, misiu Inez?
– Mówię, że to są suki.
– Po czym można poznać?
– Suki lepiej biegają.
– Chce pani zagrać, misiu Inez?
– Gramy.
– Ale jak będziemy grały? Panicz darował mi te wyścigi, bo prócz psów zginęła mu jeszcze i kostka do gry, a w żadne wyścigi, ani w końskie, ani w psie, nie można grać bez kostki.
– Podobno Maria Benítez ma kostkę.
– Idź do niej, Dora, może nam pożyczy. Chciałabym zobaczyć, jak pobiegnie moja żółta suka i co z tego wyniknie.

Kiedy Dora odeszła, rozkraczyłaś nogi, oparłaś na nich łokcie i wyciągnęłaś ręce nad ogniem, po czym jakby wbrew woli powiedziałaś Rycie, żeby zadzwoniła do ciebie do domu, i nie mówiąc, że ona siedzi obok, poprosiła do telefonu don Hieronima i powiedziała mu, że chciałabyś, by ci przysłał loteryjki, szachy, warcaby, domino... no, jednym słowem, wszystkie gry, jakie mu wpadną w rękę. Ryta nakręciła numer. Czekałaś stojąc obok.
– Nikt nie odpowiada?
– Nie.
– Dziwne.
– Dlaczego dziwne?
– Bo o tej porze on musi być w domu, leży i czyta gazetę albo słucha ostatnich wiadomości w radio, a telefon ma tuż obok. Nie mówiąc o całej służbie...
– O, teraz... Halo!

Cała w uśmiechach i wygibasach, jakby don Hieronim mógł ją widzieć przez telefon, Ryta przeprasza, obawia

się, czy go nie przebudziła, nie, nie przebudziła, tu Ryta, portierka Domu, na co don Hieronim wita się z nią, mówi nawet, że ją poznaje, przecież ostatnio często rozmawiali przez telefon, jakże ma się misia Inez, zląkł się, czy aby nie chora, telefon z Domu o tak dziwnej porze, ależ nie, proszę pana, broń Boże, pani doskonale się czuje, spokojna, pogodna, Inez wyrywa jej słuchawkę, żeby usłyszeć głos męża, i oddaje, żeby Ryta zdążyła odpowiedzieć, pozwala im chwilę pogadać i znowu ją jej zabiera, po czym żegnają się i oboje odkładają słuchawki. Nadchodzi Dora z Marią Benítez. We cztery ledwo się mieszczą w maleńkiej portierni. Ryta marszczy brwi.

– A ta tu po co?

– Przyczepiła się do mnie. Inaczej nie chciała pożyczyć kostki. W dodatku leżała, musiałam czekać, aż wstanie, ubierze się i przylizie tu ze mną.

– Ale natrętna starucha.

– Boże, misiu Inez...

– Co znowu?

– Powiedziała to pani identycznie, no, ale wprost identycznie jak Ryta.

– Niech pani jeszcze raz tak powie...

– Ależ natrętna starucha, nałaźliwa, że aż, nie wiadomo, czego tu szuka w portierce, nikt jej tu nie prosił. Ale przylazła, bo poczuła zapach ciastek. Człowiek nie ma chwili spokoju...

Zachwycone wsłuchują się w twój głos i zdania wypowiadane stylem staruszek, a potem wraz z tobą pękają ze śmiechu, mówisz im, że umiesz naśladować wszystkie głosy, Dory, Ryty, Marii Benítez, nawet Brygidy, chociaż to już rok od jej śmierci, ale ją także umiesz naśladować. Zaczynacie bawić się w zgadywankę. Ryta wychodzi z pokoiku i zamykacie drzwi. Tamte dwie zostają z Inez,

która teraz naśladuje głos Marii Benítez. Maria Benítez – zgaduje Ryta. Potem wychodzi Maria Benítez, a Inez mówi jak Dora. Dora – zgaduje Maria Benítez. Dopiero ci zabawa, lepsza niż w cyrku, któregoś dnia trzeba będzie to zrobić i z innymi starymi, jak wszystkie będziemy siedziały w kuchni, na przykład w niedzielę po mszy, i z sierotami także, ależ się ubawią sieroty, tym i tymi rozmaitymi innymi grami, co don Hieronim obiecał jutro przysłać przez szofera. Na to Dora:

– O zakład, że don Hieronim poznałby, że to pani, a nie Ryta przy telefonie.

– O zakład, że nie.

– A poznałby. Mogę się założyć.

– O co, Dora?

– O wyścigi psów.

– A ja stawiam tę czarną sukienkę.

– Ależ to za dużo, misiu Inez...

– Pani ma tylko sześć sukienek...

– Wełnianą szwajcarską sukienkę, jest doskonała, ciepłutka i będzie ci w niej bardzo ładnie. Ta sukienka za psie wyścigi, co ci podarował ten mały.

– Stoi.

Nakręcam numer, czekasz chwilę, to on. O co chodzi, Ryta, co się znowu stało, denerwuję się, bo mi się ciągle wydaje, że jest coś nie w porządku z doñą Inez i tylko to przede mną ukrywacie, ależ nic podobnego, don Hieronimie, co panu przychodzi do głowy, po prostu zimno jej u nas i prosi, żeby jej pan przysłał dwa futra, nurkowe, bo jest bardzo trwałe, i karakułowe, a także jej kasetkę z biżuterią, podobno nie ma tam nic specjalnie wartościowego, ale misia Inez, taka pobożna, mówi, że skoro złożyła śluby ubóstwa, to chce je spłacić swoją biżuterią, mówi, że jak się przysięgło ubóstwo, to nie można nosić

klejnotów, tak mówi, don Hieronimie. Czy chce pan, żebym jej coś powtórzyła? Że pan przyjdzie jutro o dwunastej? Nie wiem, czy będzie mogła pana przyjąć, bo chce wypocząć, może za parę dni, na przykład w przyszłym tygodniu, bo teraz całe dni się modli i pokutuje za wszystkie grzechy, chociaż jakie ona tam miała grzechy, taka pobożna osoba jak misia Inez, dobrze, niech pan wszystko przyśle, gry i futra, i tę kasetę z biżuterią jutro o dwunastej przez szofera. No pewno, don Hieronimie, pan niech także na siebie uważa. I przepraszam, że pana fatygowałam, ale to było z polecenia misi Inez. Położyłaś słuchawkę. Cztery staruchy wybuchnęły śmiechem, śmiały się i z oczu płynęły im łzy, a ty przez ten czas rozpakowałaś paczkę z wyścigami psów, którą podała ci Dora.

– Kostka jest własnością Marii Benítez.

– Proszę, Mario.

– Dziękuję pani.

– Potrzebna ci ta kostka?

– Nie. Tak ją trzymałam, na wszelki wypadek...

– To zagraj ze mną o nią.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Zagramy o nią w wyścigi psów.

– A co pani postawi?

– Co chcesz.

– A mnie by było dobrze w takiej sukience?

– Sukienka przeciw kostce. Ty jesteś czerwoną suką, a ja żółtą. Szkoda, że te plastikowe zwierzątka są takie toporne, jak znam Hieronima, to mi na pewno przyśle jutro chińskie szachy i szachownicę do warcabów z hebanu i kości słoniowej, taki on jest, wyrzuca pieniądze, byle się pokazać. Popatrz, Doro, jaka stara ta tablica od wyścigów, brudna, że obrzydzenie bierze, pęknięta tutaj, gdzie się składa, wszystkie te tablice zawsze w tym miejscu się

łamią, jak jutro będę miała chwilę czasu, to ją podkleję, bo inaczej cała się rozleci...

– Oj, proszę pani... bo aż zimno po kościach chodzi... Niech pani nie mówi tak jak Brygida...

– To może nawet i grzech, przecież to już rok, jak nie żyje... Ale nawet głos robi się pani zupełnie starczy...

– Jestem już stara.

– Ale nie jest pani ani Marią, ani Dorą, ani Brygidą, ani Rytą, tylko sobą.

– Ale mogę być Brygidą.

– Jak?

– Zgaście światło.

– Za nic na świecie...

– Amalia, córciu, podaj no mi talerzyk z albertami i idź powiedz Marii Benítez, żeby zaszła tu do mnie, jak będzie miała chwilę czasu, bo mam jej coś do powiedzenia, ale nie od razu, niech się nie fatyguje, jak będzie miała wolną chwilę...

Śmiejesz się jak Brygida, a trzy stare, poważne, przytulone, jedna do drugiej patrzą na twą drżącą bezzębną szczękę, na trzęsące się ręce, którymi poruszasz zupełnie jak Brygida, mały palec troszkę uniesiony, proszą, żebyś przestała, już dosyć, już dosyć, bo robi im się straszno, ale ty znowu się śmiejesz, dajcie spokój, kobiety, przysuńcie tu krzesełka i gramy, nie pierwszy raz gramy tylko we dwie z Marią, ona zaczyna, ja sześć, a ty cztery, więc ja zaczynam. Znowu sześć, brawo, mam jeszcze jeden ruch. Cztery, woda, do tyłu. Ty, Mario, nie kręć tak długo kostki, zanim rzucisz, no jazda, twoja suka rusza, pędzi, mknie, wyprzedza moją, moja nie ma siły, wpada do wody raz i drugi, ale pech, nie mogę przeskoczyć, zostaję z tyłu, moja żółta suka jest już stara, do niczego, kulawa, zmarnowana, nie biegnie, tylko się wlecze, nie może

wyleźć z wody, podczas gdy suka Marii bez trudności dobiega do mety.

– Maria wygrała.

– Wygrałaś.

– Bo to był pies!

Bierzesz plastikowe zwierzątko, z pełnymi gniewu oczami ciskasz do piecyka i patrząc, jak się pali, czekasz, aż zniknie w śmierdzącej fali ciemnego, piekącego w oczy dymu, ależ smród, siarka śmierdzi czy co, a jaki gęsty dym, tymczasem stare ściągają z ciebie ciepłą sukienkę z czarnej wełny, żeby ją dać Marii, trzeba będzie ją trochę zebrać pod pachami, widziałem cię w dymie, Inez, twoje nagie, pomarszczone, drżące z zimna ciało, tak, widziałem je, widziałem, już nie będziesz mogła mi zaprzeczyć, że widziałem cię nagą i że znam już twoje ciało teraz, odkąd stare rozebrały cię, śmiejąc się z twojej przegranej, a ty, zgarbiona, z głową nisko pochyloną, wyszłaś z portierni, z której wydobywał się wciąż śmierdzący dym; trzy staruchy doradzały ci, żebyś uważała na przeciągi, popatrzcie tylko, jak wiatr wywiewa dym po tej żółtej suce, niech pani uważa, bo cug, niech pani dobrze śpi, misiu Inez...

– Mam nadzieję, że będę dobrze spała.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

# 23

Nie chcę, żebyś teraz cokolwiek paliła. Jak nadejdzie odpowiednia chwila, spalimy wszystko. Dlatego udaję chorego, cały dzień spędzam na słońcu w moim gotyckim fotelu i obserwuję cię, a ty czekasz, żebym się lepiej poczuł i trochę ci pomógł; siedząc w kuchennym korytarzu obierasz kartofle wraz z jakąś obdartą staruchą, która niegdyś mogła być matką Anzelmą, obok jakieś inne dwie opowiadają ci o pogrzebie Brygidy. Wstajesz. Mówisz, że musisz zamieść w twoim pokoiku, nie, niech się pani nie fatyguje, misiu Inez, ja za panią zamiotę, a ja pani przepiorę bieliznę, pończochy, białych rzeczy nie powinno się wieszać na słońcu, zżółkną, a właśnie że można, tylko na lewą stronę, to nie ma żadnego znaczenia, ja i tak od dawna nie noszę już białej bielizny i wszystko zrobię sama, nie chcę, żeby inni pracowali za mnie. To nie to, że powzięłam taką decyzję, po prostu pewnego dnia posprzątałam, posłałam łóżko, uprałam moją bieliznę i okazało się, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Obieram kartofle. I nie przynoście mojego klęcznika, klęczę na ziemi, tak jak wszyscy, a jeżeli one mogą się obyć bez sakramentów, mogę i ja. Różne panie, moje dawne znajome i przyjaciółki, przychodzą po rzeczy, które trzymają w celach, i pytają matkę Benitę: Czy to prawda, że Inez de Azcoitia tu teraz mieszka? Nie widziałam jej od jej

wyjazdu do Europy... A jak się czuje? Może by jej matka powiedziała, że chciałabym z nią pogadać... Nie widzą, że siedzę po drugiej stronie patia, przechodzą obok, nie poznają mnie i wychodzą poirytowane, bo chciały coś przewąchać, a wcale mnie nie zobaczyły: mówią, że Inez okropnie się teraz ubiera, coś podobnego, z jej forsą, a postarzała się aż strach, pomyśleć, że kiedyś była jedną z najelegantszych kobiet, nie do wiary, po czym te panie (które były Pichą i Olgą, i Rosą, i Tere, a teraz są „tymi paniami") wracają ze swych cel i znów nie poznają mnie, mimo że przechodzą tuż obok, a za nimi Iris Mateluna ciągnie na taczkach, które kiedyś należały do Głuszka, kawałek chodnika; on nie może już ciągnąć taczek, bo biedny Głuszek kompletnie opadł z sił i przez cały dzień siedzi na swoim gotyckim fotelu z poręczą rzeźbioną w gargulce, a ty się zbliżasz, twoją błogosławioną rękę opierasz mi na ramieniu i pytasz:

– Jak się dziś czujesz?

Zaledwie poruszam głową, oczy mam zasnute mgłą. Odchodzisz, zdjąwszy twą dłoń z mego skrępowanego bandażami i zdrętwiałego ramienia, ciało mam wyczerpane przez nocne przeżycia, gdybyś wiedziała, Inez, gdybyś wiedziała to, co ja wiem, a czego nie chcę ci powiedzieć, czego nie mogę ci powiedzieć, nie mogę, bo staję się od tego bardziej zdrętwiały, bardziej wyczerpany, to unicestwia mnie coraz bardziej, jestem już tak mały, że każda z tych staruszek mogłaby mnie wziąć na ręce, ale nocami chodzę do żółtego domu na wprost parku, aby przez okno podsłuchiwać głosy rozmawiających ze sobą Hieronima i misi Raquel; misia Raquel przyjdzie tu dzisiaj, do dziś szanowała twoją wolę, ale don Hieronim ubłagał ją i dzisiaj powie ci, że jesteś dla niego okrutna.

– Więc co mam robić?

– Nie wiem.
– Wpuścić go do łóżka?
– Jak możesz myśleć o podobnych świństwach?
– A widzisz...
– Co?
– Że to jednak świństwo...
– Tak się po prostu mówi...
– Niech mi dadzą święty spokój, przede wszystkim niech Hieronim da mi święty spokój. Nawet urzędnicy idą na emeryturę, nie widzę powodu, dla którego nie miałabym korzystać z tego samego prawa po sześćdziesięciu trzech latach, na Boga, gdybym była kiedyś miała dziecko, teraz byłabym babką i nie męczyłby mnie. Przecież wiesz, dlaczego cię męczy, mści się za to, że nie dałaś mu syna, którego potrzebował, och, nie mogę się uspokoić, jak pomyślę, że mógłby mnie dotknąć, wprost nie mogę znieść tej myśli, pani całuje ją i płaczecie razem, i pani mówi jej, żeby nie płakała, że trudno sobie wyobrazić, by Hieronim, który jest dżentelmenem... tak ci się wydaje, Raquel, on czyha na mnie na dworze, a dopóki będzie czyhał, dopóty nie będę miała spokoju, jedyne, co czuję, to strach, a jedyne miejsce, gdzie się czuję bezpieczna, to tu, w tych ścianach, które on teraz chce zburzyć, dlatego muszę zagubić się wśród tych staruch.
– Wiedziałaś, że Brygida umarła?
– Zamówię mszę za jej duszę.
– Dziękuję ci. Ona cię kochała.
– Ja też ją kochałam.
– To ciekawe, Inez... przez chwilę wydawało mi się, że jesteś jakaś oschła, ostra, jakbym ci była obojętna, ale jak pomyślę, że naprawdę kochałaś Brygidę, na mnie też coś z tego spływa. Bo teraz nie ma w tobie serdeczności, Inez, tak jakby cię operacyjnie jej pozbawiono, no pewno, w szwajcarskiej klinice... Po cóż by tam była, całe życie

miała żelazne zdrowie... Sanatorium dla nerwowo chorych... Może i tak, ale nie wiecie innych rzeczy: Inez wcale nie pojechała do Europy starać się o tę beatyfikację, to był pretekst, tamto zresztą mogło trwać parę tygodni, a przecież siedziała przeszło rok. Mogła starać się o beatyfikację korespondencyjnie, mówi don Hieronim do misi Raquel, siedząc z nią na szarych fotelach w bibliotece, pokazuje jej dossier, zapewnia ją, że rozumie, że siedziałaś w Szwajcarii tyle czasu, ile było trzeba, żeby się otrząsnąć z ciosu, jaki cię spotkał, a z tą beatyfikacją to był taki jej wybryk, cóż, ostatecznie nie moja sprawa, ale don Hieronim jeszcze coś innego mówi misi Raquel, czego jednak nie mogę dosłyszeć, bo przejeżdżające auta hałasują, bo się boję, żeby nie zobaczyli, że podsłuchuję pod oknem tego bogacza, jeszcze będą chcieli mnie aresztować, więc jak ktokolwiek przechodzi, to się chowam, dlatego nie słyszę wszystkiego, co powinienem usłyszeć, żeby zrozumieć... nie słyszę, bo wieje wiatr, który zagłusza ich słowa, wy dwoje gadacie za szybą tej oświetlonej biblioteki, ogień na kominku, wieloletnia przyjaźń, przyjaźń trwająca więcej niż pół wieku, dalekie pokrewieństwo, nie znany mi rodzaj intymności, opowiadają sobie różne rzeczy, zwierzają sekrety, których spoza szyby nie można dosłyszeć, bo jest okropny hałas, więc wychwytuję tylko strzępy dialogu, który powinien wyjaśnić mi wszystko, zanim ty przystąpisz do rozmowy z Inez:

– Więc nie jeździłaś z pielgrzymką do Matki Boskiej z Fatimy i do Lourdes?

– Tak, ale nie po to pojechałam do Europy, Raquel.

– Wiem, wiem, w sprawie tej swojej kandydatki na Błogosławioną.

– Nie, w o wiele trudniejszej sprawie. Pojechałam tam zestarzeć się, zrobić jedyną możliwą rzecz, żeby raz wreszcie dał mi spokój.

– Nie rozumiem...

– W tej szwajcarskiej klinice...

Doktor Azula, jego jedyne oko o drapieżnym błysku. Jego ręce pokryte łuską, jego szpony, z których nie można się wymknąć; ułożył cię na łóżku podobnym do tego, które znam tak dobrze, otworzył cię, bawił się twymi wnętrznościami, przejrzał je, ułożył inaczej, wybrał poniektóre interesujące go i podczas gdy jego równie potworowaci asystenci schowani za niepokalanymi maseczkami już cię zeszywali, zdjął gumowe rękawice. Emperatriz w swoim czepku przełożonej pielęgniarek przybiegła, by dowiedzieć się o rezultaty operacji.

– Kaprys bogatej kobiety i tyle.

– Nie pojmuję, do czego może służyć histerotomia, kiedy się ma sześćdziesiąt trzy lata.

– To właśnie będą chciały wiedzieć te damulki, które specjalnie będą jeździły do Domu w Chimbie, żeby coś wywąchać.

– A na czym ten sekret polega, Cris?

– Chciała, żebym jej wyciął macicę.

– No, niby nic dziwnego, że do nas przyjechała, nasza klinika jest jedną z najlepszych w Europie...

Doktor Azula spoglądał na nią swym jednym okiem z czułością, miłością, wdzięcznością, zadowoleniem; na kulkowatej ręce Emperatriz kładzie swój szpon:

– Co by się było ze mną stało, żeby nie twoja energia, twój zapał. Wszystko ci zawdzięczam.

– Nie wszystko.

– Gdybyśmy nie uciekli tamtej nocy do kawiarni w mieście, dalej chlałbym w Rinconadzie, dalej byłbym więźniem Boya.

Emperatriz zaczyna się niecierpliwić. Z biegiem czasu Cris robi się sentymentalny; zbyt często wspomina dawne czasy.

– Tak, tak... Słuchaj no, Cris, zatrzymujemy jej macicę?

– A po co? Jest do niczego.

No pewno, do niczego już się nie nadaje. Siadasz na brzegu i zakrywasz twarz rękami, a misia Raquel słucha cię zdumiona, bo wymyślasz nieprawdopodobne rzeczy, Inez, zawsze byłaś blagierką, masz powołanie, by być jedną z takich staruszek, co gadają byle co, jak sobie popuścisz, to powołanie wypłynie na wierzch i już bez reszty cię opęta, dlatego misia Raquel siedząc nieruchomo na krześle słucha cię, obiema rękami podtrzymując torebkę, ani ona bowiem, ani nikt nie jest w stanie uwierzyć, że w twoim wieku miesiączkowałaś, tak, tak, taka brudna czarna krew, od której zależna byłam jak wtedy, gdy byłam dziewczynką, pomyśl, w moim wieku, kara boska za coś strasznego, co musiałam zrobić, ale czego nie pamiętam, tak, co miesiąc regularnie, bez żadnych przerw, nie masz pojęcia, ile się modliłam, zwłaszcza kiedy byłam jeszcze młoda i chciałam dać Hieronimowi syna, obie modliłyśmy się z Petą Ponce, zdrowaśki tam i na powrót, ojczenasze, jeden za drugim, modlitwy, które same wymyślałyśmy błagając o miłosierdzie każdego, kto by chciał nam je zesłać, szkaplerze z relikwiami, już nie wiem czyimi, które Peta wszywała mi do staniczków, ach, nie wyobrażasz sobie, jak modliłyśmy się z Petą, jak czekałyśmy, że może w końcu w tym miesiącu krew nie zbrudzi mi bielizny, w ten sposób zapowiadając moje oczyszczenie i narodziny Boya, pomyśl, co za ohyda: więźniarka własnej krwi do sześćdziesiątego trzeciego roku życia, nie płacz już, Inez, pozwól, by misia Raquel pocieszała cię, jakkolwiek nic to nie pomaga, wciąż płaczesz, co cztery tygodnie nadzieja, że może wreszcie w tym miesiącu wyczerpie się twoja kobiecość, że wreszcie będziesz miała spokój i będziesz mogła zacząć się starzeć, tak jak wszyscy ludzie, ale

nie, bez przerwy, krew co miesiąc... jak jakiś potwór. Niestety Hieronima zawsze fascynowały potwory.

– A pewnie. Pamiętasz tego sekretarza, którego miał wiele lat temu, trochę karłowaty, chociaż nie karzeł, z zajęczą wargą źle zeszytą i jakby trochę garbaty... Ohyda.

– Coś sobie przypominam.

– Jak się nazywał?

– Tak, wiem, o kogo ci chodzi...

– Nazywał się... czekaj no...

– Po co to sobie przypominać!

– Ale nie był normalny.

Mimo to nie tak potworny jak ja, Raquel, tak, sama przyznajesz, że jesteś prawdziwym potworem, Inez, i jesteś nim ciągle, mimo twojej operacji, bo chcesz dowieść misi Raquel, że Hieronim nie dawał ci spokoju aż do ostatniej chwili, aż do twego odjazdu, że aż do sześćdziesiątego trzeciego roku życia twój równie potworny mąż zmuszał cię co noc do miłości, tak jakbyście byli młodziakami, e, kto ci uwierzy, Inez... Tej nocy misia Raquel idzie złożyć wizytę Hieronimowi, aby go wybadać, nie słyszę, co mówią, bo przejeżdża tramwaj, a równocześnie ciężarówka, samochody, syreny wzywające do pożaru, pary szepczące po bramach i dzwony z kościoła de la Merced, nie jestem w stanie dosłyszeć tego, co tłumaczysz misi Raquel, muszę już wracać do Domu, i to szybko, aby nie przegapić tego, co teraz Inez tłumaczy wśród szlochów, chociaż poznać kłamstwo, skoro nie mogę poznać prawdy, Hieronim z początku bywał bardzo łagodny, czułości, pieszczoty, na które w końcu się zgadzałam, bo ostatecznie dlaczegóż by nie, chociaż brakowało mi nieraz cierpliwości i szczerze mówiąc byłabym wolała odmawiać różaniec albo czytać gazetę, ale mi nie pozwalał, dotykał mnie, jeszcze i jeszcze, dalej i dalej, no, sama wiesz, że w tym

wieku nie ma co demonstrować w łóżku (ani chodząc po korytarzach Domu, Inez, kiedy zatrzymujesz się obok mego fotela, by pogwarzyć z gargulcami, jak się masz, Głuszku, jak ci się dzisiaj wstało, rzeczywiście można by pomyśleć, że co rano jest bardziej skurczony, biedaczek, i idziesz do tego pokoju, gdzie siadasz na brzegu łóżka), i dalej zapewniasz misię Raquel, że w tym wieku człowiek zwyczajnie się wstydzi, brzydzi, bo ja wiem, wszystko opadnięte, obwisłe, kompletna ruina, ale Hieronim swoje, jakby nie widział, nie pozwalał mi mieć moich lat, odmawiał mojemu ciału prawa do oziębłości właściwej starej kobiecie i powoli, co noc, gdzieś w głębi mojego ciała starej zmęczonej kobiety budził tę młodą, którą ani nie byłam, ani teraz nie jestem. Mogłam oddawać mu się na zimno, myśl, że mi się to uda, była moją ostatnią nadzieją, ale nie, to było niemożliwe, Hieronim nie zgadzał się, nie pozwalał na udawanie, rzecz tak codzienną dla tylu kobiet, zwyciężał mnie, Raquel, co za koszmar, budził zmarłą i w końcu mnie podniecał, w końcu odpowiadałam mu wbrew sobie samej, wbrew tym sześćdziesięciu trzem latom, i to było jakby jakaś straszliwa praca budzenia z martwych resztek Inez młodej i pełnej ognia, po to, aby się w nią wcielać. Och, to męczące tak zmartwychwstawać co noc...

– Co za brak szacunku ze strony Hieronima! A dlaczego nie poszukał sobie jakiejś innej kobiety?

– Nie rozumiesz, o co mu chodziło?

– Nie.

– Jak to?

– Przecież ci powiedziałam, że wciąż miesiączkowałam.

Tak, to właśnie interesowało go w tobie, Inez, nie wyobrażaj sobie, że co innego, nie kochał cię nigdy i ty zawsze to wiedziałaś, i wiesz to teraz, i żeby się zemścić, pozwoliłaś, by doktor Azula cię okaleczył, to było jedyną

rzeczą, dla której Hieronim wciąż był z tobą, a nie z jakąś inną kobietą. Cóż, mógł mieć tyle kochanek, ile by tylko zapragnął, mówisz do misi Raquel, usiłując ją przekonać, że to wszystko nie jest jednym wielkim kłamstwem, że twój mąż nie odsunął się od ciebie po tamtej pamiętnej nocy, umarłabyś ze wstydu, gdyby twoje przyjaciółki wiedziały, że Hieronim nigdy więcej cię nie dotknął, bo ja mu na to nie pozwalałem, odebrałem mu tę możliwość i ukryłem ją tu, gdzie staruchy opatulają mnie co noc, aby mnie unicestwić, a ja daję się unicestwiać, bo w ten sposób unicestwiam i jego, don Hieronima, i to powinnaś opowiedzieć misi Raquel zamiast tych bajeczek dla grzecznych dzieci, czekaj, bo ja jej opowiem, jak chadzaliśmy do wesołych panienek u doñi Flory, gdzie Hortensja, Róża, Margeritka igrały z nim na moich oczach (które wtedy pozwalały mu na wszystko), nie, ty nie chcesz, żeby ktokolwiek o tym wiedział, wstyd ci, że cię porzucił na zawsze po tamtej nocy w Rinconadzie, i opowiadasz misi Raquel, jak błagałaś Boga, by Hieronim zakochał się w innej i zostawił cię w spokoju. Zawsze miałaś spokój. Opowiadasz jej, że odżywałaś przy nim co noc. Zawsze byłaś martwa.

Ukryty pod okapem okna, bo zaczyna mżyć, słyszę ich niemal, poprzez deszczułki żaluzji niemal czuję dotyk, którym pali mnie błękitna tęczówka jego oczu, okłamywała mnie, mówi do niej Hieronim, Inez mnie okłamywała, mówiła mi, że w tym miesiącu spóźniło się jej o tydzień, o dwa tygodnie, a ja nie dotykałem jej, aby nie zniszczyć mojego syna. Dawałem jej klejnoty, futra, wszystko... aż już dłużej nie mogłam, Raquel, nie mogłam dłużej go oszukiwać, nie mogłam dłużej znosić jego złudzeń i płacząc wyznawałam mu, że nie, znowu nie, znowu nic, znowu krew. Nie mogłam patrzeć na niego, gdy tak cierpiał przez

tę nadzieję, nie wyobraża sobie pani, ile wycierpiałem przez tę historię, Raquel, ale pan także kłamie, don Hieronimie, przecież przestał pan cierpieć już dawno, wtedy, kiedy zabił pan w Rinconadzie żółtą sukę, i odkąd na zawsze zanurzył się pan w swoim fotelu klubowym i w tej senackiej retoryce... właśnie dlatego, Raquel, żeby nie widzieć, jak cierpi ten nieszczęśnik, noc po nocy zostawiałam rzeczy ich biegowi i przysięgam ci, noc w noc tę starą kobietę, którą jestem i która chciała mieć spokój i czas na modlitwy lub nicnierobienie, mój mąż ożywiał swym gorącym ciałem, a moje zimne ciało odpowiadało na jego wezwanie, ale równocześnie przestawało być moim ciałem, to już nie byłam ja, reagowałam, chociażbym dała nie wiem co, aby nie reagować... zabił we mnie prawo do ludzkich uczuć...

Taki dialog prowadzisz z gargulcami fotelowymi, wcieleniami strachu, głuchymi, niemymi, może ślepymi, z tą pustką, z tą paniką, która woli wcielać się w potwory, niżeli być niczym... popatrz na patio zalane słońcem, stare pozawijały rękawy u bluzek, bo ciepło; ręce gargulców przynoszą okopcony czajnik, któraś siedząca przy wejściu do galerii ziewa i można by rzec, że wszystko, my, patio, słońce, wszystko to zniknie w tym nie kończącym się tunelu jej ust. Inna przerzuca stos czasopism. Przechodzi matka Benita, uśmiechają się do niej, pozdrawiają ją, dopytują się o różne rzeczy, matka Benita odchodzi, gdyż ma dużo roboty, i zamyka za sobą drzwi. Czuję płynący z kuchni mdły zapach ohydnego żarcia, widzę twarze pełne zmarszczek i słyszę, jak przyznajesz, że z powodu klęski, którą poniosłaś jako żona Hieronima, teraz musisz wymyślić jakiegoś przodka, który by wskazywał na jego pokrewieństwo z Bogiem.

– Gadanina starej baby, Inez.

– Możliwe, Raquel, ale stare kobiety mają władzę i prerogatywy nie znane młodym, nie rządzą się, żyją w anarchii, która im pozwala na wszystko, a nie mają obowiązków, bo czy spełnią to, co mają do zrobienia, czy też nie, nikogo to nie obchodzi. Więc konserwując moją młodość, dzięki swoim sztuczkom, Hieronim pozbawił mnie prerogatyw starości i władzy starości. Przypominasz sobie, że często przychodziłam do tego Domu?

– Miałaś manię gromadzenia starych gratów, zawsze mi się to wydawało dziwne.

– Mylisz się, nie ma w tym nic dziwnego. Stare kobiety zawsze wszystko zbierają; gdy tu przyszłam, wydawało mi się to zupełnie naturalne i zaczęłam zachowywać się jak one, te biedne, ciągle chore, zrzędzące, co dzień bardziej bezużyteczne... A przy tym wszystko, co ich dotyczy, nic nikogo nie obchodzi... Pozazdroszczenia godna prostota, z jaką umierają... Zazdrościłam im tego, jest to pewna forma wolności nie do nabycia. Ja ciągle byłam niewolnicą jakiegoś ustalonego porządku, cyklu odradzających się nadziei... a potem już nie mogłam wytrzymać i wyjechałam do Europy pod pretekstem tej beatyfikacji.

Słucham i nie wierzę własnym uszom: beatyfikacja była pretekstem? Ale, wobec tego, czego codziennie szukasz w swojej celi? Po co bezustannie w niej grzebiesz? A może robisz po prostu to co stare, które grzebią w swych manatkach dla samej przyjemności grzebania? Doktor Azula sprawił, że nie jesteś więcej kobietą, po prostu nie mogę już, Raquel, po prostu już nie mogę, ja nie mogę, on nie może, nikt nie może, wreszcie jestem wolna od odczuwania czegokolwiek, teraz należę do tej syntetycznej płci starych kobiet.

– Więc Hieronim wie?

– Oczywiście.

– Skąd?

– Napisałam mu. To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłam po operacji. Najpierw pomyślałam, że może lepiej będzie powiedzieć mu to po powrocie, ale w czasie rekonwalescencji zrozumiałam, że nigdy nie ośmielę się powiedzieć mu tego w oczy, wyznać, co zrobiłam, by się od niego uwolnić. Więc zdecydowałam się napisać mu to, zamiast wyjaśniać w bezpośredniej rozmowie...

– To wtedy oddał Dom?

Wszyscy myśleliśmy, że to jeden z tych jego ataków, jakie nieraz miewał, dlatego że nie wracasz albo z jakiegoś innego powodu... tak, misiu Raquel, tak było, niby nic, ale zaczął szaleć, wyglądało na to, że czuje wewnętrzną potrzebę, by uwolnić się od tego wszystkiego, w końcu po co miał zachowywać Dom, ten Dom był wcieleniem jego nadziei, a teraz... teraz do niczego się już nie nadawał, Inez, nigdy nie chciałaś zrozumieć, że ten Dom ma w sobie coś strasznego, dlatego wszyscy żyjemy tu zamknięci i dlatego ja zamurowuję pokój po pokoju, okno po oknie, korytarze, patia, żeby nigdy nikt więcej z nich nie korzystał, żeby zniknęły z pamięci, żeby zetrzeć ten Dom z powierzchni ziemi, właśnie dlatego, że tak go lubiłaś... teraz brudy, stosy śmieci, nagromadzone po wszystkich korytarzach przez handlarzy starzyzną, i napisy niebieską farbą „licytacja skończona" i tylko te śmiecie zostaną tutaj na zawsze, tak jak ja zostanę na zawsze w moim gotyckim fotelu, i te stosy poduszek niemal doszczętnie zjedzonych przez mole, pakiet do licytacji oznaczony numerem dwa tysiące trzynaście... I nikt więcej tu nie przyjdzie, tylko gałganiarze, nie będzie żadnej licytacji, nie będzie żadnego Miasteczka Dziecka, tylko coraz więcej starych bab, będziemy wymyślały różne rytuały, będziemy hołdowały

rozmaitym przesądom, będziemy się nienawidziły, będziemy podsłuchiwały, co szepczą inne stare po drugiej stronie przepierzenia, może któraś mogłaby pożyczyć trochę mate, a Lucy wyskoczył jęczmień, wiecie co, jęczmień najlepiej potrzeć dupką muchy, wtedy zaraz znika, niech taki będzie twój świat, a on niech cię nigdy nie odwiedza, dlatego zamurowuję drzwi, by nikt nie wszedł do tego Domu, obym go nigdy więcej nie widział, to nic, że jestem głuchoniemy, mogę jeszcze oślepnąć, byle go więcej nie oglądać. No i ciebie także chcę chronić. On nie syna chce od ciebie, Inez, to go nigdy nie interesowało, chyba bardziej przerażająca jest myśl, że on chce właśnie ciebie. Słusznie zrobiłaś, chroniąc się w mit tego dziecka, pozostawiając Hieronima za drzwiami, by wył wśród burzy. Boisz się teraz, żeby cię nie dotknął, będzie jeszcze chciał mnie dotykać, nawet bez nadziei, i to jest najgorsze, to jest nie do wytrzymania, tego nie zniosę... Mówisz tyle dziwacznych rzeczy, już nie jesteś tą dawną Inez, przyjaciółką od dziecka, Inez i Raquel związane z sobą jak palce u rąk, nie poznaję cię, nie będę ukrywała, że wzbudzasz we mnie niesmak i lęk...

– Jak możesz poznać mnie, kiedy ja sama nie poznaję siebie? To jest tak, jakby jakaś inna kobieta mówiła to, co ja mówię, czuła to, co ja czuję.

Misia Raquel patrzy na ciebie i zdaje sobie sprawę, że ty już nie jesteś sobą. Raz przynajmniej – i to podświadomie – nie kłamiesz. Doktor Azula niewiele z ciebie zostawił: włosy, teraz siwawe, ale te same, paznokcie (połamane w walkach z tymi samymi koszmarami, z którymi walczą po nocach staruchy – żeby się bronić, żeby się nie dać, żeby ich nie zabrano, żeby ich nie zamknięto), no i twoją skórę, teraz zaniedbaną i pełną plam; ale twoją. Nie wiesz, że w środku, w worku tej skóry, doktor Azula i Emperatriz

poprzemieniali wszystko, myślisz, że coś zostawili, ale nie zostawili nic; skoro macica była do niczego, ich zainteresowały trudniejsze do dostania części ciała, potrzebne rozmaitym klientom, którzy dobrze płacili, bo w ten sposób mogli zarobić jeszcze trochę pieniędzy. Bystre oko Azuli i jego wprawna ręka, biały czepek, skupienie na twarzy i Emperatriz za znanym mi białym biurkiem, licząca pieniądze i pilnująca kolejności zgłoszeń w białych pantoflach na gumie, żeby żaden hałas nie drażnił pacjentów, co zjeżdżają tu z całego świata, by pozwolić tym dwóm poczwarom wykroić wszystko, co zechcą, przeszczepić to, co będą uważali za stosowne, a oni pracują, zamieniają jedną osobę w inną albo w kilka innych, deformują ludzi, fabrykują ludzi, których potem sądzą, że są tym, kim byli, lecz nie są, są zupełnie kimś innym albo nawet kilkoma innymi osobami, oni mieszają, oszukują, kombinują, w swych białych sterylnych laboratoriach, gdzie wszystko jest możliwe, bo nie ma tam szacunku dla integralności człowieka. W białej wychłodzonej sali, w słojach z cenami wyznaczonymi przez Emperatriz, trzymają organy odebrane nam wszystkim i potem sprzedają je po nieprawdopodobnych cenach, w końcu to najsłynniejsza na całym świecie klinika, klinika, która odnosi same sukcesy. Któż mógł sobie wyobrazić, że będziemy mieli takie powodzenie, ty z pewnością nigdy sobie tego nie wyobrażałeś, nawet nie jestem pewna, czy chciałeś tego; musiałam zdobyć się na ogromny wysiłek, żeby wyrwać cię z tego letargu, w którym byłeś pogrążony w Rinconadzie, potrząsać tobą bez końca, namawiać cię, zabierajmy się, zabierajmy się stąd póki czas, teraz albo nigdy, jeżeli teraz nie uciekniemy, Hieronim będzie mścił się na nas, nie zostawajmy tutaj, trzeba się spieszyć, jeżeli się nie pospieszymy, będzie za późno, ja już wczoraj spakowałam

walizki, nie zapomniałam niczego. Jutro z samego rana Basilio zaniesie je do samochodu oczekującego w pobliskich krzakach. Oby tylko Boy nie zobaczył samochodu i nie zaczął zadawać niepotrzebnych pytań...

Czekając na powrót olbrzyma, który teraz z kolei ją miał przenieść w ramionach, Emperatriz kończyła poranną toaletę, która zazwyczaj trwała nieskończenie długo, nigdy jednak równie długo jak przy takich jak ta okazjach. Usiłowała robić to możliwie najciszej, żeby nie zbudzić Crisa, chrapiącego w małżeńskim łożu. Dużo sypiał, właściwie przesypiał całe dnie, a potem już tylko ziewał do zmierzchu. Nuda – twierdził Cris, ale prawda była zgoła inna: pił zbyt dużo. Gdyby przybliżyć mu zapałkę do ust, od samego jego oddechu mógłby wybuchnąć pożar. Szklanka whisky zawsze stała w zasięgu ręki. No pewno, że się nudził, ale to była jego wina. Jeżeli chodzi o pracę, o to, co naprawdę nazywa się pracą, od lat nie robił nic. Boy urósł, był zdrowy, rozwijał się jak każdy nastolatek, trądzik, jakaś angina, zwichnięta kostka, bo nogi zawsze miał słabe – ot i wszystko.

Emperatriz nieraz mówiła mężowi, żeby się nie wygłupiał i przestał zanudzać ją tą nieodżałowaną kliniką, żeby zmienił płytę i przestał mówić, że żałuje, że zagrzebał się w Rinconadzie, która zabiła jego wszystkie ambicje. Zamknij się, krzyczała Emperatriz, jesteś zupełnie bezwolny, czego ty tam żałujesz, wszystko próżne gadanie, jaka ci tam w głowie działalność naukowa, wolisz sjestę, whisky, romanse z najgrubszymi kobietami świata. Gdy tylko Emperatriz odkrywała taki romansik, dama szła na chleb i wodę, dopóki nie straciła wszystkich swych wdzięków. Wychodząc za Azulę Emperatriz myślała, że łączy swój los z mężczyzną, który jest prawdziwym uczonym, a tymczasem połączyła go z pijakiem. Począt-

kowo, gdy utyskiwania małżonka jeszcze ją wzruszały, mówiła mu, no dobrze, dobrze, przecież z oszczędności, które mamy w genewskim banku, możemy urządzić w Szwajcarii klinikę, jeżeli chcesz, to pojedziemy i pomogę ci zamienić ją w ośrodek, którego naukowe znaczenie będzie promieniowało na cały świat. Te plany, żywe przez pierwsze lata, powoli usychały, aż w końcu czas zniszczył je doszczętnie. Gdy skończyło się to, co Cris nazywał bohaterską kampanią o życie monstrum, które zginęłoby bez pomocy jego zręcznych (aczkolwiek także monstrualnych) rąk, postanowił opublikować studium owego przypadku, ale don Hieronim sprzeciwił się temu stanowczo.

– Zaangażowałem pana, ażeby wyleczył pan mojego syna, doktorze Azula, a nie po to, żeby przysporzyło to panu sławy.

Tak więc sprawa utknęła w martwym punkcie. Owego wieczoru Azula wypił trzy whisky zamiast jednej; projekty, ambicje, plany, wszystko to upadło jak zamki na lodzie.

– Don Hieronim zniechęcił mnie.

– Nie pleć głupstw. Jesteś podobny do Humberta Peñalozy, który twierdził, że don Hieronim odebrał mu możliwość pisania tej jakiejś sławetnej książki i że musi pozbyć się go, ażeby odzyskać swą siłę.

Emperatriz nie pogodziła się z przegraną. Wprawdzie jej mąż był zerem, ale nie rezygnowała i bez przerwy prawiła mu morały, które we wczesnym okresie ich związku zaczynały się od razów wymierzanych przez małżonka swojej połowicy, a kończyły na pogodzeniu się w łóżku.

Po zniknięciu Humberta don Hieronim im właśnie, jako zgodnemu i inteligentnemu małżeństwu, zlecił dalszą pieczę nad Rinconadą. Cały ciężar tej sprawy spadł jednak na kobiece ramiona Emperatriz. Prawdziwą torturą były

dla niej doroczne podróże mające na celu składanie sprawozdań Hieronimowi z sytuacji w Rinconadzie za ubiegły rok. Trzeba było bardziej dokładnie odmierzać dozę kłamstw, żeby z jednej strony zadowolić Hieronima, z drugiej jednak nie wzbudzić w nim ochoty do odwiedzenia Rinconady (kiedyś bowiem zdarzyło się to, gdy zbyt różowo przedstawiła mu rzeczywistość...). Tak, to wszystko nie było proste. Na samą myśl, że Hieronim mógłby pojawić się pewnego pięknego dnia w Rinconadzie, Emperatriz z przerażenia upuściła srebrny korek od flakonu z perfumami na szklany blat swej toaletki. Crisóforo zbudził się, ziewając.

– Kawy...

– Dzień dobry!

– Ależ mam migrenę...

– Boś się zalał wczoraj wieczorem. Basilio pomagał mi położyć cię do łóżka.

Znowu ziewnął, po czym spoważniał:

– Emperatriz.

– Co?

– Powiedz mi prawdę.

– O co chodzi?

– Czy wczorajsza whisky to była naprawdę Chivas Regal?

Emperatriz, która z wiekiem przybrała na wadze, właśnie sznurowała gorset. Teraz, jako że ona tu rządziła, zniosła idiotyczny nakaz Humberta, który żądał, by wszyscy otaczający Boya chodzili nago.

– Tak.

– Kłamiesz. To była marna krajowa whisky. Przelewasz ją do butelek po Chivas Regal, żeby mnie nabrać.

Cris włożył szlafrok z włoskiego brokatu w pasy, Emperatriz wciągnęła giemzowe rękawiczki; rozpoznawał

symptomy jednej z tych burz, do których nie miała cierpliwości teraz, gdy kończyły się inaczej niż dawniej. Skoro Cris był w złym humorze, lepiej było jak najszybciej wyjść. I tak wszystko już urządziła, by podczas jej czterotygodniowego pobytu w stolicy (przynajmniej zobaczy kilka kolekcji, jakież inne przyjemności pozostawały jej przy takim mężu...) nie nastąpiły tu żadne przykre niespodzianki.

– No to jadę.

– Pozdrów ode mnie don Hieronima.

– Chętnie, kochany.

Znowu ziewnął.

– Śmiesznie wyglądasz w tej sukience z tyloma falbankami – powiedział. – Nie masz już ani wieku, ani szyi do tych romantycznych żabotów.

Jednym z niezachwianych dogmatów Emperatriz było przekonanie o swoim bezbłędnym smaku w dziedzinie mody. Żeby ten cholernik, którego chyba za karę Bóg dał jej za męża, jeszcze pozwalał sobie ją krytykować – nie, tego było już stanowczo za dużo. Nagle wykrzyczała to wszystko, co pierwotnie miała zamiar przemilczeć. A więc dobrze, on ma swoje problemy. Chivas Regal i romanse z grubymi babami, ale ona ma swoje, ona, biedna, słaba kobieta, samotnie broniąca ich raju przez coroczne wyjazdy do Hieronima, gdzie trzeba tkać ten labirynt kłamstw solidnych jak mury z cegły, aby utrzymać go z dala od Rinconady. Co by się stało z nim, z Crisem, gdyby ona, siedząc w bibliotece na jednym z głębokich foteli, szarych, aksamitem krytych foteli, nagle postanowiła powiedzieć prawdę, wyznać, czym z biegiem lat stała się Rinconada! Nie ma dwóch zdań, że ten raj, którego nikt nie ośmielał się opuścić, zawaliłby się w ciągu sekundy, a oni, wyszedłszy na zewnątrz, usłyszeliby, jak ludzie się z nich śmieją;

takiego śmiechu nie tylko nie słyszeli od lat, ale w ogóle zapomnieli o jego istnieniu. Wystarczyłoby jedno jej słowo, by zerwać zasłonę, wywalić drzwi: park z olimpijskim basenem, korty tenisowe, kolorowe przeciwsłoneczne parasole, wioski w dolinie zaludnionej przez potwory, które wypłoszyły normalnych mieszkańców, rozmaite potwory drugiej, trzeciej, czwartej i piątej klasy, które zwabione legendą od lat zjeżdżały z całego świata, obozując w okolicy i czekając, by dostać się do Rinconady, a potem, stopniowo pnąc się ku górze, upodobnić się do nich, do elity, mieszkającej w świecie, gdzie wszyscy się znają i każdy żyje szczęśliwy, odseparowany od rzeczywistości normalnych ludzi... wszystko to jednym zdaniem wypowiedzianym do swego kuzyna ona, Emperatriz, mogłaby całkowicie zniszczyć. Ale przecież jest właśnie po to, żeby tego wszystkiego, żeby ich wszystkich chronić. I po to co rok schodzi do piekieł. Bo niech ani on, ani inni nie wyobrażają sobie, że jest inaczej: ta mała coroczna podróż to właśnie piekło.

Płakać jej się chce nad tym poświęceniem, na skutek którego ona wystawia się na obserwację zdziwionych, śledzących ją wzrokiem przechodniów, na śmiechy kuzynek – starych panien, którym jednakże do głowy nie przychodzi, że ona mogłaby znaleźć męża – kuzynek, które śmieją się nadal, mimo że ona właśnie go sobie znalazła, a nie one; płakać jej się chce, że nie ma sposobu, by ukryć swoje ciało i zapomnieć, że jest się jakimś żartem losu, jakimś dziwacznym wyjątkiem, podczas gdy oni...

Tak, ona płakała, podczas gdy oni o niczym nie pamiętali, wygodnie zadekowani, wygodnie tutaj ukryci. Co by powiedział, a raczej co by zrobił don Hieronim, gdyby opowiedziała mu o tym, co naprawdę dzieje się w Rinconadzie... Od jak dawna? Powiedz no mi, Cris... od jak

dawna? Oczywiście od wyjazdu Humberta. Co by zrobił don Hieronim, gdyby zobaczył, jak Boy pożera olbrzymie ciastka, prawdziwe pałace z pianki, śmietanki i lodów i kolorowe kryształy smażonych w cukrze owoców. Gdyby ujrzał welurowe śliwkowego koloru burnusy, które jego syn tak lubi nosić, i galowe garnitury demonstrowane podczas nie kończących się bankietów, na które wszystkich sprasza wśród stołów uginających się od indyków, kuropatw, prosiąt z jabłkiem w pysku i pietruszkowymi oczami, wśród deserów podobnych wielopiętrowym wieżom? Niech żrą! Niech chlają! Nieartykułowane wrzaski głuszone przez muzykę rzadkich instrumentów, które skonstruował brat Mateusz z modeli z zamierzchłych czasów i na których sam grywał. Wszyscy w ramionach wszystkich, dywany i poduszki, grona karłów pouczepiane piersi olbrzymek, przyssane do nich po dwóch, po kilku, a potem spuszczające się na ziemię po ich warkoczach, garbusy gryzące pośladki Berty, Boy chłoszczący Emperatriz kiściami winogron, przysypujący cukrem pudrem pijanego i zasypiającego Melchiora, polewający czerwonym winem Melisę, rozkazujący tańczyć Rosario o kulach. Co by powiedział, gdyby się dowiedział, że od dzieciństwa Boy napastuje kobiety, a wszystkie one, Berta, Melisa, sama Emperatriz, telefonistka o uszach nietoperza, podroczywszy się z nim trochę, pozwalają mu dopaść się w krzakach? Co by na to wszystko powiedział don Hieronim?

– ...

– Oczywiście nie wiesz, co odpowiedzieć!

Bo nie było odpowiedzi. Tymczasem ona z roku na rok dostarczała don Hieronimowi fikcyjnych informacji na temat rozwoju Boya, plus-minus dostosowując je do ram projektu, który obowiązywał za czasów Humberta. Kiedy don Hieronim dowiedział się o ucieczce swego sekretarza,

przyjechał do Rinconady chcąc wszystko rozwiązać, ale tak zachwyciło go ograniczenie zainteresowań pięcioletniego wówczas Boya, że zdecydował się nic nie likwidować i przekazał wszystko swej kuzynce Emperatriz i doktorowi Azuli, który, sądząc po uzyskanych rezultatach, był naprawdę znakomitym lekarzem. Ale w miarę jak chłopiec przechodził z dzieciństwa do wieku dojrzewania, z wieku dojrzewania w okres młodości, stawało się coraz jaśniejsze, że nie uda się go nadal utrzymać w tych zawężonych granicach. Jak uniknąć bólu zębów i aspiryny tak bosko go likwidującej? A jak potem uniknąć pytań, dlaczego odczuwałem ból, dlaczego go nie odczuwam, co mnie bolało, dlaczego przestało? Jak ukryć przed nim chłód zimy i ciepło wiosny? Emperatriz niezmordowanie przekonywała samą siebie, że Humberto uciekł z tchórzostwa, zrozumiawszy, że nie uda się dłużej utrzymywać Boya w tych sztucznie mu narzuconych granicach. Trudno było nałożyć tego typu kaganiec zarówno jemu, jak i otaczającej go naturze. Wprawdzie Emperatriz od przeszło dziesięciu lat usiłowała utrzymać to wszystko w ryzach za pomocą kłamstw (co ułatwiały jej chore nogi Boya, dzięki którym mało się poruszał), stawało się to jednak coraz trudniejsze. Zlikwidowała wszelkie możliwe środki komunikacji, zarówno samochody, jak karety, muły, konie i osły, rowery i wózki, by ograniczyć zasięg poruszania się chłopca do parku otaczającego dom i w ten sposób zmniejszyć jego możliwości poznawcze. Wszyscy zresztą wierzyli jej, gdy perorowała:

– Niech mi tu tylko nikt nie opowiada bajek, że to są pomysły don Hieronima. Wszystko to z pewnością ulęgło się w głowie tego całego Humberta. Chciał mieć tu swój prywatny cyrk, drwić z nas do woli bez wiedzy Hieronima, co więcej, chciał nawet Hieronima włączyć do tego cyrku,

przecież don Hieronim ma w sobie więcej z potwora niż ktokolwiek z nas. Niby zasadniczo sprawa trzyma się kupy – Boy nie wie, że istnieje inny świat, świat istot różnych od niego, i okrutnych, ale cała reszta nie ma znaczenia, ot, fanaberie Humberta.

Pewnego razu, wiele już lat temu, gdy Azula po pijanemu asystował wyjazdowi Emperatriz do miasta, odezwał się w obecności wielu potworów:

– Fanaberie Humberta?

– No pewno.

– Głównie twoje fanaberie. Nie możesz mu darować, że...

– Że co?

– Że cię puścił kantem.

– Mnie?

Potwory asystowały bez słowa.

– A co, mnie? Mówiłaś, że się z tobą ożeni... Jeżeli to nieprawda, to jakim cudem miałaś gotową całą wyprawę, a nawet suknię ślubną z ogonem i diadem, kiedy zdecydowaliśmy się pobrać po tej sławetnej wizycie don Hieronima w Rinconadzie?

– Teraz żałuję, że kiedykolwiek...

– A co, może nie byłaś w nim zakochana?

Chcąc jakoś przerwać kompromitujące milczenie potworów, Emperatriz zdecydowała wziąć byka za rogi.

– Nie słuchajcie biednego Crisa, jest już całkiem zramolały. No pewno, że flirtowałam z Humbertem Peñalozą, wcale się nie wypieram, ale zakochana nie byłam nigdy w życiu. Udawałam, że mi na nim zależy, bo od pierwszej chwili postanowiłam sobie, że w taki czy inny sposób muszę dojść tutaj do władzy. A przy okazji zdążyłam zaobserwować, jak ten pełen kompleksów łobuz okłamuje don Hieronima. Trzeba go było jakoś z tego wyplątać. Ograniczony kosmos, nieprzerwany czas teraźniejszy...

Czy to było możliwe, żeby tego typu idee miał człowiek w stylu don Hieronima? On nie jest na tyle inteligentny. W czasie swego pobytu w Europie nauczył się tylko tego, czego wszystkie tańczące tango niebieskie ptaki z Ameryki Południowej wtedy się uczyły: podrywać i brać na utrzymanie kobiety. Któż by tam wiedział, która z nich zostawiła mu w spadku te krętki blade, które tak się zemściły na biednym Boyu, nawiasem mówiąc równocześnie dając mu okazję do korzystania z tych wszystkich przywilejów! Chciałabym, żebyście jedno zrozumieli: don Hieronim to tak zwany porządny człowiek, w którym nie ma nic niezwykłego, przeciwnie, jest raczej pospolity, tyle że dość obrotny w sprawach politycznych i znający pół świata. Bez jakichś ekstra wpływów zadowoliłby się wysłaniem Boya do specjalnego zakładu. Ostatecznie w najlepszych rodzinach zdarzają się wariaci, potwory albo degeneraci. Nie, ta cała historia to był pomysł Humberta Peñalozy; w ten sposób chciał się pomścić na don Hieronimie. Czy myślicie, że choć jedna osoba nie wiedziała, że wierny sekretarz Hieronima, towarzysz jego wszystkich hulanek, faktotum od najniższych posług, był nieprzytomnie zakochany w Inez i stawał na głowie, żeby ją odbić swojemu panu? Kiedy zrozumiałam, że nienawiść Humberta do Hieronima ciągle wzrasta, postanowiłam ratować mego kuzyna, który nic nie podejrzewał. Zresztą, jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, Cris, niesłychanie mnie bawił flirt z Humbertem...

Emperatriz rokrocznie wracała ze stolicy z wiadomością, że zainteresowanie don Hieronima Boyem, nimi wszystkimi i Rinconadą ciągle maleje. Jeżeli uda jej się nakłonić Hieronima, by zrobił testament na rzecz Boya, a ją wyznaczył jego wykonawczynią, niech się z nim dzieje, co chce (zwłaszcza jeżeli w dodatku mianuje ją

czasową opiekunką Boya, podnosząc jej pensję i składając do banku sumę wystarczającą do gospodarowania w Rinconadzie).

A teraz klucze, torebka, portfel z dokumentami. Basilio już czekał, żeby przenieść ją do auta, ukrytego przed Boyem, by nie przyszło mu do głowy zadawanie niepotrzebnych pytań... ależ staje się ostatnio nieznośny z tymi pytaniami o byle głupstwo. Nic go teraz nie bawi, ani gry, ani zabawy z udziałem kobiet, ani rozrywki sportowe, w których zawsze wygrywa, organizowane przez Basilia. Nic teraz nie wystarcza, teraz już tylko to ciągłe co, jak, kiedy, dlaczego... a to tak komplikuje życie. Coral Blush Revlona czy też Flamingo Passion Dorothy Grey? Coral Blush. Trzeba będzie sprawdzić, czy rzeczywiście wchodzą w modę ciemniejsze szminki. Byłaby to klęska, bo w ciemnych kolorach jej nie do twarzy.

Zawiązując pasek od szlafroka doktor Azula podszedł za nią do stoliczka, na którym już czekała kawa:

– Jesteś bardzo elegancka.

– Czyż nie mówiłeś przed chwilą, że wyglądam śmiesznie?

– Z kim się masz zamiar zobaczyć?

– Przecież wiesz, że z Hieronimem.

– To żeby jego uwieść, tak się wypacykowałaś?

Emperatriz zmarszczyła brwi ze złością:

– Do tego doszedłeś?

– Nie odpowiedziałaś mi, czy masz zamiar go zobaczyć.

– Kogo?

– Humberta.

Westchnęła.

– Jeżeli dasz mi jego adres...

– Czyj...

– Humberta właśnie. Gdyby mi się udało go odnaleźć, na pewno bym się z nim spotkała. Właściwie to marzę

o tym, by go zobaczyć. Szukałam go i chciałam dowiedzieć się, co się z nim dzieje, na próżno, znikł. Zapadł się pod ziemię bez śladu. Można by pomyśleć, że nigdy nie istniał. Czasami zastanawiam się, czy nie wymyśliłam go sobie, czy nie wyśniłam go, tak jak on wyśnił sobie ten świat, w którym nas więził. Wszystko tak inaczej wyglądało, póki był tutaj...

– Tak; nieźleśmy się bawili.

– Pamiętasz herbatki u mnie?

– A wieczorne spotkania na jego balkonie, na świeżym powietrzu, kiedy wybuchały dyskusje na przykład o...

– A rozmowy na temat eksperymentalnych filmów młodych reżyserów francuskich i amerykańskich, które Berta sprowadzała do wybudowanej przez siebie sali projekcyjnej?

– Mhm... Wszystko to miało jakiś inny wymiar.

– No właśnie... Gdybym go odnalazła, byłby koniec.

– Odeszłabyś z nim?

– Nie wiem. Czy to dla ciebie takie ważne?

Crisóforo Azula był przyzwyczajony do tego, że Emperatriz bywała bardzo nerwowa przed wyjazdem na spotkanie z Hieronimem. Było to zresztą zrozumiałe. Biedaczka. I tak zdumiewające, skąd brała tyle dynamizmu, tyle energii. Odłożywszy na stół serwetkę pochylił się, aby ucałować jej nachylony ku niemu policzek.

– Chcesz, żebym ci coś przywiozła?

– Tak. Butelkę autentycznej Chivas.

– Głuptas.

– I oby ci wszystko dobrze poszło.

– Do widzenia, Cris, sprawuj się dobrze, kochany.

# 24

Wczesnym niedzielnym rankiem Iris otwarła mu bramę. Przez ramię miał przewieszone nurkowe futro miodowego koloru, w ręce skórzaną walizeczkę z klejnotami. Podał jej to wszystko. Wysłała wózek gazetami i ułożyła na nim przyniesione przez szofera rzeczy, tak aby nic się nie zabrudziło.

– Poczekaj.

Raz jeszcze poszedł do auta i wrócił obładowany paczkami różnej wielkości, szachownicami, pudełkami pełnymi brzęczących przedmiotów, coś mi mówi, że to warcaby, stwierdziła Ryta, potrząsając zawartością pudełka tuż nad uchem Iris Mateluny, a to? co też to może być, jeszcze jakieś gry, mój Boże, co będziemy robiły z tym wszystkim, akurat teraz, kiedy nie ma czasu, żeby się nudzić.

– Jak się ostatnio czuła misia Inez?

Iris uśmiechnęła się do szofera, bardzo dobrze, z pewnością nigdy nie czuła się lepiej, nawet u siebie w domu, zresztą ten Dom też do niej należy.

– Pozdrów ją ode mnie. Powiedz jej, że tam wszyscy bardzo za nią tęsknimy.

Drzwi się zamknęły. Ryta zanurzyła swoje zaczerwienione ręce w fałdach futra, jakież to delikatne, jak też to może się nazywać, musi być lekkie i ciepłe, miała rację

señora, że poprosiła o swoje futra, biedaczka, tu w Domu nie ma ogrzewania, a ona pewnie jest do tego nie przyzwyczajona, nie to co my, chodź no tu, Iris, zmierz ten płaszcz, nie, tylko zarzuć na ramiona, ale wyrywam ci z rąk to wspaniałe futro, które nie należy do ciebie, nie powinnaś nawet wiedzieć, że istnieje coś równie wytwornego, nie powinnaś tego dotykać, no, już dosyć, to są rzeczy misi Inez, przestańcie, bo poskarżę na was matce Benicie; Iris, zawieź wszystko do celi.

Za Iris, która ciągnie mój mały wózek (bo ja nie mam już na to siły), przechodzę przez główne wejściowe patio, galerię, kuchenne patio, skąd trzeba przegnać staruchy, które biegną obejrzeć, co też się tu zwozi, popatrz, Antonieta, futra, macają, chwytają, zostawcie, to jest misi Inez, pogniewa się na was, jeżeli będziecie dotykać paczek, oj, jakie ładne pudełko ze złoconymi inkrustacjami, co też może być w tych wszystkich pakunkach tak starannie zawiniętych, widać od razu, że z eleganckich sklepów, mijam lipowe patio, mijam kaplicę i skręcając w stronę krużganka palmowego patia dochodzę do twoich drzwi. Stukam. Otwierasz mi. Twój czerwony szlafrok jest pełen plam, brzeg ma wybrudzony, brakuje guzika. Miałaś pewnie się czesać, bo włosy masz w nieładzie, na mój widok wpinasz grzebień w szare kosmyki zwisające na karku, ale twoje ciężkie ze snu oczy ożywiają się, gdy padają na rzeczy, które przynoszę: niech Iris położy mi nurki, karakuły i walizeczkę tutaj, na nie posłanym łóżku, nie warto nosić paczek do mojej celi, Głuszku, pomóż mi wciągnąć nurki na szlafrok i zaniesiemy wszystkie te paczki do kuchni, staruszki pewnie jedzą teraz śniadanie. Idziemy za tobą, ciągnąc mój mały obładowany wózek wzdłuż korytarzy, które zamiatasz czerwonym szlafro-

kiem, grzebień masz wpięty w rozczochrany kok, wspaniałe nurki osuwają się z ramion, które zaczynają się garbić, w rękach trzymasz walizeczkę z niebieskiej skóry ze złotymi liliami.

Staruchy siedzą w kuchni, gdzie się zeszły na śniadanie, chleb, garnuszek z kipiącą kawą, kichanie, szepty, dym z kawałków drewna palących się wewnątrz czarnej kuchenki, postacie zaledwie widoczne, profile głów i szczęk, które drżą lekko, zarysy ramion, ginąca w gałganie dłoń, łokieć, kubek z szarawą emalią, resztki chleba na wymytym, wyszorowanym, zużytym drewnie stołu, szczątki istot podpierających się wzajemnie, aby wstać, o, to pani dziedziczka wchodzi, ta szkarłatna dama owinięta w futro, niosąca kuferek ozdobiony liliami, a za nią jej błazen, rozdając paczki z prezentami, które przyjmujemy, choć trzęsą się nam ręce; połamane paznokcie rozdzierają opakowania, drżące z zimna palce zdejmują pokrywki z pudełek, popatrz, loteryjka, jak dawno już nie grałam w loteryjkę, a to są warcaby, a to łamigłówka, a to szachy, szachy to trudna gra, ja uważam, że to męska gra, o, wyścigi konne, samochodowe, psie, szachownice w białe i czarne kwadraty, Klementyno, spójrz, co dostałam, co to może być, jakie śmieszne, można by powiedzieć, że to domino, ale to madżong, nikt w to nie umie grać, ale kostki są takie ładne, i karty, dużo kart, dziesiątki gier, no, teraz nie będziemy się już nigdy nudziły, mamy w co grać przez całe życie, misiu Inez. Niech Bóg pani to wynagrodzi, miłosierna osoba z pani, prawdziwa święta, jedna staruszka całuje jej dłoń, inna klęka, żeby ucałować brzeg futra z nurków, dookoła szachownic i kart do gry tworzą się grupki, Inez przechadza się pomiędzy stołami, czuwając nad tym domem gry, na zewnątrz gołębie dziobią w słabym słońcu patia, ale w środku, w dymie, sylwetki pochylają się

nad szachownicami i dłonie obracają kartami w półmroku, partia mariasza rozgrywana nowiutkimi, jeszcze ciepłymi kartami to nie to samo co granie wytartymi, które trzeba odkładać na bok, bo brakuje w nich waleta trefl, ty rozdajesz, Zunildo, teraz ty rozgrywasz, nie chcę grać z Emą, ona oszukuje, chodź do tego stołu, Iris, jeśli chcesz grać w domino, pokażę ci, nie, Iris zrobiłaby lepiej, gdyby zagrała z nami w wyścigi konne, to bardziej odpowiednie dla małych dziewczynek, Eliana może zagrać z nami, jeśli chcecie, albo Mirella, zapominają o dymiącej kawie, chlebie, mszy, której miały wysłuchać przez radio Brygidy królujące w bufecie, ksiądz Azócar mówi, że to się liczy, tak jakby się było w kościele, bo jesteśmy stare, chore i chodzenie sprawia nam trudności, ale dzisiaj nie będziemy słuchać mszy, bo nasza dobrodziejka przywiozła nam gry i przechadza się wśród nas, gdy gramy, i cieszy się naszą radością, którą widać w błyszczących od łez oczach, słucha odgłosu potrząsanych w kubku kości, patrzy na ręce niemal sparaliżowane, rozdzielające stosy zielonych i czarnych sztonów do gier, których reguł nie znają, spadają szklane kulki tocząc się po ziemi, stara przykuca, inna na czworakach szuka pod stołem kulki z mlecznego szkła pośród nóg w zniszczonych pantoflach, spuchniętych stóp, żylaków ukrytych pod brudnymi pończochami, ale właścicielki brudnych halek i wykręconych stóp nawet nie zauważają, że ktoś tam chodzi na czworakach, bo brakuje im jednej kulki, była taka mleczna, posuń nogę, Klementyno, co ci szkodzi, że brakuje akurat jednej kulki, no chodź, zaczynamy grać, ale nie w mariasza ani nie w oko, nie daj Boże, tylko nie grajcie w oko, to szatańska gra, zabroniona przez prawo, a co to może być, tyle różnokolorowych sztonów i taka ładna szachownica, lepiej odłożyć ją na bok, aż Ryta przeczyta nam objaś-

nienie, tu, na przykrywce, bo ja nie umiem czytać, dlatego że litery są za małe, ja już źle widzę, w to nie gra się tak jak w domino, Mario, zaczynacie wymyślać swoje własne reguły, co ty mi opowiadasz, ja nie jestem analfabetką, popatrzcie, już po mszy, nie szkodzi, ciągle są transmisje, później będzie śpiewana, najładniesza, ale o wysłuchaniu śpiewanej też nie pamięta się, ponieważ nasze popękane ręce potrząsają kubki z kostkami, nasze ziemiste palce chwytają asa karo i posuwają o sześć miejsc małego białego konika, i rozsypują sztony, bo Rosa Pérez oszukała, ja nie gram więcej z Rosą Pérez, niech idzie do innego stolika, stwierdzają usta o zapadniętych wargach dyszących z oburzenia, podczas gdy kuchnia dymi, kawa stygnie, a misia Inez przechadza się, przechadza się, kładzie na sekundę rękę na ramieniu Zunildy, która się do niej uśmiecha, przechadza się i nic nie mówi, rozgląda się, przechadza się otulona w swoje nurki koloru miodu, ciągnąc swój purpurowy szlafrok między stołami, gdzie padają kości do gry, biegają konie, rywalizują królowie i laufry, gromadzą się czarne pionki, a kończą białe, niech no pani sama powie, czy to nie oszustwo, misiu Inez, pani na pewno się na tym zna, wyścigi samochodowe, nie, nie znam się zupełnie na wyścigach samochodowych, znam się na wyścigach psów.

– Posuńcie się.

Siadasz na ławce. Niebieski kuferek z liliami stawiasz w pobliżu. Mówisz, że jesteś żółtą suką. Pięć innych uczestniczek wybiera sobie zwierzęta i ustawia się na linii startu. Potrząsasz kubkiem, stawiasz go do góry dnem na stole zakrywając kostkę i mówisz:

– No więc tak, cały urok gry polega na jakimś zakładzie, bo jeśli się nie przegrywa, to żadna zabawa; każda z was musi mi coś dać. O co się zakładasz, Ryto?

– O mój szal w kratę.
– Dobrze. A ty, Antonieto?
– O mój kwiecisty fartuszek.
– Ten z perkalu? Dobrze. A Rosa Pérez?
– Sama nie wiem... moje pantofle...
– Pokaż no je.
– Proszę.
– Dość sfatygowane. A ty, Lucy?
– O tę szylkretową szpilkę do włosów. Prawdziwy szylkret.
– To za mało...
– No to o moje cztery szylkretowe szpilki do włosów.
Wyjmuje je z koka i włosy opadają jej na ramiona, jak deszcz z popiołu. Kładziesz szpilki Lucy na niebieskim kufereczku.
– A ty, Auristelo?
– O mój szkaplerz.
– Ten szmaciany?
– Jest duży i wyszywany... należał do mojej mamusi.
– Zgoda.
Zasłaniasz kostkę i po kolei patrzysz na pięć staruszek.
– A nie pytacie, co ja stawiam?
– Mój Boże, to nie ma znaczenia, misiu Inez.
– Pani już dość nam dała prezentów.
– Cóż za pomysł, misiu Inez.
– Ależ nie, proszę pani...
Trzymasz rękę na kubku. Zwierzęta na linii startu denerwują się chcąc rozpocząć wyścig. Zmarszczyłaś czoło, stare nie rozumieją, co się dzieje.
– Nie, tak to nie ma sensu, jak także muszę wiedzieć, że ryzykuję. Wiecie, o co się założę? Jeśli przegram, oddam wam to futro; to najpiękniejsze nurki, jakie mogą być, możecie obejrzeć, dotknijcie, zobaczcie, czy kiedykol-

wiek dotykałyście czegoś równie miękkiego, równie delikatnego? Zawsze wszyscy mi tego futra zazdrościli, ale już mi nie jest potrzebne. Po co mi takie rzeczy, skoro ślubowałam ubóstwo? A karakuły dla tej, która druga dojdzie do mety. A mój brylantowy klips z tej walizeczki na klejnoty dla trzeciej, a moje kolczyki z pereł dla czwartej, a mój drogocenny szafir dla piątej. Tu są moje klejnoty. Czy chciałybyście je zobaczyć? To on mi je podarował... ale ja już ich nie chcę. Chociaż nie. Nie pokażę żadnej z was, zanim nie będzie wiadomo, kto wygrał; wtedy otworzę walizeczkę. Nie wcześniej.

W miarę jak wyliczasz swoje fanty, zdziwienie wycisza głosy przy wszystkich stołach, potem podnosi się huk odsuwanych krzeseł, które padają na podłogę; porozsypywane sztony i kulki, staruchy przylepione do stołu, przyciągnięte przez twoje wspaniałe stawki, przez sam luksus nazw, futra, perły, brylanty, szafiry, mur postaci starych jak mury Domu, mrugających oczek i drgających warg, starych pełnych zawiści w stosunku do tych cudów nie do pomyślenia, kupa łachmanów szarych i cuchnących dookoła sześciu grających i ty uśmiechnięta, uprzejma, wszystkie oczy utkwione w twojej ręce trzymającej kubek, jeszcze nie rozpoczynającej gry, a dookoła one, pensjonariuszki i sieroty wstrzymujące oddech, zdumione tym, co za chwilę ujrzą ich oczy. Podnosisz kubek w górę:

– Cztery. Raz, dwa, trzy, cztery.

Żółta suka ucieka goniona przez inne, ścigana przez mściwych jeźdźców, za którymi zostaje tylko chmura pyłu wśród srebrzystej nocy, kryje się po krzakach drapiących jej parszywą skórę, przeskakuje kałuże, laguny, bagna... nigdy niezdolna nasycić głodu, który skręca jej

trzewia, śmiecie, które zjada, kości, które zżera, odpadki, które kradnie, to wszystko mało, niezdolna uciec od kary, mknie w kierunku wskazanym przez przyjazną gwiazdę, wbiega na wzgórza i zbiega w dół, leci, pędzi, żeby dokonało się to, co się powinno dokonać, lecz co nie dokona się nigdy, ukrywa się, żeby dzikie zwierzęta nie rozszarpały jej na kawałki, bo nienawidzą jej za to, że brzydka, że chuda, że wygłodniała, lecz żółta suka biegnie, biegnie przez pola i pustynie, nagie skały, gęste lasy, ulice i parki, nocą zbliża się do domów niby szukający jedzenia włóczęga, jest ranna, zapchlona, drobna, o, nie jest krwiożercza, nie atakuje nigdy, nigdy nie gryzie, chociażby czasem i chciała, tyle że gdy cztery czarne psy przez chwilę się zagapią, nie traci okazji, żeby wcisnąć się między ich łapy i ukraść im kąsek, a nocą w parku jej błyszczące ślepia śledzą wszystko tak, jak śledziły zawsze, i wyje do księżyca, prosząc go o radę, o klucz od zagadek, mówiąc mu o tym, o czym księżyc nie wie, i prosząc go o pomoc, której jej udzieli, bo przecież ogrodnicy nie odnajdą jej rozszarpanego ciała, biegnie, biegnie żółta suka, słaba jest, lecz tak biegnie, że inne psy nie mogą za nią nadążyć, zawsze na przedzie, chociaż wyczerpana, spragniona odpoczynku, sypia po lasach, gdzie nikt jej nie znajduje, a kiedy się budzi, obwąchuje kosze z odpadkami w poszukiwaniu pożywienia, mali chłopcy kopią ją, już cię nie ma, uciekaj, daj nam się bawić, cholerna suko, czy musisz się na nas gapić, nie rozdzieraj mi spodni, bo cię kopnę w mordę, spójrzcie na nią, wygląda, jakby się oblizywała, i śmieje się, i śmiejesz się... i... i... i nie czujemy rozkoszy ani ty, ani ja, może ona jedna, lecz znów ucieka, znowu biegnie, biegnie, zdyszana, z wywieszonym językiem, pozostawiając za sobą chmurę kurzu

i szczekanie innych suk, które nie mogą jej dogonić, wciąż wygłodniała, ale wciąż żwawa, żwawsza niż inne, żółta suka wkrótce przybiegnie do mety, staruchy śmieją się, krzyczą, robią zakłady, dłubią w zębach i kłócą się, i piszczą przenikliwie, bo wszystkie chcą zobaczyć, jak wygra misia Inez, która jest dla nas taka dobra, niech to nie będzie ani czerwona, ani zielona, ani czarna, ani niebieska, ani biała, ale żółta, niech wygra żółta, powinna wygrać, bo zawsze wygrywa, przeskakuje kałużę wyrzuciwszy szóstkę, potem czwórkę... raz, dwa, trzy, cztery... i pada wycieńczona, dobiegłszy do mety.

– Brawo!

– Niech żyje żółta suka!

– Wygrałam.

– Misia Inez wygrała!

– Brawo!

– Niech żyje misia Inez!

Podczas gdy staruchy komentują szczegóły twojego triumfu, wstajesz, wyjmujesz grzebień, który miałaś wpięty w kok, rozczesujesz nim włosy i wpinasz w nie cztery szylkretowe szpilki, które Lucy położyła na twojej walizeczce: raz, dwa, trzy, cztery, z prawdziwego szylkretu, w dobrym gatunku, jak to robili kiedyś, nie takie jak dzisiaj, staruchy obserwują cię w milczeniu. Zdejmujesz nurkowe futro i dajesz mi je, żebym położył je na wózku, robię to, choć z trudem. Ściągasz z ramion Ryty jej postrzępiony szal w kratę i okrywasz się nim. Patrzę na ciebie zdziwiony, ale rozumiem: tak musi być. Antonieta w milczeniu zdejmuje swój fartuch, a ty go wkładasz i schylasz głowę, żeby Auristela założyła ci szkaplerz, który niby relikwia zdobi twoją pierś.

– A pantofle Rosy Pérez?

– Nie będą na panią dobre, misiu Inez.

– Zobaczymy, daj mi je.

Stara siedzi z bosymi stopami, a ty przymierzasz parę podartych, starych kapci.

– Trochę na mnie za duże, ale to nieważne. Włożę parę par ciepłych, grubych pończoch i wtedy będą dobre.

– Pani przywiozła z sobą grube pończochy, misiu Inez?

– Nie. Ale wy powinnyście mieć. Zobaczymy, jeśli jutro zagramy następną partyjkę, może przegracie grube pończochy, które mi są potrzebne.

– Może i tak...

– No dobrze. Idę.

Iris i ja idziemy za tobą z wózkiem. W miarę jak posuwamy się wzdłuż korytarza, głosy staruch w kuchni cichną. Idziesz wolno, zgarbiona pod szalem, gubisz jedną szylkretową szpilkę, schylasz się, żeby ją podnieść, i ponownie wpinasz w potargany kok, z którego wysuwa się kilka nieposłusznych kosmyków. Otwierasz drzwi do swojego pokoju i dajesz mi znak, bym odprawił Iris, możesz odejść, Iris, potem z tobą pogadam, ale ciebie nie interesuje, o czym mam z tobą gadać, znikasz, jesteś tylko siłą napędową ciągnącą wózek, którego ja nie mogę już ciągnąć, bo marnie ze mną, jak pani widzi, misiu Inez, lecz siły wracają mi, kiedy Iris znika, a ty otwierasz twoją walizeczkę: wyciągasz szafir, brylantowy klips, perły, wkładasz klejnoty do kieszeni fartucha Antoniety i zamykasz szkatułkę. Podajesz mi karakuły, które kładę obok nurków, na moim wózku, i idę z tobą przez galerię aż do twojej celki. Sama ją otwierasz. Dajesz mi znak, żebym ci podał oba płaszcze, i wkładasz je do szafy, obok wielu niemodnych już płaszczy wieszasz karakuły i nurki, przedtem włożywszy w ich kieszenie wszystkie klejnoty.

– Czy jest dość naftaliny w tej szafie, Głuszku?

Potwierdzam. Dosyć. Wydajesz się zadowolona. Zamykasz na klucz szafę, a także drzwi celki. Idę za tobą przez korytarze, milczące podwórza, galerie, dochodzę do groty z Lourdes, robisz znak krzyża, ja też, dochodzimy do portierni, gdzie Ryta trzęsie się siedząc w kącie z założonymi rękami.

– Co ci jest? Jesteś zupełnie sina!

– To z zimna.

Ale ona nie jest sina, jest blada, wygląda, jak gdyby miała rozpłynąć się w powietrzu. Inez otula się szalem. Nakręca swój własny numer telefonu i udając głos Ryty pyta niewyraźnie:

– Mieszkanie don Hieronima de Azcoitia?

– ...

– Czy mogłabym z nim mówić?

– Misia Inez prosi, żeby go obudzić, nawet jeśli śpi, chce, żebym przekazała mu osobiście jej polecenie. Nie, nie, osobiście jemu, przepraszam, to nie moja wina, ale tak mi kazała, to bardzo pilne, muszę to załatwić natychmiast.

Ziewasz nie patrząc na kobietę, której ukradłaś głos. Wiesz dobrze, że Hieronim zawsze sypia w niedzielę do późna, a jeżeli idzie na mszę, to dopiero na dwunastą, zresztą ostatnio w ogóle nie chodził. Czekasz.

– Don Hieronim? Tu Ryta, bardzo dobrze, dziękuję. A pan jak się czuje? Przepraszam, że dzwonię do pana o tak wczesnej porze, choć to niedziela, ale misia Inez, która stała się teraz bardzo wymagająca i jakaś dziwna, powiedziała mi, że mam do pana zadzwonić właśnie o tej godzinie, a nie o innej, nawet gdyby pan spał. Tak? Źle pan sypia? Może to z tęsknoty... No, pewno, jak mógłby pan nie tęsknić za swoją żoną, don Hieronimie... Tak,

czuje się dobrze, ale prosiła, żeby pan z łaski swojej kazał jej przysłać całą garderobę, tak, wszystko co ma, wszystko to, co jest w dużej szafie w jej sypialni, będzie tego potrzebowała, mówi, nawet tych eleganckich rzeczy. A także prosi o wszystkie flakoniki i przybory toaletowe, mówi, zwłaszcza małe lusterko z toaletki bardzo jej potrzebne, chce mieć tu wszelkie wygody, poza tym mówi, że tam może się zarzucić, a tutaj... tak, proszę pana, oczywiście, proszę pana... i mówi także, że łóżko, które jej tu dali, nie jest dobre i nie może spać, nie może się przyzwyczaić, wyraźnie mi nie powiedziała, ale założę się, że nie może spać, bo tęskni za panem... och, co też pan opowiada, don Hieronimie... ja jestem panienką... a więc pani mówi, że chciałaby, żeby pan przysłał jej łóżko z materacem, kołdry, kapę, pierzynę, poduszki, prześcieradła, tak, wszystkie prześcieradła z jej monogramem, ona wie, ile ma kompletów, więc trzeba jej to wszystko wysłać, i wszystkie ręczniki, i płaszcze kąpielowe... nie, don Hieronimie, pani będzie się gniewała, to musi być dzisiaj, tak, wie, że dzisiaj niedziela i że trudno o ciężarówkę, bo ludzie nie lubią pracować w niedzielę, ale mówi, że pan da sobie radę. Powiedziała mi, że wolałaby nie rozmawiać z panem, gdyż ma lekko obłożone gardło, wszystkie jesteśmy tutaj trochę zakatarzone, bo w czasie modlitwy zawsze siąpi, tak, to dziwne o tej porze roku, ciekawe, skąd to się bierze, mówią, że klimat zmienił się od bomby atomowej, ach, z tymi wynalazkami same nieszczęścia, misia Inez mówi, że jeżeli w przyszłym tygodniu będzie się lepiej czuła, sama zadzwoni do pana i wszystko wyjaśni, ma panu dużo do powiedzenia, ale teraz woli leżeć i odpoczywać, tak, ciągle jest przemęczona, biedaczka, czy może

też trochę przybita, a może smutna... wybaczy pan, nie chciałabym mieszać się do cudzych spraw, niech się pan nie gniewa, ale ja myślę, że dręczy ją sprawa Błogosławionej, tak mi się coś widzi, że to z tego powodu no i dlatego, że mają zburzyć ten Dom, na którym tak jej zależy.

Starczy głos służącej mówi do widzenia twojemu mężowi. Odkładasz słuchawkę. Uśmiechasz się do Ryty, zbliżasz się do niej, gładzisz ją po włosach.

– Zimno ci, Ryto?

– Nie wiem, trochę.

– Ale drżysz.

– Pewnie ze starości.

– Jest bardzo brzydko, sama mówiłaś mojemu mężowi...

– Tak, dziwna pogoda.

– No, jutro nie będzie ci już zimno. Żadnej z was nie będzie już zimno. Przywiozą całą moją bieliznę, wszystkie rzeczy, i dam wam szansę wygrania ich w wyścigach psów, i tak długo będę grała, aż wszystko wygracie, a ja zostanę bez niczego, bo nie mogę dłużej żyć z taką ilością rzeczy, chcę się wyzbyć wszystkiego, mam piękne płaszcze, Ryto, zobaczysz, że wygrasz, i to niejeden, żółta suka nie może wiecznie wygrywać, dostaniecie moc moich pięknych rzeczy.

Ryta uśmiecha się szczęśliwa.

– No, idę do siebie. Czy mogłabyś powiedzieć Marii Benítez, żeby mi zrobiła filiżankę gorącej herbaty i przyniosła do pokoju?

– Mocnej?

– Nie, raczej słabej.

– Brygida lubiła pić wieczorem mocną herbatę. To Amalia jej przygotowywała. Pomyśleć, że zabrało ją

pogotowie, choć wcale nie była chora, tylko tak biedna płakała o ten zgubiony paluszek, no ten, o którym mówiła, że to archanioł go zgubił...

– Biedna Amalia.

– Biedna. Szukamy wciąż palca; chcemy go wysłać Amalii, to może wróci do zdrowia.

– Dobranoc.

– Dobranoc pani.

# 25

Zauważyłem, że powoli znikają te cieniutkie czerwone linie, które niby blizny otaczają kontur twoich oczu, twojego czoła, twoich uszu, twoich powiek. Zmarszczki?... Dlaczego nie, mogłyby uchodzić za zmarszczki i nie wątpię, że za kilka miesięcy staną się nimi. Ile też teraz przybyło zmarszczek misi Inez, szepczą stare, które mają krótki wzrok, jeszcze nie powinna tak wyglądać, ale to dlatego, że ślubowała ubóstwo i teraz nie pielęgnuje już swojej młodości, zaniechała masaży, czyszczenia skóry, kremów, maseczek rozluźniających mięśnie, tak jak to robiła co tydzień. Tak, stare mają rację, nie jesteś już taka jak przedtem. Na brodzie i nad górną wargą wyrósł ci meszek, usta masz spierzchnięte, i grube czarne włosy zaczynają się pojawiać w twoich nozdrzach. Ale nie widzisz tego, bo w twoim pokoju nie ma już lustra. Wszystkie przybory toaletowe, lusterka, słoiczki kremów, twój srebrny grzebień, służą ci co wieczór za stawkę w wyścigach psów, a żółta suka zawsze wygrywa. Właśnie dlatego, dlatego że wygrywasz, twoje rzeczy znikają: na moim wózku zawozimy do twojej celki zwycięskie przedmioty zbytku i układamy je starannie, aby nie niszczały, przedłużając w nieskończoność ich niepotrzebną egzystencję. A w tym czasie śpisz na łóżku polowym Zunildy, które zastąpiło twoje łóżko, w nocnej koszuli Emy, pijesz

herbatę w filiżance, która należy do Marii Benítez, przykrywasz się szalem Ryty, czyjejś szydełkowej brudnej torby używasz zamiast woreczka, za pończochy służą ci te, które wygrałaś od Dory i Auristeli, nosisz majtki Lucy, okrywasz się łachmanami, śpisz na obsiusianym materacu, czeszesz się wygryzionym grzebieniem, a na nogi nie chcesz włożyć nic innego prócz zniszczonych pantofli Rosy Pérez.

Jednakże, obserwując cię z bliska, kiedy o tym nie wiesz, widzę, że cieniutkie blizny nie zniknęły całkowicie. Gojenie się trwa długo. Musisz poczekać jeszcze kilka miesięcy. Nigdy nie wątpiłem, że doktor Azula jest najznakomitszym chirurgiem na świecie: opisy cudów, jakich dokonuje w swojej klinice w Szwajcarii, wypełniają całe kolumny gazet. Pacjenci, których przyjmuje, cierpią na najrozmaitsze choroby, lecz większość jeździ tam, by się odmłodzić, by zdobyć nowe organy, funkcjonujące lepiej od ich własnych. Ty natomiast, jak to oświadczyłaś misi Raquel, poszłaś do kliniki doktora Azuli, żeby bezpowrotnie się postarzeć. Biorąc pod uwagę zapotrzebowanie na członki i organy w dobrym stanie, twój wypadek należał do najbardziej interesujących, a doktor Azula jest mistrzem przeszczepów. Powinno się uprzedzać przyszłych pacjentów, że ma on w zwyczaju kraść, a potem sprzedawać ich narządy, tak jak to zrobił ze mną, zamieniając mnie w ten oto stwór, złożony z kawałków nieznanego pochodzenia. Tak, Inez, obserwuję cię uważnie co dzień, kiedy nosimy do celki bieliznę pościelową z twoim monogramem lub małe krzesełko z laki; blizny po operacji znikają. Teraz jestem pewien, że pojechałaś do Szwajcarii, żeby przemienić się w Petę Ponce, która zawsze chciała być tobą, i *vice versa*, i wkrótce, kiedy cienkie czerwone niteczki blizn zmienią się w zmarszczki i broda-

wki, Pecie i tobie uda się osiągnąć to, czego pragnęłyście od początku. Peta Ponce nie chciała żyć nie będąc częścią twojej osoby i nie znalazła lepszego wyjścia, niż sprzedać swoje niepotrzebne ciało doktorowi Azuli, wiedząc, że ty wkrótce wpadniesz w jego ręce. Chirurg rozłożył na kawałki ciało starej, powkładał organy do specjalnych słojów, zakonserwował je zaopatrzywszy w niezbędny tlen, krew, serum, wodę, ociął organy bardzo cienkim lancetem, aby nie można było później znaleźć miejsca cięcia, zmagazynował całość w aseptycznych piwnicach, wyłożonych białymi kafelkami, i nie żywe, nie umarłe, oczekujące, trzymał w pogotowiu na odpowiednią chwilę. Tam, w Szwajcarii, Peta w kawałkach czekała na ciebie, a ty, nieświadomie, czy też może świadomie, podjęłaś zaczętą przed wiekami podróż, aby zrealizować syntezę rodzinnej tradycji błogosławionej dzieweczki z ludową legendą dzieweczki-czarownicy; zgłosiłaś się tam, gdzie należało, do kliniki, gdzie doktor Azula i Emperatriz przechowywali dla ciebie organy starej, aby cię przemienić w tę brudną, biedną, paskudną staruchę o siwych włosach, poobłamywanych paznokciach, o ciele pełnym brodawek i nagniotków, w staruchę z trzęsącą się głową, staruchę powoli wchłaniającą i unicestwiającą to, co pozostało z Inez, która pojechała do Europy z utlenionymi włosami, w płaszczu z wielbłądziej sierści, z dodatkami z krokodylowej skóry.

Według dawnej legendy wy dwie powinnyście były zmienić się w jedną. Ale ty jesteś naiwna, Inez, i nie wiesz jeszcze, że starość jest najgroźniejszą formą anarchii, że nie respektuje żadnych praw, żadnych układów otoczonych aureolą wiekowego prestiżu; starość jest potężna, zwłaszcza jeżeli ma za sobą tyle lat nędzy co Peta. Jest już o wiele za późno, byś mogła się bronić, ale lepiej, byś wiedziała to

wszystko, zanim znikniesz, bo znikniesz, Inez: Peta, która nie respektuje żadnej konwencji, powoli zagrabi sobie wszystko, co jeszcze z ciebie zostało, i z każdym dniem będziesz mniej Inez, a bardziej Petą, która cię unicestwia i unicestwi. Powtarzam ci, jesteś naiwna, Inez, sentymentalna, jeżeli myślisz, że starania Pety miały na celu co innego niż połączenie się z tobą: przypomnij sobie siłę nędzarzy, nienawiść świadków, ona istnieje, nawet jeśli jest ukryta pod maską podziwu i miłości, nie zapominaj o zazdrości ludzi nic nie znaczących, brzydkich, słabych, przeciętnych, o talizmanach, które przechowują pod łóżkiem lub w materacu, o zemście tych, którzy odpokutowali za twoje winy, Peta kryła cię i pozwoliła ci poniżać ich i wykorzystywać, ale teraz każe ci zapłacić posługując się tobą; pod twoją postacią wkręcając się do Domu; o to jej chodziło, Inez, taka była przyczyna jej zapamiętania i pragnienia: wydobyć mnie ze schronienia, gdzie żyłem pod przebraniem Głuszka czy innej staruchy, aby posiąść moją miłość i przybrawszy wygląd swej pani powtórzyć noc Rinconady, bo zachowała gorący seks Inez, tak jak ja zachowałem potencję don Hieronima, i teraz po nią przychodzi, żądając, bym jej dał rozkosz, której tyle lat jej odmawiałem.

Oczywiście nie mogłaś wiedzieć, że właśnie seks Pety pozostał żywy, sądziłaś, że po przeszczepach przemienisz się w nieszkodliwą staruszkę, która niczego nie pragnie, niczego nie potrzebuje, tymczasem już wkrótce poczujesz wymagania tego, w co cię przemieniono, i skoro tylko nowe organy twojego ciała zaczną funkcjonować, zobaczysz, jak straszną rzeczą jest seksualny głód pozbawiony zaspokojenia, którego do końca będę ci odmawiał, jakim rozdarciem jest niemożność zapomnienia nocy spędzonej w twoim łóżku w Rinconadzie. Będziesz czyhała na mnie

tu, w tym Domu; kiedy zrozumiesz, kim jesteś i w kogo zamienił cię Crisóforo Azula, nie dasz mi chwili spokoju.

Tak musi być, zawsze tak było, Inez, Inez-Peto, Peto--Inez, Peto, Peto Ponce, nigdy nie mogłem dotknąć piękna, gdyż, przez samo pragnienie go, zamieniałem je w nędzne, ubogie kobiety, w Emperatriz z obślinioną mordą, w staruchy tego Domu, w żebraczki nie opuszczające mnie, kiedy ośmielam się wyjść na ulicę – zrujnowane obrazy piękna stwarzanego przez moją tęsknotę, piękna, które niszczy moją chciwość, odejdź, daj mi spokój, nie stawaj między tym, co ze mnie zostało, a tym, co zostało z niej, ty gałganiarko o rękach pełnych brodawek, która zbliżasz się teraz z głębi korytarza z tajemniczym uśmiechem ukrywającym wyraźną intencję rzucenia się na twoją ofiarę – na mnie. Czego ode mnie chcesz? Do czego ci jestem potrzebny? Pozwól mi powiedzieć sobie prawdę. To nie ja dzieliłem z tobą łoże owej nocy w Rinconadzie, Peto, to don Hieronim, tak, on we własnej osobie, i on to pragnie twego ognia, Inez rozmawiała z misią Raquel o nienasyconym temperamencie swojego męża, pożądającym twojego pragnienia, ja nie mam nic, Peto, przysięgam ci, spójrz na mój seks, zresztą widzisz, bo na łóżku Iris stare zmieniają mi właśnie pieluszkę, widzisz, nie mam nawet owłosienia, jestem niemowlakiem, jestem impotentem, zostaw mnie, jestem do niczego. Idź stąd, idź z tego Domu. Szukaj jego, tego, który umie zaspokoić twe chucie. Zwróć mi Dom, niech stare mnie przewijają, niech mnie zamienią w *imbunche*. Jestem Głuszkiem, czasami jedną staruchą więcej, laleczką Iris. Czy myślisz, że gdybym miał choć trochę męskiej siły, to wszystkie noce śpiąc razem z tą, która udaje moją mamusię (ale nią nie jest, bo nigdy nie miałem mamusi), nie byłbym pod wrażeniem jej młodego ciała, które ociera się o moje

po to, żebym nie cierpiał, a ja mówię nie, Iris, nic z tego nie będzie, nic nie mam, więc nie mogę cierpieć. Przeliczyłaś się przyjeżdżając do Domu, żeby mnie odszukać. Staniesz się jeszcze jedną starą, która dołączy do orszaku wiedźm ścigających mnie całe życie, Inez-Stara; Inez--Brzydka, będąca w zasięgu mojej ręki, ale ja nie chcę Inez-Brzydkiej ani Inez-Pety, chcę innej Inez, świetlistej, niezmiennej, tej, która ocalała na fotografiach schowanych w walizkach w twej celce, Inez na koniu w Rinconadzie, Inez w czerwonej sukni balowej, Inez w kapeluszu zakrywającym twarz, odsłaniająca kark i długą szyję, Inez w futrze, Inez przechadzająca się pod rękę z don Hieronimem po wybiegu w klubie jeździeckim, Inez naprzeciw misi Raquel, która nigdy nie była ładna, Inez... przecież znam cię jako piękną, Inez w głębi walizek zamkniętych na kluczyk, w sukniach, które dotykały ciała Inez-Pięknej, tego ciała, którego i ja dotykałem, ale ta Inez widziała tylko moje rozpalone oczy świadka pewnej nocy w jej parku, a od czasu operacji dokonanej przez Crisofora Azulę z pewnością w ogóle mnie nie widzi, ot, Głuszek, weź no, Głuszku, tych parę groszy napiwku i pomóż mi schować tę torebkę z krokodylowej skórki, tę porcelanową lampę, ten perski dywan, te dwie miniaturki w aksamitnych ramkach, ten nylonowy szlafroczek, cieplutki, całkiem nowy, ułożymy to wszystko w mojej celce, a także i to, co wygrałam tej nocy w wyścigach psów od starych, nie mogę, Peto, zostaw mnie, idź go szukać i wypruj mu flaki, to z jego winy nasze losy przybrały tę monstrualną formę, aby przeżyć... ja – zamiatając twój pokój, ty na kolanach przed krzyżykiem z kawałków drewna sczepionych rzemyczkiem, krzyżykiem, który zrobiłaś pewnego dnia, by zmierzyć się z twoją cioteczną babką, nie z cioteczną babką Inez, lecz tej kobiety, która teraz modli się, podczas

gdy ja zamiatam jej pokój, i którą kocham, bo Peta jest jedyną kobietą na świecie, którą kochałem; ja zasługuję tylko na napiwek, gdyż tak jak zapewniał mnie ojciec, urodziłem się bez twarzy, nie byłem nikim, a dowiedziałem się tego, kiedy jeszcze byłem mały, oto dlaczego zostałaś mi tylko ty, ale nie mogę na to pozwolić, póki przeszczepy doktora Azuli się nie przyjmą, póki tkanki nie połączą się całkowicie z twoim ciałem, a gruczoły nie zaczną wydzielać swych soków, dopóki jeszcze będziesz Inez, chociaż brzydką i zeszmaconą, będę cię brał w me władanie, a wspomnienie twojej urody będzie należało tylko do mnie i zrobię z tym, co zechcę, poszarpię cię, żeby wyszła na jaw twoja prawdziwa skóra, pokrwawiona skóra żółtej suki, a wówczas przestaniesz istnieć i ty, i ty, żadna z was dwóch nie będzie istniała, obie znikniecie w głębi nie kończącego się korytarza, uciekaj, Peto, szukaj innego, po co ci mój zwiędły seks, zostaw mnie w pokoju, pozwól mi unicestwić siebie samego, pozwól staruchom zawijać mnie w pieluchy, chcę być *imbunche* w worku mojej własnej skóry, pozbawionym wszystkiego, umiejętności poruszania się, pragnienia czytania i pisania, a nawet pamięci (jeżeli znajdę w sobie cokolwiek, co warto by pamiętać), słuchu (by nie słyszeć, jak modlisz się klęcząc przed małym krzyżem z kawałków drewna i rzemyka); tak abym musiał pytać samego siebie, kim jest ta kobieta, którą znam, kim jest ta kobieta tak zmieniona, biedna misia Inez, taka dzielna, dobra, to święta, to jedna z najpobożniejszych i najmiłosierniejszych dam, już nie maluje sobie paznokci, już nie pali papierosów jak misia Raquel, troszczy się o nas, o biednych i chorych, ona jedna o nas pamięta, to już prawie rok, jak misia Raquel przyrzekła nam jałmużnę, by uczcić pamięć Brygidy, i cóż – widzicie, nic nie przyszło, ona nie jest zła, ale ma inne troski, ma dzieci

i wnuki, podczas gdy misia Inez nie ubiera się już modnie, o nic nie dba, przebiera ziarnka różańca, który pobłogosławił jej Ojciec Święty, i ma zamknięte oczy. Nie otwierając oczu, nie przerywając modlitwy dajesz mi znak, niedostrzegalny ruch głową, aby mi powiedzieć, że czas już, bym wyszedł z twojego pokoju i zostawił cię samą.

Wteeeeedy, usłyszano wycie psów na wsi, muczenie krów, ryk byków, rżenie koni, beczenie owiec i mniszki zaczęły się bać, gdyż w owym czasie miejsce to było bardzo odludne, co się dzieje, czego się boją zwierzęta? Czegoś, o czym nie wiemy, a co dzieje się nocą, o czym chcą nas uprzedzić, co tu robić, kogo pytać, co się dzieje, to przerażające, a wteeeeedy, wtedy tak, te straszne rzeczy się zaczęły: błyskawice na niebie rozświetlające cały łańcuch gór, burza wewnątrz podrzucanej wstrząsami i pękającej ziemi, mniszki krzyczące i biegające na wszystkie strony, półżywe, ze strachu, bo cały Dom trzęsie się w posadach, wydawało się, że zaraz się zawali... I wteeedy mniszki zobaczyły ją na środku patia, leżącą krzyżem...

Opowiadałaś tę historię już tysiąc razy, wciąż tylko upiększając zasadniczy wątek, wymyślając dodatkowe szczegóły, żeby zelektryzować sieroty słuchające cię niezmordowanie, jak gdyby one także czekały na bajkę-syntezę, łączącą legendę dzieweczki-czarownicy i dzieweczki-błogosławionej, o, lubicie słuchać misi Inezity, bo nikt tak jak ona nie naśladuje rżenia, beczenia, szczekania. No, jeszcze raz krowę... a teraz małego cielaczka... Z zachwytem patrzycie, jak rozkłada ramiona w kształt krzyża, żeby podeprzeć mury, które mają się zawalić, ale które się nie walą, bo je podtrzymuje. Najbardziej bawi was, kiedy misia Inezita zaczyna się trząść jak podczas trzęsienia ziemi: pobawmy się w trzęsienie ziemi, proszę

pani, to takie śmieszne, siedzące na ławce pod palmą na wejściowym patio Eliana, Frosy, Iris, Weronika i Mirella walą się jedna na drugą i dygocą ze strachu, bo to katastrofa, i ze śmiechu, bo to zabawne, splatając razem ramiona, nogi, aż Eliana przygniecie Frosy, słuchaj, przestań, mam już dosyć tego, leżysz na mnie, kłuje mnie ta agrafka, co Iris spina nią palto, dlaczego mnie podrapałaś, naumyślnie czy co... Dosyć, dziewczynki, zostawcie mnie w spokoju, duszę się z gorąca, uff, co za upał, teraz, kiedy już po zabawie, zmówcie wszystkie razem *Wieczny odpoczynek* za jej duszę, o której bezbożnicy chcą zapomnieć, prośmy Boga, aby uczynił nam łaskę i odkrył prawdę... dał znak... cokolwiek, co by było niezbitym dowodem, czego mogłybyśmy się uczepić... Modlą się... oczy zamknięte... ręce złożone... skruszone głosy powtarzające za tobą słowa modlitwy, wiodące je wśród meandrów twojej pobożności... Niech cię Bóg zbawi, królowo i matko. Amen. Teraz na zakończenie *Ojcze nasz*, już, misiu Inez, teraz bawmy się w coś innego, a potem znowu się pomodlimy, jak już będzie ciemno, w dzień człowiek nie ma ochoty na modlitwy. Teraz w coś zagramy.

– W co chcecie zagrać?

– W... czarnego luda.

– Nie, w warcaby...

– Nie, w przebierankę...

– Nie, w wyścigi...

– Nie, moje małe, dzisiaj pokażę wam inną zabawę.

Wstajesz. Chodźcie ze mną do portierni, żeby was nie było widać, to bardzo niebezpieczna gra, Iris, chodź ze mną, malutka, nie rozstawaj się ze mną... Twój wzrok staruszki ucieka gdzieś, spoglądasz kaprawym okiem, pochylasz się, twoje dłonie zamieniają się w szpony,

podczas gdy sierotki śmieją się naśladując cię, och, aż strach bierze, żeby tylko nas nie zobaczyli, bo mogą nas ukarać, nikogo nie ma przy wejściu, tylko Głuszek tędy przechodził, sieroty idą za tobą naśladując udawaną ostrożność, z jaką posuwasz się kryjąc za krzakiem jaśminu, za grotą z kamieni lub za kolumnami galerii, cało i zdrowo dochodzą do wejścia, siadają na ławce... Otwierasz drzwi do izdebki i z progu pytasz:

– Kto chce zacząć?

– Ja pierwsza.

– Nie, ja powiedziałam przed tobą, ja pierwsza.

– Zacznijmy więc od Iris.

– Dobrze.

Iris staje w drzwiach wejściowych, podczas gdy reszta usadawia się, żeby oglądać przedstawienie. Jest bardzo gruba, bo wkrótce mam się urodzić. Słucha poleceń:

– Uwaga, oto ta gra: nakręcę numer telefonu i zacznę rozmowę. Ty masz odpowiadać, jakbyś była po drugiej stronie, ale masz się nie plątać i masz odgadnąć, kto z kim rozmawia.

Twarz jak z surowego ciasta, teraz nawet bez makijażu, nie wyraża entuzjazmu ani wstrętu, nie mówi ani tak, ani nie, tylko dziewczęta siedzące na ławce wypowiadają swoje zdanie:

– To trudna gra!

– Ale zobaczycie, że będzie śmiesznie.

– To gra dla dorosłych.

– Dostaniecie nagrodę...

– Co? Co? Co?

– To zobaczymy później, jakąś wspaniałą nagrodę.

– Klejnot...

– Suknię...

– Pieniądze...

– Wyścigi psów...

Iris nie interesuje nagroda, czeka w drzwiach na słowa zachęty, ciężko ci będzie wygrać, Iris, podszepnę ci coś niecoś z tej groty z Lourdes bez Matki Boskiej i bez Bernadetty... będę tobą kierował, tak jak tyle razy kierowałem stąd twoimi spotkaniami z Olbrzymem, spacerami do nieokreślonych zakątków, do sklepiku z gazetami, gdy szłaś po coca-colę, gdy kochałaś się z ambasadorami, generałami, dziennikarzami, z don Hieronimem i z Romualdem. Jak będziesz mnie słuchała, wygrasz. Tylko ty możesz wygrać, bo nie istniejesz. Ani Mirella, ani Eliana, ani Frosy, ani Weronika nie mogłyby wygrać, bo one istnieją. Ty natomiast jesteś tylko powłoką zewnętrzną, więc nie bój się, uśmiechnij się do Inez, powiedz jej tak, bardzo dobrze, nagroda będzie tak wspaniała i tak straszna, że tylko ja będę miała odwagę odebrać ją za pośrednictwem twojej nędznej postaci. Obserwujesz damę, która uśmiecha się nakręcając numer... W aparacie słychać sygnał. Kiedy Iris słyszy, że po drugiej stronie ktoś bierze słuchawkę, marszczy brwi i zaczyna chodzić po sali, jak gdyby rozumiała wszystkie te problemy i jakby się nimi naprawdę przejmowała.

– Halo... Halo... Tak, tak. Chciałabym z nim mówić, tak, dobry wieczór, dziękuję, u nas nic specjalnego... dlaczego miałabym kłamać? Nie mogę już, nie wiem, co robić...

Iris zatrzymuje się przed drzwiami i rozkładając w geście bezsilności swoje tłuste ręce, pyta:

– Ale co się dzieje, na Boga?

– To, że zostawiliście nas w takim opuszczeniu, że Dom powoli przekształca się w diabelską spelunkę, przez te gry, które przywiozła nam misia Inez, o nie, nie zadowalają się już grą dla zabawy, tak było tylko na

początku. Proszę sobie wyobrazić, że teraz stawiają wszystko, co mają, płaszcze, kapy, zepsute zegarki, kalendarze, klatki z ptaszkami albo i bez, połamane parasole, wszystko. Zupełnie się upodliły...

– Och, to na pewno przesada...

– Nie wiem, tak mówią, stare są bardzo skryte, trudno mi coś sprawdzić, one ukrywają się przede mną, ale czasem mam wrażenie, że nie wiem nawet części tego, co się dzieje w Domu...

Dobrze, Iris, nadmij policzki, podnieś z zafrasowaniem brwi, przechadzaj się wzdłuż i wszerz portierni, z rękami założonymi za plecy, w twoim długim, podobnym do sutanny płaszczu, z pompatyczną miną, w twoim głosie czuje się troskę, kiedy zapewniasz, że tak nie może być dłużej, że tę sprawę należy zdusić w zarodku; podczas gdy dziewczynki siedzące rzędem na ławce podziwiają grę Iris, ty wsparta łokciem o mur, przestępując z nogi na nogę, dalej mówisz do słuchawki, nie patrzysz na Iris, bo twoją uwagę zaprząta mikrofon, przystawiasz telefon, przekładasz słuchawkę do drugiej ręki...

– Najgorsze to to, co mówią o misi Inez. Przez ścianę słyszę różne rzeczy, szepty, które się urywają, kiedy wchodzę do pokoju. Mówią, że misia zawsze wygrywa, bo jest chroniona przez Błogosławioną, teraz dużo mówi się w Domu o Błogosławionej. Za dużo. Nie mogę już tego znieść, gdyby jeszcze szczerze mi odpowiadano, nie czułabym się taka bezradna, ale te ich uśmiechy, te ich nic nie znaczące słówka, nie mogę z nich nic więcej wyciągnąć, oplątują mnie swoimi kłamstwami, to jakby jakiś niewidzialny przypływ, nad którym nie można zapanować, właśnie dlatego że jest niewidzialny, proszę sobie wyobrazić, że mówią... mówią... zawsze to mówią. Mówią, że misia Inez zmusza Błogosławioną, żeby nad nią czuwała

w grze. Wprowadziła w Domu jej kult; obiecała jej, że to miejsce nie stanie się nigdy Miasteczkiem Dziecka, lecz będzie jej sanktuarium, z bazylikami, pielgrzymami i tak dalej, kiedy teraz słyszę, jak się modlą i klepią różańce, które niegdyś wydawały mi się tak niewinne, ogarnia mnie strach. Kiedy widzę, jak stare zrywają lilie, od razu podejrzewam, że to do przybrania jakiegoś obrazu Błogosławionej, który trzymają w ukryciu.

Iris zatrzymuje się nagle na środku izdebki, jej ciemny płaszcz ciągnie się po ziemi. Rozmówca jest przybity, wściekły, otwiera szeroko swoje aksamitne oczy, unosi ramiona, jakby chciał coś powstrzymać, i wykrzykuje:

– Ależ to herezja! To istna herezja! Niech to bluźnierstwo nie wydostanie się poza próg Domu!...

– I odbiera biednym staruszkom wszystko, o co się zakładają... żadna nie ma już ani kapy na łóżko, ani szala, ani piecyka, drżą z zimna w korytarzach, niektóre są zaziębione, bo chodzą półnagie, tu przecież są straszne przeciągi.

– A co ona robi z tymi wszystkimi szmatami?

– Przeciw tym gratom stawia swoje rzeczy, futra, biżuterię, meble, ubrania, najelegantsze buty, a ponieważ zawsze wygrywa, chowa te skarby w celi, niby dla Błogosławionej, mówi, że czeka, aż zostanie beatyfikowana...

– Czyż ona nie rozumie, że to zostało ostatecznie odrzucone już przeszło rok temu?

– Nie wiem. Śpi na nędznym wyrku, bo odstawiła swoje piękne meble i pościel. Ubiera się jak żebraczka. Nie zostało już jej nic, a nawet z co lepszych rzeczy, które wygrała od staruch, robi jakieś paczki dla Błogosławionej, przynajmniej tak twierdzi... odkłada je na bok, jedne dopiero wygrane zniszczone pantofle zmienia na inne jeszcze bardziej zniszczone, jedne stare pończochy na

inne, jeszcze starsze, zdejmuje to, co miała na sobie, robi z tego paczuszkę i odkłada... dla Błogosławionej; urządziła sobie pokój samymi połamanymi gratami, ubiera się w łachmany, z każdym dniem robi się coraz brudniejsza i nędzniejsza starucha, ledwie mogę ją poznać, jej cela pęka od paczek pełnych jej własnych rzeczy i brudnych łachmanów... Jak wygra parę butów gorszych niż te, które właśnie ma na nogach, to je zdejmuje, aby włożyć te dopiero co wygrane, chodzi w obdartych kapciach...

– Nie do wiary! Cóż za dno...

Iris gestykuluje, nadyma się jak rozzłoszczony indyk, czuje się osobiście urażona taką ilością brudu, unosi ogon swej wspaniałej sutanny, żeby nie wlókł się po wątpliwej czystości podłodze portierni, po której spaceruje tam i z powrotem wśród oklasków dziewczynek zachwyconych Iris, udającą tę tak ważną osobę, która będzie tolerowała taki stan rzeczy tylko do pewnych granic, ale nie dłużej... odkładasz słuchawkę... Patrzysz na nagle oklapniętą Iris zamienioną na małą grubą dziewczynkę okrytą wytartym, za dużym na nią płaszczem i pytasz ją, kim były te dwie rozmawiające ze sobą osoby, ale ona potrząsa głową, chcąc dać do zrozumienia, że nie wie, gdyż obraz rozświetlający ją przez kilka minut nagle gdzieś się rozpłynął. Mogłabyś długo mówić, Iris, gdybym był stąd podszeptywał ci to, co trzeba, gdybym był chciał ci nakazać, abyś dalej ciągnęła ten nie kończący się dialog, mówi, że to są rzeczy podarowane jej przez stare, a ponieważ ślubowała ubóstwo, musi dostosować się do ich poziomu, jest odrażająca, pełna wszy, któregoś dnia na kuchennym patio, na słońcu, Ema wyczesywała jej gęstym grzebieniem gnidy z włosów... Ale po co ciągnąć tę opowieść... Iris, odpowiedz jej. Wiesz, kim jesteś. Wiesz, z kim rozmawiałaś:

– No więc, Iris?

Posłuchaj mnie, to wygrasz nagrodę, której potrzebuję, odpowiedz, nie przetrzymuj mnie tutaj, zamienionego w cień, wśród tych jaskrawo wypacykowanych skał; potrzebuję tej nagrody, musisz ją wygrać dla mnie:

– To matka Azócar z księdzem Benítez...

Idiotko! Język ci się poplątał... Małe trzymają się ze śmiechu za brzuchy z tej przegadanki Iris, co za idiotka, kiedy ona w końcu się czegoś nauczy, przegrałaś, Iris Mateluno, przegrała, misiu Inez, teraz moja kolej zagrać w tę śmieszną grę, Iris nie wygrała, bo powiedziała głupstwo. Poprawiasz się:

– To matka Benita rozmawiała z księdzem Azocarem.

– Ba, teraz już się nie liczy.

Podnosisz rękę i nakazujesz im milczenie. Mimo łachmanów i wszy twoje ręce o skórze pełnej plam zachowują autorytet właścicielki, damy, która w nurkowym futrze zarzuconym na ramiona przyniosła w darze walizkę z ornamentem ze złotych lilii. Nasze władze zawsze były wrażliwe na hojność.

– Zastanów się, Iris. To twoja ostatnia szansa zdobycia nagrody. Powiedz mi numer telefonu, który wykręciłam. Jaki to był numer?

Nie wahaj się powiedzieć 83 72 91, to ja wkładam to do twojej ciężko myślącej łepetyny, żeby zmusić cię do wygrania tej nagrody, którą chcę osiągnąć i której potrzebuję, krew skradziona mi przez doktora Azulę zacznie znowu płynąć w moich żyłach, przestanę być mokrą plamą na ścianie, wykupisz mnie, a może nie, może usłyszawszy twój głos skurczę się tak, że nic ze mnie nie zostanie.

– 83 72 91...

– Bardzo dobrze, Iris. Widzicie, nie taka głupia ta Iris, co, malutkie? Teraz należy ci się nagroda.

– Co pani jej da, misiu Inez?

– Potem ja zagram, ja też chcę wygrać coś ładnego.

Czekają, aż wyczarujesz spod łachmanów jakiś kamień, błyskotkę, klejnot, ale nie, otwierasz na oścież celę Ryty.

– Wejdź.

Iris słucha cię.

– Nakręć 63 76 84.

Iris nakręca numer, słychać sygnał, ty siadasz na ławce między sierotami, które robią ci miejsce. Po drugiej stronie ktoś odpowiada. A więc stanie się cud, usłyszę jego głos, porozmawiamy.

– Halo... Czy zastałam Hieronima?

Ktoś mówi, żeby zaczekać, że go zawołają. Teraz to już będzie on. Twoją nagrodą, Iris, będzie usłyszenie jego głosu.

Iris od razu wchodzi w swoją rolę:

– Halo... Jak się czujesz, Hieronimie?

Z ławki, na której siedzisz pośród sierot, odpowiadasz męskim głosem, jego głosem:

– Inez...

– Tak. Słuchaj, Hieronimie, chcę ci coś powiedzieć.

– Mogłabyś przynajmniej przywitać się ze mną. Od twego powrotu nie dostąpiłem zaszczytu usłyszenia twojego głosu.

– Nie pleć głupstw. Idzie o ważniejsze rzeczy. Zastanawiam się nad tym od kilku tygodni, od kiedy jestem tu, w Domu. Otóż nie życzę sobie, żeby ktokolwiek, ani arcybiskup, ani Azócar, naruszał moje prawa do spadku. Postanowiłam zaadoptować Iris Matelunę. Jej wszystko zostawię. Ona będzie musiała podjąć się dalszych starań o beatyfikację Błogosławionej, będzie pilnować, żeby nikt nie robił interesów na tym Domu.

– Nikt nie ma zamiaru robić na nim interesów, Inez, bądź spokojna.

– Ten Dom jest przerażający, Hieronimie. Nie mogę odzyskać spokoju widząc, że jest jakby częściowo zagrzebany pod ziemią, ja chcę go przywrócić do życia. Nocami wyłażą ze ścian jakieś straszliwe potwory i zapełniają mój pokój. Poproszę matkę Benitę, żeby kazała wstawić do mego pokoju łóżeczko dla Iris, to będę mniej samotna. Nie wyobrażasz sobie, jak jestem samotna. Strasznie mi nieprzyjemnie, kiedy parę razy muszę dzwonić w ciągu nocy i czekać, aż raczą się obudzić, pokazując mi umęczone twarze, jak tylko poproszę o filiżankę herbaty. Jakby to było takie trudne... No niby pewno, że po to trzeba rozpalać kuchnię, czekać, aż się zagrzeje, ale w końcu tak ten Dom, jak i te staruchy są moją własnością...

– One także tam przez ciebie dostają bzika...

– Co chcesz powiedzieć przez to „także"?

– To, że i ja zostałem przez ciebie wariatem.

– Nie kłam. Nie to chciałeś powiedzieć. Myślisz, że one są t a k ż e wariatkami, tak jak ja.

– Słuchaj, Inez... tyle mamy sobie do powiedzenia... tyle jest rzeczy dotyczących ciebie i mnie... Co się stało... Posłuchaj mnie, Inez...

Wstajesz i zbliżasz się z wyciągniętymi rękami, jakbyś chciała dotknąć Iris, może ją popieścić. Dałabyś jej wszystko, żeby tylko cię zrozumiała, twój głos jest łagodny, twoje słowa obejmują ją niby ramiona, ton jest pieszczotliwy, jak zagłębienie twojej dłoni: nie dotykaj mnie, Hieronimie, nigdy więcej mnie już nie dotykaj, rozumiesz?

– Zły jestem, Inez.

– Czemu jesteś zły?

– Skoro pogardzasz moją czułością, powiem ci to po prostu: twoja obecność w Domu burzy projekt Miasteczka

Dziecka. Prawie wszystko było już ustalone, licytacja miała mieć miejsce dokładnie wtedy, kiedy przyjechałaś...

– Rzeczywiście, Dom był pełen pak z ponaklejanymi etykietami, które powoli żółkną.

– Mieliśmy podpisać umowę na sprzedaż terenów wychodzących na tylne partie, co pozwoliłoby na sfinansowanie połowy kosztów budowy, gdyż tereny te są w cenie, a arcybiskup miał pokryć brakującą sumę. W przyszłym miesiącu odbędzie się ostatnie zebranie zainteresowanych terenami położonymi na tyłach Domu i postawią ultimatum: albo załatwimy sprawę natychmiast, albo wcale. To zresztą normalne. Nie można tak długo zawracać głowy ludziom interesu. Budujemy Miasteczko Dziecka albo go nie budujemy. Ale teraz, kiedy ty tam jesteś, nic nie można zrobić.

– Wiem o tym.

– I dlatego tam siedzisz?

– I dlatego, i z innych przyczyn.

– A mianowicie?

Iris opuszcza słuchawkę, która wisi na końcu sznura, i zwraca się twarzą do Inez:

– Czy myślisz, że pozwolę sprzedać świętą ziemię? Ty chyba zwariowałeś, Hieronimie, jeśli wyobrażasz sobie, że po tym wszystkim, co mi zrobiłeś, pozwolę ci uczestniczyć w tym spisku, który ma na celu odebranie mi ziemi, gdzie jest pochowana Błogosławiona, po to, byście wy, ty i Azócar, sprzedawali ją po możliwie najlepszej cenie?

Iris zmienia się na twarzy, oczy jej błyszczą, widać w nich nienawiść, brąz, żółć, zieleń, lecz najwięcej brązu, bo jej płaszcz jest brązowy, wygraża pięściami, zdecydowana bronić do ostatka twojego prawa do nieśmiertelności. Inez cofa się i mówi:

– Musisz opuścić ten Dom, Inez.

Ścierają się bez przerwy. Iris wybucha śmiechem. Inez pyta wciąż tym samym głosem:

– Dlaczego się śmiejesz?

– Jeżeli wyobrażasz sobie, że kiedykolwiek do ciebie wrócę...

Ręce ci opadają. Cała twardość Hieronima zniknęła. W głosie słychać błaganie, najbardziej udręczoną, niepocieszoną czułość:

– Inez... Pozwól, że sam po ciebie przyjadę...

Nie mówi tego, dobrze wiesz, że twój mąż nie ma tego zamiaru, wiesz dobrze, że Hieronima przeraża Dom, mówi, że brzydzi się go, ale to nie obrzydzenie, to przerażenie, jesteś pewna, że nigdy nie przyjedzie, przecież tu właśnie zamyka swoich wrogów, którzy potem przemieniają się w staruszki grające w oko, ten Dom jest pełen ludzi, których Hieronim poprzemieniał, aby ich w ten sposób unicestwić, tych, którzy wiedzieli zbyt wiele o jego życiu, i jego kombinacjach, tych, których pragnął wyeliminować, bo mu przeszkadzali... Podobno od przeszło wieku Azcoitiowie wysyłali do tego Domu tych, którzy im zawadzali i których chcieli zniszczyć. Kto wie, czy sławetna Błogosławiona nie była po prostu przekorną dziewczynką, którą trzeba było skarcić... Może te ponure mury wzniesiono po to, aby ukarać psotnicę? Skąd można wiedzieć? Żeby wyznać ci prawdę, Hieronimie, jestem prawdopodobnie jeszcze jedną twoją ofiarą...

Gdy to mówisz, oczy twoje napełniają się łzami; usiłujesz je powstrzymać. Iris wyszła już z pokoju Ryty wraz z całym naszym strachem, całą nienawiścią, wszystkimi pragnieniami i całą miłością, które odbijały się na tej twarzy bez rysów, na której można było odmalować wszystko. Możesz być pewna, że w tym wszystkie trzy jesteśmy solidarne: ty, Iris Mateluna i ja. Pragniemy, by

znikł na zawsze. Odzyskamy spokój tylko wtedy, gdy Hieronim de Azcoitia przestanie istnieć. To wiemy wszystkie trzy, to wypisane jest w ekstatycznych oczach Iris, która nie przestaje na ciebie patrzeć, obie płaczecie, równocześnie padamy sobie w objęcia, przysięgając sobie wszystko, nic, nie wiedzieć co, wierność, to, że cała sprawa znajdzie jakieś zakończenie, tak, rzeczy pójdą w dobrym kierunku, nie płacz, Iris, nie płacz, misiu Inez, nie płacz, Hieronimie, no nie płacz, Inez, już dość.

Sieroty klaszczą w ręce i komentują, że znakomita była Iris w swojej roli, ależ to urodzona aktorka, a ta misia Inez, skąd ona bierze tyle historyjek, które opowiada, a jakie to śmieszne, teraz na mnie kolej, nie, teraz ja będę grała, ja, misiu Inez, wszystkie sieroty otaczają was, Iris i ciebie, które szlochacie obejmując się na środku portierni, podczas gdy w celi Ryty wisząca słuchawka kręci się na sznurku, a ja słyszę głos, który mówi:

– Halo, halo... Czy można mówić z Humbertem Peñalozą?

# 26

Nie, nie można mówić z Humbertem Peñalozą, gdyż słysząc swe nazwisko uciekł, puścił się biegiem przez korytarze w głąb Domu: Humberto Peñaloza nie istnieje, to jakiś wymysł, to nie osoba żyjąca, to postać literacka, w dodatku nie można z nim mówić, gdyż to niemowa. Jego kruchy cień ukrył się w odległym pokoju pełnym plików starych gazet, zwilgotniałych tygodników. Niemowo, Głuszku, nie odchodź, nie znikaj, umrzesz z głodu, gdzie się kryjesz, Głuszku, gdzie jesteś, w końcu będziemy miały dosyć szukania ciebie, bo jesteśmy stare i słabe i boimy się przeciągów, a ty gotów jesteś zagłodzić się nam na śmierć, słuchaj, Głuszku, chociaż nie wiemy, gdzie się ukryłeś, jak psu stawiamy ci talerze pełne jedzenia po korytarzach i galeriach, żebyś mógł sobie pojeść, jak cię weźmie głód. Lecz cienie nie jedzą, dopóki nie odważą stać się kimś. Ten cień bez nazwy chciałby wtopić się w inne cienie pokoju, stać się płaskim jak gazeta; ten cień bez nazwy, nie czujący głodu, robi się ciągle mniejszy, chcąc ukryć swe przerażenie, które przeszkadza mu wtopić się w inne cienie i zniknąć pomiędzy leżącymi papierami. Przerażenie zalewa go po brzegi, wypełnia całą jego małość, sprawia, że nie mogę znieść siebie samego, bez ruchu, bez uczucia głodu, bez głosu, bez słuchu, prawie bez

wzroku. Prawie – bo moje oczy zachowują jeszcze swoją moc, a skoro ją zachowują, to znaczy, że ten mały pakuneczek nie zniesie dłużej dławiącego go przerażenia, czuję, że moment, który niechybnie musiał przyjść, następuje: muszę się urodzić.

Pojawiłem się pewnego ranka w łóżku Iris, uduszony niemal ciepłem jej ciała i kołdry, patrzcie, patrzcie, staruchy, wreszcie urodziło się dzieciątko, wczoraj wieczór przyszło na świat, spójrzcie, już nie jestem gruba, a on popłakuje, o, już zrobił siusiu, nie myślałam, że tak łatwo jest mieć dziecko. Zazwyczaj to wcale nie jest łatwe, Iris, ale w twoim wypadku to było przecież cudowne dziecko, dlatego wszystko tak dobrze poszło, nawet nie stracił dużo na wadze, może to przez to, że powinien był się urodzić o wiele wcześniej, dziewięć miesięcy już dawno minęło, a co by to był za cud, gdyby miało się liczyć dziewięć miesięcy, bo ja wiem, cud nie cud, ale człowiek nie wiedział, jak obliczać, nie wiadomo było, kiedy się skończy te dziewięć miesięcy, przestańże, Ema, co ty pleciesz, toż ci mówimy, że to cudowna ciąża i żadne dziewięć miesięcy nie wchodziło w grę, no ale trzeba przecież było jakoś obliczyć, daj spokój, zachowujesz się zupełnie jak Amalia z palcem archanioła, trzeba będzie i ciebie oddać do czubków, przecież sama widzisz, że w końcu dziecko się urodziło. Jakie to twoje niemowlę chude i rachityczne, Iris, jakie ten mały ma smutne oczy! Ale jest: co do tego nie ma żadnych wątpliwości, jest chłopczyk, Boy, popatrzcie, tak jakby miał malutką aureolę, malutką, ale jednak ma, no nie? Stare ubierają mnie w jedwabie i tiule z wyprawki, którą Inez dla mnie chowała; rzeczy z górnych szuflad, bo z dolnych są dla mnie jeszcze za małe. Kiedy zmaleję, Inez da mi

je z pewnością, a w miarę jak będzie się zmniejszał procent tego, co ze mnie zostanie, będę mógł również siadać na tych miniaturowych krzesełkach, sypiać w tych łóżeczkach z pozłacanej tektury w szwajcarskim domku, gdzie Iris będzie mnie wychowywała.

Wszyscy traktują mnie z uwagą i szacunkiem. Przedtem, kiedy jeszcze byłem laleczką Iris, nie zasługiwałem na to, ale teraz pozwalają mi ssać jej piersi, wprawdzie wolałbym się nimi pobawić, ale nie mogę, bo staruchy trzymają mnie zawiniętego w pieluszki, a Iris głaszcze mnie i całuje. Siedząc w prezbiterium na złoto-purpurowym krześle, trzymając mnie w ramionach, odbiera hołdy parafianek, ich modlitwy, śpiewy, a wszystko to szeptem, żeby nie usłyszały inne, bo są zazdrosne; wtajemniczone zapalają nam świece, obstawiają nas kwiatami i modlą się do nas o różne rzeczy: spraw, żeby przeszedł mój reumatyzm, spraw, żeby w przyszłym tygodniu dano nam fasolę zamiast grochu, spraw, żeby zwolniono z więzienia Rafaelita, nie wierzę, żeby ten mały naprawdę kogoś oszukał, był taki dobry, kiedy go chowałam, a włosy miał koloru jasnej kukurydzy, popatrzcie, jeżeli mi nie wierzycie, to kosmyk jego włosów, jedno *Zdrowaś*, żeby matka Benita nas tu nie nakryła, jedno *Wierzę*, żeby dziecko rosło zdrowe, jedno *Ojcze nasz*, żeby nigdy nie wyszło z tego Domu; i modlą się stare, i szyją, i intonują wokół nas kantyczki; przyniosłyśmy do kaplicy i łóżko, i kołyskę, wszystko po kolei, bo teraz jest nas tak dużo, że już nie mieścimy się w piwnicy, modlimy się, ale także i bawimy w tej spelunce, w której królujemy, ja i Iris, wśród poklejonych i na nowo pomalowanych gipsowych świętych: tak, *Zdrowaś* i *Wierzę*, ale także kubki, w których potrząsa się kośćmi, sztony na podłodze, bo brakuje już

stołów, jeżeli chcemy zagrać, musimy grać tutaj, bo matka Benita nie pozwoliłaby nam tak długo siedzieć w kuchni, szkoda światła, to kosztuje, a arcybiskup nie przysyła pieniędzy na płacenie rachunków. Lecz mimo to misia Inez, tak dzielna i oddana Iris (o której mówi, że nie nazywa się Iris Mateluna, lecz Błogosławiona Inez de Azcoitia), daje nam dużo pieniążków i prosi, byśmy zarzuciwszy chustkę (jeżeli została nam jeszcze jakaś nie przegrana) poszły po bukiety świeżych kwiatów, i to tych najdroższych, i jeszcze więcej świec, i jeszcze, co tylko można, dla uczczenia Błogosławionej, która nie umarła, a teraz ona ją odnalazła, żeby nas wszystkie uszczęśliwić.

Ale mizeraczek z tego dzieciątka, które Błogosławiona trzyma w ramionach, ja myślałam, że wszystkie cudowne dzieci są takie pyzate i jasnowłose jak na świętych obrazach, a ten jest smagły, e, ty niemądra, to cudowne dziecko, poczęty bez zmazy i grzechu, no przecież, że to był cud, ale o tym nie trzeba mówić. Brygida dała nam tę radę i miała rację, tylko my będziemy się nim opiekowały, nie pokazując go nikomu, będziemy same wszystko same koło niego robiły, a ja będę jego ramionami, ty jego ustami, ona stopami. Jaki śliczny jest mój bobasek, mówi Iris, jakie urocze jest dzieciątko błogosławionej dzieweczki, w którą nie uwierzyli w Rzymie, ale oto widzicie na własne oczy, że dokonała nowego cudu, a jej synek dokona jeszcze większego, uchroni nas od oczekiwania na śmierć; sam zdecyduje, kiedy pora nas zabrać do nieba, a wtedy wszystkie te, które mu służyły, wsiądą do białej karety ciągnionej przez trzy pary białych koni, w białych kapach, białych pióropuszach, z białymi lejcami, i pojadą wraz z nim. Poczekajcie tylko, zazdrośnice, i wy, niedowiarki z Rzymu, już niedługo śladu po nas w Domu nie będzie, Błogo-

sławiona ze swym synem zrodzonym bez tych wszystkich męskich świństw zabierze nas razem do nieba. Ale może byłoby lepiej, Rosa, żeby wszyscy nas widzieli, nie uważa pani, misiu Inez, że byłoby dobrze, by ci zawistni, których dziecko nie zbawi, ksiądz Azócar, matka Benita, sąsiedzi, żegnali nas śpiewami stąd, z bramy Domu, i żeby to transmitować przez radio jak mszę albo mecz piłki nożnej, a dzieciątko, które już by było trochę większe, samo by powoziło, trzymając w dłoniach białe lejce od zaprzęgu tych białych koni, my z tłumoczkami na plecach wsiadłybyśmy do białej karety, musiałaby być spora, bo jest nas dużo, już nie siedem, tak jak z początku, no i wyjeżdżałybyśmy, wyjeżdżałybyśmy wśród deszczu płatków, z żalem żegnając inne, ale cóż, nie możemy was zabrać, nie myślcie, że to z braku dobrej woli, po prostu w karecie nie ma już miejsca...

Ty jesteś najbardziej wierząca i cały twój plan jest opracowany. Po śmierci Hieronima majątek, jaki ci przypadnie, poświęcisz na Błogosławioną Inez de Azcoitia i na odbudowę Domu, który uwieczni twoje własne imię. Wiedziałem dobrze, że kiedy tu zamieszkam, spotkam ją w końcu i to dziecko trzymane w jej ramionach będzie musiało przekonać ludzi w Rzymie i zawstydzić tego komunistę ambasadora przy stolicy apostolskiej. O, jestem gotowa powtórnie odbyć podróż do Rzymu, zrobię wszystko dla Błogosławionej i dziecka. Po moim triumfalnym powrocie arcybiskup będzie musiał zwrócić mi Dom, a ja uczynię z niego sanktuarium z freskami ilustrującymi życie Błogosławionej, na złotym tle; wielu proboszczów, kanoników i jeszcze innych osób pogłębi znaczenie tego cudu, pisząc książki o Błogosławionej, tak że ta sprawa stanie się ogólnie znana. Zbuduję pokoje, gdzie się umieści dziecko i Błogosławioną, i was. Och, nie, my niczego nie

chcemy, misiu Inez, niech nic nie burzą, niech nic się nie zmienia, dopóki dziecko nie urośnie, niech pani lepiej do tego czasu nie jedzie do Rzymu, niech pani zostanie tu z nami, żeby je wychowywać jak należy, nie pozwalając mu wyjść z powijaków, czuwając nad nim, aż uczyni cud i zabierze nas wszystkie do nieba. Ależ oczywiście, musimy zaczekać, aż Hieronim umrze, a ja odziedziczę po nim majątek, trzeba, aby zniknął, aby zostawił mnie w spokoju, by nie telefonował już więcej do misi Raquel i nie napuszczał jej na mnie, żebym do niego dzwoniła, zresztą mniejsza o rozmowę, ale istnienie jego zagraża nam, wszystko może się zacząć od początku... Trzeba być jak najdalej od Hieronima, aby jego wola nie mogła złamać naszej, on nie ma wiary, mówię to wam w zaufaniu, jego udawana pobożność jest zwykłą grą polityczną i niczym więcej, dlatego właśnie z wyniesieniem na tron Iris i jej syna musimy zaczekać na zniknięcie Hieronima. Nawet jeśli kardynałowie powiedzą mi „nie", nie obchodzi mnie to, jeśli będę dysponowała majątkiem Hieronima i dzięki temu będę mogła zbudować sanktuarium, gdzie przetrwa imię, które oni chcieli pogrążyć w niepamięci. Wy tymczasem zostaniecie tu ze mną, bądźcie spokojne, nie umrzecie, dziecku uda się przed waszą śmiercią dokonać cudu i weźmie was do nieba, w miejsce zupełnie podobne do tego, ale trzeba czekać, czekać śpiewając i modląc się, a także grając w wyścigi psów, abym mogła ogołocić was ze wszystkiego. Stare trzęsą się z zimna w kaplicy, już nie mają butów, układam na stos rzeczy, które wygrywam od nich, a potem odkładam je dla dziecka, niczego nie chcę dla siebie, wszystko dla dziecka, teraz pieluchy, wełna, woda kolońska, talk w najlepszym gatunku, świece, kwiaty, potem będzie miał inne potrzeby, może będzie właśnie potrzebował czegoś z tego, co wygrałam od starych. Ja

jestem ciągle żółtą suką, nie mogę się od niej uwolnić, musi przeze mnie biegać po górach, dolinach i polach, przebywać bagna i jeziora, odżywać w moich rękach. Ja wcale nie chcę was ogrywać, biedne starowinki, na co mi te szmaty, chyba tylko po to, aby najbrudniejszy i najbardziej zjedzony przez mole łach zastąpić innym, trochę bardziej brudnym i podartym. Ja nie chcę wygrywać, to żółta suka zmusza mnie do tego biegając po torze, raz, dwa, trzy, cztery, woda, cofam się, dwa, trzy, teraz ty, Ryta, teraz ty, Rosa, teraz moja kolej, cień żółtej suki na ścianie jest ogromny, wibruje i biegnie, podczas gdy płoną i wypalają się świece i rośnie stos szmat dla dziecka, na wypadek gdyby... Bo żółta suka zmusza mnie do tego, żebym poddańczo powodowała jej wygraną, jeszcze i jeszcze, rośnie i rośnie stos brudnych szmat, te ich biedne, niepotrzebne mi talizmany, które wiedźmy oddają mi, popłakując z cicha...

Żółta suka biega po ścianach dawnej kaplicy, gdzie teraz królują Inez i dziecko, a stare płaczą. One muszą grać tak jak i ja, jesteśmy posłuszne suce, jesteśmy chciwe, nasze ręce wydzierają sobie ubrania, zepsute zegarki, kalendarz sprzed siedmiu lat, który ma jeszcze ostatnią kartkę, kapcie, jedną pończochę, malinowy czepek kąpielowy, wygrała, wygrała, żółta suka znowu wygrała, jest niezwyciężona, a ja krzyczę i wyrywam im to, czego za nic nie chcą mi dać, a przecież nie chcę męczyć tych starych, nie chcę ich ogołacać, ona tego chce, żółta suka, jestem jej posłuszna, bo biegnie, bo szczeka i wyje do księżyca, i skacze przez kałuże, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, i ciągle ja jestem górą, co za szczęście – misia Inez już wyrusza, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, jej ogromny cień na ścianie, stare nie widzą, jak duży, jak żywy jest cień tej suki, one widzą tylko teren gry i swój strach przed tym,

żeby nie została posiadaczką kilku prętów od parasola, wyblakłego szaliczka, a suka biegnie, biegnie, no, Iris, zostaw swoje dziecko, niech stare ci je przewiną, i chodź zagrać ze mną; co chcesz postawić? Płaszcz? Zgoda, podoba mi się twój płaszcz koloru kawy, przeciw niemu stawiam pantofle, które wygrałam od Rosy Pérez, no, rzucaj pierwsza, cztery, jeden, dwa, trzy, cztery, teraz biała suka, jeden, a to pech, teraz niebieska, teraz czerwona, lecz żółta ciągle jest pierwsza, rani łapy, ale jest pierwsza u celu, więc zrywam kawowy płaszcz z ramion Iris, która usiłuje mi w tym przeszkodzić, zimno mi, co mnie to obchodzi (chociaż martwię się, że Błogosławionej będzie zimno), bijemy się o niego, bo suka tego żąda, co ci tam, Iris, nie będzie ci zimno – już urodziłaś dziecko, już nie jesteś gruba, zresztą niech ci będzie, w drodze wyjątkowej łaski, dlatego że jesteś Błogosławiona, jutro dam ci rewanż, może uda ci się odegrać płaszcz, żeby ci nie było zimno wraz z tym rozkosznym dzidziusiem, chociaż i tak nie zmarzniesz, dzieci śpiąc wytwarzają dużo ciepła i tym ciepłem ogrzewają mamine łóżko, a mnie nic już nie rozgrzeje, moje kości ziębną coraz bardziej, już nie wiem, co robić, by je rozgrzać...

Właśnie tego się obawiam: by twoje kości i ciało ostatecznie nie ostygły, co byłoby nieomylnym znakiem, że przeszczepy doktora Azuli biorą cię w swoje posiadanie, że proces tak daleko już posunięty zmazuje cię z powierzchni ziemi, zabierając ostatnią kroplę ciepła, którą Inez de Azcoitia udało się zachować w swej dłoni, zastępując ją suchym chłodem zamkniętym w pełnej narośli łapie Pety Ponce. Tak, twoje dni są policzone, Inez, coraz mniej z nas zostaje: to uczucie, że nieodwracalne zimno ogarnia twoje kości tak jak zielsko, które zarasta ruiny, aż w końcu

je zdławi, świadczy, że koniec się zbliża. Kiedy już staniesz się nicością, ja pozostanę zamknięty w tym Domu z Petą, otoczony tymi murami bez wyjścia, do których stara mnie przyprze, mówiąc mi, widzisz, wreszcie doszłam, oto jestem, ja, twoja partnerka, tak groteskowa jak i ty, wracam do ciebie, żeby powtórzyć noc z Rinconady, zażądać zapłaty za miłość, którą mi jesteś dłużny. Aby dostać się za mury, gdzie jesteś zamknięty, zgodziłam się, by mnie rozczłonkowano i w słojach doktora Azuli, poza życiem i śmiercią, poumieszczano moje narządy, aby czekały wewnątrz tych niklowanych urządzeń, zaopatrujących je w tlen i krew, i aby nie przestały funkcjonować do czasu, kiedy ona po mnie przyjdzie – i przyszłaś po Petę, Inez, jestem u kresu sił, doktorze Azula, chcę się zestarzeć, niech mi pan da stare narządy, starą skórę, rysy starej jędzy, przerzedzone i siwe włosy, żebym mogła wyżywać się w prostym spinaniu ich bez ambicji do elegancji. I taka też jesteś: obdarta i rozczochrana; boisz się przeciągów; stałaś się kłamczuchą, jak one, myślisz, że nie wiem, że naopowiadałaś stek kłamstw misi Raquel, wszak męskość don Hieronima znikła od czasu naszej nocy w Rinconadzie, od czasu kiedy zamknąłem oczy, aby nie mógł więcej korzystać z mojej zazdrości; teraz więżę w sobie jego potencję, jest moja, należy do mnie, mogę ją zamknąć wraz z rękopisami w skrzyni pod łóżkiem. Jednakże ulegając prośbom misi Raquel zgodziłaś się na spotkanie z don Hieronimem wyznaczone na przyszły wtorek. Dzisiaj wtorek, jutro wtorek, cały tydzień wtorek, recytują wiedźmy paląc kadzidła, jako że ostatecznie zamieniasz się w czarownicę, wybrałaś wtorek na jego pierwsze pojawienie się w tym Domu: nie wiem, jaki ból chcesz mu zadać; czy twoja przemiana ma być wówczas ukończona? Może twe zimne kości do tego czasu posiądą właściwą innym staruchom

moc prowadzenia walki za pomocą samej tylko brzydoty? Może w ten sposób pogrążysz don Hieronima?

Dziecko przeszkodzi don Hieronimowi wejść do Domu. Nie mogę dopuścić do tego, żeby wszedł, nie mogę pozwolić, by jego perłowa rękawiczka otarła się o moje ramię, bo mógłby nagle wyłonić się z przeszłości w szarym żakiecie, w którym chadzał na wyścigi, lub z ręką na temblaku, owiniętą bandażami splamionymi moją krwią, jak na tym wycinku z gazety przechowywanym przez Inez, który ukazał się w „Mercurio" przed czterdziestu laty. Nie możesz wpuścić do tego zrujnowanego Domu tego mężczyzny pełnego arogancji, tej istoty, której nic nie brakuje, a ponieważ wszystko ze mnie wyrwano, ponieważ bez przerwy kurczę się i maleję, nie przestałbym słyszeć nostalgicznego wołania gdzieś z głębi: to on, mój synu, mój mały Humbercie, poniż się teraz i błagaj o łaskę, którą z pewnością otrzymasz, jako że twoja prośba nic nie będzie znaczyła, proś, aby ci kupił domek, znalazł mieszkanie, obniżył komorne, poszukał pracy, dał list polecający, proś go, podziwiaj, zazdrość mu, bo on ma wszystko, jest wszystkim, a ty nie masz nic, jesteś nikim, a ja rzuciłbym się na niego jak wściekły, jak wygłodniałe zwierzę, tak, wiem, że zrobiłbym coś przerażającego, co by zniszczyło nas wszystkich, gdyby don Hieronim pojawił się w tym Domu, nie wytrzymałbym, gdybym go musiał wpuścić po to, by zobaczył, co zostało z Inez, musiałbym ukryć się, by nie ujrzał mych oczu, które od dziecka, od tego czasu, gdy podobno znalazła mnie jakaś starucha, ratowały mi życie, tak jak i teraz, tu, w Domu, bo podobno mam wejrzenie tak smutne i tak uduchowione, że, jak mówią stare, naprawdę chyba jestem święty, a ty potrzebujesz tego spojrzenia, don Hieronimie, proszę cię, nie przecz, nie gardź moim spojrzeniem, ale nie przychodź

do tego Domu; jeśli będziesz usiłował przyjść tutaj, będę musiał jeszcze raz wyruszyć na wędrówkę po ulicach, będę musiał zniknąć. Jak znaleźć sojuszników, kto mi pomoże dokonać tego, żeby twoja noga nie postała nawet w drzwiach, środa, czwartek, dni upływają jeden po drugim, identyczne za tymi niezliczonymi oknami, które nie są jeszcze zamurowane, noc spada gwałtownie jak karta, którą ktoś nagle odwrócił, ukazując tylko swoją zewnętrzną stronę, podobną do wszystkich innych kart w talii, podczas gdy stare wieczorem w kaplicy, wśród świec u moich stóp, wokół złotego tronu prezbiterium grają w wyścigi psów. Te dwie, Inez i Iris, wypowiedziały sobie wojnę, obie klęczą na ziemi, obok terenu gry stare, bez reszty zaabsorbowane grą, znieruchomiały z emocji, która udziela się wszystkim, Iris jest już niemal naga, bo misia Inez stopniowo wszystko od niej wygrywa, więc marznie, choć cała gotuje się ze złości, tylko ta złość ją rozgrzewa, bo nie ma już ani płaszcza, ani sukienki, ani spódnicy, wszystkie jej rzeczy leżą na kupie obok misi Inez, która jest taka świetna w grze, Iris trzęsie się, potrząsa kośćmi w kubku, przeciągi wieją z otworów ziejących po wyjęciu witraży, zęby jej szczękają, twarz zastygła w drwiącym grymasie wściekłości, rzuca kości na podłogę, przegrywa stanik, zdejmuje go, Inez dorzuca go na stos, gdyż ogromny cień suki znów wygrał, dając jej prawo do stanika Iris, która zostaje ze zwisającymi piersiami, stare krzyczą, nie graj więcej, Iris, czort cię opętał z tą grą, nie wygłupiaj się, niedaleko pada jabłko od jabłoni, jaki ojciec, taka córka, podobno twój ojciec, co go rozwalono, przegrał wszystko w oko, nawet życie, dlatego musiał zabić, nigdy mi nie opowiadano tej historii, nie wiem, czy to prawda, ale mówią... mówią tyle rzeczy, jesteś niewolnicą grzechu, Iris, nie graj już, mała, na miłość boską, w końcu

schudniesz, wczoraj przegrałaś z Inez swoją porcję grochu, dzisiaj porcję soczewicy i chleba, a pisma, a szminka, a ciuchy, tak nie można dłużej, mała, na miłość boską, lepiej zajmij się twoim dzieckiem, z nosa mu kapie na czerwony adamaszek tronu, niech inne grają w wyścigi psów, niech inne padają ofiarą żółtej suki, która ogołaca nas co wieczór, ty masz dosyć, popatrz tylko, jak wyglądasz, a ja ci już nie dam chustki, chociaż mnie boli, jak patrzę na ciebie nagą i drżącą, ale ci nie dam, muszę teraz na siebie uważać, mam anginę, a ja reumatyzm, ja postrzał w kark, a poza tym ty grasz jak hazardzistka, bo nienawidzisz misi Inez, odkąd zaczęłaś z nią grać, lepiej oddaj się w opiekę jakiemuś świętemu, klęknij przed tym obrazem świętej Brygidy, chociaż niczym nie przypomina tej, która odjechała stąd czarnym karawanem, a którą trzeba będzie przenieść do białej karety, módl się... Ale Iris się nie modli. Inez też się nie modli. Przedtem Iris była Błogosławioną, ale teraz jest już tylko jej przeciwniczką, chce ją całkowicie ogołocić, co jeszcze może postawić ta mała, kiedy zostały jej już tylko brudne majtki. A żółta suka ciągle wygrywa.

– No? Co teraz stawiasz, Iris?

Nie. Nie, krzyczymy my, stare, błagamy cię, miej trochę rozumu, jesteś chuda, Iris, zaziębiona, nasze zasmucone twarze otaczają cię w półmroku, nie, nie, Iris, odżegnaj się od złego ducha, trochę więcej silnej woli. Nie mówcie o złym duchu, bo robi się straszno od takiego mówienia, a pali się tylko jedna świeczka. Iris klęczy z jednej strony, wystawiając swe ogromne piersi, które jedynie mogę ssać, a nigdy pobawić się nimi, tak jak bawiła się Damiana, tak jak inne niemowlęta bawią się piersiami swych matek, nagie piersi, brodawki sterczące od zimna, włóż mi je do ust, rozgrzeję ci je mym chropo-

watym językiem; z drugiej strony klęczy ona, dama, okryta kraciastą chustką, patrzy na Iris i rzuca jej wyzwanie:

– No, więc? Co stawiasz?

– Moje dziecko.

Najpierw krótka cisza zdumienia, potem wrzawa, nie możesz tego robić, Iris, jesteś zepsuta do szpiku kości, żeby grać o owoc twego łona, o dziecko, które w dodatku jest święte, spójrz na niego, jak płacze, biedaczek, bo położyłaś go byle jak na adamaszkowym krześle, zamiast opatulić w kołysce, spójrz, jak mu leci z nosa, spójrz, z jakim bólem patrzy na ciebie, święte dzieci rozumieją wiele rzeczy i on też rozumie, że jego matka o niego gra z żółtą suką misi Inez, która jest tak dobra, kochana i tak litościwa, ale która od przybycia do Domu stała się taką hazardzistką, że to niemal nie ta sama osoba.

Ty, Inez, patrzysz na mnie, jakbyś ważyła mnie w ręku, jakbyś chciała obliczyć, ile jestem wart, i zdecydować, co w zamian za mnie powinnaś położyć w tej grze na szalę, postaw coś pięknego, Inez, błagam cię, coś tak wspaniałego jak twój płaszcz z nurków, jak twoje kolczyki z pereł, jak prawo dotknięcia twojego ciała, zanim Peta Ponce całkowicie nim zawładnie, załóż się o coś, co by mnie zapewniło, że jestem wiele wart.

– Zgoda.

– A pani co stawia?

Patrzysz na zgromadzone wokół siebie łachmany, macasz je, nie, nie to, uśmiechasz się, podnosisz rękę do ust gestem niektórych starych chcących ukryć brak zębów i nagle przekraczasz granice zwykłego gestu, wkładasz całą rękę do ust, wyjmujesz sztuczną szczękę, kładziesz ją obok tablicy do gry, i oto twoje wargi cofnięte,

bezzębne, jak usta tych, które teraz mówią, och, nie wiedziałyśmy, misiu Inez, mój Boże, wszystkie myślałyśmy, że to pani były te piękne zęby, mówiłyśmy o tym, podziwiałyśmy, myślałyśmy, że to dzięki dobremu odżywianiu od maleńkości, tak mówiłyśmy, my od urodzenia klepiemy biedę, byłyśmy źle odżywiane, więc nasze zęby zaczynały się psuć, gdy miałyśmy piętnaście lat, tak jak zęby Iris.

– Moje zęby.

Twarze wyciosane w ciemności uspokajają się. Stare chowają ręce pod łachmany, błyszczą ich wilgotne oczy, które były świadkami tylu zdarzeń, a teraz są świadkami tego, co się tu dzieje, krąg milczących staruch zaciska się wokół dwóch kobiet klęczących u stóp mojego złotego tronu, z jednej i drugiej strony tablicy do gry; żółtą suką jest Inez, białą suką jest Iris, kości grzechoczą w kubkach.

– Większy numer zaczyna.

Inez rzuca dwójkę, Iris czwórkę: Iris zaczyna. Jeszcze raz cztery dla białej suki, raz, dwa, trzy, cztery: biała suka jest z plastiku, umocowana na białej podstawce, również z tego nędznego tworzywa, ręce Iris posuwają ją po tablicy ze zwykłego kartonu, tam gdzie widać niezdarnie wyrysowane domy, doliny i rzeki. Inez wyrzuca piątkę, żółta suka, niespokojna, gotowa do walki, rzuca się, biegnie ujadając poprzez pola, raz: droga pełna pyłu, dwa: przeskakuje wawrzynowy żywopłot, trzy: zatrzymuje się w połowie kałuży odbijającej księżyc, żeby napić się trochę wody, i cztery: podchodzi na łagodne wzniesienie grzbietu, by potem, przy piątce, dobiec do podwórza farmy i pędzić dalej, dalej, suka z białego plastiku zostaje w tyle, a tymczasem żółta suka jest już niemal niewidoczna, biegnie szybciej niż kiedykolwiek, bo kocha mnie, chce, bym do niej należał, dlatego tak się wysila – chce na mnie

zasłużyć jakimś pięknym zwycięstwem, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, co za szczęście, misiu Inez, niech pani jeszcze gra, cztery, jeden, dwa, trzy, cztery... będę należał do Inez, bo żółta suka chce, by Inez wzięła mnie w swoje ramiona, zanim jeszcze ramiona te zamienią się w kościste objęcie Pety, które by mnie zatruło, ale żółta suka ratuje mnie z ramion starej, biegnij, biegnij, żółta suko, wyjąc do księżyca, śledząc jego światło, plastikowej suki już prawie nie widać, stare wydają krótkie okrzyki, wykręcają sobie palce, odmawiają różańce, nie wiedzą już, kogo chciałyby widzieć jako zwycięzcę, ale wszystkie stawiają na misię Inez, chociaż biedna Iris marznie... więc w końcu będę twoim, nawet jeśli jesteś już tylko wspomnieniem o Inez zbyt doskonałej, by mogła kiedykolwiek istnieć, lecz posłusznej żółtej suce, która przemyka się błotnistymi brzegami jeziora, żeby skryć się przed dziewięcioma groźnymi jeźdźcami, żółta suka, której drżący cień zasłania twarze jednych starych, by natychmiast wydobyć z ciemności inne, raz, dwa, trzy, co z tego, że to tylko trzy, skoro tak mało pani brakuje, prawda, misiu Inez, no, Iris, graj, pospiesz się, nie baw się kostką, rzuć nią, uff, tylko dwa, teraz misiu Inez nie będzie pani trudno wygrać, raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, ale do tyłu, to nic, ma pani jeszcze jeden rzut, skoro była szóstka, trzy, jeden, dwa, trzy, w sam raz, wygrała pani, brawo, żółta suka dotarła do celu, Iris krzyczy, chowa twarz w dłonie, podczas gdy stare gratulują misi Inez, tańczą z radości, a Iris zamienia się w niepotrzebną otoczkę, nie jest już Błogosławioną, jest nikim, Inez wstaje, kopie własną sztuczną szczękę, która leci gdzieś w kąt kaplicy, bierze mnie w te upragnione ramiona, których miękkość pamiętam do dziś, to ona jest prawdziwą Błogosławioną, jest cudowna, gdy tak mnie trzyma w objęciach, siada majestatycznie na tronie, stare

ustawiają się wokół, zapalają świece, lecą płatki kwiatów, kadzidła, misia Inez uczyniła cud, to ona jest prawdziwą świętą, to ona jest patronką, jutro rano zacznie się odprawiać nabożeństwo w tej kaplicy na cześć jej i Boya poczętego bez udziału mężczyzny przez Błogosławioną Inez de Azcoitia, w którą ci w Rzymie nie uwierzyli, bo to heretycy, komuniści, nie mają dawnej wiary prostych ludzi. Otwórzcie bramy kaplicy, biegnijcie zawiadomić wszystkie stare z Domu, zarządza Błogosławiona, wszystkie, nawet te, które tylko podejrzewały prawdę, więc schodzą się ze wszystkich podwórek, bose, pozawijane w chustki, niosąc świece na podstawkach, ciągnąc po ziemi flanelowe nocne koszule, podobno misia Inez sprawiła cud, bo, mimo jej wieku, nie tknięta przez mężczyznę, tej nocy w kaplicy dała życie dziecku. Szurają pantoflami, jak najszybciej, żeby niczego nie stracić, przybiega ich cały legion z korytarzy, galerii, galeryjek, by oddać cześć misi Inez i pogratulować jej cudu, to ona, Błogosławiona Inez de Azcoitia, ona powiedzie je ku zbawieniu, nie w jednej białej karecie, lecz w całym orszaku białych karoc, może każda będzie miała własną, bo misia Inez podobno jest milionerką, więc pojedziemy do nieba śpiewając, dziś dla nas, wszystkich starych, jest święto, bo możemy przestać bać się śmierci, której się bałyśmy, i tych korytarzy, i przejść pogrążonych w ciemnościach, i przestronnych pustych pokoi, gdzie pewnie zgubiła się Iris, ale jej los nikogo już nie interesuje teraz, kiedy ujawniają się perspektywy przepychu i wspaniałości, ona nie ma z tym nic wspólnego, niech matka Benita i ksiądz Azócar, a nawet arcybiskup mówią sobie, co chcą, my teraz zorganizujemy obrzędy w tej kaplicy pod przewodnictwem Błogosławionej Inez de Azcoitia, która z dzieckiem na ręku króluje na złotym tronie

jak na świętych obrazkach. Szale nowo przybyłych poruszają się po korytarzach pełnych przeciągów, te, które nic nie wiedziały, dowiadują się z drżących ust innych starych o tym, co tak bardzo chciały wiedzieć, i biegną, by rzucić się na kolana, ich twarze rozjaśniają się zdumieniem wobec cudu przywróconej do życia Błogosławionej, w łachmanach, bezzębnej, ze sterczącymi kosmykami szarych włosów, takiej samej jak one, teraz wszystkie śpiewają, klękają, rozpoznaję matkę Julię, której czoło dotyka podłogi, chór ich głosów odmawia do nas litanię, Eliana, w ekstazie, odpowiada drugą częścią *Zdrowaś* na pierwszą *Ojcze nasz*, aż do chwili, gdy Inez mówi, dosyć, zmęczyłam się, chciałabym trochę odpocząć, pewnie już jest późno. Podczas gdy będę się kładła, przygotujcie mi dziecko, a potem tak jak to robią niańki u bardzo bogatych ludzi, przynieście mi je do łóżka wymyte, wypudrowane, pachnące dziecko na pieszczoszki. Ale dopiero wtedy, nie wcześniej.

– Zdaje się, że dziecku też się chce spać.
– Pewnie ma mokro.
– Trzeba je przewinąć.
– Trzeba je przewinąć, zanim je zaniesiemy do pani.
– Tak, przynieście mi małego do łóżka.
– Idzie się pani położyć?
– Tak, jestem zmęczona.
– Więc jak tylko będzie gotowy...
– Spróbuję nie zasnąć, poczekać na niego.
– My się pospieszymy.
– Umyjcie mu pupkę i tyle.
– Zrobił kaka.
– Z szacunkiem, Roso, bardzo cię proszę...
– Przepraszam. I dobranoc pani.

– Dobranoc.

Myją mnie, czterdzieści starych asystuje przy ceremonii, golą mi tam włosy, macają na wszystkie strony, dotykają seksu bez wstrętu, ale i bez ceremonii, bo wiedzą, że to coś bezużytecznego, połóżmy go na białej poduszce, na białym prześcieradle, golutkiego jak robaczek i tak zanieśmy pani do łóżka, będzie zadowolona, bo w ten sposób lepiej się ogrzeje, tak, ale w takim razie trzeba mu ogolić wszystko, te chude nogi, brodę, trzeba dbać o delikatną skórę takiej damy jak misia Inez.

Ciemno jest w twoim pokoju. W naszym pokoju. Pod przykryciem obok mnie, w naszym łóżku, oddychasz głęboko i miarowo, pogrążona we śnie po weronalu, bez którego nie możesz wieczorem się obejść, żeby jakoś przebrnąć przez strachy półsnu. Nawet jeśli o tym nie wiesz, wśród spokojnej nocy murów tego Domu, tego ciemnego pokoju, ciepłego łóżka, dokona się dzięki nam magia chwili, na przyjście której ściany te zawsze czekały, Inez. Kiedy przechadzałaś się po galeriach Rinconady, twoja długa szyja, twój głos może zbyt ochrypły, lecz zawsze ciepły, twoje długie nogi, twoja mała głowa, gest, z jakim wypadała ci z rąk książka, którą czytałaś wsparta na łokciu na kanapie... zarys twojej postaci zniknął w mroku galerii i nie mogłem go odnaleźć, twoja skóra koloru miodu, twoje oczy brązowe, zielone, żółte, ten twój sposób przechylania na bok głowy, kiedy ze mną rozmawiałaś przekraczając granice uśmiechu, a zbliżając się do czegoś w rodzaju śmiechu, do którego nigdy jednakże nie dochodziło: i ty jesteś tu ze mną teraz w jednym łóżku, ty, wcielenie piękna, chociaż już nie piękna, ale wciąż jeszcze ty, jeszcze nie Peta, która

przychodzi po mnie z wnętrza twego ciała, wciąż jeszcze będącego ciałem Inez, którego dotknę, zanim Peta wypłynie na jego powierzchnię. Jeszcze czuję twój zapach, chociaż można już w nim wyczuć zapach starości, zgrzybiałości, lubieżnego pożądania, i ten zwycięża twój własny zapach. Muskam twoją chropowatą dłoń i cofam swoją, znieważoną przez tę chropowatość, ale potem milczę, bo to jeszcze jesteś ty, Inez, chcę leżeć pod twoją kołdrą, w aureoli twojego ciepła, odradzającego we mnie męskość, którą mam ja, a nie twój mąż, pozwól, by moje pragnienie przekroczyło odrażającą barierę tego, czym jesteś teraz, pozwól mi leżeć nago obok ciebie i zapomnieć o twojej brzydocie, starości, twoim szaleństwie, twojej głupocie, kolejnych maskach, których nigdy nie zdjęłaś, pozwól mi czuć twój wstrętny zapach, pod którym w głębi odnajdę wreszcie ukrytą pod tą brudną otoczką, niezmienną Inez, pozwól mi wywołać cię w pamięci taką, jaką na zawsze powinnaś w niej zostać, pozwól, żeby moje pożądanie rozpoznało cię w cieple pieszczącym moje nagie ciało. Śpisz. Słyszę, jak śpisz. Szkoda, że chrapiesz. Nasze głowy spoczywają na tej samej poduszce. Gdybym mógł odmłodzić cię, choć trochę zniweczyć pracę doktora Azuli, wtedy, jestem tego pewien, mógłbym nie pozostawać poza tobą, moje ciało mogłoby pragnąć cię z tym samym szaleństwem co moja wyobraźnia, wtedy miałabyś jedwabistą skórę Iris, jej wysoko wzniesione piersi, jej gładkie nogi. Tak, don Hieronimie, gdyby Inez miała to wszystko, zdałby pan sobie sprawę, że moja męskość jest prawdziwsza od pańskiej, ale tak nie jest, nie chcę się znowu poniżać, chcę wyjść z tego zamknięcia, chcę dotknąć piękna jako takiego, a nie pod postacią ciała zgniłego, pełnego plam, kryjącego się pod tymi szarymi

kosmykami, pod tym ciałem cuchnącym, w dawno nie pranej koszuli nocnej. Chociaż to ty. To powinno wystarczyć. Nie chcę cię dotykać. Dotknij mnie pierwsza. Pragnij mnie.

Biorę twoją uśpioną rękę, żeby musnąć moje ciało. Powinnaś mnie poznać, Inez, przyjmij mnie choć teraz takiego, jakim jestem, kimkolwiek jestem, Humbertem, Głuszkiem, starą, dzieckiem, idiotą, plamą wilgoci na ścianie... budzę się, bo mnie dotykasz. Wiejska noc dookoła wydaje się ogromna. Kos, który na nas patrzy ze swojej klatki, nie przestaje podskakiwać. Budzę się, bo twoje palce, chropowate, ale jeszcze bez brodawek, pieszczą mój brzuch, uśpiona odwracasz się do mnie, to ty, Inez, zbliżasz się do mojego nagiego ciała, które będzie gotowe, jak tylko twoje bezzębne usta zaczną szukać moich, zamiast je odtrącać, twoje uśpione ciało przywiera do mojego, uśpiona przekręcasz się na wznak, przyciągasz mnie, żebym położył się na tobie, i wtedy dotykam cię, moje ręce na twoich zwiotczałych piersiach, i krzyczę:

– Inez!

Budzisz się.

– Hieronimie.

Nie powiedziałaś Humbercie. Powiedziałaś to samo ohydne słowo, co Peta Ponce w noc Rinconady, słowo, które wszystko zburzyło w ciemności, pomieszało czasy, odblaski, plany. Te same sylaby, raz jeszcze skierowane do mnie. Więc ja również nie zgodzę się, żebyś była sobą. Nie wiem, kim jesteś. Nie jesteś już Inez, dotknąłem cię i moja cudowna pałeczka przemieniła cię w bezzębną wiedźmę, z głębi twojego ciała starucha wydobyła się na wierzch i zagarnęła cię. Spod złocącego się horyzontu wyłoniła się czarownica przywiązana do pnia, przeszczepy

doktora Azuli i Emperatriz zatriumfowały, jesteś starucha, jesteś Petą, odradzającą się pod moim sterroryzowanym ciałem, i pode mną wznosisz się, krzycząc i odpychając mnie, lecz i ja cię nie kocham, Peto, wzbudzasz we mnie wstręt, strach, całkowicie zastąpiłaś Inez, zniweczyłaś ją, nie chcę dotykać twego robaczywego ciała. Nawet jeśli będziesz krzyczeć, ja ucieknę, zgubię się w ciemnościach korytarzy, gdzie odbijają się twoje coraz chrapliwsze krzyki strachu, to już nie twój głos, to głos Pety, głos starej, bezzębne dziąsła, które wołają o pomoc, bo ty straszliwie boisz się śmierci, Inez już nie istnieje, jest tylko Peta, której w końcu udało się tu wejść, wymusiwszy na doktorze Azuli, aby ją przemienił w Inez, jest tylko Peta wrzeszcząca na pomoc, na pomoc, matko Benito, na miłość Boską, na pomoc, nie mogę zapalić światła, boję się ciemności, dzwonek, dzwonek dzwoni, przenika cały Dom, to dzwonek misi Inez. Co też się jej mogło przytrafić, że woła o pomoc i płacze... One nie wiedzą, że nie jesteś już Inez, lecz Petą, więc przybiegają na pomoc. Matko Benito, proszę zapalić światło, budzisz się płacząc, siadasz niemal naga na brzegu łóżka, głośno krzycząc zapewniasz, że przed chwilą jakiś mężczyzna dobierał się do ciebie w pościeli. Pewnie mnie zgwałcił, nie zniosę tego, nie mogłam się bronić, po weronalu człowiek jest zupełnie nieprzytomny; och, nie mogę już, nie mogę. A może to był koszmar senny, sugeruje matka Benita, może to wydawało się pani przez sen? Nie, nie, to była prawda, niech mateczka spojrzy, oto ślady jego palców na mojej piersi, ściskał ją, żeby mi zadać ból, to ten ból mnie obudził, nie, misiu Inez, proszę mi tego nie pokazywać, wy, stare, idźcie sobie stąd, lepiej, żeby one nic o takich rzeczach nie wiedziały, misiu Inez, pani nie wyobraża

sobie, jakie z nich plotkary, a teraz niech pani się położy, to na pewno było tylko przywidzenie.

Dobrze, matko Benito, niech stare idą do siebie, ale doprawdy tak było, ależ, misiu Inez, jak mam uwierzyć w to, że jakiś degenerat wśliznął się nocą do pani łóżka, skoro w całym Domu nie ma mężczyzny, proszę już nie krzyczeć, uspokoić się, napić się trochę wody, wziąć proszek... nie, nie chcę niczego, nigdy nie wiadomo, co jest w tych proszkach. I słusznie, misiu Inez, sama pani widzi, że już wraca pani rozsądek; to właśnie te proszki nasenne wywołują potem takie majaki.

– Majaki?

– A cóż innego?

– Czyżby ośmieliła się matka insynuować, że...

– Majaki, koszmary...

– Nie, to nie to matka miała na myśli.

– A co?

– Że majaczę, że zwariowałam.

– Ależ, misiu Inez...

– Z pewnością. Matka jest taka sama jak one wszystkie... One wszystkie wyobrażają sobie, że jestem wariatką, bo zdecydowałam się tu zamieszkać. Ale dosyć: wyjeżdżam z tego Domu jeszcze dziś, nie zostanę tu ani dnia więcej, jestem zgorszona, że w takim świątobliwym Domu mają miejsce podobne skandale, to doprawdy szczyt i to jest matki wina, matko Benito, proszę mi nie mówić, że nie, matka niczego nie pilnuje, gdyby matka wiedziała, co się tu dzieje, sprawy, o których mogę opowiedzieć i o których opowiem, kiedy stąd wyjdę, o, niech się matce nie wydaje, że sobie to daruję, coś podobnego, nieznany mężczyzna dobierający się do łóżka takiej starej kobiety jak ja, która pragnie trochę spokoju na swe ostatnie dni, która chce się modlić i pomagać mieszkankom Domu w miarę swoich

możliwości, aby odpokutować za grzechy, coś takiego mi się przytrafia... Teraz zaczynam przypominać sobie różne inne rzeczy, które ten nagi mężczyzna robił mi w łóżku, tak, bo był zupełnie nagi, niech matka nie myśli, że pomimo ciemności nie widziałam, jak wymykał się z mojego pokoju, że nie czułam jego ud pomiędzy moimi, jego... jak o tym pomyślę, zimny pot występuje mi na czoło, że też można jeszcze się poddawać temu niewolnictwu, a sądziłam, że jestem już na zawsze od tego uwolniona, ten mężczyzna chciał mnie zgwałcić, tak jak gwałcono mnie co noc przez całe moje życie, tak, gwałcono, bo nigdy w tym nie było ani czułości, ani namiętności, ani miłości, matko Benito, zawsze tylko gwałt, za każdym razem, od czasu mojej nocy poślubnej, zawsze walka, nigdy nic odwzajemnionego, zawsze obcość, obcy człowiek w mojej pościeli, zmuszający mnie do odbierania wrażeń zupełnie innych niż te, które chciałam odbierać...

– Misiu Inez...

– Co?

– Niech pani nie opowiada takich rzeczy, których później pani będzie żałowała, faktów ze swego prywatnego życia...

– Nie mam prywatnego życia. Moje prywatne życie należało do kogoś innego.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zadzwonimy do don Hieronima, żeby przyjechał po panią.

– Tak... Nie... On jest w Rinconadzie.

– Więc co mam zrobić?

– Nie wiem... ja wyjeżdżam.

– Jak? Dokąd?

– Proszę zadzwonić do Raquel.

– Dobrze, już idę.

– Ale przede wszystkim niech mnie matka nie zostawia samej, za nic na świecie!

– Jeśli pani chce, mogę zawołać stare.

– Za nic na świecie!

– Może więc Głuszka?

– No dobrze, Głuszka, ale niech się matka pospieszy, biorę tylko parę drobiazgów do walizki, a Głuszek odprowadzi mnie do wyjścia i tam zaczekam na Raquel...

Uciekasz, matko, biegniesz po korytarzach, widzisz, że to nie żarty, Inez zwariowała, to niemożliwe, jeszcze i to, jeszcze i za to mam być odpowiedzialna, ja już doprawdy mam zbyt dużo problemów na głowie. Dzwoni do misi Raquel, biedna Inez zawsze miała tego rodzaju obsesje, tak, czyste szaleństwo, mówiła, że gdyby Hieronim zbliżył się do niej, wyskoczyłaby przez okno, zabiłaby się, zaraz wezwę lekarza, poproszę go, żeby natychmiast ją zbadał, matko Benito, pewno trzeba będzie zabrać ją do kliniki, ludzie opowiadają, że już w klinice w Szwajcarii... tak, matko, była w klinice w Szwajcarii, ale nie na nerwy, chociaż teraz, po tym, co mi matka opowiedziała o tej nocy, wydaje mi się, że to musiało być coś w rodzaju szpitala dla psychicznie chorych, tylko że Hieronim nie chciał nikomu o tym mówić, matka wie, jaki jest ambitny, nie chciał się przyznać, że miewała ataki, w czasie których mówiła takie rzeczy... Boję się, matko, że się trochę spóźnię, możliwe, że pogotowie przyjedzie pierwsze. Rzeczywiście, biało ubrani lekarze z pogotowia przybyli pierwsi, Inez z neseserem w ręku czekała przy wejściu zalana łzami, lecz kiedy ich zobaczyła, zaczęła uciekać, krzycząc wniebogłosy na wszystkich, na nas, na lekarzy, pielęgniarzy i mnie, złapaliśmy ją, chcieliśmy jej dać siłą uspokajający proszek, ale go wypluła, na nic się też nie

zdały próby zrobienia jej zastrzyku, igła mogła się złamać, lekarz i pielęgniarz z moją pomocą zakładali Pecie Ponce kaftan bezpieczeństwa, a ona kopała, pluła i gryzła, wrzeszcząc, że nie jest wariatką, że te stare to wariatki, ale nie ona, że ja jestem potworem, którego włożono jej do łóżka, ale w końcu założyliśmy jej kaftan, co też ona bredzi, biedna kobieta, mówił lekarz, biedna pani, mówili pielęgniarze, ja kiwałem głową ze współczuciem, matka Benita modliła się z oczami pełnymi łez, tymczasem zawiązaliśmy kaftan, ona zaś w dalszym ciągu kopała i gryzła, biedna pani, biedna Peto Ponce, zamknięta w ciele Inez, wreszcie twoje odwieczne poszukiwanie zakończysz za kratkami szpitala wariatów, daleko ode mnie, bez dostępu do tego, co chciałabyś ode mnie uzyskać, pilnowana przez ubranych na biało brutalnych i silnych pielęgniarzy, którzy cię ujarzmią, kiedy przybędziesz do szpitala, potem wchłonie cię ciało Inez, może jedna z was dwóch przeważy, może żadna, może będziecie na zmianę raz Petą, a raz Inez, a może zamknięte w jednym ciele przeżyjecie najpełniejszą miłość, cud doktora Azuli spełni się, Peta już niezdolna do czynienia zła, Peta zamknięta jako wariatka, bo nikt nie uwierzy w te okropności, o których opowiadasz, w te halucynacje na temat nagiego mężczyzny w twoim łóżku, we wmawianie, że to byłem ja, a to byłem ja, z moją potencją, której nie chciałem ci dać, Peto, której ci odmówiłem, mszcząc się na tobie i na Inez, która odmówiła mi swych ust, jakbym był nieczysty; zamkną cię, Peto, ukrytą w ciele Inez, aby przeszkodzić ci w wiecznym pościgu za moim seksem, zabiorą was obie razem, w jednym ciele, nie będę już musiał ani lękać się Pety, ani pożądać Inez, obie będą w domu wariatów, podczas gdy ja, z największym spo-

kojem, odłożę moją męskość do węzełka pod łóżkiem, tam właśnie, gdzie my, stare, składamy wszystko, co mamy.

W końcu udało się zrobić jej zastrzyk. Powoli się uspokoiła. Położono ją na noszach, matko, nie zostawiaj mnie, proszę, pójdź ze mną, tak się boję, błagałaś przed zaśnięciem, więc ty, spełniając do końca twą litościwą misję, wsiadłaś do białej karetki, która zawiozła ją do szpitala: kiedy się przebudzi, otworzy oczy na biały pokój z oknem, które nie będzie oknem, lecz ogromną fotografią okna, a ona weźmie ją za prawdziwe okno, bo nawet to robią dla nas, wariatów, wieszają nam fotografię, żeby w nas mówić, że istnieje jakieś „na zewnątrz". Już stąd nie wyjdziesz. Nikt nie uwierzy, że ja czy jakikolwiek inny mężczyzna wszedł ci do łóżka, żaden mężczyzna nie pcha się do łóżka takiej staruchy jak ty, Peto, żaden, nawet ja, tak godny pogardy, taki śmieć, bo, jak mówi ksiądz Azócar, tylko śmiecie są w tym Domu. Musiałem jednak symulować ten gwałt, bo to był jedyny sposób, żeby się od ciebie uwolnić. Inez się nie liczy. Wymyśliłem ją, żeby dotknąć piękna, lecz ty tkwiłaś na dnie piękna młodej Inez, zawsze, od zarania wieków, ruchoma niby płonący stos, zmienna niby woda, czekając na moment, w którym będzie mi się wydawało, że trzymam piękno w ramionach, by niepostrzeżenie je ukryć, tak jak kacyk ukrył dziecko-czarownicę, podstawiając ciebie, żebyś ty poniosła karę; a ty od zarania wieków usiłowałaś dokonać zamiany odwrotnej, lecz zwyciężyłem cię. Jeśli jesteś czarownicą, co wątpliwe – może jesteś po prostu jakąś nędzną staruchą – oszukałem cię, udało mi się ciebie usunąć. Inez była tylko przynętą. To ty będziesz cierpieć w zamknięciu, wiedząc, że ja, ja, którego pragnęłaś, jestem dla ciebie

nieosiągalny, i patrząc na jasne, wysmukłe okno, umieszczone bardzo wysoko, żebyś nie próbowała ucieczki, byś nie próbowała zrywać paznokciami tego oszukaństwa, tej fotografii. Oto dlaczego jutro zabiję deskami resztę okien w tym Domu. Już wielu z nich nie można otworzyć. Zamurowałem je tak starannie, że nie widać, iż kiedykolwiek istniały, gdyż nocą, zawieszony wysoko na drabinie, całymi godzinami robię blizny na tynku pełnym szpar, które zamieszkują pająki, i łuszczę kolejne warstwy dawnej farby, tak żeby całość robiła wrażenie starości i zniszczenia. Tak, okna już usunąłem, teraz będę musiał usunąć jego. Będziesz niespokojny o twoją biedną, chorą żonę, o której nie będziesz wiedział, że jest Petą Ponce. Muszę cię usunąć. Moja wyobraźnia jest twoim niewolnikiem, tak jak ciało Inez nim było, moja wyobraźnia jest ci niezbędna, abyś mógł istnieć, Inez i ja jesteśmy twoimi sługami, Inez i ja, heraldyczne zwierzęta wymyślone po to, by podtrzymywać symetrycznie twój bohaterski pomnik. Ją już usunąłem, więc się chwiejesz. Teraz i ja się usunę, żebyś się zwalił i rozbił na tysiąc kawałków, włożymy je do wózka Głuszka, Głuszek pociągnie je na swoje patio, żeby deszcz, czas, wiatr, zielsko unicestwiły wszystko. Zostało mi dużo białych stron, które czekają, aż opiszę na nich twój koniec, mam przed sobą mnóstwo czasu, by wymyślić najnędzniejszy, gdyż teraz jestem bezpieczny w tym Domu (w którym tej nocy nie było matki Benity, aby pilnować porządku), kiedy stare wyczyściły kaplicę, starły wszelkie ślady tego, co tam się działo, i poszły spać. Jutro obudzą się jakby nigdy nic, gotowe stwarzać świat od nowa; każą im tańczyć za moimi zaczarowanymi oknami, cały Dom unicestwiony, bez otworów, bez wejść ni wyjść, Dom *imbunche*, my wszystkie *imbunche*,

my, które już nic nie mamy. Nie obawiamy się już Pety Ponce, bo matka Benita odwiozła ją w białej karetce związaną kaftanem bezpieczeństwa, krzyczącą coraz ciszej i ciszej, jakby niknącą w samym środku ziemi, tak, misiu Raquel, przyjechała biała karetka pogotowia i zabrała ją, mój Boże, jakież to straszne, co za koniec biednej Inez, biedna nasza misia Inez, taka dobra, biedactwo... Już z pół godziny, jak wyjechali, więc misia Raquel także odjeżdża w kierunku szpitala. Kiedy odjechała, zrozumiałem, że wszystkie stare i sieroty zasnęły, by móc o wszystkim zapomnieć. A ja otwieram bramę, jedyny otwór, jaki pozostał w tym Domu, zamykam ją za sobą i wychodzę na miasto.

# 27

Już dobrych parę minut minęło, odkąd północ wybiła na wieży kościoła. Na rozpalonych letnim upałem ulicach pot zrasza koszule i nagie ramiona pobłyskują chwilę, zanim znikną za rogiem ulicy. Światła głównej kawiarni nie gasną, choć powinny by, bo prawie wszystkie stoliki są puste... jakiś brodaty młodzieniec nudzi się przy swojej ospałej towarzyszce o gładko przylizanych włosach, trzech mężczyzn w granatowych garniturach, z przystrzyżonym wąsikiem, niemożliwie niskie są teraz pensje, phi, zawsze takie były, i odwieczna butelka wina; ludzie, którzy nigdy nie nabiorą żadnych „cech", „letni" ludzie, bezbarwni, zamienni, nie ma w nich nic, co nie byłoby całkowicie codzienne, myśli Emperatriz idąc za doktorem Azulą pomiędzy poplamionymi czerwonym winem stolikami, gdzie resztki kanapek wśród much i zmiętych papierowych serwetek walają się po talerzykach, neon kawiarni mruga, jakby chciał zgasnąć, jakie to wszystko brzydkie, Cris, to nie ma znaczenia, szkoda czasu, usiądźmy byle gdzie i zawołajmy kelnera w poplamionej marynarce.

– Dwie małe kawy.

„Rolling Stones" wyją dla klientów siedzących na niedużych, kolorowo pomalowanych krzesełkach, a klienci nie zwracają uwagi na ich muzyczne apele, ich zachęty, ich skargi. Kawiarnia. W podobnej sytuacji trzeba mieć

trzeźwy umysł i szybką decyzję, tu, teraz, wśród jaskrawej wulgarności tego lokalu, trzeba zadecydować o przyszłości naszego życia.

– Uciec, Emperatriz.

– Dokąd?

– Do Europy.

– Czy sądzisz, że Hieronim nie odnajdzie nas tam, jeśli będzie chciał się na nas zemścić? Pomyśl, że Europa nie jest już tak odległa jak niegdyś.

– Z pewnością, zwłaszcza po kampanii reklamowej *Fly now – pay later*...

– No pewno. Ale czy byłbyś łaskaw wytłumaczyć mi, dlaczego tak się boisz Hieronima? Czy jesteśmy jego niewolnikami? Czy musi się na nas mścić z powodu ucieczki Boya? W czym tkwi nasza wina? Mamy prawo opuścić jego klinikę, zerwać nasz kontrakt, kiedy nam się tylko podoba. Żebyś wiedział, jak znudziło mnie piętnaście lat rozmów z Bertą...

– Emperatriz...

– Co?

– Skorzystajmy z tej okazji, żeby wyjechać. Wszystkie pieniądze mamy w Szwajcarii... Ich suma wzrosła przez ten czas i jest już teraz dość znaczna.

Koniec dorocznego spotkania doktor Azula przesiedział przycupnięty w krzakach parku na wprost dużego żółtego domu. Widział, jak dyskutowali i śmiali się w bibliotece, jak pili koniak w pękatych kieliszkach, jak palili i sprawdzali umowy, żeby ustalić górną granicę pensji, widział, jak gasili światło i wyświetlali slajdy ukazujące sielankowe życie Rinconady.

Wychodząc Emperatriz powiedziała do kuzyna, że nie, dziękuje, ale tego wieczoru woli, by nie odstawiał jej do Crillon swoim mercedesem, noc jest taka ciepła, a ona od

tak dawna nie spacerowała ulicami miasta, że ma ochotę powłóczyć się trochę, obejrzeć miejsca, które dobrze, tak dobrze niegdyś znała.

– Dobranoc, Hieronimie.

– Dobranoc, Emperatriz.

Przeszła przez jezdnię w kierunku parku i nagle zobaczyła, że z krzaków wyłania się Cris. Powiedział jej tylko dwa słowa: Boy zniknął. Jak? Kiedy? To niemożliwe, mów, opowiadaj, co robić, co robić, mój Boże? Nie zostawił żadnych śladów, żadnej wskazówki? Nie, nic, w Rinconadzie wszyscy wzajemnie się oskarżają. Basilio o mało co nie zabił Melchiora, kiedy ten krzyknął, to twoja wina, tylko twoja, chłopak sam nie mógł daleko odejść, jeśli nie przeniosłeś go na ramionach, stary pedale. Ale to nie był Basilio, nikt nie wie, kto jest winien, w Rinconadzie rewolucja, potwory pierwszej klasy, spakowane, czekają na powrót Emperatriz, by wypłaciła im roczne pensje, potwory drugiej i trzeciej klasy knują intrygi, żeby zająć wyższe stanowiska, odgłosy tego wszystkiego dochodzą do wsi zamieszkanych przez zwykłych wielkoludów, którzy uganiają się po lasach. Berta oznajmiła, że gwiżdże na forsę, że odchodzi. Biorąc pod uwagę jej impulsywną naturę, Cris był pewien, że już jest w mieście... Jakoby od czasu jak potwory niższych klas dowiedziały się o zniknięciu Boya, na peryferiach Rinconady popełniono zbrodnię, miały miejsca napady z bronią w ręku, a nawet wypadki podpaleń. Mówiono też, że na widok normalnej istoty, która pojawiła się w okolicy, zaczęły się masowe ucieczki. Natomiast istoty normalne podsunęły się pod samą wieś, okupując opuszczone przez potwory domy, w których jeszcze nie wygasł ogień w palenisku, zagrody, gdzie kury wciąż chodzą po podwórzu, wszystko porzucone w popłochu, bo wygląda, że to koniec raju

i trzeba uciekać przed zemstą... Rozsypka, ucieczka w nieładzie, panika, Emperatriz, ruina...

– A moje kapelusze?

– Pomyśl raczej o tych, które będziesz mogła sobie kupić w Europie.

– Rękodzieło jakoby bardzo tam podupadło...

– Doprawdy, Emperatriz...

– Jednakże myślę...

– To nie jest chwila, żeby myśleć, malutka, teraz trzeba działać.

Spuściła oczy.

– Moja malutka...

Nie odpowiada.

– Wyobraź sobie życie, które będziemy mogli tam wieść, nareszcie wolni. Nie straciłem moich kontaktów ze środowiskiem naukowym. Ludzie nie zapomnieli o tym, co zrobiłem dla postępu nauki. Sanatorium, wytworna klinika w Szwajcarii dla potworkowatych dzieci bogatych rodziców, od czasu do czasu jakiś przeszczep, jeśli wypadek będzie interesujący. Z tymi pieniędzmi, które zaoszczędziliśmy przez piętnaście lat wyrzeczeń... Nie należę już do takiej awangardy jak niegdyś, ale moje znajomości pozwolą mi jeszcze stworzyć znakomity zespół...

– A ja będę mogła odpocząć...

– Nie, kochanie, jesteś mi potrzebna! Czy rzeczywiście nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś cząstką mojego twórczego życia, że bez ciebie po prostu nie istnieję? A w dodatku jesteś, zawsze byłaś i będziesz kobietą czynu, jesteś mi potrzebna jako dyrektorka mojego zakładu, ja nie mam głowy do finansów, dobierania personelu... tylko do ciebie mam zaufanie...

– Naprawdę, Cris?

– Przysięgam ci...

– A kiedy już wszystko się ułoży, kiedy już nie będzie żadnych poważnych problemów, będziemy mogli jeździć na długie wakacje... Kupimy sobie willę w Marbelli, której zdjęcia tak często zamieszcza „Vogue"...

– O, tak, tak! Tam właśnie jeździ cała *high society*, Audrey Hepburn, Marisa Berenson, Penelope Tree. Ale skąd wiesz, że Marbella jest modną miejscowością? Czyż nie wyśmiewałeś się przez cały czas z mojej kultury wyrobionej na lekturze „Vogue"?

– Przerzucam je czasem w ubikacji... Pomyśl przez chwilę, wernisaż w Paryżu... Marbella jakoby jest wspaniała... Każę Claudio Bravo zrobić twój portret.

– Wolę Leonor Fini... to bardziej w moim stylu.

– Dobrze, niech będzie Leonor Fini. A potem Hiszpania... Santillana del Mar, Santiago de Compostela, małe baskijskie wioski, tak pełne zieleni, skąd pochodzą nasi przodkowie... zobaczyć to wszystko wspólnie, tak jakbyśmy oglądali to po raz pierwszy...

Głos Crisa mówiący do niej. Jego twardy, męski, żwirowaty hiszpański akcent...

– Trzeba tylko zechcieć. Sama powiedziałaś, że nie jesteśmy niewolnikami Hieronima.

Karlica przez chwilę milczy zamknąwszy oczy.

– Chciałabym, żebyś mi coś powiedział, Cris.

– Co?

Ciągle ma zamknięte oczy, wilgotne pod sztucznymi rzęsami, wyciąga rękę odsuwając cukierniczkę. Cris bierze jej rękę w swoje szpony i ściska ją: tak pytania, jak i odpowiedzi odbywają się bez słów, lecz akt skruchy był naprawdę konieczny.

– Emperatriz, kochanie moje, jak możesz w to wątpić. Pomimo moich słabości, głupstw, które popełniłem, a które należy przypisać wyłącznie mojemu brakowi aktywności,

jesteś i pozostaniesz kobietą mojego życia. Jedźmy jutro, pierwszym samolotem!

Ona, z rozjaśnioną twarzą, otwiera oczy, żeby spojrzeć w jedyne oko Crisa, i nagle zdaje sobie sprawę, że dookoła nich stoliki są już zajęte, że przejścia zapełniły się tłumem stojących ludzi, którzy na nich patrzą... Emperatriz i Cris rozluźniają uścisk rąk, chowają je, lecz my stoimy nadal, zafascynowani, nawet nie kpiący, bo właściwie nic nie rozumiemy, otaczając ich, ją i Crisa, naszą ciekawością ludzi jednolitych, jednakowych, niszcząc ich naszym zdziwieniem, przygważdżając do krzeseł naszym zaskoczeniem; jesteśmy istotami różnymi od Emperatriz i od Crisa, jesteśmy identycznie podobni do siebie, żadną nieforemnością nie zwracamy na siebie uwagi, ale nasz wzrok zakłada im kajdanki, przeszkadza się ruszać... drobni urzędnicy bankowi... detektywi... ministerialne pismaki... nieprawdopodobne młodziaki o długich włosach, których powinno się zamykać jako rewolucjonistów albo pedków... jakieś kurewki... czekający na pociąg... urzędnicy w delegacji... ślepiec, żebraczka, żołnierz na przepustce, nasza ciekawość paraliżuje ich. Emperatriz szepcze:

– Uciekajmy...

– Idziemy.

– Zapłać, Cris...

– Kelner!

Podchodzi kelner.

– Ile płacę?

– Szef prosił, by państwu powiedzieć, że to na nasz koszt, dziękujemy...

Emperatriz wstaje, otulając się swoim Emba Mutation Mink. W Europie – szynszyle. Podobno w boutique Evas w Barcelonie don Carlos sprzedaje fioletowe szynszyle...

Będę miała fioletowe szynszyle. Dla kobiety o moim wzroście nie powinny być aż takie drogie.

– Ależ dlaczego to wszystko?

– Gdyż przyciągnęliście nam państwo moc gości. Gdy rozeszła się wieść, że można obejrzeć, jak państwo ze sobą flirtują, zebrał się tłum... Proszę spojrzeć na stoliki, wszędzie pełno, a jakie zamówienia... Zazwyczaj o tej porze nie ma żywego ducha, ani tu, ani w innych okolicznych kawiarniach. Więc firma chciała się zrewanżować...

Emperatriz zabiera torebkę z dokumentami; idąc za swoim mężem, toruje drogę wśród ciekawskich, którzy im klaszczą. Nie, Cris, nigdzie nie jedziemy, wracajmy ukryć się w Rinconadzie, im szybciej, tym lepiej. Mamy przed sobą rok, zanim znów będziemy mieli do czynienia z Hieronimem, a Boy nie zniesie roku poza murami domu. Proszę przepuścić, proszę nie stać w przejściu, to nie cyrk, co znowu, jakie autografy. Chodźmy, Emperatriz, samochód mam o dwa kroki stąd. Gapie stoją z nosami przyklejonymi do szyb kawiarni, powoli tracąc z oczu parę schodzącą w dół ulicy. Dziwaczny żebrak z błyszczącymi oczami i ruchliwymi rękami idzie za nimi usiłując się porozumieć, jakiś głuchoniemy, mówi Emperatriz, daj mu parę groszy, Cris, och, jakie łachmany, co za obrzydliwość, zostaw, biedak jest w dodatku niedorozwinięty, chcę im coś powiedzieć, bełkoczę słowa, których nie mogą zrozumieć, wytłumaczyć im, że musimy pozbyć się Hieronima, że to leży w interesie nas wszystkich, że po to opuściłem Dom, żeby was odnaleźć, żebyśmy połączyli nasze wysiłki, czego może chcieć ten strzęp człowieka, dlaczego nie odchodzi, nie zostawia nas w spokoju, wygląda, jakby był w rozpaczy, tak, jestem w rozpaczy, bo zostało nam już bardzo mało czasu do chwili, gdy Hieronim zacznie działać, on pewnie jest głodny, zobacz,

jaki jest obdarty, twarz przezroczysta jak u upiora, zobacz, jak mu drżą nogi, zatrzymują się pod latarnią, jakby chcieli mi pomóc, litość potworów obejmuje mnie, patrzą na moje poruszające się wargi, uczą się czytać sylaby i słowa, a później myśli na mych niemych wargach, rozumieją, słuchają z rosnącym zainteresowaniem, już nie muszę tak gestykulować, rozmawiamy, mamy sobie tyle, tyle do powiedzenia, wy i ja, musicie aż do końca iść za moimi wskazówkami, przyrzec mi, że nie pozostanie po nim najmniejszy ślad.

– Berta...

– Gdzie idziesz tak wyelegantowana?

Nadal pełzała na czworakach.

– Czy już zupełnie zwariowałaś?

Naga, ze szklistymi oczami i nieprzytomnym spojrzeniem, Berta ciągnęła się ku patiu Boya, nie odpowiadając goniącej ją Emperatriz, co za wstyd, no wiesz, Berto, w dodatku na taką pogodę, nie chcę być złośliwa, ale bądź rozsądna, ani ty, ani ja nie jesteśmy już w tym wieku, żeby pokazywać się nago... Berta... To nieprawdopodobne, lezie naga, zupełnie jak za czasów Humberta Peñalozy, ona, która naśladowała moją elegancję, która zamówiła sobie mały elektryczny samochodzik, gdzie wystarczało nacisnąć guziczek, żeby bez żadnego wysiłku (i nie bez pewnego szyku) przenosić się z miejsca na miejsce... Emperatriz nie widziała jej nagiej od co najmniej dziesięciu, nie... od dwunastu lat. Jakże się postarzała... Oczywiście, sztuczny biust, Cris będzie miał teraz naoczny dowód, że piersi Berty to już nie to, co kiedyś znał... Teraz może zobaczyć prawdę dosłownie „nagą". Po co to robiła, żeby ją zdenerwować, ją, Emperatriz, swoją najlepszą przyjaciółkę, swoją jedyną przyjaciółkę od tylu, tylu lat! Odpowiedz

mi, Berto, dlaczego robisz z siebie pośmiewisko i czołgasz się naga, twoje ramiona nie są już w stanie utrzymać ciała, które przybrało na wadze, roztyłaś się w biodrach, mówię ci, nawet jeśli cię to gniewa, w końcu musisz jakoś zareagować. Lecz Berta się nie gniewa. Jej ogromne ręce chwytają trawę, potem żwir na alejce ogrodu, ciągnąc za sobą ogon ciała, słuchajże, Berto, co robisz, wreszcie jak za dawnych czasów puka trzy razy głową do drzwi dzielących patio Boya od reszty Rinconady. Lekarz i jego żona patrzą na siebie wymownie: nie ma wątpliwości, zwariowała.

Drzwi otworzyły się, Basilio, ogromny, nagi, wciąż jeszcze silny jak gladiator, otworzył im i wprowadził do przedpokoju, nie patrząc na niego Emperatriz chwyciła klamkę drzwi prowadzących na pierwsze patio Boya, ale nie ustąpiły, były zamknięte na klucz.

– Kto ma klucz?

– Ja, señora Emperatriz.

– Otwórz.

– Pani nie może tam wejść.

– Jak to nie mogę wejść? W tym domu mogę wchodzić, gdzie mi się żywnie podoba.

– Niech pani wejdzie, pani Berto.

Basilio otworzył drzwi ogromnym kluczem i Berta przemknęła się przez nie, nie słuchając okrzyków Emperatriz, Berto, Berto, powiedz mi, co się tam dzieje. Olbrzym znów przekręcił klucz, po czym ogromne koło, na którym były umocowane i inne klucze, przewiesił sobie przez ramię.

– Basilio.

– Słucham panią?

– Może będziesz łaskaw mi powiedzieć, co się tu stało, co to wszystko znaczy?

– O co chodzi, proszę pani?

– Nie udawaj kretyna.

– Nie rozumiem, proszę pani. Wszystko jest w porządku, nic się nie stało, jestem na dyżurze...

Mierząc wzrokiem jego żabią postać, Emperatriz podniosła głos:

– Daj mi natychmiast te klucze!

Nie ruszył się.

– Co to ma znaczyć, Basilio?

Drzwi otwarły się i ukazał się w nich Boy absolutnie nagi, ogromny seks zwisał mu poważnie między niewyrośniętymi nogami; krótkie ręce, wpadnięta pierś, ciężar garbu wypychający do przodu głowę, usta uwięzione między nosem a brodą, sztuczne czoło, uszy i wargi, niezupełnie wyrobione, podobne do uszu i warg płodu, łuk światła niebieskich oczu nie zasłoniętych przez powieki z wężowej skóry. Po raz pierwszy Emperatriz odczuła, jak palący jest ten elektryczny wzrok, jak zamienia w popiół jej wolę. Boy przywitał się z nimi.

– Nic się nie stało, Emperatriz.

– Nie rozumiem.

– Rozbierzcie się oboje i wejdźcie. Chciałbym z wami chwilę porozmawiać.

– Jest za wcześnie, żebym się rozbierała... i szczerze mówiąc, nie jestem na to przygotowana.

Błękit ziejący spoza powiek żmii zmusił ją do rozebrania się. Żeby jakoś odwrócić swą uwagę od poważniejszych spraw, Emperatriz zastanawiała się, że w pośpiechu nie zwróciła uwagi na bieliznę, którą dzisiaj włożyła, że po tej długiej podróży autem czuje się brudna, pomijając fakt, że już odwykła od rozbierania się przy ludziach, przedtem to było co innego, Boy mimo całej swojej lubieżności nie wpatrywał się w nią tak nieprzyzwoicie, zresztą ona także

inaczej wyglądała nago, a Cris, mój Boże, co za ohyda, co za figura, co za brzuch... Na szczęście już dawno kazała zdjąć z przedpokoju niedyskretne spojrzenie lustra, dziś nie zniosłaby swego widoku, widoku nagiej spłaszczonej karlicy z wielkim łbem, brzuchem i obwisłymi piersiami. Co za szczęście, że siebie się nie widzi... Boy przez parę minut krążył wokół nich, wreszcie zaryczał:

– Co za widok! Jesteście tak odrażający, że to nawet nie jest śmieszne; nie rozśmieszacie mnie, lecz doprowadzacie do płaczu! I przywyknij z powrotem do chodzenia nago, Emperatriz, tu się nic nie zmieniło. Chodźcie za mną.

Emperatriz wybąkała coś niezrozumiałego.

– Nie rozumiem cię, Emperatriz. Lepiej zrobisz, jeśli będziesz mówiła wyraźnie. Ostrzegam cię, że jest to nasza ostatnia rozmowa na temat pewnych spraw. Potem opuścimy zasłonę na twoje dwunastoletnie łajdactwa...

– Moje łajdactwa?...

– Tak, twoje i twojego męża, zdradziliście oboje ideę mojego genialnego ojca i wykorzystywaliście mnie... nie udawaj zdziwienia, Emperatriz, teraz wiem, co to znaczy mieć ojca, wiem, kto jest moim ojcem, wiem, jakie były jego plany, i dobrze wiem, co będzie do mnie należało po jego śmierci, wreszcie wiem, co to znaczy posiadać, i wiem, co to znaczy umrzeć... Nie przerażaj się, trochę spokoju, przez pięć dni spędzonych na zewnątrz człowiek dużo się uczy. Jak ci powiedziałem, na wszystko spuścimy kurtynę, nic się tu nie stało. Wyświadczę ci tę łaskę i nie wydam cię przed ojcem. Mógłbym to zrobić, ale nie zrobię, bo to jest sprzeczne z mymi planami.

Po cóż wrócili do Rinconady? Szwajcaria była tak łatwo dostępna, tak wygodna, mogłaby podróżować na hiszpańskim paszporcie swojego męża. Pomyśleć, że bezdźwięczne słowa żebraka zmusiły ich do powrotu do tego piekła...

– Czekam na twoje wyjaśnienia, Emperatriz.

Wszystkie te twarze patrzące na nas w kawiarni...

– Wszystkie te twarze patrzące na was w kawiarni...

– Skąd pan to wie?

– Teraz wiem wszystko. Mam wspólników na zewnątrz, którzy pomagają mi w realizacji moich planów, bo wiem również, co to znaczy mieć plany; moi wspólnicy to ci, którzy cierpieli wraz ze mną, w czasie tych pięciu dni spędzonych na zewnątrz, ci, którzy utożsamili się ze mną, kiedy chciałem zamienić się w istotę ludzką. Oni uprzedzili mojego ojca, że uciekłem, a on przyjedzie, Emperatriz, obiecał to, przyjedzie, by zobaczyć, czy rzeczywiście spełniłaś swój obowiązek utrzymania mnie poza zasięgiem wszystkiego...

– Dzisiaj?

– Nie wiem, może za parę dni, wiesz, że mój ojciec na starość trochę zramolał...

– Mój Boże, don Hieronim u kresu sił!...

– A ty to wykorzystujesz. Chciałbym cię uprzedzić o jednym: mój ojciec nic nie wie o twoich wybiegach, mających na celu wypaczenie jego pierwotnej idei. Rozumie, że jego obecność w Rinconadzie jest niezbędna, ale to będzie wizyta, wizyta, którą ja i ty, bo masz mi w tym pomóc, przeciągniemy możliwie najdłużej...

– Ale co Hieronim będzie tu robił?

– To się dopiero okaże. Jeśli nie chcesz, żeby cię wyrzucił z domu wraz z Azulą i innymi potworami, jeśli nie chcesz, żeby ludzie z nas drwili, tak jak tamtego wieczoru w kawiarni, a ze mnie w barach, na ulicach, a nawet w domu publicznym... Nie pozwolono mi dotknąć żadnej normalnej kobiety, krzyczano, że potwory są wymysłem diabła i przynoszą nieszczęście, wreszcie kurwy wyrzuciły mnie na ulicę... Jeśli nie chcesz więc, żeby was

odesłano i żeby ten raj znikł z powierzchni ziemi, jeśli nie chcesz tego, oboje musicie przyjąć moje reguły gry i ślepo mnie słuchać. Inni są już uprzedzeni. Zanuluję cały świat zewnętrzny, a jeśli nie będziesz mi posłuszna, opowiem Bercie, że jesteś parweniuszką, że nigdy twoja noga nie postała w tym arystokratycznym college'u, o którym tyle gadasz, że wprawdzie ty znakomicie znasz wyższe sfery, ale ciebie nikt tam nie zna...

– Jeśli Berta się o tym dowie, umrę!

– Zgadzam się, żeby przemilczeć wiele rzeczy, ale musisz przyjąć moje założenia, zrozumieć, że jesteś moją niewolnicą. Musimy unicestwić świat zewnętrzny. Ty, Azula, zoperujesz mnie raz jeszcze: tym razem wykroisz ten kawałek mojego mózgu, w którym zebrały się wszystkie doświadczenia tych pięciu dni spędzonych poza Rinconadą, i zaszyjesz mnie przywróciwszy mi uprzednią niewiedzę i czystość.

– To nie będzie łatwe...

– Ale jest możliwe?

– Tak, jest możliwe.

– Mnie interesuje tylko moja część Rinconady, moje patia. Reszta należy do was, możecie z tym zrobić, co wam się podoba, nie obchodzi mnie to, możesz sobie to wszystko wziąć, Emperatriz, daję ci w prezencie całą Rinconadę, ty, Azula, i potwory pierwszej klasy, możecie po śmierci mojego ojca zabrać sobie wszystko, pod warunkiem, że ja stanę się abstrakcją. Po przebyciu pięciu dni na zewnątrz odechciało mi się żyć. Jakiś poeta powiedział: „Żyć? Co to znaczy żyć? Pozwólmy naszej służbie zrobić to za nas". Wy jesteście moją służbą. Wy przeżyjecie to, z czego ja rezygnuję. Teraz, kiedy znam już rzeczywistość, interesuje mnie tylko to, co nierealne.

– A on?

– Kto, mój ojciec czy ten drugi?

Emperatriz zawahała się, zanim odpowiedziała:

– Hieronim.

– Gdybym miał syna potwora, takiego jak ja, postąpiłbym w stosunku do niego dokładnie tak samo. Widziałem go, jak szedł ulicą pewnego ranka, ubrany w jasnoszary garnitur, trzymając w dłoni rękawiczkę. Dlatego twój lancet, Azulo... Jeśli wyrwiesz ze mnie te pięć dni, ofiaruję wam, tobie i Emperatriz, wszystko to, co odziedziczę. Przeszczep to komuś innemu, niech ktoś inny żyje z tymi koszmarami. Mnie wystarczą moje patia, gdzie będzie panował taki porządek, jaki panował tu przedtem.

– A Hieronim?

– Przyjedzie. Już niedługo. Moi przyjaciele już go kuszą szepcząc mu do ucha, już go mamią tą największą ze wszystkich pokus...

– Jaką?

– Że ja będę miał dziecko. W ten sposób, niejako przeskoczywszy mnie, mnie – ogniwo potworności, ród zostanie oczyszczony. Operacja ma być zrobiona jak najszybciej. To, co mam, będzie wasze, jeżeli uda ci się utrzymać mnie poza zasięgiem wszystkiego... Będziecie mogli robić, co zechcecie... Chcecie tu zostać czy odjechać?

Spojrzeli po sobie w milczeniu.

– Jeżeli chcecie, możecie odjechać.

Emperatriz miała zamknięte oczy, małymi, grubymi rękami zasłaniała sobie łono. Poruszyli przecząco głowami.

Boy stwierdził:

– Bardzo dobrze. Musicie się przygotować. Prawda, którą wymyślono dla mnie, będzie moją jedyną prawdą i umrę bez lęku, bo zapomnę, co znaczy umierać. Proszę, podtucz mi jak najwięcej „najgrubszych kobiet świata", Emperatriz, i wszystkie mają być takie same, samo cielsko, a ty, Azulo, ulepsz twoje papki o smaku waniliowym, od

dziś znów nie będę jadał nic innego, a te grube będą następowały po sobie jak twoje papki, równie starannie przygotowane, równie odżywcze, one także dopomogą do utrzymania mego organizmu w dobrym stanie. Grube i papki... Nigdy nic innego.

– Ależ, Boy!

– Co, Emperatriz?

– A on?

– Kto?

Karlica zamknęła oczy i wydała długi przenikliwy krzyk. Po czym nagle zamilkła.

– Teraz rozumiesz, Emperatriz?

– Co?

– Ból, jakiego się doznaje, kiedy się pragnie dotknąć kogoś, kogo dotknąć nie wolno?

– To on ci o tym wszystkim opowiedział?

– On.

– No cóż... Kiedy przyjedzie Hieronim?

– Nie wiem, ale kiedy przyjedzie, będę siedemnastoletnim Boyem, o którym tak bardzo marzył. Z tą drobną różnicą, że czekając, aż będę mógł poddać się operacji, w której Azula wytnie ze mnie te pięć dni – do czasu jego zniknięcia będę udawał i wy też. Następnie, kiedy Azula mnie zoperuje, a mój ojciec zniknie, dam wam wszystko, abyście z wewnątrz pomogli mi utrzymać moją wersję prawdy.

Doktor Azula wstał.

– Ja nie przyłożę ręki do tej zbrodni.

– Kto mówił o zbrodni, Cris? Nie bądź głupi, kochanie.

# 28

– To on tak urządził to wszystko?

– On.

– W końcu wyrobił sobie pewien smak. Humberto zawsze był bystry. To bardzo przyjemne mieszkanko. Całe życie można by tu mieszkać...

– Oto sypialnia.

– Proszę tutaj postawić moje walizki.

– Myślałam, że będziesz mieszkał u mnie.

– Sam nie wiem, ale patrząc na to ma się ochotę zostać w mieszkaniu Humberta. Ty... Jak się nazywasz?

– Basilio, proszę jaśnie pana.

– Wnieś tu moje bagaże i poukładaj rzeczy w garderobie, a ja tymczasem zajmę się czymś innym.

Wyszli na taras, z którego rozciągał się widok na ogrom frontowego trawnika, basen, różnokolorowe parasole, magnolie, araukarie, topole i eukaliptusy rosnące w parku i na widoczny w głębi łańcuch gór.

– Już zapomniałem, że to wszystko jest takie piękne...

– Niezwykle piękne. Cris zawsze mówi...

– A to? Biblioteka. Mój Claude Lorrain! Jak dawno go już nie widziałem! Człowiek ma wrażenie, że odnajduje przyjaciela, którego nie widział całą wieczność, i sam siebie pyta, jak mógł wytrzymać tyle czasu bez rozmowy z nim. To nie byle jaki Lorrain, wspaniały, teraz już się nie

znajduje obrazów z tego okresu... A to orzechowe biurko, przy którym pisał...

– Nie, nie pisał!

– Szkoda. Miał duży talent.

– W rzeczywistości nigdy nic nie napisał, Hieronimie. Spędzał czas na rozmyślaniach nad tym, co napisze, a czasami, wieczorem, kiedy zbierała się tutaj jakaś miła grupka ludzi, opowiadał nam o swoich planach.

– Może to i lepiej. Jedną z wad Humberta było, że uważał moją biografię za tworzywo literackie.

– Tak, początkowo wiele mówił o tym, ale potem wszystko się rozpadło. Humberto nie miał w sobie prostoty. Odczuwał potrzebę wykrzywiania wszystkiego, rodzaj skłonności do zemsty i destrukcji, i to właśnie zmieniało i komplikowało jego początkowe zamysły, wciąż gubił się w wymyślonym przez siebie labiryncie, pełnym cieni i strachów, bardziej realnych od niego samego i jego bohaterów, zawsze ulotnych, płynnych, nigdy nie mających ludzkich cech; byli to aktorzy, przebierańcy, roztapiające się makijaże... tak, jego obsesje i nienawiści były dla niego ważniejsze niż rzeczywistość, której nie umiał zaakceptować...

– To ciekawe, co mówisz, Emperatriz. Byłby z ciebie dobry krytyk literacki...

– Tyle lat spędziliśmy razem...

– Zapewne. Ale zauważ, że najważniejszym problemem biednego Humberta była potrzeba nadania mi duchowej prężności i siły, których faktycznie mi brakowało, stąd jego potrzeba wymyślania mojej biografii, w której się zgubił... Ach, Azula, proszę, niech pan wejdzie, co za miła niespodzianka, niech pan siada, Basilio, whisky dla doktora. Przyjemny dom, nieprawdaż?

– Mój jest równie przyjemny, kuzynie.

– Tak, ale twój dobry smak nie ma wdzięku, Emperatriz. Chociaż zawsze byłaś biedna, a twoja matka była, zdaje się, urzędniczką w Centrali Telefonów...

Emperatriz zaczerwieniła się; niech sobie mówią, co chcą, jej matka była wielką damą.

– ...mimo wszystko miałaś jakieś dane, aby wyrobić sobie smak. Natomiast u Humberta wszystko jest jego własną inwencją. Ale nie mówmy już o tym, jesteście tutaj, Azula i ty, żeby nadal utrzymywać panujący tu styl...

Wszystko szło tak, jak sobie tego życzył, Emperatriz zapewniała go, że na niczym się nie zawiedzie: wyniki badań, które jej powierzono, były naprawdę cudowne. Czy wolałby odpocząć po podróży, czy natychmiast zobaczyć swego syna?

– Nie... Jestem trochę zmęczony. I głodny.

– Zobaczysz go więc po obiedzie?

Hieronim wahająco powiedział, że może nie, może raczej nie dzisiaj, naprawdę dzisiaj jest strasznie zmęczony, wolałby przejść się po parku, który nasuwa mu tyle wspomnień, poznać ludzi lub też się przespać, tak, niech przygotuje mu taras, żeby mógł tam spędzić resztę dnia. Może jutro, tak, z pewnością jutro, wcześnie rano...

Lecz nazajutrz rano kazał osiodłać konia. Pojechał obejrzeć swoją posiadłość, szerokie aleje, laguny pełne ptaków, budki dzierżawców, zamieszkane obecnie przez potwory trzeciej, czwartej, piątej klasy... Doskonale, Emperatriz, gratuluję ci, cóż za nadzwyczajna ostrożność otoczyć wszystko izolującym pasem potworów, idea rzeczywiście znakomita, powiedział Hieronim przy wieczornym posiłku, z twarzą zaróżowioną od słońca i złagodzoną uśmiechem szczęścia.

– Emperatriz...

– Co?

– Przyszła mi do głowy taka fantazja... zachcianka małego dziecka...

– Cóż takiego?

– Przypominał mi się krem migdałowy, który dawniej robiła w Rinconadzie Peta Ponce w miedzianym garze, cudowny przysmak przyrządzany na dopiero co wydojonym mleku. Stara spędzała całe popołudnia na mieszaniu ingrediencji w garnku, miało to smaczek dymu z drzewa iglastego, nadkwaśniałego mleka... przypomniałem to sobie i nagle zachciało mi się...

– Ależ, Hieronimie! Nic prostszego. Wydam odpowiednie polecenie i jutro dostaniesz na śniadanie taki krem...

Hieronim odkładał z dnia na dzień swoją wyprawę do posiadłości Boya. Żyjąc wśród wesołych potworów, chlapiących się w basenie i grających w golfa, słuchających na swoich tranzystorach Petuli Clark, nakładających na ciała całe warstwy kremów, żeby się ładnie opalić, i przerzucających ostatnie „Paris Match", żeby wiedzieć, z kim się ożeni Gunther Sachs, Hieronim odprężył się trochę, a Berta nie oparła się chęci mrugnięcia na niego. Wszystko, każdy zakręt alei obrzeżonej wielkimi hortensjami, każdy kąt galerii, wszystko wywoływało w nim wspomnienia żony. W dodatku Emperatriz niezmordowanie pytała go o Inez, jej klejnoty, jej stroje...

– Wszystkie jej rzeczy zostały spakowane i odesłane.

– Dokąd?

– Do Domu Ćwiczeń Duchowych „Zwiastowanie" w Chimbie.

– Ach tak, do tej rodzinnej kapelanii?

– Tak. Wszystkie celki są pełne jej rzeczy. Pewnie je teraz jedzą mole.

– Jaka szkoda, że to wszystko niedługo się skończy!

– Skończy się?

Hieronim zatrzymał się przed Emperatriz: przeraziła się, widząc jego wzrost, jego piękność, jego bujne jeszcze białe włosy. Znaleźć się naprzeciwko niego, widzieć go – to było to samo, co nagłe spotkanie w kawiarni z tamtymi ludźmi, drwiącymi, niszczącymi wszystko, co najbardziej intymne... Patrząc na niego z dołu, karlica poczuła zawrót głowy.

– Nic się nie skończy.

– Przecież nie jesteś wieczny...

– Nie?

– Tak mi się przynajmniej wydaje...

– W trakcie tych kilku, tak przyjemnych zresztą, tygodni spędzonych w Rinconadzie doszedłem do wniosku, że to nie powinno się skończyć. Niech Boy się ożeni i niech się nic nie kończy. Nie wiem, może to sprawił smak tego kremu migdałowego, jaki kiedyś robiła Peta Ponce, ale naszła mnie nagła chęć posiadania wnuków.

– A my, mój kuzynie?

– Czy nie płaciłem wam dobrych pensji przez Bóg wie ile lat? Jestem pewien, że sobie poradzicie.

– Są sprawy, których pieniądze nie załatwiają.

– To śmieszny banał.

– Nieprawda.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– My także jesteśmy twoimi ofiarami.

Oto padło słowo, do wypowiedzenia którego chciała doprowadzić.

– Moimi ofiarami, Emperatriz?

– Tak, twoimi ofiarami. Dzięki nam, dzięki naszym monstrualnym postaciom, twój syn żyje jak król, jest królem. My – to dekoracja: tło w głębi, teatralne niebo, duże łby z kartonu, maski. Jeśli wycofamy się z otoczenia

postaci centralnej, która urodziła się na scenie i wcieliła w króla, zginie ona, runie w przepaść. Twój projekt nie będzie taki łatwy do zrealizowania...

– Usiłujesz się bronić...

– Nazywaj to, jak chcesz. Przypomnij sobie, że wychodzę raz na rok. I to coroczne wyjście potwierdza moją chęć, aby nadal stanowić część scenografii, część malowanego kartonu. Czy chcesz zabrać go ze sobą, by poszukać mu narzeczonej, a nas porozpędzać na cztery wiatry?

– Nie wiem. Nic jeszcze nie wiem, chcę go zobaczyć. Jestem bardzo ciekaw, jak wygląda. Jutro...

Jak tylko Hieronim wycofał się do swej sypialni w wieży Humberta, Emperatriz i doktor Azula, przeprowadziwszy konferencję z potworami pierwszej klasy, obudzili Boya. Przedstawili mu dokładnie szczegóły planu jego ojca: ożenić go z brzydką kuzynką, żeby mieli dzieci i wnuki, żeby żył w mieście, żeby poświęcił się karierze politycznej, interesom, żeby stał się członkiem klubu Unii Międzyparlamentarnej. Koniec Rinconady – oto, czego chce jego ojciec.

Boy długo się śmiał. Rinconada nigdy się nie skończy. Już on to bierze na siebie. Jeśli oni mu pomogą, oni, potwory pierwszej klasy, on podejmuje się dać im schronienie. Kiedy Hieronim znajdzie się w ich rękach, nic już nie będzie w stanie zniszczyć Rinconady; świat z kartonu, o którym mówiła Emperatriz, stanie się rzeczywistością, ona sama nie będzie już musiała nigdy stąd wychodzić. Tak, tak, wobec niebezpieczeństwa powrotu do świata, którego oni już nie pamiętali i woleli sobie nie przypominać, przysięgli Boyowi posłuszeństwo. W tej sytuacji należało zjednoczyć się i zapomnieć o urazach, należało obronić ich świat, aby nikt mu nie zagrażał. Hieronim również nie miał prawa mu zagrażać: nie zostali stworzeni jako narzędzie w jego ręku ani jako cząstka świata, którą

on, ot, tak sobie, mógłby zniszczyć tylko dlatego, że naszło go jakieś wspomnienie, że najadł się migdałowego kremu, że zląkł się czegoś lub że chwyciła go nostalgia... Zachowuje się jak jakiś cofnięty w rozwoju Bóg, który nigdy nie przekroczył etapu beztroskiego i pełnego fantazji dzieciństwa, znudził się innymi grami, a teraz chce, by jego zabawki były ciągle zastępowane przez nowe, które po jakimś czasie znów uzna za stare i zniszczone; jak jakiś dotknięty sklerozą Bóg, który stwarzając świat nie zabezpieczył się przed tym, co może mu grozić... O nie, przebrał miarkę, nie uda mu się podpalić tego wszystkiego jak zbioru starych masek, gier, szachownic, pionków, nie dadzą się zmusić do wyjścia ku temu, co zwie się rzeczywistością. Co roku, w parę dni po powrocie stamtąd i nieodzownym odpoczynku, Emperatriz opowiadała im rzeczy, od których włosy stawały dęba na głowie; oni się nie zgodzą, by ich wydano na pastwę świata zewnętrznego, którego już nie pamiętają. Nie chcemy zniknąć, nie zgadzamy się na zniszczenie Rinconady: byli z Boyem i zgadzali się na wszystko, co on zadysponuje. Może nimi rządzić, we wszystkim. Podporządkują mu się całkowicie, jeżeli tylko obieca, że będzie ich bronił przed tym piekielnym ojcem, który chce ich zniszczyć, przed tym panem, który uważa się za władcę świata tylko dlatego, że sam go stworzył. Tak, Boy może nimi dysponować.

Mimo swojego wieku Hieronim zachował doskonałość kształtów, jak gdyby minione lata nie miały o co się zaczepić, jakby nie mogły znaleźć miejsca, od którego dałoby się go zaatakować. Widząc, jak wchodzi na pierwsze patio Boya, karlica wydała szczery okrzyk bólu i uciekła, raz, żeby go nie widzieć, a po drugie, żeby on jej nie zobaczył; szlochając postępowała wbrew rozkazom Hiero-

nima, który uważał, że przesadza w graniu swojej roli – przecież w końcu chodziło o udawanie strachu tylko w obecności Boya, a Boya jeszcze tu nie było. Ale karlica popędziła nago przez korytarze, krzycząc do wszystkich, by uciekali, uważali, bo pojawił się jakiś straszliwy stwór niewiadomego pochodzenia.

Zwinięta w kłębek jak konająca jaszczurka pod równo ściętym żywopłotem, nie ofiarowującym żadnego zagłębienia, w którym można by się schronić, Berta dziko jęczała, niezdolna oderwać zafascynowanych oczu od zjawiska, które przechodziło przez patio, przyjacielsko ich pozdrawiając. Melchior usiłował przegonić je, poruszając gwałtownie gałęziami. Basilio rzucał w nie kamieniami, ukryta za pomnikiem garbatego efeba Melisa wołała do Boya, by uciekał, schował się, jeśli może, w bezpieczne miejsce, bo coś straszliwego i niepojętego przybyło do Rinconady. Zauważywszy Hieronima na końcu galerii, Boy zbliżył się do niego na odległość dziesięciu kroków. Przez chwilę wpatrywał się w niego z przerażeniem i zachwytem, pożerając oczami każdy szczegół tej nieprawdopodobnej zjawy, a potem zakrył sobie twarz, odwrócił się i pędem uciekł w głąb domu, wydając przeraźliwe okrzyki. Niech go zabierają, niech znika, niech ani chwili tu nie zostaje, co to za duch, Emperatriz, wywołujący we mnie uczucie, jakiego jeszcze nigdy nie odczuwałem i nie chcę odczuwać, uczucie, że płaczę ze strachu, chociaż nie wiem, co to jest strach... Melchior, Basilio, wytłumaczcie mi to... To wstręt, proszę panicza, to niesmak, my odczuwamy to samo, to bojaźń w obecności czegoś tak dziwnego, że aż groźnego, ale niech się panicz uspokoi, przyzwyczai się panicz, wszyscy będziemy musieli się przyzwyczaić, zresztą nie wygląda na złośliwego, ależ wygląda, jest, na pewno jest złośliwy, zły, jego

złośliwość polega na tym, że jest tak wyjątkowy, aż wywołuje strach, to niesamowite... Niechże się panicz uspokoi...

Tego dnia Boy nie zgodził się na spotkanie z ojcem.

Wieczorem, gdy chłopiec już spał, a w jadalni Emperatriz podano do stołu kuropatwy, może jeszcze delikatniejsze niż za czasów jego dzieciństwa, Hieronim pogratulował talentu, z jakim ona i wszyscy inni odegrali swoje role. Przez chwilę naprawdę się zląkłem, że dosięgnie mnie kamień rzucony przez Basilia...

Emperatriz zapewniła go, że kamień rzucony przez Basilia zawsze dosięga zamierzonego celu; komedia godna sfilmowania – dodała Berta – tak dobrze ją zagraliśmy.

– To nawet nie jest komedia, kuzynie...

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja naprawdę was przerażam?

Wszyscy roześmiali się w świetle liliowych świec. Cały stół był udekorowany liliami. Emperatriz była czarno ubrana, na ramionach miała szal z lekkiej liliowej materii.

– Cóż za pomysł, kuzynie! Chociaż, może i tak...

– Jak to?

– Bo od tak dawna jesteśmy poddani regułom tutejszego świata, że nie musimy już grać, w każdym razie ja...

Wszyscy przytaknęli.

– ...nie musimy udawać przerażenia na widok twojej monstrualności, gdyż tu, między nami, rzeczywiście przekształcasz się w monstrum.

Hieronim wziął do ręki kieliszek wina.

– To niebywałe. Może z początku trochę krępujące, ale w końcu z pewnością przyzwyczaję się do tego. Może uda mi się dopiąć tego, żeby on także się do mnie przyzwyczaił. Mam straszną ochotę poznać go, porozmawiać z nim...

– Później... Powoli... Gdy nauczysz się jego języka.

– Tak, naturalnie.

– Chodzi o opanowanie jego niezwykłej uczuciowości, o ułatwienie mu akceptacji twojej obecności, która jest w jakiś sposób niezwykła, w świecie, gdzie dotąd żadna niezwykłość nie istniała... krótko mówiąc, wszystko to potrwa jakiś czas...

– Co mi radzicie?

– Być cierpliwym.

Codziennie, każdego dnia na trochę dłużej, Hieronim rozebrawszy się wchodził na patia Boya. Każdego dnia, o danej godzinie, naga Berta rozkładała swoje nieruchome, obarczone ciężarem lat ciało na stopniach, opierała się o kolumnę, pełzła po ścieżkach obrzeżonych wystrzyżonym żywopłotem; za nią szedł kot o zbyt wielkiej głowie. Codziennie po południu jedna z najgrubszych kobiet świata ofiarowywała młodzieńcowi jego dozę rozkoszy. Co ranka doktor Azula badał Boya, codziennie Emperatriz wydawała zarządzenia dotyczące jego jedzenia, papki ze smakiem waniliowym, codziennie... Melchior codziennie... Basilio... rozkład dnia przewidziany, przepisane dawkowanie... Rytuał. Wszystko było rytuałem. A teraz niepostrzeżenie, codziennie o parę minut dłużej, w ten sposób, by dziecko nie zdało sobie sprawy, że jakiś nowy element włącza się do jego świata, nagi Hieronim przesuwał się przez galerie, nie zwracając uwagi na strach, jaki jego obecność wywoływała w tych stworzeniach, które przed nim uciekały. Przyzwyczaił się, że od czasu do czasu muska go kamień rzucony przez Basilia, że policzek wymierzony przez Melchiora zostawia ślad na jego twarzy, że paznokcie Berty, doprowadzonej do histerii jego obecnością, drapią mu uda. Boy obserwował go; wprawdzie z daleka, ale już go obserwował. Jakiś krok naprzód – komentowali wieczorem w małym saloniku Emperatriz, usatysfakcjonowani postępami chłopca.

– Zaciekawiam go.

– To dobry znak.

– Teraz trzeba sprawić, żeby się do mnie zbliżył, żeby przyciągnęła go moja potworność.

Zgodnie z planami, jakie podjęto owego wieczoru, nazajutrz senator udawał, że drzemie na zalanej słońcem ławce, kątem oka widząc, że stojący w oknie Boy pilnie go obserwuje. Argumenty brata Mateusza zwyciężyły w końcu obrzydzenie chłopca w stosunku do ojca, mimo to brat Mateusz trzymał Boya, aby nie uciekł. Boy zamknął oczy. Zadowolił się udawaniem, że patrzy. Obraz ojca był już zbyt boleśnie wyryty pod jego powiekami.

– No, widzi panicz, że nie jest aż tak okropny?

– Ależ jest, jeszcze straszniejszy z bliska niż z daleka!

– Czyżby?

– Jak się nad tym trochę zastanowić, widzi się cały komizm tej budowy. Spójrz na śmieszną monotonię jego proporcji, na te plecy tak proste, tę skórę taką gładką i jednolitą, nie budzącą zainteresowania ani swą fakturą, ani kolorytem... Nie powiesz mi, że to nie komiczne, taki nadęty balon...

Boy wybuchnął śmiechem, który obudził Hieronima. Cały drżący, z oczami pełnymi łez, trzymał się za brzuch ze śmiechu i wskazywał zagiętym palcem na ojca. Masz rację, Mateuszu, on nie jest zły, spójrz, jak znosi uderzenia mojej różeczki, jak pozwala ciągnąć się za włosy, o, popatrz, idzie, słucha się mnie i maszeruje, spójrz, Mateuszu, jaki jest wyprostowany, jakie równe stawia kroki, jak wysoko trzyma głowę, och, jaki on komiczny, jakie to zabawne, ja się śmieję, śmieję się, ja, który dotąd nie wiedziałem, co to jest śmiech, to mi się podoba, och, nie chcę, żeby odchodził, niech mi nie ucieka ten potwór, kiedy tak mnie śmieszy. Chcę, żeby zaczął skakać! No,

skacz! Skacz! Jeszcze! Jeszcze! Teraz na jednej nodze! Teraz biegiem, spójrz, jak biegnie przez aleję i jak wraca dysząc, jaki on śmieszny, przyprowadź mu najgrubszą kobietę świata, żeby się z nią położył, zobaczymy, co z nią zrobi, czy może cokolwiek zrobić, popatrz, Emperatriz, popatrz, Mateuszu, popatrz, Berto, popatrz, Meliso, jak ten potwór przewala się z grubą, ale nic nie może z nią zrobić, spójrzcie na to, to wysuszone, pomarszczone jak stara rękawiczka, co on ma w tym miejscu, gdzie ja...

– Jestem trochę skrępowany...

Hieronim przełknął łyk znakomitego, zamrożonego daiquiri, jakie tylko Emperatriz umiała przyrządzać. Zjadł precelka, bardzo smaczny, oczywiście amerykański, ależ tak, ona serwuje tylko importowane przysmaki.

– Ale dlaczego, kuzynie?

– Po pierwsze dlatego, że to nie są rozrywki na mój wiek, a po drugie... kiedy widzę, jak okrążacie mnie i udajecie, że pękacie ze śmiechu, dość trudno jest mi się tak skoncentrować, żeby coś z tego wyszło...

Emperatriz sama o mało się nie roześmiała, mówiąc, że to, co powiedział Hieronim, jest hermetyczne, że oni nigdy nie zrozumieją dowcipu jej kuzyna... Jaka szkoda, że nie będzie go na jej urodzinach, z pewnością byłby duszą towarzystwa.

– Dlaczego nie miałbym przyjść, skoro mnie zapraszasz?

– Humberto nigdy nie przychodził na nasze przyjęcia.

– To w jego stylu...

– Kostiumowy bal... Wydaję je co rok. Nie wiem, czy ci się spodoba, gdyż aby było więcej osób, prócz potworów pierwszej klasy, zapraszamy także tych drugiej i trzeciej... Jeśli nie przeszkodzi ci tak mieszane towarzystwo...

– Dobry kostium może ukryć wszystko.

– Więc można liczyć na ciebie?

– Będę zaszczycony.

Zapewniano go, że bale wydawane przez Emperatriz są wprost szałowe, zawsze osnute wokół jakiegoś określonego tematu, w zeszłym roku na przykład był to „Szwajcarski Szalet", wszyscy ubrani byli w dirndle i skórzane spodenki, a cały dom Emperatriz, jej buduar i salony udekorowano sztucznym śniegiem i szarotkami.

– Zabawa była wspaniała.

– Trzeba było widzieć Basilia w skórzanych porteczkach i kapeluszu z piórkiem.

– A Melisa wzięła pierwszą nagrodę za jodłowanie...

Opowiedziano mu, że innym razem była to „Alhambra", kiedyś był niezapomniany „Szpital". W tym roku Emperatriz wybrała za temat „Dwór cudów". Dom i ogród zostaną udekorowane na zrujnowany klasztor, my przebierzemy się za chutliwe, szalone staruchy, za wygłodniałych żebraków, za paralityków, za zakrystianów i kaleki, i zakonnice, i mnichów... Przelicytowanie się na temat wspaniałości łachmanów, na stylizację nędzy... Na ścianach każe wymalować plamy wilgoci, odłażący tynk, a oni będą wędrować wzdłuż nie kończących się wąskich korytarzy, po patiach, pośród ścian w ruinach, po zdesakralizowanych już dzisiaj kaplicach, które zmieniły swe pierwotne przeznaczenie, a gdzie teraz wszyscy oddają się wyuzdanym orgiom... Po cóż się hamować, skoro wszyscy będą maskami istot normalnych, tyle że pożeranych przez chorobę, zniszczonych przez nędzę...

Nikt nikogo nie rozpozna.

Tego wieczoru, kiedy Hieronim położył się spać w wieży Humberta, potwory pierwszej klasy zebrały się na konferencji u Boya. Znaleźli go zupełnie przybitego. Było jasne, że męczy go jakaś myśl. Emperatriz nalegała, żeby

powiedział, o co chodzi: jeśli w takiej chwili będą coś przed sobą ukrywać, wszystkie ich plany mogą zawieść. Boy wyszeptał:

– Doktorze Azula...

– Słucham?

– Chciałbym się czegoś od pana dowiedzieć. Podjął się pan wyrwać z mego mózgu te straszliwe pięć dni, w ciągu których dowiedziałem się o wszystkim. Podtrzymuje pan to?

– Podtrzymuję.

– Chciałbym, żeby pan również wyrwał ze mnie mojego ojca. Czy może pan to zrobić, doktorze?

Lekarz zastanowił się.

– Niewykluczone, że jego obraz już za głęboko wżarł się w pana mózg... Nowotwór, kiedy zapuścił korzenie i ma przerzuty... Pewno musiałbym wyciąć duży fragment pańskiego mózgu; wtedy zostałby panu zaledwie cień świadomości, żyłby pan w półmroku, w czymś, co niewiele różniłoby się od śmierci, jakkolwiek by nią nie było... Mimo to...

Boy zakrył twarz rękami. Usłyszano jego jęk. Potwory spojrzały po sobie. Jak go pocieszyć? Ale nikt się nie ruszył, nie zapalił papierosa ani nie wymówił słowa, aż Boy, odkrywając twarz, oświadczył:

– Chcę być podobny do niego... Ratuj, Azula, usuń, co chcesz z mojego mózgu, zamień mnie, jeśli chcesz, w roślinę, ale wyrwij go ze mnie. Ratuj...

Nazajutrz oznajmiono Hieronimowi, że jego wizyty wzbudzają w Boyu wyraźny niepokój, wobec czego, zamiast go odwiedzać, należy przenieść się do niego na stałe, tam zamieszkać. Boy pyta o niego bez przerwy, budzi się w nocy z krzykiem, domagając się, by mu przyprowadzono jego potwora. Hieronim zgodził się

z entuzjazmem: perspektywa bezpośredniej rozmowy z synem, choćby na najprostsze tematy, napełniła go zadowoleniem; jego zdaniem, problem prokreacji należał właśnie do tych najbardziej elementarnych tematów. Oczywiście do Boya musi wejść nago. Zobaczywszy, że rozbiera się przy wejściu, Basilio otworzył mu drzwi; Hieronim wszedł, a olbrzym zamknął je na klucz, zatrzasnął dwie kłódki i założył łańcuch.

Tej nocy potajemne zebranie Boya i potworów miało miejsce na tarasie Humberta; trzeba było wszystko przyspieszyć.

– Dokumenty są gotowe, Emperatriz?

– Tak, wszystkie.

– Daj mi je... i atrament do podpisu. Jeden, drugi, kopie, pełnomocnictwo w sześciu egzemplarzach... męczące jest podpisywanie tych wszystkich papierów... te są już mniej ważne. Ach, i mój testament, cały mój majątek oddany dożywotnio w użytkowanie jakiejś kooperatywie lub towarzystwu, którego przewodniczącą będzie Emperatriz, pod warunkiem ochrony i rozwoju Rinconady i obszarów zamieszkanych przez potwory wszelkich kategorii...

Nazajutrz ojciec i syn spotkali się przypadkowo nieopodal basenu Diany; ojciec powiedział, że chciałby z nim pomówić, na co mały, że owszem, bardzo chętnie go wysłucha, ale pod warunkiem, że tamten będzie chodził na czterech łapach jak zwierzę, tak, właśnie tak, w takiej pozycji i w żadnej innej, ma prawo do niego mówić: na to Hieronim, że on jest ojcem, ależ ja nie wiem, co to znaczy ojciec, i że jego matka... ależ ja nie wiem, co to matka... Trzeba z nim zaczynać od samego początku; idąc za nim na czterech łapach jak pies przez korytarze, Hieronim usiłował wytłumaczyć mu tę sprawę, ale Boy nie tylko nic

nie rozumiał, lecz zwyczajnie śmiał się z jego słów, po czym zrobił półobrót, obrzucił go wzrokiem od stóp do głów i oddalił się ziewając.

Gdy tylko Boy zniknął, Hieronim podniósł się i pobiegł na poszukiwanie Emperatriz: chciał podzielić się z nią wiadomościami o postępie w ich wzajemnych stosunkach, które, choć jeszcze niewystarczające, były chyba na dobrej drodze. Ale kiedy zbliżał się do niej, karlica krzyknęła:

– Odejdź, brzydzę się tobą, nie dotykaj mnie, nie zbliżaj się do mnie. Nie rozumiem, co się stało Boyowi, że pozwolił tak sobie zawrócić w głowie.

Krótko mówiąc, Emperatriz nie chciała go wysłuchać; Hieronimowi wydawało się, że nieco przesadza, ale przypomniały mu się słowa kuzynki, że oni, potwory, niczego nie udają, że pod wpływem reguł, które on i Humberto narzucili im tyle lat temu, ich prawdziwą reakcją na widok normalnego człowieka jest wstręt. Nie byli już wolni, lecz uwarunkowani tymi dawno narzuconymi im przez niego reakcjami. Postanowił wyjechać tego samego wieczoru... Co tu właściwie robił, upokarzany, zmordowany, kiedy jego szaro obite fotele czekały na niego w bibliotece żółtego domu na wprost parku... Wystarczy wysłać Boya do kliniki lub wpaść na jakiś inny pomysł, już się tam coś znajdzie, i porozpędzać wszystkie te nieprzyjemne, ponure mordy, a może maski... Uznał, że dość tego, nagle poczuł się nieprzytomnie tym wszystkim zmęczony. Nie jest przyjemnie w jego wieku stać się pośmiewiskiem, chodzić na czterech łapach, myć szyby, zamiatać korytarze, puste pokoje, galerie i nie kończące się patia, zamurowywać drzwi, tynkować ściany, palić stare gazety, czyścić spróchniały zadek figlarnej Wenus, krygować się, uciekać przed ścigającą go sforą kulawych, parszywych, bez uszu, częściowo sparaliżowanych psów, psów o błyszczących oczach,

olbrzymich łbach, groźnie wyszczerzonych kłach, ze śliną obficie spływającą po obwisłych wargach, być zmuszonym do posłuszeństwa w stosunku do każdego z tych potworów, które w końcu... ależ tak, dlaczegoż miałbym się ich bać, skoro mogę przepędzić ich wszystkich, kiedy tylko zechcę... Co dzień chcę powiedzieć Emperatriz, że dość już tej farsy, i zwolnić ich, ale nigdy nie udaje mi się z nią pomówić, padam z wyczerpania, potwory śnią mi się bez przerwy, zbliżają się do mnie, widzę je przy przebudzeniu, nie umiem już odróżnić realnych od tych ze snu, te wzbudzające grozę twarze o ogromnych nosach, wydatnej szczęce, o ustach pełnych zębów, śmiejące się do upadłego, dzień i noc wrzeszczące, że to ja jestem potworem, na korytarzach, gdzie pojawiają się nowe nie znane potwory, bo teraz wszystkie są nie znane, gdybym tylko znalazł chociażby jednego znajomego potwora, ale nie... to musi być jakiś sen, te przejścia pełne pajęczyn, a jeśli to sen, to całkiem normalne, że potwory zaprzyjaźnione, te potwory z jawy, nie ze snu, nie mogą tam się znaleźć. Ratujcie mnie przed tymi prześladowaniami, niech już nie wrzeszczą, że jestem pośmiewiskiem świata, już nie wiem, gdzie jest wyjście, nie znam tych korytarzy ani tych podwórek, przed chwilą je tutaj wybudowano. Och, gdybym znalazł drzwi, mógłbym namówić Basilia, żeby mnie wypuścił, ale tu nie ma Basilia; włóczą się bez celu podobni do Basilia, lecz to nie Basilio, kuzyni, bracia, może wujowie podobni do niego, ale nie on, gdyż opowiadają mi jakieś niedorzeczności, kiedy błagam ich, Basilio, otwórz mi, pozwól wyjść, jeśli mi pozwolisz wyjść, dam ci wszystko, co zechcesz, ale to nie jest Basilio, bo obrzuca mnie kamieniami, które mnie ranią w pierś. Och, te garby, te twarze albinosów, te buldoże łby, te potworne olbrzymki, spacerujące przelewającym się krokiem, które mnie

gonią, to wszystko są moje własne koszmary, koszmary, które znałem i z którymi rozmawiałem, które mi odpowiadały, lecz teraz są głuche i nieme, dążą tylko do tego, bym padł ze zmęczenia, runął do łóżka nie mogąc ostrzec Emperatriz, że to wystarczy, niech się to skończy, dosyć, dosyć! Lecz oni ścigają mnie także i nocą, męcząc mnie przed następnym dniem, pozbawiając mnie wszystkiego, co w sobie noszę, prócz chęci błagania ich o zmiłowanie, chociażby o krótkie zawieszenie broni, ale nie dają mi go, krzyczą, piszczą, chłoszczą mnie, śmieją się, podnoszą ręce do twarzy, żeby rozpoznać moje rysy, nawet jeśli są to tylko moje odwieczne rysy potwora, tak, tak, tak, przyznaję, zawsze byłem potworem, nigdy nie byłem kimś, nigdy nie ciążyły na mnie poważne funkcje publiczne, nigdy nie kochały mnie najpiękniejsze kobiety... Po tym człowieku nie pozostał żaden ślad. Zatrzymuję się, spocony, dyszący, i oto staję naprzeciwko tłumu elegancko ubranych potworów, kostiumy, ubrania, dodatki z krokodylowej skórki, szlafrok z czerwonego frotté dla atlety wielkoluda, toczek z białych i żółtych rumianków na łbie buldoga, biała sutanna *wash and wear* również bardzo dostosowana do pory roku, a on w perłowoszarym garniturze, z szerokim szarym krawatem, z szarymi rękawiczkami, które trzyma w ręku, wszyscy odświeżeni i wypoczęci, gotowi w każdej chwili powrócić do swego normalnego życia, jak tylko coś... nie wiem co... nie chcę nawet o tym myśleć... stanie się lub się nie stanie. Ja jeden jestem inny, czerwienię się ze wstydu, zdając sobie sprawę, że jestem jedynym nagusem w tym wielkoświatowym, eleganckim zgromadzeniu. Mój syn, szczyt elegancji, wysuwa się na czoło:

– Jak śmiesz prowokować podobny skandal? Oszalałeś? Co ci się stało?

Przepraszam, ale co wam się stało? Dzieje się tu coś dziwnego. Emperatriz, daj mi klucze, lecz nikt go nie słucha, bo wszyscy się śmieją wniebogłosy i od tego śmiechu puchnie mi głowa, zaraz pęknie, bo oni siedzą w niej, w środku, ktoś cienkim wysokim głosem krzyczy, żebym nie śmiał mówić o mojej normalności, to oni są normalni, nie ja, Boy woła Basilia. Chodź, Basilio, zabierzmy go, żeby na siebie popatrzył, Basilio i inne potwory atleci ciągną mnie, ja kopię, krzyczę, zostawcie mnie w spokoju, ale oni prowadzą mnie aż do fontanny Diany Łowczyni i zmuszają do wejścia na obmurowany brzeg. Wszystkie potwory wystrojone w tweedowe marynarki, w kostiumy, kapelusze, z torebkami, w butach z krokodylowej skórki, uważnie obserwują scenę z podmurówki, nad którą wznosi się garbata Diana o wydatnych szczękach, ze swoim półksiężycem na czole. Basilio trzyma mnie za jedno ramię, Boy więzi drugie i wśród ogólnej ciszy jego głos mówi:

– Spójrz na siebie.

Spuszczam wzrok, żeby zobaczyć to, co wiem, że zobaczę, moje klasyczne proporcje, moje siwe włosy, moje regularne rysy, moje błękitne spojrzenie, kształtną brodę, ale ktoś rzuca podstępnie kamień w lustro wody, rozbija mój obraz, miażdży moją twarz, ból jest nie do zniesienia, krzyczę, wyję, szyja przetrącona, zraniona, rysy twarzy w rozsypce, ogromnym wysiłkiem uwalniam się od rąk, które trzymają mnie na uwięzi, i uciekam, usiłując paznokciami zedrzeć tę maskę, której nie mogę odczepić, chociaż wiem, że to maska, bo przecież to jest bal maskowy u Emperatriz, a ja przebrałem się za potwora, drapię moją twarz, tryska krew: może to dowód, że nie ma maski, lecz drapię dalej, gdyż muszę ją zerwać mimo bólu, muszę, muszę, nawet gdybym miał zostać bez twarzy, tak,

dojrzałem w sobie monstrum wykrzywione w odbiciu sadzawki, oni, tamci, są istotami zbudowanymi harmonijnie, są wysmukli, zgrabni, to ja jestem błaznem na tym księżycowym dworze wystrojonych osobistości, ja jeden jestem nagi, muszę znaleźć moje ubranie, muszę okryć moje ułomności i pohamować ich drwiny. Miałem przecież ubranie. Szukam drzwi idąc poprzez nagle wyludnione korytarze, chcę znaleźć wyjście, ale wyjść nie ma, zamurowano je na czas balu u Emperatriz, porozwieszano pajęczyny, zniszczono ściany, przedłużono galerie sztucznymi perspektywami, o które obijam sobie głowę usiłując uciekać. Wszystko zamurowane, żeby zamknąć moją monstrualną postać, ale to tylko obraz, na zewnątrz jestem kimś innym. Teraz, kiedy oni zniknęli, mogę biec do fontanny Diany – nikt o tym nie będzie wiedział – żeby odzyskać drugi obraz, którego jednak nie ma, na wodzie kłębi się tylko wir rysów, ta dekompozycja planów, ten przerost form, te okaleczenia, te szwy, blizny, ramiona, które nie pasują do ciała, zniszczone szyje. To mój niewyraźny obraz czeka, aż rozproszy się światło wieczoru, aby ułożyć się w inną całość, lecz światło niczego nie zaciera, bo jest pełnia księżyca, i nie mogę uciekać, skoro obiecałem Emperatriz, że przyjdę na jej bal maskowy, dlatego włożyłem tę twarz, która krwawi, nie mogę jej oderwać, popękana maska, która niczego nie osłania, och, znaleźć kogoś, kto by mi pomógł i pokierował mną, biec uciekając przed kotami o ogromnych łbach, które mogą się na mnie rzucić w ciemności, teraz absolutnej, rozświetlonej już tylko przez ich rozgorzałe tęczówki, och, tam, tam, w głębi tej imitacji korytarza coś błyska, głosy, może moi przyjaciele, może muzyka, biegnę, to ja, to ja, zaczekajcie na mnie, jestem słaby, ale dotrę do światła, do muzyki... potykam się, upadam, moja twarz rozpryskuje

się padając na podłogę z cegieł, klęcząc ściskam resztki moich rysów, aby je zebrać, ułożyć w coś, co by było podobne do twarzy, jakby to była glina, to jest miękkie, może uda mi się odtworzyć moją dawną twarz, ale już jej nie pamiętam, usiłując wymodelować moje dawne rysy widzę, że zostały jakieś kawałki przylepione do rąk, idę na czworakach w kierunku światła, otwieram drzwi głową jak pies, to bal Emperatriz, oszukano mnie po to, abym ubrał się w łachmany, w pełnym świetle tańczą osoby znane i nieznane, w perukach jak ślubne torty, w złoconych turbanach, w kaskadach pereł, opalizujących maseczkach, brokatowych dominach, satynowych trzewikach, tańczą menueta, szeleszczą krynoliny, trójgraniaste kapelusze w rękach, lśniące uniformy, wspaniałe głowy z kartonu kryją ich monstrualne twarz, kokieteryjne rozmowy, pary tańczą; palce delikatnie złączone. Wszyscy piją z pucharów z rżniętego kryształu, kiedy wchodzę na czworakach, żeby mnie nie dostrzeżono, ja przybyłem przebrany na inny bal, bal, gdzie wszystko było zamurowanymi drzwiami i nie kończącymi się korytarzami, i przygłupami schowanymi za tymi murami z litościwej gliny, nie na ten bal, gdzie wszystko jest rozświetlone, lekkie, subtelne. Zadrwiono sobie ze mnie; muszę uciekać, zanim ci margrabiowie, kardynałowie, książęta i halabardnicy zaczną się ze mnie śmiać, zabiją mnie, bo przyszedłem przebrany za potwora, a oni nie, ja tak, a oni nie. Woda fontanny pomoże mi w zmianie twarzy, księżyc rysuje na wodzie najdrobniejszy szczegół mojej pływającej po wodzie maski, ach, gdybym mógł ją zdjąć, zerwać choćby w wodzie, może tam odrywanie jej byłoby mniej bolesne... Uklęknąć na brzegu... Wyciągnąć ramiona, by wyrwać z siebie maskę strachu...

Dużo później, kiedy pary wyszły do ogrodu zaczerpnąć świeżego powietrza, zobaczyli go pływającego w basenie

przy fontannie Diany. Ratować go! Zawołać innych ludzi, żeby go ratowali, jeśli żyje! Rzucili na ziemię wachlarze i torebki, żeby pomóc w ratowaniu go za pomocą lin i haków: wyciągnęli z wody stwór skręcony, ohydny, monstrualny. Boy ze swojej wysokości spuścił na niego łuk światła błękitnych oczu; rozpoznał go:

– To mój ojciec.

Emperatriz potwierdziła:

– Tak, to Hieronim.

I wszystkie te doskonałe istoty, zrozpaczone powagą wypadku, jaki przydarzył się senatorowi, który w tym wieku nie powinien był może tyle wypić na balu maskowym, zrobiły, co mogły, by odesłać ciało do stolicy w najokazalszej trumnie; poza tym ułożono, że gdy tylko różne osobistości, politycy i prawnicy zajmą się pogrzebem, doktor Azula szczęśliwie przeprowadzi operację, która pozwoli uwolnić pamięć Boya od tych pięciu dni, które spędził na zewnątrz, i wyrwać z jego duszy głęboko zakorzeniony obraz ojca.

Wiadomość o śmierci senatora wywołała w stolicy prawdziwą konsternację. Cały kraj wspominał wówczas zasługi dostojnego męża stanu i pogrzebano go z najwyższymi honorami: zwłoki jego na lawecie armatniej przewieziono na cmentarz spowite w trójkolorowy sztandar i pogrzebano przy salwie armat. Wielu uważało, że nie było to na miejscu, przyjąwszy, że Hieronim de Azcoitia odgrywał rolę raczej polityczną niż historyczną i jego nazwisko miało szanse przetrwania tylko w specjalistycznych tekstach. Ale niezależnie od dyskusji na temat honorów, jakie stały się jego udziałem – czy też może właśnie z tego powodu – cały świat pospieszył na jego pogrzeb. Obok rodzinnego mauzoleum – gdzie ciało jego zostało złożone w niszy, oznaczonej jego imieniem oraz

datami urodzenia i śmierci, wygrawerowanymi na murze na wzór wszystkich poprzednio zmarłych Azcoitiów – mówcy przypomnieli jego zasługi, naukę płynącą z tego przykładnego życia, znaczącego koniec pewnego rodu, którego kraj, niezależnie od zmian idących za czasem, powinien czuć się dłużnikiem. Ciężki żelazny łańcuch zamknął kraty mauzoleum, gdzie za kilka godzin kwiaty zaczną już więdnąć. Odwracając się do niego tyłem, czarno ubrani mężczyźni oddalali się powoli wśród cyprysów, opłakując zmierzch tak szlachetnej rodziny.

# 29

Jak tylko wróciłem, tego wieczoru, kiedy wszystko się skończyło, poszedłem budzić je po kolei w ich dziuplach, żeby je uprzedzić, że matka Benita zabrała Inez. To pewno z powodu zimna, stwierdziły, biedna pani nie mogła dłużej tu mieszkać, marzła do szpiku kości, nie można ogrzać żadnego pokoju w tym Domu, powinna była sobie postawić porządną celę w którejkolwiek galerii. Gdyby Głuszek czuł się dobrze, mógłby pomóc biednej misi Inez w postawieniu takiej klitki jak nasze, żeby tak nie marzła w tę nie kończącą się zimę; wtedy pewno nie opuściłaby Domu. Misia Inez musiała być przyzwyczajona do komfortu, do centralnego ogrzewania i Bóg wie czego jeszcze, taka wrażliwa i taka bogata, jak by mogło być inaczej...

– Co zabrała z sobą?

Nic. Neseser. Wszystko zostawiła, wszystkie nasze drobiazgi, których nam tak brakowało i które teraz będziemy mogły odebrać. Szepcząca grupa starych rośnie, wypełzają ze swoich szałasów, kierując się do kaplicy, przechodzą przez korytarze, jedna czy dwie niosą świece na podstawkach, chcą zabrać swoje rzeczy. Otwierają drzwi, zapalają inne świece, rzucają się na stos brudnych, ohydnych łachów, które przegrały w te przeklęte wyścigi psów, nie krzyczą, nie biją się o swoje gałgany, przeciwnie,

rozpoznają je i oddają sobie nawzajem. Ten perkalowy fartuszek podobny jest do twojego, ale to mój, a ten drugi, o tam, to twój. Niewyraźne postacie starych, wszystkie podobne do siebie i niejako wymienne, kładą rękę na tym, co do nich należy, buty bez podeszew, pończochy nie do pary, popatrz, Ryta, znalazłam twój szal w kratę, ten, o którym mi właśnie mówiłaś, że tak ci go brakuje, koce, pierzyny, wełniane spódnice, każda rzecz dociera do rąk właścicielki po tym krótkim pobycie w innych rękach, które nie zostawiły na niej innych śladów. Oto szkaplerzyk Auristeli, kosmyk włosów Rafaelita dla Klemencji, która nie mogła przyzwyczaić się do myśli, że go utraciła, różaniec Lucy, o którym mówi, że papież go pobłogosławił, w co nikt nie wierzy, a czyje są te pończochy z ciemnoszarej wełny, jeżeli mają wycięte dziury na kostkę u dużego palca, to moje, wszystkie rzeczy biednej Iris i nawet jej kawowy płaszcz. Teraz Iris nosi go przez cały dzień. Ponieważ brak mu paru guzików, spina go na piersi agrafką, zachował jeszcze resztki bobrowego futerka przy kołnierzu i kieszeniach, bo porządny był płaszcz, który Brygida dała Iris, ładny i ciepły, a mała jest ciągle trochę zakatarzona, więc nie zdejmuje go prawie, tylko smarka się w rękaw lub w odmrożone łapy, ot, spójrzcie na nią, ale nikt nie patrzy na Iris, nawet sierotki, które teraz, kiedy nie ma matki Benity, całymi dniami wiszą przy telefonie i robią kawały, tak jak je nauczyła misia Inez.

Ja natomiast patrzę na Iris. Śledzę ją wzrokiem od progu lub spoza krzaka jaśminu: lubi siadywać w galerii pod tymi dostojnymi witrażami, które licytatorzy oparli o kolumny. Siedzi tam nieruchoma całe godziny, skąpana w blasku słońca przenikającego przez szybki, bierna materia przyjmująca odcień bursztynu, potem, kiedy słońce

zbliża się nieco, przemyka jej przez twarz strzępek błękitnego nieba, gwiazda zakwita na ustach, na ramieniu, Iris płynąca wśród nenufarów przez wodną zieleń, Iris przygaszona przez pobożny płaszcz, Iris obnażona przez różowy odcień świętej sukienki i ja kontemplujący godzinami te powolne zmiany, robi się późno, wiatr porusza prawdziwymi gałęziami, wiruje światło roztapiające obraz Iris pod witrażem, w płynnych lagunach załamujących się promieni, lecz nagle ruch jej ręki związującej gumką włosy na karku wydobywa na wierzch jej rysy, ukazując delikatny profil nie pozbawiony pewnej szlachetności, której źródło łatwo jest odgadnąć: bo to ty, poznaję cię, zanim zabrano cię do szpitala, pobłogosławiłaś ją, to ty, Inez, Inez naga, zaróżowiona odblaskiem sukni, Inez czysta, Inez sprzed Hieronima, Inez sprzed Pety, Inez sprzed Inez, Inez sprzed Błogosławionej i sprzed czarownicy, Inez sprzede mnie, wchłonęłaś w siebie kolor sukni i stoisz teraz w czerwieni witraży, nie wiedząc, gdzie iść, nie wiedząc, co robić, nie wiedząc, kim jesteś, naga, ledwie przebudzona, ze złożonymi rękami, patrząc na kładące się na patio cienie, które zbliżają się osłaniając mnie, więc zbliżam się osłonięty, ale tylko częściowo, moje dwadzieścia procent zbliża się bez żadnej osłony, zbliżam się cały, ja cały, ja wyprostowany, zbliżam się do tej resztki światła, które obnaża cię pod witrażami, chciałbym unicestwić te dwadzieścia procent, żeby móc odpocząć, lecz nie mogę, bo istniejesz, Inez, bo trzymam cię uwięzioną wśród tych murów nie do zdobycia, Inez, bo z mojego świata każesz mi schodzić do piekła egzystencji skazanej na pożądanie, nie dajesz mi zapomnieć, że oddycham i że oddychałem, choć nigdy nie odetchnąłem dość głęboko, że kocham i że kochałem, choć nigdy nie nasyciłem pożądania. Inez, pieścisz tego kota, który mruczy przytulony do twej

piersi obnażonej przez światło, spiskujesz z ciszą tego odległego patia, namawiając mnie, bym się spieszył. Czyś gotowa, Inez, bo ja jestem gotów, tu, w cieniu, o dwa kroki od ciebie, czekając, aż twoje ramiona wypuszczą kota, zanim mrok nie odzieje cię znów. Zbliżam się do nagiej Inez i mówię jej na ucho:

– Inez.

Nie okazując zaskoczenia, odpowiadasz:

– Co?

Och, nasycę się nią teraz, nie przeszkodzi mi Peta, nie zabroni mi Hieronim, bo nie ma Pety ani Hieronima, ich żądania znikły, jestem wolny wobec tej wolnej kobiety: piekło. Nie oddalaj się, Inez, chociaż światło rozproszyło się, a ty znów jesteś ubrana, tulę cię do siebie, drżysz, ale nie z zimna: twoje oczy mówią, że odczuwasz coś innego, co nie jest ani zimnem, ani tym, co ja odczuwam: to strach. Nie bój się mnie, Inez, pozwól mi pokierować twoją ręką, tu, pod witrażami, niby wewnątrz różnokolowego namiotu, twoja nieco szorstka dłoń w mojej dłoni, posłuszna mi, twoje oczy napełnione grozą, twoje włosy rozrzucone leżą na szklanym firmamencie, twoje uda usuwają się przed moimi, twoje usta, jak zawsze, jak od początku, jak od czasu tego pierwszego koszmaru, odmawiają przyjęcia moich, bo moje usta są brudne, chcę się zemścić za to, że nie chcesz mych ust, które nie są brudne, i zmuszam twoje palce, aby dotknęły mojego seksu, otaczasz go dłonią, ściskasz, nagle zanurzasz w nim paznokcie i jednym wściekłym szarpnięciem wyrywasz mi go z korzeniami, nerwy, żyły, arterie, tkanki, jądra, z mojego ciała bucha strumień krwi, opryskuje cię: spójrz na twe ręce pełne krwi, na krew, która spływa ci po nogach tworząc kałużę, pośrodku której stoisz wrzeszcząc histerycznie: blada, rozbita, oczy zamknięte, nie chcesz

widzieć krwi, którą jesteś przesiąknięta, i jęczysz, choć teraz, gdybym się zbliżył, nie odepchnęłabyś mnie, gdyż zawładnęłaś tym, co było groźne we mnie, zostawiając mi straszliwą ranę między nogami, ja nie krzyczę, unicestwiony przez cienie, ty krzyczysz, wołasz, zwołujesz, urzeczona tą kałużą krwi, wołasz na pomoc, witraż bez świateł zasnuwa się cieniem, a tymczasem nadbiegają stare, co się tu dzieje, co się przytrafiło małej, że tak się drze i nie poznaje nikogo, i pada w kałużę krwi. Szepcze:

– To było kłamstwo.

– Co było kłamstwem?

– Że będę miała dziecko...

O jakim dziecku mówi? Głuszek jest dzieckiem, na które czekałyśmy tak długo, a urodził się tak dawno, że nie ma nikogo w tym Domu, kto by przypominał sobie jego narodziny, dlatego właśnie kolejne pokolenia starych wychowały to grzeczne dzieciątko, robiące tylko to, na co mu pozwalamy, to święte dzieciątko, które zawsze pozostanie dzieckiem, dlatego trzymamy w pogotowiu nasze torby i paczki, dlatego wszystkie mieszkamy w kaplicy jak po jakiej wojnie lub trzęsieniu ziemi. Czekamy tam na moment, kiedy ono zabierze nas wszystkie z Domu do nieba w białych karetach zaprzężonych w okryte białymi kapami konie, kiedy zwoła inne święte dzieciątka niosące wieńce, grające na archanielskich trąbach i anielskich lirach.

Iris potrząsa głową: nie... nie... nie...

Negujesz mą świętość, przeraża cię myśl, że zdobyłem wiedzę, której pragnąłem.

– ...spuchło mi tutaj i bolało mnie od paru dni, pani Ryto, bo to nieprawda, że przedtem miałam miesiączkę, tylko tak mówiłam, bo one umiały czytać... więc ja chociaż to...

Ale jakie to ma znaczenie, Iris, pytają stare, co nas to obchodzi, że to twoja pierwsza miesiączka, skoro mamy

dziecko i jesteśmy gotowe do drogi? Iris coś bredzi, opowiada o tym, jak wychodziła w nocy, jakby kiedykolwiek w nocy wychodziła, i o Olbrzymie, jakby istniały Olbrzymy, jęcząc czepia się spódnicy Ryty, drze się, jakby ją obdzierali ze skóry, z powodu rzeczy, która wszystkim się zdarza, i wystaczy zażyć „cybalbinkę"... chodźże, mała, nie becz, co ty pleciesz, kto cię macał, jaki Olbrzym, co to znowu za brednie, że to były jakieś kiziołki, nic więcej, że kiziołki to można, tylko spatki nie można, a ona tylko kiziołki, Matko Święta, same kiziołki i zaczęła puchnąć ze strachu, i ukrywała to pod kawowym płaszczem... łżesz, zeznajesz fałszywie przeciw własnemu dziecku, zamknij się. Co ty mówisz, że ono wyrzucało cię nocą na ulicę po to, żebyś spotykała się z Olbrzymem, a potem opowiadała mu o tym, co robiliście, gdzie cię dotykał i gdzie ty go dotykałaś, to świntuch, degenerat, chciał ze mną spatki i przestraszył mnie, i dlatego...

– Ale słuchał twoich świństw?

– Przecież jest głuchy!

– Nie jest głuchy.

– Kłamczucha.

– Nie wstyd ci, Iris?

– Jej się to wszystko wydaje...

– Nie... zmuszał mnie, żebym go dotykała...

– Świnia...

– Ale jak to jest możliwe, żeby dziewczynka w jej wieku...

– Kiedy to prawda... ciągle mnie tylko pytał, co jeszcze i co jeszcze...

– Przecież to niemowa.

– Nie może o nic pytać... Jest niemy...

– Nie jest niemy; kłamie.

– Nie waż się bluźnić przeciw dziecku!

– Jak tak będziesz mówiła, zatłuczemy cię na śmierć...
– Już ja mam różeczkę...
– A ja ją butem...
– Ale to prawda!
– Jak to może być prawda, skoro on jest święty?
– Chce nam zabrać dziecko!
– I wziąć je z sobą.
– Nie masz nic wspólnego z tym dzieckiem, Iris.
– Dziecko jest nasze.
– Schowamy je.
– Tak, lepiej je schować.
– Urodziło się w tym Domu, wiele lat temu...
– Nikt nie pamięta, kto był jego matką.
– I nie miało ojca.
– A nie miało, bo chłopcy to świnie.
– I nie może powiedzieć, kto był jego matką.
– No pewno, skoro to niemowa...

Iris wstaje, ręce, kawowy płaszcz, nogi, wszystko uwalane krwią. Poprzez dach z bezbarwnych szyb błyszczą prawdziwe gwiazdy. Iris jest wściekła.

– Nie jest niemową!

Dora wymierza jej policzek.

– I to nie jest dziecko!

Lucy uderza ją kijem po nogach.

– I nie jest święte!

Ryta ciągnie ją za włosy.

– Kurwa!
– Tak, kurwa!
– W malignie wyznałaś swoje wszystkie grzechy...
– W tajemnicy przed nami włóczyłaś się po nocach...
– ...I nie czujesz skruchy...
– Ty kurewko!
– Trzeba ją ukarać.

– Tak, ukarzmy ją!

– Za te kurewstwa!

Prowadzą ją do kaplicy. Rosa Pérez i Klemencja obmyły ranę, którą zostawiłaś mi pomiędzy nogami, opatrzyły, położyły gazę i zabandażowały to puste miejsce, a potem owinęły mnie jak należy w pieluchy, tak przynajmniej będzie miał sucho w nocy, najgorzej, jak sobie zmoczy prześcieradełko, nie ma gdzie go suszyć w taką pogodę, a nic obrzydliwszego jak prześcieradła śmierdzące siuśkami. Widząc, jak przybliżasz się do mojej kołyski i stoisz bez ruchu, jakbyś się zastanawiała, jak gdybyś ty mogła się zastanawiać, zakrywam buzię rączkami i mówię płaczliwie.

– Paskudna!

– Widzisz?

– Nawet dzieciak się na tobie poznał.

– Paskudna!

Pierwsze słowo dziecka. Zaczyna mówić i niczego nie trzeba go uczyć. Wszystko to przez tę ohydną idiotkę, Iris Matelunę, ale to dziwka, skoro nawet święte dziecko, które nigdy nie wyszło z Domu i które jest samą niewinnością, zdaje sobie sprawę, że jest to wstrętna kurwa, która nie powinna dłużej żyć w tej pobożnej atmosferze, otoczona świętością nędzy i starości.

– Zabierajcie ją!

Patrzą na mnie ze zdumieniem: dziecko dokonuje cudów, jego władza zaczyna się przejawiać, wydaje nam rozkazy, bo wie, że będziemy mu posłuszne, i chce, abyśmy wyrzuciły to świństwo z Domu, w którym ono mieszka, jak może, daje nam do zrozumienia, że nie zrobi cudu, nie zabierze nas do nieba, póki atmosfera się nie oczyści. Trzeba wyrzucić stąd tę kurwę. A wiecie co... przebierzemy ją za kurwę. Rozwiązują ci włosy, sięgające aż do pasa, zdejmują płaszcz i wkładają ci sweter obcis-

kający piersi, ty, Mario, jesteś nieduża, daj no tę zieloną spódnicę, będzie dla niej jak raz, za krótka i za ciasna, tak żeby prócz piersi odznaczała się jeszcze i dupa, brwi czernią ci sadzą, a powieki resztką roztartego węgla drzewnego, potem malują ci ogromne czerwone usta, żebyś zwracała uwagę, a teraz zobaczymy, jak ci pójdzie interes, Iris, nie, płaszcza nie, nawet jeśli ci zimno, w płaszczu nie zobaczą twojego ciała, a mężczyźni lubią sobie obejrzeć ciało takiej dziwki jak ty, Ryta i Dora zakładają chustki i posłuszne dziecku, wyprowadzają cię na ulicę: w ten sposób ujęta między dwie postacie w łachmanach, Iris opuszcza Dom – sztuczna, wymalowana lalka, odpowiednik Olbrzyma. No, chodźmy, nie stój tu jak idiotka, teraz musisz popracować i zarobić na życie, stare ją poszturchują, ona posłuszna mojemu stanowczemu rozkazowi, odchodzi na zawsze, wchodzą w małe wyludnione uliczki, przechodzą przez placyk bez jednego drzewka, wokół okna z pozamykanymi okiennicami, przesuwają się przez zaułki, gdzie nie ma latarni, aby ich nikt nie rozpoznał, jak gdyby ktoś mógł rozpoznać parę staruch podobnych do wszystkich innych biednych staruch, które łażą po ulicy, przechodzą przez puste tereny i dochodzą do alei, gdzie udają, że oglądają afisze kina pod słabo oświetlonym daszkiem, ludzie wchodzą i wychodzą z kina nie patrząc na nie, Iris jest tak ogłupiała, że nie zdaje sobie sprawy, że to wreszcie jest kino, aktorzy, muzyka taneczna, panienki przymykające oczy, kiedy się je całuje, nic nie widzisz, jesteś pustą otoczką, w pustce suniesz bezwolnie za starymi, które trochę się oddalają, aby ludzie myśleli, że jesteś sama. Przechodzi jakiś pan w ciemnym garniturze i psyka na ciebie. Stare miarkują to, łapią cię i pchają ku źle oświetlonej ulicy, uważaj, ten pan idzie za nami, cała trójka chowa się do bramy. Pan

przechodzi, jeszcze raz psyka, czeka chwilę na przeciwległym chodniku, kiedy zawraca i przechodzi przed nimi, stare wypychają cię, no jazda, Iris, czas się wziąć do pracy, Iris idzie więc pracować, już teraz nie ma wątpliwości, że zostanie kurwą, no pewno, jakiż inny los może spotkać lalkę z kartonu z pustą głową, jeśli nie podarcie w strzępy, rozszarpanie przez wygłodniałych mężczyzn, jak ten, który ją zabiera, częstuje papierosem i znika wraz z nią, żegnaj, Iris, żegnaj, nie pal, Iris, za młoda jesteś na to, chociaż jeśli masz zostać kurwą, to już lepiej pal, taki twój los, możliwe nawet, że spodoba ci się to, bo podobno kurwy mają całkiem nieźle, wstają późno i w ogóle, nie to co ja, idiotka, jak miałam trzynaście lat i umarł mi ojciec, poszłam na służbę do bogatego domu i musiałam się zrywać o świcie, ale późno dostała miesiączki ta smarkula, iii, to prawdziwa diablica, pomyślcie tylko, jak wykorzystała fakt, że tyła, chciała nas nabrać, że to cudowna ciąża... Przestań, Ryto, nie płacz, nic jej nie będzie, ten pan przyzwoicie wyglądał i zabrał ją taksówką, więc to nie może być łobuz, na pewno znajdzie jej jakieś inne zajęcie, bo to żadna frajda świntuszyć, i to z obcymi, nawet jeśli za to płacą, ale tam, ona jest grubasek i na pewno pójdzie jej dobrze, bo chłopaki lubią takie małe dziewuszki przy kości, tak nawet mówią: lubimy, żeby było za co złapać... Co to może znaczyć, my, staruchy, nie rozumiemy męskiego gadania, dla nas to tak, jak gdyby mówili po chińsku, i im bardziej człowiek się starzeje, tym mniej rozumie z tego, co oni gadają. Dlatego właśnie nie trzeba uczyć dziecka ani jednego słowa, musimy doprowadzić do tego, żeby zapomniał te słowa, których się sam nauczył, a my wiemy, że on już coś tam mówi, zacznie sobie od jednego albo dwóch słów, a potem nagle powie coś takiego, czego my w ogóle nie zrozumiemy.

Mieszkamy w kaplicy. Jak uciekinierzy z terenu zdewastowanego przez jakąś katastrofę, stare śpią na stosach łachów, poduszek i materacy, przytulone do siebie, chroniąc się przed zimnem, każda z węzełkiem zawierającym ulubione przedmioty, które chcą zabrać do nieba, z blaszanymi piecykami własnej roboty, jedne twierdzą, że zniknięcie Iris wskazuje na to, że wyjazd tuż-tuż, inne kaszlą, inne przygotowują wanienkę, gdzie będą mnie kąpać, zapalają ogień w puszcze po parafinie, wyrywają listwy z podłogi i rzucają je do ognia, wyrywają kawałki desek z obramowań drzwi, rzeźbioną balustradę z chóru i małe złocone krzesełko, muszą mieć ogień, żeby mi podgrzać wodę. Ciągle mówią, że nigdy nie zniszczą kaplicy, chociaż już zaczęły dzieło zniszczenia. Zacierają wszystkie ślady tej kaplicy, gdzie teraz panuje kult mojej osoby według prymitywnej liturgii mycia mnie i karmienia, i ubierania w bieliznę Boya, mają całą jego wyprawkę, bo dałem im klucz, otworzyły celę Inez i jej świat i wszystko przyniosły, stroją mnie i rozpieszczają tak, jak zawsze chciałem być rozpieszczany. O tej porze roku dni są krótkie; stare prawie nie wyłażą na światło dzienne, sierotom zabroniły wychodzić z kaplicy, żeby ich kto nie zabrał, tak jak zabrał Iris Matelunę za jej nieposłuszeństwo i kłamstwa. Sieroty też mnie psują, już ich nie odróżniam, upodobniły się do starych, ich szorstkie ręce, ich kaszel, ich zamroczone umysły, ich ciche kroki. Żeby nas tylko nie usłyszano, nie zobaczono, żeby tylko nie przyszli jacyś źli ludzie... aż bierze strach. Jest prawie noc. Jestem prawie dzieckiem.

Wieczorem stare opuszczają Dom. Co też się mogło stać z matką Benitą?

Nic matka nie wie, matko Anzelmo? Ach, to nie matka Anzelma, to tylko Carmela, jak się czujesz, Carmelo, czy

znalazłaś palec archanioła, ach, to nie ty szukałaś tego palca, to Amalia, co też się z nią stało, to była jedna z pierwszych, pamiętacie, co się z nią stało, gdzie też mogą ją trzymać, biedaczkę, to nie Carmela, to Eliana, która założyła jej szal, zjedzony przez mole szal Carmeli, dlatego pomyliły mi się... co ty tam możesz wiedzieć, dlaczego matka Benita nie dzwoniła, jesteś jeszcze głupsza niż ta cała Iris, szkoda, że jeszcze nie jesteś kobietą, bo wtedy... Prawda, Ryto, że mogłybyśmy... Żadna z was nie ma cycków ani tyłka? Nie, żadna, nie ma mowy, by się udało posłać je w kurwy jak Iris, żeby trochę zarobiły, przyniosły chociaż te parę groszy, by było co w gębę wetknąć... To nie do pojęcia, że matka Benita ani razu nie zadzwoniła, nie gadajcie, co wam ślina na język przyniesie, to zdumiewające, że odeszła, nie mówiąc nam nawet do widzenia, chociaż podobno tak nas kochała... to w ogóle szczyt... A ksiądz Azócar, który przedtem o byle co dzwonił... Co nas to obchodzi! Przecież to głupstwo, skoro dziecko wkrótce nas zabierze... Jak oni wrócą, Dom będzie pusty... i na to tylko zasługują, bo zapomnieli o nas, nic do żarcia, stareśmy, bo stare, i nie mamy dużego apetytu, ale w końcu coś jeść trzeba... toć mówiłam, żeby przebrać Frosy za kobietę i puścić ją na ulicę, ale co ty, mężczyźni się zorientują, że to smarkata, i grosza nie dadzą... Żebyśmy choć miały coś do picia, herbatę, mate, kawę, zupkę z wermiszelkiem, byle co, jak to możliwe, że tak o nas zapomnieli, ale nic nie szkodzi, tym lepiej, dopiero będą się mieli z pyszna, jak zobaczą, że w Domu nie ma nikogo... Któregoś wieczora Auristela poszła na żebry i wróciła z odrobiną mate i z torebką cukru. Potem poszły inne, co odważniejsze, Ryta i Dora solidarnie razem, Zunilda Toro o nosowym, bardzo przekonywającym głosie; a inne w ich ślady. Nie oddalają się za bardzo

od Domu, gdyż szybko się męczą i boją się zagubić, ale nocą jakby powolny przypływ brudu i błagań zalewał dzielnicę, błagalne głosy, drobne kroczki, oddechy cuchnące, szepczące podziękowania, powykręcane ręce zagarniające miedziaki i wpychające je w kieszeń rozdartej spódnicy, oczy, które przez moment błyszczą, potem gasną. Jakaś starucha idzie za młodym chłopcem wzdłuż muru, błagając, żeby dał jej cokolwiek, natarczywym, skarżącym się głosem. Chłopiec przyspiesza kroku, lecz stara idzie za nim, on nie śmie uciekać, więc daje jej jałmużnę, szybko, dużo, byle sobie poszła, byle go zostawiła w spokoju. Pewnego wieczoru grupa starych wróciła z torbami pełnymi jarzyn i przypraw: opowiadały, że poszły za pewną panią, która właśnie wracała z zakupów; grupa wygłodniałych płaczących staruszek na wyludnionej ulicy otoczyła ją tak natarczywie, że nagle zlękła się wszystkich tych pokasływań, płaczów, natręctwa, rzuciła siatki i uciekła, cóż, komentowały żałośnie, to nie nasza wina, kiedy już nie ma wyjścia – człowiek orze, jak może... Od tej pory zaczęły grupkami chodzić po sklepach i podczas gdy jedne coś plotły, aby odwrócić uwagę właścicielki i sprzedawczyń, inne ściągały, co popadło, często nawet i rzeczy niepotrzebne, ale zawsze najchętniej herbatę, cukier, krakersy, chleb, no bo jak wyżywić czterdzieści staruch, nawet o niewielkich apetytach, przecież zawsze czegoś potrzeba, a to szklanki herbaty, a to kawałka bodajby czerstwego chleba, żeby przypiec go w popiele po ogniu, który właśnie dogasa po kąpieli dziecka.

Dziecko leży blisko rozpalonych węgli drzewnych, żeby się nie zaziębiło, czasem niemalże mnie przypieką, bo nie mogę krzyczeć nie mając głosu, tak, te harpie chcą mnie nadziać na szpikulec, żeby upiec moje miękkie ciałko na

węglu drzewnym. Ale nie, kładą mnie na łóżko, dzieckiem trzeba się dobrze opiekować. Spójrz na niego, Auristelo, Tereso, spójrz, jak na nas patrzy, jakby chciał nam powiedzieć, żebyśmy jeszcze troszkę poczekały na cud, żebyśmy były cierpliwe, przyjadą karoce, a jakże, już są zamówione, poczekajcie, poczciwe kobietki, poczekajcie, ale jak mamy czekać, przecież umieramy z głodu... Liturgia zmieniania mi pieluszek, mycia, zakładania majteczek, zawijania w powijaki przed nie istniejącym ołtarzem, przed resztkami różnych zapomnianych bóstw, których gips obsypuje się na wilgoci, odpada jakieś ramię, odłamuje się ogon smoka, wszystko to rozkrusza się na podłodze, stare depczą po odłamkach, biegnąc na spotkanie tych, które wracają z ulicy, no, co tam macie, coście nam dzisiaj przyniosły? Opowiadają, że weszły do sklepu mięsnego i podczas gdy właściciel odkrawał jakieś ochłapy dla krótkowzrocznej klientki, im udało się ściągnąć... spójrzcie tylko, cała pierś jagnięcia, święto, święto! Jeszcze trochę klepki z podłogi, jeszcze jedna listwa od drzwi, rozniecają ogień, czekając, aż rozżarzą się węgielki, na których położy się wspaniale pachnące kotleciki...

Tego wieczoru, chcąc swobodnie obgryzać kości jagnięcia, wsadziły mnie do worka, jak indyka przeznaczonego na sprzedaż, tyle że głowę zostawiły mi na wierzchu, a worek dokładnie zaszyły, o, tu jeszcze parę ściegów, żeby się nie kręcił, a może lepiej wsadzić go w jeszcze jeden worek, ty masz dość siły, Zunildo, wpakuj go tam, a ja zaszyję, ja też bym chciała zrobić parę ściegów, ja umiem zrobić taki szew, że żadna siła go nie spruje. Kładą mnie do dziecinnej kołyski, a same tymczasem robią sobie ucztę z kradzionych kotletów, słyszę odgłos ich zębów obgryzających kości, widzę postaci przesuwające się w półmroku, twarze wymodelowane przez cień, już zjadłem

zupkę, którą mnie karmią od całych tygodni, ciągle to samo i nic więcej, ohyda, nie chcę już tego, a one skarżą się, że dziecko nie ma apetytu, co też mu może być, żeby się tylko nie przeziębił, lepiej włożyć go do jeszcze jednego worka i porządnie zaszyć; Carmelo, popatrz, tu są worki. Carmela zaszywa. Szorstka i śmierdząca juta drapie mnie w szyję aż do krwi, chciałbym je błagać, żeby rozszerzyły trochę otwór, przez który wystawiam głowę, ale jak to zrobić, skoro nie umiem mówić, podobno urodziłem się niemy w tym Domu, a teraz, kiedy już nie mam nawet rąk, żeby im dawać znaki, nie mogę nic im wytłumaczyć. Moje oczy nie posiadają już władzy błagania, zresztą one nie patrzą na mnie ani kiedy mi dają zupkę, ani kiedy wycierają mi twarz szmatką, ani kiedy zaszywają mnie w jeszcze jeden worek. Nie widać mnie, bo się nie liczę, nie istnieję, jestem bierną materią, z której tworzą obrazy: dziecka, Boya, cudu, godziny karmienia, czyście nie zapomniały o jego zupce, chwileczkę, Mario, zaraz będzie, oj, bo dziecko będzie płakało z głodu, ale ja nie płaczę ani nie mówię, ani nie śpię, ani nie siusiam.

Ponieważ stare wychodzą teraz niemal co wieczór, zostawiają mnie w kaplicy samego, czasem tylko w ciemnym kącie pozostaje ktoś prócz mnie, te, które są zbyt chore lub zbyt słabe, by wyjść, które snują się w tym brudzie kaszląc, odpluwając flegmę, jakaś ledwo żywa, jakaś stara w agonii, inne zapomniały o niej wśród entuzjazmu, jaki wywołał ich nowy sposób zarobkowania. Bo teraz bardzo późno wracają ze swym łupem. Mówią, że... w dzielnicy zdarzają się napady, że baby zbrodniarki zaczepiają przechodniów płacząc i kaszląc, i skarżąc się bez końca, że lezą za nimi, dopóki nie trafią na jakiś źle oświetlony zaułek, a tam, na ich znak, z mroku wyskakuje cała banda zbrojna w sznury i kije i napada na ofiarę,

obierając ją do nitki z pieniędzy, paczek, nawet ubrania... mówią... że w dzielnicy spotyka się od czasu do czasu takich obłupionych i rozebranych ludzi, podobno bramy są specjalnie niebezpieczne, to, co w ciemności ma wygląd drzewa, może okazać się bezzębną, trzęsącą się z zimna żebraczką, która opowiadając nam o swoich nieszczęściach i chorobach wyprowadzi nas na pusty teren, gdzie krwiożercza gromada rzuci się na nas i... Lepiej nie wychodzić samemu po nocy, przez te piekielne staruchy dzielnica nie jest już taka, jak była, ma złą famę... Ależ to chyba bzdury, trudno wprost uwierzyć, żeby grupa starych żebraczek zawładnęła taką spokojną dzielnicą... kiedy to najświętsza prawda, ile ludzi chce się stąd wyprowadzać... mówią, że weszły kupą do tego sklepiku, gdzie sprzedają stare pisma i tygodniki, i niby pod pretekstem prośby o jałmużną obrabowały kasę... lepiej się stąd zabierać, wynająć pokój byle gdzie, byle daleko stąd, tu niebezpiecznie, nagle fragment nocy przybiera formę ludzką i zabiera wam to, co macie w kieszeniach, tak, łażą za ludźmi, cienie nagle się buntują, zmieniają formę i atakują, a może te stare, o których tyle się mówi w dzielnicy, w ogóle są cieniami lęków każdego z nas... mówią... że dużo tych staruch.... bo ja wiem, czy dużo, chociaż chyba więcej, niż było dawniej, lezie toto owinięte w chustkę wzdłuż murów, szura podeszwami, zgarbione, pochylone, kulejące, ale już widzisz, że w zaułku czai się ich całe mrowie z kijami, więc człowiek natychmiast przechodzi na drugą stronę, ale nie, o parę bram dalej to samo, znowu kilka staruszek, już chyba lepiej iść środkiem ulicy, chociaż i to nie, pchają się na ciebie, zmuszając, byś zawrócił, a za tobą ślepy mur, ani jednego okna, bo ja wszystkie zamurowałem i zamalowałem pędzelkiem, tak jakby ich nigdy nie było, żeby nikt nie mógł odkryć, że tu czegoś brak,

tylko twarze, łachmany, czasami atakują, czasami nie, to kwestia przypadku, nie trzeba się bać staruszek, które przemykają jak myszy, a potem przychodzą tutaj do kaplicy rozdzielić łup i posilić się. To palto po jakiejś grubej kobiecie, dam je w prezencie Mercedes Barroso, a ten złoty łańcuszek do zegarka dam Brygidzie, będzie zadowolona, biedaczka.

– Widziałam Iris.

– Gdzie?

– A tu, bliziutko.

– Jak wyglądała?

– Miała kapelusz...

– Przecież nie nosi się kapeluszy.

– Ale ona miała i spojrzała na mnie...

– Za moich czasów kapelusze...

– Żeby jej tylko nie przyszło do głowy tu wracać...

– Wygląda na to, że o to jej właśnie chodzi.

– Ale po co by miała wracać?

– A bo ja wiem... teraz, kiedy jest bogata...

– Czy nie chce przypadkiem ukraść nam dziecka?

– Zabrać nam dziecko...

– Zanim dokona cudu?

– To niemożliwe...

– Trzeba je pilnować.

– Tak, trzeba je ukryć...

– Ale ono nie powinno zauważyć, że je pilnujemy, bo się przestraszy.

Wszystkie udają, że robią to co zawsze. A może i robią... Maria Benítez smaży krokiety, któraś mówi, że parę dni temu ukradła w sklepie kolonialnym paprykę, daj mi ją, dodam do krokietów, inaczej są do niczego, najlepsze są krokiety popijane rosołem z indyczki, więc dalej rąbać siekierą podłogę i podsycać ogień kawałkami drewna,

coś tam szyją przy świeczce, składają do worków swoje łachy, ale cztery zbliżają się do mnie z ogromnym workiem: biorą mnie w ramiona, aaa, kotulku, może pójdziesz lulu, nie bój się, maleńki, my cię ochronimy przed tym wypacykowanym potworem, co chce cię ukraść, a potem robić z tobą jakieś świństwa, choć ty jesteś święty. Kładą mnie do worka, wszystkie cztery klękają wokół mnie i zaczynają szyć, nic już nie widzę, jestem ślepy, przychodzą inne z następnym workiem, do którego mnie kładą, zawiniętego w tamten, i znów zaszywają, mamrocząc akty strzeliste, które ledwo do mnie dochodzą, bym uczynił cud, ale już, prędko, prędziutko, bo Ernestyna López umiera tam w kącie, jest taka chora, płacze i jęczy, że nie chce umierać, szyją, nakładają nowe worki, narasta nowa warstwa ciemności, nowa warstwa ciszy, w której znikają głosy dochodzące do mnie z oddali. Głuchy, ślepy, niemy, mały pakunek bez seksu, cały zaszyty i powiązany sznurami i linami w tylu, tylu workach, zaledwie mogę oddychać poprzez warstwy juty, ciepło tu w środku, nie muszę się ruszać, niczego nie potrzebuję, ta paczuszka to właśnie ja, zmniejszony, niezależny od nikogo ani niczego, słyszący ich błagania, ich na kolanach szeptane supliki, bo stare wiedzą, że teraz jestem wszechmocny, że teraz dokonam cudu.

# 30

– Nadeszła chwila, moje córki...

Stojąc na progu pokoiku Ryty, ksiądz Azócar spoglądał na zgromadzoną przed nim grupkę trzydziestu siedmiu starych, szczątki trzydziestu siedmiu istnień, blade, chude, słabe, brudne, wycieńczone, trzydzieści siedem, według spisu, który jak powiedziała matka Benita, znajduje się w górnej szufladzie jej biurka. Przeliczył je, było dokładnie trzydzieści siedem staruch, wszystkie mniej lub bardziej chore. Nie pociągną długo w nowym Domu.

– Nadeszła chwila odjazdu...

Wiedziały już o tym. Przez cały ranek czterej młodzi księża w eleganckich sutannach, o czerni, jakiej nigdy w Domu nie widziano, bo wszystko się tutaj staje ołowianoszare, przeszli przez podwórza, galerie, budki i pokoje, otoczyli staruchy jak cztery czarne psy pilnujące stada i poprowadzili je do wyjścia, pomagając im nieść worki, węzełki, kosze, walizki, małe pakunki i pudełka powiązane sznurkami i paskami. Ksiądz Azócar, siedząc za stolikiem Ryty przy telefonie, w miarę jak przychodziły, skreślał nazwiska. Kilka z nich wyjrzało na ulicę: czekały tam przed Domem białe, ogromne, błyszczące, odbijające blask porannego słońca. Nie były to karoce – tego już się nie używa – ale ładne nowoczesne mikrobusy o lekko zielonkawych szybach, może nawet ogrzewane, co nie byłoby

źle, bo do nieba daleko; zanim się wjedzie tak wysoko, człowiek może zmarznąć.

– W górnej części miasta czeka na was biały dom, w ogrodzie, specjalnie przygotowany na wasze przyjęcie. Pokoje, kaplica, łazienki, wspaniałe kuchnie, refektarz, same zobaczycie, a jeżeli trochę długo na to wszystko czekałyście, to dlatego że chcieliśmy, aby wszystko było zapięte na ostatni guzik. Te mikrobusy, które widzicie przed wejściem do Domu, także są po to, by was zabierać na spacer, kiedy będzie ładna pogoda, a matka Benita rozważa właśnie możliwość wywożenia was latem nad morze...

– A jak się czuje matka Benita?

Ksiądz Azócar smutno potrząsnął głową:

– Z początku nie było dobrze, lekarze orzekli, że to wyczerpanie nerwowe, ale po tygodniu odpoczynku zupełnie wróciła do siebie; czeka na was. We dwie z misią Raquel uregulowały sprawę spadku po Brygidzie Oyarce, nie wiem, czy ją sobie przypominacie...

– No jakże! Biedna Brygida!

– Nazywała się Oyarce ta Brygida?

– Nie, Reyes Oyarce...

Cały problem z nazwiskiem Brygidy: Oyarce po matce, a Reyes po ojcu, nie, Reyes po matce, a Oyarce po ojcu, nieprawda, Carmelo, Oyarce to było nazwisko jej męża, nie jej, misia Raquel na pewno będzie wiedziała, trzeba ją zapytać, ależ, Auristelo, wcale nie przyjaźniłaś się z Brygidą, więc nie opowiadaj mi tutaj, że wiesz lepiej ode mnie, jak się nazywała, co za kłamczucha z tej Lucy, ksiądz Azócar mówi, że Oyarce to nie było ani jej nazwisko panieńskie, ani po mężu, że nazywała się Brygida Farias Reyes de Castro; krzyczą, kaszlą; te, co parę minut temu odmówiły odstawienia na chwilę swoich pakunków i figu-

rek, i toreb, teraz wszystko stawiają na ziemi, żeby wziąć udział w dyskusji, każda wie najlepiej, wszystkie inne się mylą, różne wersje tożsamości Brygidy mnożą się, komplikują i przeczą sobie wzajemnie, podobno została wychowana przez rodzinę Oyarce, zanim przyszła do misi Raquel, ale co to ma za związek z faktem, że jej nazwisko ma być Oyarce, to pewnie Oyarzún albo Oyanedel.

Księdzu Azocarowi wobec tego całego zamieszania nie pozostaje nic innego, jak zamilknąć. Dla niego Brygida jest postacią legendarną, istniejącą tylko dzięki spadkowi – który teraz, gdy już nie było sposobu uratowania Domu przed zburzeniem, misia Raquel przekazała arcybiskupowi. Matka Benita, zmęczona i smutna, dała się w końcu przekonać arcybiskupowi, że w jej wieku nie należy brać na swe barki nowego ciężaru, jakim byłaby funkcja zarządzającej Miasteczkiem Dziecka, że nowoczesne metody zarządzania wymagają wstępnych przygotowań i studiów i że lepiej będzie, jeśli zakończy swój żywot wraz z innymi starymi, w nowym Domu, zakupionym za pieniądze Brygidy; ustąpiła więc w końcu:

– Poddaję się.

– Niech matka tak nie mówi.

– Stara już jestem.

– To każdego czeka, matko.

– Sądziłam, że mnie nie dosięgnie.

– To znaczy?

– Że mnie dosięgnie w inny sposób...

– Nie rozumiem.

– To nie ma znaczenia, eminencjo, niech mi przynajmniej będzie dany przywilej starych kobiet, przywilej mówienia rzeczy, które nie mają sensu. Kiedy będziemy mogły urządzać się w nowym Domu?

Po przedyskutowaniu sprawy nazwiska rodowego Brygidy zaczęły się spierać o to, która ma prawo uważać się za jej najlepszą przyjaciółkę, po czym przeszły do punktu następnego: Kto co dostał po Brygidzie, kto ma piernacik pokryty niebieskim atłasem, kto tranzystor, kto obrazek przedstawiający Zmartwychwstanie Pańskie, kto nożyczki do manikiuru, kto pilniczek, kto malinowy czepek kąpielowy: Brygida ożyła w tych przedmiotach, stając się bardziej namacalna niż wszystkie postacie w łachmanach, ich starczo stłumione głosy. Ksiądz Azócar miał zamiar wytłumaczyć im pochodzenie majątku Brygidy, historię spadku po niej, w paru słowach opowiedzieć historię Domu, wraz z aluzją do Inez de Azcoitia i do jej wspaniałych projektów, mających się zrealizować już zaraz, kiedy zacznie się rozbiórka Domu... Ale nic z tego nie wyszło, umysł starych otoczony był mgłą, przez którą niepodobna było się przebić. Włożywszy rękę do kieszeni, zwinął w kulkę papier, na którym rano zanotował kilka punktów swojej przemowy, i rzucił go na ziemię. Kulka potoczyła się do stóp jakiejś starej, która nie przerywając dyskusji z sąsiadką podniosła papier, starannie wygładziła i, nie troszcząc się o przeczytanie go (może zresztą nie umiała czytać), złożyła i schowała: a nuż się przyda... Ksiądz Azócar obserwował ją. Nie do wiary! Biedna matka Benita miała rację, dążąc do wydostania się z tego piekła gnijących ciał i umysłów. Nie warto czegokolwiek im wyjaśniać. Niech myślą, co chcą, powody lub ich braki, przyczyny lub skutki nie miały już znaczenia dla tych pomylonych istot. No cóż, trzeba po prostu wyprowadzić je z Domu i wsadzić do mikrobusów. Ręką, w której trzymał listę, zrobił gest nakazujący ciszę:

– Księże Silva!

– Słucham księdza prałata.

– Poproszę, byście razem z księdzem Larrañagą wnieśli do pierwszego autobusu tę... tę chorą panią i zawieźli ją do szpitala... Tam czekają lekarze, którzy mają je wszystkie przebadać dziś jeszcze; może oni zdecydują, co trzeba zrobić... Jak się ta pani nazywa?

– Ernestyna López.

– Nie, Lucy, ona jest z domu Ernestyna Rivas, a jej mąż był López.

– Tak, tak właśnie, Ernestyna Rivas, wdowa po Lopezie.

Otwarto bramę, można było przenieść nosze, na których ułożono chorą; stare zbiły się w kupkę, żeby popatrzeć, jak ją windują do wspaniałego białego pojazdu. Oj, chora, biedna, naprawdę chora, wygląda jak trup... Ksiądz Larrañaga posadził ją za zielonkawą szybą: w promieniach słońca, które padały przez okienko w dachu, twarz jej wydała się odżywać, uśmiechnęła się do swoich towarzyszek i dała im znak ręką, jakby mówiła: spieszcie się, kochane, tu jest bardzo ładnie. Zamknięto drzwi. Tak, trzeba się spieszyć. Stare wzięły swoje węzełki, paczki i pakunki. Bierzcie jak najmniej rzeczy – powiedział ksiądz Azócar – tam i tak dostaniecie wszystko nowe. A nie mówiłam wam, kochane, że w niebie dają wszystko nowe? Niechby, ale przecież nie zostawię tej świętej ze smoczym ogonem, taka cudowna... ani ja torebki z drobiazgami. Ani ja mojego archanioła Gabriela. To ten Amalii? Tak, Amalii, po to go zabieram, żeby jej oddać, ona już tam z pewnością na nas czeka, nie zdziwiłabym się nawet, gdyby przez ten czas odnalazła brakujący paluszek... Jak najmniej, moje córki, tylko rzeczy naprawdę niezbędne. Ranek upłynął na selekcjonowaniu i przepakowywaniu rzeczy w mniejsze paczuszki. Carmela miała prawdziwą walizkę, do której zmieściło się wszystko. Drelichowe worki, torby, koszyki, wszystko to zarzucają

sobie na ramię z uśmiechem, no, teraz to już naprawdę odjadą; młodzi księżulkowie także uśmiechają się, zadowoleni, że te biedne, stare kobiety dzięki miłosierdziu ludzkiemu znajdą wreszcie prawdziwy dom, podczas gdy tutaj wzniesie się wspaniałe budowle przyszłości, szkoły, wieże, sale wykładowe, biblioteki, które przyciągną młodych, powstrzymają ich od włóczenia się po ulicach, a resztę się zburzy, w dodatku nie będzie to wiele kosztowało, toż to tylko glina... tak że gdy tylko brama zamknie się za starymi, które wzruszone, popłakując, właśnie opuszczają Dom (my zresztą także jesteśmy wzruszeni), zacznie się nowy etap: przyszłość.

Ksiądz Azócar raz jeszcze prosi o ciszę.

– Księżę Silva.

– Słucham.

– Proszę stanąć przy bramie. Gdy ja odczytam z listy nazwisko, ksiądz otworzy bramę. Sierotki pójdą pierwsze. Mają wsiąść do mikrobusu chorej, który po drodze do nowego Domu odstawi je do sierocińca. Kierowca już otrzymał odpowiednie polecenie. Sierot jest pięć; sprawdzimy:

– Eliana Riquelme.

– Obecna.

– Weronika González.

– Obecna.

– Mirella Santander.

– Obecna.

– Eufrosina Matus.

– Obecna.

– Iris Mateluna.

Nie ma odpowiedzi.

– Iris Mateluna?

Stare wzruszają ramionami, wznoszą ręce do nieba, wysuwają dolną wargę, jakby mówiąc, a co ja mogę na ten

temat wiedzieć, nie mam pojęcia, niech mi tu nikt nie opowiada, że to moja wina, jeżeli już kogoś chcecie oskarżać, to nie mnie, ja nie mam nic wspólnego z tą sprawą, jeśli rzeczywiście jest to jakaś sprawa, a poza tym szkoda, że nie wiecie, co to był za ptaszek ta cała Iris Mateluna; ktoś w końcu powinien powiedzieć prawdę księdzu Azocarowi... Ryta robi krok naprzód:

– Proszę księdza...

– Tak?

– Iris poszła sobie jakiś tydzień temu.

– Czy ja dobrze słyszę? Poszła sobie?

– Tak. To była bezczelna dziewucha. Gdyby ksiądz...

– Bezczelna czy niebezczelna...

– Ale żeby ksiądz wiedział, co to był za numer...

– Chyba że się zmieniła, bo przedtem...

– Nie wiem, co było przedtem, ale była całkiem niemożliwa, wymagająca i w ogóle...

– Jak to? Kiedy?

– Kiedy zostawiliście nas zupełnie same.

– Tak, proszę księdza, to prawda, w nocy uciekła na ulicę...

– No i przepadła...

– Jezus Maria, jak to przepadła... Piętnastoletnia dziewczynka...

– Już prawie szesnastoletnia...

– No i przepadła.

Co można na to poradzić, proszę księdza, to nie nasza wina, nikogo nie słuchała, tylko by latała za chłopakami, sąsiadki opowiadały, że stawała w otwartym oknie na piętrze i zaczepiała przechodzących mężczyzn, tak rozrabiała, że była znana w całej dzielnicy, tylko myśmy nic o tym nie wiedziały. A potem zabrała się i przepadła, to nie nasza wina, zostawiliście nas, nie miałyśmy co jeść,

a może Iris poszła z Domu, dlatego że była głodna, dzwoniłyśmy do arcybiskupa i księdza też wzywałyśmy, ale sekretarki zawsze odpowiadały to samo, że mamy czekać, że jeszcze parę dni, a kiedy zaczęły krążyć słuchy, że zostawicie nas tu tak długo, aż zdechniemy z głodu, żeście o nas całkowicie zapomnieli, Iris Mateluna zabrała się, bo się normalnie zlękła... My powiemy matce Benicie, co o tym myślimy, myśmy miały już tego wszystkiego, o, potąd, jak można było do tego dopuścić, ja osobiście mam taką urazę do matki Benity, że wcale nie wiem, czy tak bardzo chcę zobaczyć ją tam na górze.

– Gdzie?

– Czy nie mówił ojciec, że ona też tam będzie w górnej części miasta?

– Ach tak, oczywiście, ona też tam będzie.

Ksiądz Azócar zakończył rozmowę, bo nie bardzo wiedział, co mówić. Lepiej nie poruszać więcej problemu Iris Mateluny. Ważne jest, by stare natychmiast opuściły Dom. Sprawę Iris załatwimy później. Zobaczy się, jak należy potraktować to zniknięcie czy ucieczkę, czy bo ja wiem co, nieważne, teraz trzeba jak najszybciej załatwić ten odjazd; jak się przedłuży o minutę opróżnianie Domu, stare znowu zapuszczą korzenie, od nowa zajmą Dom, przeszkadzając w jego rozbiórce. Na sprawę Iris Mateluny będzie czas później. To ta gruba ze złamanym siekaczem, przypomniał sobie nagle ogarnięty trwogą, nie, nie, teraz trzeba natychmiast odjeżdżać i nie myśleć o sprawie Iris, to może mieć bardzo przykre skutki. Jeśli ma mieć te skutki, to niech to chociaż odbędzie się wtedy, kiedy już Dom wreszcie będzie pusty...

– Ktoś dzwoni, proszę księdza.

Iris, Iris Mateluna, oby to była ona – westchnął w duchu ksiądz Azócar – jakże by to było cudowne rozwiązanie...

– Niech ksiądz Silva otworzy.

Ale to nie Iris. To młody robotnik w podwiniętych do pół łydki spodniach, niosący olbrzymią dynię o twardej szarawej skórce, przypominającej skórę prehistorycznego zwierzęcia. Robotnik pyta:

– Czy to Dom Ćwiczeń Duchowych „Zwiastowanie" w Chimbie?

– Tak, to tutaj...

Nie mówiąc nic więcej, energicznym krokiem rusza pośród rozstępujących się staruszek, niosąc swą wspaniałą dynię. Doszedłszy do furtki przy wejściu, zatrzymuje się i pyta:

– Gdzie mam je składać?

Dora odpowiada:

– Tu, na miejscu, w galerii.

Kładzie dynię na posadzce z płyt i odchodzi szybkim krokiem, przez szpaler zachwyconych staruch, mijając innego robotnika niosącego taką samą dynię, którą składa obok pierwszej, by powrócić co prędzej minąwszy trzeciego z kolei mężczyznę z trzecią dynią, którą składa, by wracając minąć następnego i następnego, i następnego, a wszyscy oni zapełniają patio tymi dziwnymi stworami w złoconych zbrojach, przy czym nikt nie odważa się szepnąć nawet słówka przeciw tej inwazji istot z innej ery geologicznej, przeszłej czy też przyszłej, których ilość rośnie z niepohamowaną szybkością, jak gdyby tu, w tym korytarzu, rozmnażały się bezwstydnie, wciąż gromadzone przez ociekających potem robotników: jest ich dwóch, nie, trzech, nie, pięciu, nie, jednak dwóch, wyładowywali nie kończące się ilości dyń z załadowanej po wręby ciężarówki, zaparkowanej na wprost białych pojazdów. Dynie, coś takiego, jakie piękne dynie, będziemy mogły je robić z fasolą, jak zacznie się lato, a jeść duszone w zimie,

a ciasto z dyni w noc świętego Jana, a powidła z dyni... też wcale niezłe, potrawka bez dyni to nie potrawka, te o szarej skórze to najlepszy gatunek, oznajmia Maria Benítez oglądając je z bliska, aż w pewnej chwili ksiądz Azócar otrząsa się z osłupienia i oprzytomniawszy, ze spisami w ręku staje w bramie i pyta:

– Co to jest?

Przechodzący koło niego robotnik odpowiada:

– Dynie.

– Tak, ale...

Wyładowujący dynie kierowca dorzuca:

– Te dynie pochodzą z majątku Trehuenque, od misi Raquel Ruiz. Rok temu dała polecenie, żeby tu przywieźć to, co zostało ze zbiorów, ale rządca zapomniał, wobec czego teraz przysyła pięćset dyń.

– Pięćset!

– Tak, gatunek eksportowy.

– Ale co ja mam zrobić z taką ilością dyń?

– Nie wiem, proszę księdza. To już księdza sprawa.

Ksiądz Azócar wrócił do portierni, zdążywszy jednak zauważyć, że porządek, który z trudem udało mu się narzucić, został zakłócony: sieroty wysiadły z mikrobusu i zmieszawszy się ze starymi, krążyły wokół stosów dyń, Eliana, po prostu na nich tańczyła, inne dosiadały je niby koni, no, galopuj, wio, koniku. Przecież nie zostawimy tu tych dyń, trzeba powiedzieć księdzu Azocarowi, że chcemy je zabrać ze sobą, przecież są nasze, jaka kochana ta misia Raquel, zawsze dotrzymuje obietnic, może nie dotrzymała z pogrzebem Brygidy? A teraz dała nam pięćset dyń! Hej, wy, małe, Mirella i Weronika, zostawcie tę dynię, jest dla was za ciężka. A zadyszani mężczyźni ciągle wnoszą nowe dynie, złote kule toczą się wzdłuż korytarzy, stare, jak zaczarowane, stawiają chwiejne kroczki mijając te monstra,

zostaw to, Mirella, słyszysz – i sieroty puszczają dynię, a ta pęka, ukazując ciepłopomarańczowy welur swojego wnętrza, rozsiewając nasiona połączone śliniącymi się wiązadłami z ciałem, w którym mieszkały. Głupie smarkule, co wam przychodzi do głowy, rozbić taką dynię, nie wiecie, ile to warte, ona się teraz zepsuje, nie rzucajcie pestek po podwórku, a wiesz ty, jak one się mnożą? tam, gdzie padnie ziarno, wyrasta nowa dynia, tak że za rok będzie tu lasek gałązek i liści, które oplotą sobą wszystko i wszędzie się wepchną ich żółte kwiaty, nawet do pokojów, to dopiero będzie piękny widok, jak te wszystkie dynie zaczną rosnąć, jeżeli to takie ładne, dlaczego by nie zebrać pestek z tej dyni i nie wziąć ich ze sobą do nowego Domu, jest tam ogród, można by zasiać pestki i zebrać całe pole dyń, do potraw i na marmoladę z dużą ilością cukru. Słuchaj, Auristela, nabierz pestek do kieszeni, to je zasiejemy tam, na górze, tyle tych dyń, mój Boże, a oni ciągle jeszcze wyładowują, aż trudno uwierzyć, że to tylko pięćset dyń, nie mieszczą się nawet w galerii, to dlatego, że są takie wielkie, eksportowe, policzę je, tak, słusznie, policzymy je... Przez ten czas ksiądz Azócar wściekły dyskutuje przez telefon z misią Raquel, pewno się złości, że przysyła dynie, no pewno, co jego obchodzi, czy mamy co jeść, czekajcie, póki gada, spróbujmy wsadzić parę dyń do karoc, jak weźmiemy w szóstkę, to chyba uradzimy. Szofer im pomaga i udaje im się włożyć jedną dynię do któregoś z białych pojazdów: młodzi księża krzycząc usiłują zaprowadzić porządek w rozpierzchłym stadku, zdjąć czar, który rzuciły na nie te owoce o wyglądzie płodu nosorożca. Ksiądz Azócar wychodzi z kabiny telefonicznej, podnosi głos i stare na nowo ustawiają się przy wyjściu. Rozkazuje im wyjść natychmiast w dowolnym porządku, nie, listy nie mają znaczenia, niech wsiadają,

jak chcą, ale wszystkie chcą się wpakować do tego samego, bo ten drugi, ten z Ernestyną López i sierotami, pojedzie najpierw gdzie indziej, a wszystkie chcą być pierwsze na miejscu. W końcu, po wielu krzykach, udaje się wydobyć parę staruszek z tego autobusu, gdzie wepchały się wszystkie wraz ze swymi manatkami, i porozsadzać je rozsądniej. Ksiądz robi obchód Domu i zamyka drzwi na klucz, no cóż, te zamki nie wyglądają mi na solidne, ale kto tam będzie się włamywał i kradł, co tam zresztą można ukraść, brud i tyle, nawet nie będzie licytacji, uprzątniemy to w dwa dni i zaczniemy rozbiórkę. Daje napiwek tragarzom i pusta ciężarówka zawraca do Trehuenque. Chłopaki z sąsiedztwa, właścicielka narożnego sklepiku z mężem oraz dama, która czesała się w oknie, wychodzą pożegnać się ze starymi, które, szczęśliwe, już się rozsiadły w autobusach: słuchajcie, a może by tak otworzyć okno, takie piękne słońce, a ogrzewanie podobno niezdrowe na oskrzela, w naszym wieku trzeba uważać, a człowiek nie przyzwyczajony do ogrzewania... Pojazdy ruszają. Stare, płacząc i wymachując chusteczkami, żegnają ludzi, którzy do nich kiwają, ludzi, których chyba nigdy przedtem nie widziały, i na pocieszenie intonują chórem:

Pod Twoją obronę
Pod Twoją obronę
Uciekamy się...

Nie ma już nikogo. Odzyskałem całą jasność umysłu. Moje myśli klarują się i zapadają na dno mej przezroczystości, a jej blask likwiduje ostatnie strachy i ewentualne zamaskowane dwuznaczności: ten pakunek to ja. Jestem chroniony kolejnymi warstwami worków, w które mnie wpakowały stare, dlatego właśnie nie muszę sam się pakować, nie muszę nic robić, nie czuję, nie słyszę, nie

widzę, bo nie istnieję nigdzie, jedynie w tym wydrążeniu, które zajmuję sobą. Juta, grube węzły, szwy drapią mi twarz, nos i gardło pełne mam jutowych włosków. Moje ciało jest skurczone, bo zbyt ciasno jestem zaszyty. Wiem, że te piekące zadrapania, to dławienie się włoskami, ten ból od krępujących mnie węzłów to jedyna forma egzystencji, bo gdyby istniała inna, musiałaby istnieć również przeszłość i przyszłość, a ja nie przypominam sobie przeszłości i nie mam przyszłości, ulokowany tutaj, w szczęśliwym odpoczynku zapomnienia, bo zapomniałem wszystko i wszystko zapomniało o mnie. Towarzyszy mi tylko samotność. Pilnuję jej, pragnąc, by nic nie zmąciło spokoju worka, który mnie chroni skuteczniej niż gliniane cegły tych murów. Tak, pamiętam te mury, lecz nie przypominam sobie niczego więcej, i przyszłość będzie istniała tylko do chwili, gdy one runą. Niedługo wszystko zakończy się tak, jak się powinno zakończyć: chmura pyłu wzniesie się w górę, gdy wygłodniałe pyski koparek zakłócą wiekowy spokój gliny, z której zbudowany jest ów świat, a następnie przemoc nas ukarze zuchwalstwo tej ziemi; nie wolno liczyć, że wystarczy, by wchłonęła ona te mury i labirynty, aby wszystko wróciło do naturalnego stanu nagich obszarów złożonych, jak każda gleba, z kamieni, kawałków drzew, liści i gałęzi, które powoli zeschną i spróchnieją, z kawałków malowanego gipsu, oka lub też szczęki smoka, z gnijących szmat, rozłażących się papierów, worków, spośród których ktoś mógłby krzyczeć: nie ratujcie mnie, nie chcę umierać, boję się, jestem bezwładny, jestem kaleką, bez seksu, bez niczego, na gołej ziemi – lecz nie będę krzyczał, gdyż nie ma innej formy egzystencji, jestem bezpieczny we wnętrzu tego, z czego nigdy nie wychodziłem, jestem panem tego niewielkiego wgłębienia, które mnie otacza i znakomicie chroni. Mówią,

że gdzieś są korytarze, które nie wiodą donikąd, opuszczone patia, galerie o dalekich perspektywach i łudzących oko formach, jakieś nagromadzone przedmioty, których przydatności nikt już nie zna, plamy wilgoci rozwijające powoli na ścianach swoje pejzaże, lekki welon pyłu opadający ze spróchniałego drzewa, pokoje przepełnione ciszą, której nigdy nikt nie zakłócał, bo nigdy tu nikogo nie było, chociaż mówią, że był i że może jeszcze jest ktoś, kto porusza się na zewnątrz, a więc istnieje jakieś zewnątrz, ktoś kaszle, ale to nie ja, lecz ten odgłos jest tak przygłuszony, że może to w ogóle nie kaszel, wyczuwam jakieś ruchy, a ja przecież nie mam swobody ruchów, lecz tak lekkie, jakby to były ruchy gromadzących się cieni, które zbliżają się bez kroków, bo nie mają nóg, by stawiać kroki, nie jest to ani kot, ani pies, ani mysz, ani kura, ani nietoperz, ani królik, ale słyszę, że oddycha obok mnie, chociaż jak mogę słyszeć, jestem przecież głuchy, czyż można kasłać tak słabo, nawet jeśli się jest cieniem, muszę dojrzeć ten cień, muszę, muszę, i wraz z tą koniecznością wkrada się we mnie strach, muszę ujrzeć oblicze tego cienia, który oddycha i kaszle tak blisko, muszę odzyskać wzrok i to jakieś „zewnątrz", muszę, gryzę, żuję worek zamykający mi usta, miażdżę go zębami, żeby rozpoznać rysy tego cienia istniejącego na zewnątrz, żuję nitki, węzły, łaty, szwy, zrywam je, ale nigdy dosyć, następny worek, następna warstwa, której przedarcie zajmie mi cały wiek, a przebycie tysiąc wieków, zestarzeję się nie poznawszy niczego prócz smaku tej rozmiękłej od śliny juty, kruszą mi się zęby, lecz nadal muszę gryźć, gdyż ktoś czeka na mnie na zewnątrz, żeby mi powiedzieć moje imię, chcę je usłyszeć, więc żuję, gryzę, rozdzieram i żuję, gryzę, rozrywam ostatnią warstwę worka, by urodzić się albo umrzeć, lecz nie urodzę się ani nie umrę, gdyż jakieś

ręce chwytają ogromną igłę i zaszywają otwór, przez który już miałem spojrzeć i odetchnąć, powietrze, świeżego powietrza, powietrza, jak z tego okna, którego nie pozwolono mi otworzyć, gdyż było tylko złudzeniem, lecz przez tę dziurę moja pamięć dosięgła na chwilę powietrza z tego okna i teraz zostałem zamknięty wraz z tęsknotą za tym powietrzem i za tym oknem, nie mogę już, gdyż ja i moja tęsknota nie mieszczą się razem, tu mogę być tylko sam, gdyż tęsknota za tamtym udawanym powietrzem sprawia, że włoski z worka jeszcze bardziej łaskoczą mnie w nosie i w gardle i jeszcze bardziej mnie mierzi zapach juty, zrobię nową dziurę, drę paznokciami geologiczne warstwy worków, by znaleźć wyjście, paznokcie mi się łamią, palce mi krwawią, opuszki martwieją, stawy bolą, jeszcze jeden worek i jeszcze jeden, tak, teraz ostatnia dziura, lecz ręce z zewnątrz odwracają zawiniątko, którym jestem, i bez słowa – gdyż nie mam się dowiedzieć, do kogo te ręce należą – zaszywają z powrotem warstwę za warstwą, każde rozdarcie, żebym nie mógł się wydostać ani obejrzeć tej twarzy, nagle wyciągam nogę i stopą z całej siły robię nową dziurę, lecz pełne brodawek ręce zaszywają z szybkością, do jakiej tylko one są zdolne, drobny ścieg, krzyżyki, którymi cerują czy też haftują bieliznę na worku, nie mogę wyjść ani oddychać – nawet tym oszukańczym powietrzem spoza okien. Czekać. I przez wieki całe czekam, aby utworzyła się inna warstwa ze szczątków milionów istnień, które podobno egzystują, i pogrzebała moją tęsknotę. Moja przestrzeń zawęża się, a stara szyje, by uniemożliwiać mi wyjście, bo ona jest stara, poznałem to po jej palcach, ja ciągle rozrywam i gryzę, ona ciągle zaszywa, by zmniejszyć moją przestrzeń, ręce wciąż obracają pakunkiem, na wypadek gdyby jakieś rozdarcie uszło jej uwagi, znajduje je i zahaftowuje tak

starannie, jak gdyby szło o monogram na najcieńszym batyście, a nie o zeszycie juty. Już nie ma żadnego otworu i pakunek jest niewielki, lecz idealnie szczelny. Chowa igłę. Z kąta kaplicy wyciąga inny worek, wrzuca do niego paczkę, a razem z nią torebkę cukru, kilka par wełnianych pończoch, dużą ilość papieru, trochę mate, trochę szmat. Z największym wysiłkiem zarzuca sobie worek na ramię. Wychodzi z kaplicy i powłócząc nogami idzie przez pustynię nie kończących się korytarzy, przez patia, przemyka się powoli wzdłuż murów zbudowanych z ciemności lub tarasującej drogę gliny, a spod jej stóp, kroczących lekko i miękko, czmychają bezszelestnie pająki, myszy, nietoperze, świnki morskie, niezgrabne i miękkie robaki, bardzo stare gołębie, których nikt nie zdołał upiec... Powoli, przez lata i wieki, dochodzi do wejścia i toruje sobie drogę w lesie pędów i liści dyń pożerających klasztor, spadających kaskadami, szerokie podłużne liście, soczyste łodygi zielone i miękkie, żółte kwiaty wznoszące kielichy ku górze, listowie, w którym ona toruje sobie przejście, a które zamyka się nad jej śladami, śladami wśród pędów filtrujących światło słońca i księżyca; brama; wyjmuje odwieczny klucz, otwiera ją i wychodzi z workiem na plecach, powłócząc starymi kapciami, zgarbiona, przemyka się pod murami, jakby bojąc się stracić opiekę cieni, przechodzi przez skrzyżowanie, mija długie bloki, zatrzymuje się, by coś użebrać, dostaje jałmużnę, chowa ją w fałdy spódnicy, idzie dalej swoją drogą, wchodzi do parku aleją bezlistnych platanów i dochodzi do żelaznego mostu. Pomimo swego wieku wciąż jeszcze umie to zrobić, robiła to wraz z innymi dziećmi, które bawią się w korycie rzeki przez całe dzieciństwo, więc i teraz jak mała dziewczynka spuszcza się po żelaznych słupach i spada razem ze swoim workiem. Oni siedzą pod mostem,

blisko ognia. Zbliża się. Siada na ziemi, w kręgu światła. Jakoś niewielu ich tej nocy. Płomień chwieje się na ich twarzach, potem przygasa, a oni przybliżają się do tlących się głowni, które już zaczynają blednąć. Mówi:

– Marny ogień.

Grzebie ręką w worku, z którego wyciąga papiery i stare listwy, żeby go podsycić. Pochyla się nad nim. Jakaś kulawa, parszywa suka przybiega i łasząc się kładzie się u jej boku. Nikt nic nie mówi. Gdzieś wysoko suche gałęzie platanów wyglądają jak radiografia na elektrycznej siności miejskiego nieba. Stara pije mate w małym kubku z drucianym uchem, kubku poczerniałym od ciągłego stania na ogniu. Znowu zanurza rękę w worku, wyjmuje kawałek chleba, częstuje, ktoś bierze; znów mruczy:

– Coś kiepski ogień dzisiaj.

– Taaak, nietęgi.

Znowu wyciąga jakieś papiery i drewienka, rzuca je w płomienie, które chwilowo wznoszą się do góry, ale nie trwa to długo, ktoś mówi, że idzie szukać schronienia gdzie indziej, bo noc będzie zimna, tak, bardzo zimna; kilka osób odchodzi. Ogień z papierów i z drzazg nie utrzyma się długo. Do widzenia, nie idziesz z nami? Tu pod mostem będzie ciężka noc, nie, zostaję, jestem zmęczona. Odchodzą nic nie mówiąc, zostawiając ją samą. Kaszle. Otula się chustką. Zbliża się do źródła ciepła, gdyż zrywa się wiatr; suka także odchodzi. Woła ją...

– Pssstt, pssstt...

Ale suka nie wraca. Stara wstaje, bierze worek, otwiera go i wytrząsa zawartość nad ogniem: drzazgi, kartony, pończochy, szmaty, gazety, papiery, brudy, wszystko jedno co, byle tylko nieco ożywić płomień, byle nie było zimno, co jej tam zapach spalenizny tych szmat i papierów, co ledwie się tlą. Wiatr rozwiewa ogień i zapachy, stara

przycupnęła na kamieniach, chce się zdrzemnąć. Ogień pali się przez chwilę obok ludzkiego kształtu wyglądającego jak kłębek szmat, potem zaczyna gasnąć, ciepło głowni ulatuje i wyczerpuje się, pokrywając się lekką warstwą popiołu, którą rozwiewa wiatr. W kilka chwil później niczego już nie ma pod mostem. Jedynie czarna plama po ogniu na kamieniach i poczerniały garnuszek z drucianym uszkiem. Wiatr go przewraca, toczy po kamieniach, wrzuca do rzeki.

*Santa Ana y Los Dominicos, Chile, 1962–1963*
*Pollença, Majorka, 1968*
*Juenga, Santander, 1969*
*Vallvidrera, Barcelona, 1969*